

**Matthew Woodring Stover**

# **Bohaterowie umierają**

**Heroes Die**

**Akty Caine'a. Tom 1: Przemoc**

**Przełożyli:**

**Małgorzata Strzelec**

**i Wojciech Szypuła**

**Wydanie oryginalne: 1998**

Wydanie polskie: 2009

**TMN**

*Człowiek nie powinien umierać,  
nie wiedząc, dlaczego został zamordowany.*

*Charlesowi,  
za to, że był najlepszym przyjacielem Caine'a  
i Robyn –  
bez Ciebie to nie byłoby możliwe.*

Istnieje wielu, bardzo wielu ludzi, dzięki wsparciu których powstanie tej książki – nad którą praca trwała znacznie dłużej, niż jestem skłonny się przyznać – było możliwe.

Mogę tylko wymienić najważniejszych:

Charlesa L. Wrighta, bez którego nie byłoby Caine'a.

Robyn Fielder, która powiedziała mi, że muszę napisać tę książkę, i wspierała mnie podczas pracy zarówno emocjonalnie, jak i finansowo.

Paula Krolla, H. Gene McFaddena, Erica Colemana, Kena Brickera i Perry'ego Glassera – każdy z nich hojnie poświęcał mi czas, czytając co najmniej jeden wstępny szkic historii, i dzielił się swoimi spostrzeżeniami i radami.

Clive'a A. Churcha, któremu dziękuję za techniczne uwagi i niewyczerpaną cierpliwość mimo mojej upierdliwości.

Mojego agenta, Howarda Morhaima, z podziękowaniem za jego nieustanny entuzjazm.

I moją matkę, Barbarę Stover, z podziękowaniem za jedną, szczególną przysługę pośród mnóstwa dobroci, jakiej doświadczałem od niej przez całe życie.

Dziękuję Wam wszystkim.

# PROLOG

## 1

Kładę rękę na klamce i w tym momencie jakiś żywcem pochowany we mnie instynkt odzywa się w mojej piersi: to będzie bolało.

Biorę głęboki wdech i wchodzę.

Sypialnię księcia regenta Toa-Phelathona urządzono naprawdę gustownie i bez przepychu, wzięwszy pod uwagę, że śpi tu facet, który włada drugim co do wielkości cesarstwem w Nadświecie. Już samo łóżko jest skromne – ma tylko osiem kolumnienek i pół akra powierzchni (albo coś koło tego); dodatkowe cztery kolumny – każda z bogato rzeźbionego thierrilu o różowych żyłkach i grubsza od mojego uda – podtrzymują lampy z jaśniejącego mosiądzu. Długie żółte płomienie jak ostrza włócznie falują delikatnie, poruszane podmuchem z ukrytych drzwi dla służby. Bezgłośnie zamykam drzwi za sobą, a ich pokryta brokatową tapetą powierzchnia idealnie stapia się z wzorem na ścianie.

Brnę przez wzburzone morze jedwabnych poduszek – sięgającą kolan chmurę lśniących, żywych kolorów. Dostrzegam błysk złota i mignięcie czegoś o barwie bordo po mojej lewej i nagle serce zaczyna mi walić jak oszalałe – ale to tylko moja własna liberia, przebranie służącego, na mgnienie oka pochwycone przez srebrne lustro na szafce nocnej z lakierowanego lipkeńskiego krиму. W odbiciu widzę zakłęcie, zaczarowaną twarz, którą noszę: gładkie, zaokrąglone policzki z ledwie śladem meszku zamiast zarostu, jasne włosy. W nagrodę posyłam sobie uśmiech, rozciągając spierzchnięte usta, i mrugam do siebie porozumiewawczo, po czym bezgłośnie wzdycham i ruszam dalej.

Książę regent leży wsparty na poduszkach większych od mojego łóżka i pochrapuje spokojnie. Siwe wąsy poruszają mu się przy każdym świszczącym wdechu i wydechu. Na jego szerokiej piersi leży okładką do góry książka – jeden z serii romansów koryjskich Kimlarthena. To znowu wywołuje mój uśmiech: kto by pomyślał, że Lew Prorithuna jest sentymentalny? Bajki – proste historie dla prostych umysłów, zefirek chłodzący czoło umęczone złożonością prawdziwego życia.

Delikatnie stawiam złotą tacę na stoliku obok łóżka. Książę się porusza, wygodnie mości we śnie – a mnie krew ścina się w żyłach. Ruch sprawia, że z poduszek unosi się obłoczek lawendowego aromatu. Świerzbiam mnie palce. Rozpuszczone do snu włosy rozkładają się

wachlarzem w kolorze stali wokół jego twarzy. To szlachetne czoło, błyszczące oczy, ostry podbródek, pieczołowicie wygolony, podczas gdy policzki porasta bujna broda – dla każdego to doskonały wizerunek wspaniałego króla. Jego posąg na stojącym dęba rumaku – ten, który znajduje się przed Dziedzińcem Bogów w pobliżu Fontanny Prorithuna – będzie wspaniałym, inspirującym ludzi pomnikiem.

Księżę regent gwałtownie otwiera oczy, gdy czuje moją dłoń zaciskającą się mu na gardle. Jestem prawdziwym zawodowcem, więc nawet nie próbuję zatykać mu ręką ust, żeby zdusić okrzyk; ze ściśniętego gardła dobywa się jedynie skrzek. Widok mojego noża, i to w dużym zbliżeniu – grube, obosieczne ostrze znajduje się raptem cał od jego prawego oka – osłabia dalszy opór.

Przygryzam język, ślina napływa mi do ust i zwilża wysuszone gardło. Głos mam spokojny – bardzo cichy i bardzo beznamiętny:

– W takich sytuacjach zwyczajowo mówi się kilka słów. Człowiek nie powinien umierać, nie wiedząc, dlaczego został zamordowany. Nie szczycę się swoją elokwencją, więc ujmę to w prostych słowach.

Pochylam się nisko tuż obok ostrza noża i patrzę księciu w oczy.

– Klasztory utrzymywały cię na Dębowym Tronie, wspierając twoje idiotyczne działania przeciwko Lipke w Wojnie na Równinach. Po rozważeniu wszystkich kwestii Rada Braci uznała, że będziesz wystarczająco silnym władcą, żeby utrzymać cesarstwo w jedności, przynajmniej do czasu, gdy Mała Królowa osiągnie pełnoletniość.

Jego twarz sinieje, a ja czuję pod palcami występujące na szyi żyły. Jeśli nie będę mówił wystarczająco szybko, uduszę go, zanim skończę mówić. Wzdycham i przyspieszam.

– Jednak odkryli, że jesteś idiotą. Karne podatki, które nałożyłeś, osłabiają i Kirisch-Nar, i Jheled-Kaarn. Powiedziano mi, że zeszłej zimy w samym Kaarn dziesięć tysięcy wolnych chłopów umarło z głodu. Teraz rozkwaśłeś nos Lipke z powodu tej kretyńskiej kopalni żelaza w Bożych Zębach i gadasz tak, jakbyś myślał o regularnej wojnie z powodu tych dwóch zasmarkanych małych prowincji na wschodzie. Zignorowałeś i obraziłeś handlową delegację lipkeńską i zlekceważyłeś napomnienia ze strony Rady Braci. Uznali, że już się nie nadajesz do sprawowania władzy, o ile kiedykolwiek się nadawałeś. Mają dość czekania. Zapłacili mi ogromną sumę, żebym usunął cię z tronu. Zamrugaj dwa razy, jeśli zrozumiałeś.

Oczy księcia otwierają się szeroko; wybałusza je na mnie, jakby chciał sprawić, żeby zniknęły jego powieki. Gardło pracuje pod moją dłonią. Poruszając wargami, bezgłośnie mówi do mnie, ale moje nędzne umiejętności w czytaniu z ruchu ust nie pozwalają mi nadażyć i jedyne co rozumiem, to początkowe „proszę, proszę, proszę”. Bez wątplenia chciałby pospierać się ze mną, poprosić o wyrozumiałość albo o azyl dla żony i dwóch córek. Nie mogę mu obiecać żadnej z tych rzeczy; jeśli po jego śmierci zacznie się wojna o tron, będą miały takie same szanse jak reszta.

W końcu wysychają mu gałki oczne i mruga – raz. Zabawne, jak czasem nasze odruchy

spiskują przeciwko nam, sprowadzając na nas śmierć. Zgodnie z warunkami kontraktu mam się upewnić, że zrozumiał. Jeśli mam to zrobić jak należy, powinienem poczekać na następne mrugnięcie. Gdy się morduje króla, winno się zachować pewne formy.

Jego wzrok minimalnie się przesuwa – stary wojownik zamierza sprawdzić swoje szanse ze mną; to ostatnie, rozpaczliwe parkosyzmy jego woli życia, które odwołują się do innych, całkiem świeżych odruchów w nadziei na ratunek.

Mając wybór między stosownym zachowaniem a wpadką w sypialni księcia regenta, na dziewiątej kondygnacji wieży pałacu Colhari, uznaję, że jednak w dupie mam dobre wychowanie.

Wbijam mu nóż w oko. Pęka kość i tryska krew. Za pomocą noża odwracam jego twarz od siebie – kiedy będę stąd wychodził, plama krwi na liberii może wywołać fatalne konsekwencje. Książę regent rzuca się jak łosoś, który nieoczekiwanie wyskoczył ze strumienia na ląd. To tylko ostatnie, nieświadome próby walki ciała o życie; równoległe odbywa się opróżnianie kiszek i pęcherza. Książę obsrywa i zasikuje satynową pościel i całego siebie – kolejny pierwotny odruch, daremna sztuczka, mająca na celu obrzydzenie drapieżnikowi zdobytego mięsa.

Pieprzyć to. I tak nie jestem głodny.

Mijają wieki i w końcu książę regent się uspokaja. Opieram się ręką o jego czoło i poruszam nożem w tę i we w tę, aż w końcu ostrze wychodzi z wilgotnym odgłosem. I teraz biorę się za makabryczną część mojej roboty.

Ząbkowane ostrze z łatwością rozcina skórę szyi, ale zgrzyta, gdy dociera do kręgów szyjnych. Zmieniam lekko kąt cięcia, wsuwając krawędź między trzeci i czwarty krąg, i po kilku sekundach piłowania już mam głowę. Miedziany zapach jego krwi jest tak mocny, że czuję go mimo odoru gówna. Żołądek mi się zaciska, ledwo mogę oddychać.

Odkrywam złotą tacę, którą przyniosłem z kuchni, ostrożnie odstawiam talerze z parującym jedzeniem i kładę na tacy głowę Toa-Phelathona. Ostrożnie unoszę ją za włosy, żeby ściekająca krew nie zaplamiła mi ubrania. Z powrotem stawiam na tacy złotą pokrywę. Ściągam zakrwawione rękawiczki i beztrudnie rzucam je na ciało, obok porzuconego noża. Ręce mam czyste.

Unoszę tacę na wysokość ramienia i biorę głęboki wdech. Łatwa część za mną. Teraz muszę wydostać się stąd żywy.

Najtrudniejsza część ucieczki to pokonanie pierwszej przeszkody – oddalenie się od ciała. Jeśli bez problemu przejdę obok dwóch strażników przy drzwiach dla służby, znajdę się poza pałacem, nim ktokolwiek się dowie, że staruszek jest martwy. Adrenalina śpiewa mi w żyłach na cały głos, aż drżą mi ręce i na karku wyskakuje gęsia skórka. W uszach słyszę łomot pulsu.

W górnym lewym rogu pola widzenia miga czerwony kwadrat wyjścia. Ignoruję go, chociaż przesuwa się przed moimi oczami jak powidok.

Jestem w połowie drogi przez pokój, kiedy drzwi dla służby otwierają się z rozmachem.

Jemson Thal, kamerdyner, zaczyna mówić już w wejściu:

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość – trajkocze, chociaż nawet nie złapał tchu. – Krąży plotka, że ktoś się podszył pod służ...

Jemson Thal widzi bezgłowego trupa w łożu, zauważa mnie i zadyszana paplanina zamiera mu w gardle. Jego oczy robią się okrągłe jak spodki; porusza ustami, jakby się dusił. Skracam dystans między nami jednym długim, zręcznym *croise* i kopię go w szyję. Pada jak worek szmat i teraz naprawdę walczy o oddech, bo ma zmiążdżoną krtanią. Łapie się za gardło i wije na podłodze w przejściu dla służby.

A ja nawet nie przechyliłem tacy.

Z jednym ze strażników idzie – a w każdym razie pójdzie – łatwo. Z krzykiem zamartłym na ustach opada na kolano obok Thala i w kretyńskim odruchu próbuje mu pomóc. Myśli, że co zrobi? Będzie klepał biednego sukinkota w plecy, aż ten sobie wykaszle tchawicę? Drugiego nie widać. Bystrzejszy od kumpla przywarł do ściany w przejściu dla służby i czeka na mnie.

Obaj strażnicy noszą długie solidne kolczugi pod bordowo-złotymi płaszczami i wyściełane misiurki nabijane guzami. Toa-Phelathon nie skąpił pieniędzy na wyposażenie Rycerzy Pałacowych. Moje noże zdadzą się tu na nic. To bez znaczenia, i tak siedzę już w tym po uszy.

Koniec czekania. Znow jestem szczęśliwy.

Po gorączkowych przemyśleniach sprytniejszy strażnik wzywa pomoc.

Odkrywam tacę i ponuro przyglądam się Toa-Phelathonowi. Dolna jedna trzecia jego włosów przemokła od krwi, ale nie ma zbyt zniekształconej twarzy. Mimo niemal wylupionego oka nadal można go rozpoznać. Wyciągam ręce mniej więcej na wysokości piersi i wysuwam tacę w korytarz. Widok jej zawartości ucina wszelkie krzyki o pomoc równie skutecznie jak strzała wystrzelona w gardło.

Podczas gdy część mózgu strażnika odpowiedzialna za przetwarzanie odebranych bodźców nadal zmagą się z przyswojeniem sobie koncepcji pozbawionej ciała głowy króla, wpadam do przejścia dla służby. Mam jakieś dwie sekundy, może więcej, nim Bystrzak zdoła wykorzystać swój umysł do czegoś poza wybełkotaniem: „He?”.

Strażnik, który przyklęknął, sięga po miecz i zrywa się z ziemi. Z brzękiem upuszczam tacę, głowa odtacza się w podskokach, podczas gdy ja łapię durnego strażnika za nadgarstek i przytrzymuję ostrze tam, gdzie jego miejsce. Zaraz potem walę chłopaka z byka, aż mi dzwoni w uszach. Nos Półgłówka jest teraz rozkwaszony, oczy mu się zbiegają. Łapię go za głowę, odwracam się w miejscu i obracając go, ciskam nim tak, że leci prosto na Bystrzaka. Wyściółka misiurki nie chroni karku wystarczająco, by go uratować: kręgi szyjne pękają z głośnym traskiem. Jeszcze drży – ostatni raz w życiu – a ja już lekko przeskakuję nad wstrząsanym konwulsjami ciałem Jemsona Thala i idę zabić Bystrzaka.

Wtedy właśnie Toa-Phelathon dostaje swoje co nieco, strzępek zemsty, który na pewno

rozbawił go w zaświatach.

Łąduję – to był tylko mały podskok – nie spuszczać z oczu Bystrzaka, który wygrzebuje się spod Półgłówka, i trafiam nogą na głowę Toa-Phelathona.

Wytacza się spode mnie, a ja lecę na twarz jak Elmer Fudd.

Cudem udaje mi się wylądować na ramieniu, zamiast walnąć o podłogę potylicą, i tylko bliskość drzwi dla służby ratuje mi życie – kiedy Bystrzak zamachnął się mieczem, by uderzyć w moją głowę, koniuszek ostrza trafił we framugę. Próbuję się odtoczyć, ale wpadam na Jemsona Thala, który nadal się dławi, i tym razem Bystrzakowi się udaje. Zamiast wymachiwać mieczem, rzuca się w przód, trzymając rękę sztywno i wbija mi długi na stopę kawał stali prosto w wątrobę.

Miecz w brzuchu to kłopotliwa rzecz – nie boli tak naprawdę, w każdym razie nie bardzo, ale jest lodowaty jak cholera; promieniujące z niego zimno zalewa całe ciało i odbiera siłę nogom, zupełnie jak wtedy, kiedy mózg ci zamarza od gryzienia kostki lodu, tylko że czujesz to wszędzie. No i czujesz, jak ostrze przeslizguje się w tobie, tnąc wnętrzności. Szczerze mówiąc, cała ta sytuacja jest do bani, skoro już chcecie znać moje zdanie.

Kilka funtów stali w brzuchu rozchrzania też wzorzec mocy czaru, dzięki któremu wyglądałem jak nastoletni eunuch. Magja migocze jak umierający monitor, a wylądowanie sprawia, że włosy mi stają dęba na karku i świerzbi mnie broda.

Bystrzak wyciąga ostrze, zamiast obrócić nim w moim ciele – błąd nowicjusza, za który go zabiję. Przy wyjmowaniu miecz skrobie o żebro – to uczucie przypomina drapanie paznokciami o tablicę w połączeniu z borowaniem zębów bez znieczulenia; przed oczami rozkwitają mi rozwrzeszczane chmury czerni. Jęczę i wzdragam się z bólu, a Bystrzak omyłkowo bierze to za przedśmiertne konwulsje – znowu wychodzi brak doświadczenia.

– Ty łajdaku, nawet nie zasłużyłeś sobie na szybką śmierć! – mówi.

Łzy z powodu utraconego pana napływają mu do oczu, a ja nie mam serca, żeby powiedzieć, że się z nim zgadzam. Pochyliła się ku mnie, kiedy magijne przebranie w końcu się rozplywa. Bystrzak wytrzeszcza oczy. W jego głosie słychać trwogę, gdy mówi:

– Ej, mógłbyś być... wyglądasz całkiem jak... jak Caine! Będę sławny!

Nie sądzę.

Zahaczam go paluchem prawej stopy za kostkę i blokuję, a lewym walę go w kolano. Pęka z traskiem, i to głośnym, a chłopak pada z jękiem. To cały kłopot z kolczugami – nie chronią stawów przed wyginaniem się w sposób, w jaki nie powinny się wyginać. On jednak nawet nie upuścił miecza – nie można odmówić dzieciakowi hartu ducha.

Wstaję, robiąc sprężynę i rozrywając sobie coś w rozciętym brzuchu. Chłopak rzuca się na mnie z mieczem, ale wyprowadzony z poziomu ziemi atak jest powolny. Z łatwością łapię szerokie ostrze między dłonie, kopię go w nadgarstek i zabieram mu broń. Podrzucam miecz i zręcznie chwytam za rękojeść.

– Szkoda, dzieciaku – mówię do Bystrzaka. – Byłbyś całkiem niezły, gdybyś przeżył.



Wyprowadzam szybkie pchnięcie mieczem i trafiam go w czubek ucha, cał poniżej brzegu blaszanej, nabijanej czapy misiurki. Ostrze nie przebija kolczugi, ale nie musi – naprawdę dobrze radzę sobie z mieczami i sama siła ciosu wystarczy, żeby uszkodzić czaszkę i zabić chłopaka.

Zatrzymuję się na chwilę, żeby złapać oddech i zorientować się w sytuacji. Krwawię, z przodu i z tyłu, z miejsc, które przebił, i niewątpliwie mam również krwotok wewnętrzny. Obstawiam, że zostało mi jeszcze dziesięć minut na sensowne działanie, nim doznam szoku pourazowego. Może trochę więcej, ale możliwie też, że o wiele mniej; zależy od tego, ile szkód narobił miecz i jak poważne jest krwawienie.

W tym czasie muszę przejść osiem silnie strzeżonych pięter pałacu Colhari i wmieszać się w tłum Starego Miasta Ankhany – mając przy sobie cały czas głowę księcia regenta. Alarm już podniesiono. A ja pewnie wykrwawiam się na śmierć – chociaż to nie powód, żeby porzucać trofeum. Bez głowy nie dostanę zapłaty, a poza tym fakt, że ją niosę, nie pogorszy znacząco mojej sytuacji. Z krwią spływającą mi po nogach nie mogę blefować, nie mogę się ukryć. Gdziekolwiek pójdę, zostawię za sobą ślad. Już słyszę tupot zbliżających się biegiem obutych stóp.

Czerwony kwadrat wyjścia w lewym górnym rogu pola widzenia rozbłyska i gaśnie.

No dobra, w porządku. Czas się zmywać.

Wczuwam się w rytm błysków i dopasowuję odruch mrugania powiekami do migotania. Przejście dla służby i umierający wokół mnie ludzie rozmywają się i zapadają w nicość.

## 2

Hari Michaelson powoli otworzył oczy, kiedy przedstawicielka Motoroli zdjęła mu hełm. Zacisnął zęby, czując igłę kroplówki ze środkiem przeciwbólowym, którą asystent powoli wyjmował mu z szyi. Uniósł rękę i odkaslnął w poznaną odciskami dłoń, a przedstawicielka Motoroli pospiesznie podała mu papierowy kubeczek, żeby mógł spluć. Powoli się przeciągnął, aż zatrzeszczały mu kości i strzeliły stawy. Usiadł pochylony w symfotelu, opierając łokcie na kolanach. Jego proste czarne włosy lśniły od potu, oczy – również czarne – miał zaczerwienione. Odwrócił się od przedstawicieli i ukrył twarz w dłoniach.

Dziewczyna z Motoroli i jej asystent patrzyli na niego pełnym nadziei spojrzeniem szczeniaka, które przyprawiało go o mdłości.

Z głębin ogromnego fotela z prawdziwej cielęcej skóry odezwał się Marc Vilo:

– No i? Jak było, Hari? Co o tym myślisz?

Wziął głęboki wdech, westchnął, podrapał się po brodzie, potarł ziemistą bliznę, która przecinała grzbiet jego krzywego, dwa razy złamanego nosa, i poszukał sił, żeby

odpowiedzieć. Na własny użytek nazywał to post-Caine'ową sraczką: rozdygotanie i zjazd jak po kokainie, co zawsze czuł, gdy wracał na Ziemię i znowu musiał być Harim Michaelsonem. Nawet dzisiejszy dzień – chociaż to nie była prawdziwa Przygoda, tylko nagranie sprzed trzech lat – wystarczył, żeby znowu się tak poczuł.

Bądźmy szczerzy: chodziło o coś więcej niż tylko post-Caine'owa sraczka. Miał w brzuchu skwierczącą dziurę – jakby połknął kwas, który teraz przegryzał mu się przez skórę na zewnątrz, dokładnie tam, gdzie miecz Bystrzaka zostawił bliznę na jego wątrobie. Dlaczego właśnie ten sześcian ze wszystkich przygód Caine'a? Co, na Boga, Vilo sobie myślał?

Sprowadzić go tutaj i kazać mu znowu przejść przez część *Slugi cesarstwa* – choćby niewielką – było niezwykle wyrafinowanym okrucieństwem, cytryną wyciśniętą do już posypanej solą rany. To go gryzło, wyżerało mu dziurę w trzewiach jak cholerny szczur.

Przez większość czasu potrafił się oszukiwać, udawać, że to nie boli tak naprawdę, że paląca pustka w piersi pojawiająca się za każdym razem, gdy myślał o Shannie, to tylko niestrawność, zwykły wrzód. Przez większość czasu potrafił sobie wmówić, że ból promieniuje z dziury w brzuchu, a nie z pustki w jego życiu. Nabral wprawdy w oszukiwaniu samego siebie: już od wielu miesięcy wierzył, że przeboleł jej stratę.

Chrzanić to, w końcu ćwiczenie czyni mistrza, nie?

– Hari? – Vilo pochylił się w fotelu, a w jego głosie pojawiło się niebezpieczne zniecierpliwienie. – Wszyscy na ciebie czekają, młody. Dawaj.

– To nielegalne, Biznesmenie. To nielegalna technika – zdołał wykrztusić Hari.

Przedstawicielkę Motoroli zatkało, jak panienkę z nadkasty na widok ekshibicjonisty.

– Zapewniam was, osobiście zapewniam obu panów, że ta technika została opracowana w pełni niezależnie...

Vilo tylko machnął ręką, przerywając dziewczynie i zostawiając smużkę dymu z cygara – grubego, czarnego ConCristo, prawie tak wielkiego jak on sam.

– Do diabła, Hari, wiem, że to nielegalne. Czy ja wyglądam na idiotę? Chciałem tylko wiedzieć, czy to się do czegoś nadaje.

Marc Vilo był drobnym narwanym kogucikiem o szpakowatych włosach, aroganckim skurwielem po sześćdziesiątce, krzywonogim głównym akcjonariuszem Vilo Intercontinental, znanej w całym świecie firmy transportowej. Sam wywalczył sobie awans do nadkasty Biznesmenów. Był panem i władcą rozległej posiadłości u stóp pasma Sangre de Cristo i Patronem Aktora-supergwiazdy, jak powszechnie mówiono o Cainie.

– Czy się nadaje? – Hari z westchnieniem wzruszył ramionami. Po co się spierać? – Pewnie. Prawie jakbyś tam był naprawdę. – Odwrócił się do przedstawicielki Motoroli. – Wasz podajnik neurochemiczny... to fałszywka, nie?

Przedstawicielka mruknęła coś, ale Hari przerwał jej zmęczonym tonem:

– Dobra, zamknij się.

Naprawdę się cieszył, że przedstawicielka Motoroli to idiotka. Dzięki temu miał się na czym skupić, zamiast koncentrować się na lodowatej urazie, którą widział w oczach Shanny za każdym razem, gdy wyobrażał sobie jej twarz. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz zdołał choćby wyobrazić sobie jej uśmiech.

„Skup się na interesach, do cholery”, warknął do siebie w myślach.

Odwrócił się do Vilo i spróbował wykrzesać trochę życia w swoich słowach, prostując obolałe ramiona:

– Nie daj się robić w konia, Biznesmenie. Ten cały pomysł z kwadratem wyjścia... Jak oni to nazywają? Synchro-mruganie?

Przedstawicielka Motoroli uśmiechnęła się do niego pustym, zawodowym uśmiechem.

– To tylko jedna z wielu wysoce zaawansowanych właściwości, dzięki którym jest dziś najlepszą rzeczą rynku.

Hari ją zignorował.

– No więc wykorzystujesz odruch mrugania, żeby wyjść z programu – ciągnął. – Zero mechaniki. To działa na zasadzie sprzężenia zwrotnego z induktorami. Ta technologia w całości należy do Studia, a Studio traktuje takie sprawy poważnie. Podajnik neurochemiczny to tylko kamuflaż. Nie przechodzi przez niego nic poza hipnotykami, i to w niewielkich ilościach, skoro już musisz wiedzieć. Schrzanili sprawę koncertowo. Odgrywają wszystkie wrażenia w ten sam sposób, jak Studio na fotelach bezpośrednich: przez bezpośrednią indukcję neuronową. I w dodatku za mocno ją podkreśli. Ten zapach, po tym, jak odciąłem głowę Toa-Phelathona? Prawdziwa krew nie jedzie aż tak mocno. Podbili poziom adrenaliny tak, że ledwie mogłem oddychać. No i wreszcie ten miecz w brzuchu: bolało naprawdę za mocno.

– Ale... ale, Komediancie Michaelson... – zająknęła się przedstawicielka, rzucając asystentowi szybkie, zaniepokojone spojrzenie. – Musimy zadbać, by to było wiarygodne, no wie pan, mam na myśli...

Hari podniósł się powoli. Post-Caine’owa sraczka sprawiła, że ciało miał wiotkie, jakby pozbawione kości, i tylko nadzwyczajne skupienie pozwalało mu utrzymać głowę prosto, ale w głosie i lodowatej ciemności jego oczu pojawiło się coś z groźby w stylu Caine’a.

Uniósł tunikę i pokazał brązowe, bliźniacze blizny, z przodu i z tyłu, tuż pod żebrami, gdzie niecałe trzy lata temu miecz Bystrzaka przeciął mu wątrobę.

– Widzisz to? Chcesz dotknąć? No i kto wie lepiej? Ty?

– Jezu Chryste, Hari, nie bądź takim dupkiem – zachnął się Vilo. Z lekceważeniem machnął cygarem i zwrócił się do przedstawicielki Motoroli: – Nie przejmuj się nim. To nic osobistego, sama rozumiesz. On jest taki wobec wszystkich.

– Mówię ci – odezwał się słabo Hari – pokpili sprawę koncertowo. Gdyby ten przejeżdżający po żebrach miecz zadał mi tyle samo bólu wtedy, kiedy to działało się naprawdę, przez kilka sekund byłbym w szoku. Przy takim bólu niewiele można zrobić, tylko

jęczeć albo krzyczeć, wić się albo zemdleć. Ten biedny leszczyk, strażnik, zadałby mi następny cios prosto w gardło, kapujesz? – Pokazał Vilo otwartą dłoń i westchnął. – Chcesz zainwestować w prawnie zastrzeżony towar, twoja sprawa. Ale nie sądzę, żebyś chciał współpracować z idiotami, którzy nie potrafią nawet dostroić hełmu indukcyjnego.

– Zero inwestycji – burknął Vilo. – Ja to po prostu kupię, Hari. To jest, jak oni to nazywają, prototyp. Nawet taki dinozaur jak Motorola nie wypuści na rynek produktu, który jest piracką kopią efektów wypracowanych w Studiu. Chcę po prostu mieć jedno takie ustrojstwo, żeby przeglądać sześciany w wolnym czasie, zamiast tracić po dwa tygodnie na leżance bezpośredniej.

– Jak uważasz. Rób, co chcesz.

– Hari... – zaczął łagodnie Vilo, wkładając cygaro do kącika ust. – Zachowuj się.

Subtelny chłód wypełnił ciszę, która zapadła po tym napomnieniu, wystarczający, żeby przedstawicielka i asystent przelotnie spojrzeli po sobie, ale nie dość dojmujący, by ktoś zdrzął. Vilo beznamyślnie skinął głową w stronę przedstawicieli, jakby mówił: „Synu, zachowuj się w towarzystwie jak należy”.

Hari ponuro zwiesił głowę.

– Przepraszam, Biznesmenie – mruknął. – Przegiąłem. Ale mam jeszcze jedno pytanie, za pozwoleniem.

Vilo skinął głową, a Hari odwrócił się do kobiety od Motoroli.

– Ten sześcian... to nie jest standardowe nagranie ze Studia. Nie może być. Standardowe sześciany nie zawierają danych węchowych ani dotykowo-bólowych. I nie wierzę, żeby wasze induktory potrafiły zbierać informacje z kanału neurochemicznego i wyrównywać opóźnienie, dostosowywać dawkę i tak dalej. Macie skądś nielegalną kopię oryginalnego nagrania?

Przedstawicielka Motoroli posłała mu swój najlepszy oficjalny uśmiech i odpowiedziała:

– Obawiam, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Ale, jak to gwarantujemy w umowie zakupu, Biznesmen Vilo otrzyma sześciany stosowne do wyposażenia...

– Dość tego – rzucił z odrazą Hari. Odwrócił się do Vilo. – Słuchaj, to jest tak. Ci idioci mają swojego idiotę w laboratoriach Studia, który załatwia im nielegalne kopie. To oznacza, po pierwsze, że najprawdopodobniej dostaniesz wersję przed montażem. Dwutygodniowa Przygoda będzie w tym fotelu trwała dwa tygodnie, tak jakbyś siedział w Cavei na leżance bezpośredniej, tylko że gorzej. Ten fotel nie ma układów reagujących na skurcze, komfołączy ani systemu wewnętrznego karmienia. Po drugie, będą stale dostarczać ci nowe kopie. Zostaną zapisy z systematycznych dostaw i któregoś dnia złapią tego idiotę. Zanim go scyborgizują i zrobią z niego Fizola, gliniarze Studia wycisną z niego wystarczająco dużo, żeby rozgryźć całą siatkę, którą przekażą swoim kumplom w rządzie. A to nie będą przyjaźni i uprzejmi goście z WK, którzy grzecznie zapukają do twoich drzwi, bo to już nie będzie pogwałcenie techniczne. Od tego momentu będzie już chodzić o własność intelektualną i

pogwałcenie praw autorskich i nagle staniesz twarzą w twarz z Policją Społeczną. A nawet ty nie chciałbyś podpaść pospółom.

Vilo znowu rozparł się na fotelu, moszcząc głowę na żelowym zagłówku. Wypuścił kilka okrągłych jak kapelusiki grzybów kłębow dymu i ponownie usiadł prosto. W kąciach oczu zarysowały mu się kurze łapki, gdy się uśmiechnął.

– Hari, nadal myślisz jak kryminalista, wiesz o tym? Minęło dwadzieścia lat, a w głębi serca ciągle jesteś cwaniakiem z ulicy.

Hari uśmiechnął się chmurnie. Nie wiedział, co to miało znaczyć, i nie miał ochoty pytać.

– Może pójdziesz na górę nad basen i napijesz się czegoś, a ja tu wszystko załatwię, co? – ciągnął Vilo.

Był taki czas, kiedy Hari uznałby za policzek to, że odprawiono go jak dzieciaka, jak pieprzonego smarkacza. Teraz ów fakt budził w nim tylko puste zdumienie, że nadal dba o swoje interesy, że nadal żyje, jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie.

Ale to była tylko gra, tylko pusty pozór, jak sam Caine.

Bez Shanny świat był jałowy i Hari nie potrafił się zmusić, żeby czymkolwiek się przejąć.

Skinął głową.

– Jasne. Do zobaczenia na górze.

### 3

Hari krążył po osłonecznionych skałach otaczających lśniący basen i zasilające go dwa bliźniacze wodospady. Basen to było prawdziwe dzieło sztuki – jedynie słaby zapaszek chloru i nurtujące przekonanie, że natura nie zaaranżowałaby skał i wody z taką troską o wygodę człowieka, zdradzały, że to sztuczny twór.

Spacerował w tę i z powrotem, siadał, wstawał. Raz, może dwa ruszył w stronę porośniętej krzewinkami pustyni, gdzie wiatr unosił kłęby piachu i ciągnęły się jałowe hałdy żużlu i odpadów z okolicznych kopalni. Za każdym razem zatrzymywał się na obrzeżach sztucznej oazy Vilo, zawracał i znowu zaczynał chodzić w kółko. Na toksyczne osady gapił się ze swego rodzaju nostalgią. Wyobrażał sobie siebie, jak idzie między hałdami aż do martwych skał gór. Nie bardzo wiedział, czy biwakowanie wśród toksycznych odpadów poprawiłoby mu samopoczucie, ale był przekonany, że na pewno nie poczułby się gorzej.

„Spokojnie”, powtarzał sobie raz za razem. „Przecież ona wcale nie umarła”.

Za każdym razem mroczny szept w sercu odpowiadał mu, że może lepiej byłoby dla niego, gdyby umarła. Albo gdyby on nie żył.

Po jej śmierci mógłby zacząć leczyć rany, po własnej znalazłby się poza zasięgiem bólu.

Do cholery, co zajmowało Vilo tyle czasu?

Hari nie cierpiał czekać. Nie miał nic do roboty – mógł tylko stać i myśleć – a w jego

życiu było zbyt wiele rzeczy, o których nie był w stanie myśleć.

Rozejrzał się za czymś – czymkolwiek – na czym mógłby skupić uwagę. Spojrzał na ścianę sztucznego klifu, z którego spadały do basenu wodospady, zastanawiając się, czy wspinaczka po pięćdziesięciometrowym śliskim od wody urwisku zdołałaby oderwać jego myśli od Shanny.

Taką taktykę wypracował sobie od czasu separacji: stale mieć zajęcie. Skupiać się na różnych rzeczach. Nie myśleć. To była dobra taktyka, naprawdę skuteczna, sprawdzała się z dnia na dzień. Czasem mijały godziny, dni, a nawet tydzień, w czasie którego prawie o niej nie myślał.

Zawsze był lepszym taktykiem niż strategiem. Wygrywał każdą bitwę, ale w takie dni jak dzisiaj doskonale zdawał sobie sprawę, że przegrywa wojnę.

Nawet wspinaczka na ten chrzaniony wodospad nic by nie pomogła. Doświadczonym okiem dostrzegł niezliczone podpórki dla rąk i stóp, które z pewnością umieszczono tam celowo. Klif zaprojektowano do wspinaczek – wszedłby po nim z większą łatwością niż wielu innych mężczyzn weszłoby nań po drabinie.

Zdegustowany pokręcił głową.

– Ej, Caine! – zawołała jedna z dziewczyn pływających w sztucznej sadzawce. – Nie chciałbyś się zabawić?

Dwie z wszechobecnych dziewczyn do towarzystwa zatrudnianych przez Vilo Intercontinental pływały w basenie, pluskały się i wzajemnie podtapiały. Długonogie, smukłe, wysportowane, o idealnych zębach i jeszcze lepszych piersiach; dziewczyny, których rola sprowadzała się do bycia pod ręką dla gości Biznesmena Vilo. Obie były oszałamiająco piękne. Uroda prosto spod skalpela to premia za pięcioletnie usługi. Potem mogą szukać szczęścia gdzie indziej. Bawiły się teraz na użytek Hariego, dbając o to, by co rusz błysnąć zgrabnym udem albo pupą, z wdziękiem wyginać gibkie plecy i wypinać sterczące sutki. Gdyby to nie było aż tak wyrachowane, może nawet uznałby to za pociągające.

Teraz ta, która go wołała, prześlizgnęła się za drugą i objęła ją. W jednej dłoni zamknęła jej pierś, a drugą wsunęła pod wodę w kierunku jej krocza. Wygięła smukłą szyję, żeby pocałować partnerkę w ramię, cały czas przy tym zapraszając go spojrzeniem.

Hari westchnął. Pewnie mógłby wskoczyć do wody. Pieprzenie się z dwiema dziewczynami do towarzystwa byłoby przynajmniej w jakimś stopniu uczciwe. W przeciwieństwie do napalonych na gwiazdy kobiet, które pchały się do niego gdziekolwiek się ruszył, te dziewczyny były profesjonalistkami. Żadnego udawania, że im zależy na nim, ani że jemu na nich.

Kilka lat temu na pewno by to zrobił. Ale teraz, na późnym etapie życia, po tym jak wreszcie znalazł kogoś, kto go pokochał i kogo on pokochał, kto nadał prawdziwy sens określeniu „kochać się z kimś”, już nie mógł. Nie potrafił nawet wskrzesić w sobie zainteresowania. Dmuchanie tych dziewczyn byłoby jak wsadzenie fiuta do dziury po sęku –

skomplikowana i nieco bolesna metoda masturbacji.

Służący w kamizelce i jedwabnym pasie stanął obok niego i podsunął mu tacę ze szkocką.

– Laphroaig, prawda?

Hari pokiwał głową i wziął szklaneczkę.

– Ehm... Caine?

Hari westchnął.

– Mów mi Hari, dobrze? Wszyscy zapominają, że mam imię.

– Och, jasne, eee... Hari. Chciałem tylko powiedzieć, że, no wiesz, jestem twoim wielkim fanem, i nawet, ehm, no wiesz... ach, mniejsza z tym.

– W porządku.

Ale służący – Hariemu wydawało się, że ma na imię Andre – nadal kręcił się koło niego wyczekująco. Hari sączył szkocką i przypatrywał się pływającym dziewczynom.

Służący odkaszlnął i odezwał się:

– Oczywiście mam tylko sześciany z twoimi kawałkami. Tylko raz byłem na bezpośrednim, kilka lat temu, kiedy Biznesmen Vilo zabrał kilkoro nas na wakacje. To było lekkie wariactwo, chociaż, no wiesz, nie wzięliśmy ciebie, bo to naprawdę strasznie dużo kosztuje, ale takiego gościa... nazywał się Yoturei Widmo. Pamiętasz go?

– A powinienem? – zapytał znudzony Hari.

Dlaczego ludzie myślą, że wszyscy Aktorzy się znają?

– No tak... To znaczy... Sam nie wiem. Zabiłeś mnie. Znaczy jego. W Kolonii w Ankhanie.

– A, tak. – Hari wzruszył ramionami, przypominając sobie awanturę w Studiu, kiedy przetransferował się z powrotem po Przygodzie. – Śledził mnie dzień albo dwa, nim go złapałem. Do cholery, skąd miałem wiedzieć, że ten dzieciak to Aktor? Powinien mieć dość rozumu, żeby nie wchodzić mi w drogę.

– Nawet nie pamiętałeś?

– Zabijam mnóstwo ludzi.

– Jezu. – Służący pochylił się konspiracyjnie i zalecało od niego czerwonym winem, które dodało mu odwagi, żeby dalej mówić. – Czasem nawet marzę, żeby być tobą... To znaczy Caine'em, wiesz?

Hari zaśmiał się chrapliwie.

– Aha, ja czasem też.

Służący zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

Hari napił się jeszcze. Uznał, że nawet bzdurna gadanina z wielbicielem jest lepsza od stania sam na sam z własnymi myślami.

– Caine i ja nie jesteśmy tą samą osobą. Ja dorastałem w slumsach robotniczych w San Francisco, a Caine to podrzutek z Nadświata. Wychowywał go pathquański wyzwolenc,

kował. Nim skończyłem dwanaście lat, włamywałem się do domów, bo byłem za mały, żeby napadać na ludzi. Kiedy Caine miał dwanaście lat, sprzedano go do lipkeńskiej niewoli, bo cała jego rodzina przymierała z niedostatku w czasie Krwawego Głodu.

– Ale to wszystko na niby, nie?

Hari wzruszył ramionami i rozsiadł się wygodnie na skałach.

– Kiedy jestem w Nadświecie jako Caine, wydaje mi się to wystarczająco prawdziwe. Człowiek uczy się w to wierzyć. Nadświat to inne miejsce. Caine może robić rzeczy, których ja nie potrafię. Nie twierdzę, że jest czarodziejem, ale zasady są podobne. Jest szybszy, silniejszy, bardziej okrutny i może nie aż tak bystry. To chyba jak magja. Wyobraźnia i siła woli: sprawiasz, że sam w to wierzysz.

– To tak działa magja? Bo nie bardzo łąpię, ale ty...

– Ja też nie – rzucił cierpko Hari. – Czarodzieje są szaleni. W pewnym sensie halucynują na żądanie... ech, sam nie wiem. Któregoś razu zalicz bezpośrednio jednego takiego. To naprawdę popierdolone regularne świry.

– W takim razie, ehm... – Służący zaśmiał się prostacko. – To w takim razie dlaczego z kimś takim się ożeniłeś?

Zawsze jakimś cudem wszystko sprowadza się do Shanny.

Dopił szkocką, z trudem ją przełykając, westchnął i błyskawicznym ruchem nadgarstka cisnął szklanką nad basenem. Roztrzaskała się na skałach po drugiej stronie, a lśniący kryształ powtórzył echem tęczę w mgiełce wodnej wodospadu.

– Może lepiej pójdziesz to pozamiatać? Zanim wróci Biznesmen.

– Jezu, Caine, nie chciałem...

– Zapomnij. – Hari rozparł się na skałach i zasłonił przedramieniem oczy. – Idź posprzątać.

Kiedy tak leżał, mógł myśleć tylko o *Śłudze cesarstwa*. Prawie czuł kolana Shanny pod głową, prawie wyczuwał delikatny piżmowy zapach jej skóry, niemal słyszał, jak szepcze mu, że go kocha, że musi żyć.

Najszczęśliwszy sen, jaki potrafił przywołać na skałach obok basenu Marca Vilo, opowiadał o tym, jak leżał na obesranym bruku zaułka w Ankhanie i wykrawiał się na śmierć.

Na jego twarz padł cień, i to go obudziło.

Serce mu zabiło mocniej, zerwał się, przesłaniając oczy przed słońcem, ledwie łapiąc oddech...

Nad nim stał Vilo w słonecznej aureoli.

– Jadę do Frisco. Chodź, Hari, podrzucę cię do domu.



Rollsem szarpnęło lekko w chwili wejścia na automatyczny pas ruchu. Vilo odpiął pasy pilota, przeszedł do salonu dla pasażerów i nalał sobie solidną porcję metakxy. Wypił jedną trzecią haustem i siadł na kanapie, która stała pod kątem do sofy, na której usadowił się Hari.

– Hari, chcę, żebyś wrócił do Shanny – powiedział.

Długie lata praktyki w kontaktach z nadkastowymi pozwoliły Hariemu zachować kamienną twarz. Przewidywał to i myślał, że jest gotowy, ale skwierczący żar w piersi uświadomił mu, że nigdy nie byłby na to gotowy.

Zupełnie jakby jakimś cudem znajdowała się wszędzie wokół niego. Jakby nie mógł obrócić głowy, żeby nie zobaczyć czegoś, co o niej przypominało. Jakby każde słowo wypowiedane w jego obecności było jakimś szyderczym przypomnieniem, że starał się, ale nie podołał, że ostatecznie okazał się dla niej nie dość dobry.

Wyjrzał przez jedno z dużych okien rollsa, z których roztaczał się widok na ośnieżone szczyty Gór Skalistych, przesuujące się daleko w dole.

– Już to przerabialiśmy – odparł zmęczonym głosem.

– Tak, zgadza się. I nie chcę znowu do tego wracać, jasne? Masz załagodzić sprawę, nie żartuję.

Hari bez słowa pokręcił głową. Spojrzał w dół na swoje dłonie wciśnięte między kolana, jakby był markotnym dzieciakiem, i nagle wyłamał palce, wyginając dłonie tak mocno, że aż zabolowały go stawy.

– Mogę się czegoś napić?

– W porządku. Częstuj się – odparł Vilo.

Hari podszedł do barku i stanął plecami do Patrona, udając, że przegląda wystawione alkohole. W końcu nacisnął kod na chybił trafił, a dozownik zawirował, zamruczał i beknął jakąś cuchnącą, karmazynową mrożoną miksturą z owocami – tym samym zakończyła się taktyka gry na zwłokę. Upił łyk i skrzywił się.

– Na czym właściwie polega twój problem? – zapytał Vilo. – Chyba już trzeci raz ci powtarzam, prosto z mostu i bez owijania w bawełnę, że chcę, abyście wrócili do siebie. Więc skąd ta zwłoka?

Hari pokręcił głową.

– To nie takie proste.

– Nie chrzań. Pozwoliłem ci ożenić się z nią tylko dlatego, że dobrze wpłynęła na twój wizerunek. I mój. Musiałem nieco złagodzić swój image, żeby się zbliżyć do Shermai Dole. Trochę się boi sprzedać mi GFT.

Dole'owie to rodzina Uprzywilejowanych, ale Shermaya lubiła paruć się od czasu do czasu Inwestycjami i czasem Biznesem; sponsorowała kilkoro Aktorów, w tym – w głównej mierze – Shannę.

Vilo pociągnął spory łyk brandy i zamyślił się.

– Green Fields Technologies... – zaczął. – Już od pięciu lat próbuję przerzucić się na

rolnictwo, a GFT ma jakieś sztuczne cholerstwo, dzięki któremu moglibyśmy odzyskać pod uprawę pustynię Kannebraska. Ale Dole martwi się o Robotników i Rzemieślników z GFT; już prawie ją przekonałem, że nie zrobię żadnej redukcji po przejściu. Głupia suka. W każdym razie rozmawiałem z nią o Shannie i powiedziała, że nie będzie naciskała na pojednanie. Wydumała sobie, żeby pozwolić wam dwojgu samym uporządkować to szambo. Ja mówię: pieprzyć to. Dole to cipuchna o miękkim sercu. Waha się. Załatwię twój powrót do Shanny, to może dobijemy targu. Więc zajmij się tym.

– To ona ode mnie odeszła, Biznesmenie – mruknął Hari i znowu zaskoczył go nagły ból po tych słowach. To zawsze go zaskakiwało, za każdym razem. – Niewiele mogę zrobić.

– Co ją ugryzło w dupę, do cholery? – warknął Vilo. – Pewnie jest z pięć miliardów kobiet, które sprzedałyby cycki i jajniki, żeby spędzić z tobą jedną noc! Jezu Chryste!

– Noce nie stanowią problemu.

Biznesmen zaśmiał się grubiańsko.

– Założę się.

Hari zagapił się na karmazynową piankę na drinku.

– Ona, ech... Cholera. Nie wiem. Chyba myślała, że trochę bardziej różnię się od Caine'a. To było... – Wziął głęboki wdech. – Wszystko zaczęło się od sprawy z Toa-Phelathonem, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć.

Vilo pokiwał głową.

– Wiem. To dlatego wybrałem na dziś do przesłuchania właśnie ten sześcian.

Hari zeszywniał, a mięśnie szczęk nagle aż mu się wybrzuszyły.

– Zostawiła cię, bo jesteś dupkiem – powiedział Vilo, szturchając go palcem w pierś. – Zostawiła cię, bo nie mogła znieść życia z niebezpiecznym gnojkiem, przez którego była traktowana jak śmieć.

Hariemu pojawiła się czerwona mgiełka przed oczami.

– Nigdy... – Zapanował nad złością i dokończył: – Nie chodziło o to, jak ją traktowałem. Traktowałem ją jak królową.

Szklanka zadrżała mu w ręku i trochę drinka wylało się na dywan w rollsie. Rosnąca plama wyglądała jak krew.

Vilo podążył za jego wzrokiem i parsknął.

– Później posprzątasz. Na razie nie skończyłem z tobą rozmawiać. – Dopił brandy i pochylił się ku Hariemu. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, gdy ściągnął brwi. – Wiem, że jesteś trochę nakręcony, ale posłuchaj mnie. Chcę, żebyście wrócili do siebie z Shanną, i nie wywijaj mi tu żadnych kurewskich numerów. Masz zrobić, co trzeba. Jeśli uważa, że jesteś za bardzo... Mniejsza o szczegóły... to masz być mniej, do diabła. Jasne? Nie obchodzi mnie, co będziesz musiał zrobić. Po prostu zrób to.

– Biznesmenie...

– Nie czaruj mnie, Michaelson. Dałem ci już dość luzu. Dałem ci popyskować,

pozwoleń ci pograć ogiera przed ludźmi i dałem ci forsy jak lodu. Teraz zaczniesz mi się odplacać. A jeśli nie będziesz miał ochoty, to pamiętaj, że nie jesteś jedynym skurwysyńskim Aktorem pracującym dla VI.

Vilo opadł na oparcie i dał Hariemu przemyśleć sprawę.

Od napięcia w karku Hariemu dzwoniło w uszach. Powoli, ostrożnie odstawił szklankę na bar, przez cały czas obserwując swoją rękę. Potem równie wolno i ostrożnie odwrócił się do Patrona i powiedział bardzo cichym i bardzo opanowanym głosem:

– Tak, Biznesmenie. W porządku.

## 5

Hari stał przy wysokim ogrodzeniu z siatki, otaczającym trawiasty dziedziniec za Opactwem, i patrzył, jak Vilo zgrabnie unosi rollsa z trawnika; turboogniwa pojazdu obróciły się do pozycji lotu, nim minął drzewa. Hari zmrużył oczy przed podmuchem, ale z szacunkiem nie ruszył się z miejsca, dopóki rolls nie zanurzył się w gęste, kłębiące się nad San Francisco chmury, które teraz odbijały krwistą poświatę ruchu ulicznego w mieście poniżej.

Podszedł do szerokich drzwi z pancerszkłą, prowadzących do oranżerii, a Opactwo powiedziało do niego:

– Witaj, Hari. Masz czternaście wiadomości.

Meble w oranżerii stanowiły przepięknie dobrany zestaw antyków z giętego drewna; Hari szedł przez pokój niepewnie, niczego nie dotykając. Światła w salonie zabłyśły, gdy zbliżył się do drzwi.

– Opactwo: zapytanie. Wiadomości od Shanny?

– Nie, Hari. Mam odtworzyć wiadomości?

Głos podążał za nim. Domokomp zgrał dźwięk z maleńkich głośników umieszczonych w każdej ścianie tak, aby głos Opactwa rozbrzmiewał cicho tuż zza lewego ramienia Hariego. Shanna zawsze uważała, że to przyprawia człowieka o dreszcze; nigdy nie lubiła rozmawiać z domem i zamęczała Hariego, żeby to zmienił, aż któregoś dnia prawie skoczyli sobie z tego powodu do oczu.

Westchnął. Zatrzymał się na posadzce z marmuru z różowymi żyłkami, we frontowym holu, i spojrzał w górę na szerokie, puste schody, które wznosiły się do loggii na piętrze.

– W porządku. Opactwo: odtwórz wiadomości.

Najbliższy monitor ścienny – ten obok służbowej windy za schodami – rozświetlił się. Hari nie widział twarzy, gdy się odwrócił i szedł po schodach, ale rozpoznał głos – pełne szacunku jojczenie jego adwokata. Chociaż jako Pracownicy należeli do tej samej kasty, prawnik z uporem mu się podlizywał. Komedianci teoretycznie mieli pewne pierwszeństwo

przed Prawnikami.

Kiedy szedł przez dźwięczące echem korytarze Opactwa, kolejne monitory gasły, gdy je mijał, a następne włączały się przed nim; wszystkie ukazywały spoconą twarz adwokata, który tłumaczył, że petycja Hariego z prośbą o awans do kasty Administracji została odrzucona. Ponownie. Prawnik uważał, że to Studio go blokuje, ponieważ Caine nadal był bardzo popularny, odejście Hariego od Aktorstwa i przejście na emeryturę oznaczałoby znaczące koszty i tak dalej, i tak dalej.

Poszedł do siłowni, zdjął garnitur Pracownika i zrzucił buty. Nie był specjalnie zainteresowany tym, co jego adwokat miał mu do powiedzenia. W gruncie rzeczy i tak nie spodziewał się awansu. Druga wiadomość od adwokata dotyczyła prośby Hariego o odwołanie się od wyroku dla ojca za podburzanie, która także została odrzucona. Ponownie.

Pozostałe wiadomości były jeszcze mniej istotne, począwszy od lokalnego Trybunału Pracowników, proszącego o poparcie w nadchodzących wyborach, a skończywszy na ośmiu błagalnych wiadomościach od różnych organizacji charytatywnych, przeplatanych prośbami o występ w kilku magazynach sieciowych i udzielenie wywiadów. Zanotował sobie w pamięci, żeby zmodernizować podprogram sekretarki Opactwa i wprowadzić funkcję streszczania. To będzie potwornie drogie – wszystkie funkcje SI dużo kosztowały – ale warto, jeśli dzięki temu nie będzie musiał słuchać tego biadolenia i znosić szczerych, pełnych zapachu szczenięcych spojrzeń.

Wiele czasu w domu spędzał właśnie tutaj, w siłowni. Pokoje do ćwiczeń i bieżnia okalająca piętro Opactwa były jedynymi miejscami, które nie zostały urządzone pod kierunkiem Shanny. Wszędzie indziej we własnym pustym domu czuł się jak gość.

Ubrany tylko w szorty zaczął trenować z żelworkiem. Nawet nie włożył rękawic ani ochraniaczy na nogi. Im mocniej uderzał, tym sztywniejszy stawał się worek, aż osiągał mniej więcej wytrzymałość ludzkich kości, a wtedy przy uderzeniach zapadał się z głośnym trzaskiem. Na długo przed tym, nim Hari pozbył się napięcia wynikającego z frustracji i gniewu, który gotował mu się pod żebrami, każdy jego cios zagłębiał się w żel z przyjemnym trzaskiem, który brzmiał całkiem jakby łamano człowiekowi kark.

Wreszcie jego ramiona powoli się rozluźniły, a ciało rozgrzało – z bolesną powolnością, która brutalnie przypominała mu o zbliżających się czterdziestych urodzinach. Wtedy zaczął uderzać jeszcze mocniej. Po chwili już ledwo widział worek; przesuwające się obrazy z zabójstwa Toa-Phelathona bawiły się w berka przed jego oczami.

To było jedno z zabójstw Caine'a, które zostały z nim na zawsze; wisiało mu nad głową jak gość z nadkasty: choćbyś nie wiadomo jak bardzo miał go dość, nie możesz go spławić.

Nawet nie mógł za to winić Studia. Caine przyjął tę robotę, zgodził się na zlecenie Klasztorów, chociaż Studio powiedziało, że bardziej skłania się ku wojnie między Cesarstwem Ankhańskim i Lipke – wojny w Nadświecie nakręcały interes, stanowiły niezwykle żyzne pole do popisu dla młodych Aktorów, którzy musieli zapracować na sławę.

Hari poszedł do Rady Planowej Studia osobiście forsować pomysł zamachu. Obstawał przy tym, że zabicie księcia regenta osłabi federalny feudalizm Ankhany; upierał się, że wojny domowe są o wiele krwawsze i o niebo bardziej gorzkie od jakichkolwiek wojen między cesarstwami po dwóch stronach Wododziału Kontynentalnego.

Nigdy nie chciał, żeby się okazało, że miał absolutną rację.

Rozlew krwi, który nastąpił, gdy różni Książęta Gabinetu rzucili się do wyścigu o władzę i zaczęli wyrzynać wzajemnie swoich popleczników, był przerażający nawet jak na standardy Nadświata. Biedna, przerażona Mała Królowa Tel-Tamarantha, którą Toa-Phelathon zastępował na tronie w roli regenta, przeżyła wuja raptem o kilka godzin. Żaden z zabiegających o władzę książąt nie mógł ryzykować, że ktoś inny uzyska nad nią kontrolę, więc pierwszą ofiarą Wojny o Sukcesję była piękna, ciut nierozgarnięta dziewięciolatka.

Ostatnio, kiedy uderzał w żelworek pięścią, łokciem albo golenią, zdarzało się, że to swoją twarz wyobrażał sobie zamiast worka, że właśnie swój kark miał ochotę przetrącić.

*Sluga cesarstwa* był Przygodą jak na Caine'a niezwykłą, niemal jedyną w swoim rodzaju. Pomimo swej reputacji rzadko mordował swoje cele w sposób tak bezpardonowy, z zimną krwią. Publiczność tego nie lubiła. Chcieli więcej akcji, więcej ryzyka, niektórzy nieliczni lubili nawet uczciwą walkę. Morderstwo księcia regenta nadal chętnie wypożyczano – chociaż minęły już trzy lata – głównie z powodu nadzwyczajnej przemocy użytej podczas ucieczki Caine'a z pałacu. Oprócz dwóch strażników, majordomusa i księcia regenta zabił jeszcze czterech mężczyzn i jedną kobietę, w sumie dziewięć osób. Poza tym niemal sam umarł, a narastająca desperacja w czasie ucieczki z pałacu Colhari, kiedy z trudem zachowywał przytomność, dodawała Przygodzie dreszczyku.

Gdyby był tym, kogo udawał, mieszkańcem Nadświata, zginąłby tamtego dnia. Nawet najnowocześniejsza technika medyczna w szpitalu Studia ledwo zdołała ocalić mu życie po awaryjnym transferze na Ziemię. Dowlekl się do zaułka w Starym Mieście Ankhany i zrobiło mu się ciemno przed oczami; był już pewny, że Studio zostawi go tam, pozwoli mu wykrwawić się na śmierć, bo nie dotarł do wyznaczonego punktu transferu.

Wyjątek, który dla niego uczyniono, zatwierdzono na najwyższym szczeblu; inaczej być nie mogło. Nikt poniżej Rady Zarządców w Genewie nie mógł podjąć takiej decyzji. Arturo Kollberg, przewodniczący Studia w San Francisco osobiście przedłożył prośbę. Kiedy poparł ją prezes Studia, Turner, Rada w końcu zgodziła się na awaryjny transfer, który uratował mu życie.

Awaryjne transfery zdarzają się rzadziej niż diamenty bez skazy. W końcu, gdzie jest napięcie, jeśli Aktora można ściągnąć z powrotem na Ziemię w dowolnym momencie, kiedy tylko wpakuje się w poważne kłopoty? Nawet gwiazdy wielkości Caine'a giną od czasu do czasu; to dzięki temu amatorzy leżanek bezpośrednich wracają do Studia. Nigdy nie wiesz, czy Przygoda, którą właśnie przechodzisz, nie będzie ostatnią Przygodą tego Aktora. Inwestorów i Uprzywilejowanych, którzy stanowią większość widowni bezpośredniej,

najbardziej kręci możliwość podłączenia się do gwiazdy pierwszej wielkości w Przygodzie, w której ginie, i to w czasie rzeczywistym, żeby widzieć to, co ona widzi, i czuć, jak ucieka z niej życie, jakby to było ich własne ciało.

Więc tam właśnie leżał, pośród szmat i resztek jedzenia, krew tryskała mu spomiędzy palców na obesrany bruk ankhańskiego zaułka, kiedy cień padł mu na twarz i go otrzeźwił.

Oparł czoło o rozgrzany od ciosów syntetyk żelwotka i objął go rękami, jak wyczerpany bokser, który dąży do zwarcia, żeby utrzymać się na nogach. Wspomnienie pochwyliło go w swoje kły. Potrząsało nim, jak terier potrząsa szczurem, próbując przetrącić mu kark.

Ta zapyziała, ślepa uliczka, cień na jego twarzy... Otworzył oczy i zobaczył nad sobą otoczoną aureolą światła sylwetkę.

Shanna stała nad nim oniemiała z przerażenia.

Przebywała w Ankhanie, prowadząc własną, niezwiązaną z nim Przygodę jako Pallas Ril; Ankhana przed Wojną o Sukcesję była popularnym środowiskiem. Zgiełk w pałacu, krzyki spanikowanej straży, ryk trąbek i desperackie, zmasowane polowanie na ulicach Starego Miasta wabiły Aktorów jak trzydniowy trup przyciąga muchy; wszyscy mieli nadzieję dodać trochę dreszczyku do swoich Przygód drugiego sortu. Spośród setek mężczyzn i kobiet w Ankhanie, którzy szukali go tego ranka, tylko Shanna skreśliła w śmierdzące cienie ślepego zaułka, gdzie leżał, nadal trzymając głowę Toa-Phelathona za pęk zakrwawionych włosów.

Tylko Shanna przyklękła przy nim, ułożyła sobie jego głowę na kolanach i głaskała go po włosach, kiedy świat zniknął przed jego oczu.

Byli małżeństwem niecały rok.

Lepiej by na tym wyszedł, gdyby rzeczywiście zginął tamtego dnia. Ale zamiast tego zatwierdzono awaryjny transfer, chociaż już było niemal za późno, zabierając ich z powrotem do rzeczywistości o wiele zimniejszej od samotnej śmierci w zapyziałym zaułku.

Wrócili na ziemię, do siebie nawzajem.

Wierzyła – kiedy się poznali, kiedy zalecał się do niej, nawet kiedy się pobrali – że Caine to tylko gra. Wierzyła, że gdzieś w głębi duszy, w najdalszych zakamarkach serca, jest dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Wierzyła, że nikt nie dostrzega w nim tego, co ona widzi – aż do tego ranka, kiedy uklękła z jego głową na kolanach.

Gdy spojrzała w dół i ujrzała na bruku głowę starca, leżącą jak porzucona piłka, z poszarpanymi resztkami szyi poniżej krwawych szczątków oka, w końcu zaczęła podejrzewać, że może to ona się myliła, a świat miał rację.

To nie był koniec ich małżeństwa, o nie – to byłoby za proste. Żadne z nich nie poddawało się łatwo. Trzymali się siebie z siłą, jaką chwytą człowieka kostucha, klócili się i godzili, i znowu klócili, wygarniając sobie wszystko, niezależnie od tego, ile ich to kosztowało. To Shanna, zresztą jak zwykle, zrobiła to co właściwe, co mądre, co praktyczne – opuściła go.

Kiedy odeszła, zabrała ze sobą wszystko, co było dobre w jego życiu.

Odepchnął się od żelworka i wymierzył mu kopniaka; worek zwinął się wpół wokół jego nogi jak samochód wokół słupa. Hari złapał worek i walił w niego, jakby chciał go zerwać z linek; uderzał pięściami i zeszywniałymi palcami, łokciami i kolanami, przedramionami i goleniami, palcami stóp i czołem. Ale niezależnie od tego, jak mocno i długo uderzał, nawet nie tknął własnego gniewu. Nie mógł się do niego dorwać, nie w ten sposób. Gniew był jedynie tarczą bólu.

W końcu zadyszany przestał. Nie tego potrzebował. Wiedział, czego mu trzeba.

Musiał wrócić do Nadświata.

Potrzebował pobyc Caine'em.

Musiał – wreszcie, nieuchronnie – zranić kogoś.

I jak zawsze, kiedy nie miał lepszego celu, zwrócił się przeciwko sobie.

– Opactwo: połączenie do Shanny – powiedział. – Tylko z dźwiękiem wychodzącym.

Ekran ścienny rozświetlił się jej twarzą. Delikatny zielonkawy odcień jej piwnych oczu ranił go jak nóż.

Oczywiście połączył się z koszem na wiadomości, bo tak samo jak on nie odbierała osobiście rozmów.

– Cześć – powiedział jej wizerunek; pogodne, wesołe, szczere powitanie. – Jestem Pallas Ril, mag z Przygód. Jestem też Shanną Leighton, Aktorką.

„Shanną Leighton Michaelson”, poprawił ją w myślach Hari.

– Jeśli masz wiadomość dla którejś z nas, mów.

W ustach miał piasek. Mógł się tylko gapić: delikatny kształt jej szyi, zarys szczęki, grube pasma krótko ściętych włosów. Palce go zaświerzbiły na wspomnienie ich miękkości. Gdyby zamknął oczy, teraz, w tej chwili, odtworzyłby każdą linię jej ciała, każdy najdrobniejszy pieprzyk.

„Zmienię się”, powiedział w myślach do jej cyfrowego obrazu. Wiedział, że to beznadziejna sprawa. Być może pomogłaby mu stworzyć pozory na kilka dni, żeby zadowolić Vilo, może nadal zależało jej na nim na tyle, żeby to zrobić, ale nie potrafił poprosić.

Odmowa za bardzo by bolała, a jeszcze bardziej zaboląaby go zgoda.

Twierdziła, i to nie raz, że ich rozstanie było dla niej bolesne. Nie wiedział, czy to prawda. Nie wiedział, czy nadal cierpi tak jak on. Miał nadzieję, że nie.

I teraz stał przed ekranem, a mrowienie w dłoniach i skurcze w piersi mówiły mu, że pragnął tego od dawna. Czekał tylko na pretekst.

Naciski ze strony Vilo dały mu coś, co mógł powiedzieć, a co ukryje przemilczaną prawdę: że niezależnie od tego, jak bardzo próbował udawać, że jest inaczej, w każdej godzinie boleśnie za nią tęsknił. Nie wiedział, co powiedzieć, jak to ująć, żeby nie zabrzmiało zbyt chłodno, żeby nie zabrzmiało jak: „Mój Patron i twoja Patronka postanowili, że powinniśmy być razem”.

Ale musiał coś powiedzieć. Odchrząknął.

– Ehm, Shanna, mówi Hari i...

– Chwileczkę – powiedział obraz i szybko przekształcił się w jej nowy obraz w bogatym, niebiesko-szarym kostiumie z Nadświata, który nosiła jako Pallas Ril. – Gratuluję! Dostałeś się do mojego Pliku Przyjaciół.

Przyjaciół? – pomyślał. Tym teraz jesteśmy?

– Jako komuś należącemu do Pliku Przyjaciół mogę ci powiedzieć, że obecnie jestem w Przygodzie i zamierzam wrócić wieczorem 18 listopada. Nie spodziewaj się, że oddzwonię wcześniej, bo się rozczarujesz.

Hari oklapł. Zapomniał. Dzisiejsza lawina wspomnień całkiem go pochłonęła. Tydzień temu wyruszyła realizować kolejną część Przygody. Skasował rozmowę, uderzając ze znużeniem w przycisk ścienny. Nie było jej na Ziemi. Nie było jej nawet w tym samym Wszechświecie.

Moje życie to krótki skok w głębokie szambo, pomyślał.

## 6

Pisk dobiegający z ekranu dźgnął go w ucho jak nóż. Zerwał się, obracając głowę na wszystkie strony. Pił do rana, siedząc samotnie w pustym domu, i teraz miał zaropiałe oczy. Nie mógł się zorientować, o co chodzi z tym piskiem. Tarł powieki, aż wreszcie zdołał je otworzyć, a tępy ból, który w nich pulsował, sprawił, że Hari poczuł w gardle smak krwi. Jasne światło słoneczne, wlewające się przez okna sypialni, groziło, że rozsadzi mu czaszkę.

Niech to szlag! Która to godzina? Południe?

– Opactwo – wychrypiał. – Polaryzatory. Zmierzch.

– Proszę o przeformułowanie polecenia, Hari.

Odchrząknął, splunął flegmą do kosza pod stolikiem nocnym.

– Opactwo: polaryzacja szyb. Zmierzch.

Kiedy w pokoju stopniowo ciemniało, powiedział, przekrzykując pisk:

– Opactwo: zapytanie. To co za cholerny pisk?!

– Proszę o przefer...

– Dobra, dobra. Opactwo: skasuj słowo „cholerny”. Ponów próbę.

– Ten dźwięk to alarm priorytetowej rozmowy. Sygnalizuje połączenie zakodowane jako „Wyjątkowo pilne”.

– Opactwo: zapytanie. Jaki to kod?

– Kod jest opatrzony etykietą „Przydupas króla pierdolonego Studia”, Hari.

– Cholera. – Wytrząsnął pajęczyny z głowy. „Przydupas króla pierdolonego Studia” to etykieta, jaką nadał Gayle’owi Kellerowi, osobistemu asystentowi Arturo Kollberga, przewodniczącego Studia w San Francisco. To oznaczało złe wieści. – Opactwo: tylko audio.



Odpowiedz.

Pisk nagle ucichł, ustępując łagodnej jak śmietanka ciszy.

– Tak, Gayle? Mówi Hari – powiedział.

– Komediant Michaelson? – W głosie asystenta pobrzmiwała niepewność; jak większość ludzi, źle się czuł, rozmawiając z kimś, kogo nie widzi. – Ehm, Administrator Kollberg chce natychmiast widzieć pana w biurze, Komediancie.

– W jego biurze? – powtórzył niezbyt mądrze Hari. Kollberg nigdy nie przyjmował ludzi w swoim gabinecie. Hari nie gościł u niego od dziesięciu lat. – O co chodzi? Następną Przygodę mam dopiero w przyszłym roku.

– Ehm, nie wiem tak naprawdę, Komediancie. Administrator nic nie powiedział. Kazał mi tylko przekazać, że gdyby pan pytał, mam powiedzieć, że chodzi o pańską żonę.

– Moją żonę?

A czy coś kiedykolwiek nie dotyczyło mojej żony? – pomyślał kwaśno. Przemawiał przez niego kac.

– Co jest? Coś się stało? – Serce zacisnęło mu się, po czym zaczęło bić szybciej. – Nic jej nie jest? Co się stało?

– Naprawdę nie mogę powiedzieć, Komediancie Michaelson. Administrator powiedział mi tylko, że mam przekazać...

– Dobra, w porządku – warknął Hari.

Spuścił nogi z łóżka, wstał, nagle nie czując już kaca. Jak szybko zdoła wziąć prysznic i się ubrać? Nie, pieprzyć prysznic; nie miał na to czasu. Umyć zęby? Spotkać się z przewodniczącym, kiedy z gęby leciało mu przetrawioną szkocką?

Cholera, weź się w garść.

– Już jadę. Powiedz mu, że będę za pół godziny. Powiedz... powiedz mu tylko, że już jadę.

# DZIEŃ PIERWSZY

- *Ej, nie jestem jedynym facetem, który zabija ludzi.*
- *Nikt nie powiedział, że jesteś jedyny, Hari. Nie o to chodzi.*
- *Powiem ci, o co chodzi. Chodzi o to, że w ten sposób stałem się gwiazdą. Chodzi o to, że tak płacę za ten dom, za samochody i za stolik dla nas w Por L'Oeil. Tak płacę za wszystko.*
- *To nie ty za to płacisz, Hari. Płaci Toa-Phelathon. Jego żona. Jego córki. Tysiące żon, mężów, rodziców i dzieci. To oni za to płacą.*

## 1

– Nazywa się, ehm, Ma'elKoth – powiedział Administrator Kollberg. Obliznął grube blade wargi. – Uważamy, że to pseudonim.

Hari stał sztywno przed potężnym biurkiem przewodniczącego i zżymał się w myślach: „Pewnie, że to pseudonim, ty kretynie”. Na głos powiedział:

– *'elKoth* po paqulsku znaczy „ogromny”, „bezgraniczny”, a przedrostek *Ma* to mianownik rzeczownika odsłownego od „być”. To nie jest imię, to przechwałki.

„I gdybyś nie był pieprzonym idiotą, wiedziałbyś to”.

Ów komentarz nie odzwierciedlił się w jego mimice. Lata praktyki pozwalały mu zachować całkowicie beznamiętną twarz.

Szeroki, prostokątny powtarzacz Sony za biurkiem przewodniczącego pokazywał widok, który z grubsza odpowiadał temu, co ukazywałoby okno – późnojesienne słońce opadające nad zatoką – gdyby przypominający sejf gabinet nie był pogrzebany głęboko pod kompleksem Studia.

Ten gabinet był sanktuarium, które widziało niewielu. W ciągu jedenastu lat, od kiedy Kollberg został przewodniczącym, nawet Hari – gwiazda numer jeden w San Francisco i stały członek Pierwszej Dziesiątki Studia pod względem zysków z całego świata – odwiedził go tylko raz. Gabinet był mały i miał zaokrąglone ściany i sufit; klimatyzator dbał o to, żeby było tam prawie tak chłodno i sucho, by Kollberg się nie pocił – ale tylko prawie.

Przewodniczący Studia w San Francisco był niski i niechlujny, nie tyle tłusty, ile miękki i

krępy. Siwawe pasma włosów zwisały mu z czaszki pokrytej bliznami po nieudanych przeszczepach, a wałki ciała koloru i konsystencji zepsutego ciasta chlebowego otaczały wodniste oczka.

Hari widział już kiedyś takie ciało, gdy Caine wyzwolił ludzkich niewolników ogrillów w Bożych Zębach. Ogrille rozmnażały ich jak bydło, pod ziemią, w cuchnącym legowisku. Byli wśród nich nastoletni chłopcy, którzy nigdy nie widzieli słońca i zostali wykastrowani, żeby ich mięso pozostało soczyste i słodkie. Mieli taką samą skórę jak Kollberg.

Jeśli będzie dłużej o tym myśleć, dostanie naprawdę nieprzyjemnych dreszczy.

Gwiazda Kollberga weszła razem z gwiazdą Caine'a; poparł Hariego, kiedy ten robił Przygodę znaną później jako *Ostatni Bój pod Ceraeno*. To był wieki przełom dla Caine'a i dla Kollberga – wraz z *Ostatnim Bojem* Caine dostał się do Pierwszej Dziesiątki, a Kollberg był tym, który go tam umieścił. Od tego czasu Kollberg ze swoim niemal nadnaturalnym wyczuciem zmian w gustach publiczności wyniósł San Francisco na obecną wysoką pozycję w świecie. Powszechnie uważano go za prawowitego następcę obecnego prezesa Studia, Biznesmena Westfielda Turnera. Kollberg jak nikt inny – poza samym Harim – przyczynił się do sukcesu Caine'a.

Hari pogardzał nim, żywiąc doń wstręt, z jakim większość ludzi zareagowałaby na karaluchy w płatkach śniadaniowych.

Kollberg głądził o Ma'elKothcie, który obwołał się cesarzem ankhańskim.

– Mógłbyś się nim zainteresować – powiedział. – W końcu sam posadziłeś go na tronie.

To był klasyczny Kollberg: ten lepki łajdak potrafi zmarnować godzinę, nim przejdzie do prawdziwego powodu, dla którego wezwał Hariego. Po drodze Hari jak zwykle sprawdził co słuchać w kularach wśród podkastowych, podpytując jakby nigdy nic odźwiernych, ochroniarzy, sekretarki, nawet tego wymuskanego robaka Gayle'a Kellera. Nikt nic nie wiedział o Shannie. Cokolwiek się stało, Studio solidnie dokręciło pokrywkę. Kollberg nie wymienił nawet jej imienia. Hariego świerbiły ręce, żeby wydusić wszystko z drania, ale to było isticie samobójcze pragnienie.

– Po pierwsze... – odparł oschle. – Nie umieściłem Ma'elKotha na tronie. Sam to zrobił.

– Po tym jak zabiłeś jego poprzednika.

Hari wzruszył ramionami; dość się już nasłuchał na ten temat w tym tygodniu.

– A po drugie, już nie jestem płatnym zabójcą.

Kollberg zamrugał.

– Słucham?

– Już. Nie. Jestem. Płatnym. Zabójcą. – Hari wypowiedział każde słowo powoli, balansując na niebezpiecznej krawędzi, o krok od naruszającej porządek kastowy bezczelności. – Będę robił tylko proste Przygody, jak *Odwrót z Boedecken*.

Grube wargi się zacisnęły.

– Tę zrobisz.

– Lubisz zakłady, Administratorze?

Śmiech Kollberga było równie wilgotny, jak jego wodniste oczy.

– Ten Ma’elKoth naprawdę robi wrażenie, jest wojskowym czarodziejem, wspaniałym generałem. Popatrz na to.

Powtarzacz za biurkiem zamigotał i rozświetlił się komputerowo stabilizowanym obrazem z oczu jakiegoś anonimowego Aktora. Hari znał tę scenerię – to był wyłożony trawertynem podest dla mówców, trzy piętra nad ziemią na ścianie świątyni Prorithuna, lśniący w żółtym, porażającym blasku ankhkańskiego słońca. Aktor, który na niego patrzył, stał zwrócony plecami do Fontanny, a zważywszy na kąt, musiał opierać się o posąg Toa-Phelathona. Sądząc po dolnym skraju obrazu, Dziedzinec Bogów musiał być wypchany po brzegi gawiedzią wszelkiego pokroju.

Człowiek, który stał na podeście i przemawiał do tłumu, przerastał stojących po obu jego stronach Rycerzy Pałacowych; był wysoki jak ich zabarwione krwią halabardy. Pięść, którą wygrażał w gniewie, mogłaby zmiażdżyć węgiel i zamienić go w diament.

Miał na sobie zbroję, która połyskiwała czernią i wydawała się półprzezroczysta jak obsydian, a na plecach pelerynę – nieskazitelnie, oślepiająco białą, rozpościerającą się za nim jak orle skrzydła. Włosy w kolorze klonowego drewna opadały mu lokami na ramiona i falowały lekko w niewyczuwalnej bryzie. Broda, poprzetykana siwymi pasmami w kolorze żelaza i lśniaca od olejków, okalała twarz o szerokim czole i czystych oczach, wyrażając niewątpliwą uczciwość i subtelną szlachetność.

Chociaż obraz nie miał dźwięku, Hari nie mógł oderwać wzroku. Kiedy czoło Ma’elKotha spochmurniało od gniewu, wdawało się, że chmurzy się też niebo; kiedy spojrzał z miłością w dół na poddanych, jego twarz promieniała światłem jak pierwsza jutrzienka wiosny.

Hari zdał sobie sprawę, że ktoś gdzieś tam manipuluje światłem słonecznym. Dobry iluzjonista potrafi takie rzeczy, nawet na tak konkretnym obszarze jak tamto miejsce, ale żeby to wyglądało tak naturalnie...

– Dobry jest w te klocki – mruknął Hari. Wbrew sobie był pod wrażeniem.

– O, tak – zgodził się Kollberg. – W rzeczy samej. A także przerażająco bystry.

– Tak?

– Wygląda na to, że... – Kollberg zakaszlał w pięść. – Wygląda na to, że samodzielnie odkrył na nowo ideę państwa policyjnego.

– Moje gratulacje – mruknął Hari.

Widział przelotnie Ma’elKotha raz, może dwa, na zwycięskich paradach po jego oszałamiającej zwycięskiej kampanii w Wojnie na Równinach, ale nigdy nie oglądał go w akcji. Było w nim coś mgliście znajomego, w sposobie, w jaki się poruszał, gestykulował. Hari wiedział, że dopóki nie rozgryzie tej zagadki, będzie go to męczyć jak palec szturchający jego umysł.

Gdzie wcześniej widział taki manieryzm?

– ...i wroga wewnętrznego – mówił Kollberg. – Naziści mieli Żydów, komuniści wykorzystali „kontrewolucjonistów”, my mamy wirusa HRVP. Ma’elKoth uderzył w dość, ehm, nowatorskiego wroga wewnętrznego. Kiedy potrzebuje pretekstu, żeby zlikwidować politycznych wrogów, oskarża ich o, ehm, bycie *Aktirimi*.

*Aktiri* to słowo w westerlingu mające wiele negatywnych znaczeń: szalony, zły, morderczy, obcy przybysz pożerający dzieci i tak dalej – nieskończona liczba wariacji na ten sam temat. *Aktiri* to złe demony, które przyjmują formę mężczyzn albo kobiet, żeby zwieść uczciwych ludzi, sprawić, że im zaufają, dzięki czemu mogą gwałcić, kraść i zabijać bez opamiętania; zabici znikają w wybuchu migotliwych barw.

Słowo zapożyczono z języka angielskiego. Pierwsi Aktorzy Studia, przenoszący się do Nadświata w mniej finezyjnym, dyskretnym stylu sprzed trzydziestu lat zostawili trwałe ślady w kulturze.

– Polowanie na czarownice.

– *Aktir-tokar* – poprawił go Kollberg. – Polowanie na Aktorów.

– Nieźle. – Hari dotknął punktu na czaszce, tuż nad lewym uchem, trochę przed nim, tam gdzie w mózgu znajduje się ośrodek mowy. – Jedyne sposoby, żeby udowodnić, że jesteś niewinny, to dać im pogrzebać w twoim mózgu, aż dojdą do wniosku, że nie widzą myśloemitera. Do tego czasu i tak już jesteś martwy. I wtedy, jeśli twój trup nie wypadnie z fazy, to chyba cię przepraszają. – Wzruszył ramionami. – Nic nowego. Studio wypuściło kilka okólników na temat najnowszych ankhańskich protokołów. Nadal nie zamierzam dla ciebie zabijać.

– Michaelson... Hari, zrozum, proszę. Nie chodzi o to, że rzeczywiście złapał paru Aktorów, zresztą nikogo naprawdę znanego, przynajmniej na razie, ale że wykorzystuje *Aktir-tokar* w niewątpliwie cyniczny sposób, żeby eliminować polityczną opozycję, ludzi, o których dobrze wie, że są całkowicie... ehm, niewinni.

– Rozmawiasz z niewłaściwym Michaelsonem – odparł Hari. – Potrzebujesz mojej żony.

Kollberg przyłożył pulchny palec do ust.

– No tak, twoja żona... Hm... w ramach swoich możliwości jako Pallas Ril już się zainteresowała tym problemem.

Już sam fakt, że jej imię wreszcie padło z ust Kollberga, podziałał na Hariego jak igła wbita w kark.

– Tak, słyszałem – powiedział cicho, przez zęby. – Wykręca ten swój numer w stylu Szkarłatnego Kwiatu.

– Czuję, że muszę to wyrazić absolutnie jasno, Hari. Tu, w Studiu, musimy myśleć w kategoriach długoterminowych. Ta zabawa w *Aktir-tokar* szybko się skończy i Cesarstwo Ankhańskie znowu będzie bezpiecznym miejscem dla Aktorów. Zdecydowanie zbyt bezpiecznym, o ile mnie rozumiesz. Jeśli cesarstwo stanie się naprawdę dobrze

zorganizowanym państwem, z pewnością nadejdzie koniec dla bandytów, czy to ogrillów, czy ludzi. Smoki, trolle i gryfy zostaną wybite, prawdopodobnie elfy i krasnoludy także, i wszelkie inne postaci, dzięki którym Przygody są interesujące. Rozumiesz? Jeśli Ma'elKothowi się uda, stracimy cesarstwo jako scenerię do Przygód. Już sama Ankhana jest niewiele bardziej egzotyczna od, powiedzmy, Nowego Jorku. Nie możemy pozwolić, by ten... ehm... trend w polityce trwał. Wszystkie Studia, a zwłaszcza nasze, zdecydowanie zbyt wiele zainwestowały w Cesarstwo Ankhańskie. Na szczęście Ma'elKoth większość władzy skupił we własnych rękach; mógłby stworzyć klasyczny kult jednostki. Jeśli zostanie wyeliminowany, cesarstwo powinno się rozpaść w bardzo satysfakcjonujący sposób.

– Shanna bardzo się nakręciła tym pomysłem, dlaczego nie dasz jej tego zrobić?

– Och, daj spokój – mruknął Kollberg. – Jest typem „ratujcie niewinnych”, sam to powiedziałeś. Doskonale wiesz, że Pallas Ril nie morduje na zlecenie.

– Ani Caine. Już nie.

– Michaelson...

– Jeśli masz z tym jakiś problem, możesz to załatwić z Biznesmenem Vilo.

Kollberg nawet nie mrugnął, słysząc o wpływowym Patronie Hariego. Co więcej, jego tłuste wargi wygięły się w bladym uśmiešku.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne.

– Możesz sobie sądzić, co chcesz, Administratorze. Na razie nie wyjaśniłeś mi, jak to wszystko ma się do mojej żony.

– Nie? – Kollberg wstał, złożył dłonie i potarł je, parodiując gest skruchy. – Więc może lepiej chodź ze mną.

## 2

Obejmujący dwieście siedemdziesiąt stopni pola widzenia i sięgający od podłogi do sufitu ekran przed symfotelem w prywatnej łoży przewodniczącego pokazywał tylko jednorodną szarość, kiedy Kollberg wprowadził do środka Hariego. Znowu bezpośredni sześcian, pomyślał Hari, szurając sandałami po kaszmirowym, puszystym dywanie w kolorze burgunda.

Symfotel przewodniczącego zrobiono z orzecha i cielęcej skóry, wypełniony żelem plastycznym był wygodniejszy od matczyńskich objęć. Na szerokich zakrzywionych podłokietnikach stała zadziwiająca liczba przekąsek – od trójkątnych tostów z kawiosem z białugi do szampana „Roderer Cristal” – przygotowanych z myślą o okazjach, kiedy transmisja Przygody szła na ekran, a nie do hełmu indukcyjnego, który zwieszał się nad fotelem jak zwieńczenie krzesła elektrycznego.

Kollberg wskazał jedną ręką Hariemu fotel i powiedział:

– Nie zwracaj sobie głowy komfołaczami, ten sześcian trwa tylko dwanaście minut. I nie będzie hipnotyków. Zakładam, ehm, że tolerujesz bezpośrednią indukcję bez chemicznego tłumienia?

Hari wzruszył ramionami.

– Już to robiłem.

– Dobrze więc. Siadaj, proszę.

– Dowiem się, o co chodzi?

– Ten sześcian, ehm, mówi sam za siebie – odparł Kollberg, wykrzywiając usta, jakby starał się zdusić uśmiezek. – Proszę – powtórzył i nie była to prośba.

Hari usiadł na symfotelu z przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem nierealności. Nigdy wcześniej nie widział prywatnej łoży przewodniczącego, a teraz siedział w jego prywatnym symfotelu. Czuł się tak, jakby włożył bieliznę przewodniczącego.

Sięgnął do tyłu, żeby wziąć hełm, i zorientował się, że hełm już się przesuwa na swoje miejsce. Osłona opadła mu na oczy. Nałożył regulator na nos i usta, wdychając głęboko pozbawione smaku nijakie powietrze.

Musnął podłokietniki, szukając pokręteł strojenia, ale symfotel przewodniczącego już zaczął przekaz. Światło rozbłysło mu pod zamkniętymi powiekami, kiedy hełm indukcyjny pobudził ośrodek widzenia w mózgu. Bezkształtne rozmazane plamy przeobraziły się powoli w światło w proste kształty: linie, kwadraty, koła, stopniowo nabierając głębi i spoistości, w miarę jak obwody sprzężenia zwrotnego monitorowały aktywność mózgu i dostrajały induktory do jego indywidualnych charakterystyk.

Tak samo prosty dzwonek, rozlegający się słabo w jego uszach, rozszczepił się w dźwięczne melodie, które stopniowo przeszły w chorał Bacha *Jesus bleibet meine Freude*. Melodie rozwinęły się w szemrzące akordy, dołączyły do nich instrumenty i głosy, zamieniając się w chór z IX symfonii Beethovena. Przed oczami Hariego rozciągał się widok z Copper Mountain w Górach Skalistych późnym latem. Poczul rzeński wiatr na skórze, nierówną powierzchnię konopnej liny przewieszanej przez ramię i nacisk butów, zapach drobniotkich żółtych i białych kwiatków oraz słabą piżmową woń świstaków, które tu mieszkały.

Jednocześnie był świadomy własnego ciała i pamiętał, że siedzi w symfotelu Kollberga. Podczas regulowania połączenia indukcyjnego fotel zwykle podawałby także do krwiobiegu reduktory chemiczne, hipnotyki, które osłabiłyby poczucie własnego ja i otworzyły umysł na czyste doświadczenie, niefiltrowane przez własną świadomość, jednak fotel przewodniczącego nie został wyposażony w podajnik hipnotyków. Kollberg nie mógł pozwolić sobie na luksus stania się kimś innym do tego stopnia, że zapomniałby o własnych obowiązkach.

Góry Skaliste zbladły i powoli przeszły w trwającą już scenę.

Najpierw pojawił się obraz: pokój zalany światłem słońca cieplejszego i bardziej żółtego

niż ziemskie. Chropowate wełniane koce na siennikach z kłującej słomy, na nich mężczyzna i kobieta, przytuleni do siebie, i dwie młodsze dziewczynki obok nich; cała czwórka ubrana w coś, co wyglądało jak siatki pszczelarzy z matowego metalu.

Zaraz potem nadeszły zapachy i dźwięki – woń końskiego łajna suszącego się gdzieś w oddali na słońcu i ciał pocących się pod zbrojami, krzyki zaganiaczy bydła na tłocznych ulicach, dźwięki płynącej w pobliżu wody, głosy...

– *Dlaczego? Nie mogę zrozumieć, zawsze byliśmy lojalni.* – Mężczyzna mówi w westerlingu, głównym języku cesarstwa. – *Musisz zrozumieć, jacy jesteśmy przerażeni.*

Symfotel był podłączony do centralnego procesora Studia, który uruchomił tłumacza SI, dzięki czemu sens słów docierał do umysłu Hariego po angielsku, ale nie było mu to potrzebne; biegle mówił w westerlingu, tak samo jak po paqulsku i lipkeńsku, ponadto liznął jeszcze kilku innych języków, a tłumaczenie SI na tyle różniło się od tego, co automatycznie rozumiał, że mu przeszkadzało.

Zazgrzytał zębami i skupił się na wrażeniach z ciała aktora, w które wszedł.

Szczupły, niezbyt muskularny, ale niezwykle wysportowany; zbroja z lekkiej giętkiej skóry, peleryna, karwasze, wysokie buty. Doskonała i nieustanna świadomość ułożenia ciała, jak u tancerza albo akrobaty, brak mieszka przy zbroi i brak zapotrzebowania na takowy, brak instynktownej i stałej świadomości posiadania genitaliów.

To kobieta, pomyślał Hari w tej samej chwili, kiedy uświadomił sobie ucisk piersi ściśniętych pod zbroją.

A zaraz za tym przyszła cała reszta: świadomość precyzyjnego przegięcia od piersi do biodra, lekkiego przechylenia głowy, żeby odrzucić włosy z oczu, poruszenia ramieniem w charakterystycznym geście wzruszenia. Nim się odezwała, nim usłyszał jej głos w swoich uszach, wiedział.

– *Wszyscy jesteśmy przerażeni. Ale przysięgam, że możemy was uratować, jeśli tylko nam pomożecie.*

To była Shanna.

### 3

– Oczywiście, że pomogę – warczy. – Myślicie, że chcę, żeby moja żona i córki trafiły w łapy Kotów?

Jego żona się wzdryga; dziewczynki nie, ale pewnie są za małe, żeby rozumieć, o czym mówi ojciec.

– Skądże znowu – odpowiadam, posyłając mu swój najlepszy uśmiech. Niezła sztuczka, facet już mięknie. – Konnosie, nie ma potrzeby, żebyś cokolwiek tłumaczył, jeśli nie chcesz, ale jestem ciekawa, jak to się stało, że do tej pory nie wpadłeś. Zadenuncjowano cię cztery dni



temu. Jak uniknąłeś pojmania? Wszystko, co możesz mi powiedzieć, może pomóc mi ocalić innych. Rozumiesz?

Podwijam nogi pod siebie, żeby usiąść na drewnianej podłodze. Konnos rzuca nerwowe spojrzenie na pozostałych w pokoju, a ja podążam za jego wzrokiem.

– Ufasz mi. Zaufałeś mi na tyle, żeby po mnie posłać. A ja ufam tym mężczyznom. – Dwóch muskularnych młodzieńców o złocistych włosach i oczach o wiele starszych niż twarze ostrzyło ze stoickim spokojem identyczne miecze. – Bliźniacy uciekli z więzienia dla gladiatorów. Możecie wierzyć, że nie kochają ludzi cesarza. Za tę tu, Talann... – atletycznie zbudowana kobieta w luźnej lnianej tunice i spodniach siedziała na podłodze w pozycji lotosu, jej fiołkowe oczy błyszczały dziko pośród wystrzępionej aureoli platynowych włosów – ...cesarz wyznaczył nagrodę w wysokości stu rojali. Jeśli idzie o Lamoraka, tego przy oknie, hm, pewnie już o nim słyszeliście.

Lamorak?

Hari poczuł igielkę niemiłego zaskoczenia.

Lamorak był Aktorem.

A to sukinsyn! Wiedziałem, że Karl i Shanna są przyjaciółmi, ale... Jezu! Jak daleko to zaszło?

Lamorak mruczy pod nosem krótką frazę i czuję szarpnięcie magji, kiedy na jego dłoni pojawia się płomyk. Unosi go do papierosa z liści rithu, który ma w ustach, i wkrótce spod okna napływa ostry zapach płonących ziół.

*\*Popisuje się\** – rozlega się subwokalizowane Solilokwium Shanny. *\*Powinien wiedzieć, że lepiej nie posługiwać się tutaj magją, nawet tak drobną, której pewnie nie da się wyczuć poza tym pomieszczeniem.\**

Normalnie Solilokwium – minimalne ruchy językiem i gardłem, które protokół tłumaczący przekształca w wewnętrzny monolog, niby-myśli – przyblakłoby pod wpływem hipnotyków podawanych do krwiobiegu widza bezpośredniego, aż stałoby się nie do odróżnienia od prawdziwych myśli. Bez nich Solilokwium przeszkadzało niemal tak samo, jak niedoskonałe tłumaczenie SI z westerlingu. Głos Pallas – Shanny – nieustannie rozlegał się szeptem w uszach Hariego. Hari poprawił się w fotelu, zaciskając zęby i przypominając sobie, że sześcian trwa tylko dwanaście minut. W takim czasie znieś wszystko.

Lamorak mruga i odwraca się, żeby obserwować ulicę. Jedną rękę trzyma na owiniętej skórą rękojeści półtoraręcznego miecza – Kosalla. Słońce podświetla jego idealny profil, otaczając go złocistym halo, i jak zwykle nie potrafię naprawdę się na niego wściec; z trudem odrywam od niego wzrok i skupiam się na Konnosie.

– Nie jestem politykiem – mówi Konnos, zdejmując z twarzy siatkę, żeby otrzeć usta grzbietem dłoni. – Nigdy nie byłem. Jestem naukowcem, to wszystko. Całe życie spędziłem, badając fundamenty natury magji. Natury rzeczywistości, bo, jak wiecie, to jedno i to samo. Ta siatka? Srebrna, widzisz? Srebro niemal idealnie kanalizuje siłę magijną, złoto jest lepsze,

ale jestem tylko ubogim badaczem. Wszelkie złoto, jakie dotarło do mojej sakiewki, zawsze szło na wyżywienie rodziny. Ale widzisz, niemal wszystkie naładowane amulety, latające igły, wskaźniki wahadłowe, wszystkie przedmioty wyszukujące wykrywają charakterystyczny wzorec esencji, którym emanują poszukiwane obiekty: Powłokę, o której wy, adepci, tak lubicie mówić. Poszukiwane przedmioty są naładowane przez kontakt z naszymi domami albo rzeczami osobistymi; rezonują naszym własnym, unikatowym wzorcem. A srebrna sieć zapętała go i sprawia, że stajemy się niewidzialni; służy także jako wspaniała obrona przeciwko zaklęciom przymuszającym. Co więcej, jeśli uda się połączyć siatkę ze źródłem Przepływu, takim jak gryfkamień...

Paple tak dalej, ale jego słowa błędą przy moim podziwieniu dla elegancji jego obrony.

*\*Wynalazł odmianę klatki Faradaya; to oznacza, że wykonał pewne podstawowe badania metodą naukową. Tubylcy podobno nie są w stanie spojrzeć głębiej, poza najbardziej zewnętrzną magijną powierzchnię efektu. Nasi socjologowie lata temu mówili, że obecność magii hamuje „instynkt badawczy”. Zgodnie z teorią powinien być w stanie myśleć tylko o zablokowaniu zaklęcia innym zaklęciem, a zamiast tego wykorzystał ogólną zasadę leżącą u podstaw całej gałęzi magii. No, no. Jestem pod wrażeniem.\**

*\*I muszę załatwić sobie kilka takich srebrnych siatek.\**

– Oczywiście, bez gryfkamienia nie powstrzymają zdeterminowanego, silnego taumaturga – ciągnie Konnos. – Ale na taką okoliczność mam tego małego przyjaciela, o, tutaj. – Poklepuje gałkę futerału na zwoje, wykonanego z wypolerowanej kości słoniowej i wystającego z sakiewki u jego pasa. – Sam go napisałem. Nazywam to Wiecznym Zapomnieniem. Jest najpotężniejszym czarem niewykrycia, jaki kiedykolwiek wymyślono, ale to zdecydowanie ostatnia deska ratunku...

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz jej potrzebował – przerywam mu. Możemy nie mieć czasu na następne przydługie wyjaśnienia. – Teraz muszę was poprosić o zdjęcie siatek. Tylko na chwilę – dodaję pospiesznie, Konnos bowiem aż wstrzymuje oddech w niemym proteście. – Królewskie Oczy od czasu do czasu próbują podesłać nam szpiegów...

– Nie jestem szpiegiem! Czy szpieg przyprowadziłby ze sobą żonę i córki, żeby wykonały jego pracę?

– Nie, nie, nie. Nie rozumiesz. Wiem, że jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem – kłamię zręcznie. – Nie o to chodzi. Ale istnieją zaklęcia, które można rzucić na człowieka, żeby zdradził wbrew swojej woli, oraz takie, które przeszukują umysł, aby wykryć kryjówkę. Muszę cię teraz przebadać, by mieć pewność, że niczego nie rzucono na ciebie bez twojej wiedzy. Inni, ścigani tak samo jak ty, czekają w miejscu, do którego zabiorę i ciebie, a które zabezpieczyłam przeciwko wszelkim rodzajom magii wyszukującej. Kiedy cię sprawdzam, chronię ich i siebie.

Konnos patrzy na żonę, która odpowiada mu przerażonym spojrzeniem. Zanim którekolwiek z nich zdąży coś powiedzieć, odzywa się stojący przy oknie Lamorak:

– Kłopoty.

W jednej chwili stoję u jego boku. Za mną rozlega się cichy szelest, kiedy Talann i bliźniacy stają w gotowości.

Zalana słońcem ulica wygląda całkiem zwyczajnie, oblepiona walącymi się czynszówkami, z błotnistą strugą pośrodku, pamiątką po deszczach sprzed dwóch dni. Ruch panuje niewielki, głównie pieszy; dzienni robotnicy idą gnijącymi drewnianymi chodnikami, z nadzieją na pracę w Parku Przemysłowym naprzeciwko Drogi Łotrów.

Marszczę brwi. Co jest nie tak z tym obrazkiem? Już mam zapytać Lamoraka, co widzi, kiedy dociera do mnie, że zaalarmowało go to, czego nie widzi: zniknęli nasi figuranci.

Zaułek w połowie drogi do następnej przecznicy, w którym powinien leżeć śpiący pijaczek, zionie pustką. Na schodkach, gdzie powinien grać się w słońcu trędowaty w łachmanach, widnieje błyszcząca, mokra plama krwi.

Serce bije mi w nierównym rytmie. Jest źle.

– Jak? – mówię odrętwiała. – Jak to możliwe? Jak mogli tak bardzo się zbliżyć?

Nie trzeba mówić, o kogo chodzi. Oboje wiemy, że to Szare Koty.

Lamorak kręci głową i mruży:

– To jakiś czar. Nie wiem, niczego nie zauważyłem.

– Ale powinnam poczuć prąd w Przepływie...

– Wiedzieliśmy, że to się zdarzy któregoś dnia – mówi, kładąc ręce na moich ramionach i delikatnie odwracając mnie ku sobie. Patrzy mi w oczy z tym olśniewającym, krzywym uśmiechem. – Wiedzieliśmy, kiedy przyjęliśmy tę robotę, że w końcu nam się nie uda. Może zdołam jakoś ich odciągnąć, dać ci szansę wyprowadzić Konnosę i jego rodzinę.

– Lamorak...

– Żadnych sprzeciwów – mówi i zamyka mi usta swoimi.

Ten pocałunek rani Harięgo jak dźgnięcie nożem w jądra. Nie tylko dlatego że Pallas pozwoliła mu się pocałować, nie dlatego że jej się to podobało. Nie była zaskoczona, nie była niepewna; to w żadnym razie nie był ich pierwszy raz.

Lamorak rżnie moją żonę, pomyślał w nagłej głuchej ciemności Hari.

Widownia Shanny – wszyscy jej bezpośredni widzowie i każda osoba, która kiedykolwiek wypożyczy pośredni sześcian – będą wiedzieli. Wszyscy tego doświadczą.

Serce zapłonęło Hariemu w piersi.

Odpycham go delikatnie. Jego niezachwiane bohaterstwo zapiera mi dech, chociaż to daremna próba – nie jestem gotowa poświęcić go bez potrzeby. Heroizm jeszcze nam się przyda, gdy nie będzie już innego ratunku. Odwracam się do pozostałych.

– To Koty – rzucam krótko, szorstko.

Konnos i żona obejmują się, jedna z dziewczynek zaczyna płakać. Widzi, jacy przerażeni są rodzice, i nie musi wiedzieć nic ponadto.

– Zdjęli naszych figurantów. To oznacza, że już jesteśmy otoczeni i zbliżają się, żeby nas

zabić. Jestem otwarta na błyskotliwe pomysły.

Bliźniacy wymieniają identyczne ponure spojrzenia; wzruszają ramionami i jeden z nich, pewnie Dak, bo on odwała większość gadek, mówi:

– Możemy się tu bronić, odpierać ich ataki, dopóki Słudzy Ściemy nie zbiorą się przeciwko nim.

Kręcę głową.

– Słudzy Ściemy nie są jeszcze gotowi, by się ujawnić. A skoro nie ma figurantów, nawet nie wiedzą, że tu jesteśmy. Talann?

Przeciąga się jak kot i szybkim ruchem strzela knykciami obu dłoni. Jej oczy rozbłyskują nieprzyjemnie znajomym ogniem.

– A co zrobiłby Caine?

Krzywię się.

– Nie zadawałby głupich pytań – warczę.

Talann to fanka – przynajmniej w połowie trzyma ją przy mnie nadzieja, że pewnego dnia spotka Caine'a. Z jakiegoś powodu jego cień nadal pada na moje życie. Teraz już wiem, dlaczego rozpoznaję ten błysk w jej oku – tak właśnie patrzył Caine, kiedy byliśmy przyparci do muru, kiedy nic naszego życia snuła się między naszymi palcami. To u niego stan najbliższy szczęściu.

Z drugiej strony, rzeczywiście wiem, co zrobiłby Caine: zaatakowałby. Przełamałby ich szyk, najlepiej w jakimś przewężeniu, gdzie nie mogliby użyć kusz. Przebić się i uciekać, aż by się kurzyło – ale to oznaczałoby pewną śmierć dla Konnosa i jego rodziny, a bronienie ich spowolni nas tak, że nie będziemy mogli obronić siebie. Zerkam na Lamoraka i widzę zdecydowanie na jego twarzy, kiedy czeka na moją odpowiedź. To pewne jak śmierć, że Caine nie poświęciłby siebie w geście, jaki zaproponował Lamorak, ale Caine też nie stałby tak i nie czekał, aż dam mu pozwolenie.

Wszyscy patrzą na mnie. Przez chwilę żałuję, że nie kto inny podejmuje decyzję.

– W porządku – mówię z ciężkim sercem. – Bliźniacy i ja możemy utrzymać pokój. Lamorak, ruszaj na wschód.

– Dachami?

Kręcę głową.

– Przez czynszówki. Kosall się przebije. Talann, idź na południe do rzeki. Jeśli któremuś z was uda się wymknąć, niech rusza do Mosiężnego Stadionu i powie...

– O, cholera – mruczy Lamorak. Znowu wygląda przez okno. – Myślę... Bogowie, to może być Berne.

– Hrabia Berne? – pyta z błyskiem w oku Talann. – We własnej osobie?

Staję obok Lamoraka, podążam za jego wzrokiem i widzę go: opiera się zuchwale o poszarzały ze starości mur po drugiej stronie ulicy, podnosząc płomyk do ręcznie zwijanego papierosa.

Zarejestrowany na sześcianie zimny dreszcz, który Hari poczuł jako przebiegający po plecach Pallas, zniknął w przypiływie furii, która w nim zapłonęła.

Berne.

Zacisnął konwulsyjnie pięści, uderzył boleśnie nadgarstkami o podłokietniki.

Berne, ty podły zasańcu, sukinsynu, gdybym tylko tam był... O bogowie, bogowie, dlaczego nie mogę tam być?

To Berne, zgadza się. Natychmiast go rozpoznaję. Nie ma na sobie dworskich szmat: bluzy z aksamitu z rozcinanymi rękawami i obcisłych spodni, które dzięki niemu znowu wróciły do mody. Zamiast tego nosi zdartą, wyblakłą serżę, niegdyś szkarłatną, ale teraz w truskawkowo-kremowe zacieki, w odcieniu niespranej plamy krwi. Jego smukła, lekko wygięta szabla zwisa w pochwie z szerokiego na dłoń skózanego pasa. Rysy twarzy ma tak ostre, że powinny lśnić w słońcu jak metal. Szeroki uśmiech przecina je jak pęknięcie tafli lustra.

Serce mi się zaciska. Znam go aż za dobrze. Gorzej, on zna mnie.

Źle, nie powinnam myśleć w ten sposób... ale w tej chwili naprawdę żałuję, że nie ma tu Caine'a.

– Zmiana planów – mówię szybko, odwracając się do przyjaciół, do ludzi, za życie których jestem odpowiedzialna. – Lamorak, ty i Talann, zabierzcie Konnosich... – Wskazuję na południową ścianę maleńkiego mieszkanca. – Tędy i na dół. Trzymajcie się z dala od schodów i korytarzy. Bliźniacy i ja będziemy ubezpieczać wasz odwrót.

Lamorak sztywnieje.

– Pallas...

– Ale już!

Waha się jeszcze sekundę, a jego oczy przemawiają do moich poezją.

Potem wyciąga z pochwy Kosalla, chwytając go za jelec, po czym aktywuje jego magję, ujmując za rękojeść; zaczarowane ostrze ożywa, jego wysoki, wibrujący jęk przyprawia mnie o ból zębów. Brzegi miecza falują jak rozgrzane powietrze nad spieczonym słońcem chodnikiem; czuję, jak Kosall szarpie prądami w Przepływie.

Lamorak staje przy południowej ścianie i przykładła do niej czubek miecza na wysokości głowy. Opiera się o głowicę, a Kosall gładko wchodzi między bale; stłumiony jęk zmienia się w buczenie. Lamorak przeciąga mieczem w dół po łuku, nie piłując, tylko po prostu tnąc drewno, jakby ścianę zrobiono z miękkiego sera. Tym mieczem może wyciąć sobie drogę przez czynszówki aż do rzeki, gdyby zaszła taka potrzeba. Kosall może ciąć kamień, a nawet stal, jeśli dać mu dość czasu.

I właśnie czas muszę im dać.

Na dole Berne daje znak ręką.

Mężczyźni w gołębioszarych skórzanych kaftanach i spodniach – strojach Kotów – wylewają się z zaułków i pędzą w stronę naszej kryjówki.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powoli powietrze i biorę następny. Moje ręce przesuwiają się po ubraniu, jakby kierowały się własną wolą, od kieszeni do sakiewki, od pochwy do futerału, sprawdzając wszystkie grawerowane kamienie i zawile węzły z cennych metali, różdżki i kawałki drutu, odłamki szkła i paczuszki z proszkami, podczas gdy technika kontroli oddechu pozwala mi przełączyć się na wewnętrzne widzenie.

W wewnętrznym widzeniu Powłoka Berne'a – migocząca aura siły życiowej, która go otacza – jest ogromna i oślepiająco jasna jak u arcymaga, a ja walczę z narastającą paniką, która może mnie wytrącić z wewnętrznego widzenia.

To niemożliwe. Berne to nie adept, lecz wojownik, szermierz szkolony w Klasztorach... On nie ma magji! Nigdy nie miał! Ale teraz...

Teraz pośród splątanych wstęg wielobarwnego światła, które reprezentują w wewnętrznym widzeniu Przepływ, dostrzegam jeszcze jedną wstęgę, snop mocy o średnicy szerszej niż dwie moje pięści. Nie wikła się i nie skręca jak wstęgi surowego Przepływu, ma kolor czystego szkarłatu jak rozgrzana stal w kuźni. Oblewa Powłokę Berne'a i biegnie od niego prosto jak włócznia na południowy zachód. Znika wśród czynszówek, ale zwykle cegła i drewno nie stanowią przeszkody dla Przepływu, a ja wiem, co się tam znajduje. Ten snop mocy kieruje się w stronę Starego Miasta, ku sercu Ankhany, na wyspę na Wielkiej Chambaygen.

Wypływa z pałacu Colhari.

Ten sukinsyn kanalizuje! Mniejsza z tym, że to niemożliwe: Berne kanalizuje moc pochodzącą od Ma'elKotha! To tłumaczy magijny Płaszcz, który pozwolił mi w niewidzialności zdjąć naszych figurantów; to wyjaśnia, dlaczego nawet nie poczułam szarpnięcia wywołanego czarem. Moc dla czaru płynie z miejsca odległego o mile i w ogóle nie pochodzi z miejscowego Przepływu. Kiedy te myśli przebiegają przez mój umysł, nie zauważam, że Berne wyciąga ręce ku oknu, dopóki nie jest za późno.

Odskakuję od okna. Ściana wybucha z ogłuszającym rykiem, w powodzi ognia. Nawet kiedy wyciągam się na podłodze i zasłaniam oczy przed płomieniami, drugą ręką szukam w kieszeni na piersiach miniaturowej tarczy wykonanej z fasetowanego kwarcu. Czuję mrowienie w ręce od ładunku w kamieniu, a wewnętrzne widzenie ukazuje mi kratownicę jaśniejących linii zaklętych na powierzchni kwarcu. Siłą woli przenoszę ten obraz do świadomości i wizualizuję go tak mocno, aż naprawdę widzę, jak wypełnia zionącą pustkę, która kiedyś była ścianą.

Promienie słońca wlewają się przez poszarpaną dziurę, płomienie liżą jej brzegi. Sufit ugina się i pęka, kiedy podpora w postaci ściany znika, a na dachach po drugiej stronie ulicy dziesięć Kotów wysuwa napięte kusze i strzela do mnie.

Bełty lecą ze śpiewem ponad ulicą i zatrzymują się w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się ściana, drżąc, jakby wbiły się w drewno, chociaż jedyna rzecz, która je zatrzymuje w locie, to moja wyobrażona Tarcza. Cztery Koty zjeżdżają na linach z dachu

budynku – pięknie wykonany manewr, dzięki któremu powinny z gracją wpaść przez dziurę do pomieszczenia. Ale uderzają w Tarczę i odbijają się od niej. Impet tego uderzenia powraca jednak do mnie z wystarczającą siłą, żebym jęknęła, jakby ktoś zdzielił mnie w brzuch.

Tarcza w widzeniu wewnętrznym wygląda jak gruba na decymetr matryca złotej siły, a dla nich jak ściana z na wpół materialnego szkła o fakturze wulkanizowanej gumy. Przepływający się przez kwarcowy model. Mam tu mnóstwo mocy i mogę utrzymać Tarczę tak długo, jak zdołam podtrzymywać wizualizację. Koty zwieszające się na linach na zewnątrz odbijają się od Tarczy, żeby znowu w nią uderzyć, i ponownie sprawia mi to ból.

Przynajmniej Berne nie może odpalić kolejnego ognistego pocisku, nie smażąc przy tym Kotów. Korzystam z chwili, wstaję i skupiam się na podtrzymaniu Tarczy.

Zerkając przez ramię, poprzez luk wycięty przez Lamoraka widzę, jak Talann podaje młodszą z córek Konnosy przez podobną dziurę wyciętą w podłodze. Zaciska pięść w geście mówiącym „wszystko w porządku”, kiwa ręką, żebyśmy szli za nią, i z gracją zeskakuje do dziury.

Bliźniacy wykorzystali bale wycięte ze ściany przez Lamoraka, żeby zablokować drzwi na korytarz – sztylet wbity w podłogę blokuje bale u dołu, a ich górna część jest wciśnięta pod klamkę. To może spowolnić Koty o kilka sekund, ale niewiele więcej.

– Chodźcie, biegiem, biegiem! – wrzeszczę.

Będę musiała porzucić pokój, uciec przez dziurę i przesunąć Tarczę z zewnętrznej ściany na wycięty luk przejścia, bo nie dam rady utrzymać jednocześnie i wyłomu, i drzwi.

Kiedy bliźniacy wbijają ostatni bal na miejsce, drzwi i ściana wokół nich wybuchają płonącymi drzazgami. Bliźniacy padają na podłogę. Pomieszczenie wypełnia się duszącym siarkowym gazem i przez dziurę z korytarza wpadają Koty.

Natychmiast rzucają się do walki.

Kaftany, które mają na sobie, wzmocniono metalem, ale to ich jedyna zbroja. Akrobatyczna zręczność i oszałamiająca prędkość są jedyną obroną Kotów. Najlepiej radzą sobie w małych grupach na otwartej przestrzeni – to dlatego na miejsce walki wybrałam najciaśniej zabudowaną okolicę. To jednak może nie wystarczyć.

Z korytarza dobiega dźwięczny jak dzwon tenor Berne’a:

– Dorwijcie adepta! Chcę go żywego!

Obaj bliźniacy krwawią, gdy próbują się podnieść. Przywódca Kotów nurkuje ku nim i płaci za to – Jak już wyjął miecz i dźga Kota w gardło. Impet upadku Kota sprawia, że Jak znowu ląduje na plecach, a Dak musi go osłaniać, przyklękając na jednym kolanie. Potem nie widzę już nic więcej, bo sama mam problemy.

Dwa Koty skaczą na mnie. Porzucam Tarczę – czterech przeciwników więcej niewiele zmieni w tym tłoku – i wyciągam długą na palec różdżkę miotającą pociski z pochwy na lewym nadgarstku. Ledwo zdążam uruchomić ją muśnięciem Powłoki, zanim mnie dorwą. Lanca światła wystrzeliwuje z końca różdżki i przeszywa kolano jednego z atakujących

Kotów. Mężczyzna pada, ale drugi uderza we mnie jak szarżujący byk i ciska mną o ścianę.

Wytrąca mi różdkę z dłoni płazem ostrza i wali mnie głowicą przez łeb. Przechyliam się, więc nie łamie mi kości czaszki, ale i tak przed oczami wybuchają mi fajerwerki. Przyszpila mnie do ściany ramieniem, przyciska czubek ostrza do mojego gardła i warczy:

– A teraz co zrobisz, zdracliwa cipo?

Jego pewność siebie jest usprawiedliwiona – większość adeptów jest bezradna w walce wręcz, a ja jestem drobną, smukłą kobietą, ewidentnie nie stanowiącą zagrożenia. Z drugiej strony, po paru latach w roli żony mężczyzny, którego powszechnie uważa się za najlepszego żyjącego wojownika w walce wręcz, można podłapać to i owo.

Gryzę się w język, do ust napływa mi ślina. Biorę głęboki wdech i pluję mu prosto w oczy.

Mruga – wystarcza tylko tyle. W tym ułamku sekundy, kiedy ma zamknięte oczy, unoszę stopę, opieram brzeg buta o jego rzepekę kolanową i przenoszę na nią cały ciężar. Wiązadła pękają, kiedy rzepekka się przesuwają. Ból jest oszałamiający i podczas gdy mężczyzna nie może się zdecydować – czy najpierw wrzasnąć, a potem mnie dźgnąć, czy na odwrót – wykręcam się spod dociskającego mnie do ściany ramienia i uciekam. Nie będzie w stanie mnie gonić.

Bliźniacy stoją plecami do siebie; oddychają ciężko i krwawią, ale już pięć Kotów leży, a wyciekające z nich życie spływa na podłogę. Dak i Jak dorastali w więzieniu dla gladiatorów, walczyli jako zespół od szóstego roku życia – w walce w takim ścisku byli niepokonani.

Jednakże Koty właśnie odsuwają się od wyłomu w zewnętrznej ścianie, odsłaniając Bliźniaków kusznikom z drugiej strony ulicy. I zauważają, że ich kompan już mnie nie trzyma.

Potrzebuję sekundy, żeby znowu przejść na wewnętrzne widzenie. Powłoki migoczą wokół nich i szybująca koronka Przepływu wypełnia pokój. Moje dłonie odnajdują w sakiewce, którą mam u pasa, małe wiatraczek wielkości miedziaka – jest zrobiony z warstw platyny i złota, a pieczęć, jaką na nim zaklełam, jaśnieje zielenią młodych listków. Wzór wypełnia moją świadomość, kiedy unoszę wiatraczek do ust i dmucham.

Wzór rozprzestrzenia się od moich oczu ku Powłoce, potem sięga do strzaskanych belek i drzazg walających się po podłodze; ich drobniutkie wyblakłe Powłoki odzwierciedlają życie, które niegdyś w nich płynęło. Potrzebuję tylko sekundy, by połączyć wzorzec mocy wiatraczka z wyblakłymi Powłokami desek, utworzyć więź między nimi i łopatkami wiatraczka. Belki unoszą się z podłogi i kiedy znowu dmucham w wiatraczek, wirują.

I to szybko.

Wirują jak śmigła, jak piły tarczowe; wymachuję wiatraczkiem w powietrzu, sprawiając, że kręci się coraz szybciej i szybciej, a deski tak samo przyspieszają. Połączenie z wiatraczkiem sprawi, że będą się kręcić, a wykorzystując panowanie nad własną Powłoką, mogę ukierunkować ich lot.

Posyłam je na Koty. Skowyt wirujących desek miesza się z wrzaskami bólu i przerażenia



– największe belki uderzają z miażdżącą siłą, a nawet najdrobniejsze drzazgi tną do krwi.

– Wycofać się, idioci! Do tyłu! – warczy Berne z bezpiecznego korytarza.

Koty gramolą się ku dziurze w miejscu, gdzie wcześniej były drzwi. Połowę wirującego drewna posyłam za nimi, drugą część w stronę dachu naprzeciwko, żeby osłonić wycofujących się bliźniaków przed beltami z kusz. Przez szalony, radosny ułamek sekundy zaczynam wierzyć, że rzeczywiście może uda nam się wymknąć.

Świst bełtów z kuszy ledwo słyhać ponad rykiem wirującego drewna. Tylko dwa pociski przebiły się przez chmurę drewna do pomieszczenia – ale jeden z nich trafia Daka w łydkę. Te bełty to w przybliżeniu dwieście pięćdziesiąt gramów litej kutej stali i uderzają jak młot kowalski. Łydka Daka rozpryskuje się, chłopak pada z krzykiem, łapiąc się ramion brata. Jak odwraca się, żeby złapać go za rękę i podtrzymać, ale wtedy do pomieszczenia wpada Berne, jak zalana krwią błyskawica.

Jego skok przechodzi w akrobatyczne salto i hrabia ląduje na nogach, z szablą w rękach. Nerwowo odwracam kierunek lotu drewna, ale nim zdążę wprowadzić belki z powrotem do gry, Berne obraca się błyskawicznie i jego ostrze otwiera zionącą ranę w karku Daka. Chłopak nawet się nie zorientował, że hrabia jest w pomieszczeniu. Głowa Daka opada bezwładnie do przodu, obryzgując krwią twarz brata. Jak wyje niczym potępieniec, próbując upuścić brata i jednocześnie unieść miecz. Berne już obrócił szablę do ciosu do tyłu znad łokcia i wbija czubek ostrza przez otwarte usta Jaka, aż szabla wychodzi przez tył głowy.

W ciągu sekundy zabił dwóch najlepszych szermierzy w cesarstwie.

– Tarcza – mówi. – Osobista.

Kiedy całe moje drewno leci z łoskotem na niego, jego otacza już kula na wpół materialnego szkła. Belki bezradnie łomoczą o osłonę.

– Musisz się bardziej postarać – mówi Berne.

Strzepuje ostrze, chlapiąc krwią. Uśmiecha się.

Nie odpowiadam. Zamiast tego posyłam latające drewno na zewnątrz, na korytarz między Koty, a potem roztrzaskuję wiatraczek o ścianę obok mnie, sprawiając, że drewno wybucha i zamienia się – jak mam nadzieję – w oślepiającą chmurę drzazg i wiórów. Na zewnątrz rozlegają się wrzaski Kotów.

Berne patrzy na mnie, marszcząc czoło, a potem jego twarz się rozjaśnia.

– Pallas! – Uśmiecha się szeroko.

Rozpoznał mnie.

– To ty! Pallas Ril, ja pierdolę! To znaczy, że Caine jest z tobą? Nie, nie, nie muszę pytać. Gdyby był, stałby u twojego boku jak wierny psiak.

Cofam się przez wycięcie do następnego pokoju, a Berne idzie w moją stronę.

– To znaczy, że jesteś... sama? To... to ty?! Ty jesteś Simonem Błaznem? Ty?! Nieszczęśliwy Simon Błazen, Nieuchwytny Cierń w Łapie Ankhańskiego Lwa to pieprzona Pallas Ril. Niech mnie kozioł wydyma. – Oblizuje usta. – Marzyłem... – Jego głos staje się chrapliwy. –

Marzyłem o tym, żeby cię znowu spotkać. Mam pewne plany co do ciebie, Pallas. Kto wie? Może nawet ci się spodobać. A jeśli spodobać ci się wystarczająco, to może nawet je przeżyjesz.

Trzymam język za zębami i powoli się cofam – im dłużej Berne mówi, tym dalej uciekną Lamorak, Talann i Konnosi.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Właściwie to może być zabawne, zachować cię przy życiu. Wtedy będziesz mogła opowiedzieć Caine’owi, co ci zrobiłem.

Kręcę głową.

– To kiepski pomysł, Berne. Caine i ja... nasze drogi się rozeszły. Jego już nie obchodzi, co się ze mną stanie.

Berne kiwa głową.

– W porządku, więc zabawię się dla własnej przyjemności.

– Dopiero jak mnie złapiesz.

Gdy kończę mówić, skupiam się na oddechu, przechodząc znowu na widzenie wewnętrzne, podczas gdy moje palce szarpią troczki sakiewki przy pasie.

Berne parska śmiechem.

– Już cię złapałem.

Gładki kasztan, który pojawia się w mojej dłoni, zaczyna wydzielać dym. Szarpnięciem wytwarza potężny wir w Przepływie, kiedy koncentrując się na wzorcu wyzwalam czar. Berne widzi dym i rzuca mi litościwe spojrzenie.

– Nie trzeba być sprytnym, żeby być niezłym taumaturgiem, ale nie mogę uwierzyć, że jesteś tak głupia i myślisz, że zdołasz mnie zranić. Moc tej Tarczy płynie prosto od Ma’elKotha, ty głupia cipo. Nic nie może się przez nią przebić.

W ramach odpowiedzi podrzucam mu kasztan pod nogi, jak szklaną kulkę. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie rzucić tandetnym tekstem w stylu Caine’a, bo w ciele buzuje mi adrenalina i nadal nie potrafię uwierzyć, że zaraz umrę.

– Do zobaczenia na dole – mówię i skaczę w dziurę tuż za mną, kiedy kasztan wybucha kulą ognia, roztrzaskując podłogę i wyrzucając Berne’a, Tarczę i wszystko wokół przez wyłom w ścianie.

Jesteśmy zaledwie na drugim piętrze, upadek go nie zabije, ale lądowanie na ulicy z wysokości trzech kondygnacji może skończyć się złamaniem jednej, dwóch kości i trochę człowiekiem wstrząsnąć. A dziura w podłodze może nieco spowolnić Koty. Mam nadzieję.

Ląduję w mieszkaniu poniżej i zatrzymuję się akurat, żeby usłyszeć skomlenie dochodzące spod łóżka w kącie. Jakiegoś biedaka obudziły z głębokiego snu ogień, wybuchy i ludzie przebijający się przez sufit. Wzruszam ramionami – kryjówka pod łóżkiem to w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce w całym budynku.

Biegnę przez kolejne trzy wycięcia w ścianach i w ciągu kilku sekund doganiam

pozostałych. Lamorak pracuje przy ceglanej ścianie, łączącej ten dom z sąsiednim od południa, ale przebija się powoli. Końcówki jego spiętych w kucyk włosów już pociemniały od potu. Talann, która zabezpiecza tyły, kiwa do mnie głową.

– A gdzie bliźniacy?

– Nie żyją.

Odwracam się do dziury, przez którą weszłam, i wyjmuję z kieszeni jeszcze jeden rzeźbiony kwarc.

– Nie żyją? – Talann jest wstrząśnięta. – Obaj?

Nie odpowiadam, dopóki kolejna Tarcza nie zamknie dziury. Zaraz pojawiają się Koty, zeskakują przez sufit do najdalszego pomieszczenia i rzucają się w naszą stronę z mieczami w dłoniach.

– Tak – odpowiadam. – Dali nam trochę czasu. Nie marnujmy go.

Obie córki Konnosy wczepiły się w matkę i bezgłośnie łkają. Wstrząśnięty Konnos kręci głową.

– Powinienem był się poddać. Powinienem był się oddać w ich ręce. Ściągnąłem na nas nieszczęście.

– Zamknij się – mówię mu. – Nadal żyjemy i wygrzebiemy was z tego. Wszystkich. Lamorak, ile jeszcze?

Ściągną napinają mu się na szyi, kiedy przecina Kosallem cegłę u podstawy jednej strony łuku.

– Trzydzieści sekund – mówi chrapliwym głosem.

– Piętnaście. To moja ostatnia Tarcza i nie wiem, czy zdołam ją utrzymać przeciwko Berne'owi.

Koty tłuką obutymi nogami i ostrzami w Tarczę, a sprzężenie zwrotne przyprawia mnie o zawrót głowy. Rozdzierający huk dobiega z pomieszczenia przy wejściu do tego mieszkania – Koty znalazły drzwi z korytarza.

Talann wyciąga dwa długie noże i salutuje do mnie z uśmiechem szaleńca.

– Coś mi się zdaje, że wołają moje imię.

– Talann... – zaczynam, ale ona już wybiegła.

Nie na darmo gloryfikuje Caine'a: w walce zamienia się w ogarniętą szalem maszynę do zabijania, walącą stopami, pięściami i ostrzami; krzyki trwogi i bólu dobiegające z pokoju, do którego pobiegła, potwierdzają, że Koty nie były na nią gotowe. Łapię się na tym, że modłę się, by załatwiła ich jak najwięcej, nim ją zabiją.

Lamorak wyciąga Kosalla z cegieł i kopie w środek łuku. Ściana się przewraca, wzbijając chmurę pyłu. Lamorak pomaga przejść przez dziurę Konnosim. Łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie.

– Wystarczy tego cięcia, możesz pobiec prosto korytarzem i dalej zaułkiem, który skręca nad rzekę. Biegnij.

– Lamorak, zabijają cię...

Wzrusza ramionami.

– Albo mnie, albo ciebie. Ty sama możesz zabrać Konnosich. A ja niekoniecznie. – Puka Kosallem w przeciętą cegłę. – Za to tę dziurę mogę utrzymać przez długi, naprawdę długi czas. Jeśli dotrzesz do Sług, przyślij kogoś na pomoc.

Kiedy chcę zaprotestować, oślepiający strumień płomieni przebija się przez moją Tarczę, a ból sprawia, że poszarpane, czarne plamy pojawiają mi się przed oczami.

Nadchodzi Berne.

Kolana uginają się pode mną, a Lamorak przepycha mnie przez otwór.

– Proszę, uwierz mi, nigdy nie chciałem, żeby to wyszło w ten sposób. Przepraszam, Pallas. I teraz zapłacę za to.

– Zapłacisz? Lamorak...

Ale on już stoi plecami do mnie, jego ramiona zasłaniają wycięcie, a Kosall śpiewa, tnąc stal i kość.

– Uciekaj!

Konnos i jego żona – nagle ogarnia mnie wstyd, że nawet nie znam jej imienia – czekają na mnie, żebym ich poprowadziła.

– Bierzcie dziewczynki. Teraz musimy biec.

Każde podnosi jedną córeczkę i ruszają za mną, gdy wybiegam z mieszkania do – co za szczęście – pustego korytarza. Jest długi, prosty i wychodzi na niego mnóstwo drzwi. Okno na końcu jaśnieje złotym słońcem niczym obietnica zbawienia. Pędzimy jak wariaci.

Z okna patrzę na zaułek poniżej.

Pełno tam Kotów.

Musi być ich co najmniej dziesięć: dwie grupy po pięć zamykają widoczne wyjścia z zaułka. Dziesięć Kotów, a ja już nie mam nikogo, kto mógłby z nimi walczyć.

Konnos widzi mój wyraz twarzy.

– Co? Co się dzieje? Są tam, o wielcy bogowie, są!

– Jeszcze żyjemy.

Sięgam do kieszeni tuniki i wyciągam srebrny klucz. Potrzebuję sekundy, żeby przywołać wewnętrzne widzenie i dostroić umysł do lśniących pieczęci. Wkładam klucz do zamka najbliższych drzwi; otwiera się z trzaskiem. Wpycham wszystkich do środka.

To dwa połączone pokoje. Bogom dzięki – są puste.

– W porządku – mówię. – Mamy kilka sekund, żeby ustalić, co robimy. Dopóki nie będę korzystać z magji, nikt nas tu nie wykryje. Będą musieli otworzyć wszystkie drzwi.

– Nie możesz... nie możesz... – jąka się żoną Konnosa. – Nie możesz sprawić, żebyśmy stali się niewidzialni albo coś takiego?

– Nie bądź głupia – rzuca surowo Konnos. – Płaszcz nie zadziała bez wykorzystania magji. Dowolne magijne urządzenie, a także wielu ludzi, wyczuje szarpnięcie w Przepływie.

– Ale może... – zaczynam. – Może Płaszcz w połączeniu z potężnym niewykryciem...

Wytrzeszcza oczy.

– Daj mi ten twój zwój.

– Ale... ale...

Na korytarzu rozlegają się ciężkie kroki. To znaczy, że Lamorak już padł. Ta myśl sprawia, że wstrzymuję oddech i do oczu napływają mi łzy. Wbija mi w pierś płonący nóż, a to boli tak bardzo, że nie mogę myśleć.

Gwałtownie ocieram łzy z twarzy. Później będę miała czas na oplakiwanie go, o ile pożyję wystarczająco długo.

Łapię Konnosa za tunikę i przyciągam jego twarz ku sobie.

– Dawaj go.

Nie czekając na odpowiedź, zrywam mu szarpnięciem tubę z pasa. Odpycham go, a on, potykając się, leci do tyłu, podczas gdy ja odkręcam kościaną gałkę i wytrząsam zwój na dłoń.

– Nie jestem pewien, czy to...

– Masz lepszy pomysł?

Rozwijam mięciutką jagnięcą skórę. Wypisane złotym atramentem znaki natychmiast wypalają się w moim umyśle. Ledwo mam czas, żeby przywołać wewnętrzne widzenie i otworzyć Powłokę, nim dziwaczna pieśń zaczyna automatycznie wylewać się z moich ust. Słowa rozbrzmiewają w powietrzu...

...i nie było już ani światła, ani dźwięku, nie było już Pallas; był tylko Hari Michaelson siedzący na symfotelu przewodniczącego Kollberga, z potem spływającym na czoło. Osłona przed oczami zgasła i słyszał tylko własny chrapliwy oddech i serce tłukące o żebra jak młot spadowy.

#### 4

Miał wrażenie, że upływały całe minuty, gdy siedział sztywny i spocony, konwulsyjnie wbijając palce w skórę podłokietników. Nie mógł myśleć i nie mógł przełknąć śliny z powodu ogromnej ręki, która wyciskała mu oddech z piersi.

– To, ehm, wszystko, co mamy. – Głos Kollberga dobiegł gdzieś spoza wszechświata.

To pewnie właśnie jest uczucie paniki, pomyślał niezbyt przytomnie Hari. Tak, to właśnie to: panika.

Hełm indukcyjny uniósł się i Hari nie miał już na co patrzeć, jeśli nie liczyć okrągłej jak księżyc twarzy Kollberga, wykrzywionej uśmiechem na gumiastrych wargach.

– To, ehm, dość... hm... dość mocne przeżycie, co?

Hari przymknął oczy. Im dłużej patrzył na twarz tego zadowolonego z siebie drania, tym

mniej dzieliło go od popełnienia przestępstwa: wymuszonego kontaktu cielesnego.

Kollberg był Administratorem; chociaż wymuszony kontakt z nadkastowym nie był już zbrodnią karaną śmiercią, nadal oznaczał degradację do podkasty Robotników i pięć lat pracy w obozie społecznym. Kiedy miał pewność, że zapanuje nad swoim głosem, odezwał się:

– Ona żyje?

– Nie wiadomo. Koniec tego sześcianu to nasz ostatni kontakt z nią. Nie mamy zdalnych pomiarów, nie wykrywamy sygnału jej przekaźnika. Uważamy, że, ehm, ten zwój, ten czar na nim, zerwał połączenie myśloemiterowe.

Hari przycisnął opuszki palców do powiek i oglądał fosfeny wybuchające mu deszczem iskier przed oczami.

– Ile ma czasu?

– Zakładając, że nadal żyje...

– Ile?

Głos Kollberga stał się lodowaty:

– Nie przerywaj mi, Michaelson. Znaj swoje miejsce.

Hari otworzył oczy i opadł na oparcie fotela. Kollberg stał przed nim i czekał. Niewidzialna ręka gniotła pierś Hariego w zacieśniającym się uścisku, który prawie uniemożliwiał mu mówienie.

– Przepraszam, Administratorze.

Kollberg pociągnął nosem.

– Dobrze. Ta sekwencja, którą właśnie oglądałeś pośrednio, pochodzi z dzisiaj, z około dziesiątej rano czasu ankhańskiego. Bateria w jej myśloemiterze ma dość ładunku, żeby zachować synchronizację amplitudy przez sto siedemdziesiąt godzin, plus minusz dziesięć. W najgorszym wypadku zostało jej sto pięćdziesiąt siedem godzin. Jeśli pojawi się w ustalonym punkcie transferowym wcześniej, bardzo dobrze. W przeciwnym wypadku...

Hari siedział w bezruchu, a jego umysł zalewały przerażające wizje. Desynchronizacja amplitudy to koszmar każdego Aktora. Młodym Aktorom w czasie szkolenia w Studyjnym Konserwatorium pokazuje się serie hologramów z tego, co zostało z Aktorów, którzy wypadli z fazy z Nadświatem; zwykle powraca tylko bulgocząca masa nieodróżnicowanej protoplazmy albo garść powykręcanych, na wpół skryształizowanych odłamków, lub coś równie niemożliwego do opisanego – a to jeszcze znośne przykłady, łatwe, takie, których wspomnienie nie rani.

Od czasu do czasu w niektórych z nich da się dostrzec, że kiedyś to coś było człowiekiem.

– Czy ona chociaż wie, że jest odłączona? – zapytał cicho Hari.

Zaokrąglone ramiona Kollberga uniosły się.

– Szczerze mówiąc, najprawdopodobniej nie żyje.

– Wpuść mnie tam. Znam miasto. Znajdę ją.

Albo jej ciało.

Siłą woli Hari odpędził tę myśl, obiecując sobie, że jeśli znajdzie jedynie jej ciało, to odnajdzie też Berne'a.

Zobaczymy, jak kanalizujesz moc, ty pojebie. Zobaczymy, jak kanalizujesz z moimi palcami w oczodołach.

– Przepraszam bardzo? – Kollberg uniósł brwi, a jego marudny ton małego tyrana wyrwał Hariego z krwawej fantazji. – Chyba się przesłyszałem... I myślę, że powinieneś wstać z fotela. Natychmiast.

Hari pochylił głowę i się zmitygował. Kollberg trzymał w swoich miękkich, białych jak u trupa rękach życie Shanny. Powoli wstał z symfotela, z nadal spuszczoną głową i wbijając wzrok w ziemię. Starał się mówić z całym przekonaniem, na jakie było go stać mimo płonącego w piersi ognia:

– Proszę, Administratorze. Możemy dobić targu? Proszę, wyślij mnie do Ankhany.

– Tak lepiej. To właśnie miałem, ehm, nadzieję usłyszeć. Chodź ze mną do Centrum Kontraktowego.

## 5

Hari i Kollberg niemal całkowicie wypełnili dźwiękoszczelną kabinę z pleksi pośrodku Centrum Kontraktowego. Na zewnątrz na wysokich stołkach siedziało dwóch Prawników Studia, którzy byli także zarejestrowanymi świadkami. Kollberg wiercił się i bawił swoim notatnikiem, podczas gdy Hari powoli przeglądał kontrakt. W pozostałych kabinach, rozrzuconych po pomieszczeniu, pomniejsi Aktorzy przeglądali standardowe umowy w towarzystwie innych prawników.

Kontrakt w eufemistycznych słowach określał zobowiązanie Caine'a do „barwnej i trzymającej w napięciu próby odsunięcia od władzy obecnego cesarza ankhańskiego”. Nawet w dokumentach najbardziej uprzywilejowanych i najtajniejszych Studio nigdy otwarcie nie zlecało Aktorowi zabójstwa.

Hari podniósł wzrok znad ekranu.

– Tu nie ma ani słowa o Shannie.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział niefrasobliwie Kollberg. – Ty chcesz udać się do Ankhany, a my chcemy wyeliminować Ma'elKotha, już wytłumaczyłem czemu. To bardzo prosty układ.

– Skoro tak wam zależy, żeby go zabić, dlaczego po prostu nie prześlecie sześciu facetów z karabinami do pałacu Colhari?

– My, ehm... – Kollberg odkaszlnął w pięść. – Próbowaliśmy tego, tyle że wysłaliśmy ośmiu, a nie sześciu. I, ehm, nadal nie wiemy, co dokładnie się stało.

Hari popatrzył na niego i zamrugał. Zamrugał jeszcze raz i powiedział:

– Och.

I znowu skupił się na kontrakcie.

– Tak, cóż, po tym incydencie, Ma’elKoth, ehm, zrobił coś ze swoim pałacem. Nie wiemy co, ale to uniemożliwia nam skanowanie. W obrębie terenów pałacowych jesteśmy ślepi i głusi. Każdy Aktor, który przejdzie przez bramę, jest odcięty, dopóki nie opuści pałacu.

– Rozumiem. – Hari położył łokcie na biurku i oparł twarz na dłoniach. – Nim to podpiszę, potrzebuję więcej informacji.

– Z pewnością wszystko, co odnosi się do sprawy, znajdzie się w twoim fakspaku.

– Na przykład, co się stało z Lamorakiem? Karl nie żyje?

Kollberg uniósł notatnik i wklepał zapytanie. Z zaciśniętymi ustami odczytał z ekranu odpowiedź i powiedział:

– Nie jesteśmy pewni. Na podstawie sześcianu Pallas zakładamy, że zginął.

– Jak możecie nie mieć pewności? Czy ten pieprzony czar jego też odciął? Można tak?

– Jeśli idzie o efekty tego czaru, to nie mamy zielonego pojęcia, jak właściwie działa. Pytałem Archiwa, ale nie mają żadnych zapisów na temat zaklęcia o takim działaniu. Twierdzenia tego całego Konnosa, jakoby był twórcą zaklęcia, musimy uznać za prawdziwe. Możemy tylko powiedzieć, że wydaje się, ehm, wyjątkowo potężne. Ale to ma się nijak do Lamoraka. Nigdy nie był podłączony.

– Nie rozumiem.

– To... pilotażowy program mojego pomysłu. Nazywam go długozapisem. Lamorak jest na czemodzie.

Kollberg wstał i zaczął krążyć po kabinie – dwa kroki w przód, dwa kroki w tył.

– Lamorak, to znaczy Komediant Shanks... Według jego Patrona jego kariera nie rozwijała się satysfakcjonująco. Do programu długozapisu zgłosił się na ochotnika. Zamiast mieć bezpośrednią widownię, współdoświadczającą jego Przygód w realnym czasie, co ogranicza je do typowego okresu średnio dziesięciu dni, wszczepiono mu prototypowy myśloemiter, który zawiera mikrosześcian i rylec. Będzie rejestrować jego doświadczenia maksymalnie do dwóch miesięcy, po których Lamorak zostanie przetransferowany z powrotem na Ziemię. Potem sześcian zostanie wydany w standardowym formacie pośrednim. To pozwoli na znaczne rozszerzenie fabuły i...

– To szaleństwo – przerwał mu Hari. – Administratorze! Mówisz mi, że nikt nie wie, czy któreś z nich w ogóle żyje? Jezu Chryste!

Kollberg pokiwał głową.

– Tak, wiem, to straszne. Największa szkoda, że ostatnio Przygody Pallas były dość nudne. Jej operacja „Simon Błazen” to przemykanie uciekinierów poza cesarstwo... to wszystko było zdecydowanie zbyt proste. A kiedy wreszcie zaczęło się robić ciekawie, wydarzyło się coś takiego. Straszne.



– Simon Błazen – mruknął Hari.

Między skrońmi czuł narastający, pulsujący ból. Simon Błazen był fikcyjnym rewolucjonistą z zakazanej dwudziestowiecznej powieści. Hari miał kilka tajnych kopii zakazanych książek i zapoznał Shannę z grzeszną przyjemnością lektury dzieł takich nie ludzi jak Heinlein. Te książki zostały zakazane nie bez powodu. Cholera, z tego co wiedział, właśnie libertariańska propaganda Heinleina mogła sprowokować u Shanny ten bunt przeciwko władzy. Gdyby nigdy nie dał jej powieści „Luna to surowa pani”, to czy w ogóle próbowałaby się przeciwstawić rządowi cesarskiemu?

„Dość tego”, powiedział sobie. Sprawy i tak już wyglądały wystarczająco źle. Nie musiał jeszcze wymyślać sposobów, żeby za wszystko obwiniać siebie.

Przycisnął knykcie do pulsujących skroni i powiedział:

– Więc nic nie wiemy. Nie możecie mi nic powiedzieć.

– Mogę ci powiedzieć jedno – powiedział Kollberg, stając nad nim. – Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, jeśli chcesz pomóc swojej żonie, jeśli w ogóle chcesz iść do Ankhany, musisz podpisać kontrakt na wyeliminowanie Ma’elKotha.

– A dlaczego sądzisz, że w ogóle jestem w stanie to zrobić? Administratorze, nie poradził sobie z nim oddział specjalny z karabinami. Co niby ja mam zrobić? – zapytał zdesperowany Hari.

– Pokładam bezgraniczną wiarę w twoją... hm... pomysłowość.

– To nie jest jak zabicie Toa-Phelathona. Oglądałeś ten sześcian, który przed chwilą mi pokazałeś? Jaką mocą musi dysponować Ma’elKoth... No bo ja właściwie potrafię tylko bić ludzi. Jak mam przeciwstawić się tego typu magji?

– Ale przecież masz moc – odpowiedział Kollberg. – Moc gwiazdy.

Mówił to tak, jakby naprawdę wierzył, że Caine może wszystko, dopóki pozostaje w Pierwszej Dziesiątce.

– Administratorze... – Hari z wysiłkiem szukał słów, które nie zabrzmiałyby zbyt ostro, tonu, który nie obudziłby w Kollbergu małostkowej kastowości. – Dlaczego? Dlaczego nie mogę podpisać kontraktu na odnalezienie Pallas i Lamoraka i sprowadzenie ich? Dlaczego nie mogę pójść po Ma’elKotha po tym, jak Shanna już będzie bezpieczna?

Żałosna słabość we własnym głosie przyprawiła go o mdłości, ale nic na to nie mógł poradzić.

– Po pierwsze... – odparł łagodnie Kollberg. – Nie sądzę, żebyś ruszył po niego, gdy oni będą już bezpieczni. Po drugie, nie widzisz, jaka z tego powstaje historia? Masz pojęcie, jaką widownię przyciągniesz, idąc do Ankhany i nie wiedząc, czy twoja ukochana nadal żyje, czy nie, ale poprzysiągłszy zabić jej wrogów lub zginąć przy próbie ich zabicia? Masz w sobie dość romantyzmu, żeby zrozumieć, jak to podziała?

– Moja ukochana? – Hari pokręcił głową. – Nie czytałeś nagłówków w sieci na temat mojego osobistego życia, Administratorze.

– To się w ogóle nie liczy, nie rozumiesz?

W kącikach ust przewodniczącego pojawiły się maleńkie, białe pęcherzyki piany. Wymachiwał rękoma, jakby łapał słowa, a w jego głosie zabrzmiała energia, której Hari nigdy wcześniej nie słyszał.

– Nie pojmujesz, jak widzą twoje życie inni. Wychowany na ulicy chłopak z Robotniczych slumsów Frisco, który staje na szczycie Studia... Jesteś występny i bezwzględny zabójcą, którego serce zmiękło dla dystygowanej debutantki o żelaznych zasadach z kasty Handlowców. Idealny układ: nie wymodliłbym lepszej historii. Wszelkie problemy, jakie macie wy dwoje, to z perspektywy widowni zaledwie przejściowe trudności. Wszyscy wiedzą, że będziecie żyć długo i szczęśliwie.

– O ile ona jeszcze w ogóle żyje – mruknął Hari.

Te słowa padły z jego ust bez wysiłku; niezwykle łatwo jest przekreślić nóż we własnym brzuchu.

– To byłaby, ehm... – Kollberg zacisnął usta i precyzyjnie dobrał następne słowo: – Tragedia. Ale historii to nie zaszkodzi. Mój boże, Hari, to może być coś większego od *Odwrotu z Boedecken*: miłość, morderstwo, polityka... i Berne. – Pochylił się nad Harim i zniżył głos do pełnego czci szeptu: – Hari, to może być większy hit niż *Ostatni Bój pod Ceraeno*...

Hari spojrzał w wilgotne, wytrzeszczone oczy Kollberga i zrozumiał, że już nic nie może powiedzieć, nic nie może zrobić, nie ma niczego, czym mógłby się posłużyć. Mógł co najwyżej odwołać się do cokolwiek wątego poczucia przyzwoitości, jakie się jeszcze tliło u przewodniczącego.

– Jeśli to zrobię... – wycedził. – Jeśli mam zdjąć Ma’elKotha, chcę, żeby Studio zobowiązało się, żeby pan osobiście zobowiązał się, że Studio zaleje Ankhanę Aktorami. Że wykorzystacie wszelkie zasoby, żeby ją odnaleźć i sprowadzić z powrotem. Proszę, Administratorze.

Kollberg najwyraźniej rozważał słowa Hariego. Wykrzywił usta i otarł pot znad górnej wargi, a potem pokręcił głową.

– Nie. Nie, nie podoba mi się to. Ta historia jest lepsza, gdy wszystko zależy od ciebie.

– Administratorze...

– Nie, to ostateczna decyzja. Podpisz kontrakt albo wracaj do domu. Twój wybór.

Krew dudniła Hariemu w obolałej głowie. Przed oczami miał czerwoną mgiełkę, a jego dłoń drżała, kiedy przysuwał pisak do ekranu.

Nie mam wyboru.

Nawet gdyby chciał odmówić, nie mógł. W głowie ciągle rozlegał się głos Pallas: „Jego już nie obchodzi, co się ze mną stanie”.

Wierzyła w to? Mogłaby? Cały czas myślał o Lamoraku, który stalą i odwagą zatrzymał pościg przy wyłomie. Chciał wierzyć, że zrobiliby to samo, albo może nawet coś lepszego – że

uratowałby ją, nie poświęcając siebie. Ale to nie byłoby to samo: zaryzykować własne życie i Shanny dla jakiejś tubylczej rodziny, której nawet nie znał? Nigdy w życiu.

Caine rzuciłby Konnosich Kotom bez chwili zastanowienia.

Ale kiedy poświęcę kciukiem ten kontrakt, pójde dokładnie w ślady Lamoraka.

Zabić Ma'elKotha albo zginąć przy próbie zabicia go. Trzecie wyjście – zawieść, przeżyć, albo w ogóle nie próbować – byłoby pogwałceniem kontraktu, które mogłoby mieć konsekwencje, o jakich nawet nie śmiał myśleć.

Wiedziałem, jaka jazda się szykuje, zanim tu usiadłem, pomyślał. Ciekawe, czy po mojej śmierci będzie tak samo cierpieć, jak cierpiała, gdy zginął tamten?

Podpisał się na migoczącej linii i przycisnął kciuk do skanera DNA.

– Ach, dobrze – powiedział z zadowoleniem Kollberg. – Publikacje w sieci są już gotowe. Będziesz najważniejszym tematem w wieczornych *Przygodach na żywo*. Odwiedź Media po drodze do wyjścia i weź zestaw do wywiadu. Umieścimy cię w *Smoczycy opowieściach* z LeShaun Kinnison i lepiej, żebyś był przygotowany. Planowany transfer jutro o ósmej.

– Jutro?! Ale...

Ale to osiemnaście godzin!

Osiemnaście godzin z cennego czasu Shanny. Stracony niemal cały dzień.

– Oczywiście, że jutro – szybko rzucił Kollberg. – Nawet przy błyskawicznej ogólnoświatowej kampanii, którą szykujemy, potrzebujemy przynajmniej tyle czasu, żeby przyciągnąć wystarczająco dużo publiczności i pokryć wydatki. I masz się pojawić na przyjęciu dla abonentów. Nie ma potrzeby zjawiać się punktualnie; nie zaszkodzi odrobina napięcia i wyczekiwania. Powiedzmy, dwudziesta pierwsza trzydzieści dziś wieczór? W brylantowej sali balowej, rzecz jasna.

Hari zamarł.

Jeśli ją stracę... Jeśli ją stracę z powodu tego opóźnienia, przez ciebie, znajdziesz się na mojej krótkiej liście. Bardzo krótkiej liście. Zaraz za Berne'em.

– Tak, Administratorze. Przyjdę – powiedział cicho.

## 6

Łkania i jęki zza podwójnych drzwi wzniosły się do wrzasków agonii, które powtarzały się z nieubłaganą regularnością fal nadchodzącego przyływu.

Jego Miłość Szlachetny Toa-Sytell, Cesarski Książę Porządku Publicznego, siedział na brzegu wygodnego fotela na drugim końcu antykamery, z łokciami na kolanach i splecionymi dłońmi. Z chłodną pogardą patrzył na świeżo upieczonego hrabiego Berne'a. Starał się ignorować wrzaski, które dochodziły z sąsiedniego pokoju; gdyby nie znalazł kozła ofiarnego, te krzyki mogłyby dobywać się z jego własnego gardła.

Przyjrzał się Berne'owi – obrzucił go spojrzeniem od gęstej platynowej czupryny do poplamionych krwią butów z miękkiej skórki, sięgających do połowy łydki. Próbował wyobrazić sobie, co musiał myśleć sobie Berne, kiedy we dwóch czekali przed Żelazną Komnatą na sąd Ma'elKotha. Hrabia stał przy przeszklonym oknie, które wypełniało ścianę antykamery, i gryząc paznokcie kciuka, gapił się na Ankhanę.

Książę miał wyjątkowo drobiazgową i żywą wyobraźnię, ale też bardzo dosłowną; nauczył się nie pozwalać sobie na fantazjowanie. Mógł dokładnie wyobrazić sobie, co Berne widzi przez okno.

Z tego punktu widzenia – wysoko na Wieży Zmierzchu w pałacu Colhari – dzielnica finansowa na zachodnim koniuszku wyspy Starego Miasta rozciągała się w dół jak na jednym z modeli Ma'elKotha – barokowa i ozdobna, podświetlona płomiennoczerwonym zachodzącym słońcem. Chyląc się ku zachodowi, krzesło teraz ogień z powolnie gotującej się Wielkiej Chambaygen, ukrywało śmieci i ludzkie nieczystości, które Ankhana wlewała do rzeki. Złociło ogromne sieci przeciwstatkowe, ciągnące się z północno-zachodniego i południowo-zachodniego garnizonu nad odnogami rzeki do Wieży Pierwszej na najbardziej zachodnim koniuszku wyspy. Ogniska na Plaży Publicznej na południe od Miasta Obcych migotały jak gwiazdy na czystym niebie, witały tłumy podludzkich i półludzkich robotników, żebraków i ulicznych sprzedawców, którzy tłoczyli się na Moście Rycerzy, żeby zdążyć przed godziną zmroku. Tylko istoty czystej krwi mogły przebywać na centralnej wyspie po zmierzchu.

Toa-Sytell podejrzewał, że myśli Berne'a kierują się raczej ku wschodowi, gdzie podobne tłumy przechodziły Mostem Głupców ku Drodze Łotrów między Kolonią i Parkiem Przemysłowym. Ci z pieniędzmi będą skręcać w lewo do swoich ponurych czynszówek gnieźdzących się między manufakturami. Ci bez grosza będą skręcać w prawo, żeby spróbować swoich szans na ulicach Kolonii.

To w Kolonii Simon Błazen po raz kolejny wymknął im się z rąk i żaden z nich nie rozumiał na razie, w jaki sposób to zrobił.

Mięśnie wybrzuszyły się na szczękach Berne'a, który ścisnął pochwę miecza z taką siłą, że zatrzeszczały mu knykie. Toa-Sytell nigdy wcześniej nie widział, żeby Berne nosił ten miecz. Był dłuższy i szerszy niż ostrza w stylu hrabiego; Berne nosił go na plecach z rękojeścią wystającą nad lewym ramieniem. Typowa dla hrabiego swoboda zniknęła, co wyglądało podejrzanie. Toa-Sytell zgadywał, że hrabia się boi. Nie było w tym nic zaskakującego i Toa-Sytell nie miał mu tego za złe. Obaj mieli wystarczająco dużo powodów, żeby się bać.

Berne nadal miał na sobie zaplamione krwią ubrania, które nosił przez cały dzień w czasie pełnych kurzu, wyczerpujących i ostatecznie jałowych poszukiwań. Krew, która zaschła rozbryźnięta na jego piersi, należała przede wszystkim do gladiatora, którego kark przeciął w czynszówce, ale część wypłynęła z ran zadanych Kotom.

Ani odrobina tej czerwieni nie należała do Berne'a. A szkoda.

– Nie lubię, kiedy ktoś się na mnie gapi.

Berne nie odwrócił się od okna, a w jego jak zwykle rozdrażnionym głosie pojawiła się niebezpieczna nutka. Toa-Sytell wzruszył ramionami.

– Przepraszam – odparł beznamiętnie.

– Trzymaj oczy przy sobie, jeśli chcesz je zachować.

Toa-Sytell uśmiechnął się blado.

– Już przeprosiłem.

Berne odchodził teraz od okna, jego jasne oczy płonęły.

– Zbyt łatwo przeprosiłeś, ty pozbawiony kręgosłupa lachociągu.

– Zapominasz się – mruknął Toa-Sytell. Spojrzał prosto w oczy Berne'a, dyskretnie gładząc palcami rękę sztyletu, który nosił w ukrytej w rękawie pochwie przy nadgarstku. – Być może Ma'elKoth skaze mnie i odda tobie, ale do tego czasu zważaj na słowa, katamito.

Jego obojętny ton i słowa sprawiły, że twarz Berne'a zrobiła się szkarłatna. Toa-Sytell był w pełni przekonany, że nie przeżyłby ataku hrabiego; już kilka miesięcy temu, przed nadaniem tytułu szlacheckiego, Berne był niesławnym rzezimieszkiem, którego umiejętności szermiercze stały się niemal legendarne. Z drugiej strony, dopóki Toa-Sytell trzymał palce na sztylcie, doskonale wiedział, że Berne również by nie przeżył.

Coś z tej pewności musiało pojawić się na jego twarzy, bo Berne postanowił nie drążyć tematu. Splunął na błądy wapien posadzki u stóp księcia i wrócił pod okno.

Toa-Sytell wzruszył ramionami i dalej mu się przyglądał.

Wrzaski osiągnęły punkt kulminacyjny.

Toa-Sytell był mężczyzną przeciętnej postury i miał równie przeciętną twarz – jedną z tych zwyczajnych, regularnych, które się zapomina, gdy tylko odwróci się wzrok. Jedyne bystry umysł, ukryty za niewartymi zapamiętania oczami, był nadzwyczajny. Przez dwadzieścia trzy lata służył w Królewskich Oczach i w tym czasie awansował od zwykłego „ogona” do szefa organizacji. Urodził się pod pospolitym nazwiskiem Sytell. Od niezjącego Toa-Phelathona otrzymał przywilej dodania sobie przedrostka wraz z tytułem szlacheckim. Przetrwał trwający rok chaos wojny domowej, która wybuchła po zamordowaniu księcia regenta i Małej Królowej, dzięki czemu stał się równie niezastąpiony dla wszystkich stron, nigdy nie szukając władzy dla siebie, ale gromadząc środki i ludzi dla agencji, którą prowadził.

On jedyny z rady książęcej przetrwał przewrót Ma'elKotha, zachowując nie tylko życie, ale i wpływy. Nowy cesarz doskonale zdawał sobie sprawę, jak cenny jest Toa-Sytell.

Właściwie to sam Toa-Sytell doradził Ma'elKothowi, żeby przybrał tytuł „cesarza” – niespokojna i kłótniwa arystokracja nigdy nie zdzierzyłaby króla, w którego żyłach nie płynie nawet kropla królewskiej krwi, ale cesarz to inna sprawa. Być może cesarze zawsze

wywodzili się z ludu i rządzili dekrétami, wspierani przez wierne wojsko. Kto mógł temu zaprzeczyć? Ankhana nie miała cesarskich tradycji – naród w końcu stał się cesarstwem głównie dzięki oszałamiającym sukcesom Ma’elKotha jako zaufanego generała Toa-Phelathona.

Tym wątplym uzasadnieniem mogła posłużyć się arystokracja, żeby uspokoić poddanych. Sami nie musieli w to wierzyć; o współpracę z ich strony dbały nieustające w swoich wysiłkach Królewskie Oczy.

Pod przywództwem Toa-Sytella Królewskie Oczy wyrosły z prostej zbieraniny szpiegów i informatorów na prawdziwą tajną policję o niemal nieograniczonej władzy. Rzadko zdarzał się książę, hrabia czy choćby prowincjonalny baron, który ośmieliłby się szepnąć słówko o zdradzie, nawet własnej żonie w zaciszu sypialni. Królewskie Oczy widziały nawet – jak mawiano – przez najgrubszy kamień.

Ale nie wystarczyło jedynie wiedzieć o zdradzie, by ją stłamsić. Arystokratów łączyły wyrosłe z tradycji, splątane sieci sojuszków i więzów krwi, które pozwalały im bronić się w starciu z władzą Dębowego Tronu. Zaatakować jednego oznaczało rozpętać wojnę domową na pełną skalę. Te alianse sprawiały, że arystokracja pozostawała nietykalna, dopóki Ma’elKoth nie wymyślił najgenialniejszej strategii: *Aktir-tokar*.

Baron, który szeptał przeciwko cesarskiej władzy, mógł nagle zostać zadenuncjowany jako *Aktir*. Oczywiście sprzymierzeńcy nieszczęśnika wiedzieli, że oskarżenie sfabrykowano, ale ta wiedza niczego nie zmieniała. Obejmujące całe cesarstwo szaleństwo *Aktir-tokar* rozprzestrzeniło tak gorączkową podejrzliwość i lęki, że każdy arystokrata, który by poparł zadenuncjowanego, musiałby stawić czoło nagłemu buntowi chłopów i wielu uzbrojonych wasali. Jeden po drugim, w precyzyjnie wykalkulowanym tempie, arystokraci padali; niedługo ostaną się tylko ci, którzy poparli Ma’elKotha, oraz ci z niedobitków, którzy za bardzo się bali, żeby krzywo spojrzeć na cesarza.

Toa-Sytell zajmował się nie tylko najwyższymi szczeblami społeczeństwa Ankhany; kierował także Cesarską Strażą i powoli przejmował kontrolę nad elementami przestępczymi cesarstwa. Już dyskretnie przejął panowanie nad najbardziej wpływowymi gangami w Kolonii, a jego ludzie infiltrowali szeregi pozostałych. Królewskie Oczy rozprzestrzeniły się po całym cesarstwie. Składały raporty wyłącznie Toa-Sytellowi i przyjmowały tylko jego rozkazy. Z pewnością mógłby sam kontrolować cesarstwo, w tajemnicy, ale nie robił tego. Jego ambicje nie kierowały się w tę stronę.

Krwawe słońce chowało się za horyzontem, zalewając szkarłatem zbyt ładną twarz Berne’a.

Wrzaski dobiegające z Żelaznej Komnaty gasły wraz ze światłem. Kiedy ogromny mosiężny dzwon w świątyni Prorithuna obwieścił godzinę zmroku, łkanie za drzwiami zagłuszył nowy głos, mroczne i okrutne dudnienie, którego wibracje Toa-Sytell czuł we wnętrzościach. Słowa nic nie znaczyły, ale już sama głębia tonu była jak palec wbijający się

pod obojczyk. Toa-Sytell wzdygnął się i nawet nie starał się słuchać.

Istniał tylko jeden żywy człowiek, którego Toa-Sytell się bał – ale istoty, z którymi Ma’elKoth układał się za tymi drzwiami, nie były ludźmi. Nie były też, w ścisłym tego słowa znaczeniu, żywe.

Coraz trudniej było ignorować rozbrzmiewający w cichej antykamerze krzyk. Toa-Sytell potarł przedramiona, wygładzając gęsią skórkę, i odezwał się, głównie po to, żeby wypełnić czymś ciszę:

– Jeden z więźniów, Lamorak, pytał o ciebie.

Berne się zachnął.

– No, ja myślę.

– Tak? – mruknął łagodnie Toa-Sytell. – A to czemu?

Berne odkaszlnął w pięść i odwrócił się od księcia. Toa-Sytell czekał na wyjaśnienia, obserwując hrabiego bez zmrużenia oka, z cierpliwością węża, który zwinął się przed norą królika.

Cisza, podkreślana odgłosami dobiegającymi z przyległego pokoju, przeciągała się w nieskończoność. Berne znowu zakaszłał.

– Cóż, mam jego miecz, prawda?

– Tak?

Berne wyciągnął gładkim ruchem ostrze znad ramienia. Krawędzie miecza załśniły w szkarłatnym zmierzchu i wyraźny, jęklivy pomruk dobiegł do uszu Toa-Sytella.

– Zaklęte ostrze, Kosall. Słyszałeś o nim?

– Nie.

– Nie szkodzi, w każdym razie jest. Znaczy, jest zaklęty. Wypchany magją po uszy. – Przekrzywił trzymany za rękojeść miecz i podziwił go w gasnącym świetle. – Wszystko przecina. Lamorak prawie mnie nim zabił. Załatwił dwóch moich chłopców, a kiedy sam stanąłem przeciw niemu, pierwszym uderzeniem przeciął moją szablę na pół, o dłoń od gardy.

– Jak go załatwiłeś?

– Złapałem to ostrze w obie dłonie, przytrzymałem i przykopałem mu tak, że mu wyszły na wierzch gały. – Berne uśmiechnął się jak zadowolony z siebie młodzień, rozluźnił pięści i przeciągnął się. Otworzył dłonie i pokazał je Toa-Sytellowi, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? Tnie wszystko, ale nie mnie”. – Bycie faworytem Ma’elKotha ma swoje plusy.

– Ale to żadna odpowiedź. Przesłuchiwałem oboje godzinami. Dlaczego upierałby się, że chce rozmawiać tylko z tobą?

– Może dlatego że go pokonałem – zasugerował Berne, wzruszając ramionami. – To kwestia honoru, sprawa między mężczyznami. Nie zrozumiesz.

– Ach, tak – odparł beznamietnie Toa-Sytell. – Wystarczająco jasno widzę, że kryje się tu coś, czego nie rozumiem. Na razie.

Berne tylko uśmiechnął się krzywo i zakręcił zaklętym ostrzem, rysując skomplikowaną

krzywą, po czym schował je do pochwy. Wrócił do okna.

Przypominający odległy grom drapieźny głos przycichł po pewnym czasie i nagle rozległ się strzał – jakby wybuch albo kłaśnięcie olbrzyma. Negocjacje Ma’elKotha się zakończyły.

Berne podszedł z wahaniem do wewnętrznych drzwi – wielkiej, czarnej płyty z kutego na zimno żelaza. Na drzwiach wisiał masywny pierścień, któremu nadano kształt starożytnego symbolu węża pożerającego własny ogon. Uniesienie go i opuszczenie to prosta sprawa, sekunda pracy, żeby wydobyć rezonujący brzęk, ale dłoń Berne’a, kiedy sięgał po pierścień, drżała jak ręka starca. Szybko zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy Toa-Sytell to zauważył.

Książę pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmiech.

Pośrodku antykamery zerwał się wiatr, jakby ktoś otworzył okno, przy którym stał Berne, a na zewnątrz szalała wichura. Wiatr gładko pchnął ogromne drzwi i rozległ się szum przypominający odgłos odległego wodospadu.

– Berne. Toa-Sytell.

Głos cesarza był dźwięczniejszy i bardziej rezonujący niż świątynny dzwon, który niedawno obwieścił godzinę zmierzchu. Toa-Sytell nawet się nie zdziwił, skąd Ma’elKoth wie, że tam czekali. Ma’elKoth zawsze wszystko wiedział.

– Dołączcie do mnie, moi kochani szlachetnie urodzeni.

Toa-Sytell wymienił spojrzenie z hrabią, którym pogardzał – teraz pobratymstwo między nimi wynikało ze wspólnego lęku – a potem razem przekroczyli próg.

Żelazna Komnata, w której stali, została zbudowana ponad sto lat wcześniej, na początku panowania Til-Menelethisa Złotego, ostatniego ankszańskiego króla, który parał się czarami. Pozbawione okien wnętrze wyłożono arkuszami czarnego żelaza, a złącza wzmocniono wiążącymi runami ze srebra. Srebrne runy obramowywały też drzwi i jedyne dwa miejsca, gdzie odsłonięto kamień: dwa mistyczne kręgi, jeden na środku podłogi i drugi nad nim, na suficie.

Na rozkaz rady książęcej komnatę zapieczętowano na czas małoletności dziedzica Til-Menelethisa, gdy ów nieszczęsny eksperymentator pograżył się w kompletnym szaleństwie. Legendarny Manawythann Szarooki ustanowił Wartę, która trwała nieprzerwanie mimo różnych prób, dopóki sam Ma’elKoth jej nie przełamał.

W północnym kwadrancie mistycznego kręgu nagie ciało mężczyzny w średnim wieku leżało na ołtarzu z miejscowego wapienia, teraz poszarzałego od sadzy i powleczonego skorupą starej, zbrązowiałej krwi. Toa-Sytell znał tego człowieka, znał go bardzo dobrze; jadał z jego żoną i głąskał po głowach jego dzieci. Nie śmiał przypomnieć sobie jego imienia.

W górę od piersi mężczyzny rozciągała się zawila pajęczyna wilgotnych, pulsujących sznurów, podwieszona na przypominającym drzewo metalowym wieszaku. Każde ramię kończyło się srebrnym hakiem, który przewleczono przez sznury... Ale to wcale nie były sznury: sznury nie są śliskie od krwi i nie drgają w powolnym rytmie bijącego serca.



W jednej przyprawiającej o zawrót głowy chwili wzrok Toa-Sytella wreszcie nabrał ostrości i książę zrozumiał, co widzi: były to wciąż żywe wnętrzości człowieka na ołtarzu, wyciągnięte przez rozcięcia tuż pod pępkiem i zwieszające się ze srebrnych haków jak wieprzowe flaki w wędzarni. Toa-Sytellowi skręcił się żołądek. Książę zaryzykował spojrzenie z ukosa na Berne'a, ciekaw jego reakcji.

Berne pochylił się do przodu i lekko w bok. Wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

Cesarz stał w mistycznym kręgu, półnagi jak zapaśnik, z rękoma po łokcie unurzany w krwi. Jego oczy były czarne jak niebo w środku pochmurnej nocy i lśniły pełną obojętności doskonałością; nie było w nich ani ciepła, ani chłodu. Skinął w stronę niskiej sofy pod ścianą, a jego głos zadudnił, jakby dobywał się spod korzeni gór:

– Siadajcie, a Ja oczyszczę ręce.

Usiedli i patrzyli, jak cesarz podchodzi do jednego z leniwie płonących koksowników, od których biło czerwone światło i zapach jałowca. Woń niemal zabijała siarkowy odór fekaliów, który zawsze unosił się w tym pomieszczeniu. Ma'elKoth zagapił się na koksownik i chociaż nie uczynił najmniejszego gestu ani nie wypowiedział słowa, złoty płomień skoczył z trzaskiem i wyciągnął się na wysokość jego głowy. Cesarz włożył dłonie w ogień, który pozieleniał i rozbłysnął. Krew na skórze zagotowała się, zwęgliła i odpadła płatami.

Cesarz Ma'elKoth, Tarcza Prorithuna, Pan Ankhany, Obrońca Kirisch-Nar, Lew Północnego Pustkowia i dzierzyciel wielu innych tytułów, był największym człowiekiem, jakiego Toa-Sytell kiedykolwiek widział. Nawet Berne, wysoki jak na zwykłe standardy, ledwo sięgał do sztywno nawoskowanej brody Ma'elKotha. Rozsypujące się loki kasztanowych włosów cesarza jaśniały głęboką czerwienią w świetle płomieni i drapowały się na jego ramionach przypominających skałę Strzaskanych Klifów.

Cesarz ocierał dłonie w płomieniach. Jego bicepsy wybrzuszały się jak beczułki, a potężne, nadymające się mięśnie torsu wyglądały jak wyrzeźbione z osobna w kamieniach i połączone razem w układance. Coraz szerszy uśmiech odsłaniał idealne zęby, gdy krew spadała z palców. W końcu płomień zbladł wokół cesarskich dłoni i Ma'elKoth strzepnął szybko ręce, zdrapując resztki spalonej krwi. Kiedy spojrzał na siedzących arystokratów, oczy błyszczały mu głębokim błękitem letniego nieba.

Cesarz był tym jedynym człowiekiem, którego Toa-Sytell się bał.

– Nie zwracajcie sobie głowy meldunkami – powiedział Ma'elKoth. – Mam dla was obu zadania.

– Więc nie, ehm... – zaczął Berne, prostując się i kaszląc chrapliwie, żeby oczyścić gardło. – Nie zostaniemy ukarani?

Cesarz ściągnął brwi.

– A powinniście zostać? Zdradziliście Mnie?

– Ja, znaczy, ehm... – Znowu zakaszał. – Nie, ale...

– Ale Simon Błazen znowu uciekł – spokojnie oznajmił Ma'elKoth.

Wyszedł z mistycznego kręgu i podszedł do sofy, gdzie przykucnął przed Berne'em. Położył mu dłoń na ramieniu jak ojciec łagodnie strofujący młodego syna.

– Berne, tak słabo Mnie znasz? Czy jestem wariatem, który karałby ludzi za własną porażkę? Czy nie byłem przy tobie zawsze? Jeszcze nie wiem, co Simon Błazen zrobił, jaka to magja nadal w nas tańczy. Skoro nie potrafię ani przełamać, ani ominąć tej mocy, to dlaczego miałbym karać ciebie za taką samą niemożność?

Berne uniósł wzrok, a Toa-Sytell był zaskoczony, widząc na jego twarzy niemal żalną gorliwość i chęć przypodobania się cesarzowi.

– Ja tylko... nie chciałem cię rozczarować.

– I dlatego jesteś moim ulubionym Dzieckiem – powiedział ciepło Ma'elKoth. – Ej, przesunąć się. Zróbcie Mi miejsce.

Toa-Sytell pospiesznie przesunął się na koniec sofy. To po części dlatego bał się Ma'elKotha: ten człowiek był zmienny jak letnia burza. W jednej chwili potrafił przerazić cię ledwie spojrzeniem ze szczytu swojego królewskiego majestatu, a w następnej mógł siedzieć obok ciebie jak przyjaciel z dzieciństwa, z którym siadywałaś na schodach swojego domu.

– To moje pragnienie obróciło się przeciwko Mnie – stwierdził Ma'elKoth, pochylając się i opierając ręce na kolanach. – Uodporniłem pałac Colhari na wszelką magję, która nie jest moim dziełem. W tyglu żądzы pojmania Simona Błazna wykułem nóż, który teraz drży wbity w mój brzuch. To kanał, który nas łączył, Berne, okazał się tą nieszczęsną szczeliną w pancerzu, przez którą ugodził mnie pocisk Simona Błazna. Moc, którą wezwałem tego wieczoru, żeby zapytać, jak przełamać tę magję, zaśmiała się. Śmiała się ze Mnie! Powiedziała, że to zaklęcie łatwo złamać, kiedy już będę miał w rękach tego, który je rzucił. – Powoli pokręcił głową i uśmiechnął się w zadumie, jakby bawiła go ta ironia. – Czujesz to? Berne, spotkałeś się z Simonem Błaznem twarzą w twarz. Jak wyglądał?

Berne pokręcił głową.

– Nie pamiętam. Próbowałem... Myślę, że może nawet go rozpoznałem.

– Wiem, że go rozpoznałeś – zadudnił Ma'elKoth. – Od rana staram się odgadnąć tożsamość Simona Błazna na podstawie wiedzy o ludziach, których znasz. Nic z tego. Za każdym razem, gdy czegoś się domyślam, czuję szarpnięcie tej przeklętej magji i domysły się rozplywają. Próbowałem nawet rzucić przeciw temu zaklęcie, pracowałem nad alfabetem, szukając inicjałów, na oślep sprawdzając imiona, czekając, aż któreś z nich spowoduje szarpnięcie, i okazywało się, że za każdym razem gapię się na stronie pełne liter i nie pamiętam, które z nich prowokowały, a które nie. Gdybym był skłonny do gniewu, uznałbym, że to doprowadza mnie do szału.

– Ale wydajesz się, Wasza Cesarska Mość... – ostrożnie odezwał się Toa-Sytell – ...niemal zadowolony.

Uśmiech, z jakim Ma'elKoth odwrócił się do niego, emanował żarem, któremu nie sposób było się oprzeć. Mimo łęku księcia, uśmiech rozgrzał go aż do szpiku kości.

– Bo jestem! To coś nowego, Toa-Sytellu. Wyzwanie. Masz pojęcie, jak rzadko się zdarza, że coś Mnie zaskoczy? Przyprawi o frustrację? Simon Błazen to najciekawszy przeciwnik, z jakim zmierzyłem się od czasu Wojny na Równinach. Przechytrzył całą moją sforę psów. Rozwiązaniem dla takiego problemu jest, rzecz jasna, znalezienie lepszego psa.

– Lepszego? – powtórzył Berne, marszcząc brwi.

Ma'elKoth uśmiechnął się i przygniół ramiona hrabiego ogromną ręką.

– Nie bierz tej metafory do siebie, drogi chłopcze. Przepraszam, że źle się wyraziłem. Powinienem powiedzieć: bardziej stosownego do tego właśnie zadania.

– I kto to będzie? – posępnie zapytał Berne.

– Chodź. Pokażę ci.

Ma'elKoth wstał i wszedł do mistycznego kręgu. Toa-Sytell natychmiast dołączył do nich, ale Berne zawahał się, patrząc na mężczyznę, który leżał rozciągnięty na ołtarzu.

– Wygląda, hm... znajomo.

– Zgadza się. Książę Toa-Sytellu, proszę to wyjaśnić – odparł Ma'elKoth.

Toa-Sytell wziął głęboki wdech i odwrócił wzrok.

– Nazywa się Jaybie. Myślę, że spotkałeś go raz, może dwa. Był kapitanem w Oczach. – Toa-Sytell z rozmysłem unikał patrzenia na wznoszącą się i opadającą w oddechu pierś, na puls widoczny w sieci uplecionej z wnętrzości. – To on ostrzegł Konnosa, że zostanie zadenuncjowany.

– Owszem – mruknął z zadowoleniem Ma'elKoth. – I tak wykorzystałem jego zdradę do czegoś użytecznego: Zewnętrzne Moce, z którymi mam do czynienia, zwykle przybywają głodne. Byłbym kiepskim gospodarzem, gdybym nie zaferował chociaż... przekąski, można tak to ująć?

Berne pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Nadal żyje?

– Tylko jego ciało – zadudnił Ma'elKoth. – A teraz chodź.

Kiedy Berne dołączył do nich w kręgu, Ma'elKoth położył im obu ręce na ramionach i uniósł wzrok ku odsłoniętemu wapieniowi na suficie. W czasie nie dłuższym, niż trzeba go na głęboki oddech, spoisty kamień rozmył się i pobladł – wyglądał teraz jak zjawą. Poprzez kamień Toa-Sytell widział przepływające chmury i pierwsze gwiazdy nocy.

Chwilę potem podłoga pod ich stopami opadła. Unieśli się bez wysiłku i przelecieli przez sufit. Kamień pod nimi odzyskał spoistość i wszyscy trzej stanęli na samym wierzchołku Wieży Zmierzchu.

To był kolejny powód, dla którego Toa-Sytell bał się Ma'elKotha: zadziwiająca była nie tylko rozległość jego mocy, ale też fakt, że potrafił ją przywołać bez słowa, bez gestu, samą myślą. Toa-Sytell znał się na magji wystarczająco, żeby doceniać poziom skupienia, której wymagała najprostsza czynność. Nawet najlepsi adepci potrafili rzucać tylko jeden czar na raz; większość polegała na zaklętych przedmiotach, które uzupełniały ich zdolności. Ale nie

Ma'elKoth – jego nie obowiązywały żadne ograniczenia.

To nie zimna nocna bryza sprawiła, że Toa-Sytell zadrzał.

Ankhana rozpościerała się pod nimi jak dywan klejnotów – od drobniutkich brylantów lamp po jaśniejące rubiny ognisk. Rześka bryza niosła urywki przyśpiewek z karczm, okrzyki heroldów wracających do biur na wieczorne rozliczenia, woń duszonego mięsa z cebulą i czosnkiem oraz świeży zapach traw ciągnących się aż do morza.

Chmury zbierały się na zachodzie i majestatycznie przewalały w stronę miasta, podczas gdy księżyc wspinał się ponad Boże Zęby na wschodzie.

Ma'elKoth szeroko rozłożył ręce i odchylił głowę. Podniósł głos, przekrzykując zrywający się wiatr.

– Poprosiłem Moc, aby pokazała Mi, kto może wyrwać ten cieri z mojego ciała, aby pokazała Mi człowieka, który może oczyścić cesarstwo z tego wywrotowego Simona Błazna. Wydobyła odpowiedź z głębin mojego umysłu; wiedziałem to, nawet nie wiedząc, że wiem. Teraz poprosimy wiatr i zobaczymy to wypisane na chmurach!

Wskazał na nadciągającą ścianę burzowych chmur.

– Spójrzcie tam, a ujrzycie twarz mojego ogara!

Toa-Sytell powędrował wzrokiem za palcem cesarza, spodziewając się, że obraz pojawi się na chmurze, w miejscu wskazanym przez Ma'elKotha, niczym rysunek na pergaminie. Chmury burzowe przewalały się i kłębiły, puchły i pulsowały jak żywe, jakby były niewolnikami kulącymi się pod batem. Wzrok Toa-Sytella znowu się zamglił, coś zmieniło się w perspektywie, przyprawiając go o zawrót głowy, kiedy zdał sobie sprawę, że nie zobaczy obrazu na chmurach.

To same chmury stanowiły wizerunek.

Pod nieugiętym nożem woli cesarza burzowe chmury górujące nad pozostałymi skręcały się i rzeźbiły we własnej powierzchni twarz mężczyzny – twarz większą od góry, okoloną brodą i krótko przyciętymi włosami. Jego usta były wykrzywione w gniewie, a oczy miały błyskawice.

– A niech mnie wypierdola jak dziewiczą kózkę... – stęknął Berne.

Toa-Sytell zakaszał i odezwał się cieniutkim głosem:

– A nie można było po prostu narysować?

Ma'elKoth zaśmiał się jak pijany bóg.

– Moc, której nie używasz, to żadna moc. Piękne, prawda?

– To jest, ehm, tak – wykrztusił Toa-Sytell. – To jest piękne – dodał i tylko się gapił.

– To Caine – rzucił szorstko Berne.

– A owszem – zadudnił z głębokim zadowoleniem Ma'elKoth. – W rzeczy samej, to on. Pojawi się w Ankhanie jutro rano.

– Caine zabójca? – odezwał się Toa-Sytell, a podziw i trwoga zniknęły pod wpływem nagłego zaciekawienia. – Caine, który zamordował Toa-Phelathona?

Teraz uważniej przyjrzał się twarzy w chmurze; widział już kiedyś zgrubne szkice twarzy Caine'a, ale ten wizerunek był tak rzeczywisty, że teraz czuł, że wystarczyłby mu jeden rzut oka, żeby go rozpoznać. Kiedy patrzył, twarz rozplynęła się i widział już tylko nadciągającą burzę.

– O, tak – westchnął Ma'elKoth. – To kolejna przysługa, którą Mi oddał, chociaż nie na moje polecenie. Twoim zadaniem, Toa-Sytellu, i zadaniem Królewskich Oczu jest odnaleźć tego człowieka i sprowadzić go do Mnie. Wykorzystaj do tego wszelkie zasoby i wiedź, że może nie życzyć sobie, by go odnaleziono. Ma tutaj i kontakty, i przyjaciół. Być może któryś z nich, jeśli nawet nie kilku, przyszedłby do ciebie, jeśli usłyszysz... Jaka to będzie kusząca, ale nieprzesadna suma? Jeśli usłyszysz, że za informację dostanie, powiedzmy, dwieście złotych rojali. Poza tym niech Straże zaczną zbierać obywateli do Rytuału Odrodzenia, może złapiemy go przypadkiem, gdyby planowanie zawiodło. Chcę go mieć w pałacu przed jutrzejszym zmierzchem.

– Dwieście rojali nagrody... – Toa-Sytell pokiwał głową. – Jest już w mieście?

– Nie. Nie wiem, gdzie może się znajdować. Ale pojawi się tutaj jutro, nim miną dwie godziny od świtu.

– Proroctwo?

Ma'elKoth się uśmiechnął.

– Magja. Przyciągnę go, jak koza przyciąga panterę. Przyjdzie.

– Ale... – Toa-Sytell zmarszczył brwi – ...jeśli dziś wieczór znajduje się tysiące mil stąd...

– To nie miałyby znaczenia, nawet gdyby znajdował się miliony mil stąd – odpowiedział Ma'elKoth. – Nie miałyby znaczenia, gdyby znajdował się za murami Śmierci. Ty, Toa-Sytellu, jesteś ślepcem wrzuconym do wąskiego korytarza czasu, którym idziesz, potykając się. Ja jestem bogiem, który trzyma Czas w swoich dłoniach jak szmacianą piłeczkę. Rzeczywistość poddaje się moim rozkazom, wedle mej wygody. Gdyby Caine znajdował się tysiące mil stąd, miesiące temu rozpocząłby podróż, żeby odpowiedzieć na moje wezwanie. Gdybym dzisiaj wieczoru zdecydował się nie Przyciągać go... wtedy miesiące temu on zdecydowałby się zostać tam, gdzie był. Rozumiesz?

– Hm, właściwie to nie. Skoro... Skoro Przyciągasz go tak mocno, to dlaczego musimy szukać go jak złodzieja? Nie przyjdzie do ciebie z własnej woli?

Ma'elKoth uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Może przyjdzie. A może trzeba będzie go przywlec. To dlatego wyznaczyłem ci zadanie. Tak czy inaczej zjawi się, musi odpowiedzieć na wezwanie. A w jaki sposób, to już nieistotne.

Toa-Sytell zmarszczył brwi.

– Jeśli ta magja jest tak silna, to dlaczego nie możesz po prostu Przyciągnąć samego Simona Błazna?

– To właśnie robię – odpowiedział Ma'elKoth. – Im mniej znam człowieka, im mniej

rzeczy na jego temat mogę sobie wyobrazić, tym dłuższe i bardziej skomplikowane staje się Przyciąganie. Caine jest jedynie składnikiem, miejscem ogniskowania, jak kawałek kryształu albo garść siarki. Kiedy już będę miał Caine'a, Przyciągnę Simona Błazna jak siewkę na sznurku.

Przez cały czas Berne stał ze skrzyżowanymi rękami i gapił się na miasto, z ustami zaciśniętymi i wykrzywionymi w podkówkę jak naburmuszony dzieciak. W końcu nie wytrzymał:

– A co ja mam robić?!

Ma'elKoth odwrócił się do hrabiego, a jego uśmiech zbladł.

– Zrób sobie wolne.

– Co?

Na czole Berne'a pulsowała żyłka; hrabia poruszał ustami, jakby nie mógł się zdecydować: wybuchnąć płaczem czy rzucić się cesarzowi do gardła.

– Berne, musisz – powiedział kojącym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem Ma'elKoth. – Znam aż za dobrze waszą historię, twoją i Caine'a. Po części Ja byłem tego przyczyną. Doskonale wiem, że wasze kolejne spotkanie może się okazać ostatnim dla jednego z was. Weź wolny dzień, odpocznij, naciesz się słońcem. Idź do Miasta Obcych, zagraj, napij się, podupcz. Trzymaj się z dala od Kolonii. Caine ma przyjaciół wśród Sług Ściemy i lubi się tam pojawiać. Zapomnij o Simonie Błaznie, zapomnij o Szarych Kotach, o troskach państwa. Zapomnij o Cainie. Jeśli wy dwaj spotkacie się, to, dopóki Caine jest na służbie u Mnie, masz go traktować z grzecznością należną drugiemu Ukochanemu Dziecku Ma'elKotha.

– A potem?

– Kiedy już Simon Błazen znajdzie się w moich rękach, nie interesuje Mnie specjalnie los Caine'a.

– W porządku – powiedział Berne, biorąc głębszy, ale nadal nerwowy wdech. – Dobrze. Przepraszam, Ma'elKoth, ale wiesz... wiesz, co mi zrobił.

– Wiem, co zrobiliście sobie nawzajem.

– Dlaczego właśnie Caine? Co w nim jest takiego specjalnego?

Tym razem Toa-Sytell rozpoznał ton głosu Berne'a – było w nim coś głębszego niż typowa dlań drażliwość. Bogowie, ten człowiek jest zazdrosny! – pomyślał zadziwiony. Z wielką dbałością zachowując obojętny wyraz twarzy, zakonotował sobie, żeby sprawdzić, czy to możliwe, żeby istniał głębszy, bardziej osobisty związek między Ma'elKothem i jego ulubionym hrabią.

– Nie bardzo wiem – odpowiedział Ma'elKoth. – Ale z pewnością jego kariera jest spektakularna. – Wzruszył ramionami i położył wielką dłoń na ramieniu Berne'a. – Być może jego nietypowość dałoby się podsumować w ten sposób: to jedyny mężczyzna, który stawiał ci czoło w walce i przeżył.

Uśmiezek zaigrał na ustach hrabiego.

– Tylko dlatego że uciekał jak zając.

Ma’elKoth ujął go za drugie ramię i spojrział mu badawczo w twarz.

– Powiem ci jedno: nie jesteś tym samym człowiekiem. Z Darami, które ci ofiarowałem, drugi raz ci nie ucieknie.

Berne pogłaskał rękę Kosalla. Miecz odpowiedział na dotyk niebezpiecznym brzęczeniem, zduszonym przez pochwę.

– Yhm, tak, wiem.

Ma’elKoth odwrócił się tylko na tyle, żeby wbić spojrzenie szarych jak stal oczu w Toa-Sytella.

– Masz dużo roboty, mój książę. Żegnam cię.

Nim Toa-Sytell zdążył odpowiedzieć, jego stopy zapadły się w kamień pod nim. Budulec wieży nie stracił jednak spoistości pod stopami Ma’elKotha i Berne’a. Obojętnie patrzyli na księcia, który się zapadał. Krzyknął zaskoczony, lecąc w dół. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Ma’elKoth przygarnia głowę Berne do swojej nagiej piersi.

Czymkolwiek była siła, która go podtrzymywała, opuściła go delikatnie na środek mistycznego kręgu w Żelaznej Komnacie. Otrzeptał się, strząsnął wymaglinowany pył z rękawów, patrząc na pusty kamień nad głową.

Mruknął cicho i pokręcił głową. Podszedł do ołtarza i spojrział na Jaybiego, człowieka, którego – w pewnym sensie – sam tam umieścił. Patrzył długi czas, obserwował jego oddech, obserwował puls w splecionych wnętrznościach, obserwował, jak rytm rwie się, przyspiesza i zwalnia tak, że niemal zamiera.

Jaybie był jego przyjacielem, dobrym, lojalnym przyjacielem. Lojalnym aż do przesady. Był też przyjacielem Konnosy. Cenił przyjaźń wyżej niż obowiązki. Tak wybiera dobry człowiek.

I martwy.

Lojalność kosztowała go więcej niż życie. Toa-Sytell nadal słyszał echo jego krzyków, agonię i przerażenie, które przywabiły Zewnętrzną Moc na tyle blisko, by Ma’elKoth ją pochwycił. Zastanawiał się, czy to, co być może pozostało jeszcze z Jaybiego, znajdowało się tutaj, w tym umierającym ciele, czy może wyło z niewyobrażalnego bólu gdzieś, w jakimś piekle nie do opisanego, do którego wróciła Moc.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, ten oddychający trup posłużył celom Ma’elKotha; cesarz już go nie potrzebował. Toa-Sytell nie był tak dobrym człowiekiem, jak ten, który przed nim leżał, ale mimo wszystko był człowiekiem. Mógł wyświadczyć tylko jedną łaskę przyjacielowi. Koniec i tak był bliski, ale mógł go przyspieszyć.

Delikatnie i z wielką precyzją ścisnął Jaybiemu nozdrza, a drugą ręką zasłonił mu usta.

Jaybie nawet nie walczył. Jego pierś uniosła się raz, jeszcze raz i po chwili odszedł bez najmniejszego dźwięku.

Toa-Sytell otarł ręce o spodnie i westchnął. Miał mnóstwo roboty.

Nim wyszedł z pokoju, zerknął raz jeszcze na nagi kamień mistycznego kręgu na suficie i znowu cicho mruknął.

Przetrwiał za czasów ostatniego Pana Ankhany. Nie był jednak pewny, czy pożyje pod panowaniem obecnego.

## 7

Prości ludzie w wielkim mieście Ankhana, stolicy cesarstwa, rzadko patrzą na niebo, zwłaszcza po zmierzchu. Na północnym brzegu Wielkiej Chambaygen w Kolonii z zasady są zbyt zajęci tym, kto lub co może czaić się przy następnych ocienionych drzwiach albo w wylocie pobliskiego zaułka. W Mieście Obcych nieszczęśni podludzie są zbyt pijani, naćpani albo zajęci narzucaniem się wszelkim ludziom czystej krwi, którzy spędzali noc w slumsach. W Parku Przemysłowym, oddzielającym te dwa miejsca, manufaktury plują dymem i płomieniami, które pożerają gwiazdy.

Na wyspie Starego Miasta uczciwi ludzie siedzą po zmierzchu w domach, chyba że są na warcie. Strażnicy patrolują ulice, z lampami, które mają oświetlać im bruk, żeby nie weszli w walające się gdzieniedzie kupy końskiego łajna, pominięte przed godziną zmroku przez leniwego szambiarza.

Na Południowym Brzegu, gdzie domy możnych i bogatych otaczają posiadłości księżęce, słudzy są zbyt zajęci obowiązkami, a ich panowie śpią snem sprawiedliwych.

Ale gdzieniedzie ludzie jednak zerkają w górę. Żeglarz na barce zacumowanej przy hucie wyczuwa zapach zbliżającego się deszczu i zerka na niebo. Elficka dziwka w Mieście Obcych ciaśniej otula szalem chude ramiona, tak blade, że niemal przezroczyste, i obrzuca przekleństwami nadciągające chmury. Dwóch braci, nastoletnich synów barona Tinnary, podciąga spodnie po przygodnym gwałcie na podkuchennej, którą dorwali za ogrodem miejskiej rezydencji ojca. Przeciągają się z zadowoleniem nad krwawiącą dziewczyną. Jeden z nich zauważa chmurę i szturcha drugiego.

Ci i kilkoro im podobnych, którzy dostrzegli skrzywioną twarz wyrzeźbioną w chmurze, wzdrygają się przelotnie, widząc ten omen. Chwilę potem chmura jest już tylko zwykłą chmurą, a oni kręcą głowami i śmieją się z własnej podejrzliwej wyobraźni.

## 8

Taksówka lśniła w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, a potem zgasła nagle, nurkując w cień, i zapikowała ku lądowisku przy bramie na skraju strefy powietrznej Opactwa. Hari już tam stał, czekał.



Drzwi otworzyły się i Hari wsiadł. Wybrał miejsce obok minibarku i starał się ignorować wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta kierowcy siedzącego w oddzielonej pancerszkłem części.

Głos kierowcy w głośnikach pobrzmiwał nieco metalicznie:

– Jezu Chryste, to ty! Znaczy, ty jesteś Caine!

Hari pokiwał głową.

– Aha. Wiesz, gdzie jest Obóz Buchanan?

– Więzienie? Pewnie, Caine. Jezu, kiedy odebrałem wezwanie, no wiesz, do Opactwa, ale bez nazwiska, to pomyślałem „może”, ale nie chciałem robić sobie nadziei. Brak nazwiska na wezwaniu, więc może to któraś z twoich dziewczyn, albo coś, czy znajomy, ale, niech mnie drzwi ścisną, Caine... Czekać, aż powiem dzieciakom!

– Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne, Caine, co zechcesz.

– Zamknij jadaczkę.

– No, ehm... jasne, Caine, co zechcesz. Jesteś zmęczony. Rozumiem, nie ma sprawy. Ale podpiszesz mi się?

Hari zacisnął powieki.

– Nie słyszałeś mnie?

– Daj spokój, tylko się podpisz. To dużo znaczy dla moich dzieciaków, wiesz, w życiu nie uwierzą, że naprawdę cię spotkałem, jeśli się nie podpiszesz, wiesz?

– Jeżeli się podpiszę, dasz mi spokój?

– Pewnie, Caine, co zechcesz. Leży pod barem, otwiera się jak notatnik.

Taksówka uniosła się gładko w powietrze. Hari znalazł i podpisał się w nieco wyblakłym zeszyte z autografami. Chrząknął. To był prawdziwy papier, musiał kosztować majątek.

– No, tak... eee... To po co jedziesz do Buke?

Hari przełknął złość. To byłoby upokarzające stracić nad sobą panowanie w taksówce.

– Słuchaj. Nie chcę z tobą rozmawiać. Dałem ci autograf i naprawdę byłbym wdzięczny, gdybyś się przymknął.

– Jasne, jak chcesz. – Taksówkarz odwrócił głowę, ale Hari nadal słyszał, jak mruczy pod nosem: – Aha, pięknie, facet zostaje Pracownikiem i zapomina, skąd pochodzi...

Hari wyjrzał przez okno na słońce zachodzące nad Pacyfikiem.

Nie ja, pomyślał. Ja nigdy nie zapominałem. Nikt mi nie pozwoli zapomnieć.

Chmury burzowe zbierały się na południowym zachodzie. Taksówka przechyliła się lekko przy wejściu na automatyczny pas ruchu, a taksówkarz odchylił się w fotelu i przeciągnął.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że zerknę se trochę na ekran, hę?

Hari nie odpowiedział. Taksówkarz dotknął płytki sensorowej i przednia szyba taksówki rozblęsnęła zbliżeniem przesadnie wyostrzonej twarzy LeShaun Kinnison w zapowiedziach. Hari skrzywił się – puszcza *Smocze opowieści*. Taksówkarz przestawił fotel do pozycji

póллеżającej i wsunął ręce pod kark.

Pojawiła się durnie kiwająca głową Kinnison, grająca przed kamerą współczucie.

– *...Móglbyś wyjaśnić moim widzom, co to właściwie jest amplimod – mówiła – i dlaczego Pallas Ril grozi niebezpieczeństwo?*

Hari zamknął oczy, kiedy ujęcie przeskoczyło na jego twarz. Wystarczająco źle było to, że musiał gadać głupoty, które wymusiło Studio, ale oglądanie siebie, jak to robi, wydawało się o niebo gorsze.

– Rety, Caine! To ty tam jesteś! Rety, razem z LeShaun. Słodka jest, co? Słodka.

– To pieprzony krokodyl. Po programie prawie musiałem jej połamać palce, żeby oderwać jej rękę od mojego krocza.

– Nie, no co ty, serio? Tam, w czasie programu? LeShaun Kinnison złapała cię za fiuta?

– Zamknij się.

– *...ludzie na świecie, którzy naprawdę rozumieją całą fizykę z tym związaną, i jak się domyślasz, ja do nich nie należę.*

(Śmiech na widowni).

– *Ale mogę to wyjaśnić tobie i twoim widzom, w taki sam sposób, w jaki mnie to wyjaśniono. Widzisz, Ziemia i Nadświat to ta sama planeta w dwóch wszechświatach. Każdy wszechświat, w całości, jakby wibruje na swój sposób; nazywa się to Uniwersalną Stałą Rezonansu. Oczywiście tak naprawdę nic nie wibruje, ale w ten sposób łatwiej o tym myśleć. Przechodzimy z jednego wszechświata w drugi, zmieniając naszą Stałą Rezonansu, dopasowując ją do tego drugiego. Wszyscy już się pogubili?*

(Śmiech na widowni).

Teraz kamera pokaże, jak Hari wyjmuje z kamizelki starodawny zegarek kieszonkowy. Nie mógł na to patrzeć. Twarz płonęła mu z upokorzenia. Zazgrzytał zębami.

Widział to jednak w pamięci: trzymał zegarek za łańcuszek, a jego dolna krawędź dotykała wierzchu jego drugiej dłoni.

– *Pallas Ril jest jak ten zegarek. Moja ręka na dole symbolizuje Ziemię. Widzicie, kiedy zegarek spoczywa, pozostaje stabilny, tu, na Ziemi. A teraz powiedzmy, że Nadświat jest na innej wysokości, widzicie, na wyższym poziomie rzeczywistości, powiedzmy w połowie wysokości między moimi dłońmi. Więc jeśli chcę, żeby zegarek wznosił się na ten poziom, ale bez przesuwania ręki, mogę tego dokonać na dwa sposoby. Jeden to skrócić łańcuszek, o tak. Łatwe, nie? To trochę jak czemod, skrót od „modyfikacji częstotliwości”, co nawet nie jest do końca prawidłowym określeniem, ale w każdym razie... To właśnie robimy dla stażystów, którzy ruszają do Nadświata na długo, czasem na kilka lat, żeby dokończyć szkolenie i wykształcić osoby, które – jak mają nadzieję – pewnego dnia uczynią z nich gwiazdy. Kiedy postanawiają wrócić do domu, udają się do jednego z naszych stałych punktów transferu i znajdujący się tam sprzęt z powrotem wydłuża ich łańcuszek. O tak, widzicie? I znowu są na Ziemi. Ale z tym jest pewien problem. Kiedy jesteś na czemodzie, jesteś jak tubylec. Stajesz się*

*częścią Nadświata i jesteś całkowicie odcięty od Studia. Żadnej bezpośredniej widowni, nawet nagrań do sześcianów pośrednich. To by się wam nie podobało, co? My mamy całą frajdę, a wy tego nie dostajecie.*

(Widownia ryczy z aprobatą).

*– No dobrze, amplimod, czyli modyfikacja amplitudy, co też nie jest właściwym terminem, to coś nieco bardziej skomplikowanego. To się dzieje z Pallas, to się dzieje ze mną i każdym Aktorem, którego kiedykolwiek doświadczyliście.*

Wygiął nieco nadgarstek, a zegarek pod wpływem siły dośrodkowej zakręcił kółko i uniósł się.

*– Widzicie, to całkiem inny sposób dostania się do Nadświata. Żeby utrzymać tu zegarek, musicie nim kręcić. To to samo co zwiększenie energii, rozumiecie? To właśnie robimy, kiedy łączymy się przez myśloemiter. To samo połączenie, które przenosi nasze doświadczenia z powrotem tu, na Ziemię, żebyście mogli się nimi cieszyć, przekazuje nam energię z reaktora Studia i utrzymuje nas w Nadświecie.*

Hari, siedząc z zamkniętymi oczami, przypominał sobie udawaną troskę na twarzy Kinnison, kiedy pochylała się ku niemu, i swoją nagłą chęć, żeby ją uderzyć.

*– Możesz nam powiedzieć, co się stanie, kiedy połączenie zostanie zerwane?*

Ręka Hariego znieruchomiała i on, Kinnison oraz cała publiczność patrzyli w milczeniu, jak zegarek opada spiralą na jego drugą dłoń.

*– Więc ześlizgnie się z powrotem na Ziemię.*

Hari bezbłędnie podążał za scenariuszem. To był moment, kiedy powinien stać się śmiertelnie poważny.

*– To o wiele poważniejsze. Widzisz, Nadświat nie jest, jakbyś to mogła powiedzieć, wszechświatem przylegającym do ziemskiego. Wprost przeciwnie, jest tak bardzo podobny do Ziemi, ponieważ jest jego harmoniczną. Są jak dwie oktawy. Istnieje dowolna liczba wszechświatów pomiędzy naszym poziomem energii i poziomem Nadświata, a większość nich jest tak różna od naszego, że nie potrafimy ich nawet opisać. Wszystkie są wrogie życiu, jakie znamy. W niektórych na przykład, węgiel, pierwiastek, z którego praktycznie składa się całe twoje ciało, nie może nawet istnieć ze względu na panujące tam prawa fizyki. Kiedy Aktor wypadnie z fazy z Nadświatem, czeka go śmierć. Najohydniejsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić. Większości Aktorów nigdy więcej nie zobaczymy, niektórzy w końcu wchodzą w fazę z Ziemią, i to jest... makabryczne. Nawet nie chcę tego opisywać.*

*– I to się właśnie stanie z Pallas Ril, jeśli jej nie odnajdziesz?*

Swoim najlepszym głosem twarziela odpowiedział:

*– To już mogło się stać.*

Przyprawiający o mdłości skręt żołądka sprawił, że zmusił się do otwarcia oczu i zobaczył własną twarz gapiącą się na niego z zapowiedzi na przedniej szybie taksówki.

Taksówka zakolebała się i przeskoczyła na sąsiedni pas, więc przez chwilę wyświetlana

twarz Hariego nałożyła się na zbierające się nad Pacyfikiem chmury burzowe.

*– Wiem, że kiedy wkładacie hełmy indukcyjne, stajecie się mną. Czujecie to, co ja czuję. Wiem, że też ją kochacie. Przysięgam wam, że jeśli cokolwiek jej się stanie, w żadnym ze wszechświatów nie ma mocy, która obroni odpowiedzialnych za to ludzi. Zmuszę Berne'a, by zapłacił za jej śmierć. Ma'elKoth będzie przeklinał dzień, kiedy jego rodzice się poznali. Nikt, kto maczał w tym palce, nie umknie mi. Przysięgam.*

To wszystko było w scenariuszu, wszystko napisali marketingowcy Studia, ale ostatecznie to nie miało znaczenia. Ta przysięga była równie szczerą, jak wszystkie jego słowa.

– Ożeż w mordę. – Taksówkarz się zaśmiał. – Naprawdę nie chciałbym, żebyś się na mnie wkurzył.

## 9

Człowiek z obsługi przytrzymał z szacunkiem drzwi, przepuszczając Hariego. Kiedy weszli do małego pomieszczenia, Hari uściśnął mu dłoń. Taka odrobina kontaktu nadkasta-podkasta chociaż niezwykła, nie była nietypowa i pozwalała ukryć fakt, że z ręki Hariego do ręki dyżurnego powędrowała mała paczuska czystej kokainy. Wszelkie przepływy kredytów monitorowano elektronicznie, ale kokainę i inne stymulanty mógł kupić legalnie każdy z kasty Pracowników albo wyższej. Kokaina i inne narkotyki stały się preferowanym środkiem wymian czarnorynkowych i były jak najbardziej na miejscu w przypadku dyskretnej łapówki. Hari zawsze przywoził ze sobą konkretny zapas w czasie wizyt w obozie społecznym Buchanan. Seria łapówek – od Dyrektora aż do Robotników, nadzorujących chirurgicznie pozbawionych słuchu scyborgizowanych Fizoli, którzy zajmowali się internowanymi – to jedyny sposób na to, żeby zyskać szansę porozmawiania z ojcem.

Dyżurny bez słowa wskazał przycisk w ścianie, który Hari mógł nacisnąć, gdyby już chciał wyjść, a potem pokazał dłonie, rozpościerając palce.

Dziesięć minut.

Hari skinął głową, a dyżurny zamknął drzwi. Zatrzasnęły się z ciężkim, metalicznym zgrzytem.

– Tato? – zagadnął, podchodząc do łóżka. – Tato, jak się czujesz?

Duncan Michaelson leżał skulony pod przepoconymi prześcieradłami, a jego oczy obracały się jak zniekształcone szklane kulki. Żyły wiły się na jego bezwłosej czaszce, ręce napinały się spastycznie, unieruchomione pasami. Cichy, bełkotliwy jęk, który dobył się z jego ust, powtórzył jak echo jego niekończący się koszmar.

Niech to szlag, obiecali mu, że Duncan będzie przytomny.

Ze złością pokręcił głową i w pierwszym odruchu chciał podejść do przycisku

wskazanego przez gościa z obsługi. Jednakże po chwili wzruszył ramionami i podszedł do małego okna. Płacił fortunę za to okno, dwadzieścia procent dodatku do miesięcznej opłaty, więc czemu by z niego nie skorzystać?

Miesięczne opłaty, które pokrywały koszty utrzymania w Buke, były wszystkim, co dzieliło ojca Hariego od jarzma cyborga. To jarzmo i życie Fizola, które za tym idzie, w kilka miesięcy zabiłyby Duncana nawet parę lat temu, kiedy był o niebo silniejszy niż teraz.

Hari od ponad dziesięciu lat płacił za to, żeby go trzymano w więzieniu.

Deszcz stukał w okno, zamazując i przygaszając szary świat na zewnątrz. Uderzenie błyskawicy roztrzaskało drzewko w płonące drzazgi raptem kilka metrów dalej; trzask wyładowania i rozdzierający huk grzmotu wyzwoliły w Harim odruchową reakcję: padł na podłogę, krzycząc z zaskoczenia. Przeturlał się i kucnął obok małego biurka, kręcąc głową i z niesmakiem czekając, aż uspokoi mu się puls.

Na łóżku ponad nim Duncan Michaelson otworzył oczy.

– Hari? – Głos miał słaby i płaczący, niewiele głośniejszy od szeptu. – To ty, Zabójco?

Hari oparł się o barierkę łóżka i wstał.

– Tak, tato.

– Boże, ależ ty rośniesz. Jak w szkole?

– Tato... – Przycisnął dłoń do czoła. – W porządku, tato, po prostu w porządku.

– Boli cię głowa? A mówiłem, żebyś się trzymał z dala od tych dzieci Rzemieślników. Łobuzy, oni wszyscy. Do diabła, w końcu jestem Pracownikiem. Niech mama ci to zaszyje.

Hari przesunął palcami po starej, nierównej bliźnie tuż nad linią włosów. Kiedy miał dziesięć lat, walczył z całym gangiem starszych od siebie chłopców z kasty Rzemieślników. Sześciu z nich popychało go i śpiewało jedną z tych piosenek bez melodii, które chłopcy potrafili wymyślać na potrzeby chwili. Tę nazwali „Dzieciak wariata”.

Na to wspomnienie twarz Hariego rozjaśnił przelotny uśmiech: jeden chłopak turla się po ziemi i zakrywa zmiażdżone jądra, drugi wyje i przyciska rękę do twarzy, próbując zatamować krew tryskającą z bezkształtnej masy, w którą zęby Hariego zamieniły jego nos. Przez chwilę żałował, że nie ma znowu dziesięciu lat, żałował, że nie dorwał jeszcze dwóch, nim ich przywódca – Nielson jakiś tam – nie zakończył bijatyki cegłówką.

Ale nostalgiczne wspomnienia nigdy nie leżały w jego naturze i szybko otrząsnął się z tych myśli. Matka nie zaszyła rozcięcia po cegłówece Nielsona – nie żyła już wtedy od trzech lat.

A od dwóch Duncan był kompletnym czubem.

– W porządku, tato.

– To dobrze... – Pozbawiona wszelkich sił dłoń Duncana podrapała pasy. – Możesz to trochę poluzować? Strasznie mnie swędzi.

Hari poluzował pasy, a Duncan podrapał się wokół brzegów odżywczych plastrów na piersi.

– Och, jak dobrze. Jesteś dobrym dzieciakiem, Hari... dobrym synem. Żałuję, że nie... po prostu, no wiesz, gdybym...

Oczy Duncana uciekły pod mrugające powieki, a głos przeszedł w gardłowe, niespójne pomruki.

– Tato? – Hari delikatnie nim potrząsnął.

Zacisnął dłoń na ramieniu Duncana. Wyczuwał każde ścięgno, każdy szczegół kości i stawu. Szkolenie Caine'a odezwało się w jego podświadomości i szepnęło, że jeden prosty ruch spowoduje przemieszczenie ramienia, oddzielenie kości i wiązadeł.

Hari gwałtownie zabrał rękę, jakby ciało ojca parzyło jak rozgrzane żelazo. Patrzył na swoją dłoń przez długą sekundę.

Odsunął się od łóżka i odwrócił z powrotem do okna, opierając czoło o chłodne, gładkie szkło.

Niemal wszyscy na Ziemi znali oficjalną wersję życiorysu Hariego, klasyczną historię Studia o sukcesie twardego dzieciaka z getta Robotników w San Francisco. Tylko nieliczni wiedzieli, że Hari nie urodził się jako Robotnik. Jego ojciec, Duncan Michaelson, był Profesorem antropologii społecznej w Berkeley, a co więcej, czołowym autorem podstawowych tekstów na temat westerlingu i norm kulturowych Nadświata. Matka Hariego, Davia Khapur, poznała Duncana, kiedy wybrała jego zajęcia z podstaw dryftu językowego w ramach magisterium z filologii. Związek dwóch rodzin tradycyjnie należących do Pracowników był zbyt piękny, żeby mu się oprzeć. Wczesne wspomnienia Hariego były szczęśliwe.

Teraz już wiedział, co wywołało załamanie u ojca. Kiedy Hari wdrapał się na szczyt, wreszcie było go stać na badania medyczne, które wykryły postępującą degenerację neuronalną. Duncan Michaelson cierpiał na autoimmunologiczne schorzenie, niszczące chemiczne receptory w synapsach, co przede wszystkim powodowało przypadkowe zwarcia w ośrodkowym układzie nerwowym. Jak to brutalnie ujął jeden z medtechników: „Przez ostatnie dwadzieścia lat mózg twojego ojca stopniowo zamieniał się w papkę”.

Ale kiedy to się zaczęło, lata temu, nie miał pojęcia, że ojciec jest chory. Ledwo zauważał jego narastającą humorzastość, zagubiony w jasnym świecie nauki, który otwierał się przed nim jako sześciolatkiem dzieciakiem Pracowników. Pamiętał pierwsze lanie – uderzenie, po którym padł na dywan w gabinecie ojca, dłonie, które miażdżyły mu ramiona i potrząsały nim, aż oczy wypełniły mu się spadającymi gwiazdami.

Pamiętał klótnie rodziców, ich krzyki wypełnione nazwiskami, których nie znał, nazwiskami, którymi Duncan posługiwał się na seminariach i wykładach, nazwiskami, które przerażały matkę tak, że szczykały jej zęby. Minęło wiele lat, nim Hariego było stać na zakup na czarnym rynku zakazanych książek, które wyjaśniły mu, do kogo należały te nazwiska – takie nazwiska jak Jefferson, Lincoln, Voltaire czy John Locke. Wtedy wiedział tylko, że jeśli ojciec nie przestanie gadać o tych ludziach, wpakuje się w kłopoty.

Pamiętał energiczność i rzeczowość, z jaką Policja Społeczna w srebrnych maskach aresztowała Duncana. Sześcioletni Hari już dawno leżał w łóżku, ale krzyki ojca go obudziły. Widział wszystko przez szparę w uchylonych drzwiach sypialni.

Duncan musiał być albo zbyt dumny, albo zbyt szalony, żeby kłamać. Minęły dwa tygodnie od aresztowania, kiedy zjawilo się więcej pospołów. Hariego z matką przeniesiono do dwupokojowego mieszkania w Mission District, w getcie Robotników.

Latami Hari starał się wierzyć, że matka nie rozwiodła się z ojcem, bo za bardzo go kochała, nawet jeśli jego szaleństwo doprowadziło ich do degradacji kastowej. W innych rodzinach rozwód uchroniłby status kastowy niewinnego małżonka. Dopiero jako nastolatek, wiele lat po śmierci matki, Hari pojął, że rozwód by jej nie ochronił. Nie doniosła o wywrotowej działalności Duncana, co w oczach pospołów czyniło z niej współsprawcę.

Nie miała dokąd pójść.

Ojcu pozwolono dołączyć do nich dopiero miesiąc później. Ich majątek skonfiskowano, a jako Robotnicy stracili dochody z pracy, którą wykonywali jako Pracownicy. Ani Duncan, ani Davia nie mieli żadnych umiejętności wymaganych od Robotników; mogli tylko pracować jako Tymczasowi przy pracach niewymagających żadnych kwalifikacji. A z Duncanem było coraz gorzej, stawał się coraz bardziej zmienny, agresywny, coraz bardziej skłonny do wyrzaskiwania „praw człowieka”.

Hari nie wiedział, co zabiło jego matkę. Zawsze podejrzewał, że Duncan pewnego dnia uderzył ją zbyt mocno, a medyk w Klinice Robotniczej był zbyt nawalony demerolem, żeby pomóc jej jak należy. Najwyraźniejsze wspomnienie matki, jakie pozostało Hariemu, to jak leżała złana potem w łóżku w ich maleńkim mieszkanku i trzymała go za rękę bezwładną dłonią.

– Opiekuj się ojcem – powiedziała. – Bo to jedyny ojciec, jakiego będziesz miał. Jest chory, Hari. Nie panuje nad sobą.

Kilka dni później umarła w tym samym łóżku, podczas gdy Hari grał w baseball kilka przecznic dalej. Miał dopiero siedem lat.

Duncan miał rwany kontakt z rzeczywistością. W dobre dni był niemal żałośnie miły dla syna. Starał się ze wszystkich sił być dobrym rodzicem, bo wiedział, że nim nie jest. Robił, co mógł, żeby wykształcić Hariego, uczył go czytać, pisać, liczyć. Zdołał uzbierać wystarczająco dużo kokainy, żeby kupić ekran i przekupić miejscowego technika, który podłączył ich nielegalnie do biblioteki w sieci. Duncan i Hari spędzili razem wiele godzin przed ekranem, czytając. To były te dobre dni.

W złe Hari szybko nauczył się, że bezpieczniejszy jest wśród mętów w Mission District niż przy ojcu. Stał się wręcz nadnaturalnie wrażliwy i zdolny do adaptacji; potrafił wyczuć zmianę w nastroju ojca pod wiatr i zza wzgórza. Umiał natychmiast wpasować się i grać zgodnie z urojeniami ojca – potrafił widzieć świat tak, jak widział go Duncan. Szybko się nauczył na własnej skórze, że zaprzeczanie – czy dowolna inna niezgodność z prywatną

rzeczywistością ojca – natychmiast prowadzi do potwornego lania.

I nauczył się oddawać. Nim skończył dziesięć lat odkrył, że lanie jest równie ostre, niezależnie od tego, czy się odgryza, czy nie. Ale walka dawała mu szansę na ucieczkę.

Kiedy udawało mu się uciec, zostawała mu tylko ulica – jedyne miejsce dostępne dla chłopaka z kasty Robotników. Inteligencja i zdolność przystosowywania się pozwoliły mu przetrwać wśród dziwek, złodziei, narkomanów, zbrojnych z nadkast i grasujących w okolicy seksualnych drapieżników. Jego gotowość do walki z każdym, o każdej porze, w każdych okolicznościach i bez chwili wahania wyrobiła mu reputację równie szalonego jak ojciec i od czasu do czasu ratowała życie.

Zanim skończył piętnaście lat, właściwie rozgryzł już świat. Uznał, że ojciec zwariował, bo próbował oszukiwać samego siebie. Ojciec czytał książki tych gości, o których ciągle gadał. Mówili mu, że świat jest taki, a nie inny, on chciał im wierzyć, a gdy świat udowydniał mu, że jest inaczej, nie umiał sobie z tym poradzić. Tak bardzo udawał, że nie potrafił już oddzielić pozorów od rzeczywistości.

Hari złożył sobie prywatną przysięgę, że nigdy tego nie będzie robił. Zachował równowagę umysłową, patrząc światu prosto w twarz, takiemu, jaki naprawdę był. Nigdy nie udawał, że rzeczywistość jest inna.

Dzieciństwo na ulicach Mission District pozbawiło go niemal wszystkich złudzeń, jakie mógł odziedziczyć na temat świętości życia ludzkiego czy fundamentalnego dobra w ludziach. Nim skończył piętnaście lat, zabił już dwóch ludzi i utrzymywał siebie i ojca, od pięciu lat jako drobny złodziejaszek i kurier dilerów na lokalnym czarnym rynku.

Kiedy minął zaledwie miesiąc od jego szesnastych urodzin, pomyślał, że warto by było zwrócić na siebie uwagę Marca Vilo. Dwa tygodnie później spakował skromny dobytek i się wyprowadził. Ostatniego dnia pod wspólnym dachem Duncan próbował rozłupać Hariemu czaszkę za pomocą klucza francuskiego.

Vilo szczyił się troską, z jaką zajmował się swoimi podkastowymi. Hari nie wiedział, że Vilo zadbał o to, by Duncan przetrwał następne sześć lat, podczas gdy Hari dorastał, wstąpił do Konserwatorium Studyjnego i spędził trzy lata na czemodzie, trenując w Nadświecie. Kiedy wrócił, by rozpocząć karierę Aktora, Duncan już od kilku lat znajdował się pod specjalną opieką. Dzięki stale przyjmowanym lekom pozostawał względnie przytomny.

Kłopot w tym, że nadal nie nauczył się trzymać gęby na kłódkę.

Odebrano mu przywileje Pracownika, nie mógł więc już legalnie nauczać. Zamiast tego zebrał grupę zwolenników wśród młodych mężczyzn i kobiet z kasty Robotników. Spotykali się w sekrecie w jego mieszkaniu i dyskutowali na temat zakazanych filozofii wybranych z niezwykłej pamięci Duncana. Następnie młodzi Robotnicy szerzyli te antyspołeczne idee wśród swoich znajomych. Pospoły prawie na pewno o tym wiedziały, ale w tamtych czasach policja była nieco bardziej tolerancyjna. Dopiero po Rozruchach Kastowych zaostrozono politykę i skazano Duncana na dożywocie, za podżeganie. Czekalo go albo zamknięcie w



Ośrodka Uciszenia takim jak Buchanan, albo jarzmo cyborga i życie Fizola.

W Buke dbano o to, żeby nic, co Duncan powie albo napisze, nigdy nie dotarło do świata zewnętrznego. Jedynym człowiekiem, z jakim miał kontakt, był chirurgicznie pozbawiony słuchu Fizol, który zajmował się jego potrzebami. Duncan miał pełen dostęp do sieci, ale tylko odbierał informacje. Wszelkie osobiste prośby przekazywano Dyrektorowi mejlem w specjalnym, zamkniętym systemie zaprojektowanym na potrzeby ośrodka. Duncan nie tylko nie mógł się komunikować ze światem zewnętrznym, ale nie mógł też nawet rozmawiać z innymi internowanymi w Obozie Buchanan.

Te reguły, tak jak wszystkie inne, można było naginać, a nawet łamać za odpowiednią opłatą. I to one sprawiły, że Hari mógł rozmawiać z Duncanem naprawdę szczerze. Kiedy rzeczywistość stawała się nieznośna, przychodził tu, szukając chwili wyciszenia, chwili spokoju.

Chłodne szkło okna rozgrzało się od żaru czoła Hariego.

– Tym razem naprawdę mnie przyszpili, tato – odezwał się cicho. – Naprawdę złapali mnie za jaja.

Mamrotanie Duncana przycichło. Hari słyszał tylko własny oddech i krople deszczu uderzające o okno.

– Każą mi zabić następnego ankhańskiego króla. Ledwo przeżyłem zabójstwo Toa-Phelathona. Właściwie nie powinienem był przeżyć. Powinienem był umrzeć w tamtym zaułku. Gdyby Kollberg nie przepchnął awaryjnego transferu... A ten gość, ten Ma'elKoth jest... jest taki... Sam nie wiem. Mam złe przeczucia. Nie sądzę, żeby tym razem mi się udało.

Łatwiej było to powiedzieć, gdy wiedział, że nikt nie słucha.

– Myślę, że w końcu mnie dorwą.

Hari przycisnął dłonie do szyby i spojrzał na tłące się kawałki drzewa.

– Dokładnie wiem, w coś się pakuję. Nawet w Konserwatorium mówią ci wprost: „Twoim zadaniem w społeczeństwie jest ryzykować życie w interesujący sposób”. Ale Przygody stają się coraz gorsze i gorsze. Oni próbują mnie zabić, tato. Każda Przygoda jest trochę cięższa, stawka ciut wyższa, szanse trochę mniejsze. Z ich punktu widzenia... Nie wiem, pewnie tak muszą. Bo w końcu, kto zawracałby sobie głowę bezpośrednim podłączeniem, gdyby ludzie myśleli, że to wszystko przychodzi mi z łatwością?

– Więc rzuć to. Przejdź na emeryturę.

Głos był szorstki i słaby, ale niewątpliwie przytomny; przynajmniej na chwilę Duncan powrócił do rzeczywistości.

Hari odwrócił się od okna i spojrzał w zmętniałe oczy ojca.

Odkasznął w dłoń, nagle zakłopotany.

– Ehm, nie wiedziałem, że się obudziłeś.

– Przynajmniej będziesz żył, Hari. – Głos ojca brzmiał niewiele wyraźniej od szeptu. – To już coś.

– Ja, ehm... nie mogę, tato. Już podpisałem kontrakt.

– Wycofaj się.

Hari pokręcił głową.

– Nie mogę. Chodzi o... o Shannę. Moją żonę.

– Pamiętam... Widzę ją czasem z tobą w sieci. Jesteś żonaty... ile to już? Rok?

– Trzy lata.

– Dzieci?

Hari w milczeniu pokręcił głową, oglądając palce.

– Ona jest tam, w Ankhanie – powiedział. Oddech mu uwiązł w gardle. Dlaczego tak trudno o tym mówić? – Oni, ehm... – Zakaszłał chrapliwie, odwracając się z powrotem do okna. – Zaginęła w Nadświecie i pozwolą jej umrzeć, jeśli nie spróbuję dorwać Ma’elKotha.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki się rozlegał, było cieniutkie pogwizdywanie, kiedy Duncan próbował złapać oddech.

– Rozumiem. Widziałem kawałek... *Smoczych opowieści*... – Duncan walczył o oddech i o odrobinę przekonania w głosie. – Chleba i igrzysk, Hari. Chleba i igrzysk.

To było jedno z ulubionych powiedzonek Duncana. Hari dość mglście je rozumiał, ale pokiwał głową.

– Twoim problemem – ciągnął z wysiłkiem Duncan – nie jest Nadświat ani ten cesarz. Twój problem to fakt, że jesteś... niewolnikiem.

Hari wzdrygnął się z irytacją. Słyszał to już wiele razy. W oczach Duncana wszyscy byli niewolnikami.

– Mam dokładnie tyle wolności, ile jestem w stanie udźwignąć.

– Heh, jesteś... kimś więcej, niż myślisz. Wygrasz.

Wycieńczony Duncan opadł na poduszkę.

– Na pewno, tato.

– Nie... nie pocieszaj mnie, Hari, do cholery... – Przez kilka sekund oddychał. – Posłuchaj. Powiem ci, jak ich pokonać... Powiedzieć?

– Dobrze, tato. – Hari podszedł do łóżka i pochylił się nad ojcem. – Dobra, słucham. Powiedz mi, jak ich pokonać.

– Zapomnij... zapomnij o zasadach...

Hari ze wszystkich sił starał się nie pokazać narastającego rozdrażnienia.

– Co masz na myśli?

– Słuchaj... oni myślą, że... że mają cię na własność. Myślą, że cię mają i że musisz robić, co ci każą.

– I, do cholery, nie myślą się.

– Nie... nie, posłuchaj... twoja żona... Kochasz ją. Kochasz ją.

Hari nie potrafił odpowiedzieć, nie potrafił wykrztusić słów przez zaciśnięte gardło.

– Tu cię mają... na to cię złapali. Ale tylko to mają... i nie wiedzą o tym... myślą, że są

bezpieczni...

Hari zeszczywniał, skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Hari, posłuchaj – szepnął Duncan, przymykając oczy. – Najmądrzejszy... najmądrzejszy człowiek na świecie powiedział kiedyś: „Wszystko, co uczyniono z miłości, wykracza poza dobro i zło”. Kapujesz? Rozumiesz? To coś więcej.

Hari westchnął. Co sobie myślał? Że jego szalony ojciec naprawdę ma dla niego radę? Z niesmakiem pokręcił głową i powiedział:

– Jasne, tato. Coś więcej. Kapuję.

– Zmęczony. Śpiący... Mhm, Hari?

– No?

– Czy ty w ogóle... w ogóle powiedziałeś jej kiedyś... o mnie?

Prawda to prawda, pomyślał Hari. Patrz światu w twarz.

– Nie. Nigdy jej o tobie nie mówiłem.

Duncan skinął głową, nie otwierając oczu. Swobodnymi rękoma szukał pozycji, w której zwykle mu je wiązano.

– Chciałbym... chciałbym, kiedy już ją uratujesz, chciałbym ją poznać. Raz się z nią spotkać. W sieci wydaje się taka miła.

– Aha – odpowiedział Hari nagle ochryplym głosem. – No bo taka jest.

## 10

Brylantowa sala balowa na dwudziestym piętrze Studia migotała i lśniła kolorowymi skrami, rozbłyskiwała rozszczepionym światłem na twarzach abonentów Caine’a. Większość nich to Uprzywilejowani, niektórzy ze swoimi lojalnymi Inwestorami; niewielu spośród Biznesmenów dysponowało wystarczająco dużą gotówką albo wpływami, żeby się pojawić wśród tych wybrańców. Stawki za subskrypcję Caine’a były najwyższe spośród wszystkich Aktorów Ameryki Północnej. Tysiąc nadkastowych abonentów płaciło okrągłe sto tysięcy marek za roczny wynajem luksusowej łoży z gwarancją siedmiu Przygód – chyba że gwiazda niespodziewanie zginie lub zostanie okaleczona, rzecz jasna.

To był elitarny klub. Studio zgarniało po tysiąc marek rocznie od dziesięciu tysięcy ludzi jedynie za przywilej znajdowania się na liście oczekujących. Jednym z przywilejów abonentów było spotkanie się z gwiazdą na takich przejściach przed Przygodą jak to.

Jak wiele innych przedtem, także i to przyjęcie miało charakter balu kostiumowego. Tym razem motywem przewodnim byli „wrogowie Caine’a”.

Hari krążył wśród tłumu w atrapie kostiumu z czarnej skóry. Grał Caine’a, cedził przez zęby teksty w stylu twardziela, wzruszonym fanom życzącym mu wszystkiego najlepszego i poklepywał po plecach chętnych do udzielenia mu rady.

Ponieważ grał Caine'a, jakoś to wszystko znosił – przynajmniej nie musiał się uśmiechać.

Kollberg podbiegł do niego i złapał go za rękę. Miał na sobie bordowo-złotą królewską liberię ankhańską. Hari potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, że Kollberg miał być Jemsonem Thalem, kamerdynerem Toa-Phelathona. Nagle Hariego naszła chęć, żeby kopnąć go w gardło.

– Masz mowę? – zapytał Kollberg.

– Tak.

– Przejrzałeś ją? Nie jest całkiem, ehm, zwyczajna.

Kollberg pocił się z nerwów, jak zawsze w wieczór przed Przygodą. Przebywając pośród tyłu nadkastowych, zaczynał się robić niespokojny. Hari doszedł do wniosku, że to dlatego, że Kollberg był jedynym Administratorem w tym gronie. Żaden Administrator nigdy nie zyska przywileju wynajęcia łoża z Przygodą Caine'a. Wszyscy tutaj przewyższali przewodniczącego kastą, i to znacznie.

Wszyscy prócz Hariego.

Spojrzał w dół na dłoń Administratora, który nadal trzymał go za łokieć. Gdyby naprawdę był teraz Caine'em, złamałby temu tłustemu kutasowi łapę.

– Tak, Administratorze, przejrzałem. W porządku? – Spojrzał znacząco na wilgotną dłoń Kollberga. – Bez obrazy, Administratorze, ale ludzie patrzą.

Kollberg puścił ramię Hariego, jakby coś go użądliło. Obliznął wargi i poprawił tunikę.

– Za jakieś piętnaście minut siadamy do posiłku, a ty nawet nie pojawiłeś się na północnej stronie sali.

Hari wzruszył ramionami.

– Już tam idę.

Wszedł w grupkę Inwestorów ubranych jak Niedźwiedzia Straż hordy Khulana; dwóch Uprzywilejowanych, z którymi przyszli, nosiło skóry i skrzydlate hełmy samego Khulana G'thara. Hari uściśnął dłoń podaną mu przez Uprzywilejowanego, który miał na sobie jakieś pięć kilo szpachłówki. Idiota, wydał pewnie z sześćdziesiąt marek, żeby wyglądać jak wódz ogrillów, którego Caine zabił w Przygodzie zatytułowanej *Odwrót z Boedecken*. To więcej pieniędzy niż miała na tydzień większość rodzin Robotników. Hari wyminął kilku pulchnych Berne'ów, uskoczył przed jedną twórczą duszą przebraną za podobnego do modliszki wojownika Krrx z *Wyścigu po koronę Dal'kannitha* i wylądował twarzą w twarz z Markiem Vilo.

Ten drobny Biznesmen poradził sobie lepiej niż większość gości: miał na sobie lśniąca zbroję płytową z lekkiego plastiku, brakowało mu tylko hełmu. Włosy pomalował lakierem na platynowy blond. Miał makabrycznie realistyczną protezę, przez co wyglądał, jakby jego lewa kość policzkowa i oczodół dopiero co zostały strzaskane: odłamki kości wystawały przez skórę i kapą z nich lśniąca krew, na wpół sflaczałe oko wisiało na nerwie wzrokowym.

Hari wyraził podziw, cicho gwizdząc.

– Marc, piękna robota. Purthin Khlaylock, mam rację?

– Ma się rozumieć, synu! – odpowiedział z szerokim uśmiechem Vilo. – Wybrałem go, bo to chyba jedyny wróg Caine’a, który nadal żyje, a do Berne’a nie mam figury. Co prawda to i tak nie powstrzymało pozostałych – zachnął się, kiwając głową w stronę sali. – Co się dzieje, młody? Wyglądasz, jakbyś nie bawił zbyt dobrze.

– Czy ja wiem... hm... Jestem trochę spięty, Marc.

Vilo pokiwał z roztargnieniem głową.

– Słuchaj, mam tu specjalnego gościa i chcę, żebyś go poznał. Chodź i... Czekaj, posłuchaj, nim pójdziemy... Ta rozmowa, która odbyliśmy w zeszłym tygodniu na temat twojego powrotu do Shanny...?

– Aha...? – rzekł ostrożnie Hari.

– Chciałem powiedzieć, że to coś wspaniałego. To więcej, niż się spodziewałem.

Hariemu zacisnął się żołądek.

– Nie zaplanowałem tego.

– O cholera, wiem, wiem. Ale to jest po prostu zajebisty układ. Nie mogę stracić, kapujesz?

Hari doskonale rozumiał, co miał na myśli Vilo: albo heroicznie uratuje Shannę, albo heroicznie pomści jej śmierć, albo heroicznie zginie przy próbie dokonania jednej z tych dwóch rzeczy. Niezależnie od wyniku, Patron wyjdzie na tym fenomenalnie.

– Aha – mruknął niewyraźnie. – Dla ciebie sprawa wygląda nieźle.

– Mowa! No, chodź.

Vilo poprowadził go do miejsca, gdzie pulchna Uprzywilejowana około pięćdziesiątki stała wśród wielbicieli. Miała na sobie brązowy napierśnik z zamszu na stalowoszarej tunice, do tego spodnie i powłóczystą niebieską pelerynę – była ubrana jak Pallas Ril.

Vilo odchrząknął z ważną miną.

– Caine, chciałbym cię przedstawić Shermai Dole. Pani Dole, to jest Caine.

Jej oczy zaślnęły, gdy się obróciła, chociaż oczywiście nie podała mu ręki.

– Och, tak, Marc, my już się znamy.

– Pani... – powiedział Hari, kłaniając się nieco sztywno. – Pani Dole zaszczyliła Shannę i mnie pojawieniem się na naszym ślubie.

– W rzeczy samej. Gdybyś też się tam pojawił, Marc, pamiętałbyś. – Podczas gdy uszy Vilo poczerwieniały, Dole mówiła dalej: – Komediancie Michaelson, jak się pan miewa?

– Tak dobrze, jak to możliwe w tej sytuacji, dziękuję. A pani?

– Och, wiesz, potwornie się martwię o Shannę – powiedziała, przyciskając dłoń do obfitej piersi. – Marc był taki miły, że zaprosił mnie, żebym skorzystała z jego łoża. Mam nadzieję, że ją odnajdziesz.

– Taki mam zamiar, proszę pani.

– I proszę mi wybaczyć wybór kostiumu. Marc powiedział, jaki jest motyw wieczoru. – Prawie zaśmiała się zawstydzona. – Wiem, że Pallas Ril nie jest wrogiem Caine’a, wiem o tym doskonale! Ale chciałam wszystkim przypomnieć, co tu naprawdę jest ważne, jaka jest stawka. Nie jesteś zły?

Hari był zaskoczony nagłą falą własnych ciepłych uczuć do tej kobiety.

– Pani Dole... – powiedział z powagą. – Jest pani zapewne najłaskawszą osobą, jaką poznałem. Niemożliwe, by pani troska mnie zdenerwowała, w żadnej mierze się z panią nie zgadzam.

– Żałuję tylko, że nie mogę zrobić niczego, żeby naprawdę ci pomóc. – Westchnęła. – Wiedz, proszę, że będę przy tobie cały czas. Będę bezpośrednim widzem w łoży Marca i będę modlić się za ciebie i Shannę. Bóg z tobą, Komediancie.

Odwróciła się, kończąc rozmowę.

– Jest taki uprzejmy, Marc – rzuciła przez ramię do Vilo. – Nie mam słów, by ci podziękować. Naprawdę bardzo dobrze wychowany.

Vilo pozwolił jej wziąć się pod rękę i poprowadzić. Idąc, rzucił Hariemu spojrzenie – oczy mu błyszczały, a usta ułożyły się w słowa: „Mam ją”.

Hari zmusił się do uśmiechu i skinął głową. Tłum znowu zamknął się wokół niego.

Za kilka minut nadejdzie czas na jego występ, krótką przemowę przed kolacją. Po kolacji będą się ciągnąć niemiłosierne przemówienia Marca Vilo jako jego Patrona, Arturo Kollberga jako przewodniczącego Studia i jakiegoś niedołęznego Aktora na emeryturze, którego w to wciągnęli. Hari wyjął z kieszeni notatnik i otworzył go. Ekran rozświetlił się tekstem przemowy. Ruszył w stronę zachodniego krańca sali balowej, gdzie ogromne, rzeźbione schody prowadziły na podium.

Wszedł po schodach i odwrócił się do sali. Oświetlenie zmieniło się subtelnie, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich, oblewając go złotą poświatą i ukrywając mikrofony wycelowane w jego twarz. Odkasznął, a wzmocniony dźwięk rozbrzmiał jak odległy grzmot.

Ponad tysiąc par oczu patrzyło na niego wyczekująco. Hari spojrzał na nich z wywracającym się żołądkiem: ponad tysiąc mężczyzn i kobiet ubranych jak jego wrogowie. Brakowało tylko jednego: nikt nie przebrał się za Ma’elKotha. Hari pokręcił głową. Cesarz ankhański to zbyt świeża sprawa, nikt jeszcze nie myślał o nim jak o wrogu.

Znowu odchrząknął i zaczął:

– Powiedziano mi, że motywem przewodnim dzisiejszego wieczoru są „wrogowie Caine’a”. Patrzę na was i myślę sobie, że lepiej byłoby powiedzieć „ofiary Caine’a”. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek na jakiejś sali poza Piekłem zebrało się tylu martwych ludzi.

Jak wymagał scenariusz, zamilkł, żeby publiczność mogła się zaśmiać i zaklaskać z uznaniem.

„Myślą, że mają cię na własność”.

Strużka potu spłynęła mu po karku.

– Wiem, że niektórzy z was doświadczali bezpośrednio Przygód Pallas Ril, że niektórzy z was czują się tak, jakby to oni tam zaginęli, zagubieni i przerażeni w Ankhanie...

Shanna zagubiona i przerażona? Kto pisze to gównu?

Zaczynało się w nim gotować.

– ...ale przysięgam wam, że ją odnajdę. Odnajdę was. Sprowadzę was bezpiecznie na Ziemię.

„Myślą, że są bezpieczni”.

Słowa na ekranie się zamazały. Hari udał, że kaszle, i otarł oczy, patrząc na ekran spod zmrużonych powiek.

– Widzicie, ci goście w Ankhanie... oni tak naprawdę nie wiedzą, z kim zadarli. Nie wiedzą, w jakie wpakowali się kłopoty...

Ściągną w karku miał napięte do granic możliwości.

„Mam dokładnie tyle wolności, ile jestem w stanie udźwignąć”.

Coś nim ośwładnęło? Z trzaskiem zamknął notatnik i cisnął nim o schody. I zanim do końca zrozumiał, co robi, nadepnął go z całej siły i piętą strzaskał obudowę.

– Pieprzyć to – rzucił chrapliwie.

Na widowni rozległ się pomruk.

– Przez całą noc udawałem Caine’a. Wiecie, chodziłem, rzucałem wam spojrzenia, jedno, dwa zdania; taka szczypta pieprzu. To wszystko to pierdolone gierki.

Pozwolił, aby odrobina krwiożerczości Caine’a przesiąkła do jego zimnego, szerokiego uśmiechu.

– Chcecie wiedzieć, co naprawdę powiedziałby wam Caine? Chcecie?

Hari odszukał ciastowatą twarz Kollberga, który stał z wytrzeszczonymi oczami i w panice kręcił głową. Hari zobaczył patrzącego niepewnie Vilo i mrużącą oczy Dole, jakby nie widziała go wyraźnie. Większość pozostałych patrzyła z wyczekiwaniem tak wielkim, że można by je uznać za żądę.

– Powiedziałby: „To moja kobieta i moja walka”. Powiedziałby: „A wy, gównozerne sępy, zajmijcie się własnym pierdolonym życiem”.

Zszedł po schodach i zatrzymał się przed tłumem – grupą najbardziej wpływowych mężczyzn i kobiet na Ziemi.

– Zejść mi z drogi.

Powoli rozdzielili się, żeby go przepuścić.

Zbliżył się do drzwi i wyszedł.

Obcasy jego butów stuknęły o marmur w przedpokoju i nim dotarł do drzwi wyjściowych, w brylantowej sali rozległy się oklaski, brzmiące jak grzmot fali nadchodzącego przyływu.

Szedł dalej.

Kollberg zatrzasnął za sobą drzwi, gdy Hari czekał już na windę.

– Michaelson! – warknął, trochę cieniutko, bo brakowało mu tchu. – Nie waż się ruszyć!

Hari nie spojrzał na niego. Patrzył tylko na barokową strzałkę z filigranowymi ornamentami, która powoli przesuwała się w stronę numeru piętra.

– To niedopuszczalne! – Kollberg wytrzeszczył oczy. Na spływającą potem twarz wystąpiły mu truskawkowe plamy. – Kryłem cię, ale ledwo mi się udało! Większość tych ludzi myśli, że to była część przedstawienia. Ale teraz zabieraj tyłek z powrotem na salę i udawaj, że to był żart, rozumiano?

– Wiesz co? – powiedział cicho Hari, nadal patrząc na strzałkę. – Jesteśmy tu sami, Artie. Żadnej straży, żadnych kamer, żadnej ochrony. Żadnych świadków.

– Co? Coś ty powiedział?

Spojrzał Kollbergowi w oczy i w tym momencie to nie był Hari, tylko Caine.

– Powiedziałem, że jesteśmy tu sami, ty tłusty skurwielu, a ja znam trzy różne sposoby zabicia człowieka tak, żeby nie zostawić śladów.

Kollberg rozdziawił usta. Odsunął się o krok, potem drugi.

– Nie możesz tak do mnie mówić!

Drzwi windy otworzyły się i Hari wszedł do środka.

– Powiem ci coś – odparł beznamiętnie. – Jeśli to przeżyję, przeproszę cię.

Kollberg gapił się z dłońmi drżącymi od adrenaliny, przez którą przerażenie i wściekłość tak niewiele się od siebie różnią. Drzwi zamknęły się między nimi i winda zabrała Hariego na dół.

Jutro za to zapłacę, pomyślał Hari, idąc w stronę zewnętrznych drzwi. Położył dłoń na pancerszkle i patrzył na burzowe chmury rozświetlone chorobliwą, pomarańczową poświatą bijącą od ulic poniżej.

Cholera, jutro zapłacę za wszystko.



# DZIEŃ DRUGI

– *Co z tobą? Nigdy się nie złościsz! Nawet krzyk byłby lepszy od tego, od tego... tego spokojnego... niczego.*

– *Jezu Chryste, Shanna, daj spokój. Co by udowodnił krzyk? Które z nas ma mocniejszy głos?*

– *Może po prostu chciałabym móc uwierzyć, że poza przemocą jest coś, do czego podchodzisz z pasją. Może czasem chciałabym być równie ważna jak zabijanie ludzi...*

– *Cholera, to niesprawiedliwe...*

– *Niesprawiedliwe? Chcesz sprawiedliwości? Pozwól, że zacytuję ciebie: „Wierzę w sprawiedliwość, dopóki trzymam nóż na gardle sędziego”.*

– *A co to ma do rzeczy...*

– *Wszystko. Za każdym razem chodzi o to samo. Chyba nie powinnam się spodziewać, że zrozumiesz.*

## 1

Zbyt młody i zbyt ładny mężczyzna, z włosami artystycznie ułożonymi w pukle, patrzy poważnie z głównych ekranów domów na całym świecie.

– Dla tych, którzy dopiero do nas dołączyli: oglądacie *Przygody na żywo*, jedyny ogólnosiwiatowy, dwudziestoczworgodzinny kanał informacyjny Studia. Jestem Bronson Underwood. Najważniejsza wiadomość tego ranka: za niecałą godzinę legendarny Caine dokona transferu do Miasta Życia, stolicy cesarstwa ankhańskiego na północno-zachodnim kontynencie Nadświata. Jego prawdziwa żona, znana powszechnie jako Pallas Ril, zaginęła gdzieś w mieście. Licznik, który widzicie w lewym dolnym rogu ekranu, to najdokładniejsze przybliżenie liczby godzin, które zostały do chwili, kiedy nastąpi desynchronizacja amplitudy Pallas Ril i bohaterka wypadnie z fazy z Nadświatem. Jak widzicie, jeśli Caine jej nie uratuje, Pallas Ril zginie koszmarną śmiercią za sto trzydzieści jeden godzin, czyli za niecałe pięć i pół dnia. *Przygody na żywo* będą wyświetlały ten licznik dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki będziemy mieli jakąś nadzieję. Będziemy także co godzina przekazywać wiadomości

dotyczące desperackich poszukiwań Caine'a. W następnej godzinie odtworzymy nagranie wywiadu LeShaun Kinnison z samym Caine'em i muszę wam powiedzieć, że to naprawdę mocny materiał. Ale na razie oddajmy głos naszemu głównemu analitykowi od spraw Ankhany, Jedowi Clearlake'owi.

– Dzień dobry, Bronson.

– Jed, co możesz powiedzieć naszym widzom na temat obecnej sytuacji w Ankhanie? Ile właściwie wiemy?

– Bronson, cóż, więcej niż się spodziewasz. Przede wszystkim sto trzydzieści jeden godzin to jedynie szacunkowa ocena, liczba czynników, które mogą wpływać na utrzymanie fazy przez...

A to dopiero początek.

## 2

Góra kamienia i stali stanowiąca Studio w San Francisco wznosiła się ponad rozległą równiną lądowisk i parkingów. Zamiast orłów nad jej szczytem krążyły limuzyny i latające coupe Uprzywilejowanych i Inwestorów, zataczające nieskończone pętle w oczekiwaniu na lądowanie.

Pogoda zmieniła się w ciągu nocy. Wschodzące słońce malowało wypolerowane gotyckie łuki okien i lśniło w oczach gargulców, które przysiadły wśród masywnych przypór. Wysokie granitowe ściany – pierwsza linia obrony przed intruzami podkastowymi – otaczały cały zespół budynków.

Przed szczerzącą żelazne zęby paszczą ogromnej bramy hordy podkastowych – Robotnicy, Rzemieślnicy, a nawet paru Pracowników, którzy nie byli zbyt dumni na to, by mieszać się z motłochem – kręciły się, przytupywały i tłoczyły ku szerokiej drodze. Powstrzymywali ich ubrani na czerwono ochroniarze Studia stojący wzdłuż krawężnika.

W ciągu godziny przez tę bramę przejdzie sam Caine.

W Cavei, ogromnej sali z pięcioma tysiącami miejsc bezpośrednich, batalion ludzi z obsługi majstrował przy bogatych klientach, dopasowując ich i podłączając do symfoteli.

W łóżach abonamentowych Uprzywilejowani i ich goście rozkoszowali się podawanymi przez kelnera smakołykami i egzotycznymi winami. Rozmawiali o nadzwyczajnym wystąpieniu Caine'a na balu abonentów. Opinie były podzielone: większość wierzyła, że było to szczególnie udane przedstawienie Studia, ale mniejszość upierała się, że zobaczyła coś niezaplanowanego, że wydarzyło się coś prawdziwego.

Wszyscy jednak się zgodzili, że mowa niesamowicie ich zaintrygowała. Wielu nie mogło spać w nocy, wyczekując następnego dnia, a ci, którzy zasnęli, śnili, że są Caine'em.

W techkabinie, której okna wychodziły na hebanowy ziggurat platformy transferowej

Cavei, Arturo Kollberg wywarkiwał bezużyteczne rozkazy. Zżymał się i roztrząsał upokorzenie, którego doznał poprzedniego wieczoru, ledwie o krok od największego sukcesu. To było niedopuszczalne i należało coś z tym zrobić.

I jeśli tylko da się coś zrobić, z pewnością to uczyni.

To nie było nic osobistego, zapewniał sam siebie, żaden przyływ rozgoryczenia ani potrzeba ratowania zranionej dumy. Myślał o sobie jak o kimś, kto jest ponad to; zawsze rozumiał, że jego osobiste potrzeby muszą zejść na drugi plan wobec wymogów jego pozycji, i zawsze postępował zgodnie z tym przekonaniem. Upokorzenie, którego doznał, obraza jego osoby, nawet groźba – to wszystko było bez znaczenia. Mógłby za to nie odpłacać, jeśli tak zdecydował. To była sprawa między mężczyzną Michaelsonem i mężczyzną Kollbergiem. To kwestia osobista i można o niej zapomnieć.

Ale obraza dla jego pozycji to całkowicie inna sprawa.

To było zajście między Michaelsonem Pracownikiem i Kollbergiem Administratorem. Zignorować je oznaczałoby osłabić podstawy cywilizacji.

Administratorzy na całym świecie mieli dwa motta, dwie proste zasady, które kierowały nimi w życiu: „Szacunek dla tych powyżej, respekt od tych poniżej” oraz „Służba”.

Wszystkie dzieci Administratorów wcześniej się uczyły, że są strażnikami społeczeństwa i że w gruncie rzeczy stanowią oś, wokół której obraca się świat. Poniżej nich znajdują się Pracownicy, Rzemieślnicy i Robotnicy; nad nimi Biznesmeni, Inwestorzy, Uprzywilejowani. Administratorzy łądowali pośrodku, jak punkt podparcia, jęczyczek u wagi, a ich zadaniem było ni mniej, ni więcej, tylko utrzymanie cywilizacji. Administratorzy przyjmują wskazówki od nadkastowych i przekładają je na rzeczywistość, kierując podkastowymi. Administratorzy zajmują się dystrybucją kurczących się zasobów Ziemi. Administratorzy zarządzają przedsiębiorstwami. Administratorzy obwieszczają rozporządzenia. Administratorzy tworzą bogactwo, które jest motorem Ziemi.

Administratorzy dźwigają na swych plecach świat i o nic w zamian nie proszą.

Jedną z najbardziej podstawowych umiejętności Administratora, zasadniczą częścią jego edukacji, jest dbanie o godność swojej pozycji. Moralny autorytet skutecznego Administratora jest tak wielki, że podkastowi – a nawet pomniejsi Administratorzy – wykonują polecenia bez pytań; wielcy Administratorzy mają podkastowych, którzy wręcz rywalizują ze sobą, wykonując swoje obowiązki, i nie oczekują nagrody większej niż pełne aprobaty spojrzenie i zwięzłe „Dobra robota”.

Ale kiedy błędy i słabość podkopują autorytet Administratorów, podkastowi stają się gburowaci i niemrawi, czasem markują pracę i objają się do granic sabotażu, niemalże niszcząc przedsiębiorstwo. To nie był mit ani opowieść o duchach, żeby straszyć małe dzieci Administratorów; Arturo Kollberg widział to na własne oczy.

Był owocem mieszanego małżeństwa. Jego ojciec – kompetentny, choć może zwyczajny Administrator szpitala na Środkowym Zachodzie – ożenił się z osobą poniżej swojej kasty:

wziął sobie za żonę Pracowniczkę, którą nadzorował. Była zwykłym chirurgiem klatki piersiowej i inne dzieci Administratorów, równie okrutne jak dzieci na całym świecie, nigdy nie pozwoliły mu o tym zapomnieć.

Dzieciństwo spędził, patrząc bezradnie, jak rodzice jego kolegów ze szkoły zyskują na statusie i pozycji i trafiają na imponujące i ambitne stanowiska na całym świecie. Jego ojciec, w odruchu głupiej słabości, skazał się na obskurność prowincjonalnego szpitala, głównie przez to, że nigdy nie zrozumiał, jak trzymać podkastowych na swoim miejscu. Nawet pozwolił żonie kontynuować pracę, a dopóki wykonywała zadania Pracownika, nie mogła awansować do Administracji. Pochodzić z gorszych kręgów to żaden wstyd, ale wybrać je świadomie to już zbrodniczy egoizm. Dalej wykonywała operacje, nie zważając na to, że niszczy karierę męża i życie jedyne syna.

Ale nie można całej winy zwalić na nią. Ojciec też nigdy nie pojął w pełni wagi godności, wizerunku Administratora. Do głębi słaby duchem i niekonfliktowy, wołał, żeby go lubiano niż szanowano. Nigdy nie upierał się przy tym, aby okazywano mu stosowny szacunek, i nawet teraz Kollbergowi policzki płonęły ze wstydu na wspomnienie, jak ojciec pozwalał matce mówić do niego przy ludziach – bez stosowania tytułu grzecznościowego. I jak pozwalał, by go dotykała przy innych podkastowych!

Kollberg zdefiniował swoje życie w opozycji do życia ojca. Nie ożenił się, nie interesowała go rodzina – właściwie to wcale nie zamierzał się żenić. Żona wymagałaby zbyt wiele jego uwagi, przeszkadzałaby mu w ascetycznym oddawaniu się obowiązkom. Domagał się – skutecznie – żeby ci poniżej traktowali go z należnym respektem, i sam okazywał należyty szacunek wszystkim, którzy stali wyżej od niego. Doskonale wiedział, gdzie jest jego miejsce w rzeczywistości i w jakim kierunku zmierza jego życie.

W górę. Może i powoli, ale zdecydowanie w górę.

Dzięki poświęceniu i umiejętnościom piął się po szczeblach kariery: zaczął jako asystent kierownika działu w szpitalu ojca, aż w końcu zdobył posadę ojca. Jedną z chwil, z których Arturo Kollberg był szczególnie dumny, jedno z najdroższych mu wspomnień, to dzień, kiedy wszedł do gabinetu ojca, żeby osobiście wręczyć mu zawiadomienie o wymuszonej emeryturze. Pokazał, co może osiągnąć zdolny Administrator, udowodnił, że mimo mieszanego pochodzenia ma wszelkie potrzebne umiejętności.

Ale zdobycie posady ojca mu nie wystarczyło. W opiece społecznej ambitny człowiek nie mógł zająć wyżej. Teraz, dwadzieścia lat później, należał do elity, o której przeciętny Administrator mógł tylko marzyć. Prześcignął wszystkich kolegów z klasy, ich rodziców, wszystkich Administratorów, których poznał – był nie tylko przewodniczącym Studia, był przewodniczącym tego Studia, w San Francisco, od którego wszystko się zaczęło, w którym po raz pierwszy skonstruowano sprzęt do Transferu Winstona i zrobił to osobiście Jonah Winston. Studio przekształciło nie tylko naturę rozrywki, ale też strukturę samego społeczeństwa.

Sypało się, kiedy wziął je w swoje ręce, było wrakiem, pośmiewiskiem, zaściankiem, gdzie lądowały wszystkie niekompetentne ludzkie odpady. Równi mu Administratorzy ponuro kręcili głowami, gdy słyszeli o jego przeniesieniu, i ponuro śmiali się z tego, że sam niszczy obiecującą karierę.

Teraz już się nie śmieją.

San Francisco stało się perłą w koronie całego zespołu Studiów, pokazowym ośrodkiem, prestiżowym rynkiem; zarabiała rocznie pięćdziesiąt milionów marek za same listy oczekujących dla tych, którzy mieli nadzieję zostać abonentami gwiazd z listy dziesięciu najlepszych.

A kiedy mówi się o dziesiątce z San Francisco, kiedy mówi się o dziesiątce wszechczasów, to zawsze w końcu pada imię Caine'a.

Mówcie co chcecie o Burchardzie, Storum i Zhianie oraz o Mkembe, możecie wymieniać dowolne imiona, ale był tylko jeden Caine. Nigdy nie było nikogo takiego jak on i pewnie już nigdy nie będzie. Często go naśladowano, ale nikt mu nie dorównał. Istniało wiele sprzecznych teorii na temat niezmiennej popularności Caine'a. Przypisywano sukces jego elokwencji, ciekawej kombinacji okrucieństwa i pasji, swoistemu poczuciu humoru: Kollberg jednak wiedział, że to tylko puste racjonalizacje.

Innymi słowy – zwykłe pieprzenie.

Istniały dwa powody, dla których Caine dominował na rynku bezpośrednim i pośrednim. Pierwszym były jego wściekłe walki na gołe pięści.

Rzucanie czarów to jedno – czuć, jak moc magji wzbiera w ciele. Wbicie we wroga stalowego ostrza to co innego – coś bardziej intymnego, bardziej brutalnego. Ale nawet to nie mogło się równać z erotyczną mocą pękającej kości we własnych gołych rękach, z uderzeniem ciałem w ciało i nagłym radosnym uniesieniem, kiedy wróg wydaje z siebie słabe westchnienie – bo już wie, że przegrał – kiedy mina mu rzednie i widzi śmierć w oczach przeciwnika. Dla wielbicieli Caine'a walka jest wszystkim, a Caine rzuca się do walki jak nurek skaczący z urwiska – skacze i nie obchodzi go, czy przeżyje, czy umrze, bo robi to dla dreszczyku emocji.

Drugim powodem był sam Kollberg.

To Kollberg stworzył Caine'a, pokierował jego karierą z osobistym zaangażowaniem, jakie większość ludzi rezerwuje dla swoich synów. Caine udawał się w każde miejsce w Nadświecie, które mogłoby stanowić ekscytujące tło dla Przygody. Kollberg posyłał go czasem tam, gdzie pracowali inni Aktorzy – nawet jeśli to znaczyło, że pakował się w ich historię i ją przejmował. Kollberga krytykowano za takie faworyzowanie Caine'a i za folgowanie publiczności, za niszczenie historii innych Aktorów i niszczenie ich artystycznej wartości.

Odpowiadał na każde oskarżenie jednym gestem: pulchnym palcem wskazywał na podsumowanie zysków Studia. Nawet pomniejsi Aktorzy przestawali narzekać; przecież

szansa, że Caine pojawi się nieoczekiwanie w ich Przygodach, podbijała ceny abonamentów każdego Aktora w San Francisco.

Ale fakt, że Caine postawił się Kollbergowi, przeciwstawił się, patrząc mu prosto w oczy, a nawet groził... Tego nie mógł puścić płazem. Michaelsona nie powinno się traktować nawet jak Pracownika – ta chwilowa moda na schlebianie Aktorom poszła zbyt daleko. Pracownicy, jeszcze czego. Jeśli już, to powinni być Rzemieślnikami, co najwyżej; ich zajęcie sprowadzało się do prostego wytwórstwa w zamian za pieniądze. Każdy prawdziwy Pracownik jest członkiem elity społeczeństwa przestrzegającym etyki zawodowej, prawdziwy Pracownik jest odpowiedzialny za efekty jego pracy.

Kollberg ponuro uśmiechnął się do siebie. To byłoby zabawne – gdyby ktoś był odpowiedzialny za działania Caine'a, gdyby ktoś rzeczywiście musiał stawiać czoło konsekwencjom jego uczynków. To była cudowna wizja, ale Kollberg nie mógł sobie pozwolić na takie fantazje. Caine był zbyt cenny.

I tak naprawdę – musiał to sobie przypomnieć – to nie Caine mu groził, tylko Michaelson. Caine był tym, który umożliwił Studiu rozkwit; Caine był największym sukcesem Kollberga.

A Michaelson to osoba, która poniesie karę, gdy tylko Kollberg ją obmyśli.

### 3

Hari zakończył trening serią kopnięć z obrotu w holograficzny cel wielkości ludzkiej głowy, który tańczył w elektrostatycznej mgiele w siłowni w Opactwie. Kopnięcia obrotowe z wyskoku z obu stron, hakowe, boczne i po łuku – wirował, aż z włosów pryskał mu pot.

Pokręcił głową i zakonotował sobie w myślach, żeby uważać na kopnięcia lewą nogą; jakaś zmiana w pogodzie sprawiła, że stara rana po mieczu na prawym udzie zeszywniała i spowalniała go wystarczająco, żeby tylko trzy kopnięcia na pięć trafiały w podskakujący cel. To zły znak – już nie był dzieciakiem, a doświadczenie kompensuje spowolnienie tylko do pewnego momentu.

Podszedł prosto do ekranu, nie zwracając sobie głowy prysznicem. W czasie kilkuminutowej rozmowy z prawnikiem wytarł ręcznikiem większość obсыhającego potu. Upewnił się, że jego sprawy są we właściwym porządku, a zwłaszcza że opłata za opiekę nad ojcem będzie spływać nieprzerwanie. Kiedy to załatwił, wyłączył się. Z nikim innym nie musiał rozmawiać.

Zarzucił ręcznik na ramiona i ruszył do skarbcza. Limuzyna Studia wylądowała za piętnaście minut.

Czas stać się Caine'em.

Skarbiec w podziemiach Opactwa zużywał dość energii, żeby oświetlić małe miasto. Utrzymywał normalne pole Nadświata, dzięki czemu Hari mógł trzymać tu strój Caine'a i

jego broń i nigdy nie musiał przebierać się w skarbcu Studia w towarzystwie mniej ważnych Aktorów.

Skarbiec miał rozmiary małej garderoby – dokładnie dwa razy większej, niż potrzebował.

Kiedy otworzył drzwi, pusta lewa strona skarbca spojrzała na niego z wyrzutem. Czasem bawił się masochistyczną fantazją o kupieniu duplikatu kostiumu Pallas, żeby cokolwiek tam leżało, żeby było tam coś zamiast tej kpiącej pustki. Smutne marzenia zdesperowanego człowieka – nigdy nie potrafiłby powiesić tam własnego kostiumu, tak jak nadal sypiał po swojej stronie wielkiego łóżka.

Wyciągnął swoje rzeczy.

Czarna skórzana tunika była wyblakła i popękana – białe, słone kręgi starego potu znaczyły pachy, sznurowadła z surowej skóry rozciągnęły się i zeszywniały. Położył ją na nieskazitelnej tapicerce sofy w przebieralni, obok miękkich czarnych spodni, pokrytych zgrubnie zszytymi cięciami i rozdarciami. Szorstka brązowa nić odcinała się od skóry jak stara plama krwi. Na podłodze postawił parę miękkich butów, ściętych nisko, ledwie zakrywających kostkę, jak wysokie tenisówki z innej epoki.

Staął nago przed wysokim lustrem przy drzwiach do skarbca. Płaskie mięśnie klatki piersiowej, karby mięśni brzucha, węzły ud i ramion, wszystkie rysowały się wyraźnie jak wycięte w kamieniu. Obrócił się lekko i zmrużył oczy, przyglądając się z niesmakiem nieznaczemu pogrubieniu tuż pod talią. Może to nieunikniona konsekwencja dochodzenia do czterdziestki – a może po prostu się zaniedbał. Ledwo wyczuwalna odrobina próżności zabarwiła jego niesmak; cała reszta niezadowolenia wynikała ze świadomości, że cztery, pięć zbędnych funtów może być przyczyną śmiertelnego w skutkach spowolnienia w krytycznym punkcie dzielącym zwycięstwo od ostatecznej porażki.

Miał budowę boksera wagi średniej, może był odrobinę za wysoki jak na swoją wagę. Jego skóra była śniadą mapą przecinających się blizn, dzięki którym można było prześledzić kluczowe momenty w karierze Caine'a. Tu był pomarszczony krąg po belcie z kuszy, który przyjął na siebie w Ceraeno, tam blizna w kształcie rombu po pchnięciu mieczem prosto w wątrobę w sypialni Toa-Phelathona. Na obojczyku poszarpane cięcie toporem, kiedy Ghular Młot prawie obciął mu głowę. Na plecach miał serię równoległych blizn – pamiątkę po pumie z jamy z kotami w Kirisch-Nar. Znał historię każdej większej blizny i wielu pomniejszych. Teraz, patrząc w lustro, dotykał ich i czekał, aż związane z nimi historie zaleją jego umysł – przypominał sobie ponownie, kim jest.

Jestem Caine.

Długą bliznę od prawego biodra do uda – tę, którą spowalniała kopnięcia – zafundował mu Berne.

Otrząsnął się z tego wspomnienia i włożył skórzany, wyściełany ochraniacz na krocze z wszytą stalową miseczką. Naciągnął skórzane spodnie i z pochew na udach wyjął dwa noże do rzucania, sprawdzając na przedramionach ich ostre jak brzytwa krawędzie. Włożył buty,

sprawdził krótkie sztylety w pochwach na kostkach. Wewnątrz tuniki miał wszyte pochwy na trzy kolejne noże – dwa długie do walki wręcz (pod pachami) i jeden krótki do rzucania (między łopatkami). Zasznurował tunikę do wysokości mostka i przewiązał się w pasie garotą ze stalowym rdzeniem.

Teraz znowu spojrzął w lustro. Postać, która odpowiedziała na jego chmurne spojrzenie, była Caine'em.

Jestem silny. Jestem nieugięty. Jestem niechybny.

Nerwowy skurcz w trzewiach powoli rozluźniał się i znikał; ból i złość schodziły mu z ramion i spływały po plecach. Zaśmiał się ponuro, czując zimną obojętną wolność. Problemy Hariego Michaelsona, jego słabość i niepewność, całe jego klaustrofobiczne życie zostaną tu, na Ziemi.

Pozwolił, aby obraz Shanny wypłynął na powierzchnię jego świadomości. Jeśli ona żyje, uratuje ją. Jeśli nie, pomści ją. Życie jest proste. Życie jest dobre.

Jestem niezwykczony. Jestem Ostrzem Tyshalle'a.

Jestem Caine.

## 4

W techkabinie Arturo Kollberg oblizwał wargi i zatarł ręce. Nie tylko wszystkie bezpośrednie leżanki były wypełnione, ale odpowiedział już na przesłane w ciągu nocy prośby ze Studiów w Nowym Jorku, Londynie, Seulu i New Delhi, o symultaniczne połączenie przez satelitę.

Ta Przygoda zaczęła żyć własnym życiem, zanim jeszcze Caine wszedł do Studia. To będzie coś większego, niż Kollberg sobie wymarzył. Kiedy technicy odczytywali beznamiętnymi głosami listy kontrolne, nucił pod nosem i wymyślał tytuły, jakie mógłby nadać Przygodzie. *Przeciwko cesarstwu?* Nie, zbyt pospolity. *Może Siedem dni w Ankhanie?* Ale to się sprawdzi tylko, jeśli Pallas przeżyje tak długo. *Z miłości do Pallas Ril.* O, ten brzmiał ładnie, trochę staroświecko i nieco dekadenco.

Uśmiech wywołany tym pomysłem nadal błąkał się na jego ustach, kiedy bezbarwny, monotony głos technika oznajmił, że łącze satelitarne zostało sprawdzone i działa idealnie. Kollberg wstał i ruszył do zielonego pokoju.

## 5

W prywatnej łoży Biznesmen Marc Vilo rzucił ostatnie, przeciągłe spojrzenie na Shermayę Dole („z Uprzywilejowanych Dole'ów z Kauai” – ta fraza przyjemnie



rozbrzmiewała mu w głowie), a w każdym razie na jej piersi. Głowę już miała schowaną pod hełmem indukcyjnym, a biodra przykryte osobistą osłoną komfołączy symfotela. Doszedł do wniosku, że naprawdę jest bardzo atrakcyjna, chociaż pulchna, i pomyślał, czyby nie skorzystać z tego, zanim wyjdą z łoży. Zaliczył tu niebywałe mnóstwo pańienek; to nigdy nie zawodziło – bezpośrednio doświadczanie Caine’a zawsze je nakręcało. Trochę tego, trochę owego i może nawet Shermaya poprze jego starania o awans do Uprzywilejowanych. Uśmiechnął się i włożył hełm indukcyjny.

## 6

Na zewnątrz, do pomruku tłumu podkastowych dołączył niski warkot długiej, czarnej naziemnej limuzyny, która nadjeżdżała krętym podjazdem. Pomruk narastał, osiągając orgiastyczny poziom, kiedy Ochrona zepchnęła motłoch, żeby oczyścić dojazd do bramy. Limuzyna zatrzymała się i tłum westchnął. Aktorzy niemal zawsze przylatywali na lądowisko Studia, unikali tłumów i pędzili prosto do zielonego pokoju. Robili to prawie wszyscy.

Wszyscy poza Caine’em.

Każda osoba w tłumie знаła jego historię, historię dzieciaka z Mission District. Był jednym z nich – tak wierzyli – i nigdy nie zapomniał, skąd pochodził, nigdy nie zapomniał o swoich, o czym nieustannie przypominali mu marketingowcy Studia. Szofer wyskoczył z przedniego siedzenia, ale drzwi pasażera otworzyły się, zanim zdążył położyć na nich rękę. Robotnicy sami otwierają sobie drzwi. Tłum wstrzymał oddech, kiedy Caine wynurzył się z pojazdu.

Staął obok wozu, plecami do bramy. Przyglądał się ludziom, którzy nagle zamilkli. Widzieli zmarszczki na jego twarzy, które – jak wierzyli – oznaczały troskę. Wielu szturchało się nawzajem, pokazując to, co wydawało się dodaną do włosów i brody siwizną.

Jego bezruch jakby ich zahipnotyzował. Chwila przeciągała się, aż nawet coupe ostatnich zjawiających się Uprzywilejowanych zamarły w locie. Wtedy wyprostował się i jego oczy rozbliły, ukazał zęby w uśmiechu, w którym nie było radości.

Powoli uniósł zaciśniętą pięść w geście starszym niż Koloseum w Rzymie.

Tłum oszalał.

## 7

Caine wmaszerował przez otwartą gardziel bramy i żelazne szczęki zamknęły się za nim.

Do chuja pana, pomyślał, idąc ku głównym drzwiom. Nie cierpię tego gówna.

W skarbcu z normalnym polem Nadświata, podobnym, ale zdecydowanie rozleglejszym

od tego w Opactwie, wydano mu sześć srebrnych monet, które stanowiły jego rezerwę finansową.

Kollberg spotkał się z nim w zielonym pokoju. Dwóch ubranych na czerwono ochroniarzy stało na baczność przy drzwiach.

– Niezłe... ehm... wyczucie czasu, jeśli idzie o tłum przy bramie.

– Pewnie.

– A co do naszego, ehm, małego nieporozumienia wczoraj wieczorem... Rozumiem, że jesteś w dużym stresie. Jeśli chodzi o abonentów, to cóż, poczekamy i zobaczymy, prawda? Gdyby się okazało, że nie wyniknął z tego żaden problem, będziemy mogli o tym zapomnieć.

Caine spojrzał na ochroniarzy. Ich twarze kryły się za przyciemnionymi osłonami hełmów.

– Jasne, widzę, że ty już zapomniałeś.

Kollberg nerwowo odchrząknął.

– Tylko jedna, dwie ostatnie uwagi. Spokojnie zajmij się badaniem okoliczności zniknięcia Pallas, nim weźmiesz się za Ma'elKotha, to będzie dobrze wyglądało. Nikt nie może znać prawdziwego celu twojej misji. I, ehm... – Odkasznął w dłoń. – Co do Lamoraka... Jeśli żyje, jeśli na przykład został schwytany, pod żadnym pozorem nie próbuj go ratować.

– Jestem pewny, że Karl doceni twoją troskę.

– Pomyśl o tym z naszego punktu widzenia. Jesteś nieporównywalnie bardziej kasową gwiazdą i naprawdę byłoby głupio narażać cię dla człowieka, którego publiczność maleje od trzech lat, a nigdy nie była specjalnie duża. Jeśli jednak będziesz miał okazję odzyskać jego myśloemiter bez... ehm... specjalnego ryzyka, to śmiało. Wszyscy jesteśmy ciekawi, jak się sprawdza długozapis, a ty dostaniesz procent od wynajmu jego sześcianów.

– Zapamiętam. – Caine wskazał na zegar. – Pięć minut.

– No tak, cóż, ehm... Życzę połamania nóg.

Caine pokiwał głową.

– Pewnie nawet kilku.

## 8

W Cavei światła przygasły i górskie sceneria testowa z hełmów wyblakła na ekranach techników. Bezgłośny cień wyminął szeregi leżanek bezpośrednich, na których leżały postaci pozbawione twarzy przez ceramiczne osłony hełmów indukcyjnych. Cień wspiał się po schodach zigguratu platformy transferowej i przeszedł na jej środek. Zapłonęła potężna bateria reflektorów zwanych słońcami, idealnie rozświetlając samą platformę.

Caine stanął nieruchomo w jaskrawym, oślepiającym, białym świetle.

## 9

W techkabynie Arturo Kollberg zwilżył mokre usta. Mój majstersztyk, pomyślał.

– Włączyć myśloemiter.

Technik musnął czujnik i szeroki kopulasty ekran na drugim końcu techkabiny zamigotał, pokazując wznoszące się rzędy leżanek bezpośrednich widziane oczami Caine'a.

– Włączony.

Drugi technik zmarszczył czoło nad swoim ekranem i zgłosił niezwykle wysoką liczbę reakcji nadnerczy na deprivację sensoryczną. Kollberg osobiście poprawił podajnik neurochemiczny i trącił kciukiem włącznik mikrofonu.

– Uprzywilejowani i Inwestorzy – zaczął, a jego słowa rozległy się echem w Cavei i w sensorach słuchowych hełmów indukcyjnych na całym świecie. – Biznesmeni, panie i panowie. Tu Administrator Arturo Kollberg, przewodniczący Studia w San Francisco. W imieniu całego zespołu Studiów witam was na narodzinach nadzwyczajnej Przygody. A teraz, dzięki Vilo Intercontinental, „Sprowadzamy dla was świat”, daję wam Ostrze Tyshalle'a, Prawą Rękę Samej Śmierci...

Długa, znacząca pauza.

– Daję wam Caine'a!

Własnoręcznie dźgnął przełącznik, który podłączał holowidok z Cavei do hełmów indukcyjnych. Westchnienie, które się rozległo, było jak pierwsze tchnienie huraganu. Kollberg wyłączył mikrofon.

– Ustanowić połączenie transferowe.

Elektrownia pod Studiem ożyła z pomrukiem. Technicy patrzyli na odczyty w pełnym skupieniu.

– Jest. Mamy zaulek w Kolonii. Droga wolna.

– Dobrze. Jak tylko będzie gotowy.

Kollberg poklepał technika po ramieniu i wyszedł z kabiny, kierując się do swojej łoży.

## 10

Caine stał na platformie transferowej skupiony w bezruchu, który oznaczał gotowość do natychmiastowego ataku. Wziął długi wdech, zanim się odezwał:

– Nie mam dla was żadnych wielkich słów – wycedził powoli. – Ona jest moją żoną, to wszystko. Zamierzam dorwać każdego łajdaka, który choćby pomyślał o skrzywdzeniu jej, i załatwić go tak, że będzie zdychał jak pies na ulicy. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze

bawić.

Zacisnął dłonie.

– Wiem, że będziecie.

Wzniósł oczy ku szybie techkabiny wysoko nad nim.

– Załatwmy to.

## 11

Arturo Kollberg wtulił głowę w żelową poduszkę symfotela. Hełm automatycznie zakrył mu głowę, a ustawione wcześniej regulacje natychmiast dopasowały jego wzór pola. W długim, pełnym zadowolenia wydechu wypuścił powietrze z płuc.

Był święcie przekonany, że czeka go świetna zabawa.

## 12

Zaułek wokół mnie nabiera kształtu. Światło słoneczne. Zapachy – ciężkie przyprawy, curry i zielone chilli, nasiąknięty wodą węgiel drzewny, obornik, gnijące ciało... Po mojej lewej stoi pod ścianą skrzynia ze sfatygowanego drewna, w której piętrzą się kawałki ciał, głównie ludzkich, ale też paru ogrillów albo trollów – nadgryzione przez szczury nogi, ręce, dłonie bez palców, kawałki żeber albo miednic. Resztki z prowadzonego po sąsiedzku interesu – Zombi na Wynajem. Znam ten zaułek. Jestem w Kolonii, w pobliżu granicy Królestwa Ściemy z terenem Twarzy.

Powinienem raczej powiedzieć: w pobliżu miejsca, gdzie granica znajdowała się ostatnim razem kiedy byłem w mieście, czyli prawie dwa lata temu. Polityka terytorialna w Kolonii jest bardzo zmienna, mówiąc delikatnie. Gdy nie ma ewidentnych wojen o terytoria między różnymi gangami, granice są jeszcze bardziej nieuchwytnie niż to bywa w szerokim świecie. Granice w Kolonii oznaczają głównie gdzie, na jakiej ulicy i w jakim domu członkowie określonego gangu mogą robić interesy, nie narażając się na śmierć z rąk sąsiedniego gangu.

Co właściwie nie różni się tak bardzo od szerokiego świata z narodami i księstwami, traktatami i mierniczymi. Tutaj po prostu mówimy o tym szczerze, to wszystko.

Ogromny pies, z rozdziawioną paszczą, brązową, brudną sierścią i parchami, podkrada się ostrożnie w moją stronę, trzymając się porannych cieni pod ścianą. Odsuwam się uprzejmie krok do tyłu, żeby mógł przejść. Tutejsze kundły roznoszą choroby, o których nawet nie słyszałem. Pies zerka na mnie jedynym zdrowym okiem – drugie przesłania mu mleczna zaćma – rozważając możliwości działania.

Palce mnie świerzbią od adrenaliny, kiedy unoszę pięści.

To jest najlepsza rzecz w byciu Caine'em, zdecydowanie najlepsza: to niemal seksualne podniecenie płynące z całkowitej pewności siebie, przekonania, że jestem najtwardszym dzieciakiem w okolicy. W każdej okolicy.

– Chcesz tego posmakować, kundlu? – mówię, pokazując zęby. – Chodź i weź, zarobaczony worze gówna.

Bez wahania odzywam się w westerlingu. Blokady warunkujące założone przez Studio nie pozwoliłyby mi mówić po angielsku, nawet gdybym chciał.

Pies dochodzi do wniosku, że za dużo ze mną kłopotu, i mija mnie, decydując się na prostszy posiłek ze skrzyni z częściami zamiennymi. Wielki, cholerny pies – w kłębie sięga mi do żeber. Odcięte ręce i nogi w skrzyni skręcają się i odsuwają na oślep w parodii życia, kiedy w nich grzebie. Z głębi stosu dochodzi cichy jęk – pewnie jakiś leser zostawił głowę doczepioną do torsu. A może znalazł się tam ktoś żywy – włóczęga wtulił się w ciepło rozkładającego się ciała. A może to ofiara codziennych, niezliczonych rozbojów w Kolonii. Śmieję się i wzruszam ramionami.

Czas brać się do pracy.

Wychodzę z zaułka i idę ku sercu Królestwa Ściemy, na targ, który otacza stare, sypiące się cielsko Mosiężnego Stadionu. Tutaj słońce świeci jaśniej, bardziej żółto, a niebo jest bardziej niebieskie, chmury są bardziej puchate i bielsze, a wiatr, który je popycha, niesie słabą nutę zieleni i roślinności. Jest piękny dzień. Ledwo czuję gówno wdeptane w gnój, który tu uchodzi za ulicę, a niebieskie jak burzowe chmury muchy, rojące się na stosach śmieci, lśnią w słońcu niczym klejnoty.

Lawiruję między wózkami i kramami, z uśmiechem odmawiając parujących kawałków rzeczno-pstrąga i siatek z owocami tak sprytnie ułożonych, żeby nie było widać śladów po robakach i plam zgnilizny. Ignoruję sprzedawców amuletów i talizmanów, omijam handlarzy dywanów i garnków. To mój teren. Pracowałem w tym mieście i w okolicznych prowincjach przez pierwsze dziesięć lat kariery.

Wróciłem do domu.

Na murach tu i ówdzie widzę znak Simona Błazna, bardzo podobny do tego opisanego w książce, z której Shanna go ukradła: owal twarzy z diablami rogami i krzywą linią uśmiechu.

Żaden z żebraków nie wygląda znajomo, nie widzę nigdzie Rycerzy Ściemy. Gdzie, do diabła, wszyscy się podziali? Zatrzymuję się przy straganie ocienionym przez wysoki, przeżarty dymem wapienny mur stadionu.

Spocony sprzedawca pochyla się nad rączką różna z baraniami udźcami nad czerwono-czarnymi węgielkami.

– Udziec jagnięcy, gorąca baranina! – woła bez przekonania. – Świeżutka, z samego rana, bez robaków. Udziec jagnięcy...

– Hej, Lum – mówię. – Wyglądasz dziś na przygaszonego. Coś nie tak?

Patrzy na mnie i rumieniec znika z jego twarzy. Sekundę albo dwie później przypomina sobie, żeby się uśmiechnąć, ale niewiele mu z tego wychodzi.

– Caine? – Głos mu się nieco łamie. – Nic o tym nie wiem, Caine, przysięgam na własne jaja, nie wiem!

Sięgam do straganu i jakby nigdy nic biorę jedną ze stygnących nóg wiszących na sznurze.

– Nic nie wiesz na jaki temat?

Pochyla się ku mnie i zniża głos:

– Nie pogrywaj ze mną, Caine, nie tutaj... Moja kobieta ma gorączkę, wiesz, a mój chłopak... Terl, pamiętasz? Zniknął z Gnojarami, może już nie żyć, sam nie wiem. – Rozdygotany rzuca ukradkowe spojrzenia w moje beznamiętne oczy. – Nie mogę ściągać sobie na kark dodatkowych kłopotów, rozumiesz? Nie znam cię, nie widziałem, jasne? Po prostu odejdz.

– No proszę, aleś ty przyjacielski – rzucam chłodno.

– Caine, proszę, przysięgam... – Rzuca nerwowe spojrzenia na niczego nieświadomy tłum wokół nas. – Jeśli cię zgarną, nie chcę, żebyś myślał, że to ja cię wydałem.

– Jasne – mruczę.

No proszę, proszę. Odgryzam kawałek baraniny. Twarda jak stary but. Żuję, żeby dać sobie czas na przemyślenie sprawy, i nim zdążę przełknąć, czuję tuż za plecami, że ktoś za bardzo się zbliżył.

– Kłopoty, Lum? – pyta tamten. – Facet się czepia?

Lum kręci głową, a oczy ma wielkie jak spodki. Teraz już widzę przybysza kątem oka: czarne zdarte buty, czerwone bawełniane spodnie, dolna część sięgającej kolan kolczugi pomalowana na czarno i poblźniona, ale dłoń oparta na rękojeści miecza w pochwie zdradza raczej kogoś młodego. Rycerz Ściemy. Wreszcie. Będzie miał partnera gdzieś w pobliżu – oni zawsze chodzą parami.

Językiem przysuwam kęs baraniny do policzka i mówię:

– Tylko szukam rozrywki, nie denerwuj się.

Rycerz się śmieje.

– Całkiem oryginalna odpowiedź, fiutku. Będę musiał pobrać podatek od bezczelności. Pięć baronów. Płać.

Mrugam do Luma i obracam się, jakbym miał wymierzyć mu cios pięścią na odlew. Udziec barani trafia Rycerza za uchem i chłopak zgina się wpół. Walę go z prawej strony mięsem prosto w nos, tryska krew. Leci jak długi do tyłu i wyciąga się w błocie. Przerażony Lum chowa się za rusztem, przechodnie zaczynają się zatrzymywać i wokół nas gromadzi się krąg ciekawskich.

Odgryzam następny kęs baraniny, podczas gdy Rycerz potrząsa głową i próbuje wstać. Jego krew poprawiła smak udźca.

– Mała wskazówka, koleś – mówię do niego przyjacielsko. – Nie ściągać haraczu, którego nie możesz odebrać. Bo to źle wygląda. Tracisz szacunek u ludzi.

Jego partner pędzi ku nam przez rozgadany tłum. Uśmiecham się i macham do niego, a on chowa miecz do pochwy.

– Przepraszam, Caine, to nowy dzieciak, sam rozumiesz.

– Nie ma sprawy, Tommie. Dobrze pamiętam? Tak, z Podziemnej Beczułki. Jak idą interesy?

Szczerzy zęby, zadowolony, że go pamiętam.

– A niech to... U mnie w porządku. Wiesz, że cię ścigają?

– Właśnie słyszałem. Ile?

– Dwieście. W złocie.

Drugi kęs baraniny przetykam z pewnym trudem.

– Niezły grosz.

Dzieciak wreszcie podnosi się i nadal próbuje wyciągnąć miecz. Zalicza cios od Tommiego w to samo opuchnięte ucho.

– Przestań, głupku. To jest Caine, jasne? Honorowy Baron Ściemy. Nawet gdybyś przeżył atak na niego, a nie przeżyłbyś, to Jego Wysokość zjadłby twoje jaja na podwieczorek.

Dzieciak dochodzi do wniosku, że może znaleźć lepsze zajęcie dla rąk.

– A skoro już o nim mowa, muszę porozmawiać z Królem – wtrącam.

Tommie zerka na mnie i nagle pochmurnieje.

– Jest teraz zajęty.

– To kwestia życia i śmierci, Tommie.

Patrzy w dal, wyobrażając sobie różne reakcje, ważąc gniew Króla, gdy mu się przeszkadza, i dług wdzięczności, jaki Jego Wysokość może uważać, że nadal ma względem mnie. Nagle podejmuje decyzję.

– W porządku, chodź ze mną.

– Ej, Lum? Już po wszystkim.

Sprzedawca wychyla głowę zza grilla, a ja rzucam mu srebrnego barona. Nie jestem złodziejem.

– Twoja baranina to wyjątkowe gówno, tak nawiasem mówiąc. Reszta dla ciebie.

Mruga, zaskoczony.

– Eee, dziękuję... chyba.

Tommie prowadzi mnie za zakręt stadionu. Dzieciak idzie za nami, tamując lecącą z nosa krew brudną chusteczką. Wychodzimy z targowiska i idziemy wąskimi, krętymi zaułkami Kolonii. Tylko czasem udaje mi się zerknąć na słońce, ale nie potrzebuję go, żeby wiedzieć, w jakim kierunku idziemy: w stronę potrójnej granicy Królestwa, Twarzy i Szczurzej Dziury.

Prawdziwe interesy w Kolonii prowadzi się w sercu każdego z terytoriów gangu; granice są zbyt delikatne, zbyt podatne na nagłe, śmiertcionośne wypadki i zwyczajne podpalenia.

Każda granica obejmuje przynajmniej kilka przecznic ziemi niczyjej – czasem pięć lub sześć – a ich nieszczęśni mieszkańcy zwykle są zmuszani do płacenia obu stronom. Potrójne granice – jest ich cztery; Królestwo Ściemy zajmuje centrum Kolonii wokół Stadionu – to najbiedniejsze okolice w najbiedniejszej części Ankhany, z szumowinami żerującymi już na samym dnie. Często jedynym schronieniem jest tu skorupa spalonego namiotu. Wielu mieszkańców śpi po prostu na ulicy.

Podoba mi się tutaj. To miejsce przypomina mi dom.

Tommie zatrzymuje się cztery kroki przed zalanym słońcem wylotem zaułka, którym szliśmy od kilku minut.

– Dalej już nie mogę iść. – Kiwa głową, patrząc na granicę, potem wskazuje na kolczugę pomalowaną na czarno, ze srebrzystymi brzegami, zdradzającą Rycerza Ściemy. – Nosimy z dzieciakiem barwy. Jego Wysokość dzisiaj poluje i popsulibyśmy mu zasadzkę.

Kiwam głową.

– Gdzie jest?

– Nie widzisz go stąd. Znasz zaułek między Pracującym Umarlakiem i domem, w którym był burdel Fader?

– Był? – Odzywa się nostalgia, spędziłem u Fader wiele szczęśliwych godzin. – Co się stało z Fader?

– Przyjmowała zbyt wielu Szczurów – odpowiada Tommie, wzruszając ramionami. – Wybuchł pożar.

Życie w wielkim mieście.

– W porządku. Powiem Jego Wysokości, że dobrze się mną zajęliście.

– Równy z ciebie gość, Baronie. Dzięki.

Tommie szturcha łokciem dzieciaka i rzuca mu znaczące spojrzenie. Młody prycha krwią i mamrocze:

– Dzięki, ehm, że mnie nie zabiłeś, Cai... eee, Baronie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zostawiam ich i wychodzę na słońce.

Budynki, które kiedyś stały pośrodku granicy, spalono i zostały po nich niskie kopce gruzu, rozległy obszar zalany słońcem i smagany wiatrem. W kilku miejscach wokół tego niby-placu przesiadują Szczury w swoich gównianych barwach: brązie i żółci. To nic niezwykłego, w końcu to ich granica. Kilku kręcących się ludzi na ulicy też może być Szczurami w przebraniu.

Ruch jest spory. Mężczyźni z zaostrzonymi kijami poganiają sznury związanych ze sobą zombi z Pracującego Umarlaka, jedyne kwitnące interesu w promieniu kilku przecznic. Podejrzewam, że właściciele chcą być blisko źródła towaru. Zombi, z szarą skórą i zamglonymi oczami, nie przeszkadzają mi. Nasi Fizole są gorsi, naprawdę; w zombi nie dojrzysz ukrytej iskierki życia – inteligencji, woli, czegokolwiek – a to ona właśnie sprawia,



że Fizole to tragiczna potworność.

Nigdzie nie widać żadnych Sług, chociaż nigdy nie można mieć pewności. Każdy z obiboków grzejących się w słońcu, każdy z pijaków w zaułku albo zaspanych palaczy rithu na schodkach – każdy z nich może być Sługą Ściemy. Nie mogę oczekiwać, że ich rozpoznam – chwilę nie było mnie w Ankhanie.

Zaułek, do którego skierował mnie Tommie, jest pełen śmieci – resztek jedzenia, gnijących szmat, kawałków połamanych mebli – i szczurów, ale tych czteronożnych. Trędotawy leży na zaimprovizowanym barłogu ze szmat, z otwartych ran sączy mu się w strzępy poźółkłej siwej brody krwawa ropa. Mrużę oczy, przyglądając mu się.

– Do kurwy nędzy, Caine, złaż z ulicy, wyróżniasz się jak pieprzony wrzód na dupie.

– Witam, Wasza Wysokość – mówię, wchodząc jakby nigdy nic do zaułka. – Jak interesy?

Zniszczona twarz Króla Ściemy rozpromienia się szerokim uśmiechem wyrażającym czystą radość. Odpowiadam mu tym samym. To właściwie mój najlepszy przyjaciel w Nadświecie. W moim świecie.

– Caine, ty sukinsynu! Jak mnie znalazłeś?

Znajduję sobie miejsce za jego stosem szmat i sadowię się, opierając się plecami o ścianę.

– Twój chłopak, Tommie, przysłał mnie tutaj. To dobry człowiek. Ej, te rany wyglądają zabójczo.

– Podobają ci się? Możesz je mieć. Olej z lampy z woskiem świecowym i surowym ciastem, krew kurczaka, na wpół zakrzepła, z korą wierzbową, żeby nie skrzepła do końca, i odrobinę sosnowej żywicy, żeby wszystko się trzymało. Ładnie wyglądają, ale kurewsko śmierdzą. Co cię sprowadza do Ankhanu, sukinkocie? Kogo masz zabić?

Kręcę głową i rzucam mu poważne spojrzenie.

– Tym razem to sprawa osobista. Szukam...

– Wiesz, że jest cesarski list gończy na ciebie?

– Tak, tak. Słyszałem. Słuchaj, muszę znaleźć Pallas Ril.

Marszczy czoło.

– Pallas? – mówi powoli i nagle się rozpromienia. – Ej, patrz, zaraz będzie akcja.

Owinięta w szmaty dłonią macha w stronę placu.

– Wasz Wysokość, to ważne – zaczynam, ale patrzę w miejsce, które wskazał.

Udaje mi się jeszcze zobaczyć, jak zombi, szurając nogami, podchodzi do jednego z wyciągniętych na drugim końcu placu Szczurów. Facet wstaje, żeby odpędzić go kopniakiem, ale zombi nagle porusza się o wiele szybciej niż to robią żywe trupy.

Łapie Szczura, przyciąga go do siebie, a potem wchodzi z nim do cienistego zaułka jak na numer z ulubioną dziwką; kiedy go puszcza, Szczur ma krwawą plamę poniżej splotu słonecznego. Pada na kolana, a potem na twarz.

Robota zawodowca: jeśli zdołasz rozerwać serce przy pierwszym dźgnięciu, krew nie sika we wszystkie strony, a cios w brzuch towarzyszący dźgnięciu wypycha z płuc całe

powietrze. Facet pada martwy, nim zdąży złapać oddech i krzyknąć. Zombi oddala się, powłócząc nogami, i następny facet w szurzących barwach wychodzi na miejsce zabitego.

– Elegancko, co? – Król chichocze i przykłada dłoń do ucha. – Nie słyszę żadnego alarmu. Mam ich wszystkich.

Kiwam głową.

– O co chodzi?

Uśmiecha się.

– Dostałem cynk, że Thervin Oszczerca spotyka się z pewnym kapitanem Królewskich Oczu w czynszówce po drugiej stronie.

– Zdejmujesz go? – Thervin Oszczerca to Król Szczurów, przywódca północno-zachodniego rywala Królestwa Ściemy. Znam go. I nie lubię. – Wiesz, skoro już tu jestem, może mógłbym go załatwić dla ciebie?

– Dzięki – odpowiada Król, szczerząc zęby. – Nie tym razem. Nie chcę teraz wojny ze Szczurami. A poza tym musiałbym też zabić kapitana Oczu, a takich kłopotów nikt nie potrzebuje. Ale wiesz, nie chcę też, żeby Thervin wlaźł Oczom do łóżka; Szczury ostatnimi czasy zdecydowanie za bardzo się rozbrykały, a jak zdobędą trochę cesarskiego wsparcia, to całkiem się wyrwą spod kontroli. Więc zamiast go zabić, prześlę mu przyjazną wiadomość. Wszystkich trzech jego figurantów.

Trzech martwych gości równa się przyjazna wiadomość. Taką matematykę to ja rozumiem.

– A najlepsze jest to – ciągnie Jego Wysokość – że nawet nie będzie wiedział, że coś się stało, dopóki nie wyjdzie na spotkanie. Wtedy podstawione przeze mnie Szczury przekażą mu pozdrowienia. Zrozumie. I następnym razem się zastanowi.

– Kto ci dał cynk? Masz kogoś w Oczach czy wśród Szczurów?

Król uśmiecha się zadowolony z siebie.

– Tajemnica zawodowa, koleś. Powiedzmy tylko, że nastały dobre czasy dla Królestwa i tak to zostawmy.

Hm... Gdyby czasy były takie dobre, nie ciągnąłby swojego tyłka tutaj, żeby nadzorować wszystko na miejscu, ale odpuszczam sobie. Po co marnować oddech na kłótnię?

– Pallas Ril – przypominam mu. – Gdzie jest?

Znowu zerka w moją stronę.

– Słyszałem, że jest w mieście.

– Ja też, dlatego rozmawiam tu z tobą. Słyszałem też, że prowadzi grę, w którą gra również paru Sług.

– Nie sędzę. Wiedziałbym o tym. Może i nie jesteśmy z Pallas najbliżej, ale przyszlaby prosto do mnie, gdyby szukała takiej pomocy, nie?

– I przyszła.

Rzuca mi przeciągłe spojrzenie, a jego głos staje się chłodny.

– Myślisz, że nie powiedziałbym ci?

Wzruszam ramionami.

– Caine, mówię ci, wiem tylko, że jest w mieście. Teraz przypominam sobie, że ktoś składał raport o kontakcie... rozmawiała z jednym z chłopaków czy coś takiego, ale nic poważnego.

– Kim jest Simon Błazen?

– Facet, który przemycza te biedne łajzy, które według Ma'elKotha są *Aktirimi*? A skąd miałbym wiedzieć?

– Straciłeś ze dwóch chłopaków mniej więcej o tej porze wczoraj rano, na terytorium Gnojarzy nad rzeką. Co tam robili?

– A skąd mam wiedzieć?

– Już dwa razy zadałeś to kretyńskie pytanie. Robili za fatygantów dla Simona Błazna i, do kurwy nędzy, doskonale o tym wiesz.

Siada prosto i nagle rzuca mi ostre spojrzenie.

– Pracujesz, co? Kto płaci? Klasztory czy Cesarscy?

– Wasza Wysokość, przysięgam, chcę tylko odnaleźć Pallas Ril.

– Słyszałem, że zerwaliście.

– A co cię to obchodzi? Gdzie ona jest?

– Ale... – Kręci głową i wygląda na szczerze zakłopotanego. – Co Pallas Ril ma do Simona Błazna? Pracuje dla niego?

Mrużę oczy i nie odpowiadam. Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym pochyla się i drapie się po głowie.

– No dobra, niech to szlag. Trochę pomagałem Simonowi Błaznowi. Ci chłopcy, fakt, robili za fatygantów. I co w tym złego? Drobne uklucie w tyłek Ma'elKotha, nic więcej. Ale chyba zdjęły ich Koty. Nie sądzę, żeby któryś przeżył.

– I co teraz?

Marszczy czoło.

– Nie wiem.

– Kiedy znowu Simon Błazen powinien nawiązać kontakt?

– Nie wiem. – Jeszcze bardziej ściąga brwi. – A powinienem.

– No dobra, słuchaj. – Jestem rozdrażniony i sfrustrowany. Pocieram oczy i pytam: – Jak w ogóle dałeś się w to wciągnąć? Spotkałeś, ehm, Simona Błazna... osobiście? Jak do ciebie dotarł?

Powoli, bardzo powoli kręci głową, a zmarszczki na jego czole znikają pod wpływem czegoś, co przypomina trwogę.

– Nie pamiętam...

– W tym sęk.

Rysy jego twarzy natychmiast zastygają w twardym wyrazie wojowniczości.

– Nie próbuj robić z tego mojego problemu, Caine. Mam zbyt wielu ludzi na tej ulicy i w życiu byś...

– Spokojnie. – Przynajmniej zaczynam łąpać, jak ten przeklęty czar działa. Zabawne, że najwyraźniej nie działa na mnie. – Wierzę ci.

Jego Wysokość wygląda teraz na poważnie zaniepokojonego i bardziej niż trochę przestraszonego.

– Powiesz mi, co jest grane? Niech to szlag, Caine, to jakaś makabra! Tracę rozum? Powinienem to wszystko wiedzieć. To jakaś magia, co? Ktoś mnie zaczarował, to się właśnie stało, tak?

– Aha.

– Zostałem zaczarowany? To mi właśnie mówisz? Ja pierdołę, pozabijam ich.

– Nie bierz tego do siebie.

– Co ty powiesz... Nikt nie będzie rzucał na mnie czarów, Caine. Nikt. Nie wiedzą, że ich pozabijam? Czy te fiutki mają pojęcie, z kim zadzierają? Mam Abbala Paslawę, Czarownika, a on popracuje nad nimi tak długo, aż będą mieli własne kutasy w tyłkach i sami się będą pierdolić na każdym kroku!

Podnoszę rękę, żeby mu przerwać.

– Jak tam ostatnimi czasy nasze układy z Twarzami?

– Nie za dobrze. A co? – pyta, uspokajając się trochę.

– Hamman ma najlepsze dojścia w pałacu, muszę z nim pogadać.

– To będziesz musiał zajebiście głośno mówić. Nie żyje od roku.

– Żartujesz! Gruby Hamman? Myślałem, że jest niezniszczalny.

– On też tak myślał. Nikt nie wie, co go trafiło, ale bystrzy stawiają na nową przywódczynię Twarzy, elficką sukę z „Egzotycznej Miłości” w Mieście Obcych. Kierendal.

– Ta lesba? Ożeż w mordę...

– No, i tak źle, że trzeba dogadywać się z lesbą, ale żeby jeszcze z podczłowiekiem? Żeby coś takiego przewodziło gangowi w Kolonii? Ściąga do siebie wszystkich podludzi – elfy, krasnoludy, duszki i tak dalej. Teraz Twarze mają w kieszeni całe Miasto Obcych. Wszystko przeniosła ze starego pałacu Hammana, „Szczęśliwego Skapca”, do „Egzotycznej Miłości”; teraz to najlepsze kasyno w całym cesarstwie. Nazywa to miejsce Kasynem Obcych. I naprawdę lepiej nie próbować jej rznąć. Żart mimowolny. Mówi się, że dorwała księgę czarów Hammana, a wiesz, jakie są elfy, niech to szlag, one przecież wymyśliły magję! Zaraz, to ona maczała w tym palce? Ta lesba, ten cipoliz? To ona rzuciła na mnie czar?!

– Jakie ma powiązania?

Król wzrusza ramionami.

– Równie dobre jak Hamman, może nawet lepsze. On miał przede wszystkim hazardzistów. Ona ma hazardzistów, narkomanów i zbrojeńców, którzy lubią wsadzać podludziom. Posłuchaj, nie chciałbyś jej dla mnie zabić? Sowiecie wynagrodzę za fatygę.

Kręcę głową.

– Nie dziś. Słuchaj, muszę się zbierać. Będę w kontakcie.

– Co, już? Minęły dwa lata... Nie opowiesz, co się działo?

– Przepraszam, czas mnie goni. Aha, skoro tak mnie szukają i w ogóle... Masz jakiś niepotrzebny płaszcz albo coś z kapturem? Coś, w czym dotrę do Miasta Obcych, zanim mnie dorwą?

Wskazuje kciukiem.

– Weź mój. Jest za tą połamaną szafką. Wiesz, pomogłoby ci, gdybyś się ogolił. Bez tej brody byłbyś innym człowiekiem.

– No właśnie. Czasem potrzebuję być sobą.

Wzrusza ramionami. Biorę szatę, narzucam na siebie i naciągam kaptur, żeby ukryć twarz.

Jego Wysokość wyciąga rękę. Ściskam ją.

– Wiesz, że mój dom jest otwarty dla ciebie – mówi. – Wpadnij któreś nocy po Cudzie. Możesz zostać u mnie.

– Przyjdę. Do zobaczenia.

Odchodzę, pogwizdując jak Robotnik-obibok, aż opuszczam pole gry. Wtedy poważnieję i solidnie przyspieszam kroku. Więc będzie trochę trudniej niż się spodziewałem, i co z tego? Tu, w Ankhanie, nie sposób się załamać.

Delikatny zachodni wiaterek przynosi dym i smród Kolonii za moimi plecami, kiedy opuszczam strefę graniczną i idę w stronę Twarzy. Słońce grzeje mi plecy przez lekki materiał narzucony na skórzaną tunikę. Dziwki i żebracy zerkają na mnie, kiedy mijam ich w pośpiechu – pewnie zastanawiają się, czy jestem złodziejem, czy rabusiem. Jednak ruszam się zbyt szybko i znikam, zanim dojdą do jakiegokolwiek wniosku. Nie zwracam na nich uwagi.

Gruzowisko po spalonych budynkach to wygodny skrót do terytorium Twarzy – części Kolonii, która graniczy z właściwą Ankhaną i która kiedyś należała do Hammana i jego ludzi. Brudny mężczyzna w przypalonych szmatach warczy na mnie spod brezentu rozciągniętego między dwiema belkami, które runęły jak zboże po żniwach. Głębiej, w cieniu za nim, widzę kobietę o mętym spojrzeniu, przyciskającą niemowlę do obwisłej, pustej piersi. Uśmiecham się, wzruszam ramionami, przepraszając za wtargnięcie do ich domu, i idę dalej.

Dobrze się tutaj czuję, lżej mi na sercu tu niż w jakimkolwiek miejscu, w którym się znalazłem, odkąd skończyłem osiem lat. Może, jak już znajdę Pallas, będę miał kilka dni, żeby się nacieszyć tym miastem.

Przygrzewające słońce uruchamia strużkę potu. Skóra mnie świerzbi. Śmierdę jak cap.

Kocham to miasto. Jestem wolny.

Kierendal Pierwsza Twarz uniosła na chwilę wzrok znad książki, słysząc umówione pukanie do zewnętrznych drzwi jej komnat. Drobnutkie jak u lalki dłonie Tup nadal ugniatały napięte mięśnie jej ramion i karku.

– Nie wstawaj – zadźwięczał w jej uchu świszczący głosik. – Zakke otworzy.

– To na pewno Pischu – westchnęła Kierendal. Nigdy nie przeszkadzał bez ważnego powodu. – Powiedz, żeby sobie poszedł.

Tup przysunęła teraz usta do palców muskających kark Kierendal i wywołała ciepły dreszcz biegnący od podstawy jej kręgosłupa.

– Mmm, przestań...

Kierendal sięgnęła za siebie i prześliczna, drobnutka drzewinka znalazła się przed nią. Tup siedziała na dłoni Kierendal jakby jechała na oklep na koniu. Choć miała ledwie dwadzieścia cali wzrostu, była cudem kobiecej doskonałości: idealne piersi, które nigdy nie będą musiały obawiać się grawitacji, nieskazitelna skóra, złociste włosy, jakby lśniące własnym światłem. Mogłaby być przepięknym człowiekiem, gdyby nie wzrost, wielkie przezroczyste skrzydła, które składały się za jej plecami, i przeciwstawny kciuk u każdej nogi, pozwalający jej rasie przysiąść na gałęziach. Była przy tym urocza, a także niewiarygodnie wrażliwa – jej sutki stwardniały pod spojrzeniem Kierendal. Tup poruszyła się w niezwykle sugestywny sposób, obejmując szczupłymi i pięknymi kostkami przedramię Kierendal.

– Nie czas teraz na zabawę, słodziutka. Interesy wzywają. Odleć... i ubierz się. Pischu lubi drobne kobiety, a wolałybyśmy nie podsuwać mu żadnych pomysłów.

– Och, jesteś okropna. – Tup zachichotała.

Rozłożyła skrzydła i odleciała w mrok pokoju bezszelestnie jak sowa.

Pischu zakaszłał, stając w progu.

– Janner znowu oszukuje.

Kierendal powoli, czule musnęła okładkę z ludzkiej skóry, zamykając wielką księgę. Dopiero potem uniosła wzrok. Jej oczy w kolorze stali napotkały spojrzenie kierownika dziennej zmiany w Kasynie Obcych. Oczy Kierendal miały pionowe źrenice – źrenice nocnego łowcy.

Pischu znowu zakaszłał i nagle odwrócił wzrok. Kierendal lubiła podczas lektury wyciągać się nago na stosie jedwabnych poduszek. Pischu był jednym z trzech Twarzy, którym wolno było wejść do jej pokoiów, ale ten przywilej nie zmniejszał jego dyskomfortu. Kierendal sprawiało to przyjemność – jego skrępowanie dodawało ładnego cytrynowego odcienia do skądinąd mdłej, ziemistej Powłoki Pischu. Podobnie jak inni jej pobratymcy z Pierwszego Ludu, nie musiała się skupiać, żeby przywołać wewnętrzne widzenie; to był dla niej po prostu jeszcze jeden zmysł, jak węch albo smak.

Przy ciężkich, brokatowych zasłonach, szczelnie zaciągniętych na szerokich oknach, jedyne światło w pokoju dawały artystycznie rozstawione lampy, które malowały różane

pasma na jej srebrzystych włosach i ciele w kolorze łoświanej bieli.

Była wysoka nawet jak na kobietę z Pierwszego Ludu, które często przewyższały swoich mężczyzn, i tak szczupła, że jej staw biodrowy widać było pod zaokrągleniem pośladków, gdy wyprostowała swoje nieskończenie długie nogi. Uniosła się na łokciu, pokazując sutki prawie nieistniejących piersi; dziś rano pomalowała je na srebrno, pod kolor ułożonych w zawiłe pierścienie włosów. Błysk w kolorze monet przyciągnął wzrok Pischu, jego twarz poczerwieniała, a cytrynowy odcień Powłoki gwałtownie się pogłębił.

– Bardzo źle jest dzisiaj? – zapytała głosem tak chrapliwym i omdlewającym, że Pischu aż się skrzywił.

– Gorzej niż zwykle. Smaruje kości, a niezręczny jest przy tym jak cholera! Dwóch naszych... gości... już się zorientowało i musiałem ich wyrzucić, żeby przerwać bójkę.

– Ktoś ważny?

– Nie, przegrywali, ale niedużo. Mała strata. Tylko że właśnie przyszedł Berne.

– Berne?

Rozchyliła wargi w kolorze wątróbki cielęcej, na tyle mocno, żeby odsłonić zbyt długie i zbyt ostre kły. Jeśli ten wariat dorwie Jannera na kantowaniu...

Berne lubił grę w kości, ale nie umiał przegrywać. Jeśli znajdzie kogoś, na kogo będzie mógł zwalić winę, to głowa Jannera poturla się w ułamku sekundy – tyle Berne potrzebuje, żeby wyciągnąć ostrze. A Janner był właścicielem Ankhańskiego Szamba i Obornika, jednego z bardziej dochodowych interesów, w którym Kierendal miała udział.

– Ja się tym zajmę. Berne jest już w dołku?

– Jeszcze nie, ale niedługo będzie. Na razie siedzi w Kryształowym Barze i gawędzi z Galą. Nadal myśli, że pewnego dnia uda mu się dostać ją za darmo.

– Jeśli mu się uda, to się rozczaruje. – Kierendal wstała i przeciągnęła się, wyginając plecy. – Prawdziwa namiętność osłabia jej technikę. Zakke?

Jej sługa, skalnik o szerokich barach i gładko wygolonym, słabo zarysowanym podbródku, natychmiast pojawił się w drzwiach. Jak zwykle podsłuchiwał, ale to była część jego pracy.

– Tak, Kierendal?

– Powiedz w kuchni, że chcę drugie śniadanie. Cokolwiek mają żywego, mogą być ostrygi. I świeży plaster miodu, Tup pewnie się przyłączy.

Kiedy mówiła, mgła zawirowała i oblała ją, układając się w fałdy, jak materiał, na jej kościstych ramionach.

Zakke skinął głową i odliczając na palcach, starał się zapamiętać polecenia. Był słodkim chłopcem, naprawdę, ale niezbyt bystrym. Za to bardzo silnym i lojalnym. Pod wpływem impulsu Kierendal postanowiła, że pozwoli mu w końcu zapuścić tradycyjną u skalników brodę, żeby zakrył ten nieszczęsny podbródek.

Teraz stała w bezruchu i tworzyła swój wizerunek. To był prosty proces, szczególnie że

stronica w księdze Hammana, którą studiowała tego ranka, dostarczyła jej kilku interesujących wskazówek w kwestii urzeczywistniania Fantazji. Otworzyła Powłokę na Przepływ i owinęła go wokół siebie, tak jak inne kobiety owijają się w jedwab. Otulił ją czule, delikatnie, dokładnie, zabarwiając przejrzystymi pastelami powietrze, w którym stała.

Jej ręce przyciągały mgłę, nadając jej namacalność tkaniny, a jednocześnie muskały jej ciało, by nabrała kształtu, jakiego sobie życzyła. W tym czasie zwinięte metaliczne włosy rozsypały się i spłynęły pięknymi falami – teraz zdecydowanie złotymi – na ramiona, które zyskały bardziej ludzki odcień, oraz miękką krągłość piersi, którym nadała kobiecą obfitość.

Kiedy proces się zakończył, nadal wyglądała egzotycznie – ewidentnie jak przedstawicielka Pierwszego Ludu, co zdradzały skośne fiołkowe oczy i wyraźnie spiczaste uszy – ale pojawiło się coś subtelnie kojarzącego się z niewinnością w zarysie jej pełnych ust, miękkiej skórze muśniętych złotem policzków, słodkim łuku bioder, które ujęłyby serce każdego mężczyzny. Teraz ukryła się za twarzą, której nigdy nie tknęła głębsza myśl.

Uśmiechnęła się, poprawiając fałdy iluzyjnego ubrania – myślą i w ślad za nią ruchem dłoni. To będzie zabawne, spacerować nago wśród niczego niepodjezwajającej obsługi i klienteli. A jeszcze bardziej będzie ją bawić fakt, że za nią idzie Pischu, który wie, że ona jest naga.

– No dobrze. Zobaczmy, czy uda nam się przekonać Jannera Farciarza, że to nie jest jego fartowny dzień.

Zakke otworzył drzwi; Pischu z szacunkiem odsunął się na bok. Pokonawszy dwa krótkie ciągi schodów i strzeżony korytarz, Kierendal weszła do swego królestwa.

Kasyno Obcych było baśniową krainą występku. Poręcze z lśniącego mosiądzu okalały hazardowe dołki w podłodze. Trzy szerokie schodki z lśniącego marmuru o fioletowych żyłkach otaczały każde zagłębienie jak dziesiątkę na tarczy. Dziewczęta o krągłych biodrach i chłopcy o płaskich brzuchach – wszyscy w skąpym odzieniu odsłaniającym ich oszałamiającą urodę i wdzięk – nosili tace z koktajlami i różnymi używkami, chodząc po dywanie z gniecionego czerwonego aksamitu. Ci służący – ludzie i pierwotni – przyprawiali o co najmniej taki sam zawrót głowy, jak zawartość ich tac, i byli równie dostępni, a w niektórych wypadkach zdecydowanie tańsi. W pięciu ogromnych, kryształowych żyrandolach nie było świec, ale mimo to promieniowały kojącym, bursztynowym światłem, które wyglądało tak, jakby nie miało żadnego konkretnego źródła. Nawet teraz, dobrze przed południem, w dołkach dla graczy tłoczyli się spoceni mężczyźni i kobiety, niczym skacowane jastrzębie, obserwujący baczным spojrzeniem przekrwionych oczu toczące się kości albo wykładane karty.

Klienci, niezajęci hazardem albo upijaniem się do nieprzytomności przy jednym z siedmiu barów, oglądali przedstawienie. Na wąskiej otwartej scenie, która sterczała ponad dołkami ze stołami do gry, ludzka kobieta o imponującej kaskadzie kruczoczarnych włosów czerpała dobrze odgrywaną przyjemność z zabiegów dwóch drzewinków. Ponieważ zbliżał



się koniec widowiska, była już naga i skąpana w pocie, drżąc z udawanej namiętności, podczas gdy dwóch drzewinków śmigało wokół niej na rozmazanych smugach przezroczystych skrzydeł jak wielkie kolibry. Trzymali jedwabne sznury i oplatali je wokół niej, wiążąc ją i rozwiązując, przesuwając płatany w węzły jedwab po jej nieskazitelnym ciele.

Ta „dziewczyna” była jedną z najlepszych aktorek Kierendal; nawet teraz mężczyźni i kobiety wstawali, żeby wziąć za rękę najbliższą dziwkę. Kierendal przez chwilę oglądała przedstawienie, uśmiechając się i kręcąc głową. Gdyby tylko ci goście, którzy tak się podniecili, oglądając ją, wiedzieli, że naprawdę jest pięćdziesięcioletnią ogrillową dziwką ze zwiotczalnymi cycami i brodawkami wielkości palca na całym ciele...

Podobnie marmur o fioletowych żyłkach naprawdę był nieheblowaną sosną, tak zniszczoną, że już ziemistą w kolorze, lśniący mosiądz był pordzewiałym żeliwem, a obsługę stanowiły w większości zniszczone byłe dziwki, ospowate i o tępym spojrzeniu.

Te wszystkie iluzje burzyły Przepływ w fantastyczne wiry energii, ale nie czerpały z niego; cała potrzebna moc szła z jednego lśniącego czarnego gryfkamienia nie większego niż staw w kciuku Kierendal. Przypomniła sobie, że będzie musiała wymienić gryfkamień jeszcze w tym miesiącu.

Kierendal zatrzymała się w progach, by dołączyli do niej trzej strażnicy – potężne ogry o niespiłowanych kłach, w lekkich kolczugach pomalowanych w szkarłatne i mosiężne barwy kasyna i z potwornie kolczastymi korbaczami przewieszonymi u pasa. Całą oficjalną straż kasyna stanowiły ogry albo ich nocni kuzyni, trolle. Z pewnością świadomość, że awanturnicy zostaną nie tylko zabici, ale też zjedzeni, pomagała Kierendal utrzymać porządek w interesie. Nikt nigdy jej nie okradł.

Przytłaczające poczucie zagrożenia ze strony ogrów pozwalało jej także wpuszczać uzbrojonych gości, bo ochroniarze zwykle zdąжали przerwać spór, by nie skończył się czyjąś śmiercią. A gdy pozwalała mężczyznom zachować miecze, dziwki miały większe wzięcie; faceci zwykle byli bardziej skorzy do zabawy, kiedy mieli stalowe penisy przypięte u boku.

Rozszerzyła swoją Powłokę i skierowała prądy w Przepływie w stronę trójki tajniaków – dwójki ludzi i jednego faerie, którzy perfekcyjnie udawali niewinnych gości. Faerie i jeden człowiek podnieśli wzrok, reagując na to, co odebrali jako szept. *Przy Kryształowym Barze, posłała im wiadomość. Ten w aksamitnym dublecie i z mieczem na plecach to Berne. Podejdźcie do niego i trzymajcie się blisko.* Drugiemu człowiekowi posłała wiadomość, żeby stanął za Jannerem Farciarzem, który grał w dołku w kości.

Kiedy jej tajniacy podeszli, Berne właśnie odepchnął się od baru, odpuszczając sobie na razie Galę. Ruszył w stronę dołka z kośćmi. Przewieszona na ukos przez ramię pochwa z długim prostym ostrzem obijała mu się o plecy. Tajniacy byli zbyt doświadczeni, żeby zdradzić się nagłą zmianą kierunku, więc Kierendal sama ruszyła i pierwsza doszła do dołka. Ogry cały czas deptały jej po piętach.

Janner – jego głęboka, skośna blizna na nosie jaśniała bielą na tle zarumienionej od zwycięstwa twarzy – wyszczerzył zęby do Kierendal.

– Bab dzisz szczeszie, Kier! Niesabowide! Sab w do nie wierzę!

Z powodu rany od toporka, która zrujnowała mu zatoki, Janner Farciarz mówił jak gość z potężnym katarem.

Kierendal nadała głosowi arystokratyczną modulację, jakiej używała w kontaktach z gośćmi:

– Oczywiście niezmiernie się cieszymy w twojego sukcesu, Janner. Dzisiaj zapracowałeś sobie na swoje przezwisko. Mogę cię na chwilę oderwać od stołu? W sprawie dotyczącej obu stron?

– Za binudkę. Zaraz boja kolej.

Kierendal z niesmakiem patrzyła, jak Janner niezręczne smaruje kości. Czego on używał? Smarków?

Berne zszedł po schodach w chwili, gdy Janner właśnie zdobył punkt. Kierendal poczuła w żołądku zimną kulę; Berne kroczył z niebezpieczną gracją pumy, a spojrzenie jego jasnych oczu miało w sobie coś z nieruchomego wzroku gada, instynktownego wzroku mordercy. Jego Powłoka migotała szkarłatem i bielą ledwie tłumionej agresji.

Zyskał tytuł hrabiego ledwie kilka miesięcy temu, ale źródła Kierendal twierdziły, że jest jednym z najbliższych zauszników cesarza. Według niektórych informatorów był osobistym zabójcą pracującym dla Ma'elKotha i dowodził Szarymi Kotami. Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, nie wątpiła, że szkolił się w Klasztorach – instynktowne przesuwanie środka ciężkości do przodu i idealna świadomość ułożenia ciała były jednocześnie przekonujące i niepokojące. Jego szermiercze umiejętności stały się już legendarne. Nigdy nie nosił zbroi, polegał tylko i wyłącznie na biegłości w posługiwaniu się ostrzem.

Niezależnie od tego, kim był naprawdę, bez wątplenia należał do najniebezpieczniejszych ludzi w cesarstwie. Powszechnie mówiło się, że nikt nie wszedł mu w drogę dwa razy – bo nikt nie przeżył pierwszego spotkania.

Z twarzą bez wyrazu skinął jej głową, zajmując miejsce przy stole. Nawet nie zerknął na ogry. Postawił stos rojali przeciwko następnemu rzutowi Jannera.

– Graj albo sobie odpuść, dupogębo. No już.

– Dupogębo...? – Szkarłat, który oblał szyję Jannera, był ciemniejszy od rumieńców towarzyszących zwycięstwu.

– Masz w niej rowek, nie? – Berne się zaśmiał. Zawsze był dla siebie najlepszą widownią. – Ale powiem ci coś: gdyby mój tyłek był tak brzydki, nigdy więcej bym nie podupczył. Wstyd by mi było zdjąć spodnie!

Dwóch tajniaków wreszcie zeszło za nim po schodach, ku wielkiej uldze Kierendal.

– Och, daj sbokój – powiedział Janner z błyskiem szaleństwa w oczach. – Gdyby dwój chłobak naprawdę cię kochał, to wzięłoby pod uwagę...

Pozostali mężczyźni przy stole zachichotali ukradkiem – żaden z nich nie był na tyle głupi, żeby zaśmiać się w głos. Berne zamarł. Odsunął się od stołu, a jego lewa ręka powędrowała w stronę półtoraręcznego miecza, którego rękojeść wystawała mu nad prawym ramieniem. Janner przyjął pozycję do walki, łapiąc rękojeść krótkiego miecza przy pasie. Powłoka Berne'a stała się purpurowa. Janner mógł zginąć w okamgnieniu.

– Panowie... – Kierendal zręcznie weszła między nich.

Jedynie ledwie dostrzegalny błysk w oczach Berne'a zdradził, że dwóch tajniaków za jego plecami trzyma teraz sztylety przy jego nerkach.

– Berne, Janner Farciarz to nasz honorowy gość i przyjaciel. Nie zabijesz go u mnie.

W odpowiedzi hrabia obrzucił spojrzeniem iluzoryczne krągłości jej ciała od kolan po szyję, powoli i z rozmysłem, w obraźliwy sposób.

Hmm... pomyślała. Więc to tak. W porządku.

Odwróciła się do Jannera.

– A co do ciebie... – rzuciła swoim najbardziej zjadliwym tonem – skoro musisz oddać życie, żeby tylko zdobyć punkt kosztem tego człowieka, to bądź chociaż na tyle błyskotliwy żeby ludzie uśmieiali się, kiedy opowiem o tym na twoim pogrzebie.

Janner zaczął protestować; Kierendal go zignorowała. Jej wzrok przyciągnął nagły łomot przy drzwiach prowadzących na ulicę. Jedna z nowych Twarzy skalniczka, którą Kierendal przyjęła, kiedy została przywódcą gangu i przeniosła interesy do Miasta Obcych, podbiegła do faerie szatniarza. Nie zastanawiając się dłużej, Kierendal wysunęła czulek Powłoki, żeby go dotknąć. Zacerpnęła z Przepływu tylko tyle, ile potrzebowała, żeby przenieść własną świadomość do jego ciała i usłyszeć, co mówi skalniczka. Nie zmieniając wyrazu twarzy, odnotował jej obecność lekkim zawirowaniem Przepływu.

Usta skalniczki były umazane głębokim szkarłatem krwi, która nadal sączyła się z jej złamanego nosa. Schludnie przyciętą kocią bródkę pokrywały skrzepy. Skalniczka mówiła w westerlingu z ciężkim akcentem z Bożych Zębów:

– ...pytał mnie, która to komnata Kierendal, które drzwi, które schody. Chciał znać umówiony sposób pukania... myślał, że jestem nieprzytomna, więc zostawił mnie, a ja biegłam i biegłam...

– Dobrze, dobrze już – uspokajał ją faerie, kładąc szczupłe ręce na jej szerokich ramionach. – Kto to był? Możesz go opisać?

Szkolenie Twarzy opłaciło się; skrupulatnie zapamiętywała szczegóły wyglądu napastnika, nawet kiedy ją przesłuchiwał i bił.

– Półtorej stopy wyższy ode mnie. Proste czarne włosy, posiwiałe na skroniach. Ciemna skóra i wąsy. Broda przystrzyżona wzdłuż linii szczęki. Złamany nos z blizną. Szybki. W życiu nie widziałam nikogo tak szybkiego. Miał noże, ale używał pięści.

Kierendal pomyślała, że to wygląda jej na Caine'a, i powoli dotarło do niej, że rzeczywiście mógł to być Caine. Słyszała, że wyznaczono nagrodę za jego głowę;

podejrzewała, że musi być w mieście... i dopiero wtedy połączyła myśli, które krążyły wokół niej.

Caine pytał o mnie!

Nagle znowu znalazła się we własnej głowie; kolana ugięły się pod nią i zacisnął się żołądek. Spanikowane myśli trajkotały, bełkotały oszołomione: Kto mógł go wynająć? Ludzie cesarza? Nie, oni nasłaliby na nią Koty. Klasztory? Caine zwykle pracował dla Klasztorów, ale nie zrobiła nic, żeby popaść w ostateczną niełaskę... prawda? Nie, to musi być... ach, to ten pieprzony Król Ściemny! Ten łajdak! Caine nie jest przypadkiem związany ze Sługami? Ale dlaczego? Dlaczego teraz? Czy jednak to Klasztory? Czyżby wypowiedziała o jedną prawdę za dużo na temat Ma'elKotha?

Surowa dyscyplina pozwoliła jej szybko zapanować nad paniką; musiała się zająć bardziej palącymi kwestiami. Wszystko po kolei.

Była dumna z tego, że potrafi myśleć i działać w sposób zorganizowany, nawet w kryzysowej sytuacji. W krótkim czasie – akurat takim, żeby wziąć głęboki wdech i powoli wypuścić powietrze – zaplanowała zgrubny plan obrony. Raz jeszcze sięgnęła do Przepływu i nawiązała kontakt z szatniarzem.

W ciągu kilku minut kasyno zostanie otoczone przez niewidzialną armię Twarzy. Podzielią się na trójki i w każdej drużynie będzie jeden pierwotny albo drzewinek, co umożliwi błyskawiczny kontakt. Pisuar na ulicy będzie obserwowany z zewnątrz i od środka, tak samo jak szyb, który schodził pod nim do wapiennych grot pod miastem. Na dachach sąsiednich budynków pojawią się Twarze z naładowanymi kuszami. Wszyscy zdolni do walki członkowie obsługi kasyna zostaną postawieni w stan gotowości. W każdym korytarzu umieści się po dwóch ochroniarzy, tak żeby dla każdego byli dobrze widoczni. Już odrzuciła pomysł wezwania Straży. Więcej niż dwieście rojali nagrody warta będzie wiedza, komu tak bardzo zależało na jej śmierci, żeby wynająć Caine'a. Faerie z szatni spojrzał w jej stronę i skinął głową.

*Wykorzystaj jej relację, żeby przygotować aktualny rysopis, posłała mu wiadomość. Przekaż pozostałym. Informuj mnie na bieżąco. Będę u siebie. Pukając, używaj piątkowego kodu. A teraz ruchy!*

Ruszył się. Przerwała połączenie i znowu skupiła się na bieżących wydarzeniach przy stole do kości.

Janner nadal gadał. Nie miała pojęcia, co powiedział, a już z pewnością jej to nie interesowało. Pstryknęła palcami na ogra, który stał po jej prawej stronie, a on zacisnął potężne szponiaste łapy wokół rąk Jannera i uniósł szarpiącego się człowieczka.

– Ej! Ej...!

– Nagrałeś się już dzisiaj. Wynieść go z dołka.

Ogr dźwignął Jannera i ociężałym krokiem wyniósł po schodach na główny poziom. Kierendał szła obok niego.

– Nie bożesz dego zrobić!

– Nie mam czasu robić ci dobrze tylko dlatego, że zraniono twoje uczucia – odparła cicho, żeby nie usłyszał jej Berne. – Napij się przy barze. Zjedz coś. Ja stawiam. Tylko trzymaj głębę na kłódkę i nie zbliżaj się do Berne’a.

– Dab sobie z nib radę...

– Nie, nie dasz. Zamknij się. – Złapała go za brodę i wbiła mu paznokcie w policzki. – Trzymaj się z dala od kości, dopóki nie nauczysz się porządnie oszukiwać, ty głupi gnojku.

Machnęła ręką i ogr puścił Jannera, popychając go tak, że mężczyzna, potykając się, podreptał do Srebrnego Baru.

– Kierendalll...

Berne opierał się o brzeg stołu do kości i uśmiechał kpiąco. Dwaj tajniacy nadal stali za nim ze sztyletami przy jego nerkach.

– Mogę się już ruszyć, Kierie? Czy mam tu stać cały dzień?

Wydała z siebie dźwięk, przypominający jęk frustracji.

– Proszę o wybaczenie, hrabio Berne.

Machnięciem ręki dała znać swoim ludziom, żeby go puścili. Wzdrygnął się, jakby strząsał z ramion napięcie, a potem podszedł do niej krokiem wygłodniałej pумы.

– Muszę go zabić, wiesz? – rzucił lekko. – Obraził mnie i jestem zobowiązany odplacić mu za to. To kwestia, ehm, honoru arystokraty. Rozumiesz.

Przynajmniej doskonale wiedziała, co powinna zrobić. Przysunęła się o krok i miękko spojrzała mu w oczy.

– Mój panie, proszę – powiedziała, opierając ręce o jego potężnie umięśnioną pierś. – Uznałabym to za osobistą przysługę, gdybyś przymknął na to oko i zapomniał.

Jego usta wykrzywiły się pogardliwie, kiedy objął jej smukłe plecy i zmusił ją do pocałunku. Wepchnął jej język do ust, sondując je z obrzydliwym uporem, a ona dobrze wiedziała, jak dyszeć i wić się, gdy objął dłonią jej iluzoryczną pierś.

To zachowanie stanowiło jeszcze większą obrazę niż poprzednie, ale Kierendal była równie dobra w swojej dawnej profesji, jak Berne w obecnej; nigdy by się nie domyślił, jaką odrazą ją napelniał. Kiedy jego ręka brutalnie wsunęła się między nogi Kierendal, sprawiła, że jej iluzoryczne ubranie przestało być wyczuwalne dotykiem. Ręka Berne’a spoczęła bezpośrednio na wargach sromowych, podczas gdy druga dotykała gładkiej, nieskazitelnej skóry jej pleców.

Zesztywniał, a potem uniósł głowę i spojrzał na nią przymglonym i zdziwionym wzrokiem. Pogarda w jego oczach mieszała się teraz z żądzą – pogarda i żądza żywiły się sobą nawzajem.

– Wiesz co? – powiedział chrapliwie. – Myślę, że chyba jednak mi się podobasz. Wyświadczę ci tę przysługę. Tym razem. Pamiętaj tylko, że jesteś moją dłużniczką.

Skromnie opuściła głowę, opierając ją na jego ramieniu.

– Och, znasz nas, elfy... – Nawet nie drgnęła, używając obraźliwej nazwy nadanej przez ludzi jej ludowi. – Mamy dobrą pamięć. Pozwól, że zapłacę za twoją rozrywkę dziś rano. Tallin, pięćset dla hrabiego.

Brzęk żetonów, który się rozległ, gdy krupier pchnął je przez stół, przyciągnął wzrok Berne'a, ale zaraz potem mężczyzna znowu spojrzał Kierendal głęboko w oczy.

– Trudny wybór – mruknął.

– Jesteś bardzo uprzejmy, panie – powiedziała. – Proszę się dobrze bawić.

Wzruszył ramionami.

– Wobec tego przy innej okazji.

– Oczywiście.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom dla personelu, a Berne wrócił do dołka i zaczął chuchać na kości. Czowała zadowolenie z dobrej roboty: trochę szybkiego macanka, żeby Berne był zadowolony, a Janner żywy. Taniocha, dwa za cenę jednego.

Ale nie miała czasu, żeby się cieszyć drobnymi zwycięstwami.

Ogry trzymały się blisko niej, pobrzękując cicho kolczugami. Subtelny gestami przywołała czterech tajniaków i dwóch drzewinków, mających teraz przerwę po przedstawieniu. Zatrzymała się w progu i nieznoszącym sprzeciwu tonem powtórzyła rozkazy, które przesłała szatniarzowi.

– Ale co się dzieje? – zapytał jeden z tajniaków. – Szczury nas atakują? Węże?

– Gorzej. – Z trudem przełknęła ślinę; nagle zaschło jej w ustach. – Myślę, że to Caine. A teraz ruchy, ruchy...!

Rozbiegli się.

Zatarła ręce i zauważyła, że są wilgotne, a palce lekko jej drżą. Muszę wypić drinka, zdecydowała. Tego właśnie potrzebowała, drinka, żeby ukoić nerwy i wygładzić wzburzoną świadomość, a potem musi więcej czasu spędzić na studiowaniu książki. Poszła na górę do swojego mieszkania, przeskakując po trzy stopnie na raz. Zastanawiała się gorączkowo, czy ma czas, żeby ustawić Tarczę.

Dotarła do drzwi prowadzących do jej pokoiów i zapukała cicho, dwa razy, a potem raz. Czekala, aż Zakke otworzy.

Znowu zapukała: dwa razy i raz. Inkrustowane srebrem w zawiły wzór drzwi nie miały zewnętrznej dziurki na klucz; osobiście ustawiła magijną ochronę zapobiegającą otworzeniu drzwi czarem. Ten leniwy wypierdek pewnie spał, a ona nie miała czasu do stracenia. Załomotała w drzwi pięścią.

– Zakke, ty bezużyteczny fiucie! – Jej krzyk rozległ się echem w korytarzu. – Jeśli te drzwi nie otworzą się w ciągu dziesięciu sekund, jesteś martwym krasnoludem!

Wreszcie usłyszała zgrzyt przesuwanej zasuwki. Kiedy drzwi się uchyliły, pchnęła je z hukiem i weszła do pokoju. Ruszyła prosto cło prywatnego barku obok ogromnego kamiennego kominka. Ciężkie, brokatowe zasłony były dokładnie zasunięte, a wszystkie

lampy pogaszono. Gryzący dym z tłących się knotów wisiał w mroku.

– Więc spałeś, ty gnojku! Obedrę cię za to ze skóry.

Zamykając drzwi, odcięła resztki przyćmionego światła z korytarza. Na wpół ślepa, zanim jej oczy zdążyły się przyzwyczać do ciemności, uderzyła łydką o stołek tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu. Skakała na jednej nodze i trzymała się za obolałą goleń obiema rękami, klnąc i starając się nie stracić równowagi.

– I przynieś tu jakieś światło!

Jedyną odpowiedzią był suchy zgrzyt zasuwki zamykającej drzwi.

Zatrzymała się. Postawiła ostrożnie stopę, powoli przenosząc ciężar ciała. W smrodzie tłących się knotów i sadzy z lamp wyczuwała jeszcze inny zapach: ostry koźli odór niemytego człowieka.

Kierendal stała w bezruchu, nie śmiała nawet odetchnąć.

– Zakke?

– Wyszedł.

Głos był beznamiętny i wróżył śmierć.

Wszystkie stawy w jej ciele zamieniły się w galaretę.

Jak każdy pierwotny doskonale widziała w ciemnościach i potrafiła poruszać się bezszelestnie jak duch, poza tym była u siebie. Gdyby to był ktoś inny niż Caine, może by zaryzykowała, ale on tu siedział nie wiadomo od jak dawna, przywykł do ciemności i prawdopodobnie był przygotowany na każdy jej ruch. I sądząc po głosie, znajdował się nie dalej niż krok od niej.

– Nie bierz głębszego wdechu – powiedział cicho. – Bo pomyślę, że chcesz wrzasnąć. I mogę cię zabić, nim pojmę swój błąd.

Wierzyła mu.

– Ja... – powiedziała cichutko, oddychając tylko szczytem piersi. – Ehm... mogłeś zabić mnie, kiedy tylko tu weszłam.

– Owszem.

– Więc nie jestem twoim celem.

Mrok nie udzielił jej odpowiedzi.

Wyczuwała teraz zarys jego sylwetki, ciemniejszy cień na tle ciemnej ściany. Nie widziała jego Powłoki – i ten brak ją przerażał. Skąd miała wiedzieć, co zamierzał, jeśli nie mogła odczytać jego Powłoki?

Powoli dwa lśniące punkty, które były jego oczami, stały się wyraźnie widoczne.

– Powiedziałam... Wiem, że powiedziałam pewne rzeczy na temat Ma’elKotha, ale, ale nic nie zrobiłam... nic, za co Rada Klasztorna mogłaby chcieć mojej śmierci! Prawda? Powiedz mi, musisz mi powiedzieć! Wiem, że Rada popiera Ma’elKotha, ale, ale... nie muszą mnie zabijać...

W odpowiedzi usłyszała suchy, pusty śmiech i słowa:

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć jakoby istniała lub nie istniała jakaś określona polityka albo pogląd na tę sprawę w Radzie Braci lub pośród jej członków.

– Więc to Król Ściemy, tak? Wiem, że jesteś powiązany ze Sługami...

– Przytulne masz tu gniazdko. Sporo bibelotów. Pamiątek.

W ciemności rozległ się powolny zgrzyt stali o krzemień. Bursztynowy płomień wyrósł w wyciągniętej na wysokość ramienia pięści, rzucając czerwonawy cień na twarz o wysokich kościach policzkowych, która mogłaby być wyrzeźbiona w lodzie. Płomień musnął koniec cieniutkiego papierosa – podobnie jak zapalniczka, skradziona z humidora na biurku.

Teraz już widziała jego Powłokę: była czarna, ciemna jak dym, bez żadnych kolorów, które mogłaby odczytać.

– Caine... – Chrapliwy szept zabrzmiał nieprzyjemnie w jej uszach, jak błaganie o litość.

– Ładna zapalniczka.

– To prezent – odparła, teraz nieco pewniej. – Od księcia regenta Toa-Phelathona.

– Wiem. Z boku jest napisane.

Przysunął płomyk do knota lampy na stoliku, a potem przygasił ją tak, że rzucała tylko krwawą poświatę jak gasnący węgielek.

– Oboje wiemy, co mu się przytrafiło, prawda?

Zduślił między kciukiem i palcem wskazującym knot zapalniczki i płomień zgasł z cichym sykiem.

Nigdy nie dowierzała plotkom, że to Caine był powiązany ze śmiercią Toa-Phelathona. Ta sprawa śmierdziała pałacowymi intrygami. Ale teraz uwierzyła bez pytania. W jego obecności nie sposób było powątpiewać.

Wskazał na krzesło.

– Siadaj.

Usiadła.

– Na dłoniach.

Wsunęła ręce pod uda.

– Skoro nie jesteś tu z mojego powodu, to czego chcesz?

Obszedł sofę, stając na wyciągnięcie ręki od Kierendal. Przykucnął przed nią i spojrzał jej w oczy. Milczenie się przeciągało, aż Kierendal całą siłą woli musiała się powstrzymać, żeby nie zacząć paplać tylko po to, żeby je przerwać.

Zmusiła się, by w milczeniu odpowiedzieć spojrzeniem na spojrzenie. Przyglądała mu się bardzo uważnie, bo jej życie zawsze zależało od umiejętności obserwacji.

Złapała się na tym, że porównuje go z Berne'em: obaj zdobyli rozgłos i fortunę, przelewając krew dla zarobku. Caine był o wiele drobniejszy, nie tak mocno umięśniony i zamiast miecza używał noży, ale różnice sięgały o wiele głębiej. Berne miał w sobie coś dzikiego – szaleństwo żądy i niebezpieczną nieprzewidywalność, która szła w parze z jego swobodnym, zrelaksowanym, płynnym sposobem poruszania się; przez cały czas był



niezwykłe, wręcz zaciekłe... żywy. Caine też miał w sobie coś z tego odprężenia, ale nie było w tym nic ze swobody; zamiast niej był bezruch, skupiona gotowość, która jakby wypływała z niego i wypełniała pokój zdolnością do działania, jakby wokół niego kłębiły się duchy – potencjalni Caine'owie – wykonujące wszelkie możliwe w tej sytuacji ruchy: wszelkie rodzaje ataku, obrony, każdy możliwy skok, przewrót czy obrót.

Przypatrywał jej się z podobnym skupieniem, jak ona jemu. Drzemała w nim taka sama gotowość do rozlewu krwi jak w lśniącym ostrzu prosto z kuźni. Na tym polegała różnica, ujmując to w wielkim skrócie: Berne był pumą.

Caine był mieczem.

– Skończyłaś? – zapytał cicho. – Nie chciałbym ci przerywać.

Natychmiast uniosła wzrok, napotykać jego spojrzenie, i nie zobaczyła w nim wesołości.

– Szukam Simona Błazna – powiedział.

Ulga, jaka ogarnęła Kierendal, wyprowadziła ją z równowagi niemal w takim samym stopniu, jak wcześniej panika; z trudem powstrzymała się, żeby nie zaśmiać się w głos.

– Ty i Królewskie Oczy. Nie wspominając o Szarych Kotach i całej Straży. Dlaczego uważasz, że akurat ja coś wiem?

Mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Mniej więcej o tej samej porze wczoraj Szare Koty polowały w Kolonii. Jak to się skończyło?

Oblizła usta.

– Doprawdy, Caine, chyba nie wyobrażasz sobie, że mam informatorów wśród samych Kotów...

– Zapytam cię jeszcze raz. Nie jestem cierpliwym człowiekiem, Kierendal.

– No, ale...

Wtedy rozległ się ledwie słyszalny szelest skrzydeł i Caine się poruszył.

Nie zdradził się niczym – nie napiął mięśni, szykując się do ruchu, nie poruszył oczami, nie przyspieszył mu oddech. Kierendal wypatrywała tych sygnałów w całkowitym skupieniu, tych znaków, które pojawiają się u każdej istoty szykującej się do działania. W jednej chwili był w absolutnym bezruchu, w drugiej obrócił się, a jego ręce poruszyły się tak szybko, że zobaczyła tylko rozmazaną plamę. Srebrzysty błysk śmignął przez mrok i z brzękiem wbił się w drewno.

Tup wydała dźwięczny krzyk bólu i rozpacz. Zwisiała z nadproża; rzucony przez Caine'a nóż przygwoździł jej skrzydło. Długa na jard miniaturowa lanca z zaostrej jak igła stali wyslizgnęła jej się z rąk i brzęknęła cichutko, odbijając się od drewnianego progu.

Kierendal zerwała się na równe nogi, z okrzykiem, który natychmiast został zduszony przez dłoń Caine'a na jej gardle. Cieniutki papieros w jego zębach znalazł się niebezpiecznie blisko jej oka, kiedy szarpnął ją ku sobie. Nie widziała, co robi drugą ręką, ale zakładała, że

coś, co może grozić jej śmiercią.

A jego Powłoka nadal pulsowała absolutną czernią.

– Może niełatwo ci w to uwierzyć, ale nie chcę cię skrzywdzić – wycodził przez zęby. – Ani twojej małej przyjaciółki. Chcę tylko usłyszeć, co wiesz o Simonie Błaźnie. To prosty sposób, żeby pozbyć się mnie z salonu i ze swojego życia.

Puścił jej gardło, a druga ręka szturchnęła ją tuż poniżej pępka, delikatnie, lecz stanowczo, nie na tyle mocno, żeby zabołało, ale akurat tak, żeby Kierendal złożyła się w pół i wyładowała tyłkiem z powrotem na krzesło.

– W porządku – odpowiedziała słabym głosem.

Nie mogła nawet patrzeć na niego – nie odrywała oczu od szarpiącej się, szlochającej Tup, przyszpilonej do nadproża.

– W porządku, ale, proszę, najpierw zdejmij ją stamtąd. Proszę. Poszarpie sobie skrzydło, proszę, okaleczysz ją!

– Ręce.

Pospiesznie wsunęła dłonie pod uda. Caine obrzucił ją spojrzeniem i zacisnął nieco usta. Potem wypuścił powietrze przez nos i odwrócił się, żeby uwolnić Tup.

– Tylko mnie tknij, a zabiję cię, ty łajdaku – pisnęła mała drzewinka. – Wyłupię ci oczy!

– Taaak, na pewno.

Wziął ją za głowę i ramiona jedną ręką, trzymając jej szyję między dwoma palcami. Objął ją dłonią, nie dotykając jednak skrzydeł. Ostrożnie, wręcz delikatnie, wysunął nóż. Kierendal wzdrygnęła się, słysząc słaby brzęk metalu o drewno, gdy ostrze wyszło z nadproża. Tup wymachiwała rękami, ale Caine nie zwracał na to uwagi. Bładoróżana krew kapiała z rany w skrzydle.

– Jedną ręką – powiedział, podając Kierendal drzewinkę. – Pilnuj jej.

Dopiero kiedy poczuła namacalne ciepło Tup w swojej dłoni, naprawdę uwierzyła, że Caine ją uwolnił – że to nie jakiś okrutny żart, że nie wyciągał noża ze skrzydła Tup tylko po to, żeby złamać jej kark albo zrobić coś gorszego, coś niewyobrażalnego.

Przycisnęła Tup do piersi, a drzewinka pochyliła głowę i zwilżyła sutek Kierendal kryształowymi łzami.

– Przepraszam, Kier, tak bardzo przepraszam. – Przełknęła łzy. – On, on... wszedł przez okno... i Zakke... on zabił Zakke'a...

– Cicho już – szepnęła do niej Kierendal. – Cicho, wszystko jest dobrze.

Spojrzała na Caine'a, błagając wzrokiem, aby tak było naprawdę.

Poirytowany wzruszył ramionami.

– Jeśli mówi o krasnoludzie, to nic mu nie będzie, kiedy się obudzi. Przez kilka dni może go boleć głowa, ale żyje.

Odpowiedziała na jego zimne, beznamiętne spojrzenie z rosnącym zdziwieniem. Może te oczy wcale nie były ani takie zimne, ani takie beznamiętne, jak się wydawało? Może były

jedynie przesłonięte...

– Jesteś inny, niż myślałam. Historie ukazują cię takim... to znaczy, bardziej...

– Simon Błazen – przypomniał jej.

– A tak. – Poglaskała loki Tup. – Polowanie w Kolonii okazało się kosztowne: sześć Kotów zabitych, wielu rannych. Nie wiem, ilu ludzi Simona Błazna zginęło, ale Koty pojmały dwóch jego zwolenników.

– Dwóch? – Coś zapłonęło w jego twarzy, jakieś uczucie, którego Kierendal nie umiała określić, bo nie miało sensu; wyglądało jak szalona otucha wbrew wszelkim nadziejom skazańca, który spodziewa się ocalenia w drodze na szubienicę. – Jak się nazywają. Kim są? Czy jedno z nich to...

Powiedział coś, dokończył zdanie, ale go nie usłyszała – nagły prąd w Przepływie ją rozproszył. Otrząsnęła się raptownie.

– Przepraszam... przepraszam, nie dosłyszałam. Możesz powtórzyć?

– Pallas Ril.

Zmarszczyła brwi. Pallas Ril? Czy Pallas Ril nie była przypadkiem jakimś ludzkim taumaturgiem? Co miała wspólnego z... z tym, o czym rozmawiali, cokolwiek to było? Ten prąd w Przepływie znowu się pojawił, zawirował wokół niej i złapała się na tym, że nie bardzo pamięta, o czym mówili.

– Ja... chyba... wydaje mi się, że słyszałam, że jest w mieście. Jest ważna?

Jego odpowiedź była konkretna i stanowcza jak słowo wycięte w granicie:

– Tak. – Pochylił się ku niej. – Czy była jednym z więźniów?

– Jakich więźniów?

Caine westchnął w sposób, który sugerował, że z trudem nad sobą panuje. Gardło Kierendal zacisnęło się, gdy powrócił strach. A jeśli nie ma informacji, których on szuka? Co wtedy z nią zrobić?

Powiedział coś jeszcze, ale znowu nie dosłyszała.

– Co? – spytała słabiutko, wzdragając się przed wyimaginowanym ciosem.

– Tych dwoje więźniów, których Koty zabrały wczoraj z Kolonii, poplecznicy Simona Błazna: czy któreś nich to był sam Simon Błazen?

Pokręciła głową, modląc się, żeby zadowolila go jej połowiczna ignorancja.

– Nie wiem. Słyszałam tylko, że to mężczyzna i kobieta. Być może sami nie są do końca pewni, kogo złapali. Niczego nie ogłoszono.

– Gdzie ich trzymają? W pałacu? – W jego głosie pojawiło się napięcie.

– Chyba... w Donżonie, pod sądem.

– Możesz mnie tam zabrać?

Wybałuszyła oczy, odsuwając się od płomienia, który oświetlał jego twarz.

– Co?

– Daj spokój, Kierendal. Hamman zdołał mnie wprowadzić do tego pieprzonego pałacu.

Gdybyś nie była lepsza od niego w te klocki, Twarze nigdy nie poszłyby za tobą. Wprowadź mnie tam.

– Nie mogę. Pałac... to było dawno temu. Teraz sprawy mają się inaczej. A Donzon... Caine, to wieża wykuta w żywej skale. Gdybyś miał kilkaset rojali do rozdania na łapówki, to może za tydzień, za dwa udałoby się nam ciebie tam wprowadzić. Tylko na tyle mnie stać.

W jego oczach zatlił się zduszony płomień.

– Może postarałabyś się lepiej, gdyby cię stosownie zachęcić.

Walczyła, żeby zachować spokój.

– Tego się nie da zrobić, Caine. Nikt nigdy nie uciekł z tego miejsca. Jedyna droga to przekupienie sędziego albo wartowników. Na to trzeba czasu i pieniędzy.

Przyjrzał się jej uważnie. Wytrzymała jego spojrzenie. Mówiła prawdę i wkrótce sam to zauważył.

Odwrócił wzrok. Jego rozczarowanie było tak namacalne, że niemal mu współczuła. W subtelny sposób relacje między nimi się zmieniły. Ku własnemu zdziwieniu zauważyła, że teraz bała się o wiele mniej i była więcej niż tylko trochę zaintrygowana.

– Nie chcę być twoim wrogiem, Kierendal. Być może niedługo będę potrzebował twojej pomocy. Powinnaś zdawać sobie sprawę, że potrafię odpłacić się za przysługę pięciokrotnie.

– Chcę od ciebie tylko jednego: żebyś mnie zapewnił, że nigdy więcej nie będziesz mnie kłopotał.

– Mógłbym to obiecać – przyznał, wruszając ramionami. – Ale to nie miałoby żadnego znaczenia i oboje to wiemy. Pozwól, że zamiast tego podzielę się z tobą pewną informacją. Ktoś wysoko postawiony wśród Sług Ściemy jest informatorem Oczu.

Uniesienie brwi wystarczyło, żeby udąć zaskoczenie.

– O?

– Aha. I jeszcze jedno: Słudzy wspierają Simona Błazna.

Tym razem nie udawała zaskoczenia.

– O, tego rzeczywiście nie wiedziałam...

– Myślę, że to informator wśród Sług wydał Simona Kotom. Jeśli zdołasz ustalić kto to jest, dopilnuję, żeby opłacił ci się ten wysiłek.

– Dlaczego sam nie zapytasz Jego Wysokości? – zachnęła się.

Zagapił się na nią, w bezruchu, w milczeniu, równie beznamiętny jak maska śmierci.

Teraz ona musiała odwrócić wzrok. Mocniej przycisnęła do piersi drżącą Tup.

– Nie mam dowodów – ciągnęła. – Nie mam nawet plotki. Wiem tylko, że Oczy źle patrzą na mnie, na Szczury, Gnojarzy i Węże, ale jakby ślepy, gdy w grę wchodzi Słudzy Ściemy. Może Jego Wysokość wyjaśni ci, dlaczego tak się dzieje.

– Aha – odpowiedział Caine głosem niskim i chrapliwym. – Taaak, może wyjaśni.

Przed dłuższą chwilę nic nie mówił, a potem pokręcił głową, jak człowiek, który z rozmysłem odrywa się od nieprzyjemnych myśli. Skinął głową w stronę sięgającego pasa

posągu z brązu i zgaszonych świec wotywnych na ołtarzyku w kącie pokoju.

– A z tym o co chodzi?

Kierendal wzruszyła ramionami.

– Ołtarzyk dla Ma'eKotha. I co z tego? Wszyscy je mają.

– Oddajecie mu cześć? Jako bogu?

– Ja osobiście? Nie wygłupiaj się, Caine.

Skinął w zamyśleniu głową.

– Hm, no tak. Ale dziwi mnie, że masz coś takiego w domu. Słyszałem, że czepia się podludzi.

Podludzie, jasne. Gdyby nie my, wy, ludzie, nadal byście ubierali się w skóry i wyli do księżycy, pomyślała. Rozłożyła ręce i znowu wzruszyła ramionami.

– Jest takie powiedzenie, może słyszałeś: żeby się dogadać, trzeba się zgadzać.

Zapatrzył się w dal.

– Mhm – mruknął.

Wreszcie Kierendal przerwała ciszę:

– Jeśli naprawdę chcesz pokoju między nami, to na początek powiedz mi, jak się tu dostałeś.

– Żadna tajemnica. Twój chłopak... Zakke, tak się nazywa? Powie ci wszystko, kiedy się obudzi. Okno na drugim piętrze nie jest bezpieczne, jeśli zaułek, na który wychodzi, jest wystarczająco wąski, żeby dało się go przeskoczyć. Powinnaś wstawić kraty.

– Mam dwóch ludzi w mieszkaniu naprzeciwko. – Zdała sobie sprawę, co powiedziała, i jej oczy się rozszerzyły. – Może powinienam powiedzieć „miałam”.

Caine pokręcił głową.

– Nic im nie jest. Alarm, który wszczęłaś na zewnątrz, wyciągnął ich z mieszkania. Nie tknąłem ich. Nawet mnie nie widzieli.

Skupiła się na własnym oddechu.

– Czyli specjalnie dałeś tej skalniczce uciec, zaplanowałeś to zamieszanie, żeby odwrócić uwagę...

Uśmiech, który jej posłał w odpowiedzi, był równie zimny jak poprzednie, ale teraz Kierendal zaczęła podejrzewać, ile żaru naprawdę Caine maskuje swoim opanowaniem.

– I nikogo nie zabiłeś...

– Nie dziś. Chociaż jedyny powód, dla którego twoja mała przyjaciółka nadal żyje, to fakt, że trochę wyszedłem z wprawy w rzucaniu nożem.

– Wiele zostawiasz przypadkowi.

– Lepiej działać pochopnie niż lękliwie. – Uśmiechnął się. – Fortuna jest jak kobieta i jeśli ma być mężczyźnie uległa, trzeba ją zbić i przymusić.

Sądząc po tonie, cytował kogoś, ale Kierendal nie miała pojęcia kogo.

– Proszę, czyżbyś robił mi propozycję...? – zapytała, udając skromność; wyczuwała

zmianę w Cainie.

Parsknął drwiąco w odpowiedzi.

– Ostatnie pytanie...

– Znam swoją reputację – powiedziała Kierendal, patrząc na niego spod niesamowicie długich rzęs. – Ale tak naprawdę wcale nie jestem lesbijką. Po prostu nie lubię, jak się wbija w moje ciało obce przedmioty. Na pewno to rozumiesz. – Wygięła plecy, żeby dobrze przyjrzał się nadmuchanym piersiom. Może w gruncie rzeczy uda się go załatwić równie łatwo jak Berne'a. – To nie znaczy, że nie możemy się zabawić.

– Masz rację, to nic nie znaczy, ale jest mnóstwo innych rzeczy, które znaczą bardzo dużo. Ostatnie pytanie: ten mój list gończy... słyszałaś o nim. Czego ode mnie chcą? Skąd wiedzieli, że będę w mieście?

– To tajemnicza sprawa. Wieść rozeszła się wczoraj o zachodzie słońca, tylko tyle wiem. I chcą cię żywego.

– Na nic więcej cię nie stać?

Wzruszyła ramionami i posłała mu cyniczny półuśmieszek.

– Skoro jesteś tak zdesperowany, to na dole właśnie jest hrabia Berne i gra w kości. Może jego zapytaj – rzuciła znacząco.

– Berne?!

Rosnąca beztroska Kierendal zniknęła jak dym zdmuchnięty przez wicher; czarna i śmiercionośna furia, która zalała twarz Caine'a, kiedy wymówił imię hrabiego, przeraziła ją bardziej niż jego wcześniejsze groźby. Zupełnie jakby ci „potencjalni Caine'owie”, którzy wypełniali powietrze w jej wyobraźni, odwrócili się i wskoczyli w jego ciało szybciej niż myśl, sprawiając, że stał się tak zajadle obecny. Zupełnie jakby zapłonął szkarłatnym płomieniem.

– Berne tu jest? W tej chwili?!

Powoli uniośł dłonie do twarzy i spojrzał na palce, kiedy zaciskały się w pięści. W świetle lampy oczy płonęły mu czerwienią.

– Wiesz, może go zapytam? Może właśnie to zrobię...

I znowu bez najmniejszej zmiany w Powłoce, bez żadnej wskazówki w zmianie oddechu, poruszył się: wyszedł z pokoju – to było nieludzko błyskawiczne zniknięcie, jak ciemność zamykająca się wokół zdmuchniętej świecy. Na ułamek sekundy zabłysło jaśniejsze, żółtawe światło – drzwi się otworzyły i zamknęły w ciągu jednego mgnienia oka.

Kierendal przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo i próbowała odzyskać oddech. Pogłaskała drżącą Tup.

– Nienawidzę go – powiedziała drzewinka stłumionym głosem, bo twarz przyciskała do piersi Kierendal. – Mam nadzieję, że Berne go zabije!

– Mogliby się wzajemnie pozabijać – dodała cicho Kierendal. – Nie sądzę, żeby świat przejął się ich zniknięciem.

Delikatnie dotknęła obramowanego różem rozdarcia w skrzydle Tup.

– Możesz latać?

Tup uniosła zalaną łzami twarz i potarła policzek drobniutką pięścią.

– Chyba tak, tak myślę, Kier, ale to będzie bolało.

– Więc leć. Idź do Chala. Zajmie się twoim skrzydłem. Niech trójka waszych ludzi poleci z wieścią, że Caine jest tutaj: jeden do garnizonu, drugi na posterunek Straży, a trzeci do domu hrabiego Berne'a, zawiadomić Koty.

– Wydasz go? Myślałam... – Przełknęła łyżę. – Wydawało mi się, że go... polubiłaś.

Kierendal uśmiechnęła się w zamyśleniu.

– Bo polubiłam. Niestety, zaraz pojawi się w moim kasynie, a nie możemy pozwolić, żeby Królewskie Oczy pomyślały, że chronimy ściganego. Świat jest wystarczająco niebezpieczny i bez takich ludzi jak Caine. Jeśli zginie, będziemy mogli spokojniej spać.

Rozejrzała się po pokoju.

– Poza tym skurwysyn ukraść mi zapalniczkę.

## 14

Arturo Kollberg wiercił się w symfotelu. Wreszcie jakaś akcja, pomyślał, kiedy on/Caine zbiegał po schodach i pędził korytarzem, mijając oszołomionych strażników. On/Caine zebrał dość informacji od tej karłowatej dziwki, żeby wiedzieć, gdzie i kiedy skręcić. Znalazł się przy drzwiach dla personelu, nim ktokolwiek zorientował się, że nadchodzi.

Serce Kollberga waliło wyczekująco. Przygoda trwała dopiero cztery godziny, a Caine już miał stawić czoło Berne'owi. To może nieco poprawić żmudny i nudny jak na razie pierwszy dzień; sponsorowane przez Studio badania wykazały, że optymalne dla Przygód Caine'a tempo to jedna i sześć dziesiątych walki na dzień, a Caine na razie może raptem raz kogoś zdzielił. Ogłuszenie chłopaczka, przyszpilenie duszka, wielkie rzeczy. Pobicie dziwki miało z pewnością pewien staroświecki urok, ale trudno to uznać za prawdziwą walkę. Jednak z drugiej strony, konfrontacja z Berne'em...

Oblizął wargi i uśmiechnął się pod swą osłoną na twarz.

Życie albo śmierć. Będzie wspaniale.

## 15

Zamykam za sobą drzwi dla personelu i opieram się o nie. Nikt w zatłoczonym kasynie nie zwraca na mnie uwagi. Na razie. Jeden z noży w pochwie nad kostką powinien spowolnić strażników, którzy idą za mną korytarzem. Jakby nigdy nic pochylam się i, gapiąc się bez

wyrazu na kasyno, na wysokości uda majstruję nożem w szparze między drzwiami i framugą. Wbijam nóż dłonią. Przy muzyce i paplaninie, które wypełniają zatłoczone pomieszczenie, sam ledwo słyszę stłumiony odgłos uderzeń.

Kierendal robi tu niezły interes – a przecież jest dopiero południe.

„Dołek kości”, powiedziała. Kości...

Jest, rozgrzewa kości oddechem; obcięte na jeża włosy lśnią ponad klasycznym profilem. Ma nowy miecz – Berne nigdy wcześniej nie nosił mieczy wyciąganych przez ramię; są powolne i rozpaczliwie niezgrabne. I co to za ubranie? Dublet z aksamitu z rozcinanymi rękawami i ciemnoróżowe pludry, na miłość boską.

Scenariusz wypływa z mojej podświadomości:

*Idę powoli przez salę, ponury jak śmierć. Zapada cisza, kiedy głowy obracają się w milczeniu. Dłonie graczy, jak nerwowe kraby, zgarniają monety ze stołów. Dziwki powoli chowają się za barami.*

*Berne wie, że coś się dzieje – zbyt szybko zrobiło się cicho – ale jest ponad to, żeby zerknąć. Uduje, że bez reszty skupia się na rzucie kośćmi.*

*Zatrzymuję się dziesięć stóp od niego.*

*– Berne. Kupa czasu. Szukałem cię.*

*Nie odwraca się, nawet nie mrugnie. Oczywiście poznaje mój głos.*

*– Czekałem, aż mnie znajdziesz, Caine. Czas na ostatni rzut.*

*Rzuca kośćmi: oczy węża. Dwie jedyńki.*

*Wzrusza ramionami i wyciąga miecz, kiedy ja unoszę pięści...*

Albo:

*Nawet nie orientuje się, że tu jestem, dopóki nie czuje mojej ręki na gardle. Zamiera, wiedząc, że mogę go zabić, zanim zdąży drgnąć. Szepczę mu do ucha:*

*– Zabawne, jak to się czasem układa, co? Powiedz mi teraz to, co chcę wiedzieć, a nie będzie bolało.*

*On udaje, że nie wie o czym mówię, a jednocześnie sięga po sztylet w bucie...*

Albo... cokolwiek zechcę...

Te męskie fantazje nie trwają nawet chwili: to nie jest coś, co mój umysł tworzy, te sceny żyją własnym życiem, nieustannie krążą tuż pod powierzchnią jak zaciekawione rekiny, czekają tylko na rysy, które można namalować na pustych twarzach, i imiona, które dorzuca się do dialogu. Mógłbym tu stać cały dzień, przeciągając tę chwilę, rozkoszując się nieskończoną zabawą scenariuszami wpisanymi w mój umysł przez zbyt wiele przeczytanych książek, obejrzanych filmów, sztuk, Przygód i zajawek w *Smoczycy opowieściach*, ale teraz ogromny cień pada na mnie z prawej strony. Podnoszę wzrok, by napotkać spojrzenie wypukłych, żółtych oczu wielkości mojej pięści.

To ogr – dziewięć stop wzrostu, a bary szerokie jak rozpiętość moich ramion. Ma na sobie kosztowną kolczugę, ładnie pomalowaną i szeleszczącą jak suche liście, kiedy ogr



podchodzi... a podchodzi zdecydowanie za blisko. Korbacz w jego rękach ma kolce długie jak mały palec i niewiele ostrzejsze.

– Przepraszam pana, ale to przejście tylko dla obsługi – burczy gardłowo ogr. – Proszę się przesunąć.

Jego oddech śmierdzi starym mięsem.

– W porządku, już idę. Nie popychaj mnie.

Podłoga lekko drży od kroków – tamci strażnicy muszą już biec korytarzem prosto do drzwi. Ogr mruży oczy, jakby właśnie przypomniał sobie moją twarz, i dłoń wielkości napierśnika opada jak zwodzony most ku mojemu ramieniu.

Strażnicy walą od drugiej strony w drzwi za moimi plecami; słyhać ich stłumione krzyki. To przyciąga wzrok ogra na ułamek sekundy, który wystarcza mi, żeby uskoczyć spod jego łapy i uciekać, jakby się paliło.

Mógłbym pobiec do drzwi wyjściowych – światło słoneczne lśni jak złocista wolność zaledwie dwadzieścia metrów na prawo ode mnie...

Ale z drugiej strony Berne stoi do mnie plecami. Jestem wystarczająco szybki, nawet kiedy biegnę niedbale, żeby umknąć większym facetom, i dość silny, żeby powalić mniejszych i przeskoczyć nad nimi. Zostawiam za sobą okrzyki i zamieszanie. Można rzec, że osiągnąłem prędkość naddźwiękową: poruszam się szybciej niż hałas towarzyszący mojemu przejściu.

Berne reaguje, ale tylko na tyle, żeby zacząć obracać głowę, kiedy ja już dopadam mosiężnej poręczy wokół dołka z kośćmi i przeskakuję nad nią, pikując jak oszczep.

Usztywniam kark i uderzam w niego, czubkiem głowy trafiając go w szczękę. Nasze ręce zaplątują się i przewracamy się na stół, rozrzucając złoto i kości. Pozostali gracze rozbiegają się, krzycząc bez ładu i składu, a stół rozsypuje się w drzazgi. Ześlizgujemy się z jego resztek, tuż przed uderzeniem o marmurowe schody po drugiej stronie, słyszę srebrny gwizdek szefa dołka, podnoszącego alarm i wzywającego ogry.

Nieważne – ja wylądowałem na górze.

Krawędzie schodów, o które walnął kręgosłupem, musiały sprawić mu ból jak cholera. Zaskoczony pozwala sobie na rozluźnienie mięśni. Blokuję jego nogi swoimi i wciskam mu przedramię pod szyję, zmuszając, żeby odchylił głowę. Zaczyna się dusić. Niemal natychmiast skupia wzrok na mnie i bezgłośnie mówi: „To ty”. Nie do końca ukryty strach, który przemyka przez jego twarz, przemawia do czegoś pierwotnego we mnie. Wulkaniczny żar wznosi się od podstaw mojego kręgosłupa, grzmotem rozlega się w uszach i sprawia, że przed oczami mam szkarłatną mgiełkę.

– Pewnie, ty pieprzona łajzo, to ja.

Dla podkreślenia słów uderzam dłonią, łamiąc mu idealny nos i rozplaszczając go na kościach policzkowych. Tryska krew: jest na mojej pięści, na całej jego twarzy, na moich ustach; czuję jej zapach i smak. I już mnie nie obchodzi, czy umrę przy następnym oddechu, o

ile pójdę do grobu z zębami wbitymi w jego gardło.

Więc znowu go uderzam.

Szarpie się pode mną, ale teraz go trzymam i nie ma mowy, żebym puścił. Walę jego głową o wyginający się schodek. I jeszcze raz, i jeszcze, jeszcze. Fioletowawy marmur jest teraz artystycznie spryskany szkarłatną krwią Berne'a.

Ale on nadal jest przytomny i uśmiecha się do mnie zalany krwią ustami, pokazując czerwone zęby, a ja muszę wybrać: łać go dalej czy po prostu poderżnąć mu gardło, bo ogry ściągną mnie z niego za jakieś dziesięć sekund. Fakt, że muszę podjąć tę decyzję, pozwala mi powrócić do czegoś, co przypomina racjonalne myślenie.

W tym samym momencie dociera do mnie, że od dłuższej chwili wali mnie w skroń łokciem. Nie mógł włożyć siły w te ciosy, kiedy leżał; robił to głównie po to, żeby odwrócić moją uwagę od drugiej ręki, która przesuwa się po mojej szyi z kciukiem gotowym wydłubać mi oko.

Kiedy bierze następny zamach, odchylam się, schodząc z linii ciosu, i łapię go za przedramię. Obracam go, tak że teraz leży plecami do mnie; piersią przyszpilam jego miecz w pochwie. Włosy z tyłu głowy ma zlepione krwią płynącą z pojedynczego rozcięcia w miejscu, w którym uderzył o krawędź schodka. Znowu blokuję jego nogi swoimi i w ostatniej chwili obracam nas twarzami do góry – para ogrów, które już szykowały się do spokojnego ciosu w moje plecy, niepewnie opuszcza korbacze.

Lewe przedramię opieram o jego twarz, zasłaniając mu oczy. Odginam głowę Berne'a do tyłu, a prawą ręką wyciągam jeden z długich noży z pochwy na żebrach. Przykładam ostrze do tętnicy szyjnej. Wystarczy sekunda, żeby wbić je w bok szyi, rozchlastać ją z przodu, przecinając obie tętnice szyjne i tchawicę. Nie ma szansy na przeżycie i dobrze o tym wie.

Szeptę mu do ucha:

– Powiedz im, żeby się cofnęli.

– Cofnąć się – chrypi.

Odkasłuje trochę krwi i jego głos staje się mocniejszy i pewniejszy.

– Caine to mój stary przyjaciel. Nie walczymy tak naprawdę. W ten sposób się witamy.

– Masz niezłe poczucie humoru jak na człowieka, który właśnie umiera – mruczę.

Wzruszenie ramionami, które czuję na piersi, wydaje się bez troskie.

– Trzymaj ręce na widoku – dodaję.

Na oślep wyciąga przed siebie dłonie i porusza palcami.

– Ładne, co?

– Co się stało z Pallas Ril?

– Twoją dziwką? A skąd mam wiedzieć? Byłem zajęty tym dupkiem, Simonem Błaznem.

– Berne, Berne, Berne... – szepczę mu do ucha jak besztający kochanek. – Nie ma powodu kłamać. Pomyśl o tym jak o wyznaniu na łożu śmierci.

Śmieje się.

– Więc nie mam też powodu mówić prawdy. Mimo to mówię. Nie warto cię okłamywać.

Wierzę mu, chociaż mam wspomnienia Pallas z ich konfrontacji. Zorientowałem się już, że fala uderzeniowa jej czaru – próg informacyjny, który rozprzestrzenił się z taką prędkością, jaką ma ta cholerna magijna energia – w pewnym sensie przetasował wszystkim najświeższe wspomnienia z nią związane... Coś w tym guście. Ale Berne i Koty musieli mieć z nią jakiś kontakt po rzuceniu czaru – w końcu ją otoczyli. Jeśli naprawdę nic nie pamięta, to czar jakimś cudem musi nadal działać. A jeśli czar działa...

Pallas żyje. Może być jednym z więźniów w Donżonie, ale przynajmniej żyje.

Ta pewność wypływa błogością z mojego serca, zalewa cały świat i przez prawie pół sekundy odczuwam pokusę, żeby jednak darować mu życie.

– Ostatnie pytanie: dlaczego mnie ściągają? I kto dał cynk Królewskim Oczom, że zjawię się w mieście?

– To dwa pytania.

W jego głosie pobrzmiewa kpina.

W gruncie rzeczy nie potrzebuję znać tych odpowiedzi aż tak bardzo, żeby warto było słuchać tego chrzanienia, więc wbijam mu nóż w szyję.

Czubek ostrza ześlizguje się ze skóry, jakby jego ciało zamieniło się w stal.

Jak idiota próbuję raz jeszcze dźgnąć go w to samo miejsce – po prostu nie mogę uwierzyć, że to nie działa – i kiedy nóż znowu się ześlizguje, tracę całą sekundę, gapiąc się kretyńsko na ostrze, które mnie zdradziło.

Zaczynam rozumieć, dlaczego się nie boi.

Myślę, że wpakowałem się w kłopoty.

Berne mówi głosem pogodnym, ale miękkim jak jedwab:

– A teraz moja druga sztuczka...

Sięga do tyłu i łapie mnie jedną ręką za lewy bark w uścisk tak miażdżący, że to nawet nie boli – całe ramię mi drętwieje. Potem wyplątuje się z mojego uścisku z pomocą siły, której nie sposób się oprzeć – bez żadnych sztuczek, po prostu jednym gładkim szarpnięciem. Wstaje i trzyma mnie w powietrzu.

– Zawsze byłem lepszy od ciebie – mówi. – Ale teraz jestem ulubieńcem Ma’elKotha. Sprawił, że jestem szybszy, o wiele silniejszy... i odporny na wszystko. Ma’elKoth stworzył czar specjalnie dla mnie; nazywał go Puklerzem Berne’a. Podoba ci się?

Kopię go w twarz – prosty cios z boksu tajskiego – i moja stopa łąduje na jego złamanym nosie, a on tylko się śmieje. Łapie mnie wolną ręką za krocze i podnosi wysoko w powietrze, a ja tylko młocę nogami.

I ciska mną ponad głowami tłumu.

Wylatuję z dołka wysokim łukiem – musi być o wiele silniejszy niż ogry, które stoją i tępo obserwują mój lot. Lecę, a ludzie uskakują mi z drogi.

Moje ciało samo zajmie się lądowaniem; całą uwagę skupiam na tym, jak pokonać

Berne'a.

Zanim z hukiem wpadnę na grupę hazardzistów i wszyscy padniemy na podłogę (zapowiada się zaskakująco miękkie lądowanie), dochodzę do kilku wniosków.

Po pierwsze, sama siła gówno mu da w starciu z moimi nożami, a...

Po drugie, gdyby rzeczywiście był taki superodporny na ciosy, to nie zdołałbym mu złamać nosa.

Nadal mogę go pokonać; muszę tylko zmienić taktykę w odpowiedzi na zmianę sytuacji. Mam pewne hipotezy dotyczące tej magii, która go chroni, i jak każdy prawdziwy naukowiec obmyślam eksperyment, który przekuje hipotezę w teorię.

Ludzie, na których wylądowałem, szarpią się, żeby wygrzebać się z płataniny kończyn. Trącają mnie, więc nadal walczę, żeby stanąć na nogi. Nagle tłum rozstępuje się i Berne przeskakuje nad poręczą wokół dołka ze stołem do kości. Ociera krew z ust wierzchem dłoni i idzie w moim kierunku.

– Szczęściarz z ciebie, Caine – mówi. – Złożyłem obietnicę...

Najlepsza chwila, żeby zaskoczyć człowieka, to wtedy, gdy mówi – jest zbyt skupiony na tym, co zaraz powie. Nadal klęcząc, wyjmuję noże do rzucania z pochew na udach (prawy lewą ręką, lewy prawą) i ciskam nimi w Berne'a.

Nie ma dużej siły w takim rzucie, ale nie tego mi trzeba. Nóż rzucony zdrętwiałą, osłabioną lewą ręką leci wysoko ku twarzy Berne'a, który z irytacją odbija wirujące ostrze w bok – ale nie rozcina mu dłoni, bo na niej odruchowo skupił obronę. Drugi nóż to ten, który rozgrzewa moje serce mordercy: uderza go w nogę cal nad kolaniem, rozcina różowe pludry i skórę pod nimi.

To tylko małe rozcięcie, cieniutka linia rozlewających się szkarłatnych kropelek, ledwo zauważalne zadrapanie – ale Berne patrzy na nie, a ja przyglądam się jemu i kiedy znowu spogląda na mnie, widzę w kącikach jego oczu ledwie dostrzegalne drżenie zdradzające niepewność.

To wyzwala pęd w moim umyśle, wodospad wiatru, jakby Bóg robił nieskończony wdech, i cały wszechświat zawęży mi się do Berne'a, mnie i trzech metrów podłogi między nami.

Wstaję. Wyciągam ostatni nóż, jaki mi został.

– Ten, który żyje z miecza, zginie od mojego noża – mówię. – Możesz to uznać za przepowiednię.

Teraz widzę w jego oczach coś innego: szaleństwo. Po prostu pragnie krwi.

Jakbym patrzył w lustro.

– Pieprzyć Ma'elKotha – mówi enigmatycznie.

Rzuca się na mnie, a ja skaczę ku niemu.

Wyciąga miecz tak szybko, że dostrzegam zaledwie mgnienie ruchu. Żadnej subtelności: uderza w miejsce, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Mój nóż napotyka jego miecz, kiedy

paruję cios obiema rękami, zmuszając jego ostrze, by łukiem przeszło nad moją głową. Nóż wibruje mi w dłoniach, wprawiając całą moją rękę w drżenie, które wędruje aż od zębów.

Biorę zamach nożem trzymany w prawej ręce, żeby ciąć go przez oczy, ale chybiam celu o szerokość dłoni. Kontynuuję ruch, robiąc przewrotkę w bok, a Berne skacze za mną i tnie mieczem; w powietrzu rozlega się przyprawiający o ból zębów jęk, kiedy ostrze przecina dywan i podłogę obok mojej głowy jakby to był kawał miękkiego sera. Zahaczam palcem stopy o kostkę Berne'a i kopię go w kolano. Zgina nogę, przyjmując cios tak, że staw nie pęka. Przy okazji pada na podłogę.

Zrywam się na nogi i już rozumiem, dlaczego nie trafiłem go w oczy – mój nóż jest o jakieś pięć cali krótszy, ostrze zostało odcięte trzy palce nad rękojęścią; jasna, nowiutka stal lśni jak chrom w miejscu cięcia.

Jego miecz... Ożeż, fiutem w pysk, to Kosall...

Owo odkrycie sprawia, że na ułamek sekundy zamieram – wystarczająco długo, żeby Berne wstał. Gładkim *croise* zbliżam się do niego na odległość ciosu i biorę zamach do kopnięcia bocznego, żeby znowu go powalić...

Ogromna dłoń o stępionych szponach łapie mnie za rękę i szarpie do tyłu i w górę.

Wypuszczam bezużyteczny kikut noża i młóć bezradnie kończynami – tak byłem pochłonięty Berne'em, że nie zauważyłem ogra, który teraz mnie trzyma.

Ale Berne ma ten sam problem – z tym że jego trzymają dwa ogry: jeden obydwoma rękoma chwycił go za rękę z mieczem, drugi ściska go mocno w pasie.

Mam wrażenie, jakbym wypływał na powierzchnię snu. Na wszystkich bogów, co ja sobie myślałem? Tracę tu czas z Berne'em, być może ryzykuję życie... Chyba całkiem oszalałem.

Jakimś cudem znowu dałem się porwać tej dzikiej żądzy krwi. Cholera, to między innymi dlatego Pallas mnie opuściła – z powodu tego bezrozumnego pragnienia śmierci. Mistrz Cyrre, przeor Twierdzy Garthan, niemal dwadzieścia lat temu zwykł mi powtarzać, że myślę pięściami.

I skurczybyk nadal ma rację.

Teraz idzie w naszą stronę Kierendal, idealne ucieleśnienie lodowatego przywódcy.

– Dość już tego. Myślę, że teraz wszyscy spokojnie poczekamy na Straż.

Berne patrzy na mnie. Już się nie szarpie, posyła mi przelotny sardoniczny uśmiezek i całusa, bezgłośnie mówiąc: „Następnym razem”.

Ogr podnosi mnie wyżej i potrząsa mną lekko. Moje nogi wiszą długość ręki nad podłogą i zaczynają mnie boleć ścięgna ramion. Ale w głowie już mi się przejaśniło i wszystko widzę wyraźnie – jeśli strażnicy mnie zgarną, nie będzie miało znaczenia, czego ode mnie chcą. Nim zdążę się wygrzebać z tego gówna, dla Pallas będzie już za późno.

Ogr znowu mną potrząsa, ostrzegając niezbyt delikatnie:

– Nie kombinuj – dudni, śliniąc się przez kły. – Wiesz, że chętnie ci przyłożę.

– Wzajemnie – odpowiadam cicho.

Przyciągam kolana do piersi, a potem wierzgam jak dziki koń, wyginając plecy w łuk i posyłając stopy do tyłu, ku torsowi ogra. Jakbym tupał na kamiennej podłodze. Ogr nawet nie chrząknie, ale to jeszcze nie teraz miało zabołeć.

Odbijam się od jego piersi i obracam w osi stawu barkowego jak piłkarz robiący przewrotkę; lecę w górę i oplatom nogami jego głowę, dusząc go jak zapaśnik. Ogr warczy i odruchowo odwraca głowę, żeby rozorać mi kłami wnętrze uda. Jeden kieł rozrywa skórę spodni i wrzyna mi się w ciało.

I to jest ten moment, kiedy ma zabołeć.

Przekręcam się i uderzam dłonią jak harpunem prosto w kanalik łzowy w kąciku jego oka. Oczy ogra są osłonięte twardą łuską, trochę jak u węża, ale można je wybić równie łatwo jak człowiekowi. Wbijam dłoń w oko i tryska krew. Z wilgotnym trzaskiem wygarniam oko (wielkości piłeczki baseballowej) z oczodołu, kiedy przytrzymujące je mięśnie puszczają. Oko zwiesza się na długim nerwie wzrokowym aż do policzka, a ogr wrzeszczy prosto w moje udo. Puszczą moją rękę i przyciska ręce do twarzy. Rozplatom nogi i znowu się odbijam. Kieł zostaje wyszarpięty z mojego uda.

Łąduję niezgrabnie, ale nie tracę równowagi. Szybkość, z jaką po mojej nodze spływa krzepnąca wilgoć, mówi mi, że ogr nieźle mnie przyszpilił. To prawie zabawne – wyjść z walki z Berne'em bez zadrapania i dać się wypatroszyć przez pierdolonego ochroniarza.

Ogr ryczy jak syrena okrętowa, próbując z powrotem wpassować oko do oczodołu. Ludzie w kasynie wzdrygają się, odsuwają się ode mnie, zasłaniają uszy. Berne szarpie się teraz, rzucając ponure groźby, ale dwa ogry trzymają go i nie wykazują przy tym najmniejszej chęci, by go puścić.

Zerkam na Kierendal, która wygląda, jakby całkiem poważnie rozważała rzucenie czaru. Wyciągam ostatni z noży do rzucania z pochwy między łopatkami i pokazuję go jej. Zmienia zdanie.

W ciszy, która zapada, gdy ogr łapie oddech, mówię głośno:

– Wychodzę. Pierwsze trzy osoby, które staną mi na drodze – ludzie czy podludzie, obojętne – zginą. Tu, na tej podłodze. Umrą.

Wierzą mi. Rozstępują się, robiąc przejście, a ja dzikim pędem rzucam się do wyjścia, biegnę ku słonecznemu światłu i zapachom miasta.

Sfrustrowane wrzaski Berne'a bledną za mną, wtapiając się w dźwięki miasta.

Wiecie, czasem moje uwielbienie dla przemocy się przydaje.

Oddział strażników idzie w moją stronę. Są na drugim końcu ulicy Moriandar. Ruszam w innym kierunku. Będę musiał się gdzieś przyczaić, dopóki nie opatrzę porządnie nogi. Słudzy Ściemy nie wchodzi w grę, przynajmniej na razie, dopóki nie dowiem się, czy Kierendal miała rację co do Jego Wysokości i Oczu. Król to mój przyjaciel, ale to nie znaczy, że mu ufam.

Odpowiedź jest oczywista. Nadal pozostało jeszcze jedno miejsce w Ankhanie, gdzie mogę powołać się na prawo do azylu. Muszę tylko pożyć na tyle długo, by tam dotrzeć.

Trzy kroki w dogodny zaułek i opieram się o ścianę budynku, żeby zamknąć brzegi rozciętych spodni na ranie i obwiązać ją mocno paskiem. To wystarczy, dopóki nie zaszyję rany i nie dostanę prawdziwego bandaża. Noga już mi spuchła i zaczyna rwać. Wiem, że lepiej iść dalej, wynieść się z Miasta Obcych, zanim zeszywnieje. Sądząc po obręzionym czerwienią śladzie lewej stopy, jasne jest, że tracę spore ilości krwi. Utykam też wystarczająco mocno, by się domyślać, że kiel wszedł głęboko w mięśnie.

Dalej idę zaułkiem, jego odnogą i skręcam w kolejną krętą uliczkę. Na północny zachód od zakrętu widzę następny oddział straży: rozdzielił się na czteroosobowe grupki, które pukają do drzwi i wchodzą do sklepów. Dopiero teraz staje się jasne, że Kierendal wydała mnie, gdy tylko opuściłem jej pokój. Powinienem był się domyślić. Nie mam jej tego za złe – zrobiłbym to samo – ale to mi utrudni opuszczenie Miasta Obcych.

Cofam się do zaułka i skręcam w inną odnogę, obchodząc stos śmieci. Znajduję względnie osłonięte miejsce u wylotu zaułka, skąd mogę obserwować ulicę. Przyglądam się przechodniom, szukając ludzi albo elfów mojego wzrostu, których mógłbym przekonać, żeby ofiarowali swoje ubrania ściganemu.

## 16

Arturo Kollberg podniósł ze złością osłonę twarzy. Kiedy hełm indukcyjny automatycznie się unióś, Kollberg przegrzebał farmakopeę w podłokietniku, w poszukiwaniu środków uspokajających i czegoś na zgagę. Nerwy miał napięte jak zbyt mocno naciągnięte struny gitary. Caine nadal nikogo nie zabił, chociaż ten motyw ściganego uciekiniera w Mieście Obcych zapowiadał się obiecująco.

Caine najwyraźniej nie rozumiał, jak ważne jest, żeby ta Przygoda okazała się sukcesem. Dobry Boże, mieli połączenie na żywo ze Studiami na całym świecie! Jeśli będzie dalej tak się obijał, to zrujnuje reputację Kollberga, a co za tym idzie, jego szansę na awans do kasty Biznesmenów i zastąpienie Westfielda Turnera w roli prezesa Studia.

Czy Caine nie zdaje sobie sprawy, że od tego zależy cała kariera Kollberga? Nie obchodzi go to?

Mógł przynajmniej załatwić tego ogra. Chryste, już i tak okaleczył to biedne stworzenie. Ile więcej kłopotu sprawiłoby mu zabicie go? Ludzie – Uprzywilejowani – na całym świecie wydawali miliony marek, żeby być nim, kiedy odbierze kilku istotom życie. Co go, na Boga, powstrzymywało?

Kollberg podniósł się z fotela i otarł pot z czoła. Zerknął na resztki przekąsek na oparciu, skrzywił się i uznał, że powinien zjeść prawdziwy lunch, dopóki ma szansę. Wezwał kelnera i

zamówił wózek z czymkolwiek, co byłoby ciepłe i świeże, a co mogli dostarczyć do jego prywatnej łoży w ciągu pięciu minut.

A potem zaczął krążyć ciężkim krokiem po małym pomieszczeniu, zastanawiając się nad kolejnym odcinkiem *Przygód na żywo*. Chociaż nie mógł kontrolować działań Caine'a, z pewnością mógł panować nad tym, co myślała o nich publiczność.

## 17

Poważna twarz na ściennych ekranach na całym świecie mówi:

– Cóż, sądząc po liczbach na zegarze życia Pallas Ril, najwyższy czas zdać raport z postępów Caine'a w Ankhaniu. Ponownie Jed Clearlake.

– Dziękuję ci, Bronson. Od czasu naszej ostatniej aktualizacji rzeczywiście co nieco się wydarzyło. Otrzymałem raporty z nierozstrzygniętej walki z... uwierzycie z kim? Z Berne'em!

– To szermierz, który zamordował dwóch towarzyszy Caine'a w *Wyścigu po koronę Dal'kannitha*.

– Zgadza się. Nienawiść między nimi trwa już od jakiegoś czasu. Spotkaliśmy się z Caine'em raptem kilka godzin przed transferem do Ankhany i zapytaliśmy go o Berne'a...

Migocząca biała linia przecina ekran i rozciągając się ukośnie, ukazuje Caine'a, gadającą głowę na neutralnym, ciemnym jak dym tle.

*Berne?* W nagranych głosie, chrapliwym od nabrzmiałych emocji słyhać też cynizm; dziwne połączenie. *Mhm, trochę nas łączy.*

Można się zorientować, że Caine poprawia się na krześle, bierze głęboki wdech, porządkując przykre wspomnienia, waha się, nim rozpocznie bolesny temat – wszystko to składa się na naprawdę trzymającą w napięciu pauzę. Caine jest zawodowcem i udziela wywiadów najlepiej w tym biznesie.

*Zgarnięcie korony Dal'kannitha okazało się o wiele trudniejsze niż ktokolwiek by się spodziewał. Moja drużyna – czyli Marade i Tizarre, jedyni dwaj, którzy przeżyli Odwrót z Boedecken, oraz Pallas Ril – musiała zawracać dwa razy, zdobywając jedynie rany i odmrożenia. A Berne... Berne miał własną drużynę. Doszli do wniosku, że łatwiej będzie zdobyć koronę, po prostu zabierając ją nam. Wróciłem z dwudniowego zwiadu w górach w nie najlepszym nastroju: musiałem pochować na górze towarzysza. Niosłem dwa kolczaste belty ogrillów, które musiałem wygrzebać z ramienia i uda nożem. Byłem wyczerpany i wyziębiony, kiedy dotarłem do obozu, który okazał się pusty, jeśli nie liczyć listu od tego półanalfabety Berne'a. Chciał, żebym oddał koronę jego chłopaczkowi t'Gallowi. Każdy dzień zwłoki oznaczał, że zamęczy na śmierć jednego z moich przyjaciół.*

*Kłopot w tym, że nie miałem tej choleralnej korony.*



*Znałem reputację Berne'a. Nie marnowałem czasu na mówienie prawdy.*

*Dorwałem t'Galla i spędziłem kilka godzin, przekonując go, żeby powiedział mi, gdzie Berne przetrzymuje moich przyjaciół. T'Gall nie przeżył tej rozmowy. Uderzyłem na obóz Berne'a wystarczająco ostro i szybko, żeby uwolnić Pallas, i we dwoje wywalczyliśmy sobie drogę odwrotu.*

*Nie zdążyłem uratować Marade'a i Tizarre'a.*

*Każdy, kto chce poznać szczegóły, może wypożyczyć Wyścig po koronę Dal'kannitha. To nie było mile dla oka. Berne to choroba, która plugawi świat; jego oddech zatruwa powietrze. Jeśli będę miał szansę, wyświadczę światu wielką przysługę. To rak. A ja jestem skalpelem.*

Obraz rozplywa się, przechodząc w poważną twarz Jeda Clearlake'a.

– A Berne jest teraz, jak może sobie przypominasz, Bronson, hrabią i de facto przywódcą Szarych Kotów, elitarnego oddziału cesarskiego do zadań specjalnych.

– Zapowiada się niezła walka.

– Mamy tu fragment...

...widziany oczami Caine'a nóż ześlizguje się ze skóry... i znowu... Dezorientacja, gdy Caine zostaje podniesiony i rzucony... Berne przeskakuje przez mosiężną poręcz, ściera krew z ust pod rozbitym nosem...

Solilokwium Caine'a:

*\*..jak każdy prawdziwy naukowiec\**

Cięcie na udzie Berne'a...

*\*Po prostu chce krwi.\**

– *Ten, który żyje z miecza, zginie od mojego noża. Możesz to uznać za przepowiednię.*

Obraz zamiera na czas przedłużonej dyskusji o magicznie wzmocnionej sile i szybkości Berne'a oraz ciekawym efekcie „Puklerza”. Padają żartobliwe uwagi na temat albo zadziwiającej odwagi, albo nadzwyczajnej głupoty Caine'a, który stawiał czoło zdecydowanie silniejszemu przeciwnikowi.

– A nasz ostatni raport wskazuje na to, że Caine jest ranny i ucieka z Miasta Obcych, getta dla podludzi, burdelowej dzielnicy Ankhany. Analitycy Studia przewidują, że będzie próbował przejść Mostem Rycerzy do Starego Miasta i poszuka schronienia w Ambasadzie Klasztornej.

– To ciekawy wybór, Jed.

– Widzisz, Bronson, Caine może się tam powołać na prawo do azylu, ponieważ teoretycznie nadal jest obywatelem Klasztorów, chociaż już nie zaprzysiężonym bratem.

– Ale czy oni rzeczywiście mogą go uchronić przed cesarstwem?

– Wiele zależy od tego, jak wielki nacisk gotowi będą wyrzeć Ankhańczycy. Jak wiesz, Caine nadal nie odkrył, dlaczego jest ścigany listem gończym i czemu wyznaczono nagrodę za wskazanie miejsca jego pobytu. Ale z całą pewnością należy stwierdzić, że Ankhańczycy pod żadnym pozorem nie użyją siły do rozwiązania sporu z Klasztorami. W przeszłości, za

każdym razem, kiedy tego próbowali, efektem było krótkotrwałe zwycięstwo, po którym niemal natychmiast nadciągał potworny kataklizm. Jak pamiętają fani Caine'a, kilka jego wcześniejszych Przygód wiązało się z zawiłą zemstą na tych, którzy niemądrze pogwałcili suwerenność Klasztorów pod takim czy innym pretekstem. Standardową polityką Klasztorów w takich sytuacjach jest udać, że się ustępuje, po czym wymierzyć najsurowszą karę. Na takim obszarze jak Cesarstwo Ankhańskie, gdzie Klasztory istnieją od setek lat, wyuczono się tej lekcji bardzo dobrze. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z rządu cesarskiego popełnił taki błąd.

Rozlega się zawodowy, ugrzeczniiony śmiech.

– Więc Klasztory nie przypominają, powiedzmy, franciszkanów pielęgnujących ogrody i leczących chorych?

– Nie, Bronson, nie przypominają. – Uprzejmy śmiech. – Podczas gdy rzeczywiście Klasztory stanowią „naród bez granic”, podobnie jak tysiąc lat temu Kościół katolicki w Europie, nie są właściwie organizacją religijną. Klasztor to słowo, którego używamy zamiast westerlińskiego *Khrasthikhanolyit*, które można zgrubnie przetłumaczyć jako „forteca ludzkiej przyszłości”. Klasztory są głównie ośrodkami nauczania i służą jako szkoły dla dzieci arystokracji oraz tych z pospólstwa, których stać na wniesienie opłat. Próbują rozprzestrzeniać znajomą filozofię o braterstwie ludzi i tego typu sprawach. Można by uznać, że to wszystko sprawia bardzo pokojowe wrażenie, ale pamiętaj: uczą o braterstwie ludzi w świecie, gdzie istnieje nie mniej niż siedem świadomych ras humanoidalnych i kilkanaście niehumanoidalnych. Szkołą także w wielu bardzo zaawansowanych sztukach walki, a kilka Klasztorów słynie też jako szkoły magji. Prowadzą agresywną politykę i bez wahania obaliłyby rząd, który uznałyby za niebezpieczny dla ich długofalowego celu, którym jest nic innego jak przetrwanie i dominacja rasy ludzkiej w Nadświecie. Może przypominasz sobie Przygodę Caine'a sprzed kilku lat: *Sluga cesarstwa*. Za namową Rady Braci Caine zamordował w niej księcia regenta Toa-Phelathona...

## 18

Odmawiam skorzystania z zaproponowanego wózka, chociaż uniki przed bełtami z kusz garnizonowych żołnierzy, kiedy pędziłem przez Most Rycerzy, sprawiły, że rana na udzie znowu się otworzyła i przy każdym kroku wyciskam krew z lewego buta jak z gąbki. To chyba irracjonalny przesąd, ale wolę wyczerpany kuśtykać za zakłopotanym nowicjuszem, prowadzącym mnie do infirmerii, niż usiąść na tyłku i oddać się w czyjeś ręce.

Idę, dotykając bogato zdobionych paneli ściennych w korytarzu – to mi daje oparcie przy falach zawrotów głowy, które pojawiają się coraz częściej. Przy okazji trzymam się na tyle blisko ściany, żeby nie poplamić krwią znakomitego chrannthiańskiego dywanu zdobiącego podłogę.

Bracia, nowicjusze, uczniowie – wszyscy zerkają na mnie, kiedy przechodzimy; większość idzie do jadalni na kolację. Ambasada w Ankhanie udziela szybkiej pomocy szpitalnej; nie ma nic niezwykłego w widoku zakrwawionego człowieka kuśtykającego korytarzami; nie przyciąga nadmiernej uwagi. Zastanawiam się, ilu z nich domyśla się, kim jestem...

W sklepionej infirmerii brat Uzdrowiciel wytrzeszcza oczy, kiedy się przedstawiam:

– Caine z Twierdzy Garthan.

– O rety... – mówi i zaciska usta w konsternacji. – O rety, rety, ambasador musi...

– Żądam udzielenia azylu. Jestem Obywatelem Ludzkości i Sługą Przyszłości. Nie złamałem ani przysięgi, ani prawa. Przez wzgląd na prawo i obyczaje przysługuje mi azyl.

Brat Uzdrowiciel jest wściekły.

– Nie jestem pewien, czy...

– Pieprzenie. Wiesz, kim jestem. Na co czekasz? Na sekretny uścisk dłoni, do cholery?

Mogę czytać z jego twarzy jak z wielkiej tablicy reklamowej: nie chce niczego zrobić bez zezwolenia ambasadora i zdecydowanie bardziej wolałby, żebym dostał udaru i umarł na miejscu, niż mi odpowiedzieć. Ale wypowiedziałem formułę, a on zna prawo: nie ma żadnego wyboru.

– Witamy, Cainie z Twierdzy Garthan – odpowiada kwaśno. – Wesprzesz się na ramionach braci i nie musisz się obawiać żadnego księcia tego świata. Znalazłeś bezpieczny azyl.

– Cudnie. No dobra, jest na dyżurze ktoś, kto mógłby mi zszyć tę cholerną nogę?

– Walka czy wypadek?

– Walka. Ej! – Rozpromieniam się. – Czy to znaczy, że masz tu dziś khrylianina?

Kiwa głową, jeszcze mocniej zaciskając usta.

– W ramach drobnej pokuty ofiarowuje swoje usługi przez trzy dni. Cela numer trzy. Czekał na niego, medytując.

– Aha, jasne.

Kuśtykam przez infirmerię, znosząc piorunujące spojrzenia chorych i połamanych, którzy leżą na nagich, drewnianych ławkach i czekają na swoją kolej. Ich niechęć kłuje moje ciało z mocą, niech no się zastanowię... kropiącego letniego deszczyku.

Zatrzymuję się przy półce ze świecami na początku korytarza, biorę nowiutką, wkładam do mosiężnego lichtarzyka z przesuwaną, owalną osłoną od wiatru. Zapalam świecę od lampy obok i ruszam nieoświetlonym korytarzem.

Korytarze i cele Klasztorów na całym świecie nie mają oświetlenia, często brakuje im nawet okien. Brat musi nieść własne światło, rozumiecie, nie może polegać na wysiłku innych, liczyć, że odpędzą ciemność. Symbole, na każdym kroku symbole, żeby przypomnieć nam o naszej Świętej Misji.

Chrzanianie.

Istnieje pewnie jeszcze kilku idealistów i innych naiwniaków, którzy nadal wierzą, że Klasztory są oddane Przyszłości Rodzaju Ludzkiego; reszta nas wie, że ich prawdziwym zadaniem jest zdobywanie i sprawowanie władzy – czystej siły, politycznej i nie tylko.

Bywało, że i ja stanowiłem część tego „nie tylko”. Nie byłem ani jedyny, ani najlepszy, nie osiągnąłem też największych sukcesów – jestem po prostu najślawniejszy.

Cela numer trzy to prostokątne pomieszczenie, dwa metry na trzy, mające może ze dwa i pół metra wysokości. Zamykam za sobą drzwi i opieram się o ścianę. Powoli ześlizgując się na chłodne, wapienne płyty podłogi. Nogę trzymam wyprostowaną. Stawiam świecę na podłodze i patrzę na piękny, misterny relief wyrzeźbiony nisko na ścianie zamykającej celę.

Ożywione powoli falującym płomieniem wapienne oczy Jhantho, Naszego Założyciela, patrzą na mnie smutno. Trzyma w złożonych dłoniach świat jak smocze jajo o cieniutkiej skorupie – coś nieskończenie cennego i zaskakująco delikatnego.

– Były takie czasy, kiedy i mnie ogłupiłeś, ty sukinsynu – mówię cicho. – Pamiętam, jakie to było uczucie, wierzyć.

W kącie celi dostrzegam mały brązowy posążek imponująco muskularnego mężczyzny o długich włosach i świdrującym wzroku; u jego stóp stoją talerze z ofiarami i ogarki świec. Kolejny ołtarzyk dla Ma’elKotha, jak ten u Kierendal, tyle że ten najwyraźniej jest używany.

Te ołtarzyki zaczynają mnie przerażać.

Wkrótce pojawia się kapłan Khryła. Pewnie ma niewiele roboty. Khrylianie leczą jedynie rany zadane w walce. Wchodzi do celi, podzwaniając elementami pełnej zbroi. Podejrzewam, że nawet tak śpią. Stal napierśnika jest idealnie wypolerowana, odbijając płomień świecy jak chrom. Wymieniamy kilka słów, żeby zorientował się w naturze rany. Oczy mu błyszczą, kiedy mówię, że ranę zadał kieł ogra. Błysk jednak gaśnie, gdy dowiaduje się, że ogr przeżył nasze spotkanie.

Staje prosto i rozkłada szeroko ręce, by się pomodlić. Kapłan Khryła klęka ostatni raz w chwili pasowania na rycerza.

Jego pieśń wznosi się w maleńkiej celi i trwa.

Łatwo byłoby zazdrościć mu wiary, ale nie zazdrozczę – to byłaby słabość, naleciałość z mojego drugiego życia. On nie ma wiary, lecz pewność i wiedzę – czuje potęgę swojego boga za każdym razem, kiedy się modli. Przytrzymuję rozdartą skórę spodni szeroko rozłożoną, żeby mógł położyć ręce na ranie.

Postrzępione fragmenty ciała obrębane żółtymi grudkami tłuszczu i poprzeplatane porwanymi mięśniami powoli zbliżają się do siebie. Khrył to bóg wojny, a jego leczenie ma być wykorzystywane na polu walki. Jest pewne i szybkie, ale okrutnie nieprzyjemne. Przy tak głębokiej ranie trzeba kilku miesięcy, by zablizniła się całkowicie, a do tego czasu będzie bolała, swędziała i od czasu do czasu wywoływała piekący skurcz w nodze. Khryliańskie uzdrowienie wszystkie te niedogodności wielu miesięcy leczenia kompresuje w pięciu nieskończonych minutach cierpienia.

Pod wpływem bólu mój wzrok zasnuwa się mgłą, w uszach dzwoni i czuję smak krwi. Mam wrażenie, jakby kapłan oblał mi krocze kwasem siarkowym, który wyżera mi ciało do kości.

Mdleję raz, możliwe, że dwa. Trudno powiedzieć. Mam wrażenie, jakby to trwało bez końca – odpływam co chwila, ale za każdym razem, gdy przytomnieję, leczenie jeszcze trwa.

Kiedy odzyskuję przytomność, jestem w celi sam i tylko mgliście pamiętam, jak kapłan wychodził. Na wewnętrznej stronie uda mam poszarpaną bliznę w kształcie „V” z różowiułkiej, pofałdowanej tkanki. Głęboki ból w mięśniu zaostrza się, gdy tylko próbuję oprzeć cały ciężar na ranionej nodze, ale i tak wstaję i zaczynam się rozciągać.

Zmęczenie zatapia stalowe haki w każdy mięsień i ciągnie go ku ziemi. Czuję się, jakbym zaginął na pustyni bez jedzenia i wody co najmniej na rok. Trzeba mi połowy tuszy wołowej, galonu whisky i łóżka na jakieś trzy dni; ale straciłem całe popołudnie, kryjąc się przed tą cholerną Strażą, a Shannie zostało jakieś pięć dni życia.

Strażnicy mogli się już zjawić u bram i zostać odesłani – na pewno nietrudno było mnie wytropić. Będą obserwowali ambasadę, ale można z niej wyjść drogami, o których Straż nie ma pojęcia. Jeśli będę szybko się poruszał, zdołam wydostać się z wyspy i dotrzeć z powrotem do Kolonii, zanim o zmroku podniosą mosty.

Popycham drzwi, a one ledwo szcękają.

Pcham mocniej. Przesuwają się tylko tyle, żebym się zorientował, że są zastawione od zewnątrz.

– Ej! – krzyczę, tłukąc pięściami w drzwi. – Otwórzcie te pierdolone drzwi!

– Ehm... Caine? – Słychać, że chłopiec na zewnątrz się denerwuje. Nie bez powodu. Gdyby jakimś cudem udało mi się w tej chwili wydostać na korytarz, zatłukłbym go na śmierć. – Muszę cię tu zatrzymać, tylko na kilka minut. Ambasador chce się z tobą zobaczyć... Chce... Ehm... Chciał mieć pewność, że nie wyjdiesz, dopóki nie będzie miał okazji z tobą porozmawiać.

Nie ma sensu się spierać. Słowo „ambasador” nie oddaje całego zakresu władzy w jego rękach; w kwestiach dotyczących Ankhany jest kimś w rodzaju pomniejszego papieża. Dzieciak w korytarzu mógłby mu się sprzeciwić z takim samym powodzeniem, z jakim polecieć na księżyc, do diabła! Cela klasztorna zamienia się w więzienną.

Wzdycham i opieram czoło o chłodną dębinę drzwi.

– Mógł poprosić...

– Ehm, no... przykro mi...

– Taaak, jasne.

Czego chce ode mnie Dartheln? Wątpliwe, żeby chodziło o przyjacielską pogawędkę – nie byliśmy w najlepszych stosunkach, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. Był przeciwny decyzji Rady Braci odnośnie do Toa-Phelathona. Książę regent był dla niego kimś w rodzaju osobistego przyjaciela.

Jednakże Dartheln to człowiek z zasadami. Pomimo jego osobistych uczuć i wpływających z przekonań obiekcji, Przysięga Posłuszeństwa miała pierwszeństwo. Ugiął się wobec decyzji rady i wsparł mnie, wykorzystując wszelkie zasoby ambasady. Bez niego nie miałbym szans. Mam dla niego dużo szacunku, chociaż on nigdy nie ukrywał, że to uczucie nie jest odwzajemnione.

Nie trzymają mnie długo. Kiedy drzwi się otwierają, czterech braci stoi na zewnątrz. Wszyscy są uzbrojeni. Krótkie, wysokie do barku kostury to idealna broń do walki na krótki dystans i nie byłbym zdziwiony, gdyby każdy z nich w walce dorównywał mnie albo niewiele mu do tego brakowało. Pozbawiają mnie ostatnich dwóch noży – jednego do rzucania z pleców i krótkiego ostrza z buta. Mam złe przecucia.

Prowadzą mnie korytarzem z dala od światła, żebyśmy nie przechodzili przez powszechnie uczęszczaną salę infirmerii. Idziemy w górę kilkoma ciągami kręconych schodów i kolejnym korytarzem, tak rzadko używanym, że zostawiamy ślady w kurzu – ale tylko na chwilę, bo nerwowy i zdezorientowany nowicjusz idzie za nami ze szczotką.

Otwierają przede mną małe drzwi dla służby i wprowadzają do środka. Obstawa wchodzi również – dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Nowicjusz zamyka drzwi za nami – i przed sobą, bo sam zostaje na korytarzu.

Rozpoznaję pokój, chociaż wystrój się zmienił: to prywatny gabinet, tuż za komnatami ambasadora. Zamiast masywnych mebli z ciemnego drewna w stylu wyrobów braci z Urwiska Jhanthogen pokój wypełniają lekkie, rzeźbione, zgrabne sprzęty wykonane przez najlepszych ankańskich rzemieślników. Każda rzecz lśni, bo piękny fornir pociągnięto przezroczystym lakierem.

A w kącie – z drżącymi u stóp płomieniami świec i wysoko piętrzącymi się talerzami z ofiarami – stoi kolejny ołtarzyk dla Ma'elKotha.

Jedyny mebel, który poznaję, to wielgachny, zniszczony stół do pisania, jakich używają Egzoterycy do szkicowania i kopiowania manuskryptów. A człowiek, który siedzi zwrócony plecami do naszej piątki, chociaż nosi szaty ambasadora, to nie Dartheln. Dartheln jest zwalistym mężczyzną, łysym jak kolano i z pewnością dobiegającym siedemdziesiątki. Ten facet jest tak chudy, że mógłby go zdmuchnąć silniejszy wiatr, a na głowie ma szopę kręconych, kasztanowych włosów. Zerka przez ramię, kiwa głową i odkłada pióro.

– Caine. Miałem nadzieję, że najpierw przyjdiesz tutaj.

Jego twarz jest znajoma – te kości policzkowe są tak ostre, że można by nimi kroić ser – ale to głos sprawia, że budzą się we mnie wspomnienia, chociaż nie słyszałem go od jakichś osiemnastu lat.

Mrużę oczy.

– Creele?

Kiwa głową i wskazuje mi krzesło.

– Miło cię widzieć. Siadaj.

Korzystam ze wskazanego krzesła, więcej niż tylko trochę zadziwiony. Creele był kilka lat niżej ode mnie w Twierdzy Garthan. Uczyłem go Legend Stosowanych i Taktyki Małych Grup. A teraz jest ambasadorem w cesarstwie.

Jasny gwint, jestem aż tak stary?

– Na Pięć Jhantho, jakim cudem dostałeś takie stanowisko w twoim wieku?

Uśmiecha się leciutko.

– Rada wyznacza według zasług, nie wieku.

To nie jest odpowiedź na moje pytanie... A może właśnie przeciwnie? Creele, którego pamiętam ze szkoły, już wtedy był urodzonym politykiem, mistrzem w mówieniu tego, co ktoś chce usłyszeć; manipulantom, drobnym sukinkotem, ale dobrym kompanem, inteligentnym i błyskotliwym. Pamiętam wiele godzin śmiechu spędzonych wspólnie przy winie zwędzonym z piwnic twierdzy.

Trudno na niego patrzeć. Mój mózg cały czas próbuje widzieć go tak, jak wyglądał jako osiemnastolatek. Nie tracimy wiele czasu na uprzejme pogaduszki. Zna już przebieg mojej kariery, a ja nie jestem specjalnie zainteresowany przebiegiem jego – niedopowiedziane szczegóły byłyby boleśnie znajome: polityka ciosów w plecy, która przede wszystkim zniechęciła mnie do złożenia Ślubów. I nadal są obecni czterej uzbrojeni bracia, stoją w pozycji spoczniej za moimi plecami, co skutecznie niweluje przyjemność z pogawędki.

Creele szybko przechodzi do rzeczy. Obraca na palcu pierścień z Pieczęcią Władzy i zaczyna „wielce ważnym” tonem:

– Nie wiem, kto cię wynajął, i nie muszę wiedzieć. Ale ty powinieneś wiedzieć, że Rada Braci nie będzie tolerować żadnych działań przeciwko Ma’elKothowi ani przeciwko cesarstwu w ogóle.

– Przeciwko Ma’elKothowi? – mówię, marszcząc brwi. Skąd on wie? – Nie jestem w pracy. To sprawa prywatna.

– Caine, być może pamiętasz, że nie jestem idiotą. Wiemy, że Ma’elKoth nie jest popularny wśród pewnych buntowniczych arystokratów. Wiem, że Oczy spodziewały się twojego przybycia do Ankhany, rozesłano list gończy z nakazem aresztowania cię bez podania konkretnych zarzutów. To znaczy, że życie cesarza jest zagrożone i wiedzą, co zamierzasz. I oto zjawiasz się tutaj. Nawet nie próbuj udawać.

Wzruszam ramionami.

– W porządku.

Ma taką minę, jakby się spodziewał, że powiem coś więcej. Patrzę na niego obojętnie. Poirytowany kręci głową i porusza wargami, jakby czuł niesmak w ustach.

– Musisz zrozumieć, że popieramy Ma’elKotha. Sami nie wybralibyśmy lepszego następcy dla Toa-Phelathona. Zjednoczył prostych ludzi jak żaden inny władca od czasów samego Dil-Phinnarthina i uczynił z cesarstwa jeden naród. Trzyma na dystans podludzi poza granicami i kontroluje tych, którzy znaleźli się w obrębie państwa. Osiągnął porozumienie z

Lipke, które może doprowadzić do połączenia dwóch cesarstw jeszcze za naszego życia.

Kiedy mówi, jego wzrok wędruje ku ołtarzowi w kącie.

– Ma’elKoth może być najważniejszym spośród żyjących ludzi, może okazać się tym, który zapewni ostateczne przetrwanie naszego rodzaju, rozumiesz? Może połączyć wszystkie ludzkie ziemie. Jeśli przestaniemy walczyć między sobą, podludzie nigdy nie wystąpią przeciw nam. Myślimy, że może mu się udać. To koń, na którym jedziemy i nie pozwolimy go sobie odebrać.

– My?

– Rada Braci. Cała Rada.

Prycham szyderczo. Rada Braci w komplecie nie potrafi nawet ustalić, jaki mamy dziś dzień.

– Powtarzam raz jeszcze: mam w Ankhanie do załatwienia osobistą sprawę.

– Gdybyś tylko mógł go poznać, zrozumiałbyś – mówi.

W jego oczach płonie mesjanistyczny ogień – jest prawdziwym wyznawcą. Wyciąga rękę w stronę ołtarzyka, jakby składał ofiarę.

– Już sama jego obecność przytłacza człowieka, a potęga intelektu...! Sposób, w jaki wziął całe cesarstwo w swoje ręce...

– Mordując przeciwników politycznych – mruczę i przez twarz Creele’a przelatuje iskierka zadowolenia, jakbym się do czegoś przyznał.

I może się przyznałem.

A może przeciwnie, ale nic na to nie poradzę. Bezkrytyczny zachwyty Creele’a sprawia, że nie mogę się oprzeć pokusie wbicia szpili.

– Wrogowie Ma’elKotha to wrogowie cesarstwa – upiera się. – Wrogowie ludzkości. Powinien postępować delikatnie ze zdrajcami? Czy to uczyniłoby go lepszym czy gorszym cesarzem?

Uśmiecham się powściągliwie i cytuję:

– „Kiedy uniemożliwi się rewolucję pokojową, krwawa rewolucja staje się nieunikniona”.

Kołysze się na krześle.

– Spodziewałem się takiego podejścia. Dartheln powiedział niemal to samo, tyle że innymi słowami.

– No cóż, to dość bystry człowiek. I lepszy, niż ty kiedykolwiek będziesz.

Creele macha od niechcenia ręką.

– To skamielina. Nie widzi, że Ma’elKoth to nasza szansa na śmiałe uderzenie, na ostateczny sukces. Uważał, że powinniśmy się trzymać naszych „wypróbowanych i słusznych” metod. Teraz stosuje swoje „wypróbowane i słuszne” metody, hodując kukurydzę na Urwisku Jhanthogen.

Zaczyna do mnie docierać, ile czasu tu marnuję. Pochylam się, opieram łokcie na kolanach i posyłam tej ślicznej buźce „szczerze spojrzenie”.



– Creele, posłuchaj. Cieszę się z twojego sukcesu, z nominacji na ambasadora, i rozumiem twoją troskę o Ma’elKotha. Ale naprawdę, jeśli wszystko, co o nim słyszałem, to prawda, nie znalazłby się w niebezpieczeństwie, nawet gdyby był moim celem. Prawda jest taka, że usłyszałem, że moja dawna dziewczyna jest w mieście i ma kłopoty. Próbuję ją znaleźć. To mój prawdziwy cel.

– Dasz mi słowo, że nie podejmiesz żadnych działań przeciwko Ma’elKothowi ani nikomu w jego rządzie?

– Creele...

– Twoje słowo.

Dobrze nauczył się wydawać rozkazy. Jego ton jasno mówi, że nie ma miejsca na wykręty.

„Masz moje słowo” – to prosta fraza i łatwo ją wypowiedzieć. Moje słowo nie jest niczym więcej niż ja, można je złamać równie łatwo, jak łamie się ludzi.

Ale moje słowo nie jest niczym mniej niż ja i tak samo jak ja pragnie przetrwać. Rozkładałam ręce i wzruszam ramionami, bagatelizując sprawę.

– Co znaczy moje słowo? – Retoryczne pytanie. – Nie zwiąże moich rąk łańcuchem, które przeszkodziłyby mi unieść pięść.

– To, zdaje się, prawda.

Wygląda na zmęczonego, jakby szaty ambasadora ciążyły mu na ramionach niczym kotwice uwiązane do duszy. Fanatyczne błyski w oczach zgasły, a jego usta wykrzywiają się cynicznie.

– Więc chyba rzeczywiście będę musiał to zrobić. Tylko mi to ułatwiasz.

Wstaje wolno, jak stary człowiek, i podchodzi do drzwi komnaty, rzucając mi przez ramię spojrzenie, w którym pojawia się coś na kształt żalu. Odciąga zasuwkę i otwiera drzwi.

– Dziękuję, że pan poczekał, Wasza Miłość. Caine jest tutaj.

Sześciu ludzi w niebiesko-złoty tunikach Królewskich Oczu, z krótkimi mieczami i identycznymi sztyletami wiszącymi u pasów, wchodzi do pokoju. Idąc, naciągają małe kusze i ładują stalowe bełty. Jako siódmy wchodzi zwyczajnie wyglądający mężczyzna o mysich włosach, ubrany w elegancką bluzę z bordowego aksamitu, z bandoletem z lśniącego, białego jedwabiu. Ołtarzykowi w kącie posyła zdawkowe skinienie głową. Wąski, zdobiony klejnotami miecz wiszący na ozdobnym bandolecie wygląda na broń czysto paradną. Mężczyzna potrząsa wypchaną sakiewką z czarnego aksamitu – to niewątpliwie cena za moją głowę.

– Creele, swego czasu powiedziałem ci kilka przykrych rzeczy, a kilka jeszcze gorszych pomyślałem, ale nigdy nie uwierzyłbym, że mnie wydasz.

Nie ma nawet tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzić.

– Mówiłem ci, że zamierzamy pomóc Ma’elKothowi w każdy możliwy sposób.

Mężczyzna w aksamicie wychodzi naprzód.

– Jestem Toa-Sytell, Księżę Porządku Publicznego, a ty, Caine, jesteś moim więźniem.

Zrywam się z krzesła wystarczająco gwałtownie, żeby braciszkiwie za mną zważyli w rękach kostury, a Królewskie Oczy zacieśniły krąg wokół księcia.

– Nie mam na to czasu.

Toa-Sytell odpowiada beznamiętnie:

– Twój czas należy do mnie. Zobowiązałem się dostarczyć cię Ma’elKothowi i zrobię to.

Nawet nie zerkam w jego stronę, patrzę tylko na Creele’a. Podchodzę doń tak blisko, że widzę zatkane pory na jego nosie i czarne skrzepy tuszu na Pieczęci Władzy.

– Wiesz, nie ma nic bardziej niebezpiecznego od intelektualisty, który ma władzę – mówię tonem towarzyskiej rozmowy, jakbyśmy znowu spirali się przy dzbanku wina w Twierdzy Garthan. – Ktoś taki potrafi uzasadnić każdą zbrodnię i z pewnością nie pozwoli, by takie abstrakcyjne pojęcia, jak sprawiedliwość, lojalność czy honor, stanęły mu na drodze.

Creele rumieni się, ale tylko trochę.

– Och, dorośnij wreszcie. Wiedziałeś, że to się stanie: nie możemy pozwolić, byś zagroził Ma’elKothowi.

– Pieprzyć Ma’elKotha – rzucam, cytując z niedowierzającym uśmiechem Berne’a. – To sprawa między tobą i mną.

– Caine...

– Pogwałciłeś prawo azylu, Creele. Udzielono mi tu azylu, a ty przekazałeś mnie w ręce wrogów. Znasz karę. Naprawdę myślałeś, że nie zabiję cię za to?

Wzdycha, niemal pogardliwie, i zerka na czterech braci oraz sześciu przedstawicieli Królewskich Oczu.

– Wątpię, żeby groziło mi specjalne niebezpieczeństwo, Caine, gdybyś wiedział, co ja...

Kantem dłoni ucinam resztę zdania, ciosem wymierzonym w nasadę nosa. Nagły ból sprawia, że Creele opuszcza ręce i wiotczeją mu mięśnie karku. Łapię go za głowę, przekręcam zdecydowanym ruchem i kręgi szyjne oddzielają się z miękkim chrupotem jak łamane mokre drewno. Przecinają rdzeń kręgowy i nim ktokolwiek w pomieszczeniu się poruszy, Creele pada na podłogę, konwulsyjnie rzucając się i kopiąc.

– A już myślałem, że nikogo dzisiaj nie zabiję – rzucam w kompletnej ciszy.

Z krzykiem na ustach bracia otrząsają się z paraliżu. Pędzą ku mnie z uniesionymi kosturami – i zatrzymują się, gdy matowe groty bełtów nagle zostają wycelowane w nich zamiast we mnie.

– To mój więzień i zobowiązałem się dostarczyć go Ma’elKothowi – oznajmia księżę Toa-Sytell. Jego bezbarwny głos nie pozostawia wątpliwości, że wydałby rozkaz, by strzelać.

– Cofnąć się. Napięta kusza to delikatny mechanizm; jeśli moi ludzie zrobią się nerwowi, któryś może przypadkiem wystrzelić.

Jeden z braci, starszy niż reszta, może nawet w moim wieku, wyciąga kostur w poziomie, jak barierkę.

– Nie marnujemy czasu. – Wskazuje jednego z młodszych. – Ty poszukaj brata Uzdrowiciela. Khrylianin może zdoła uratować życie ambasadorowi.

Młodszy z braci rzuca się do drzwi prowadzących na korytarz i po chwili odgłos jego kroków cichnie w oddali.

– Nie przeżyje – mówię.

Straszy brat patrzy mi w oczy i wzrusza ramionami.

Stoimy tak wszyscy minutę, może dwie, i patrzymy, jak Creele umiera.

W niektórych starych książkach czytałem o pewnych ciosach, powodujących natychmiastową śmierć. Zwłaszcza te zadane w nos miały sprawiać, że odłamki kości z delikatnych zatok wbijały się w mózg przez jedną z najmocniejszych kości w ludzkim ciele, kość czołową czaszki. To czysty wymysł, ale czasem żałuję, że to nie jest prawdą.

W rzeczywistości nie ma czegoś takiego jak natychmiastowa śmierć; różne części ciała wyłączają się w różnym tempie, w różny sposób, drżąc, drgając w spazmach, albo zwyczajnie rozluźniając się i zamierając. Jeśli ma się takiego pecha, by zachować przytomność, to musi być naprawdę potworne doświadczenie.

Creele jest przytomny.

Nie może mówić, ponieważ strzaskalem mu krtań. Płuca wypełniają mu się krwią, ale patrzy na mnie. W jego oczach widzę czyste przerażenie; błaga mnie, żebym mu powiedział, że to się nie dzieje, nie jemu, nie teraz; czuje, jak drży i podskakuje, czuje smród, gdy opróżniają się kiszki i pęcherz. Ale już za późno, nie cofnę tego nawet gdybym mógł.

Czasem umierający człowiek pyta – słowami albo tylko spojrzeniem: „Dlaczego, dlaczego ja?”.

Creele nie pyta, zna odpowiedź.

To dlatego, że jestem staroświeckim gościem.

Toa-Sytell zastanawia się na głos:

– Jesteś nadzwyczajnym, śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem. Nie miej nadziei, że zbliżysz się do mnie na wyciągnięcie ręki.

Patrzę mu w oczy i mierzymy się wzrokiem.

Na jego ustach błąka się ledwie ślad uśmiechu, kiedy zerka na sztywniejące ciało Creele’a.

– To takie rzadkie, że wręcz niespotykane: spotkać człowieka, który dorasta do swojej reputacji. Jak myślisz, kto jest groźniejszy: intelektualista... – raz jeszcze mierzy się ze mną wzrokiem – ...czy idealista?

– Nie obrażaj mnie. Ani jego.

– Hm... – Kiwa głową. – Wobec tego idziemy.

– Nigdy nie będziesz bezpieczny, Cainie z Twierdzy Garthan. Nigdzie nie ukryjesz się przed zemstą Klasztorów – odzywa się jeden z młodszych braci spokojnym i nieprzejednanym głosem.

Patrzę w oczy starszemu bratu.

– Pogwałcił prawo azylu. Widziałeś.

Kiwa głową.

– I powiesz prawdę.

Ponownie kiwa głową.

– Zhańbiłbym się, kłamiąc dla takiego człowieka.

Toa-Sytell rzuca czarną, aksamitną sakiewkę na podłogę obok ciała Creele'a. Jeden złoty rojal z brzękiem wytacza się z mieszka, leniwie turla się wokół głowy ambasadora i zatrzymuje u stóp braci. Spojrzenia wszystkich wędrują za nim i przez chwilę nikt się nie rusza, dopóki moneta z brzękiem nie znieruchomieje.

– Przynajmniej teraz stać go na okazałą stypę – rzuca beznamiętnym głosem Toa-Sytell.

Macha ręką i Królewskie Oczy celują z kusz w punkt tuż nad moją głową, żeby nie zabić mnie przypadkiem zwolnionym bełtem. Kiedy wychodzimy, słyszę narastający dźwięk kroków brata Uzdrowiciela i kapłana Khryla, którzy zjawiają się zdecydowanie za późno.

Creele nie żyje i nikt nie ma wystarczającej władzy, żeby kazać aresztować księcia i jego ludzi, więc wychodzimy główną bramą bez żadnych incydentów.

Na zewnątrz natychmiast kładą mnie z pełnym profesjonalizmem na ulicy, żeby założyć mi kajdany na ręce i nogi. Bruk jest zimny i lśni od wilgoci. Nie zawracam sobie głowy stawianiem oporu. To jasne, że żaden z nich nie miałby nic przeciwko posłaniu mi bełtu w kolano, jeśli próbowałbym czegoś głupiego. Toa-Sytell osobiście pomaga mi wstać i ruszamy.

Idziemy powoli Drogą Bogów w stronę pałacu Colhari. Księżyc wschodzi, rzucając opalizującą poświatę na mżawkę, którą zmierzch ściągnął na ulice. Deszczyk poleruje bruk i maluje moje czoło zimną wilgocią. Niewygodnie idzie mi się z prętem kajdan skrobiącym w kostki, a łańcuch przymocowany do nich trzyma mocno Toa-Sytell. Nikt nie ma nic do powiedzenia.

Dochodzę do wniosku, że mam jakieś pięćdziesiąt procent szans na to, że Rada Braci zleci zabicie mnie w odwecie za zamordowanie Creele'a. Cholera, powinni dać mi medal. Przysięga Azylu jest jedną z najświętszych, jakie składa każdy brat, i karą za jej pogwałcenie zwykle jest śmierć.

Ale to tylko racjonalizacje; wymyślam argumenty na obronę przed wymagowanym sędzią klasztornym.

Prawda jest taka, że i tak bym go zabił: za zdradę, za utrudnianie mi ratowania Shanny, za to, że pozwolił, aby topór katowski zbliżył się do jej szyi.

Nikt, ale to nikt, kto zrobił coś takiego, nie będzie żył.

Lśniący łuk Bramy Dil-Phinnarthina wylania się, połyskując srebrem w mżawce, a za nią wznosi się fantastyczna wieża pałacu Colhari. Toa-Sytell kiwa głową do czekającego kapitana. Brama otwiera się i idziemy w stronę łuku.

Ha! Przynajmniej nie muszę tracić czasu na kombinowanie, jak dostać się do pałacu.

Może mógłbym to wykorzystać...

## 19

– Administratorze? Ehm... Administratorze Kollberg? – Osobisty asystent Arturo Kollberga mówił ściszym, niemal nabożnym szeptem.

Kollberg przełknął ślinę – bardzo dobrze wiedział, co może oznaczać ten ton. Szybko zrzucił z biurka okruszki po kolacji, otarł usta serwetką i dokładnie wytarł dłonie. Wziął głęboki wdech, starając się uspokoić oszalałe bicie serca.

– Tak, Gayle?

– Administratorze, Genewa na linii numer jeden.

Kiedy Caine wkroczył na teren pałacu i jego połączenie transferowe zostało zerwane, Kollberg miał do zrobienia tysiące rzeczy naraz – od zarządzenia korekty w kroplówkach odżywczych dla widowni bezpośredniej, do podjęcia decyzji redakcyjnych odnośnie do nowego odcinka *Przygód na żywo*. Kiedy nastąpiła przerwa, widownia bezpośrednia na całym świecie przeszła automatycznie w cykl deprivacyjny, a centrum łączności Studia zostało zasypane połączeniami od dyrektorów technicznych Studiów na całym świecie, które uosabiały wszelkie możliwe stany emocjonalne: od zaciekawienia do nieskrywanej paniki. Pośród tego chaosu Kollberg z trudem powstrzymywał chęć, by zająć się wszystkim naraz.

Zaczął od połączenia z Radą Zaradców Studia w Genewie.

Zajął się innymi sprawami, czekając, aż połączenie zostanie odebrane. Potrzebował raptem nieco ponad godzinę, żeby uspokoić pozostałe Studia, umieścić widownię bezpośrednią Caine'a w spokojnym, sztucznie wywołanym śnie, zamówić sobie kolację i nadrobić parę innych spraw – kilka marketingowych decyzji dotyczących dwóch innych, pomniejszych gwiazd Studia w San Francisco i rozmowę, mającą na celu ocenę pewnej wschodzącej gwiazdki. Na tym przede wszystkim polegało udawanie, że *Przygoda Z miłości do Pallas Ril* nie pochłonęła całej jego uwagi.

Ale teraz kolacja ścięła mu się w żołądku i nie mógł pozbyć się napięcia z mięśni ramion. Wszystko dla Caine'a. Wszystko dla sukcesu Caine'a. Gdyby tylko Michaelson wiedział, jak ciężko Kollberg pracuje, na co się naraża, żeby o niego zadbać!

Przełączył się na linię pierwszą i na ekranie rozbrzmiało logo Studia Przygody-bez-Ograniczeń – rycerz w zbroi wymachujący mieczem i siedzący na skrzydlatym, stojącym dęba rumaku. Ekran nie przełączył się na wizję; zawsze tak było, kiedy połączenie szło z Rady Zaradców.

Rozległ się modulowany, sztucznie neutralny głos:

– Przeglądamy właśnie pańską prośbę o udzielenie pozwolenia na awaryjny transfer. Pojawiają się pewne kwestie, które powinien pan nam wyjaśnić.

Rada Zarządców składała się ze zmiennej liczby członków, od siedmiu do piętnastu wysoko postawionych Uprzywilejowanych, odpowiedzialnych za ustalanie polityki zespołu Studiów jako całości. Nie można było odwołać się od ich decyzji; nie istniała też możliwość prowadzenia zakulisowej polityki czy wygrywania Zarządców przeciw sobie nawzajem, kiedy nikt spoza Rady w zasadzie nie wiedział, kto aktualnie w niej zasiada. Pusty ekran i sztuczny głos uniemożliwiały Kollbergowi zorientowanie się nawet, z kim rozmawia. Był prawie pewien, że w Radzie zasiadają obecnie Saud, Walton i Windsor, ale ta wiedza niczego mu nie ułatwiała: nie pomagała nawet zwilżyć ust czy uspokoić głosu.

Natychmiast, na jednym oddechu zaczął nawijać, wyrzucając z siebie przygotowaną przemowę:

– Na podstawie doświadczeń Caine’a przy wcześniejszych okazjach, kiedy w ramach misji wkraczał do pałacu Colhari, uważam, że awaryjny transfer to rozsądny środek ostrożności, który ma chronić życie i dochodowość znaczącej gwiazdy. Więcej, zważywszy na przerwanie połączenia transferowego i utratę przekazu, nie możemy nawet liczyć na typowy wzrost sprzedaży Przygody w przypadku śmierci...

– Niespecjalnie interesuje nas życie Aktora i jego dochodowość. Przedmiotem naszej troski są kwestie o wiele poważniejsze.

Kollberg zamrugał.

– Ja, ehm, nie jestem pewien, czy...

– Osobiście zapewnił nas pan, Administratorze, że usunięcie cesarza ankhańskiego nie będzie miało wymiaru politycznego.

Przełknął ślinę i ostrożnie powtórzył:

– Politycznego...?

– Od początku kwestionowaliśmy pańską ocenę najnowszych Przygód Pallas Ril. Czy pojmuje pan niebezpieczeństwo związane z pozwoleniem, aby bohaterka prowadziła działalność wywrotową? Niebezpieczeństwo związane z zachęcaniem jej fanów, aby kibicowali jej, kiedy buntuje się przeciwko ustanowionej zgodnie z prawem władzy?

– Ale, ale, ona, no, ratuje życie niewinnych... Z pewnością można zaakceptować taki temat...

– Wina i niewinność nie są tu istotne, Administratorze. Ci ludzie zostali skazani zgodnie z obowiązującym ich prawem, a rząd, któremu Pallas Ril się przeciwstawia, został utworzony legalnie. Czy chce pan ponosić odpowiedzialność za działania jej ziemskich naśladowców?

– Ale... Ja naprawdę nie myślę, żeby...

– No właśnie. Nie myśli pan. Minęło dziesięć lat od Rozruchów Kastowych, Administratorze. Niczego się pan nie nauczył? Zapomniał pan, jak delikatna potrafi być materia naszego społeczeństwa?

Kollberg nie zapomniał – przeżył te przerażające dni, kryjąc się w swoim luksusowym apartamencie w Gibraltar Homes.

Charyzmatyczny Aktor z Pierwszej Dziesiątki, Kiel Burchardt, niechcący sprowokował Rozruchy Kastowe, głosząc kazanie w Nadświecie. Grał kapłana boga śmierci Tyshalle'a. Ewangelia mówiąca o wolności i osobistej odpowiedzialności, którą głosił, podżegając chłopów do buntu przeciwko okradającym ich baronom Jheled-Kaarn, stała się źródłem hasła spontanicznych rozruchów w miastach na całej Ziemi. Niezadowoleni Robotnicy zwrócili się przeciwko nadkastom, kastom średnim i w końcu przeciwko swoim.

Na szczęście Burchardt został zabity przez jednego z tych złodziejskich baronów, kiedy prowadził atak na jego twierdzę, a natychmiastowa reakcja oddziałów Policji Społecznej ostatecznie zmiążdżyła uczestników zamieszek. Jednakże Rozruchy Kastowe pozostały mrozącym krew w żyłach świadectwem hipnotycznego wpływu Aktorów na widownię.

– Ale... – powiedział Kollberg, ocierając grzbietem dłoni pot nad górną wargą. – Ale jej się nie udało, rozumiecie? Potrzebuje Caine'a, absolutnie apolitycznego, który albo ją uratuje, albo pomści.

– Tak to zrozumieliśmy. Ale jak pan wytłumaczy to?

Logo Studia zniknęło z ekranu, a zastąpiła je twarz ambasadora klasztornego widziana z PW – punktu widzenia – Caine'a. Z głośników dobiegł nagrany głos bohatera: *Kiedy uniemożliwi się rewolucję pokojową, krwawa rewolucja staje się nieunikniona.*

O, Chryste. O mój Boże, pomyślał Kollberg.

Logo powróciło.

– To zdecydowanie polityczna uwaga, nie wspominając już o tym, że wywrotowa, wręcz pachnąca zdradą stanu. Wie pan, kogo cytował?

Pospiesznie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie, skądże...

– To dobrze.

Kollberg spuścił wzrok. Pot plamił mu spodnie w miejscu, w którym oparł drżące dłonie. Splótł palce i zacisnął tak, że aż zabolalo.

– Ja, ehm, doświadczałem bezpośrednio tej sceny i nie sądzę, żeby Caine miał na myśli coś politycznego...

– Pojmuje pan szkodliwość skutków zezwolenia Aktorowi tak popularnemu i mającemu taki wpływ na widownię na politycznie umotywowaną przemoc wobec autorytarnego rządu? Pozwolenia mu, by w Solilokwium usprawiedliwiał obalenie państwa policyjnego? To przypomina sprawę Burchardta. Odzwierciedlenie takiej postawy na Ziemi może się okazać wybuchowe.

– Ale, ale naprawdę...

– Caine często przysięga na Tyshalle'a, boga, którego ewangelii nauczał Burchardt.

Kollberg milczał. Na to nie miał odpowiedzi.

– Caine podjął wywrotową krytykę społeczeństwa.

– Co?

Ekran znowu się zmienił i tym razem ukazywał scenerię przed oczami Caine'a, kiedy siedł przez spaloną strefę graniczną Królestwa Ściemy. Zabrzmiało Solilokwium:

*\*Nasi Fizole są gorsi, naprawdę; w zombi nie dojrzysz ukrytej iskierki życia – inteligencji, woli, czegokolwiek – a to właśnie sprawia, że Fizole to tragiczna potworność.\**

Powróciło logo.

– Fizole to skazani przestępcy, Administratorze, których scyborgizowano, żeby odpłacili społeczeństwu za swoje zbrodnie. To może zostać odebrane jako prośba o współczucie, jako stwierdzenie, że lepsza jest śmierć niż życie Fizola.

– Ale Solilokwium...

– Śmierć może i jest lepsza dla nich, ale nie dla nas. Fizole podtrzymują istotny wycinek światowej gospodarki.

– Solilokwium... – znowu zaczął Kollberg, z większym przekonaniem, aż żołądek mu się skręcił w obliczu takiej śmiałości – ...to po prostu strumień świadomości. To dzięki niemu Caine jest tak potężnym i efektywnym Aktorem. Odzwierciedla jego emocjonalne i podświadome, instynktowne reakcje, a także racjonalne procesy myślowe. Gdyby zatrzymywał się i rozważał polityczne konsekwencje każdej myśli, co by zostało z jego gry?!

– Jego gra to nie nasze zmartwienie. Być może należałoby znaleźć Aktora, którego „emocjonalne i podświadome reakcje” są bardziej społecznie odpowiedzialne.

Zapadła cisza, a po chwili znowu rozległ się neutralny głos:

– Wie pan, że Duncan Michaelson, ojciec Caine'a, został internowany w Ośrodku Uciszenia w obozie społecznym Buchanan ponad dziesięć lat temu? Że jego zbrodnią była działalność wywrotowa? Niedaleko pada jabłko od jabłoni, Administratorze.

Kollbergowi język przywarł do podniebienia. Pojedyncza kropla potu spłynęła mu do lewego oka i zapiekła wściekle, aż zaczęły mu łzawić oczy. Spuścił wzrok, mrużąc powieki z powodu łez, i zagryzł język, żeby zwilżyć usta i móc znowu się odezwać.

– Co mam zrobić?

– Zezwoliliśmy na awaryjny transfer. Przekona się pan, że klucz awaryjny w techkabine w Cavei jest już aktywny. Rozważaliśmy rozkaz natychmiastowego wycofania Caine'a, ale zdajemy sobie sprawę z potencjalnego dochodu z tej Przygody. – Głos stał się surowy. – Nie będzie już żadnych wywrotowych sugestii w tej Przygodzie, rozumie pan? Polecamy panu osobiście monitorować każdą sekundę i przekazujemy całą odpowiedzialność. Będzie pan osobiście odpowiedzialny za polityczne i społeczne treści w tej Przygodzie. Kiedy Caine zabije Ma'elKotha albo zginie podczas próby zabicia go, to ma być rezultat osobistej wendety, rozumie pan? Nie będzie żadnych dalszych dyskusji o jakichkolwiek politycznych motywach. I nie będzie żadnych rozmów o kontrakcie Caine'a; Studio nie zajmuje się sponsorowaniem zamachów. Dostarczamy rozrywki, ni mniej, ni więcej. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– W grę wchodzi nie tylko pańska kariera, Administratorze. Każde poważniejsze



niedopatrzenie w realizacji tych dyrektyw zostanie przekazane Policji Społecznej do skrupulatnego zbadania.

Poczuł zimno rozlewające się w piersi, jakby ktoś wbił mu lodowy sztylet prosto w serce.

– Rozumiem.

Ekran zgasł.

Kollberg przez długi, bardzo długi czas gapił się na płaski, szary ekran. Nagle wzdrygnął się, jak człowiek, który gwałtownie budzi się z koszmaru – Caine mógł już wrócić z pałacu, może znowu być podłączony, może już robić, mówić albo myśleć coś, co zniszczy życie Kollberga.

Zerwał się na równe nogi, strzepnął okruszki z bluzy; ulizał jasne włosy potem z dłoni i ruszył do drzwi prywatnej łoży.

Michaelson groził mu wczoraj; dzisiaj zagrożenie przyszło ze strony Caine'a. Najwyższy czas, doszedł do wniosku Kollberg, dać po łapach temu draniowi.

Daj mi tylko jeden powód, którym wybronię się przed Radą, pomyślał. Tylko jeden pretekst. A zobaczysz, co dostaniesz. Zobaczysz.

# DZIEŃ TRZECI

- Czasem zastanawiam się, czy ty w ogóle szanujesz coś poza siłą.
- A jest coś poza nią?
- Widzisz? To właśnie mam na myśli: te rzucane na odczepnego szybkie odpowiedzi. To dlatego że ciebie nie obchodzą rzeczy, na których mi zależy. Rzeczy, które są ważne, naprawdę ważne...
- Na przykład? Sprawiedliwość? Daj spokój. Honor? To są abstrakcje, które sami wymyśliliśmy, żeby łatwiej stawić czoło rzeczywistości opierającej się na sile; żeby oszukiwać ludzi, by dobrowolnie stawiali sobie granice.
- A co z miłością? Jest chociaż trochę mniej abstrakcyjna niż sprawiedliwość?
- Shanna, na miłość boską...
- Czy to nie jest zabawne, że ostatecznie zawsze klócimy się o abstrakcje?
- Nie klócimy się.
- Właśnie że się klócimy. Może to nie jest walka o sprawiedliwość i miłość, ale to pewne jak diabli, że walczymy ze sobą.

## 1

Pierścienie ponad pierścieniami kruszących się kamiennych ławek i przejść wznosiły się jak schody nad kręgiem mokrego od deszczu piasku na środku; cała ta tytaniczna konstrukcja mogła być przeznaczona do zawodów między bogami. Wewnętrzna ściana, oddzielająca piaszczystą połąć od miejsc siedzących, była kiedyś trzy razy wyższa od człowieka. Ale chociaż z wiekiem mur zaczął się kruszyć i niszczał pod wpływem węglowego dymu, wytwarzanego przez huty w pobliskim Parku Przemysłowym, na jego sfatygowanej powierzchni nadal można było dostrzec równoległe blizny pozostawione przez diamentowe szpony smokonimf, bezkształtne chemiczne blizny od kwaśnego jadu żądał w ogonach wiwern i ospowate ślady po bełtach z kusz, które przebiły się na wylot przez ciała uciekających gladiatorów.

W jednej trzeciej łuku, pod którym wznosiły się siedzenia, znajdował się pierścień

pisuarów, zbudowanych dla dawno już nieżyjących widzów. Przypominały pisuary rozrzucone po całym mieście, pozostałości po Mosiężnym Królu, Tar-Mennelekilu, który szeroko zakrojonymi robotami publicznymi niemal doprowadził kraj do bankructwa.

Publiczne pisuary w Ankhanie zbudowano nad szybami, które przebijają się przez wapień stanowiący podłoże miasta; w każdym z tych szybów znajdują się trzy sita z coraz drobniejszej siatki z brązu, które przechwytyują stałe odpadki, a płynom pozwalają ściekać do bezdennych jaskiń pod miastem. Wzdłuż każdego z nich schodzi w dół drugi, równoległy szyb. Szambiarze obchodzą teren mniej więcej raz na dziesięć dni, żeby zebrać cenne gówno i wywieźć je na obrzeża Miasta Obcych do Ankhańskiego Szamba i Obornika, przedsiębiorstwa należącego do Jannera Farciarza.

Tyle wiedzą wszyscy mieszkańcy Ankhanu. Wśród szacownych obywateli mniej znany jest fakt, że ukryte drzwi w szybach dla szambiarzy prowadzą do owych bezdennych jaskiń, którymi ktoś, kto zna drogę, może swobodnie poruszać się pod miastem.

I z tych pisuarów właśnie przyszli – zdeformowani, ślepi, okaleczeni, pozbawieni członków kalecy o kulach i trędowaci w przesiąkniętych ropą strzępach szmat. Przeszli przez kloakę cesarstwa, aby dostać się tutaj, i teraz Rycerze Ściemy, którzy stali w parach przy każdych drzwiach pisuarów, kierowali ich zapraszającym gestem w dół, poprzez pokruszone okręgi sypiących się kamiennych ławek.

Radosna paplanina i strzępki piosenek drżały w rześkiej, wieczornej bryzie, kiedy tłum żebraków schodził z pisuarów i gramolił się na siedzenia, na które ich przodkowie mogli tylko patrzeć z zazdrością, ale nie mieli prawa ich tknąć – tylko szlachetnie urodzeni właściciele ziemscy siadywali tak blisko areny. Dotarli do wysokiego muru, który otaczał piasek, i przelali się przez niego jak owce, jak lemingi, jak fala wygłodniałego robactwa.

Piasek areny, nadal wilgotny po wieczornej mżawce, wzbijał się wokół sandałów i powiązanych sznurkiem resztek butów, wokół żelaznych okuć kul i nagniotków nagich stóp. Przez dwieście lat wchłaniał krew i kał śmiertelnie ranionych gladiatorów, ogrów, trolli, ogrillów i krasnoludów; na wpół strawione treści jelit z rozciętych brzuchów lwów, wysięk z rozciętych gardel wiwern i wodnistą ciecz trafionych we wrażliwe oczy smokonimf. Przez kolejne sto lat arena stała pusta, pozostawiona bezdomnym, ale to już się zmieniło: ze stosów drewna opałowego wyższych od człowieka ściągnięto teraz plandeki z olejowanej skóry i trzaskający ogień płonął na ogniskach, skakał ku chmurom wiszącym tak nisko, że odbijały przyćmiony, pomarańczowych blask płomieni.

Kalecy tańczyli wokół ognisk, ponieważ ten kolosalny kamienny krąg był Mosiężnym Stadionem, żebracy byli Sługami Ściemy, a ten wieczór Nocą Cudu.

Pośród nich pojawiła się jakaś obecność, dziwne, nieokreślone wrażenie, którego nie dało się wyjaśnić.

Trędowaty przerywał wesołą opowieść o wypchanej sakiewce, którą ukradł, kiedy jej właściciel dawał mu monetę; poczuł, że coś otarło się o jego łachmany, ale nikt obok niego

nie stał. Wzdrygnął się i skończył opowieść. Ciepły oddech na karku niewidomej sprawił, że odwróciła się i poprawiła brudne bandaże na oczach, żeby zobaczyć, kto stanął tak blisko. Potarła powieki i pokręciła głową, myśląc o tym, że ma zbyt bujną wyobraźnię. Raz – na chwilę – gra cieni sprawiła, że na czystym piasku pojawiły się ślady, z dala od wszelkich stóp, które mogły je zostawić, ale Rycerz, który to zobaczył, tylko westchnął – gwałtowna podejrzliwość i zdziwienie natychmiast przeszły w znudzenie i zapomnienie.

Płaszcz to szatańsko trudny czar do utrzymania nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach; wśród ciągle poruszającego się tłumu podejrzliwych i cynicznych zawodowych złodziei i żebraków było to właściwie niemożliwe. Płaszcz nie wpływa na fizyczną rzeczywistość, nie zniekształca drogi światła, nie zapobiega odbijaniu go; działa bezpośrednio i jedynie na umysł. Utrzymanie Płaszcza wymaga od adepta stałej wizualizacji otoczenia, uwzględniającej pozycję i pozę każdej obecnej osoby z wyjątkiem siebie; innymi słowy, adept musi mieć w umyśle idealny obraz miejsca, w którym się znajduje, ale pozbawiony jego osoby. Dopóki utrzymuje koncentrację, jest postrzegany przez oko, ale nie przez umysł – siła magijna uniemożliwia umysłowi obserwatora zarejestrowanie obrazu adepta. To całkiem proste, kiedy ma się do czynienia tylko z jedną osobą, nie najtrudniej jest z dwiema albo trzema.

W tłumie Sług Ściemy żaden zwykły adept nie mógłby mieć nadziei na utrzymanie Płaszcza. Żaden zwykły adept nawet by tego nie próbował: obcego przyłapanego na Mosiężnym Stadionie w Noc Cudu czekała pewna śmierć, natychmiastowa i okrutna, bez sądu czy możliwości odwołania się.

Jednakże nikt ze znajomych Pallas Ril nie opisałby jej jako zwykłej adeptki.

„Czterdzieści godzin”, mrucał cichutki, uporczywy głosik w jakiejś odległej i odłączonej od reszty części umysłu. „Uciekam od prawie czterdziestu godzin”.

Zęby miała jak owinięte watą, oczy skrobały oczodoły za każdym razem, gdy mrugała. Mimo to poruszała się cicho w tłumie, nasłuchując tu, zerkając tam, pozwalając sobie krążyć, gdzie ją nogi poniosą. Być może głupio postąpiła, ufając tym ludziom, ale nie była na tyle głupia, żeby się nie zorientować, że ją zdradzono.

W Noc Cudu wszyscy Słudzy Ściemy zbierali się tutaj. To oznaczało, że gdzieś wśród tego tłumu jest człowiek, który ją zdradził, który zabił bliźniaków, Talann i... i Lamoraka. Nie musiała zabijać winnego osobiście, wiedziała, że Jego Wysokość ucieszy się z tego przywileju.

„Chyba że zdrajcą jest sam Jego Wysokość”, przypomniał jej zimny, wewnętrzny głos; nie była na tyle naiwna, żeby wyeliminować z kręgu podejrzanych Króla Ściemy tylko dlatego, że go lubiła. Potrzebowała dowodu, potrzebowała palca, żeby wskazać cel, i ta potrzeba sprowadziła ją tutaj. Nie miała pojęcia, jak będzie wyglądał dowód, którego szukała.

Doprowadziła ją tutaj niepokojąca, dręcząca potrzeba ruchu, uczucie, że coś, czego nie potrafi zobaczyć, próbuje ją zająć od tyłu. Nie miała prawdziwego planu; utrzymanie

Płaszczka, czym zajmowała się już od kilku godzin, pochłaniało tyle uwagi, że właściwie ograniczyła się do chłonięcia wrażeń, które później przeanalizuje. W stanie, który był bliski świadomości w medytacji zen, otworzyła się na absolutne tu i teraz i zaufała, że stosowna chwila po prostu przyniesie to, czego potrzebowała.

Chwila przyniosła bicie w bębny przez niewidoczną rękę, gdzieś z północnej ćwiartki widowni stadionu.

Tam, nad kamiennymi ławkami wznosił się ziggurat o dziewięciu kamiennych stopniach, zwieńczony potężnym tronem o wysokim oparciu, wyrzeźbionym z pojedynczego bloku miejscowego wapienia. Szybująca koronka Przepływu, która wypełniała wewnętrzny wzrok Pallas przezroczytymi żyłkami barw, nagle zawirowała w stronę zigguratu i zanurkowała ku niemu. Pallas pokiwała głową. Wewnątrz zigguratu stał Abbal Paslava Czarownik, tkając efekty specjalne na wejście Jego Wysokości. Caine opisał jej to kiedyś, więc wiedziała, czego się spodziewać.

Wysokie na stopę koksowniki z brązu zapłonęły fontanną iskier, chociaż nie zapaliła ich żadna dłoń. Zwarte kłęby białego dymu wylały się z brązowych mis ku platformie, gęstniejąc, aż całkowicie przesłoniły tron.

Śmiechy i rozmowy wśród sług natychmiast ucichły. Udźce jagnięce i buklaki odłożono z szacunkiem na bok. Zaróżowione od żaru ognisk twarze zwróciły się ku kłębiącej się chmurze. Werble przeszły w rytm marsza i z kłębów dymu wyszło dumnym krokiem dziewięciu Baronów Ściemy.

Pallas przyjrzała im się tylko trochę zaciekawiona. Znała imiona i reputację kilku z nich, ale nie miała powodu, żeby podejrzewać, że wiedzą o jej powiązaniach ze Sługami. Zajęli miejsca na trzech najniższych schodkach: siedmiu mężczyzn i dwie muskularne kobiety. Oparli czubki nóg ostrzy o kamień i złożyli ręce na oplecionych sznurem rękojęściach.

Teraz mgła zaczęła rzednąć, powoli odsłaniając ciemne sylwetki, nieruchome kształty Książąt Ściemy usadowionych na trzech najwyższych schodkach. Pallas znała tych mężczyzn: chuda jak szkielet postać w szatach to Paslava, nadal czerpiący z Przepływu; na drugim końcu stał Deofad Waleczny, dawny członek cesarskiej straży lipkeńskiej, siwobrody i beznamiętny.

Tych dwóch poznała zaraz po przedstawieniu Jego Wysokości pomysłu operacji Simona Błazna. Każdy z nich mógł być zdrajcą.

I wtedy z rzednącej mgły na szczycie zigguratu dobiegł głos Jego Wysokości, głęboki i dźwięczny jak dzwon świątynny. Pallas nie słyszała niczego, co zdradzałoby napięcie czy wysiłek, aby wypełnić głosem Stadion – poprzeczny wir Przepływu, który rozchodził się z wierzchołka zigguratu, sugerował jej, że dla Jego Wysokości Paslava stosuje sztuczkę nagłaśniającą.

– Moje dzieci – powiedział. – Zebraliśmy się na tej odrzuconej arenie cesarstwa. I my także jesteśmy odrzuceni. Zapomnieni, okaleczeni, oślepieni, okulawieni!

– Jesteśmy! – zadźwięczał w odpowiedzi chóralny okrzyk.

– Jesteśmy złodziejami, włóczęgami, żebrakami!

– Jesteśmy!

– Ale nie jesteśmy sami! Nie jesteśmy bezradni! Jesteśmy potężni! Jesteśmy braćmi!

– Jesteśmy!

– Ta Arena Rozpaczy drży przed naszym bractwem! Potęga naszego braterstwa przekształci Arenę Rozpaczy w Scenę Cudów! Tu, wśród braci, odrzućcie kule! Odrzućcie temblaki! Niech kalecy wstaną, niech ślepi przejrzą na oczy! Radujcie się! Moje dzieci, jesteście uleczeni!

– JESTEŚMY!

Na całej Arenie kule poleciały na wilgotny piach, ręce wynurzyły się z pustych rękawów, mleczone katarakty opadły z jasnych i błyszczących oczu; sączące się rany trądu odpadły z gładkiej skóry, kiedy resztki mgły rozsnuły się wokół Jego Wysokości Króla Ściemy, siedzącego na tronie w królewskiej aureoli (podświetlające go szkarłatne płomienie z koksowników zapłonęły nad nim i za nim) i patrzącego nieruchomo na przemianę swoich poddanych.

Czysty teatr, Pallas doskonale to wiedziała – żadnego prawdziwego kaleki czy trędowatego nie wpuszczono by tutaj – ale nie mogła odmówić mocy temu prostemu rytuałowi; fala radości napływała zewsząd, kiedy opadły wszystkie maski naraz.

Caine próbował jej kiedyś wytłumaczyć, że Słudzy to coś o wiele więcej niż zwykły gang uliczny, próbował opisać ich niemal religijne oddanie sobie nawzajem, ich poczucie rodzinnej jedności, przynależności do czegoś więcej niż tylko prosta suma części. Pallas widziała, jak to oddanie przejawia się w życiu, ale teraz naprawdę zaczynała je rozumieć. Rozumiała też, jak ten prosty rytuał sprawia, że nikt z zewnątrz nie miał najmniejszej szansy ukryć się tutaj bez użycia magji.

A patrząc na Jego Wysokość, jak schodzi z zigguratu, uśmiechnięty i odprężony, jak prowadzi swoich Baronów i Książęta, by przyjąć dziesięcinę przy ścianie obok areny, Pallas musiała przyznać, że wiedział wszystko na temat wejścia w gwiazdorskim stylu.

Przesunęła się w stronę ściany, ostrożnie schodząc z drogi idącym Sługom. Chciała podejść na tyle blisko, żeby podsłuchać, co mówi Król, przyjmując podarki, pieniądze i inne drobiazgi od przechodzących Sług. Trzej Baronowie odwieźli łup, kiedy już wszystko załatwiono, a Jego Wysokość wskoczył lekko na arenę, żeby się wmieszać w tłum i pośmiać ze swoimi ludźmi. Książęta i Baronowie ruszyli za nim i wkrótce arena zamieniała się w wielkie przyjęcie, w miarę jak z rąk do rąk podawano bukłaki. Głosy wzniosły się w hałaśliwej pieśni.

Pallas trzymała się blisko Jego Wysokości, mając nadzieję, że będzie miała okazję porozmawiać z nim w cztery oczy. Dzięki temu usłyszała ciche ostrzeżenie Abbala Paslavy, kiedy odciągnął Jego Wysokość na bok:

– Tu jest magja. Ktoś poza mną ściąga Przepływ na stadionie.

Uśmiech, jaki Abbala otrzymał w odpowiedzi, był ponury.

– No to wyśledź go, a my już zlejemy tyłek temu niegrzecznemu łajdakowi.

– Nie mogę.

– Nie rozumiem.

– Ja też. Czuję szarpnięcie w umyśle, ale kiedy kieruję na nie uwagę, umyka mi jak odbicie słońca dostrzeżone kątem oka. To bez wątpienia powód do niepokoju.

– Pracuj nad tym. A tymczasem ukryj moje wyjście. Niech to szlag, zbieranie dziesięciny trwało zdecydowanie za długo i jestem spóźniony na spotkanie.

– Załatwione.

Paslava odchylił głowę i w głąb czaszki uciekły mu oczy. Przepływ wniknął spiralą w jego Powłokę, kiedy wyciągnął małą laleczkę z kieszeni i obrócił w palcach. Kiedy Jego Wysokość odchodził, przywarło do niego pasmo fioletowej mocy. Pallas deptała mu po piętach.

Ale nie podchodziła zbyt blisko; wielu magów w Płasczu zdradzało się tym, że po prostu wpadali na kogoś. Raz albo dwa musiała przeskoczyć szybko, żeby nie wpaść na grupki Sług, a za każdym razem, gdy uskakiwała, Jego Wysokość w niewytłumaczalny sposób zdobywał przewagę. Kiwał głową i rzucał słowo albo dwa to tu, to tam, do Sług, których mijał, ale nigdy nie szedł szybko. Mimo to jakimś cudem nie mogła za nim nadążyć.

Nawet w jej oderwanym od rzeczywistości, medytacyjnym stanie umysłu potrzebowała zaledwie minuty, żeby się zorientować, co zrobił Paslava. To musiała być wyrafinowana wariacja Płascza, pod jakim sama się znajdowała – każdy, kto szukał Jego Wysokości, widział go w oddali po drugiej stronie stadionu, zawsze trochę za daleko, żeby móc z nim porozmawiać. W myślach skłoniła się z szacunkiem zawodowca dla kreatywności Paslava. To był sprytny czar, chociaż, gdyby zechciała, z łatwością mogłaby go złamać.

Paslava może i był sprytny, ale pod względem surowej mocy nawet nie zbliżał się do jej ligi.

Niestety, złamanie czaru wymagałoby skupienia, którego potrzebowała do utrzymania Płascza. Zamiast tego rozejrzała się po arenie. Kiedy jej wzrok minął uchyloną bramę jednego z korytarzy, którymi wypuszczano zwierzęta, Przepływ zawirował silniej wokół Powłoki Abbala Paslavy, a ona poczuła ledwo zauważalne nasilenie w szarpnięciu wywołanym przez czar. Nie potrzebowała niczego więcej; czekała, aż pragnienie rozmowy z Jego Wysokością pociągnie ją mocniej w stronę korytarza. Nadal dryfowała w tłumie, a właściwie czuła, że szybuje – jej nogi zaakceptowały wybrany kierunek, ale nie szybkość.

Mrok w kanale dla zwierząt zamknął się na jej oczach, kiedy odsuwała się od światła ognisk i zanurzała w zapachach kurzu, gnijącego drewna i zastarzałego moczu. Tu, w ciemnościach, w nieznanym otoczeniu, nie mogła wizualizować na tyle dokładnie, żeby utrzymać Płascz; załamał się wokół niej i Pallas osunęła się pod ścianą, nagle cała dygocąc.

Wewnętrzne widzenie – stan umysłu niezbędny, żeby postrzegać Przepływ, rzucać i

utrzymywać zaklęcia – to stan medytacyjny, niemal transcendentny. W widzeniu wewnętrznym nie czuje się zmęczenia, nie czuje się strachu, właściwie w ogóle niewiele się czuje; jest się tylko świadomym otoczenia i swojej woli, którą adepci nazywają „intencją”. Przez wiele godzin wewnętrzne widzenie Pallas odsuwało od niej całe zmęczenie związane z chronieniem Konnosich, wyczerpanie po dwóch dniach uciekania przed Kotami, strach i przerażenie związane z walką, szarpiący żołądkiem żal po bliźniakach, Talann i Lamoraku, potworny ból świadomości, że sprowadziła na nich śmierć. Ale te uczucia krążyły wokół niej jak hieny: nie straciły zainteresowania nią, nie odeszły szukać innej ofiary. Ich cierpliwość była niemal nieskończona.

Teraz, kiedy obrona zniknęła, rzuciły się na nią, zatopiły ostre jak igły zęby w jej gardle i rzuciły ją, z trudem łapiącą oddech, na ziemię.

Zalały ją obrazy twarzy, wyciągając na wierzch jeszcze inne myśli: przerażenie i desperacką nadzieję dwóch córek Konnosa, tak podobne do tego, co widziała na twarzach innych *tokalich*, ściganych, którzy kryli się pod opuszczonym magazynem w Parku Przemysłowym; prócz niej nie mieli nikogo, na kim mogliby polegać. Szaleńcza pewność siebie Talann, ponure zaufanie ze strony bliźniaków...

I – oczywiście – twarz, widok której sprawił, że oczy zapiekły ją od pojedynczej łzy: Lamorak ze swoim delikatnym uśmiechem, poklepujący łuk, wycięty świeżo w cegle ostrzem Kosalla.

„Za to tę dziurę mogę utrzymać przez długi, naprawdę długi czas.

Och, Karl...

Jego imię – imię, którego nie mogła wymówić na głos, nie mogła wymruczeć w Solilokwium, imię, którego warunkowanie nałożone przez Studio nie pozwoliłoby jej nawet wyszeptać, dopóki nie wróci na Ziemię.

Dopóki nie wróci na Ziemię – samotnie.

Utrzymał to przejście może minutę, nie dłużej.

Wszystkie te hieny wgryzały jej się w brzuch, ale była adeptką: żyła i umierała dzięki kontroli umysłu. Potrzebowała kilku sekund, żeby zdusić krwiożercze myśli, kiedy tylko wstała. Nie mogła zapominać o niebezpieczeństwie, które groziło jej w tym miejscu. Ruszyła w górę pochylnią, z jedną dłonią na kruszącym się kamieniu ściany. Obrazy zebrane podczas Cudu zaczynały się porządkować w jej umyśle.

*\*Spotkanie\** – monologowała. *\*Spotkanie w czasie Cudu. Kiedy wszyscy Słudzy Ściemy będą na stadionie. Jedyna chwila w tygodniu, kiedy możesz chodzić po Kolonii i żaden Sługa Ściemy cię nie zobaczy.\**

Dudniący łomot, jakby odległej fali, narastał w jej uszach. Krew napłynęła do twarzy. Przyspieszyła kroku.

*\*Wasza Wysokość, przysięgam... Jeśli to ty, Wasza Wysokość, przysięgam, że żywcem pożrę to twoje zgniłe serce\**



Jej wyćwiczone ręce nieświadomie przeszukiwały kieszenie tuniki i płaszcza, szukając na oślep czegoś, co pozwoli jej trzymać się tropu Jego Wysokości i jednocześnie nie zmusi do spowalniającego krok widzenia wewnętrznego. Zostało jej mnóstwo broni, nawet po tym, jak straciła różdżkę miotającą na rzecz Kotów: cztery kasztany naładowane pociskami ognistymi, dwa kawałki naładowanego bursztynu do Powstrzymania, potężne Teke i różdżkomicz, oraz mniej agresywny kryształowy Urok. Ta przygoda na razie składała się głównie z uciekania i ukrywania; jej czary obronne i ukrywające wyczerpały się, nie licząc ostatniego Kameleona, tak samo jak nieliczne urządzenia pozwalające widzieć przyszłość. Bez tych uprzednio przygotowanych zaklęć, wszystko musiała robić w widzeniu wewnętrznym, co było niebezpieczne i w najlepszym wypadku czasochłonne.

Kiedy przyszło natchnienie, uśmiechnęła się i zdusiła chichot. Rozwiązanie było tak proste i eleganckie, że prawie zabawne. Wyjęła z sakiewki u pasa mały fasetowany odłamek fioletowego kwarcu i dostroiła umysł do wypisanej na nim pieczęci. To był proces równie prosty jak przekręcenie klucza – nie trzeba było utrzymywać wewnętrznego widzenia. Kwarc rozgrzał się w jej dłoni, a kiedy wyciągnęła rękę przed siebie, przerywany pasek na ścianie na wysokości ramienia zaczął się jarzyć fluorescencyjnie przygaszonym ciemnym różem, tak samo jak rozmyte plamy w kształcie podeszwy buta na podłodze. Wariant Płaszcz, który zastosował dla Jego Wysokości Paslava, będzie tracił magię, aż całkiem się wyczerpie, jak bateria zużywająca ładunek. Do tego czasu Pallas mogła korzystać z prostego wykrycia czaru, żeby widzieć ślady stóp i miejsca, o które Król otarł się dłonią, znaczące drogę przez ten mroczny labirynt.

Dzięki kryształowi ślady magii lśniły zaledwie w zasięgu trzech, czterech metrów; nie obawiała się, że Jego Wysokość coś zauważy. Zresztą i tak już bladły, kiedy za nimi ruszyła. Gdy było trzeba, potrafiła poruszać się jak rzeka, szybko i gładko, robiąc tylko tyle hałasu, ile mogło pochłonąć otoczenie. W ciągu kilku sekund opuściła stadion i wyszła na ulice Kolonii.

Na szczęście chmury nad nią rozdzieliły się i przeświecał przez nie księżyc. Teraz już widziała Jego Wysokość, nie więcej niż czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów przed nią: szedł równym krokiem. Po drodze nałożył płaszcz z kapturem. Musiał powiedzieć prawdę Paslawie, kiedy stwierdził, że jest spóźniony – szedł za szybko, by ukryć swój typowy krok, który był równie charakterystyczny jak jego głos. Najwyraźniej nie martwił się tym, że ktoś go będzie śledził – bo niby czemu miałby się martwić? Usłyszałby kroki każdego, kto próbowałby iść jego tempem.

Pallas uśmiechnęła się ponuro, kiedy odkładała kryształ wykrycia. Zsunęła buty i wzięła je do rąk. Pobiegła bezgłośnie za Jego Wysokością, lekko, trzymając się blisko budynków po swojej stronie; ubita ziemia na ulicach Kolonii odkładała się zdecydowanie wyżej i była suchsza po bokach niż na środku, a kamienie, kawałki drewna i odłamki garnków miały tendencję do zsuwania się w dół, ku środkowi ulicy. Trzymając się pobocza, mogła bez większych obaw biec bosą.

Jego Wysokość wsunął się w mrok wejścia pozbawionego drzwi. Zamiast ruszyć za nim, włożyła buty i powoli obeszała dom. Na drugim piętrze, blisko rogu, na przeciwległym końcu w stosunku do łukowatego wejścia, z którego skorzystał Jego Wysokość, srebrzyste światło lampy – jedyne światło w tym ciemnym budynku – przeciekało przez sfatygowane okiennice.

Kontrolując oddech, przywołała wewnętrzne widzenie i zbadała wijące się zaułki wokół niej, fasady budynków i widok z ich dachów. Splątana koronka Przepływu płynęła niezakłócona – żadnych Powłok, nie licząc szcurzych, które połyskiwały w cieniach.

To oznaczało, że nie było fatygantów, którzy obserwowaliby to miejsce, żadnych strażników, którzy by go pilnowali. A to z kolei oznaczało, że dyskrecja i zatajenie spotkania nawet przed własnymi ludźmi było dla Jego Wysokości ważniejsze od bezpieczeństwa.

Odległa fala wściekłości, która huczała jej w uszach, nagle zagrzmiała bliżej.

Pallas trzymała się jednak widzenia wewnętrznego i fala ucichła. Szybkie palce same wyszukały maleńki model kameleona w kieszeni płaszcza. Pięknie wyrzeźbiona platyna błyszczała w wewnętrznym widzeniu skomplikowanymi spiralami mocy. Te spirale rozszerzyły się w jej umyśle i spłynęły w dół ciała; dla obserwatora jej skóra i ubranie stały się szaro-czarne, oblane światłem księżycy, jak ściana, obok której stała. Pallas zatrzymała się na chwilę, żeby w skupieniu poprawić obraz, a potem odwróciła się do ściany i wspięła po niej z łatwością jaszczurki.

Zwisała bez wysiłku ze ściany obok odprysku światła i słuchała:

– ...nim Berne go dorwie. To kluczowe. – Mówił ktoś nieznamy. – Berne już ma zdecydowanie zbyt duży wpływ na Ma'elKotha, a wierzę, że to naprawdę chory człowiek, chory na umyśle. To ogromnie ważne, żeby Berne'owi się nie powiodło i tym ja się zajmuję. Nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś w to zaplątany, bo trzy z pięciu martwych czujek były znanymi Sługami Ściemy. Pozostała dwójka pewnie też do nich należała.

– Gdybym mógł ci go dać, byłby twój, Wasza Miłość. – Ton Jego Wysokości był dziwnie pokorny, nawet służalczy. – Nie oczekuję od Sług zdawania mi raportu z całej działalności, tylko z przychodów. Jeśli ktoś z nich zdecydował się robić za fatyganta dla Simona Błazna, to naprawdę nie moja sprawa, chyba że nie zdołała zapłacić całej dziesięciny. Ale to byli moi ludzie, więc spodziewam się rekompensaty.

*\*Wasza Miłość? To pewnie sam Toa-Sytell!\** – monologowała Pallas, czując, jak ze strachu robi jej się mdło. Nagle stało się aż nazbyt jasne, dlaczego wybrali właśnie tę porę na spotkanie. *\*Więc to on. Król Ściemy zdradził nas wszystkich. Powinno być to podejrzewać: jest najlepszym przyjacielem Caine'a. Ale... ech, bogowie, naprawdę miałam nadzieję, że okaże się niewinny.\**

Przed oczami stanęły jej zalane krwią twarze Daka i Jaka, Lamoraka i Talann.

*\*Mogłabym zabić ich obu. Teraz. Tutaj. Wyzwolić pocisk ognisty i wrzucić kasztan przez szparę w okiennicach. Mogłabym opaść na ziemię, znaleźć się poza zasięgiem wybuchu. Nie musiałabym nawet słyszeć ich wrzasku, kiedy będą płonąć\**

Pozbyła się tego obrazu z głowy. Zdecydowanie zbyt długo żyłam z Harim, pomyślała. Zbyt dobrze rozumiała pułapkę wściekłości, żeby poddać się jej w tej chwili. Fakt, że jej gniew był słuszny, sprawiał tylko, że stawał się bardziej niebezpieczny.

*\*Ale nie zrobię tego. Poczekam, posłucham. Mogę ich zabić, kiedy już będę wiedzieć, co jest grane\**

– Chyba nie pojmujesz powagi sytuacji – powiedział nieznajomy głos, równie beznamiętnie jakby zamawiał śniadanie. – Simon Błazen zakpił z cesarza. Nie dość, że działa bezkarnie, nawet tu, w stolicy cesarstwa, to jeszcze jego znak pojawił się na ścianach w samym pałacu Colhari.

*\*Ha, stałam się modna\**

– Robię, co mogę, Toa-Sytellu. Nikt najwyraźniej nie wie, kim jest Simon Błazen ani gdzie znowu uderzy.

*\*Mogę za to podziękować Konnosowi i jego wyrafinowanemu czarowi\**

– Wierzę, że oskarżeni nadal znajdują się w granicach miasta – mówił tymczasem Toa-Sytell. – To siedemnastu ludzi, wielu z nich zabrało ze sobą swoje rodziny, łącznie jest ich trzydzieści osiem osób. Może lepiej spożytkujesz siły, szukając ich kryjówek?

Pallas przełknęła ślinę i ujęła kasztan w kieszeni na biodrze. Nie będąc w widzeniu wewnętrznym, nie mogła zobaczyć pieczęci zapisanej na jego powierzchni, ale miała wrażenie, że czuje, jak pali jej dłoń.

Może jednak zabije tych dwóch?

*\*Jego Wysokość wie, gdzie są; czar Konnosa nie zmieniłby tego. Odebrać dwa życia, żeby ocalić trzydzieści sześć\**

Wzięła głęboki wdech, przygotowując się fizycznie i jednocześnie siłą woli zduszając emocje.

– To duże miasto – rzucił przeproszającym tonem Jego Wysokość.

*\*Hę?\**

– Natychmiast zagnam do tego moich ludzi – ciągnął. – Niczego jednak nie obiecuję. W mieście jest mnóstwo kryjówek, a wiele z nich nie jest otwartych dla Sług.

– Zrób co możesz w tej sprawie. Z tym się wiąże dużo więcej niż tylko pieniądze, jak pewnie się domyślasz. Jeśli baronowie z prowincji zobaczą, że łatwo można się zbuntować przeciwko Ma'elKothowi i jest to bezpieczne... Myślę, że potrafisz sobie wyobrazić potencjalne konsekwencje.

– Aha. Kolejna wojna domowa, której nie potrzebujemy.

Pallas złapała się na tym, że dyszy ciężko, zaciskając palce na kasztanie tak, że jej knykcie z pewnością pobieleły. W co pogrywa Jego Wysokość? Prawie go zabiła, prawie zabiła ich obu; tylko dzięki łasce jakiegoś boga czekała dostatecznie długo, żeby usłyszeć to ostatnie zdanie...

Prawie nie słuchała, kiedy przeszli do innych, mniej naglących spraw, zajmując się

codzienną polityką gangów Kolonii i ploteczkami, które Jego Wysokość posłyszał od Sług. Kameleon, który pozwalał jej trzymać się ściany, nie będzie trwał wiecznie. Już zaczęła się odsuwać, kiedy usłyszała, jak Jego Wysokość mówi:

– Ostatnia sprawa. Muszę wiedzieć, o co chodzi z tym listem gończym za Caine’em. Za co jest poszukiwany?

Caine?

Serce w piersi Pallas zabiło boleśnie. Wstrzymała oddech i zacisnęła powieki, nadstawiając uszu.

– Nie sądzę, żeby to było twoje zmartwienie.

Nonszalancki ton Jego Wysokości wydawał się nieco wymuszony.

– To mój przyjaciel. Nie chcę, żeby... umowa między Waszą Miłością i mną kłóciła się z tą przyjaźnią. I nie chcę też, żeby ta przyjaźń weszła w drogę naszej umowie, rozumie Wasza Miłość? Nie chcę go zdradzić, nie wiedząc nawet, za co jest poszukiwany.

Wydać go? Hari jest tutaj? Teraz?!

Pallas zaschło w ustach, żołądek jej się zacisnął i serce zabiło gwałtownie. Palce zaświerzbily ją niemile, jakby właśnie kogoś spoliczkowała.

– Nie martw się tym. Aresztowałem Caine’a dziś wieczór, ale nie grożą mu żadne kłopoty. Przynajmniej nie z naszej strony, bo wierzę, że Klasztory mogą się ciut na niego zdenerwować. Powiedziano mi, że Ma’elKoth zamierza go wynająć.

– Wynająć? Do czego?

– A do czegożby innego, jak nie do odnalezienia Simona Błazna i zabicia go, rzecz jasna.

No pewnie, pomyślała Pallas. Z jakiego innego powodu pojawiłby się tutaj, jeśli nie po to, żeby znowu spieprzyć mi życie?

Przegapiła przyjacielskie pożegnanie obu mężczyzn, pogrążona w chaotycznych obrazach i myślach. Caine będzie wiedział, rzecz jasna. Będzie wiedział, kim jest Simon Błazen, gdzie jest i dokąd zabrał *tokalich* – Studio po prostu pokaże mu jej sześcian. Wiedziała też, że nie będzie naprawdę na nią polował, nawet Caine nie upadłby tak nisko. Dobrze widziała, co jest grane. To było jasne, jasne jak cholera.

Studio doszło do wniosku, że tym razem totalnie schrzaniła sprawę. Uznali, że nie da sobie rady sama; że więcej zyskają, jeśli wyślą Caine’a Wspaniałego, żeby ratował jej bezużyteczny, niekompetentny babski tyłek.

Z Caine’em przybywającym w ostatniej chwili na ratunek zarobią setki milionów więcej, niż zebraliby, gdyby jednak jakimś cudem poradziła sobie sama.

Cała stłumiona wściekłość ryknęła jej w piersiach i zahuczała jak wodospad. Czy oni nie rozumieli, że to nie jest jakaś głupia gierka?! Że to nie tylko rozrywka? Że od tego zależy życie? Prawdziwe życie? Życie prawdziwych ludzi, którzy kochają, cierpią, śmieją się i krwawią?

Musiał być tym zachwycony, była tego pewna. Hari na pewno właśnie szczyrzył zęby od

ucha do ucha. Prawie słyszała jego pełen zadowolenia z siebie, protekcyjnalny głos: „Widzisz? Beze mnie nie dasz rady. Po co w ogóle próbujesz?”.

Słyszała też własną odpowiedź, a raczej jej brak, swoją niewysłowioną wściekłość, że traktuje się ją jak statystkę we własnym życiu, jak pomocnika, nic więcej niż tylko ozdobnik do cudzej Przygody. Nie dadzą jej szansy na własną historię.

Światło za okiennicami zgasło.

Przebiegła na czworakach w bok po ścianie. W dole pod nią, przy łuku, pod którym zniknął Jego Wysokość, zobaczyła teraz czubek kaptura jego płaszcz. Stał przy ścianie. Majstrował przy hubce, żeby zapalić cygaro; maleńkie syczące iskierki posypały się na ulicę. W zasięgu wzroku nie było widać nikogo więcej. Toa-Sytell musiał wyjść innymi drzwiami.

Poczekala, aż cygaro się rozjarzy, a potem skasowała czar Kameleona i całym ciężarem opadła na Jego Wysokość.

Uderzyła go w ramiona stopami i Jego Wysokość solidnie grzmotnął o ziemię. Zeskoczyła z niego, przetoczyła się, przyjmując dobrze zrównoważoną pozycję na ugiętych nogach. Zaskoczony niespodziewanym atakiem Jego Wysokość zdołał tylko potrząsnąć głową, nim położyła dłoń na jego policzku i powiedziała:

– Znasz mnie.

Konnos powiedział jej, że tak może skasować działanie czaru.

Pierwsze oszołomienie zniknęło z jego oczu. Patrzyła, jak rośnie w nich zadziwienie, kiedy po cofnięciu Wiecznego Zapomnienia różne znane mu fakty powoli zaczynały się wiązać się w jego umyśle.

– P-Pallas – wyjąkał. – A niech to cuchnący grom strzeli! Co ty... Jak tyś... I Caine... Caine...

Przykucnęła przed nim.

– Wiem o tym. Prowadzisz niebezpieczną grę, Wasza Wysokość.

– Ja, ech, psiamać... Za co mnie tak walnęłaś?

– Musiałam komuś przyłożyć, a ty byłeś pod ręką. A teraz słuchaj, powiem ci, co zrobimy.

Usiadł prosto, otrzepując się.

– Wiesz, na sporo ci pozwalam, ale tym razem naprawdę się zapędziłaś. Nikt nie śmie mnie tknąć...

Pallas przerwała mu, uderzając go w ucho.

– W taki sposób? To chciałeś powiedzieć?

Znowu na wpół ogłuszony, pokręcił z niedowierzaniem głową.

Podsunęła mu pod nos otwartą dłoń.

– Nie podoba ci się, jak ktoś cię tak dotyka? To wyobraź sobie, jak cię dotknie Caine, kiedy się dowie, że romansujesz z Toa-Sytellem, podczas gdy miałeś pomagać mnie.

Kucnęła i dała mu chwilę, żeby sobie przemyślał jej słowa.

Nie trwało to długo.

– Hej, zaraz! – rzucił. – Cały czas ci pomagałem. Nawet podkarmiłem Toa-Sytella, żeby trzymać go z dala od ciebie.

– Może ja to zrozumieć, ale myślisz, że Caine też?

– No tak, ale, ale... Nie musisz mu mówić, prawda?

– Może nie muszę. Ale chcę, żebyś zrozumiał, że jestem z tego powodu trochę zła.

Potał ucho i powoli pokiwał głową.

– Chyba nadażam... Ale to nie ma z tobą nic wspólnego. To nie ja wydałem cię Kotom, nie rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. Widzę tylko, że trzymasz mnie w worku, dopóki nie dostaniesz od Toa-Sytella lepszej ceny.

– Pallas, przysięgam...!

– Nie przysięgaj. Wiesz, co robiłam przez ostatnie czterdzieści godzin albo coś koło tego?

– Ja, eee...

– Poza tym, że starałam się być cały czas krok przed Kotami i Oczami Króla, i ogólnie rzecz biorąc, przeżyć, to przesłuchiwałam niewinną rodzinę, badając jej członków w bardzo brzydki i nadzwyczaj nieprzyjemny sposób, bo chciałam mieć pewność, że żadne z nich nie jest szpiegiem, ani nie ma na sobie – lub w sobie – znacznika naprowadzającego. Ojciec nazywa się Konnos. Polubiłbyś go, Wasza Wysokość. Pracuje dla rządu. – Pochyliła się ku niemu i odsłoniła zęby. – Tak jak ty.

– Pallas, ej, Pallas...

– Zamknij się.

Nagle złapała się na tym, że brakuje jej tchu, poci się i serce kołacze jej w piersi, kiedy wyobraziła sobie, jak wyjmuje różdżkomicz z pochwy na nadgarstku i odcina mu ten przeklęty łeb. Zadrzała, gdy ogarnęła ją lodowata furia i zastanowiła się przelotnie, czy tak właśnie czuł się Caine, nim kogoś zabił.

– Ufałam ci, Wasza Wysokość. Ufałam ci, a ty mnie okłamałeś i ludzie, na których mi zależało, zginęli.

– Pomyśl, co robisz, Pallas – powiedział Jego Wysokość, oblizując usta i odsuwając od niej nogi.

– Już nigdy mnie nie okłamiesz.

– Pallas, serio, to nie jest potrzebne...

– Myślę, że jest. Nie mam już na kogo liczyć, Wasza Wysokość, a mam trzydzieści sześć osób, które liczą na to, że ocalę im życie. Były trzy, cztery osoby, o których wiedziałam, że mogę im zaufać. Nie żyją. Nie będę więcej ryzykować.

Gwałtownie zamknęła usta.

Po co mu to mówić? Tak naprawdę mówiła tylko do siebie, usprawiedliwiając przed sobą to, co zaraz zrobi.

Sięgnęła do kieszeni za paskiem i wyjęła kryształ kwarcu w kształcie graniastosłupa, nieco mniejszy od jej palca. Znajdował się w platynowej klatce przymocowanej do platynowego łańcuszka. Zakręciła łańcuszkiem i kryształ zawirował, rozsiewając błyski księżycowego światła.

– Nie rób tego – wychrypiał Jego Wysokość, siląc się na ton groźby. – Nie rzucaj na mnie czaru, Pallas. Nikt, ale to nikt nie rzuca na mnie czarów.

Jeden oddech przeniósł ją w wewnętrzne widzenie i rozpałił wzorzec mocy w kryształach. Najdelikatniejsze poruszenie jej Powłoki wyzwoliło Urok. Księżycowe odbłaski faset kryształu w widzeniu wewnętrznym nabrały namacalności i jak odłamki strzeliły w przód, niosąc wzorzec mocy Uroku niczym truciznę na ostrzu. Przebiły Powłokę Jego Wysokości i lśniąca sieć Uroku rozpostarła się na niej niebezpieczną pomarańczową barwą z żółtymi odcieniami, jak olej rozlany na wodzie. W jednej chwili odcienie złości i strachu pobladły, przybierając zieleń spokoju i ciepłe, solidne barwy ziemi, sygnalizujące całkowitą lojalność.

– Jesteś pewien? – zapytała od niechcienia, wynurzając się z widzenia wewnętrznego. – To tylko mały czar.

Jego Wysokość wziął głęboki wdech, najwyraźniej zbierając się na odwagę.

– W porządku. Ufam ci. Rób to, co uważasz za słuszne.

Zasłużyłam sobie na to, pomyślała, wykrzywiając kąciki ust. Zrobiło jej się trochę niedobrze.

Nieważne, że nie miała wyboru. Nieważne, los ilu ludzi zależał od niej – i od niego. Sięgnęła do jego serca i uczyniła siebie jego najlepszym przyjacielem na świecie, bliższym od siostry, bliższym od własnej matki. To straszny czyn, nawet kiedy robi się to zwierzęciu. Ale żeby zrobić to człowiekowi? Jak to się stało, że nagle tak nisko upadła? Kobieta, którą była jeszcze kilka dni temu, nigdy nawet nie pomyślałaby o czymś takim. Zaczarowała ten kryształ z myślą o nagłym wypadku, desperackiej chwili, kiedy nie będzie miała innego wyboru. Czy to była właśnie taka chwila?

Otrząsnęła się. Będzie się martwiła swoim ewentualnym upadkiem moralnym, kiedy już bezpiecznie wydostaną się z Ankhany.

– Chodźmy, Wasza Wysokość, proszę wstać – powiedziała. – Mamy parę spraw do załatwienia.

Jego Wysokość posłusznie wstał, patrząc na nią jak zakochany szczeniak.

– Co tylko powiesz, Pallas.

## 2

Piekący, żółty blask ankhańskiego słońca dźgnął go przez powieki jak rozbłysk bomby. Caine gwałtownie wyprostował się na krześle, w którym w końcu zasnął.

Przez sekundę, która rozwlekała się w nieskończoność, walczył z kleistym bałaganem w głowie, próbując poskładać fakty, określić, gdzie się znajduje i co się stało. Wreszcie jego wzrok skupił się na sześciu mężczyznach w liberiach Pałacowych Rycerzy, którzy tworzyli mur między nim i Jego Miłością Cesarskim Księciem Porządku Publicznego.

Toa-Sytell stał przy oknie, z rękoma na zasłonach, które właśnie rozsunał. Słoneczne światło przelewało się przez niego, wypełniając powietrze wirującymi drobinkami kurzu.

– Jak się czujesz?

Caine podrapał się po potarganej głowie.

– To zależy. Przyniosłeś kawę?

– Obawiam się, że nie.

– Więc czuję się do dupy. – Mrużąc oczy, Caine spojrzał na księcia, który teraz odsunął się od okna i stanął w świetle: miał czerwone, zapuchnięte, podkrążone oczy. – Nie wyglądasz najlepiej. Pracowałeś do późna?

– To nie twoje zmartwienie. Przyszedłem zabrać cię do cesarza.

– Mogliśmy to załatwić wczoraj wieczorem.

– Nie, nie mogliśmy.

– A to z powodu...?

Toa-Sytell rozłożył ręce.

– Ma'elKoth zdecydował się wezwać cię dopiero dziś rano.

Caine skinął głową, drapiąc się z niesmakiem po brodzie. Kazać innym czekać to przywilej tych, którzy mają władzę, ale to nie znaczy, że ma się mu to podobać. Ba, pewnie nieźle się z tego powodu wścieknie, jak już się do końca obudzi.

– Chyba nie uważasz, że nadal potrzebujesz tych gości, co? – zapytał, machając lekceważąco na strażników. – Myślałem, że osiągnęliśmy swego rodzaju porozumienie.

Oschły uśmiech ledwo musnął usta księcia.

– Może powinienem uznać, że mogę polegać na twoim łagodnym usposobieniu? Domyślałem się, że Creele tak właśnie myślał.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Toa-Sytell ostrożnie zainstalował go w komnacie pałacu Colhari, hojnie zaopatrzonej w tacę z zimnymi mięsami, chlebem i owocami oraz karafkę wina, i gdzie już czekała gorąca kąpiel, Caine pokręcił głową i zaśmiał się gorzko.

– I pomyśleć, że właśnie zabiłem człowieka za to, że mnie tobie wydał – powiedział wtedy.

Toa-Sytell, który, stojąc w progu, patrzył, jak Królewskie Oczy zdejmują Caine'owi kajdany, odparł bez cienia wesołości:

– Być może trochę się pospieszyłeś.

Kiedy Caine jadł, Toa-Sytell wyjaśnił mu, dlaczego wyznaczono nagrodę, aresztowano go i sprowadzono do pałacu. Pałaca ironia sytuacji odebrała Caine'owi mowę.

Cesarz chciał go wynająć, żeby odnalazł Simona Błazna. Chciał mu zapłacić za to, co już



robił, i zaproponować wszelką pomoc ze strony cesarskiego rządu w poszukiwaniach.

Creele nieświadomie wyświadczył Caine'owi przysługę.

Caine bardzo powoli i ostrożnie odłożył kanapkę, którą sobie przygotował, i powiedział:

– Jasne. Ile za to dostanę i kiedy mogę zacząć?

I tu temat zaczynał się robić śliski: Ma'elKoth życzył sobie porozmawiać z nim osobiście. Toa-Sytell nie wiedział dlaczego. Caine'a zachęcono do skorzystania z kąpeli i uprania ubrań, a potem polecono, żeby był gotowy. Z zapalem zrobił to wszystko, nawet zaszył rozdarcie w spodniach po kle ogra. Palce mu drżały w oczekiwaniu tego, co się wydarzy, i przez zadziwienie tym niesamowitym uśmiechem losu – dostęp do pałacu, pretekst do osobistego spotkania z celem, wszystkie zasoby Królewskich Oczu, żeby odszukać żonę.

A potem czekał.

I czekał.

Samotnie w okazałej komnacie, po której krążył w kółko, coraz bardziej zniecierpliwiony, zły, a potem wściekły. Drzwi zamknięto od zewnątrz; kiedy zaczął w nie walić, strażnik stojący na korytarzu pytał zatroskanym głosem, czy czegoś mu trzeba. Caine poszukał ukrytych drzwi dla służby – pamiętał, gdzie się znajdują, po tygodniu, który spędził w pałacu przebrany za służącego przed zamordowaniem Toa-Phelathona – ale one też były zamknięte. Mógłby wybić okno i spróbować ucieczki, ale dokąd?

Został uwięziony tutaj niemal na własne życzenie; bardziej trzymały go w tym miejscu własne nadzieje i pragnienia niż zamki w drzwiach. Zyskał okazję, której nie mógł przepuścić.

Jego myśli krążyły wokół kobiety więzionej w Donżonie, jak wiatraczek kręcący się w ręce biegnącego dziecka.

W tej celi mogła siedzieć Shanna.

Mogłaby być bezpieczna.

Mogła znaleźć się w jego ramionach w ciągu kilku godzin, a nawet szybciej.

Niewykluczone, że Berne aresztował ją, nie zdając sobie sprawy, kim jest – po prostu zgarnął ją, bo znalazła się w pobliżu. To było całkiem możliwe.

Możliwe też, że w Donżonie uwięziono Talann. A Shanna mogła się znajdować gdziekolwiek. Możliwe, że właśnie jadła wystawną kolację na południowym brzegu. Albo, przyparta do muru gdzieś w zaułku Miasta Obcych, walczyła o życie z Kotami.

Możliwe, że już nie żyła.

Niepewność gryzła go jak szczur uwięziony wewnątrz jego czaszki.

Ma'elKoth się nie zjawił, nie spotkał się z nim. Noc mijała, a Caine mógł tylko kręcić się ze złością po pokoju i patrzeć, jak poziom olejku różanego w lampie obniża się milimetr po milimetrze. W rytm bicia serca odliczał każdą minutę życia Shanny, czas, który marnował w tym pokoju.

Mniej więcej po północy przestał już żałować, że zamordował Creele'a.

W końcu zmęczenie skierowało go do miękkiego, wyściełanego krzesła. Usiadł, zamyślił się nad własną bezradnością i te myśli przeszły płynnie w sen.

Teraz wyprzedził swoją eskortę, idąc korytarzami pałacu Colhari. Sześciu Rycerzy Pałacowych podążało za nim tyralierą, a Toa-Sytell szedł na końcu, trzymając ręce złożone za plecami, z wyrazem skupienia i zadumy na twarzy. Stąpali cicho po grubym ciemnoturkusowym chodniku, pokrywającym błady, lekko brzoskwiniowy marmur posadzki. Toa-Sytell kierował Caine'em, mówiąc mu: „skręć tu”, „znowu tu”, „teraz tymi schodami”.

Schody znajdowały się w pobliżu sklepionego przejścia, które prowadziło do pionowego szybu z naoliwionymi linami w głębi, ciągnącymi się w górę i dół. Obok zwisał sznur dzwonka. Caine skinął w stronę przejścia, kiedy je mijali.

– Za dużo nas do Ruchomego Pokoju?

– Tak, ogry przy kieracie w piwnicy nie dadzą rady z więcej niż trzema osobami albo... Ale ty pewnie to wszystko wiesz – odpowiedział Toa-Sytell. W jego szeptcie pobrzmiwała chrapliwa nuta, emocja, którą trudno było określić.

Caine wzruszył ramionami i skierował się ku schodom. W milczeniu, zeszli dwie kondygnacje, po czym ruszyli następnym korytarzem. Caine wyczuwał już narastający zapach, miedziane opary, jakby z chłodni z mięsem.

– Jesteśmy prawie w tym samym wieku, Caine – powiedział nagle Toa-Sytell. – Nie możesz być więcej niż cztery-pięć lat młodszy ode mnie. Masz dzieci?

Caine zatrzymał się i zerknął na księcia przez ramię.

– A czemu cię to interesuje?

– Synowie to duma mężczyzny, Caine, a córki to pociecha na stare lata. Pytam z ciekawości.

Caine wzruszył ramionami.

– Może pewnego dnia.

– Ja miałem dwóch synów, których kochałem, Caine. Wyrośli na ludzi honoru, silnych i groźnych. Tashinel i Jarrothe. Obaj zginęli, w odstępie ledwie miesiąca, w Wojnie o Sukcesję.

Powiedział to tak, jakby zdawał raport z cen zbóż na rynku, ale coś mrocznego i groźnego pojawiło się na chwilę na jego twarzy.

Caine popatrzył księciu w oczy, z powagą przyjmując jego stratę. Kolejny nóż wymierzony w moje sumienie, pomyślał. Ale w porównaniu z innymi ranami zadanymi jego sumieniu, to było ledwo zadrapanie.

W końcu spuścił wzrok, jakby zawstydzony, odwrócił się i ruszył dalej.

Niech pomyśli, że odczułem to mocniej, niż w rzeczywistości, skoro tego chce. Niech znajdzie w tym pociechę. Muszę zapamiętać, że Berne może nie być jedynym moim wrogiem w pałacu.

– Twoim celem jest to sklepione wejście na końcu korytarza – oznajmił Toa-Sytell. – Pilnuj się, żeby się nie odzywać ani w żaden sposób nie przerywać cesarzowi. Jest

pochłonięty tym, co nazywa Wielkim Dziełem, i zwróci się do ciebie, kiedy, lub jeśli, zechce.

– Wielkie Dzieło?

Głos księcia zdradzał, że te słowa zostały wypowiedziane wielką literą.

– Zobaczysz. Idź już.

Zapach krwi narastał. Nim Caine dotarł do drzwi, niemal czuł jej smak, jakby w pobliżu leżało od kilku dni surowe mięso.

Za czasów Toa-Phelathona ta komnata była Małą Salą Balową, przytulną przestrzenią do przyjęć na mniej niż tysiąc gości. Światło słoneczne, tak mocne, że mogło parzyć gałki oczne, wpadało przez ogromne okna, które dominowały w południowej ścianie – były wąskie, zakończone gotyckimi łukami, wysokie na dziesięć metrów i oddzielone solidnymi kolumnami z importowanego granitu. Środek parkietu został usunięty i w leżącym pod posadzką wapieniu wycięto płytką misę szeroką na pół rzutu kamieniem.

Zagłębienie okolono węglami jarzącymi się czerwono i promieniującymi żarem, ale bezdymnymi i bezwonnymi. Nad nimi, wsparty na mosiężnych nogach, wznosił się potężny kocioł, płytki jak misa do gulaszu, ale wystarczająco szeroki, żeby dało się w nim pływać. Kotle zajmowali się paziowie biegający wokół jego brzegów. Mieszali zawartość długimi, drewnianymi tyczkami, trzymanymi wysoko nad spoconymi głowami, albo dolewali czegoś z wiader, podczas gdy inni wędrowali parami z jednego końca na drugi, przenosząc ogromne skórzane miechy. Opierali je na podłodze i kładli się na nich całym ciężarem, żeby podmuchem obudzić w węgielkach żółte płomienie.

W kotle znajdowało się coś, co wyglądało jak gotujące się błoto albo bardzo mokra glina. Caine pomyślał, że to stamtąd może wypływać ten zapach krwi oraz jeszcze jakaś bardziej gorzka i kwaśna nuta. Powietrze w całej komnacie drżało od gorąca.

Cesarz Ma'elKoth chodził boso po gotującym się błocie.

Już sam jego wzrost sprawiał, że nie sposób było go z nikim pomylić. Caine stał pod sklepieniem wejściem i przyglądał się cesarzowi, pamiętając o palcu stukającym go w potylicę, tym denerwującym poczuciu, że skądś zna sposób, w jaki cesarz się poruszał, gestykulował i mówił na nagraniu, które pokazał mu Kollberg.

Ma'elKoth miał na sobie tylko kilt ze szkarłatnego aksamitu, obrębiony brokatem. Było coś z dinozaura albo smoka w powolnej, majestatycznej gracji jego ruchów, w przechodzeniu z nieskrywaną satysfakcją od jednej pozy do drugiej, jakby gra mięśni masywnych ramion i rąk, piersi i pleców sprawiała mu głęboką duchową przyjemność. Zupełnie jakby to odpowiadało jego osobistym estetycznym potrzebom w sposób równie pierwotny jak seks.

Ale to nie o to chodziło: w tych gestach nie było nic znajomego. Były wystylizowane jak u atlety i równie precyzyjne jak w balecie.

Gotująca się glina opluwała nogi Ma'elKotha dymiącymi grudami; nie zwracał na to uwagi, tak samo jak na podmuchy z miechów poniżej. Jego oczy płonęły bladą zielenią, jak fluorescencyjne szmaragdy. Uniósł ręce niczym kapłan błogosławiący tłum, i z gotującej się

gliny wynurzyła się bezkształtna masa, nadal buchająca parą i kipiąca od żaru.

Masa gliny – sto kilogramów, jeśli nie więcej – zawisała w drżącym od gorąca powietrzu, dwa metry nad powierzchnią, podtrzymywana jedynie wolą Ma’elKotha. Wynurzyły się z niej wypustki, pięć macek, które wyciągały się i kształtowały jakby wedle własnej woli. Gлина odpadała od masy jak świeże gówno i wpadała z powrotem w błoto. Cztery kończyny wyciągnęły się i wysmuklały, podczas gdy piąta skurczyła się i w końcu masa nabrała ludzkiego kształtu.

Ten ludzki kształt wydawał się nieduży, wręcz malutki przy potężnej sylwetce cesarza. Wirował w powietrzu, a jego rysy nabierały wyrazistości. Zmarszczki i fałdy tego, co mogłoby reprezentować ubranie, przebiegły falami po powierzchni. Twarz powoli przesunęła się przed oczami Caine’a. Miała krótko przycięte włosy i brodę wzdłuż linii szczęk, nos nieco krzywy po dawnym złamaniu, z blizną... i nagle Caine’owi zaschło w ustach.

Uniósł stopę, żeby wejść do sali, kiedy odezwał się Ma’elKoth:

– Proszę, nie ruszaj się. To dość trudna robota, jak pewnie możesz sobie wyobrazić.

Cesarz nawet nie spojrzał w stronę wejścia. Nie było mowy, żeby widział stojącego tam Caine’a. A w każdym razie nie własnymi oczami.

Caine gapił się na posąg, ledwo śmiać odetchnąć.

Na krwawy topór Tyshalle’a, pomyślał. To ja.

I nim sformułował tę myśl do końca, urzeczywistniła się: to była kopia, doskonała w każdym szczególe, z wyjątkiem tego, że nadal miała kolor gliny; naśladowała nawet postawę Caine’a, gdy stał w progu. Wisiała w powietrzu, kręcąc się powoli jak ciało na szubienicy, podczas gdy Ma’elKoth przyglądał się swemu rękodziełu. Głos cesarza miał w sobie ciepło i dudniące echo głosu ojca słyszanego przez ściany łona:

– Możesz już się poruszyć. Wejdz, proszę.

Paziowie, którzy biegali wokół kotła, mieszając i dmąc w miechy, ledwo na niego spojrzeli, kiedy wszedł do komnaty. Stawiał kroki niepewnie, szedł z piersią obolałą od uczucia, którego początkowo nie potrafił zidentyfikować, bo nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej tak się czuł. Minęło kilka sekund, nim zdał sobie sprawę, że to nabożny podziw.

To był najbardziej niesamowity pokaz absolutnego mistrzostwa, jaki kiedykolwiek widział – nie potrafiłby wyobrazić sobie człowieka, który w pełniejszy sposób panowałby nad każdym elementem otoczenia.

A ja podpisałem kontrakt na zabicie go, pomyślał. Lepiej, żebym go dorwał we śnie.

Ma’elKoth szedł po gotującej się powierzchni gliny, nie zwracając uwagi na parę i żar, a Caine-manekin ruszył za nim, podskakując jak szczeniak. Uśmiech powitalny cesarza rozgrzał Caine’a jak kieliszek whisky.

– Nie widzę, gdzie ten kawałek pasuje – powiedział. – Jak myślisz?

– Kawałek? – wychrypiał Caine. Jaki kawałek? Kawałek czego? – Nie rozumiem.

Rozległ się śmiech godny boga z Olimpu.

– Oczywiście, że nie. – Ma'elKoth skinął głową w stronę figury z gliny. – Patrzysz na to jak na skończone dzieło sztuki. Dla Mnie to tylko jeden fragment *tego*.

Machnął ręką, pokazując coś za Caine'em i ponad jego głową. Caine obrócił się, spojrzął w górę, w górę i jeszcze wyżej. Rozdziawił usta jak dziecko patrzące na ścianę drapacza chmur.

To była twarz.

Mogła należeć tylko do tytana, Atlasa, który dźwigał na ramionach niebo. Monstrualna płaskorzeźba zaczynała się tuż nad wejściem i sięgała trzydzieści pięć metrów wyżej, do samego sufitu sali balowej.

Była gotowa dopiero w połowie. Gdzeniegdzie nadal widniała tylko gładka ściana, gdzie indziej rozbudowująca się struktura kostna; zostały ukończone tylko czoło i jedno oko.

Twarz zbudowano z ludzi.

Jak układanka szalonego boga, została stworzona z ludzkich ciał, ułożonych warstwami, pokrojonych i poprzeplatanych jak trupy w masowym grobie. Dopiero chwilę później Caine zdał sobie sprawę, że nie są to ciała, rzecz jasna, nie prawdziwe trupy, ale posągi z gliny, jak ten przedstawiający jego samego, unoszący się u ramienia Ma'elKotha.

Ogrom owego dzieła oszalał. Kiedy Caine pomyślał, ile pracy wymagało uformowanie każdego idealnego manekina i ustawienie go we właściwym miejscu, kiedy pomyślał, ile jeszcze pracy pozostało do wykonania, wcześniejszy podziw urósł mu w gardle, dławiąc wszelką realną nadzieję, że Ma'elKoth to pospolity taumaturg, zwykły człowiek obdarzony mocą, tyle że na większą skalę. Mógł się tylko gapić.

– Podoba ci się? – zagrzmiał Ma'elKoth. – Nazywam to „Przyszłością Ludzkości”.

Przy tych słowach coś zaskoczyło w umyśle Caine'a i zobaczył to – doświadczył nagłej proroczej wizji, w której kości rozrosły się, pokryły ciałem i nabrały odpowiedniego koloru.

To była twarz Ma'elKotha.

– Wygląda jak ty – szepnął Caine.

– Oczywiście. To autoportret.

Głos Ma'elKotha rozległ się tuż koło niego. Caine obrócił się i znalazł się z nosem na wysokości obojczyka niezwykle szerokiej piersi cesarza. Ma'elKoth musiał zeskoczyć z brzegu kotła cicho jak kot. Caine czuł jego zapach: bogatą woń męskiego potu, przebijającą się przez lawendowy olejek, od którego lśniły jego włosy i broda, oraz ciężki, mięsny odór gliny, która oblepiała jego nagie ciało. Ma'elKoth odsłonił idealnie białe, idealnie równe zęby imponującej wielkości.

– Każda wielka sztuka ostatecznie jest autoportretem.

Było coś tak onieśmielającego w bliskości tych umięśnionych ramion, że Caine nie mógł się odezwać, zdołał tylko pokiwać głową.

Kukła Caine'a znajdowała się tuż obok niego, idealna pod względem wzrostu i każdego

rysu; patrzył we własne oczy oddane w glinie i zauważył nawet, że broda składa się z pojedynczych włosów.

– A to jest fragment, nad którym teraz pracuję, ale nie bardzo widzę, gdzie powinien się znaleźć – odezwał się Ma’elKoth. – Każdy fragment musi mieć swoje miejsce; każdy musi wnosić coś do całości. Pracuję nad tym kawałkiem już od dwóch dni i nadal nigdzie go nie widzę. Może masz jakąś propozycję?

Caine pokręcił głową i zmusił słowa do przejścia przez zaciśnięte gardło:

– Nie śmiałybym...

– Cóż – westchnął Ma’elKoth. – Wobec tego, skoro nie można znaleźć właściwego miejsca...

Cesarz uniósł dłoń przed oczy i nagle zacisnął ją w pięść. Kukła Caine’a zadrżała konwulsyjnie i rozpadła się, tryskając gliną jakby spomiędzy palców niewidzialnego olbrzyma.

Przez jedną chwilę Caine myślał, że widział wyraz swojej twarzy w glinie, wyraz ohydnej, niewyraźnej agonii, a zaraz potem i ona została zmiażdżona. Po kolejnym geście Ma’elKotha nieregularna masa przeleciała nad krawędzią kotła jak dziecięca piłka i wpadła z pluskiem do gliny, z której się wynurzyła.

– Jakies pytania? – rzucił Ma’elKoth.

– Nie jesteś... – powiedział powoli Caine – ...subtelny.

– Subtelność jest dla słabych. To forma przymilania się, którą stosują, żeby spełnić swoje pragnienia, kiedy brakuje im siły, by załatwić to wprost.

Zabawne... – pomyślał Caine. Pamiętam, jak mówiłem niemalże to samo, i to więcej niż raz.

Obok nich przeszedł paź niosący wielkie wiadro ciemnego płynu, który wlał do kotła. Caine odprowadził go wzrokiem, a potem zerknął na Ma’elKotha.

– Mam pytanie: co oni cały czas dolewają do gliny? Pachnie jak krew.

– Bo to jest krew – odparł z powagą Ma’elKoth. – Wszystkie Wielkie Dzieła są zbudowane z krwi. Nie wiedziałeś o tym?

– To jest, ehm... – Caine odchrząknął skrępowany. – Zwykle to tylko metafora.

– Czyżby?

Cesarz energicznie zatarł ręce i nagle klepnął go po przyjacielsku w plecy, wystarczająco mocno, żeby Caine się zatoczył.

– Chodź, muszę się umyć, a ty, rzecz jasna, jesteś głodny i powinieneś coś zjeść. Mamy wiele do omówienia.

Przeszedł kołyszącym się krokiem pod łukiem wejścia tak szybko, że Caine musiał ruszyć truchtem, żeby za nim nadążyć.

Stół ze śniadaniem wyglądał, jakby nakryto go do uczy; znalazło się na nim wszystko, od warzywnych sufletów do nadziewanych przepiórek. Caine sączył z wysokiego, oszronionego pucharu mrożoną kawę i starał się nie myśleć o mitach greckich i ziarnach granatu.

Ma'elKoth na wpół leżał na łożu biesiadnym u końca stołu, w królewskiej pozie. Wcześniej prowadził zręczną rozmowę o niczym, podczas gdy Caine siedział obok jego wanny. Trzy prześliczne dziewczyny, które się z nim kąpały, zmywając z niego stwardniałą glinę, nie przyciągały uwagi Ma'elKotha bardziej niż stojący obok wanny stół.

Caine zgarbił się nad stołem, przez co rękojeści nowych noży dźgały go w żebra; był boleśnie świadom obecności siedmiu ostrzy. W czasie spaceru z łazienki do komnaty ze śniadaniem Ma'elKoth nagle odwrócił się do niego i powiedział wesoło:

– Proszę o wybaczenie, że taki ze mnie fatalny gospodarz. Właśnie zdałem sobie sprawę, dlaczego wydajesz się taki skrępowany i małomówny. Proszę za mną.

Cesarz poprowadził go do galerii broni na pierwszym piętrze i zaprosił do pokoju wielkości sypialni, którego ściany były obwieszane regałami z wszelkimi rodzajami noży, jakie można sobie wymyślić: od wygiętych kukri, przez lewaki o rękojeściach otwierających się jak wachlarze, podobne do katarów sztylety naręczne, smukłe ostrza przypominające tanto, aż po kilka długich na stopę tasaków.

– Proszę – powiedział Ma'elKoth. – Wybierz coś sobie.

Caine wybrał kordzik o falistym ostrzu, podobny do florentyńskiego sztyletu o klindze jak płomień, i obrócił go w palcach. Znajdowali się sami w małym pomieszczeniu pełnym noży, za grubymi drzwiami.

– Wiesz co? – zagadnął. – Creele uważał, że ktoś wynajął mnie, żebym cię zabił. Może rozsądniej byłoby pozostawić mnie bez broni.

Głębokie rozbawienie zabłysło w lśniących zielonych oczach cesarza.

– Czy jestem głupcem? Ty nigdy nie jesteś nieuzbrojony. Mógłbym obciąć ci ręce, a i tak zabiłbyś mnie stopami. Proszę, korzystaj z mej gościnności. Moim życzeniem jest, abyś czuł się swobodnie.

Swobodnie? W obecności Ma'elKotha?

– To żart, prawda?

– Oczywiście.

Caine usiadł do śniadania, a w każdej pochwie miał świeżutką stal.

Przez cały ranek czekał, aż Ma'elKoth przejdzie do interesów. Teraz już nie potrafił dłużej czekać.

– Książę Toa-Sytell wyjaśnił mi, czego ode mnie chcesz. Zgadzam się. Chcę tylko wiedzieć, na jakie środki mogę liczyć i ile mi zapłacisz.

Wiedział, że przesadził, okazując zbyt wiele entuzjazmu, ale nic na to nie mógł poradzić i miał to gdzieś: czuł w trzewiach szarpący przymus. Musiał się stąd wydostać, musiał wracać

na ulice i szukać śladu Shanny.

– Caine, proszę – odparł niespiesznie Ma’elKoth z sofy. – To ordynarne, rozmawiać o interesach przy posiłku. Nie służy trawieniu.

– Ty nie jesz – wytknął mu Caine.

– Już nie jadam – odpowiedział Ma’elKoth, ciężko wzruszając ramionami. – Ani nie śpiam. W drobnych, pobocznych kwestiach, takich jak te, moc taka jak moja potrafi być ciężarem.

To by było tyle, jeśli chodzi o dorwanie go w czasie drzemki albo wlanie mu kilku kropel arszeniku do gulaszu, pomyślał Caine.

Pozwolił, aby jego głos zdradzał odrobinę zniecierpliwienia:

– Dobrze, skoro nie rozmawiamy o interesach, to czemu marnujemy czas?

– Nie marnujemy czasu, Caine. Wykorzystuję go na studiowanie ciebie.

Caine ostrożnie odstawił puchar. Nie chciał wylać kawy na lniany obrus, gdyby dłoń zaczęła mu się trząść.

– Tak?

– W rzeczy samej. To Moc wydobyła twoje imię i obraz z mojego umysłu, Moc z Zewnątrz, która odpowiedziała na moje pytanie: „Kto sprowadzi mi tego uciążliwego Simona Błazna?”. Początkowo byłem skłonny uznać, że to szczęśliwy zbieg okoliczności, że Moc pokazała Mi twoją twarz, którą znałem tak dobrze, że Przyciągnięcie cię zajęło Mi niecałe dwa dni.

– Przyciągnięcie? – powtórzył Caine, marszcząc brwi. – Myślisz, że jestem tutaj z powodu jakiegoś...

– Nie spieraj się, drogi chłopcze. Życzyłem sobie twojej obecności i oto jesteś. To są konkrety, mechanizm stojący za nimi jest nieistotny. Co więcej, chociaż cieszy Mnie niezmiernie fakt, że czujesz się na tyle swobodnie, by Mi przerywać, to jednak jest to niegrzeczne. Wręcz chamskie.

Z pozoru ton Ma’elKotha pozostał lekki, ale głębsze echa basowego głosu dawały do zrozumienia, że jakaś wielka i głodna bestia śpi czujnie w jego piersi. Czekał, na zewnątrz spokojny, patrząc na Caine’a czystymi, piwnymi oczami...

Ejże, czy nie były wcześniej niebieskie? – zdziwił się Caine. Albo zielone?

Na chwilę rozkojarzony pozwolił, żeby cisza przeciągnęła się boleśnie, nim oprzytomniał i spojrzał cesarzowi w twarz, nieco onieśmielony.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Cesarska...

– W porządku – rzucił szybko Ma’elKoth. – Jak pewnie zauważyłeś, nie przejmuję się zbyt ceremoniałem. Takie grzeczności są dla nic nieznaczących ludzi, którzy zlizują udawaną trwogę innych jak ślinę z brody. Jak mówiłem, mój pierwotny zamiar, żeby zwyczajnie zlecić ci zadanie, odłożyłem na bok, ponieważ jestem człowiekiem, na którym cięży przekleństwo ciekawości. Zadałem nieszczerne pytanie: „Dlaczego właśnie ty?”.



Caine rozłożył ręce.

– Sam sobie je zadaję.

– Moje poszukiwania odpowiedzi doprowadziły mnie do rozważań nad twoją karierą. – Nagle Ma’elKoth usiadł prosto i położył ręce na stole stojącym między nimi. Jego oczy płonęły. – Masz pojęcie, jak nadzwyczajnym jesteś człowiekiem?

– Przestań, bo się zarumienię.

– Nie wygłupiaj się. W czasie ostatniej burzliwej dekady znalazłeś się w czterech spośród wszystkich sześciu punktów zwrotnych w historii cesarstwa. Jedyne konkretne powiązanie między tymi czterema to ich doniosłość oraz fakt, że ty osobiście wpłynąłeś na ich wynik.

– Naprawdę?

Ma’elKoth wyliczył na palcach:

– Pierwszy: zamordowanie księcia regenta Toa-Phelathona... – Uniósł dłoń. – Nie zanudzaj mnie protestami i zapewnieniami o swojej niewinności. To wywołało Wojnę o Sukcesję, która zakończyła się zniszczeniem dynastii Menelethidów i moim wstąpieniem na tron. Drugi: poprowadziłeś małą drużynę awanturników, którzy, podejmując wielkie ryzyko, wrócili z Pustkowia Boedecken z nowinami o powstaniu Khulana G’Thara i zjednoczeniu ogrillów pod jego przywództwem. Ankhana akurat zdążyła umocnić graniczne miasta i przygotować dwie armie przeciwko jego napaści.

– To był właściwie przypadek – powiedział Caine.

Szukał z towarzyszami skarbów wśród ruin starożytnych elfickich metropolii sprzed tysięcy lat, kiedy elfy nadal budowały miasta i zamieszkiwały w nich. Pojmało ich plemię wędrownych ogrillów. Krwawe zabawy, które urządziły sobie z nimi ogrille, i jeszcze bardziej krwawa ucieczka Caine’a z dwoma towarzyszami, sprawiły, że *Odwrót z Boedecken* nadal był popularną Przygodą, chociaż minęło niemal dziesięć lat.

– Niemniej... Ponad rok później, kiedy niekompetencja wśród ankhańskich generałów pozwoliła hordzie Khulana zagrozić istnieniu ludzkości na tym kontynencie, to właśnie ty, Caine, przeniknąłeś do osobistej straży Khulana G’thara. Nie tylko dostarczyłeś ankhańskiemu wojskom pełen plan bitwy, z wystarczającym wyprzedzeniem, żeby zdążyły połączyć siły z Korpusem Klasztornym i spotkały się z hordą Khulana pod Ceraeno, ale wróciłeś do hordy wyzwalałeś Khulana do walki i pokonałeś go.

– Z tym wyzwaniem to lekka przesada – odpowiedział z uśmiechem Caine. – Zakradłem się do niego w czasie walki i zadałem mu cios w plecy. Stary łajdak okazał się mocniejszy, niż się spodziewałem: złamał mi rękę korbaczem, który nosił jako berło. Nadal rwie mnie na deszcz.

Odrobina dumy, która pojawiła się w jego głosie, tylko częściowo wynikała z pochwały od cesarza; *Ostatni Bój pod Ceraeno* powszechnie uważano za najwspanialszą przygodę Caine’a.

Ma’elKoth wzruszył ramionami.

– Szczegóły są nieistotne. Przy tej okazji, w pojedynkę uratowałeś cesarstwo. Kiedy zbierałem na kontynencie opowieści i plotki, odkryłem, że w zasadzie cały czas jesteś zaangażowany w jakieś wielkie czyny tego czy innego rodzaju... – Głos Ma’elKotha stał się zabójczo łagodny, jak jedwabna garota ślizgająca się po gardle. – I tak zastanawiam się, jakim cudem jeden człowiek może stać się tak potwornie ważny. Ciekawe, prawda?

Studio wysyła mnie tam, gdzie coś się dzieje, pomyślał Caine.

Nie miał lepszego wyjaśnienia. Bolesnie dobrze zdawał sobie sprawę, jak nieznośnie śliski stał się grunt, po którym stąpał w tej rozmowie. Nagle z przyjemnej trawki pochlebstw teren zamienił się w wygłodniałe ruchome piaski.

Ile właściwie Ma’elKoth wiedział o tych *Aktirich*, których tak bezlitośnie ścigał?

– A teraz Moc powiedziała Mi, że jesteś jedynym człowiekiem, który może złapać Simona Błazna. Spędziłem całą zeszłą noc, próbując zrozumieć, dlaczego tak jest. Kiedy ty spałeś, poddałem cię wszelkim testom, jakimi dysponuję.

Caine’owi zaschło w ustach.

– I?

– Niczego nie odkryłem. Czymkolwiek jest ta siła, która ciągnie cię do centrum wszelkich wydarzeń, nie ma natury magijnej. Jedyna cecha wyróżniająca, jaką zauważyłem, to kolor twojej Powłoki: jest czarna i niemożliwa do odczytania. To może tłumaczyć niektóre z twoich sukcesów w walce z taumaturgami: wiem, że swego czasu zabiłeś całkiem sporą liczbę adeptów oraz innych stworzeń posługujących się magią. To musi dawać znaczącą przewagę, kiedy nie da się odczytać twoich emocji i zamiarów.

– Czasem tak – przytaknął Caine, wypuszczając powoli powietrze ustami.

– Ale to nic nadzwyczajnego, po prostu rzadkie zjawisko. Nie mając sposobu, żeby zaspokoić swą ciekawość, postanowiłem posłużyć się inną metodą: zapytać ciebie.

– Bo zakładasz, że znam odpowiedź.

Ma’elKoth pokiwał głową.

– Owszem. Mam nadzieję, że wiesz. Nie toleruję frustracji. W przyływie frustracji zeszłej nocy omal cię nie zabiłem.

Caine zamrugał.

– Tak? – powiedział słabo.

– Czarem. Rozpatrywałem już odebranie ci życia, żeby absorbować wspomnienia twojego odchodzącego ducha.

– To, ehm... – Caine ostrożnie dobierał słowa. – Wydaje się nieco przesadne...

– Cóż... – Ma’elKoth zaśmiał się oschle. – Zrozumienie, jak możesz pochwycić Simona Błazna, mogłoby mi się na niewiele zdać, gdyby zabrakło ciebie do wykonania tego zadania.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz sam odnaleźć tego gościa.

– To przez czar ukrywający, który rzucił Simon Błazen i który nadal działa. Byłem w stanie przeanalizować jego efekty, ale nie mogę mu przeciwdziałać, na razie, a być może w

ogóle. Moc z Zewnątrz powiedziała Mi, że czar z łatwością można złamać, kiedy już będę miał w rękach osobę, która go rzuciła. Wpływa bezpośrednio na umysł, rozbijając na kawałki wiedzę, jaką mam na temat Simona Błazna. Nie pozwala Mi połączyć tych fragmentów, a nawet dostrzec, że takie powiązanie jest możliwe. Doprowadza Mnie do szału myśli, że może już wiem, kim jest Simon Błazen, tylko ktoś po prostu uniemożliwia Mi połączenie twarzy z imieniem.

O rety, pomyślał Caine. Ożeż w mordę.

To nie było nagłe olśnienie, raczej powolne zrozumienie: zdał sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie brzmi tak samo, jak na poprzednie.

Ponieważ jestem Aktorem.

Wzrok wszystkich tutaj robił się mętny, gdy tylko wspomniał o Simonie Błaznie albo Pallas Ril. Z nim nic takiego się nie działo, ponieważ w jego sercu, w umyśle, w hołubionych marzeniach o szczęściu nie było żadnego Simona Błazna. Nie było Pallas Ril. Była tylko Shanna. Nie kochał abstrakcji, gry w Szkarłatny Kwiat, w którą się bawiła; nie kochał postaci, wymyślonej bohaterki, Pallas Ril. Była tylko Shanna, zawsze to była Shanna.

I zawsze będzie Shanna.

Nie istniała odpowiedź, którą mógłby podać, nawet gdyby chciał. Nawet gdyby Shanna była jego najgorszym wrogiem, warunkowanie Studia zdusiłoby jego głos, a nawet zabiłoby go, nim prawda na jej temat opuściłaby jego usta. A im bliżej Ma'elKoth znajdował się odpowiedzi na swoje pytania, tym bliżej był prawdy o Cainie.

A w tym wypadku prawda była śmiertelnie niebezpieczna.

Umrę tutaj, pomyślał. W końcu zorientuje się, co jest grane, czym jestem, i wtedy mnie zabije. A nawet jeśli nie, to przecież podpisałem kontrakt na niego. Kiedy spróbuję go zabić, zdmuchnie mnie jak świeczkę.

Śmierć, jak słońce, była czymś, na co nawet on nie potrafił patrzeć obojętnie; przelotnie zastanowił się, czy Creele, Toa-Phelathon i inne jego niezliczone ofiary będą czekać na niego, ale zaraz odegnał tę myśl.

W najlepszym razie mogę liczyć na to, że uda mi się odesłać Shannę żywą na Ziemię. Wygram, przegram, będę żyć, umrę – mam to wszystko w dupie, jeśli ona będzie cała.

– Cóż to? – zapytał Ma'elKoth, pochylając się i przyglądając twarzy Caine'a. – Coś zrozumiałeś, widzę to. Powiedz mi. Teraz.

– Zdałem sobie sprawę, że już nie muszę być dla ciebie uprzejmy – odpowiedział Caine.

– Tak? – Ma'elKoth był raczej rozbawiony niż urażony.

Caine wzruszył ramionami, a potem posłał cesarzowi cyniczny półuśmieszek.

– Gdybyś nie potrzebował mnie do złapania Simona Błazna, już bym nie żył. Sam to powiedziałeś. Więc myślę sobie, że to głupie, martwić się, czy cię nie urażę.

Rozbawienie w oczach cesarza zaczęło blaknąć, a w jego dudniącym głosie zabrzmiała ukryta groźba.

– Głupie?

– Bądź rozsądny: pogódź się z faktami i daj mi się zabrać do roboty.

– Rozsądny, w rzeczy samej – zamruczał Ma'elKoth. Oparł łokcie na stole i zetknął dłonie końcami palców. – Rozsądny człowiek przystosowuje się do świata, nierozsądny upiera się przy próbach dostosowania świata do siebie. Dlatego cały postęp zależy od ludzi nierozsądnych.

To Shaw! – pomyślał wstrząśnięty Caine.

To było jedno z ulubionych powiedzonek Duncana. Gdzie Ma'elKoth mógł się natknąć na cytaty z ziemskiego autora? W dodatku zakazanego...

– Wiesz co... – zaczął ostrożnie. – Mój ojciec zwykł mi to powtarzać.

– Wiem. – Uśmiech rozświetlił twarz Ma'elKotha jak świt. – Już kiedyś Mi go zacytowałeś, a ja nigdy nie zapominam.

To zaszło zdecydowanie za daleko, pomyślał Caine.

– W porządku, poddaję się – powiedział.

– Słucham?

Poirytowany Caine pokręcił głową.

– Próbowałem zorientować się, skąd cię znam. To znaczy, słyszałem o tobie, znam twoją reputację z Wojny na Równinach i Wojny o Sukcesję, i widziałem, czego dokonałeś w Ankhaniu, ale cały czas mam wrażenie, że już się spotkaliśmy i że cię znam. Twoje zachowanie, sposób mówienia, wtrącanie w co drugim zdaniu ogólnika na temat natury rzeczywistości albo czegoś w tym stylu... Wiem, że się spotkaliśmy, gdzieś, kiedyś, ale na bogów, nie pamiętam. I, na bogów, nie rozumiem, jak mógłbym zapomnieć, że spotkałem wysokiego na siedem stóp, ważącego ze trzysta czterdzieści funtów adepta, który wygląda jak uosobienie erotycznych fantazji rzeźbiarza.

– Mmm, pochlebstwa.

Caine czuł, jak śmiech Ma'elKotha wibruje w jego własnej piersi.

– Znamy się, Caine. Mógłbyś powiedzieć, że spotkałeś mnie w moim poprzednim życiu. Już raz cię wynająłem.

– Naprawdę?

– Owszem. I przez jakiś czas współpracowaliśmy dość blisko. To było siedem lat temu, tuż przed Wojną na Równinach. Wynająłem cię, żebyś odzyskał koronę, która należała niegdyś do Dal'kannitha Tysiącrękiego.

Caine gapił się z rozdziawionymi ustami.

– Żartujesz.

Cesarz pokręcił z zadowoleniem głową.

– Nie. Znałeś Mnie jako Hannto z Ptrei, oraz, jak sądzę, pod dość niepochlebnyim przezwiskiem Kosa.

– Hannto... – mruknął z niedowierzaniem Caine. – Ty jesteś Hannto Kosa?

Człowiek, który wynajął Caine'a, by ukraść koronę Dal'kannitha, był cherlawą łasicą o szczerzym, przyszczatym pysku, może jakieś dziesięć lat starszą od Caine'a. Hannto był przywoitym taumaturgiem, ale nikim nadzwyczajnym; specjalizował się w nekromancji, żeby wspomóc swoje hobby – zbieranie pozostałości po różnych historycznych postaciach. Korona była jedyną rzeczą, jaka ostała się po legendarnym lipkeńskim dowódcy Dal'kannithcie, który później stał się personifikacją boga wojny. Zaginęła w czasach rewolty Jheretha, a ponad trzysta lat później Hannto wpadł na jej trop. Ale Hannto... był nikim, tak naprawdę. Caine złamałby go na pół jedną ręką. Był znany jako Kosa ze względu na swój wygląd: zapadłą pierś i zgarbione plecy.

A Ma'elKoth był, cóż...

Był Ma'elKothem.

– Nie jestem Hannto Kosą – odpowiedział cesarz. – Byłem nim kilka lat temu. Teraz jestem Ma'elKothem, cesarzem Ankhany, Tarczą Prorithuna, Lwem Białego Pustkowie i tak dalej, i tak dalej.

– Nie mogę uwierzyć...

Cesarz wyszczerzył zęby, najwyraźniej rozkoszując się wrażeniem, jakie zrobił.

– W co tak trudno uwierzyć? Mając moc korony i paru jeszcze kawałków, które zebrałem przez lata, przekształciłem samego siebie. – Przeciągnął się jak zaspany lew. – Uczyniłem się człowiekiem, którym zawsze chciałem być. Czy to takie dziwne? Czy nie zrobiłeś tego samego?

– Być może – zgodził się w zadumie Caine. – Ale moje osiągnięcia nie są tak, ehm, spektakularne...

– Jesteś zbyt skromny. Nawiasem mówiąc, zdobycie przez ciebie korony jest jednym z tych czterech punktów zwrotnych w historii cesarstwa, o których wspominałem. I najważniejszym, nawet jeśli to tylko moja opinia.

Caine nadal przyglądał się Ma'elKothowi, starając się dostrzec gdzieś w tej granitowej górze pewności siebie marudnego, neurotycznego, małego nekromantę, jakiego kiedyś znał.

– Czym ty jesteś? Tak naprawdę?

Ma'elKoth rozłożył ręce.

– Tym, co widzisz. Nie mam sekretów. Możesz to samo powiedzieć o sobie?

Na to także nie istniała bezpieczna odpowiedź. Caine nadal tylko patrzył. Po chwili Ma'elKoth westchnął i wstał.

– Skończyłeś jeść?

Chociaż Caine ledwo tknął jedzenie na talerzu, wzruszył ramionami.

– Chyba nie mam specjalnego apetytu.

– Dobrze, chodź za mną.

Ma'elKoth ruszył do drzwi. Caine szybko otarł kąciki ust i ukradkiem zimny pot z czoła.

Przynajmniej udało mi się zmienić temat, pomyślał.

Zmiał serwetkę i rzucił ją na talerz. Po chwili wstał i ruszył w ślad za cesarzem.

#### 4

Sala tronowa pałacu Colhari była ogromną, rozbrzmiewającą potężnym echem przestrzenią o marmurowej posadzce i ścianach wyłożonych trawertynem. Caine przypomniał sobie, jak szedł po tym marmurze, kiedy kroczył do Dębowego Tronu niemal dziesięć lat wcześniej.

Tel-Alcontaur, starszy brat Toa-Phelathona, przyznał Caine'owi tytuł barona za heroizm w walce z hordą Khulana pod Ceraeno. Studio nie było zainteresowane, żeby robiąca błyskawiczną karierę młoda gwiazda ustatkowała się w jakimś majątku na prowincji w Nadświecie, a poza tym zgodnie z tradycją obywatele klasztoru nie przyjmowali tytułów i odznaczeń oferowanych przez doczesnych władców. Wobec tego Caine zjawił się, żeby z szacunkiem odmówić staremu królowi i przedstawić oficjalną, uroczystą odmowę.

Pamiętał, jak pusta wydawała się sala, chociaż tłoczyli się w niej ramię w ramię arystokraci i dygnitarze, oficerowie i ważni obywatele wszelkiej maści. Wysokie, opalizujące łuki sklepienia odbijały pustym echem każdy dźwięk, co sprawiało, że miejsce wydawało się puste, choćby nie wiadomo jaki panował w nim tłok.

Dębowy Tron, na którym zasiadał teraz Ma'elKoth, nadal stał na szerokim prostokątnym podium, dwadzieścia siedem stopni powyżej rozległej posadzki. Wąskie gobeliny, przykurzone i poczernione od dymu lamp, wciąż wisiały między strzelistymi przyporami, ale na tym kończyły się podobieństwa do sali, którą Caine pamiętał.

Ma'elKoth wprowadził w niej pewne zmiany.

Przykurzone światło z południowych okien zniknęło w magmowej poświacie dwunastu brązowych koksowników, tak szerokich, że mógłby się w nich położyć i wyprostować wysoki mężczyzna. Węgielki tego samego rodzaju co te pod kotłem w Małej Sali Balowej płonęły w nich, dając światło i ciepło bez dymu. Nie wyglądały, jakby się spalały, ale ich światło nie było tak stabilne jak rzucane przez lampy – przeciwnie, poruszało się i pulsowało, ożywiając cienie.

Na środku podłogi wzniesiono ogromną platformę, wysoką na dziewięć stóp, o bokach długich na kilkaset stóp. Udrapowano na niej tyle bordowo-złotej tkaniny, że można by nią odziać całą służbę pałacową.

Ponad tym wszystkim wznosił się odlany w brązie posąg nagiego Ma'elKotha.

Lśniący figura stała z rękoma na biodrach i rozstawionymi stopami w pozie podkreślającej władzę i siłę, z krocem znajdującym się jakiś metr powyżej poziomu platformy. Nawet najdelikatniejszy ślad patyny nie przyćmiewał połysku potężnej muskulatury, a wyraz twarzy stanowił idealny wizerunek życzliwości i ciepła. Ze swojego

punktu widzenia Caine widział, że posąg ma dwie strony, więc w przeciwnym kierunku z platformy patrzyła druga twarz.

Pokiwał głową. Uznał, że podwójne oblicze posągu to ostrzeżenie.

Między nogami posągu znajdowała krótka zjeżdżalnia, prowadząca z platformy do płytkiej misy u stóp tronu. Caine ledwo dostrzegał cień herkulesowego penisa po drugiej stronie posągu; po tej znajdowała się opuchnięta fałda w kroku, która wyglądała jak stylizowany symbol pochwy.

Caine miał przeczucie, że sprawy przybiorą dziwny obrót.

Usiadł w maleńkiej, przesłoniętej zasłonami alkowie tuż za tronem. Stały tam dwa krzesła; usiadł na jednym z nich z okiem przyciśniętym do judasza w ścianie za plecami Ma'elKotha. Cesarz wskazał mu to miejsce, wyjaśniając, że nie chce rezygnować z przyjemności jego towarzystwa tylko dlatego, że nadszedł czas na udzielenie audiencji.

Tak więc Caine siedział i patrzył, jak do sali tronowej zaprasza się delegację za delegacją, z całego cesarstwa. Jeden rzecznik z każdej grupy podchodził i wspinał się po schodach tronu, żeby przedstawić prośbę. Ma'elKoth wysłuchiwał go i kiwał głową, a kiedy kończył, kierował delegację do platformy. Podchodzili pod nią i zdejmowali ubrania.

Sznur nagich mężczyzn i kobiet, począwszy od pokornych właścicieli ziemskich, a zakończywszy na książętach cesarstwa, wspinał się po schodach na platformę.

Dołączali do rosnącego tam tłumu – tłumu nagich, drżących mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Czekali i patrzyli, nieco podenerwowani, co było dość zrozumiałe, podczas gdy Ma'elKoth załatwiał sprawy z następnymi przybyszami.

Przez cały ten czas Ma'elKoth półgłosem komentował sytuację na użytek Caine'a. Mówił coś o każdym baronie albo rycerzu, o kłopotach na ich ziemiach, dawnych politycznych koneksjach, obecnych ambicjach, oraz o tym, jaki pożytek może mieć z nich w swoim Wielkim Dziale. Wypowiedzi bywały bardzo różnorodne, ale zawsze wracały do Ma'elKotha, jego dokonań i planów.

Caine podejrzewał, że Ma'elKoth trzyma go tam i mówi mu to wszystko dlatego, że Caine wie, kim cesarz był w przeszłości, i dzięki temu docenia, jak daleko zaszedł i ile dokonał. Kryjąca się za tym potrzeba aprobaty zapewne była jego jedyną ludzką słabością.

Caine powoli – chociaż z pewnymi oporami – doszedł do wniosku, że właściwie w pewnym sensie lubi Ma'elKotha. Było coś ogromnie pociągającego w jego nieograniczonej, niewysilonej pewności siebie; jego arogancja była tak w pełni poparta mocą, że stawała się niemal cnotą. Za każdym razem, kiedy Caine zapominał, po co tu jest i co będzie musiał zrobić, czuł, że lęk znika, i łapał się na tym, że ten człowiek go pociąga. Może nie do końca w ludzkim rozumieniu pociągania, ani nie w sensie przyjaźni, ale raczej tak jak ludzi pociągają morze albo góry.

Jak mógłby nie polubić kogoś, kto tak ewidentnie cieszy się faktem, że żyje, że jest tym, kim jest?

– Zniszczyłem koronę, rzecz jasna – mówił Ma’elKoth. – Była tylko kluczem do bramy wiążącej moc, którą teraz zyskałem, i nie widziałem sensu w tym, żeby pozwolić komukolwiek innemu uzyskać do niej dostęp. I mogłem wykorzystać tę moc... – przesunął ręką po szatach, jakby mówił „voilà!” – ...do stworzenia siebie na nowo wedle dowolnego wizerunku, jaki wybiorę. Po pierwsze, uczyniłem siebie pięknym. Pamiętając, jak wyglądał Hannto, na pewno rozumiesz dlaczego. Potem dałem sobie bystrość umysłu, intelekt niemal wszystkowiedzący. Następnie dałem sobie kolejną formę mocy: prawie nieograniczone bogactwo. Ostatnio zostałem cesarzem ankhańskim: zyskałem siłę polityczną, prawdziwą władzę. Ale to jeszcze nie koniec.

– Nie? A co zrobisz na bis? Staniesz się bogiem?

– W rzeczy samej.

Tak się złożyło, że następni w kolejności wysłannicy przybyli w imieniu wolnych farmerów z Kaarn; przemierzili tysiąc mil, żeby poprosić cesarza o przerwanie suszy, która paliła ich pola. Ma’elKoth wyraził zgodę i odesłał ich na platformę.

Kiedy odchodzili ze sztywną godnością, Caine szepnął:

– To dopiero obietnica.

Ma’elKoth odpowiedział zaraźliwym, heroicznym śmiechem.

– Dotrzymam jej. Jaki byłby ze Mnie bóg, gdybym nie potrafił nawet sprowadzić deszczu?

– To żart, prawda?

– Hm, być może.

Poświęcił chwilę na rozpatrzenie sporu o ziemię między dwoma kirischańskimi baronami. Dobrze załatwił sprawę – na ile Caine potrafił to ocenić. Obaj baronowie wydawali się zadowoleni, kiedy nurkowali pod materiał spływający z platformy. Wtedy Ma’elKoth wrócił do tematu.

– Jak na ironię, to *Aktiri* zainspirowali Mnie do tego.

Caine cieszył się, że jest niewidoczny za ścianą. Przełknął ślinę i postarał się nadać głosowi niedbały ton:

– *Aktiri*? Nie jesteś trochę za duży, żeby wierzyć w *Aktirich*?

– Ech, Caine, gdybyś widział to, co ja...

– Myślałem... cóż, mówiąc szczerze, myślałem, że całe to polowanie na *Aktirich* to tylko wybieg, żeby zmieść polityczną opozycję.

– I tak właśnie było. W końcu jestem tyranem: zagarnąłem tron, nie mając żadnych praw do sukcesji. Właściwie to wywodzę się z pospólstwa. – Cesarz rozsiadł się wygodniej na Dębowym Tronie i spojrzał ponuro na poddanych. – Pomimo moich umiejętności i popularności wśród zwykłych obywateli cesarstwa, arystokracja burzyła się przeciwko Mnie od dnia, kiedy przejąłem władzę. Oskarżenie jakiegoś hrabiego lub barona o bycie *Aktirem* nie tylko niszczy wiarygodność opozycji, ale też daje Mi absolutnie zgodny z prawem pretekst,



żeby ich zabić. I owszem, myślałem, że *Aktiri* to nic więcej jak tylko bajki, wygodne zjawy, za którymi można ukryć twarze moich wrogów... Dopóki nie spróbowali Mnie zabić. Ośmiu mężczyzn z bronią, jakiej nikt nigdy nie widział, plującej śrutem jak rzygacz deszczówką, zaatakowało Mnie w pokojach mojego pałacu. Dwudziestu sześciu moich ludzi zginęło, a tylko siedmiu z nich to byli Rycerze Pałacowi i trzej to giermkowie; reszta była nieuzbrojona: służący, mężczyźni i kobiety, w tym trzech paziów, czyli ledwie dzieci.

Caine skrzywił się za skrywającą go ścianą.

Ośmiu ludzi z karabinami... Kollberg, ale z ciebie bohater.

– Wziąłem sześciu z nich żywcem. Trzech zmarło w Teatrze Prawdy pod opieką mistrza Arkadeila. Tam właśnie dużo się dowiedziałem o *Aktirich*. Są takimi samymi ludźmi jak ty, jak niegdyś ja. Jakiś przymus, czar rzucony przez ich panów, odbiera im oddech, kiedy próbują mówić o swoim świecie, ale i tak wiele się od nich dowiedziałem, a jeszcze więcej od pozostałych trzech, których zabiłem własnymi rękoma.

Wiele się dowiedziałem?!

Caine doskonale znał ograniczenia narzucane przez studyjne warunkowanie, wrażenie dławienia, jakby ktoś zaciskał człowiekowi dłoń na gardle przy próbie choćby odezwania się po angielsku w Nadświecie. Studio twierdziło, że to niemożliwe, by Aktor zdradził siebie albo kogoś innego jako Aktora, choćby zastosowano nie wiadomo jaki przymus – umarłby, gdyby już dłużej nie był w stanie zachować milczenia.

– To był ten czar, o którym mówiliśmy, ten, którego niemalże użyłem na tobie – ciągnął Ma’elKoth, jakby znał myśli Caine’a. – Rozwinąłem go i dopracowałem w wielorakich eksperymentach na licznych wrogach cesarstwa. Kiedy jestem w transie widzenia wewnętrznego, z pomocą tego czaru mogę uwięzić blednącą esencję wspomnień człowieka, jego duszę, jeśli tak wolisz to nazywać, gdy kończy się życie, które utrzymywało ją w ciele. W ten sposób wiele się dowiedziałem o ich świecie.

Lodowata dłoń przesunęła się po kręgosłupie Caine’a. A ja jestem jednym z najsłynniejszych ludzi tamtego świata, pomyślał.

– Tam ludzkość dominuje. Posiada świat na własność i zachowała tylko mgliste legendy o podludziach. Wszyscy mówią w prostym języku i władają magią, która przerosłaby twoją wyobraźnię, gdybym spróbował ci coś o niej opowiedzieć. Pomyślałbyś, że oszalałem. – Ma’elKoth urwał, patrząc w dal, jakby smakował cuda tamtego obcego świata. – Szukałem wśród ich wspomnień powodu zwycięstwa ludzkości, dlaczego tam ludzie tyle zyskali, podczas gdy nam zostało tak niewiele, i myślę, że to odkryłem.

Caine zakaszał w dłoń.

– Tak?

– To nasi bogowie, Caine. Bogowie władają nami, wstrzymują nas. Chociaż Porozumienie z Pirichanthe powstrzymuje ich przed bezpośrednią interwencją w ludzkie sprawy, nadal sprzecząją się i walczą poprzez swoich kapłanów i wyznawców. Nie zamierzają

zakończyć konfliktu, marnują siły, których można by użyć do obrony rasy. A *Aktiri*... Ponad cztery tysiące lat temu mała grupa pustynnych jeźdźców z ich świata wymyśliła coś zadziwiającego. Uznali, że ich bóg jest jedynym prawdziwym bogiem, a wszyscy pozostali są albo wytworami wyobraźni, albo demonami, które zwodzą swoich wyznawców. Po dwóch tysiącach lat wyznawcy tego Jedyne Boga zaczęli nauczać, ale nie w naszym rozumieniu tego słowa, nie próbowali jedynie przekonać ludzi, że wyznawanie ich boga da im większe szczęście albo zapewni powodzenie. Oni nie pozwalali czcić żadnych innych bogów! Często mordowali kapłanów i wyznawców i niszczyli świątynie konkurentów. Z czasem ta taktyka przyniosła im sukces. Nadzwyczajny jest fakt, że żaden z tych *Aktirich* nie miał pewności, czy ów bóg w ogóle istnieje! Rozumiesz? Jeśli tyle można zdziałać z bogiem, który może być tylko konceptem intelektualnym, to o ile potężniejsza będzie idea jednego boga, który jest obecny, ma prawdziwą moc i potrafi zjednoczyć wszystkie ludzkie dusze, by stanęły przeciw zagrożeniom, jakim stawiamy czoło? Ja jestem tym bogiem, Caine. Stałem się bogiem, żeby uratować ludzką rasę przed wyginięciem.

Nie wiem, czy to ty jesteś kompletnym pojebem, czy ja, pomyślał Caine. W pewnym sensie niemal w ciebie uwierzyłem.

– Rety... – powiedział.

– Dobrze powiedziane.

– Wybaczysz mi impertynenckie pytanie?

– Już wybaczyłem. Kilka razy.

Caine uznał to za aprobatę.

– Stałeś się bogiem, bo chciałeś ratować rasę, czy chcesz ratować rasę, bo wtedy masz pretekst, żeby stać się bogiem?

Śmiech Ma'elKotha poniósł się po sali tronowej, na co wzdrygnął się zaskoczony tłum, a także większość straży.

– To po części dlatego cenię sobie twoje towarzystwo. Sam od czasu do czasu zadawałem sobie to pytanie. Uznałem, że odpowiedź nie jest istotna.

Następna delegacja wspięła się po schodach z wyraźnymi oporami i nic dziwnego; z tego, co widzieli, Ma'elKoth mrucał coś cicho pod nosem od pewnego czasu, a teraz zaśmiał się w głos z żartu, który sam sobie opowiedział.

To nie umocni jego reputacji jako osoby zdrowej na umyśle.

Załatwił prośbę szybko i gładko, a kiedy delegacja zaczęła się oddalać, podjął rozmowę:

– A być może największym zagrożeniem, jakiemu stawia dziś czoło ludzkość, są właśnie owi *Aktiri*.

– Ja, ehm... – zaczął Caine. – To, hm... Nie uważasz, że to lekka przesada?

Ma'elKoth obrócił wielką, lwią głowę, napotykając spojrzenie Caine'a zerkającego przez judasz. W jego oczach płonął słuszny gniew i nienawiść tak gorąca, że Caine poczuł ją aż w trzewiach.

– Nie masz pojęcia, jak złe są te istoty – powiedział cesarz. – To śmiertelni wrogowie rodzaju ludzkiego, a moi w szczególności. Powiedz Mi, spróbuj odgadnąć, po co tu się zjawili, dlaczego zabili moich ludzi i próbowali Mnie zamordować, dlaczego gwałcili nasze kobiety i mordowali nasze dzieci. Spróbuj.

Caine odkrył, że nie może wykrztusić słowa. Żołądek zacisnął mu się w supeł.

– To rozrywka! Są gorsi od demonów. Nawet Zewnętrzne Moce polują na ludzi, by się żywić, karmić się naszym strachem i rozpaczą; *Aktiri* robią to, żeby wypełnić leniwe godziny. Po prostu dla zabawy!

Nienawiść w głosie Ma’elKotha zabolęła Caine’a jak policzek.

– Jeśli to nie jest złem, nie wiem, co nim jest.

Caine odkaszlnął i odzyskał głos.

– Cóż, wygląda na to... To jest, chciałem powiedzieć, że z tego, co mówisz, są trochę jak... jak gladiatorzy.

– Gladiatorzy nie mordują dzieci. Gladiatorzy nie mordują królów. Zresztą nawet gladiatorów uważam za obrzydliwych. Zabroniłem podejmowania takich zajęć w cesarstwie.

W sali tronowej wynikło jakieś zamieszanie, rozległ się pomruk wśród nagiego tłumu na platformie i kilku delegacji czekających na poziomie posadzki. Drzwi otworzyły się i w stronę tronu ruszył Berne, stukając głośno obcasami o marmurową posadzkę.

Wielki, gołębioszary plaster rozciągał mu się w poprzek nosa, wokół oczu miał fioletowe sińce. Na ten widok Caine’owi zrobiło się przyjemnie ciepło.

– A skoro już mówimy o złu wcielonym... – powiedział szybko, ciesząc się, że ma okazję zmienić temat. – Idzie twój najnowszy hrabia.

Berne odepchnął ramieniem następną delegację i podbiegł do tronu, przeskakując po dwa stopnie na raz. Opadł na kolano przed cesarzem i odezwał się pospiesznie:

– Ma’elKoth, wybacz, wiem, że powinienem był zjawić się godzinę temu, ale...

Cesarz uśmiechnął się do niego pobłaźliwie.

– Nie spóźniłeś się na Rytuał, chłopcze. Jakie nowiny?

– Znalazłem *Aktirich* – wydyszał Berne.

Caine przyglądał mu się przez judasz, kiedy dzielił się nowiną z cesarzem. Informator Berne’a zidentyfikował kryjówkę ściganych – opuszczony magazyn w Parku Przemysłowym – i Koty już otoczyły to miejsce. Na razie czekali i obserwowali, nie chcąc wykonać ruchu, dopóki nie będą mieli pewności, że złapią w sieć także Simona Błazna.

Ale Shanna jest już w Donżonie, pomyślał Caine. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo jeśli wejdzie w tę pułapkę, nie sądzę, żebym wydostał się stąd wystarczająco szybko, żeby ją uratować.

I zaraz potem z pewnym opóźnieniem zadał sobie pytanie: kim, do diabła, jest ten informator?

Patrząc na Berne’a, odkrył, że przynajmniej na razie nie czuje palącej potrzeby, żeby

popędzić na podium i zatłuc go na śmierć. Może, będąc odłączonym, nie czuł presji, żeby zabawić widzów, i stał się mniej nierozważny. Albo to nagła niepewność, nieznamoma wątpliwość „może jednak wcale nie muszę się z nim bić” zgasła w nim iskierkę żądzę krwi.

Nienawiść jednak nadal w nim płonęła, równie gorąca jak zawsze.

Kiedy Berne skończył swoją opowieść, pobłażliwość zniknęła z uśmiechu Ma'elKotha, a jego głos stał się ojcowski i karzący:

– Złamałeś obietnicę, Berne.

– He? – Wyglądał na zaskoczonego, zakłopotanego, ale nagle jego twarz rozpodziła się, kiedy w przepaszającym geście dotknął plastra na złamanym nosie. Spuścił wzrok i jak skruszony uczeń złożył dłonie na podbrzuszu. – Wiem, wiem, obiecałem, ale...

– Ale co?

– Kiedy rzucił się na mnie... straciłem panowanie nad sobą, po prostu. Ale tak naprawdę nic mu nie zrobiłem.

Tak tylko myślisz.

Caine'a nadal bolało całe ramię po tym, jak Berne złapał go nadnaturalnie silną dłonią, siniacząc aż do kości.

– Będziesz traktował Caine'a z szacunkiem i poważaniem, dopóki jest na służbie u Mnie. Pożałujesz, jeśli jeszcze raz będę musiał ci o tym przypomnieć.

– Przykro mi, Ma'elKoth. Naprawdę.

– I przeprosisz za to.

– Ma'elKoth...

Cesarz uniósł brodę o centymetr i protest Berne'a zgasł w załężku.

Spuścił wzrok.

– Słyszałem, że, ehm, złapałeś go...

– Owszem. Nawet więcej, właśnie cię obserwuje.

Ma'elKoth skłonił odrobinę głowę w lewą stronę, ku judaszowi. Berne podążył wzrokiem za tym ruchem i spojrzał Caine'owi w oczy. Odsłonił zęby.

– On... – Szyja Berne'a się zaczerwieniła. – Niech mnie koziół wydyma. Posadziłeś go na moim krześle?! – To pytanie zdusił tak, że wypowiedział je chrapliwym szeptem.

– Cześć, szopie praczu – rzucił kpiąco Caine.

Sińce wokół oczu Berne'a poczerniały na tle szkarłatu, który wypłynął na jego twarz, na szyi wystąpiły mu żyły.

– Caine, to było dziecinne, niegodne ciebie – stwierdził Ma'elKoth. – Berne, teraz przeprosisz.

– Ale...

– Już.

Berne z trudem wydusił słowa przez zaciśnięte zęby:

– Przepraszam, Caine.

Caine wyszczerzył do niego zęby, chociaż Berne nie mógł widzieć jego twarzy.

– Przeprasiny przyjęte.

– Caine, ciebie dotyczy to samo ograniczenie. Szacunek i poważanie, dopóki jesteście u Mnie na służbie.

– Jasne, czemu nie. To nie potrwa wiecznie.

– To się jeszcze okaże, drogi chłopcze. Berne, zajmij swoje miejsce przy ślizgawce. Za kilka minut zacznę Rytuał.

– Ma’elKoth...

– Idź.

Berne szybko się odwrócił i zszedł po schodach. Caine patrzył, jak tamten odchodzi, po czym powiedział:

– Nie rozumiem, jak możesz korzystać z usług tego popaprańca. Trudno go nawet nazwać człowiekiem.

– Niektórzy to samo powiedzieliby o tobie. – Ma’elKoth machnął lekceważąco dłonią. – Uczyniłem go, można powiedzieć, najwyższym kapłanem kościoła Ma’elKotha, głównie dlatego że jest skuteczny. Zrobi, cokolwiek mu każę. Zabiłby dla Mnie własną matkę.

– Tak? A myślisz, że miał matkę?

Ma’elKoth zaśmiał się.

– Daj spokój, Caine. Przyznaję, nie on był moim pierwszym wyborem, tylko ty.

– Słucham?!

– O, tak. Miałem nadzieję, że się spotkamy. Przyciąganie, którego ostatnio na tobie dokonałem, pochłania zdecydowanie za dużo mojego i tak już ograniczonego czasu, a także uwagi. Berne okazał się substytutem, który mogę zaakceptować. Od czasu sprawy z koroną byłem pod wielkim wrażeniem twojej wytrwałości i pomysłowości, już nie wspominając o braku litości. Nawet teraz mam nadzieję, że staniesz się moim najbardziej zaufanym towarzyszem. W końcu obecnie naprawdę nie możesz odmówić przyjęcia tytułu szlacheckiego; śmiem twierdzić, że Klasztory nie mogą już liczyć na twoją lojalność, nie po zeszłym wieczorze.

To byłby bardzo kiepski pomysł, pomyślał Caine.

– Więc chcesz mi dać robotę Berne’a, tak? – zapytał, starając się zmienić temat i nadal robić wrażenie, jakby rozważał propozycję. – W pewnym sensie już to uczyniłeś. Poluje na Simona Błazna, prawda?

– Nie, nie przejmiesz zadań Berne’a. Chcę, żebyś działał niezależnie. Przekonałem się, że dwaj ludzie złączeni wspólnym celem, ale działający oddzielnie, nawet konkurujący ze sobą, osiągają ten cel szybciej i skuteczniej niż jeden.

– Aha, trochę tak, jak to było... – Caine urwał i po chwili dokończył w myślach:...ze mną i Berne’em w Wyścigu po koronę Dal’kannitha. – Zawsze pracujesz w ten sposób?

– To nie zabrzmiało jak pytanie.

Caine przelknął gniew.

– Bo to nie było pytanie. Już raz mi to zrobiłeś. Z koroną – stwierdził beznamiętnie. – Pracował dla ciebie, prawda? Przez cały czas pracował dla ciebie... Wynająłeś Berne'a w tym samym czasie co mnie.

– Hm, nie całkiem. Wynająłem go po tym, jak twoja pierwsza próba się nie powiodła.

– Wiesz, co on zrobił? Co ten złajdaczony kutas mi zrobił?!

– Wiem, co zrobiliście sobie nawzajem.

– Ale ty dostałeś koronę i tylko to się dla ciebie liczyło.

– W rzeczy samej. Wiem, że to cię gniewa, ale wiem też, że na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie to samo. Ostatecznie, co jest ważniejsze: władza czy metoda jej zdobycia? – Ma'elKoth uśmiechnął się pobłaźliwie. – To pytanie retoryczne, mój drogi. A teraz mam jeszcze trzy delegacje, a potem powinienem zacząć Rytuał.

– Co to za rytuał?

– Zobaczysz. Ci ludzie przynoszą mi wspanialsze dary niż trybut czy podatki, a Rytuał to sposób, w jaki je przyjmuję. A teraz siedź już cicho.

Załatwił ostatnie trzy delegacje sprawnie, sprawiedliwie i szybko. Kiedy przybysze złożyli ubrania pod platformą i dołączyli do nerwowego tłumu, skinął leniwie ręką na kapitana Rycerzy Pałacowych. Kapitan zasalutował, odwrócił się, wydał zwięzłe rozkazy oddziałowi. Część Rycerzy weszła na platformę, zaganiając nagi tłum tak, by ludzie ustawili się z grubsza w kwadrat, podczas gdy inni otworzyli mniejsze drzwi i wprowadzili jeszcze więcej nagich mężczyzn i kobiet.

Caine zgadywał, że do rytuału – czymkolwiek tak naprawdę był – potrzebna jest określona minimalna liczba ludzi. Nowo przybyli wyglądali na przymusowych „ochotników”, przerażonych mieszkańców miasta zagonionych do pałacu siłą, by dopełnić liczbę. Echo wypełniło salę, kiedy wszyscy naraz pytali siebie nawzajem, Rycerzy i czekających powyżej delegatów: „Co jest grane, do cholery?”.

Ma'elKoth wstał i w paplaninę wkradła się nuta strachu.

Uniósł ręce.

Natychmiast zapadła cisza.

Napięcie w sali stało się prawie namacalne; żółtawe, zapierające dech w piersi lśnienie unosiło się w powietrzu jak światło przed letnią burzą.

W tej ciszy Ma'elKoth zaczął przemawiać.

Jego głos poniósł się niczym grom, stosownie do błyskawic, które się ukazały w oczach cesarza; długie, dźwięczne frazy, zarazem rytmiczne i nieprzewidywalne, powoli nabierały rytmu, jak piosenki elfów. Długi wiersz o miłości, braterstwie, ognisku domowym i rodzinie, którego metrum jakby samo dopasowało się do bicia serca Caine'a, a siła rozkołysanego rytmu zmyła znaczenie pojedynczych słów. Caine nie potrafił nadążyć za słowami, przemykały tylko po powierzchni jego umysłu, ale uruchamiały obrazy w jego głębinach:

ciepło kolan matki; słodka chrapliwość jej głosu, kiedy czytała mu z książki, szeroko otwartej przed jego oczami dziecka; siła ojcowskiej dłoni na ramieniu, gdy desperacko próbował zachować równowagę na rowerku. Niespodziewanie poczuł łyż palące go w oczy z powodu tego, co zostawił za sobą, i z powodu niesamowitej obietnicy tego, co może jeszcze odnaleźć na swojej drodze.

Uniesione ręce Ma'elKotha zaczęły się kołysać, na początku delikatnie, jak konary dębu poruszane wietrzykiem, ale wkrótce uderzały powietrze jak skrzydła orła, wznoszącego się majestatycznie ku bezkresnemu niebu. Obrócił się raz w jedną, raz w drugą stronę, zmienił pozycję, a Caine'owi zaparło dech w piersi.

To było niewiarygodne, ale cesarz zaczął tańczyć.

Przy akompaniamencie jedynie własnego, dźwięcznego głosu Ma'elKoth tańczył. To był powolny taniec pełen niewiarygodnej gracji; cesarz poruszał się z nieodpartą elegancją demona z teatru kabuki.

Caine znał się na magji dostatecznie, żeby się zorientować, co się dzieje; z trudem oderwał wzrok od Ma'elKotha. Domyślał się, że zdołał tego dokonać tylko dzięki temu, że rytuał nie był adresowany do niego, lecz do tłumu na platformie. Zauważył, że strażnicy w Sali Tronowej pilnowali się, żeby odwrócić twarze. Tłum na platformie kołysał się w podziwieniu, z rozdziawionymi ustami, idealnie zgrany z nieodpartym urokiem tańca Ma'elKotha. Ludzie zaczęli pojękiwać – te ciche, lecz wyraźne dźwięki stanowiły kontrpunkt dla grzmiącego głosu cesarza.

Ma'elKoth gestykulował z większym rozmachem, jego kroki stały się jeszcze bardziej rozkołysane, a głos nabral niesamowitej energii, wszystko narastało ku wstrząsającej kulminacji – i wtedy nagle cesarz się zatrzymał.

W szokującej ciszy rytm trwał – niemal niesłyszalny, jambiczny pomruk; Caine zamknął oczy i odciął się od szumu krwi w uszach. Usłyszał: „A-ach, a-ach, a-ach...”.

Oddech.

To był oddech setek ludzi na platformie, wzdychających w idealnej harmonii.

Kiedy znowu otworzył oczy, Ma'elKoth spoglądał na niego przez ramię. Usta cesarza wykrzywiły się w kpiącym półuśmiechu. Ma'elKoth mrugnął do niego szelmowsko.

Chwilę potem Caine przypomniał sobie, żeby znowu oddychać.

Ma'elKoth odwrócił się do grupy nagich ludzi, którzy stali z otwartymi ustami w zaklętym wyczekiwaniu.

– Oto słowa, które powinniście wypowiedzieć, aby związać swoje dusze ze Mną na zawsze:

*Tą oto krwią z własnego serca ochrzczony będę jako dziecię Ma'elKotha.*

*Służyć będę marzeniu o Jednej Ludzkości całym swoim sercem.*

*Przyśięgam służyć ciałem i wieczną duszą Sprawiedliwości Ma'elKotha,*

*Prawdzie i Żywemu Bogu, Ojcu Wszechmogącemu.*

*Poprzez to przejście do nowego życia jestem Odrodzony.*

*Odradzam się bez skazy i żadnych więzów poza tymi, które wiążą mnie ze Świętym Kościołem.*

*Ogłaszam teraz i na wieki wieków, że nie ma innego Boga prócz Ma'elKotha, a ja jestem jego żywym Dzieckiem.*

Strażnicy na platformie rozdali ludziom maleńkie złote kielichy, które ci odruchowo przyjęli. Proste uchwyty złotych pucharków naostrzono jak noże i za ich pomocą każde przysze Dziecię Ma'elKotha otworzyło sobie żyłę lewego nadgarstka i wlało do naczynia gęstą jasną krew.

Chwilę potem strażę wyciągnęły z tłumu mężczyznę, na którego nadgarstku nie było krwi. Ma'elKoth skinął głową i nakazał gestem, aby przyprowadzić go przed jego oblicze.

– Nie ofiarowałeś krwi – powiedział. – Nie złożysz przysięgi?

Mężczyzna miał ogoloną głowę jak kapłan, a nosił się jak wojownik. Stał nagi, lecz bez lęku, nawet nie zniżył się do szarpania się ze strażnikami.

– Cesarzu, panie mój... – odparł. – Służę bogu burzy Rudukirischowi od dnia, w którym nadano mi imię. Żadna siła nie zmusi mnie, bym się go wyparł, a błyskawica jego wzroku zabije każdego, kto zechce mnie skrzywdzić.

– Tak, tak, tak... – odparł z rozdrażnieniem Ma'elKoth. Zerknął przez ramię na Caine'a i mruknął: – Od czasu do czasu przydarza się coś takiego, kiedy się zgarnia ludzi na oślep. W pewnym sensie jest mi to nawet na rękę. – Odwrócił się z powrotem do platformy i odpowiedział dźwięcznie jak zawsze: – Rozumiem twą niechęć, ale na nią nie pozwalam. Zostaniesz zabity.

Kapłan wykrzyczał jakieś słowa w kirischańskim dialekcie, którego Caine nie znał, i na zewnątrz rozległ się nagły huk gromu, a w sali rozbłysło oślepiające światło. Kiedy Caine odzyskał wzrok, kapłan Rudukirischa stał obleczony w fantastyczną, barokową zbroję i trzymał oburącz młot bojowy, niemal dorównujący jego wzrostowi.

Rycerze Pałacowi, którzy trzymali kapłana za ręce, upadli, a z ich zbroi uniósł się dym.

Kapłan promieniał mocą – trzaskająca aura błękitnobiałej błyskawicy, która pięła się w górę niczym wijący się bicz naładowany elektrycznością, rzucała czerwone cienie na twarze zaczarowanej gawiedzi.

– A teraz dowiesz się, co to znaczy rozgniewać Gromowładnego!

– O tak... – odparł z zapalem Ma'elKoth. – Więc bierz się do roboty.

Kapłan skierował młot w stronę tronu i z broni wystrzeliła błyskawica. Ma'elKoth nie poruszył się, nie wykonał żadnego gestu w swojej obronie, nie wypowiedział żadnego chroniącego zaklęcia. Błyskawica wypaliła dymiącą dziurę w szacie na jego piersi, a sama szata zapłonęła z nienaturalną intensywnością. Nawet przez maleńki judasz Caine czuł żar



palący go w oczy, kiedy materiał płonął na cesarzu.

A kiedy szata się spaliła, pośród popiołów stał Ma'elKoth, z nagą piersią i boso, w samych skórzanych bryczesach sięgających kolan.

Nawet nie mrugnął powieką.

Mięśnie zagrały na jego przedramionach, kiedy uniósł otwartą dłoń do sufitu, a potem zamknął ją, jakby chwycił moc ponad sobą. Zamachnął się pięścią w stronę kapłana stojącego w dole, jakby strzelał z niewidzialnego bicia.

Kapłan uniósł młot, żeby osłonić się przed ciosem, a jego zbroja z błyskawic zajaśniała boską ochroną. Cała jego kapłańska moc, odwaga, miłość i oddanie dla boga niczego nie zmieniły: kiedy siła przywołana przez Ma'elKotha uderzyła w niego, młot, symbol jego wiary, eksplodował mu w dłoniach niczym granat.

Krew trysnęła z postrzępionego kikuta ręki, a odłamki młota pocięły ciało kapłana jak szrapnele. Rycerze Pałacowi zasłonili go ciasnym kręgiem i odciągnęli z widoku, za posąg.

– Twoja odwaga zapewniła ci ten zaszczyt – huknął Ma'elKoth. – Oczyszczysz drogę wiernym.

Krew zaczęła teraz kapać ze stylizowanej waginy posągu. Caine'owi mignęły nogi kapłana, kiedy Rycerze go odwrócili, jakby wsadzali go do brzucha posągu głową naprzód; w torsie statuy musiał być jakiś tunel. Kapiąca krew prawdopodobnie należała do kapłana. Nogi zniknęły z pola widzenia. Caine usłyszał tylko stłumiony jęk. Potem głowa kapłana i ramiona wynurzyły się z waginy posągu; kapłan zatrzymał się, podwieszony do góry nogami, krew spływała mu na twarz i kapała na brązową zjeżdżalnię.

Wysoki, barczysty mężczyzna w ciemnobrązowych szatach ankhańskiej położnej wyszedł spod platformy. W dłoniach miał krótki, prosty miecz o szerokim, jednosiecznym ostrzu. Na twarz wypłynął mu uśmiech seksualnego podniecenia.

Był to – naturalnie – Berne.

Kapłan dostrzegł go i krzyknął:

– Wyznaję moc Rudukirischa! Wyznaję...

Berne uciął krzyk srebrzystym łukiem szerokiego ostrza. Miecz przeciął szyję kapłana, roztrzaskał kręgi szyjne i wyszedł z drugiej strony. Berne otarł go z krwi jednym prostym gestem zawodowca, a głowa kapłana z nadal szeroko otwartymi ustami, spadła w fontannie krwi na zjeżdżalnię i sturlała się do misy. Jego serce, znajdujące się wysoko w górze, nadal zaciekle biło, z rozciętych arterii tryskał szkarłat i wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim fontanna zamieniła się w kąpiący strumyczek. Cokolwiek trzymało ciało, teraz je wypuściło – kapłan ześliznął się gładko po zalanym krwią brązie i wylądował bezwładnie w misie.

Przez cały ten czas spętany czarem tłum obserwował te wydarzenia w milczeniu.

Teraz Rycerze zapędzili ludzi w kolejkę obok posągu. Każdy ochoczo podążył drogą kapłana, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby wylać sobie na głowę krew z pucharka,

intonując słowa przysięgi, a potem wślizgując się głową do przodu do brzucha posągu i wypadając przez waginę. Zjeżdżał w dół do misy, skąd strażnik odprowadzał go na bok, aby się obmył z krwi i zabandażował nadgarstek.

Czasem bez powodu i bez sygnału, który Caine zdołałby dostrzec, ktoś grzęznął głową do dołu; ostrze Berne'a tylko błyskało i kolejna głowa i ciało spadały do misy osobno. Drgające ciała zostawały tam, stanowiąc przerażającą poduszkę dla żywych, którzy szli ich śladem.

Ma'elKoth odsunął się od kupki popiołu, w który zamieniły się jego szaty, i znowu zasiadł na Dębowym Tronie. Westchnął i rzucił w zamyśleniu:

– No i co o tym myślisz?

Caine patrzył zahipnotyzowany niekończącym się sznurem mężczyzn i kobiet zjeżdżających do misy.

– To... ehm... dość makabryczne. Nie uważasz?

– Jak każde narodziny – odpowiedział Ma'elKoth.

– Jak wybierasz, kto ma umrzeć, a kto przeżyć? Kto decyduje, kto ma ugrzęznąć i zostać święty?

– Każdy decyduje sam za siebie – odparł Ma'elKoth i jego twarz powoli rozświetlił uśmiech.

– Co masz na myśli?

– Nie powiem ci.

– Słucham?

– Odpowiedziałem wystarczająco jasno. Nie twoja rzecz wiedzieć, przynajmniej na razie. Jeśli sam to przeżyjesz, zrozumiesz.

– Jeśli przeżyję? Kazesz mi przez to przejść?

Ma'elKoth tylko się uśmiechnął.

– Jak się zabierzesz do poszukiwań Simona Błazna? – zapytał. – Jestem pewien, że już się nad tym zastanawiałeś.

– Trochę.

Caine spędził całą poprzednią noc, zastanawiając się nad tym, i obmyślił plan, prosty i elegancki zarazem, idealnie pasujący do jego postaci i, miał nadzieję, wystarczająco śmiały, żeby okazał się skuteczny

– Chcę wyrwać twoich więźniów z Donżonu.

– Tak?

– Tak się składa, że jednym ze współników Simona Błazna, których pojmał Berne, jest mój znajomy, pomniejszy adept imieniem Lamorak. Umożliwisz mi dostanie się do Donżonu, a ja uwolnię jego i tę drugą osobę. To powinno wystarczyć, żeby zbliżył się do Simona Błazna.

– Skąd o tym wiesz? Że ten Lamorak jest naszym więźniem?

– Nie tylko ty masz swoje źródła – odpowiedział Caine, mając nadzieję, że Ma'elKoth nie

będzie drążył.

Cesarz rozważał pomysł.

– Widzę w tym pewien problem. Czy to aby nie przesada? Lamorak nie nabierze podejrzeń, że tak nagle go uratowano? Znacicie się na tyle dobrze, żeby uwierzył, że ryzykowałeś dla niego życie?

– Uwierzy bez dwóch zdań – zapewnił cesarza Caine.

Zresztą to i tak bez znaczenia, dodał w myślach.

– Znamy się wystarczająco dobrze. A ja od razu mu powiem, że robię to, bo chcę dotrzeć do Simona Błazna – dokończył.

– A po co?

Caine zerknął na trwający rytuał, gdzie Berne po raz kolejny zręcznym ruchem ściał komuś głowę.

– Żeby załatwić Berne'a.

– Hm... – Ma'elKoth to rozważał. – Hm, rozumiem.

– Lamorak to więzień Berne'a, prawda? Cała operacja przeciwko Simonowi Błaznowi to dzieło Berne'a. Uwolnienie Lamoraka upokorzy go, a mnie postawi na równi z Simonem Błaznem, czyli w idealnym miejscu, żeby wciągnąć Berne'a w pułapkę i go zabić.

Ma'elKoth zaśmiał się.

– A poza tym to znacząco ubarwi twoją legendę. Nikt jeszcze nie uciekł z Cesarskiego Donzonu. Jeśli istnieje jakiś człowiek, który zdaniem ludzi mógłby czegoś takiego dokonać, jesteś nim ty.

– Nikomu nie przyjdzie na myśl, że pracuję dla ciebie. Ba, prawie każdy w mieście wie, że jestem poszukiwany. Rozgłoś tylko, że uciekłem Toa-Sytellowi i Oczom.

– I będziesz pracował dla mnie?

Zimna dłoń zacisnęła się na sercu Caine'a.

– Oczywiście, że tak. A co miało znaczyć to pytanie? Po tym wszystkim nadal mi nie ufasz?

– Pamiętam... – rozmyślał na głos Ma'elKoth. – Pamiętam Caine'a, który raczej zabiłby człowieka, niż go okłamał...

– Zabijanie jest prostsze – odparł Caine i zaśmiał się słabo, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze. – Zabijasz i po sprawie. Kłamstwo jest jak psiak: musisz się nim opiekować, bo inaczej obróci się przeciwko tobie i ugryzie cię w tyłek.

– Nadal jesteś tym Caine'em?

Postarał się, by jego głos zabrzmiał spokojnie, chociaż serce łomotało mu w piersi:

– Jestem tak uczciwy, jak pozwalają mi na to okoliczności.

– Hm. Oto właśnie szczerza odpowiedź. Bardzo dobrze. Zdejmij ubranie.

Caine'owi ścisnęło się gardło. Zdołał tylko wykrztusić:

– Słucham?!

– Nie możesz Mi służyć ciałem, o ile nie służysz też sercem.

Cesarz machnął od niechcenia ręką w stronę platformy. Paziowie w liberiach przelewali krew z misy do brązowych naczyń – tych samych, z których wlewali ją do gliny Wielkiego Dzieła w Małej Sali Balowej. Żołądek Caine’a zacisnął się w lodowatą kulę.

A co sobie myślałeś, ty pieprzony frajerze?! – warknął na siebie w myślach. Że niby skąd się bierze ta krew?

– Naprawdę spodziewasz się, że zejdę tam i nadstawię szyję pod miecz Berne’a? – zapytał.

– Tak. Jeśli Mi nie ufasz, jak ja mam tobie zaufać? Złóż Mi przysięgę, zaufaj mojej sprawiedliwości i służ Mi od teraz. Albo odmów tego zaszczytu i nie służ Mi nigdy więcej.

Tak naprawdę nie miał wyboru. Powróciły do niego echem słowa Shanny: „Jego już nie obchodzi, co się ze mną stanie”. A to może być jego najlepsza, jedyna szansa, żeby ocalić jej życie.

Nie miał powodu, żeby się wahać.

– W porządku. Załatwmy to.

## 5

Barka rzeczna cieszyła się pod każdym względem równie złą sławą, jak jej kapitan: siwy, stary pijaczyna o zapadniętych oczach, któremu wiecznie kapało z nosa. Jednakże, kiedy Pallas obejrzała ładownię barki, ciemną, zawilgoconą przestrzeń wypełnioną wyciskającym łzy z oczu smrodem moczu i rozkładu – cuchnęła jak martwy żółw, smażący się na słońcu w skorupie od czterech dni, którego obsikał cały pochód kocurów – znalazła coś, co wywołało jej uśmiech: małą, rogatą buźkę o znajomym, szelmowskim uśmiechu, wydrapaną na wysmołowanej grodzi na tyle niedawno, że odsłonięte drewno nadal było jasne.

Wskazała rysunek kciukiem.

– Simon Błazen – powiedziała. – Wiesz, możesz mieć sporo kłopotów, wciągając taką banderę.

Kapitan otarł nos grzbietem brudnej dłoni.

– Nie mam pojęcia, kto mógłby uznać, że ja za to odpowiadam. Widzisz, zatrudniam ludzi na krótko. Nie mam pojęcia, kto mógł wydrapać tę buźkę.

– Założę się, że o wielu rzeczach nie masz pojęcia – naciskała Pallas.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Pilnuję swojego nosa, jeśli o to ci chodzi.

– Założę się, że nie masz pojęcia, dlaczego ten rysunek ma już kilka tygodni, a nadal go nie usunięto.

– Przegrałaś ten zakład, panienko – warknął kapitan. – Przewoziłem barona Thilliowa z

Oklian, z całą rodziną, piętnaście lat temu, jak nie więcej, kiedy czasy były lepsze dla nas obu. Był dobrym człowiekiem, nie żadnym przeklętym *Aktirem*, nieważne, co mówi cesarz. Nie mam nic przeciwko cesarzowi, podejrzewam tylko, że ktoś nagadał mu kłamstw i wsadził głowy dobrych ludzi pod topór. Wolę, żeby Simon Błazen ich zabrał niż żebyśmy zobaczyli ich martwych. A to... – Dotknął zgrubnego rysunku. – Tylko pomaga mi pamiętać, nic więcej. Właściwie nic nie znaczy.

Pallas wyciągnęła dłoń i lśniący złoty rojal pojawił się między jej kciukiem i palcem wskazującym. Poruszyła dłonią i pojawiła się następna moneta, a przy kolejnym ruchu ręki trzecia. W spokojnym świetle lamp lśniły jak słońce.

Już pierwszy rojal przyciągnął uwagę kapitana. Gdy pojawił się trzeci, z trudem powstrzymywał ślinotok.

– Możesz wydać je na zaopatrzenie. Dla czterdziestu ludzi na tydzień. Nie kupuj wszystkiego w jednym miejscu. Zagoń do tego resztę załogi. Jeśli zostaną jakieś pieniądze, zatrzymaj je sobie za fatygę.

– Ja, no...

Kolejne pstryknięcie palcami. Teraz były już cztery monety.

– Ta czarująca rodzinka ma krewnych w dole rzeki. Czterdzieścioro. Po jednym za każdego z moich przyjaciół, którzy przepłyną się twoją barką, o ile dotrą cali i zdrowi do Terany. I kilka na dokładkę. Wynagrodzenie za specjalną usługę.

Kapitan tarł nerwowo nos, aż tłuszcz i brud z grzbietu dłoni pokryły się smarkami.

– To, ehm, trudna robota. Może trochę więcej na początek...? To, ehm, ukołoby moje nerwy...

– Będziesz musiał mi zaufać – powiedziała, kręcąc głową. – Będziemy musieli zaufać sobie nawzajem. Jeśli nie zjawię się ze złotem, w Teranie pojawi się czterdzieści osób wartych barona albo dwa od głowy.

– Czterdzieści rojali... – mruknął. – Mógłbym odpicować moją staruszkę, znowu zamustrować prawdziwą załogę...

– Więc umowa stoi.

Dała mu cztery rojale.

– Stoi – przytaknął i ruszył za nią na górę po drabinie, w ciepłe, słoneczne popołudnie. – Daj mi ze dwa dni na mustrowanie i załatwienie zaopatrzenia, i przyprowadź przyjaciół po południu drugiego dnia. Lepiej spłynąć kilka mil rzeką jeszcze przed zachodem słońca.

Odprowadził Pallas do kei i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wspiąć się po pochylni.

– Czy ty... – zaczął kapitan cicho, z wahaniem, rzucając ukradkowe spojrzenia na ruchliwy port i upewniając się, że nie ma nikogo w zasięgu słuchu. – Czy ty naprawdę pracujesz dla Błazna? Czy on, no wiesz, jest naprawdę prawdziwy?

– Tak. Jest naprawdę prawdziwy.

– I naprawdę chce obalić Ma'elKotha, jak mówią ludzie?

– Nie. Wcale nie chodzi o to – odpowiedziała z powagą. – Tylko próbuje uratować paru ludzi. Oni nie są *Aktirimi*, kapitanie. To zwykli ludzie, niewinni, którzy muszą wydostać się z cesarstwa, bo inaczej zginą. Zginą, ponieważ Ma’elKoth ich nie lubi.

– Wobec tego... – Opuścił rękę i spojrzał na pokład pod nogami, po czym splunął w leniwe, brązowe wody Wielkiej Chambaygen. – Wobec tego, życzę powodzenia Błaznowi. I tobie, pani.

Pallas zmusiła się do uśmiechu i dotknęła jego ramienia.

– Oboje ci dziękujemy. Wyglądaj mnie za dwa dni.

Odeszła nabrzeżem, minęła hutę i długie rzędy magazynów, w których składowano przywiezione rzeką towary z całego cesarstwa.

To powinno być łatwe. Nie zauważyła w Powłoce kapitana migotania świadczącego o zdradzie i chociaż jeszcze nigdy nie próbowała przewieźć tylu *tokalich* na raz, była pewna siebie.

Czar Konnosa okazał się niewiarygodnie użyteczny – mogła zapakować wszystkich trzydziestu sześciu uchodźców na barkę i osłonić Płaszczem. Każdy podejrzliwy człowiek cesarza, nawet adept, zobaczy tylko brudną wodę i osmołowane drewno, a Wieczne Zapomnienie nie pozwoli, żeby hipotetyczny podejrzliwy adept powiązał wyczuwane w Przepływie szarpnięcie z możliwością istnienia Płaszcza. Żeby to się udało, będzie musiała przepłynąć z nimi całą drogę do wybrzeża i przeprowadzić ich przez wszystkie posterunki celne na rzece, ale to nic nie szkodzi.

Przyda jej się odrobina odpoczynku.

W tej chwili ważne było to, że może jej się udać, że może samodzielnie wydostać ich bezpiecznie z cesarstwa, a te chciwe sukinsyny z Rady Planowej mogą się walić.

A jak już będzie po wszystkim i wróci na Ziemię, utnie sobie małą pogawędkę z Harim na temat wpięprzania się w jej życie. Nie powinna była dać mu się przekonać, żeby nie składać pozwu rozwodowego; separacja to głupi pomysł. Żadnemu z nich nie służyła, tylko przedłużała ból – ich prywatna, mała, improwizowana Śmierć od Tysiąca Ran. Powinna była zaufać intuicji i zdecydować się na szybkie rozstanie, skończyć wszystko za jednym zamachem, tak jak kiedy od ciała odrywa się plaster.

Albo amputuje kończynę.

I to właśnie było to, powiedziała sobie, ten ból, który dźgał ją w brzuch, kiedy myślała o Harim, o tym, jak jej szuka, kiedy myślała, jak go zostawi i odpłynie rzeką – to był ból fantomowy po amputowanej kończynie. Istniała kiedyś w niej część, która była związana z życiem Hariego, a teraz została odcięta; ból, który czuła od czasu do czasu, stanowił tylko psychologiczny odpowiednik śladów po amputacji.

I to po części przez Hariego bez większych skrupułów tak okrutnie postąpiła z Królem Ściemy – Jego Wysokość był kiedyś najlepszym przyjacielem Caine’a. Stanowił całkiem niezłe zastępstwo, skoro nie mogła przywalić bezpośrednio Caine’owi. Ale w miarę, jak go

wykorzystywała, zaskakiwała ją jej własna narastająca pogarda. Łapała się na tym, że uważa tego człowieka za zwykłego oprycha, który tylko potrafi trochę przybajerować, właściwie zwykłego cwaniaka z ulicy, jakim kiedyś był Hari – tyle że Hari wyrósł na kogoś więcej, przynajmniej tyle musiała przyznać. Hari czy Caine, żaden z nich nie pozwoliłby, żeby potraktowała go tak jak Króla Ściemy; Caine rzuciłby się jej do gardła w sekundzie, w której dostrzegłby błysk kryształu Uroku.

Z drugiej strony nie mogła się oszukiwać – wiedziała, że część jej pogardy dla Jego Wysokości to tylko próba usprawiedliwienia przed sobą potwornego postępku. Jednak mimo wszystko...

Caine był na swój specyficzny sposób prawy, z uporem bronił honoru, nawet jeśli niewłaściwie go pojmował. A prawość to nie było słowo, które przychodziło na myśl w wypadku Jego Wysokości; ten człowiek to podstępna łasica na dwóch nogach. Użyteczna, czasem wręcz niezbędna, ale tylko łasica.

Zmrok rozsnuwał się na coraz głębszym błękitnie nieba, gdy szła do magazynu, pod którym ukryła *tokalich*. Nie zwracała uwagi na gęstniejący wokół niej tłum, spowodowany zbliżającą się godziną zmroku, kiedy Ankhańcy wszelkiej maści wylewali się mostami ze Starego Miasta. Całkowicie pochłonęła ją melancholia płynąca z faktu, że każdego poznanego mężczyznę wciąż porównuje z Harim.

Kręcąc ze smutkiem głową z powodu tych sentymentalnych głupot, weszła między rozrastające się cienie w bocznych uliczkach Parku Przemysłowego.

Powtarzała sobie po raz tysięczny wszystkie powody, dla których nie mogło im się udać, przypominała sobie wszystkie klótnie, zazdrości i podejrzenia. Przede wszystkim w ogóle nie powinni się pobierać; byli wspaniałymi kochankami, ich romans był namiętny, burzliwy, nieprzewidywalny i ekscytujący, ale dokładnie z tych samych powodów, dla których byli wspaniałymi kochankami, okazali się małżonkami do dupy.

Przeciwieństwa się przyciągają, ale to podobieństwa wiążą.

Przede wszystkim znajdowali się na dwóch różnych biegunach Aktorstwa. Ona została Aktorką głównie dlatego, że w Nadświecie miała możliwości, jakich nigdy nie zyskałaby jako członek kasty Handlarzy w bezlitośnie sztywnym ziemskim systemie społecznym: możliwość pomagania ludziom, rzeczywistego – pozytywnego – wpływania na ich życie. Mogła szczerze stwierdzić, że jej kariera uczyniła z Nadświata lepsze miejsce do życia, i była z tego dumna.

Z kolei Caine'owi chodziło tylko o krew.

Ona ratowała ludzkie życie, on je odbierał.

I jego Przygody sprzedawały się trzy razy lepiej.

W przyływach szczerości potrafiła się przyznać, że to też po części stanowiło ich problem. Nie była z tego powodu dumna, ale nie mogła temu zaprzeczyć.

Westchnęła i spróbowała się skupić na aktualnych problemach. Później załatwi sprawę z Caine'em, kiedy już nie da się tego uniknąć. Zmęczenie, niekończące się godziny ucieczki,

ukrywania się i walki sprawiały, że ledwie mogła myśleć o pracy. Teraz jednak, kiedy zbliżała się do kryjówki, w której trzymała *tokalich*, brak koncentracji mógł się okazać śmiertelnie niebezpieczny.

Ukryła *tokalich* pod gnijącą, zdradliwą podłogą jednego ze spalonych magazynów, stojącego pomiędzy innymi budynkami w równie opłakanym stanie. Ocalałe gdzieniegdzie suche kąty – pod resztkami zwęglonego dachu, chroniącymi przed deszczem – stały się schronieniem dla wielu bezdomnych rodzin.

Nie wystawiła figurantów, którzy mogliby zdradzić to miejsce, nie zostawiła żadnego znaku. Sucha, przypominająca jaskinię piwnica była już ich trzecią kryjówką; przygotowała ją z pomocą bliźniaków, Talann i Lamoraka. Umieściła zakłętę pieczęć na ścianach i drzwiach, odwracające działanie wszelkich przedmiotów wyszukujących oraz inną magję tego rodzaju. Sam Jego Wysokość w przebraniu pomagał jej przenieść do środka zapasy; mimo że pogardzał pracą fizyczną, dzięki Urokowi pracował bez marudzenia i prędzej by umarł, niż zdradził położenie kryjówki. Pallas wierzyła, że wszyscy inni, którzy wiedzieli o istnieniu tego miejsca, nie żyli.

Wejście ukryto we wnętrzu dawnego biura; aby się tam dostać, trzeba było przejść po zdradliwej, zgniłej podłodze, klucząc w labiryncie zwalonych ścian. W ostatniej chwili odwróciła się, zamiast wejść, i minęła zwęgloną fasadę, jakby nadal szła zamyślona.

Coś było nie tak.

Strumyczek robotników wracających do domów płynął równo jak zawsze; nie było ich mniej niż zwykle. Zerknęła na ich twarze i ubrania, ale nadal nie rozumiała, skąd nagły niepokój. Zaufała mu jednak, zaufała intuicji. Tylko tyle jej zostało z rzeczy mogących ocalić jej życie.

Znalazła kawałek muru, który wyglądał na solidny, oparła się o niego jakby nigdy nic i przyjrzała się ulicy.

Co tu nie gra?

Brakowało dymu.

Bezdomni... Mieszkały tu dwie rodziny, jedna po drugiej stronie ulicy w dawnym spichlerzu i druga trochę dalej, w nieużywanej kuźni. Teraz, o zmierzchu, ci ludzie powinni siedzieć przy małych, osłoniętych ogniskach, podgrzewać na kolację ochłapy, które zdołali wyżebrać. Deszcze padające z przerwami niemal codziennie zaczynały się w Ankhanie późnym latem i zmoczyły niemal każdy kawałek drewna, jaki się dało znaleźć – a mimo to nie było dymu.

To mogło nic nie znaczyć. Może obie rodziny przeniosły się w bardziej suche albo bardziej osłonięte od wiatru miejsce?

Albo wszystkich związano, może nawet zabito, a na ich miejscu przycupnęły Szare Koty i obserwowały ją spomiędzy szpar w zgliszczech.

Nie bez powodu identyfikowali się z kotami; mogli siedzieć całymi godzinami, powoli



skradać się na swoje pozycje, wyglądając bacznie wszelkich oznak ruchu przy mysiej dziurze, w której kryli się *tokali*. Ale nie mogli wiedzieć, że obie rodziny gotują o zmięczeniu.

Szła dalej, wędrowała, aż między walącymi się murami dostrzegła wieżę pałacu Colhari. Wstrzymała oddech, weszła w widzenie wewnętrzne i poskręcana koronka Przepływu wypełniła jej pole widzenia, powoli poruszana mdłymi Powłokami mijających ją ludzi. Nie zobaczyła promienia skanalizowanego Przepływu z pałacu, ale to nie znaczyło, że była bezpieczna. Koty nie zaatakują jej, dopóki stoi na widoku, zwłaszcza że nie mają pojęcia, kim jest, ale gdyby był z nimi Berne...

Berne miał powody, żeby ją dorwać niezależnie od polowania na Simona Błazna. Jeśli czaił się tutaj, gotowy do skoku z jednego z budynków, zobaczył ją na ulicy i rozpoznał. Jego pożądanie, żądza krwi, pragnienie, żeby w jakikolwiek sposób zranić ją lub Caine'a, sprawiłyby pewnie, że...

I nagle to zobaczyła: z wieży pałacu Colhari rozbłysnął tunel szkarłatnej mocy.

Miała tylko kilka sekund, żeby ratować życie.

Otoczona. Samotna. Słudzy Ściemy pomogliby jej, gdyby wiedzieli, że jest w niebezpieczeństwie, ale tu nie znajdzie żadnego z nich.

Sama – co wcale nie znaczy bezradna.

Gdyby tu był Caine, zacytowałby Sun Tzu: „W obliczu śmierci – walcz!”.

Z kieszeni na piersi jej dłoń wyjęła cudnie wyrzeźbioną miniaturkę samej siebie: maleńką dłoń z tego samego lśniącego kwarcu, którego Pallas używała do Tarczy.

Linie mocy lśniły na niej i przemawiały do umysłu Pallas.

Promień skanalizowanego Przepływu biegł prosto jak laser z pałacu do sypiącego się magazynu po drugiej stronie ulicy: nie było mowy, żeby Berne się przed nią ukrył.

Linie wypisane na dłoni z kwarcu rozsnęły się niczym sieć, zakręciły jak wir; potężna kipiela Przepływu sprawiła, że jej ciało zamigotało mocą. Niezależnie od tego, ile mocy Berne dostawał od Ma'elKotha, nie był taumaturgiem; bez wewnętrznego widzenia nie mógł się zorientować, w jak poważne kłopoty właśnie się wpakował.

Na jej usta wypłynął drapieżny uśmiech, który Berne na pewno by rozpoznał. Wyciągnęła rękę i zacisnęła pięść, a niewidzialna siła jej Teke zmiażdżyła budynek jak skorupkę jajka.

Mury zawały się pod własnym ciężarem z rykiem lawiny, buchnęła chmura duszącego pyłu. Jeśli Berne chce ją dorwać, najpierw będzie musiał się spod tego wydostać.

Rozległ się stłumiony świst wystrzelonych bełtów, ale Pallas już pędziła, nurkując pod osłonę pyłu. Bełty śpiewały, dzwoniły o bruk, z drzeniem wbijały się w drewno. Krzyki i wrzaski ludzi wypełniły powietrze, kiedy rozbiegali się, ratując życie.

Pallas przetoczyła się i wstała, wykonując przy tym tę samą sztuczkę co dla kapitana na barce, tyle że zamiast monet między jej palcami pojawiły się naładowane kasztany: jeden, dwa, trzy, cztery.

Krew huczała jej w uszach, dzięki uniesieniu wypełniało pierś. Zęby zabłysły w

radosnym grymasie, kiedy odpaliła kasztany i wystrzeliła je z pomocą Teke prosto do budynku, z którego nadleciało najwięcej beltów. Płomień ryknął przez strzaskane okna; fasada budynku załamała się i runęła.

To powinno wystarczyć, żeby ich zająć.

Odwróciła się i popędziła na łeb na szyję w stronę Kolonii.

Szybciej, szybciej, szybciej! Ruchy, skurwysyny! – powtarzała w myślach. Trzeba was wszystkich, żebym na pewno nie uciekła.

No już!

I rzeczywiście się zjawili, wynurzyli z ukrycia – dziesięciu, piętnastu, trzydziestu mężczyzn o stalowym spojrzeniu, ubranych na szaro, z grymasem gniewu na twarzach; biegli, gnali przed siebie, a ona odciągała ich od *tokalich* do Królestwa Ściemy. Za jej plecami gruzy budynku, który zmiażdżyła i zwała na głowę Berne'a, zaczęły się unosić, dźwigać i wybrzuszać jak trup gąsienicy, z której rodzi się rój os.

Berne nadchodził.

Pallas pochyliła głowę i biegła.

# DZIEŃ CZWARTY

– *Nie masz żadnych zasad.*

– *Pieprzysz głupoty i sama dobrze o tym wiesz.*

– *Nie, mówię prawdę. Musisz wszystkiemu zaprzeczać. Musisz wszystko robić po swojemu, ale definiujesz to „po swojemu”, robiąc to, o czym ludzie mówią ci, żebyś nie robił. Kłopot w tym, że pod tym całym macho-gównem rodzi się w tobie podejrzenie, że może jednak ta reszta ma rację. To nie ma nic wspólnego z zasadami: odrzucasz autorytety, bo łamanie zasad jest zabawne. Jesteś jak małe dziecko, rozrabiasz i szczerzysz zęby z uciechy.*

– *Musimy rozmawiać o tym właśnie teraz?*

– *Nie walczysz o nic, tylko przeciwko wszystkiemu.*

– *Walczę o ciebie.*

– *Przestań. Mówię poważnie.*

– *Ja też.*

## 1

Sierżant Habrak służył w armii ankańskiej od ponad dwudziestu lat, więc natychmiast rozpoznał spojrzenie Berne'a, gdy hrabia podszedł do stalowych prętów bramy. Zbyt wiele razy widział takie spojrzenie u oficerów, którzy właśnie mieli wydać rozkaz do samobójczej szarży, u żołnierzy piechoty doprowadzonych na skraj krwawego buntu, u chłopów, którzy zaraz mieli rzucić się z wrzaskiem przeciwko szeregom opancerzonych Rycerzy, z kosami i widłami, by pomścić rzeź i gwałt.

Zerwał się na równe nogi, po omacku szukając u pasa brzęczącego kółka z kluczami.

Berne warknął:

– *Otwórz tę pieprzoną bramę, zanim ją rozwalę.*

– *Sekundkę, panie, jedną sekundkę.*

Habrak zdołał wreszcie wsadzić klucz w dziurkę i otworzył bramę.

Berne minął go, a Habrak odchrząknął głośno – hrabia śmierdział, cuchnął jak zamknięte stajnie w gorący, letni dzień. I co to był za brud, który oblepiał truskawkową serżę, z której

hrabia nosił ubranie? Wyglądał – i pachniał – jakby całą noc tarzał się w gnoju...!

Gdy Habrak zakaszłał, Berne zatrzymał się i spojrzał na niego przez lewe ramię; długa, przechylona rękojeść wiszącego mu na plecach miecza dzieliła jego twarz na pół.

– Jakiś problem? – zapytał Berne niskim, śmiercionośnym głosem. – Może coś ci... zaleciało?

– Och, nie, nie, nie, skądże, panie. Nic z tych rzeczy.

– To ciekawe, zważywszy że cały jestem w gównie.

– Ja, eee... panie, ja...

– Nieważne. Otwórz te pieprzone drzwi.

– Pańska, ehm, pańska broń, ehm, hrabio... – powiedział z wahaniem Habrak.

– Nawet nie myśl sobie, że mnie rozbroisz. Nie dziś.

Habrak, jak każdy rozsądny człowiek, do szpiku kości obawiał się gwałtownego charakteru hrabiego Berne'a i jego szybkiego jak błyskawica ostrza, ale od pięciu lat był sierżantem straży w Cesarskim Donżonie i czuł się pewnie.

– To... standardowa procedura, panie. Kwestia bezpieczeństwa.

– Myślisz, że któryś z tych umierających z głodu wypierdków odbierze mi miecz?

Każda odpowiedź na to pytanie mogła sprowokować jeszcze więcej kłopotów, więc Habrak zaczął od innej strony.

– Sam cesarz zostawia u mnie broń, nim przekroczy ten próg. Z jego rozkazu tylko straż nosi broń w Donżonie. Jeśli uważa pan, że cesarz się myli, powinien pan sam mu o tym powiedzieć.

Berne warknął, odpiął pas z mieczem i rzucił go Habrakowi, jakby prowokował sierżanta, żeby ten upuścił broń. Habrak przywarł z wdzięcznością do pochwy, jak pijawka, i ostrożnie odwiesił miecz na wieszak za biurkiem.

– I będzie panu potrzebna lampa, jeśli idzie pan poza Jamę. Patrol gasi ostatnią pochodnię o północy.

Berne spojrzał na niego z jeszcze większą wściekłością niż kiedy wchodził – chociaż przed chwilą wydawało się to niemożliwe. Wziął lampę, zacisnął palce tak, że pobiełały mu knykcie, i zaczekał przy drzwiach. Spojrzał w dół, jakby mógł widzieć przez drzwi, przez skałę, w której wykuto Donżon, i dojrzeć twarz człowieka, którym gardził.

Habrak otworzył drzwi i przytrzymał je, a Berne zszedł długimi wąskimi schodami w głęboką ciemność. Pałacy smród fermentującego kału i niemytych ciał, powietrza, którym zbyt długo oddychali mężczyźni i kobiety o zepsutych zębach i gnijących płucach, uniósł się nad schodami w ślad za Berne'em. Habrak jak zawsze z radością zamknął drzwi i odsunął się od nich, wracając za biurko.

Cesarski Donżon Ankhany znajduje się w labiryncie tuneli wydrążonych w wapieniu Starego Miasta pod gmachem sądu, wykutych w ciągu wielu dziesięcioleci przez drużyny skalniczkich skazańców. Centralne pomieszczenie, znane jako Jama, utworzono z naturalnej,

wysokiej na trzy piętra jaskini; dwadzieścia stóp nad dnem opasuje ją występ tworzący naturalny balkon, patrolowany przez strażę z kuszami i okutymi pałkami.

W Jamie zawsze tłoczą się mężczyźni i kobiety czekający na proces – niektórzy miesiącami, a nawet latami – oraz skazańcy, którzy czekają na przewiezienie do przygranicznych garnizonów albo kopalni na wschodzie. To jedyny obszar, który zawsze jest oświetlony – sufit nad Jamą poczeriał od dymu palących się od wielu dziesięcioleci lamp. Pochyle korytarze wykute w żywej skale odchodzą promieniście od balkonu Jamy jak szprychy koła, co pewien czas łącząc się wąskimi przejściami. Te tunele prowadzą do prywatnych cel, zamieszkiwanych przez pomniejszych arystokratów, członków gangów z Kolonii oraz innych, którzy mają dość pieniędzy albo wpływów, aby wykupić się z Jamy – oni i nikt inny.

Odosobnienie to luksus w Cesarskim Donżonie; więźniowie, którzy sprawiają kłopoty, są skazywani na Szyb.

Donżon to miejsce spowite w gęsty cień i zepsute powietrze; gorzkie, krwiste zapachy rozpachy i okrucieństwa walczą ze smrodem ludzkiego kału i gnijącego ciała. Jedyne wejście i wyjście stanowią pojedyncze schody, którymi właśnie szedł Berne, prowadzące od piwnic sądu do balkonu Jamy; więzień Donżonu ma równie dużą szansę ucieczki, jak potępiona dusza z piekieł.

Podjeździwi, ponurzy strażnicy zerknęli na Berne'a, kiedy mijał ich, idąc balkonem; nie ufali nikomu, tylko sobie nawzajem. Nawet na nich nie spojrzeli.

Drzwi do prywatnych cel miały dwa zamki: ciężkie sztaby osadzone na sworzniach i mniejsze zamki na klucz. Sztaby można było szybko umieścić na miejscu i zamknąć drzwi, gdyby rzucił się do nich więzień; zamki założono na wypadek, gdyby jakiś więzień wydostał się z celi i próbował, pędząc korytarzami, uwalniać innych więźniów szybciej, niż strażę zdołałyby ich z powrotem zamykać.

Berne miał własny klucz do drzwi, które go interesowały. Obrócił go w zamku, przesunął sztabę do pionu, szarpnął drzwi i wszedł do środka.

Była to cela wyposażona zupełnie nieźle, jak na standardy Donżonu wręcz luksusowa: puchowe łóżko z czystym prześcieradłem i kocem, małe biurko, wygodne krzesło, nawet półka z książkami dla zabicia długich godzin oczekiwania. Cela była czysta, na biurku stała taca z resztkami nóżki wieprzowej, ziemniaków i kawałków chleba przesiąkniętego sosem. Więzień na łóżku poruszył się niechętnie, obudzony hałasem przy drzwiach i nagłym światłem lampy, którą Berne postawił na biurku.

Obrócił się na bok i osłonił zmętniałe oczy.

– He? Berne?

– Nie opowiedziałeś mi całej historii, Lamorak – powiedział Berne.

Przesunął Puklerz na nogę, zrobił krok i kopniakiem zamienił łóżko Lamoraka w drzazgi.

Stopa Berne'a przebiła się przez materac i śnieżyca pierza wypełniła celę. Kopnięty

Lamorak pofrunął w powietrze, machając bezradnie rękoma. Dłoń Berne'a uderzyła z prędkością nurkującego sokoła i chwyciła Lamoraka za kostkę.

Hrabia trzymał go przed sobą na wyciągnięcie ręki głową do dołu, szarpiącego się. Rozkoszował się siłą, mocą, którą dał mu Ma'elKoth. Fakt, że mógł unieść większego od siebie mężczyznę i trzymać go w jednej, wyciągniętej ręce bez najmniejszego wysiłku, sprawił, że oddech mu przyspieszył i w okolicach krocza rozlało się ciepło.

– Wyobraź sobie tylko, co taki kopniak zrobiłby z twoją... głową – rzucił chrapliwie.

– Berne, Berne, nie... – powiedział Lamorak, krzyżując ręce przed twarzą w daremnej obronie. Te umięśnione, złociste ramiona zostałyby roztrzaskane w drzazgi jeszcze szybciej niż deski łóżka.

– Czujesz ten zapach?

– Berne... Berne, uspokój się...

Jednym ruchem nadgarstka Berne walnął Lamorakiem o kamienną ścianę celi. Po uderzeniu, na kamieniu została skóra i krew. Różowo-biała kość wyjrzała w miejscu, gdzie uderzenie roztrzaskało skórę na łokciu. Lamorak jęknął, ale nie krzyknął. Przez długą chwilę, w której dałoby się odliczyć do dziesięciu, jedynym dźwiękiem w celi było kapanie krwi na podłogę.

– Spróbujmy raz jeszcze – powiedział Berne. – Czujesz ten zapach?

Lamorak z trudem pokiwał głową; twarz mu napuchła od spływającej krwi.

– Co... Co się stało? – wychrypiał.

– Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Pallas Ril?

– Berne, ja...

Berne znowu huknął nim o ścianę, tym razem twarzą naprzód. Czaszka Lamoraka pękła na czole i krew popłynęła po jego długich złocistych włosach.

Nie miał czasu na takie zabawy. Skąły Donżonu hamowały Przepływ. Chociaż Ma'elKoth podarował mu odłamek gryfkamienia, który nosił teraz na łańcuszku na szyi, do zasilania czaru w takich chwilach jak ta, tu, na dole, nie wystarczy mu mocy na zbyt długo.

– Ile razy każesz mi zadawać to pytanie?

Lamorak powiedział coś, czego Berne nie wychwycił; jego umysł odpłynął do upokorzenia związanego z faktem, że jego Koty zebrały lanie od Pallas Ril i jej żebraków-kozojebów.

Po obeldze, jaką było zwalenie mu na głowę budynku, w minutę wygrzebał się z gruzów; dzięki nadludzkiej sile strzepnął z siebie grube na stopę belki, tak jak zwykły człowiek strzepnąłby źdźbła słomy. Rozwścieczony poprowadził Koty w pogoni za Pallas, ulicami Parku Przemysłowego do Kolonii.

A żebracy obrzucili ich gównem.

Nie było z kim walczyć, kogo zabić, tylko chmury latającego gówna ze wszystkich stron. Wkrótce oddział Kotów był w całkowitej rozsypce, biegając to za jednym żebrakiem, to za

drugim, a ci znikali w labiryncie zatłoczonych uliczek.

Ma'elKoth odmówił Berne'owi przywołania ognistych pocisków do rozproszenia tłumu.

– Bezmyślna rzeź na ulicach stolicy niczemu nie służy – powiedział. – Lepiej byś zrobił, gdybyś dopilnował, żeby *Aktiri*, których zlokalizowałeś, nie uciekli w czasie, gdy ty ganiaasz po Kolonii.

Klnąc, Berne popędził z powrotem do magazynu i włamał się do piwnicy, gotowy zabić wszystkich na miejscu – ale piwnica była pusta. Jakimś cudem ścigani zniknęli w ciągu tego jednego kwadransa, kiedy ich kryjówki nie obserwowano. Zupełnie jakby Pallas Ril odciągnęła Koty specjalnie w tym celu. O ile, rzecz jasna, *Aktiri* kiedykolwiek się tam ukrywali. Pallas jakoś była z tym powiązana, z tym miejscem, z Simonem Błaznem, tak samo jak Caine, a Berne nie był na tyle głupi, żeby uznać to za zbieg okoliczności.

Może Simon Błazen to... Może Simon Błazen to Caine?!

W umyśle Berne'a zawrzało. Lamorak zwiślał zapomniany, nadal trzymany za kostkę. To możliwe, doszedł do wniosku Berne, to aż nazbyt prawdopodobne. Nieważne, że Caine nie był taumaturgiem, od tego miał Pallas Ril. To nawet miało sens, przerażająco dużo sensu. Caine słynął z tego, że potrafił wkraść się jak szczur w łaski swoich wrogów; tylko patrzcie, co zrobił z Khulanem G'tharem...

A Ma'elKoth zaprosił go do pałacu, nakarmił, uzbroił, nawet posadził na krześle Berne'a! Caine musiał umrzeć.

Natychmiast. Dziś wieczór.

– To nie ma sensu – jęknął Lamorak.

– Co?

– Dlaczego mnie nie rozumiesz? Dlaczego nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Berne wykrzywił usta, z odrazą patrząc w dół.

– Rzygać mi się chce od tego twojego jęczenia. Nie było ich tam, ty głupi kozojebie. Nie było *Aktirich* w piwnicy magazynu. Albo mnie okłamałeś, albo naprawdę nic nie wiesz i w obu przypadkach nie ma z ciebie żadnego pożytku.

– Przecież ci mówię – powiedział Lamorak, łapiąc się kolana Berne'a. – Berne, przysięgam, nie wiem, co się dzieje, ale mówię ci, że Pallas Ril...

Berne znowu stracił wątek, wyobrażając sobie gładkie, rozedrgane cięcie Kosallem przez ciało Caine'a. Gdzie najpierw by go pchnął? Odciałby mu nogę? A może tylko ucho? A może powolne dźgnięcie w pachwinę – gdy to sobie wyobrażał, sam poczuł poruszenie w okolicy pachwiny. Może skończyłby, wbijając Kosalla Caine'owi w tyłek tak, że wyszedłby mu ustami...

– ...naszą umowę – mówił Lamorak. – Berne, mamy umowę.

Berne wzruszył ramionami i otworzył dłoń. Lamorak ledwie zdążył osłonić rękoma głowę, żeby nie roztrzaskać sobie czaszki na kamiennej podłodze. Berne patrzył beznamiętnie, jak Lamorak powoli zbiera się do kupy.

– Powiem ci coś – stwierdził hrabia. Uniósł klucz do celi. – Dam ci szansę. Rzuć się na mnie, weź ten klucz, a ja cię wypuszczę.

– Berne...

Berne obrócił się i wyprowadził niskie kopnięcie okrężne, z miażdżącą siłą uderzając gołenią w złote udo Lamoraka. Kość udowa pękła z młaśnięciem i Lamorak padł na podłogę, łapiąc złamaną nogę i zagryzając usta, by powstrzymać krzyk.

– Za późno – powiedział Berne. – Straciłeś swoją szansę. Przykro mi.

Przyklęknął, brutalnie przetoczył Lamoraka na brzuch. Tamten jęknął, kiedy Berne przemocą rozłożył mu nogi, wykorzystując nadzwyczajną siłę, by rozciągnąć mięsień uda zaciskający się mocno wokół złamanej kości. Spodnie Lamoraka pękły jak bibułka pod palcami Berne'a.

– Nie... – chrapliwie błagał Lamorak, z trudem powstrzymując krzyk. – Na miłość boską...

– A którego boga? – zapytał Berne, zaciskając palce na pośladkach Lamoraka, ale nagle się zatrzymał i westchnął.

Nie tego potrzebował. I nawet nie tego chciał.

Chciał Caine'a.

I Pallas Ril. Obojga. Chciał ich widzieć przywiązanych do stołów w Teatrze Prawdy, z powiekami odciążniętymi srebrnymi igielkami mistrza Arkadeila, tak żeby każde widziało, co Berne robi temu drugiemu.

Niestety, tak się nie stanie: lepiej zabić Caine'a dziś wieczór. Ten mały kozojeb jest zbyt niebezpieczny, żeby żyć.

Berne zostawił Lamoraka na podłodze celi z twarzą białą z szoku i bólu. Zamknął za sobą drzwi.

Po drodze na górę, do pogrążonego w nocnych mrokach sądu, zatrzymał się przy górnej bramie, żeby odebrać miecz. Przewiesił go przez plecy i powiedział do sierżanta:

– Habrak? Wyślij kogoś do mistrza Arkadeila. Chcę Lamoraka w Teatrze Prawdy, i to jeszcze tej nocy. Jeśli się pospieszysz, Arkadeil będzie mógł go wykorzystać do pokazu instruktażowego o północy. Powiedz mu, żeby spróbował się dowiedzieć czegoś o Simonie Błaźnie, ale to nie jest aż tak ważne, nie sądzę, żeby Lamorak naprawdę wiedział coś, czego już mi nie powiedział. Przekaż Arkadeilowi, żeby się nie spieszył, niech się trochę zabawi, nie ma potrzeby, żeby Lamorak przeżył tę noc.

Habrak zasalutował.

– Jak hrabia rozkaże.

– Porządny z ciebie człowiek, sierżancie.

Wyszedł, zatrzymując się tylko na chwilę w sądzie i odprawiając Koty, które mu towarzyszyły. Nie potrzebował ochrony na tych ulicach.

Opuścił sąd i zatrzymał się na ulicy, żeby zaciągnąć się zapachem nocy. Głęboki haust



powietrza wypełnił Berne'owi pierś i sprawił, że usta wygięły mu się w szerokim uśmiechu.

Rozpostarł ramiona i uśmiechnął się do lśniących gwiazd. To była jego ulubiona pora doby, ten czas bezruchu o północy; zaspana cisza rozciągała się na mieście jak koc, powietrze było krystaliczne i rześkie, wszyscy mieszczanie za okiennicami śnili o następnym dniu. Spali spokojnie, wiedząc, że nic ważnego w ich życiu nie przydarzy się od północy do świtu.

Oczywiście mylili się, zwłaszcza tej nocy.

Berne mógł im się przydarzyć.

Wsunął kciuki za pasek i ruszył spacerkiem, zastanawiając się nad tym.

Idąc, wybierał okna, wyobrażając sobie porządnych obywateli śpiących za nimi. Za tymi okiennicami posrebrzonymi od deszczy – pomyślał – mogłaby mieszkać młoda rodzina: poważny kotlarz z sąsiedniej kuźni ze śliczną młodą żoną, która przyjmowała pranie za dwa srebrniki tygodniowo, oraz ich ukochana córeczka, która właśnie skończyła sześć lat. Może jutro ma urodziny? Może właśnie leży w łóżku z otwartymi oczami i z wypiekami na buzi modli się do bogów, żeby w tym roku dostać prawdziwą sukienkę?

Łatwo byłoby wejść do środka. Dzięki sile magii mógłby po prostu wskoczyć przez okno, z pomocą Kosalla przeciąłby sztabkę. Poczul falę ciepła w podbrzuszu. Widział ich tak wyraźnie, jakby leżeli przed nim; żona kotlarza poruszyłaby się niespokojnie, kiedy Berne zakradłby się do ich sypialni. Widział powoli zapalające się światło w oczach kotlarza, mgnienie, które natychmiast by zgasło, kiedy Kosall bezgłośnie wypiłby jego życie. Czuł przerażenie w słabym biciu serca kobiety przyciśniętej do jego piersi, kiedy pieprzyłby ją w kałuży krwi męża.

A dziewczynka, córeczka... osierocona w tak młodym wieku, w tak brutalny sposób. Widziałby aprobatę na twarzach szacownych mieszczan, kiedy zaproponowałby, że ją adoptuje. W końcu należał do arystokracji, nikt by mu tego nie odmówił. I należałaby do niego, cała byłaby jego, mógłby ją wychować i wyszkolić, doprowadzić do doskonałości jej ciało i umysł... Wygięłaby swoje ciało pod nim, kiedy wchodziłby w jej dziewictwo z całą siłą, i wtedy w końcu wyjawilby jej, jak zginęli jej rodzice... A ona splotłaby ręce wokół jego pleców i szepnęła mu do ucha: „Wiem... Zawsze wiedziałam... I zawsze cię kochałam, Berne...”.

Berne zaśmiał się i pokręcił głową. Dziś wieczór nie zrobi niczego takiego.

Rzecz w tym, że mógłby, gdyby zechciał.

Dziś wieczór da im spokój. Innej nocy podejmie inną decyzję.

Czuł się dobrze, naprawdę dobrze, po raz pierwszy odkąd... ach, odkąd zabił tych dwóch bękartów, gladiatorów w Kolonii. Czuł się wolny i pełen światła.

To dlatego że wreszcie podjął decyzję: postanowił iść na całość i zabić Caine'a. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo rozkaz Ma'elKotha, żeby oszczędzić życie tej zdradliwej żmijki, ciążył mu na sercu. Docenił ciężar, kiedy wreszcie zniknął.

Och, Ma'elKoth będzie wściekły, na pewno, przynajmniej z początku – nikt nie lubi,

kiedy ktoś mu się przeciwstawia – ale ostatecznie wybaczy Berne'owi, nawet mu podziękuje.

Zawsze wybaczał.

Ma'elKoth zawsze wybaczał, zawsze akceptował, zawsze cenił Berne'a właśnie za to, kim był. Prosił tylko, żeby Berne ćwiczył powściągliwość, nigdy nie oczekiwał, że się zmieni. To była różnica między Ma'elKothem i wszystkimi innymi żywymi stworzeniami, które Berne poznał.

Ma'elKoth go kochał.

Berne przeciągnął się jak kot, aż zatrzeszczały mu stawy. Wyszczeryl zęby do księżycy, mierząc wzrokiem wznoszący się wysoko, spowity cieniem mur, który otaczał Stare Miasto. W następnej chwili popędził Dziesiątą, czując huczący mu w uszach wiatr. Dwadzieścia kroków od stajni garnizonu skoczył w powietrze i zaczarowana siła pozwoliła mu dolecieć na dach budynku; potem bez zatrzymania znowu skoczył w górę, na dach koszar oficerskich, a stamtąd na szczyt muru. Potrójny skok wyniósł go na wysokość równą wzrostowi dziesięciu ludzi.

Stojąc powyżej blanków, rozłożył szeroko ręce i wrzasnął ze śmiechem:

– Panie, na me obolałe jaja! Uwielbiam być sobą!!!

Dwóch podenerwowanych wartowników z Wieży Pierwszej, potężnego stołpu, który bronił wyspy w dole rzeki, podeszło niepewnie z wycelowanymi kuszami.

– Stój! Ani kroku! – zawołał jeden z nich. – Ktoś ty?!

W odpowiedzi Berne odpiął Kosalla i położył go na blankach.

– Jestem hrabia Berne – odpowiedział. – A to mój miecz. Nie dotykajcie go, kiedy mnie nie będzie.

To powiedziawszy, znowu rozłożył szeroko ręce, skoczył wysoko w powietrze i lecąc po idealnym łuku, zanurkował do Wielkiej Chambaygen. Przesunął Puklerz na dłonie, kiedy ciął wodę. Zanurzył się w głębinę, ledwie burząc lustro wody. Kamienie i błoto dna rzecznoego wcale mu nie przeszkadzały; przyjemnie upłynęła chwila na zabawie w wodzie, kiedy pozwolił rzece splukać gównem oblepiające mu ubranie i rozluźnić ostatnie węzły gniewu w plecach.

Otrzymał wielki dar od Ma'elKotha. Nic nie mogło mu przeszkodzić. Robił, co chciał, a kiedy czegoś chciał, nie istniała siła zdolna mu się sprzeciwić. Tylko Ma'elKoth mógł go powstrzymać, ale nigdy tego nie robił. Patrzył na ekscesy Berne'a, jak dumny ojciec patrzy na pełną energii młodość ulubionego syna – tolerancyjnie, od czasu do czasu tylko delikatnie go poprawiając.

Prawdziwy ojciec Berne'a – surowy, ascetyczny oficjał klasztorny urzędujący w miasteczku na południu – wychował syna żelazną ręką fanatyka. Ojca wysłano do tej dziury na głuchej prowincji na rozkaz umiarkowanej frakcji Jhanthytów, która w tamtych czasach w znacznej części kontrolowała poczynania Rady Braci. Chcieli go odesłać gdzieś daleko, żeby jego ekstremalne poglądy nie psuły im stosunków z podludźmi.

Ojciec wychowywał Berne'a tak, by stał się jego bronią w walce z podludźmi, kształcił go od urodzenia na idealnego wojownika, ale, niestety, przez te wszystkie lata nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zapytać Berne'a, co on sam chciałby robić, czy w ogóle chciał być bronią ostateczną.

Berne zawsze wiedział, co chce robić.

Chciał żyć, żyć naprawdę, walczyć, pieprzyć, jeść, pić i uprawiać hazard i robić wszystko, co da się upchnąć w jednym życiu. Wiedział dobrze, że to jedyne życie, jakie dostanie, i postanowił niczego zeń nie uronić.

W wieku siedemnastu lat pokazał w końcu ojcu, jak dobrze go wyszkolił. Pobił starego skurwysyna do nieprzytomności, zabrał mu miecz, całe złoto, dzban wina i najlepszego konia, po czym ruszył do miasta. Szybko odkrył, że niewielu ludzi było gotowych stanąć przeciwko niemu, a żaden nie przeżył dłużej niż wystarczyło, by zliczyć do dziesięciu. Nigdy nie miał problemów ze zdobyciem pieniędzy.

Miał dobre życie przez ponad dziesięć lat, ale obecne było jeszcze lepsze.

Teraz, kiedy kąpał się w wodach Wielkiej Chambaygen, zastanawiał się od niechcienia, czy ojciec wiedział, że syn służy Ma'eIKothowi, czy doceniał ironię sytuacji. W końcu, służąc cesarzowi, spełnił marzenia ojca lepiej, niż gdyby po prostu poszedł w jego ślady. Berne zastanawiał się, czy ojciec uważał, że to zabawne. Berne tak uważał. Zaśmiał się na samą tę myśl.

Podpłynął do muru i wyszedł z wody, z łatwością wspinając się po ścianie; palce i czubki butów znajdowały oparcie w spoinach między kamieniami. Kiedy dotarł do blanków, obaj wartownicy nadal tam stali, niespokojnie pilnując miecza. Berne podziękował im z szerokim uśmiechem za przypilnowanie broni i przewiesił miecz przez plecy. Potem wzruszył ramionami i rozwiązał sakiewkę, którą miał przy pasie od miecza. Czemu nie? Rzucił każdemu po złotym rojalu. Kiedy z zapalem podnosili monety – to było więcej niż tygodniowa pensja każdego – zaszalował im leniwie i zeskoczył z muru, wracając na ulicę drogą, którą tu przybył.

Pomrukiwał wesoło, biegnąc do pałacu Colhari. Rozgrywał w myślach scenariusz: „Przysięgam, Ma'eIKoth, po prostu rzucił się na mnie. Jak przedwczoraj w Kasynie Obcych. Poszedłem do niego pogodzić się. Tylko tyle. Wziąłem ze sobą nawet trochę brandy, cygara... A on rzucił się na mnie. Musiałem go zabić, przysięgam!”.

Łatwizna. Proste i schludne.

Ale nadal był trochę napalony; szkoda, że nie ma sposobu, by mógł usprawiedliwić wyruchanie trupa Caine'a. Potarł przód spodni, biegnąc. Hm, rzeczywiście był napalony, i to dość, żeby zająć się tym, zanim pójdzie załatwić Caine'a. Jego historyjka będzie o niebo mniej przekonująca, jeśli stanie przed Ma'eIKothem z ogromną erekcją.

I wtedy bogowie zesłali mu prezent: kiedy mijał zaułek, usłyszał znajome pogwizdywanie przyzywającej klienta dziwki. W zaułku stała chuda dziewczyna o delikatnej budowie elfów,

otulająca przezroczyście ramiona zniszczonym szalem.

Berne uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Przegapiłaś godzinę zmroku, co?

Kornie pokiwała głową i spojrzała na niego spod długich srebrnych rzęs.

– Muszę zejść z ulicy. Daj mi schronienie na noc, a ja nauczę cię... – poruszyła znacząco biodrami – sekretów pierwotnych...

– W porządku – mruknął – ale najpierw pokaż mi nieco tutaj.

Dołączył do niej w zaułku, a już po chwili wynurzył się zaspokojony; nogi jej połamanego ciała nadal drgały na bruku jak u na wpół zmiążdżonego pająka.

W końcu już było po godzinie zmroku, a on jako hrabia cesarza miał obowiązek dbać o przestrzeganie prawa.

Popędził do pałacu, żeby szybko się przebrać; posłał służącego po dzbanek dobrej brandy i pudełko cygar – to będą prezenty na zawarcie pokoju, pretekst, żeby dostać się do pokoju Caine'a i zabić go.

Pomrukując pod nosem, szedł lekkim krokiem korytarzami do komnat, które przeznaczono dla Caine'a. Już trzymał rękę na klamce, kiedy Ma'elKoth Przemówił do niego:

*BERNE, CO ROBISZ?*

Berne skrzywił się. To Przemawianie – zdolność Ma'elKotha do wrzeszczenia w umyśle każdego ze swoich Dzieci, każdego, kto przeszedł przez rytuał Odrodzenia – rozległo się gromem w jego głowie jak głos boga i Berne miał wrażenie, że czaszka mu wybuchnie przy następnym słowie. Ledwo zdołał utrzymać dzban brandy.

– Nic – odpowiedział w pustkę. – Odwiedzam Caine'a. Wiesz, żeby się pogodzić...

*DLACZEGO LAMORAK JEST W TEATRZE PRAWDY?*

Berne przycisnął dłoń do oczu, jakby chciała powstrzymać je przed wyskoczeniem z głowy.

– Ehm, chciałem się go pozbyć. Nie ma z niego dla nas żadnego pożytku. Po co marnować pieniądze na karmienie go?

*TO NIE TWOJE PIENIĄDZE, ŻEBYŚ JE WYDAWAŁ ALBO OSZCZĘDZAŁ, ANI LAMORAK NIE JEST BEZUŻYTECZNY. WŁAŚNIE KIEDY ROZMAWIAMY, CAINE JEST W DONŻONIE I UDAJE, ŻE RATUJE JEGO I TĘ KOBIETĘ, BY W TEN SPOSÓB ZDOBYĆ ZAUFANIE SIMONA BŁAZNA.*

– Zdobyć zaufanie...? – Berne zagapił się na zamknięte drzwi przed sobą i zastanawiał się szybciej niż kiedykolwiek poruszało się jego ostrze. – Ma'elKoth, mogę odwołać rozkaz, konno dotrę tam w pięć minut.

*NIE. NIECH UMRZE. POJAWIAJĄC SIĘ OSOBIŚCIE, WZBUDZIŁBYŚ PODEJRZENIA WŚRÓD STRAŻY I PEWNIEM W SAMYM LAMORAKU. SIMON BŁAZEN MA WSZĘDZIE INFORMATORÓW; NIKT NIE MOŻE PODEJRZEWAĆ JAKI MAMY PLAN. KOBIETA WYSTARCZY... ALE, BERNE, WIEDZ, ŻE JESTEM Z CIEBIE NAD WYRAZ*

## NIEZADOWOLONY.

– Ma’elKoth, przepraszam... – mruknął Berne, ale Obecność już zniknęła z jego umysłu.

Wziął głęboki wdech i ostrożnie odstawił brandy i cygara na próg pokoju Caine’a. Potem popędził jak wiatr, zeskakując po kilka schodów i wpadając w poślizg na zakrętach. Pędził do małej stajni, gdzie Rycerze Pałacowi trzymali swoje wierzchowce.

Nie mógł powiedzieć Ma’elKothowi, co podejrzewał, co wiedział na temat Caine’a – Ma’elKoth najwyraźniej zadurzył się w tej pieprzonej żmijce – ale Berne mógł jeszcze, tu i teraz, ocalić cesarstwo.

Mógł jeszcze dorwać Caine’a – zabić go, nie mając na dłoniach nawet kropli jego krwi.

To przykre, że musiał zostawić zabicie Caine’a komuś innemu, ale w takich chwilach jak ta prawdziwi patrioci musieli być gotowi do poświęceń.

Nie marnował czasu na siodłanie konia, założył mu tylko uzdę. Złoty rojal dla każdego kupił mu milczenie strażników przy Bramie Dil-Phinnarthina. Berne ruszył galopem w stronę sądu.

No dobra, więc Caine zginie z cudzych rąk, i co z tego?

Przy odrobinie szczęścia Berne za dzień albo dwa dorwie Pallas Ril; to będzie satysfakcjonująca nagroda pocieszenia, o wiele bardziej satysfakcjonująca niż ta elficka dziwka.

Z Pallas nie będzie się spieszył i naprawdę dobrze się zabawi.

## 2

– Administratorze? Administratorze!

Niepewna dłoń na jego ramieniu obudziła Arturo Kollberga. Zagapił się na nią tępo, obliznął usta, próbując pozbyć się smaku popielniczki w ustach.

– Administratorze, Caine znowu jest podłączony!

– Co...?

Z brzękiem i szumem mózg Kollberga zalały słowa. Obejmujący dwieście siedemdziesiąt stopni ekran PW Caine’a, tworzący ścianę techkabiny, rozwinął się przed jego oczami. Kollberg zasnął w fotelu kierownika sceny, czekając, aż Caine wynurzy się z pałacu Colhari.

– Ranny? Ile to czasu...? – wybełkotał. Gwałtownie pokręcił głową, potarł twarz dłońmi, próbując rozbudzić umysł poprzez skórę.

Był aż do bólu świadomy rozświetlonego diodą aktywowanego przycisku transferu awaryjnego, lśniącego przed nim na konsoli jak radioaktywny grzyb. Był aż do bólu świadomy odpowiedzialności, jaką ten guzik oznaczał.

– Nie, nie wygląda na rannego – odpowiedział jeden z techników. – Minęło prawie dwadzieścia siedem godzin. Idzie pieszo w kierunku zachodnim bocznymi uliczkami Starego

Miasta. Najwyraźniej jest, ehm, jakimś cudem ponownie uzbrojony i niesie ciężki zwój liny przewieszony przez ramię.

– Więc budzić ich! – warknął Kollberg. – Mamy na całym świecie sto pięćdziesiąt tysięcy bezpośrednich w deprawie! Jeśli coś się wydarzy, a oni to prześlą...

Nie trzeba było kończyć groźby; wszyscy w techkabinie zrozumieli. Przez kilka minut jedynym dźwiękiem były stłumione uderzenia klawiszy i burkliwy szept Solilokwium Caine'a.

– Na miłość boską, niech ktoś przyniesie mi kawę.

Technik zerwał się z krzesła i podskoczył do ekspresu, podczas gdy Kollberg obrzucił krytycznym spojrzeniem wyniki zdalnych pomiarów u Caine'a: poziom adrenaliny podnosił się, ale liczba uderzeń serca, chociaż ledwie przekroczyła setkę, stale rosła. Z pewnością nie był ranny – zręcznie poruszał się bocznymi uliczkami, bez trudu krył się w głębokich cieniach, unikając mijających go patroli straży.

Technik wsunął mu do ręki kubek i Kollberg beznamyślnie napił się parzącej język kawy. Kawa to za mało jak na jego potrzeby – nie mógł ryzykować, że znowu odpłynie. Nabazgrał pospiesznie wiadomość w notatniku w podłokietniku podłączonym do elektroniki fotela i nacisnął „wyślij”. W ciągu pięciu minut goniec Studia zjawi się w techkabinie z pudełkiem siarczanu amfetaminy, którą zwykle trzymał przy symfotelu w prywatnej łoży.

Solilokwiurn trwało bez przerwy; Caine zręcznie wypełniał historię o brakujące dwadzieścia siedem godzin. Kollberg pokiwał głową, podziwiając technikę Caine'a; facet był w tym naprawdę doskonały. Wiedział, że był odłączony i teraz przeplatał historię obrazami tak barwnymi, że bezpośredni prawie uwierzyliby, że przeżyli to sami. Jednocześnie nie tracili wrażenia bezładu wolnych skojarzeń, co podtrzymywało iluzję, że Solilokwiurn to prawdziwe myśli.

Zatem... namówił Ma'elKotha, żeby wynajął go do znalezienia Simona Błazna, co za ironia losu. To pozwoli Caine'owi uratować Pallas i zabić Ma'elKotha niemalże równocześnie, pod warunkiem, że Caine rozegra historię tak, jak to tylko on potrafi.

Ale co kombinował teraz?

Obraz na ekranie z PW Caine'a przeskakiwał, przyprawiając o zawrót głowy, kiedy Caine sprawdzał ulicę, nim przemknął Drogą Arystokratów do mrocznych cieni pod Mostem Rycerzy. Nadal wypełniał braki jakąś paplaniną o olbrzymim posągu i krwawej przysiędze, ale nawet słowem nie wspominał, dlaczego skrada się w zachodnim krańcu Starego Miasta o drugiej w nocy.

To była stara jak świat technika budowania napięcia, jakiej Caine mógł nauczyć się w Konserwatorium, i z pewnością działała na Kollberga. Zagryzł usta i otarł pot z dłoni o podłokietniki.

PW Caine'a ukazywał kolosalną budowlę, która wznosiła się jako ledwie ciemniejszy cień na tle lekko posrebrzonego, pochmurnego nieba; potężny budynek wyższy od muru,

który otaczał Stare Miasto.

– Co to jest? – mruknął Kollberg. – Dokąd on idzie?

Jeden z techników sprawdził wskaźnik Caine'a na wirtualnej mapie.

– To musi być sąd, Administratorze. Bóg jeden wie, co zamierza tam zrobić.

Podczas gdy Kollberg kiwał głową, marszcząc czoło, Caine dotarł właśnie do narożnika budynku sądowego i przemknął wzdłuż niego w ciemnym jak atrament cieniu. Palcami rąk i stóp wymacał szpary w zaprawie między ogromnymi wapieniami i wspiął się po ścianie z łatwością i szybkością człowieka wchodzącego po schodach w biały dzień. W nieco ponad minutę dotarł do ścieżki strażników, która otaczała spadzisty dach sądu, tam przykucnął w mroku, żeby złapać oddech i odliczyć w Solilokwium kominy.

*\*Jeden, drugi, trzeci w górę, dwa w bok, jest.\**

Komin, na który Caine patrzył, buchał gęstą białą parą, zabarwioną na czerwono od poświaty latarni zbliżającego się strażnika.

*\*Ten kłęb pary wziął się z kotła z kleikiem, który wylano w ogień jakieś sześćdziesiąt metrów niżej\** – monologował Caine.

Sześćdziesiąt metrów? Zdziwiony Kollberg ściągnął brwi. Sąd nie miał nawet połowy tej wysokości.

*\*A teraz, co do straży.\**

Strażnik nie miał szans. Wszedł zza rogu i nawet nie zobaczył Caine'a, który bezgłośnie zakradł się do niego od tyłu. Ku zaskoczeniu Kollberga, Caine nie podciął mężczyźnie gardła; zamiast tego cichym i sprawnym ciosem łokciem w kark tuż poniżej hełmu sprawił, że zwiotczały mu kolana. Strażnik poleciał w przód, i Caine jedną ręką złapał latarnię, a drugą człowieka. Jedno i drugie odłożył na chodniczek. Nim strażnik doszedł do siebie na tyle, żeby choć jęknąć, Caine zarzucił mu na szyję pętlę ze sznura, który nosił w pasie, i w kilka sekund bezgłośnie przydusił mężczyznę tak, żeby stracił przytomność na dłużej.

Kolejne dwadzieścia sekund, żeby go związać i zakneblować, a potem Caine pobiegł po spadzistym dachu do wybranego komina.

*\*Człowiek z Królewskich Oczu, który wylał kleik, to jedyna osoba na dole, która wie, że coś się kroi, chociaż nie wie co. Wie tylko, że Toa-Sytell chce przesłuchać więźnia, który przygotowuje poranny posiłek, i rozkazał, żeby kleik wylać na ten ogień. Tylko tyle wie; tylko tyle potrzebuje wiedzieć.\**

*\* Resztą zajmę się sam.\**

Kiedy dotarł do komina, wyjął zza pasa stalowy pręt z długim, bardzo długim zwojem liny przywiązany do dziurki pośrodku. Położył pręt na wylocie komina i pozwolił linie rozwinąć się w duszącej, zadymionej ciemności poniżej. Naciągnął grube rękawiczki z niewyprawionej skóry, po czym wszedł do komina.

*\*Piętnaście minut, nim zjawią się zaufani, którzy przygotowują poranny posiłek. Piętnaście minut, żeby uwolnić dwoje przyjaciół. Jeśli potrwa to dłużej, zawałę sprawę, co*

*może kosztować mnie życie, ale nieważne. Jeśli to spieprzę, Pallas zginie.\**

Wychylił się z komina ostatni raz zaczerpnąć świeżego powietrza, wziął wdech i zsunął się po linie tak szybko, że rękawiczki zadymiły i zaczęły palić mu dłonie.

*\*Muszę to załatwić jak trzeba za pierwszym podejściem\**

Lamorak! – spanikował nagle Kollberg. Tam na dole jest Lamorak. Idzie po Lamoraka i Pallas! Ale nie, przecież nie marnowałby czasu na Lamoraka, prawa? Lepiej, żeby nie. Nie ostrzegałem go?

Zacisnął pięść i nieświadomie przesunął ją nad przełącznik awaryjnego transferu. Siłą woli zmusił się, żeby opuścić dłoń, nie włączając przycisku. Na razie nie mógł tego zrobić, nie miał uzasadnienia; jego układy z Lamorakiem były zbyt delikatne, żeby udźwignęły ciężar transferu awaryjnego. Rada Zarządców mogłaby tego nie pochwalić.

Kiedy Caine ześlizgnął się w tłące się bursztyny paleniska w ciasnej, ciemnej kuchni cesarskiego Donżonu, Kollberg wbił wzrok w pulsujące światło przełącznika transferu awaryjnego.

Zdał sobie sprawę, że to już nie była kwestia „czy”, tylko „kiedy”.

### 3

Talann z trudem wydobyła się z gorączkowych majaków. Jej umysł częściowo otrzeźwiał i powróciła do świata ciemności i bólu.

Nie mogła sobie przypomnieć, ile czasu upłynęło od ostatniego przesłuchania; nie wiedziała, ile dni siedziała w łańcuchach, ocierając do żywego nagą skórę o zimną, wapienną posadzkę. Żelazne pęta przymocowane do podłogi trzymały ją za kostki. Zardzewiały łańcuch skuwający jej nadgarstki przymocowano do tej samej śruby w podłodze. Był za krótki, żeby mogła stanąć albo wyciągnąć się na podłodze. Wilgoć i miękki szlam pod nią oznaczały, że znowu opróżniła pęcherz i jelita podczas snu, kiedy leżała zwinięta wokół pęt. Zmysł węchu już dawno przestał cokolwiek odbierać i teraz nic jej nie przekazywał.

Stękając, zdołała usiąść. Ból w różnych miejscach dał o sobie znać w kolejności wznoszącej: rozdarta skóra, gdzie żelazo kajdan wgrzyzało jej się w kostki i nadgarstki, sączące się rany na pośladkach i bokach, które otworzyły się od leżenia we własnych nieczystościach, niedbale zszyte cięcia mieczem, które zebrała od Kotów, teraz opuchnięte od ostrego zakażenia, i dudniąca jak młot gorączka trawiąca jej mózg. Podejrzewała, że opuchlizna nad prawym uchem, pamiątka po ogłuszeniu stalową rękojęścią miecza, prawdopodobnie ukrywała pęknięcie czaszki.

Wielka Matko, pomyślała, na poły się modląc. Nie pozwól mi tak skończyć.

W czasie przesłuchania dobrze sobie poradziła. Była tego pewna. Trzymała fason, trzymała język za zębami, trzymała się swoich ideałów. Nie zdołali od niej wyciągnąć więcej



niż jej własne imię. Zabrali ją nawet poza tłumiące Przepływ mury Donżonu, do pałacu, gdzie cesarz przesłuchiwał ją osobiście.

Czuła jego wolę jak palce próbujące chwycić się drzwi jej umysłu, ale opierała się tak, jak nauczono ją w szkole opackiej. Całą wyostrzoną medytacją uwagę skupiła na otoczeniu, odliczając drzazgi w drzwiach, stalowosiwe włosy w brodzie Ma'elKotha, słuchając melodii trzepoczących skrzydeł uwięzionej muchy.

Kiedy Ma'elKoth zrozumiał jej strategię, zmienił własną, magijnie stłumił jej zmysły, pozostawiając ją ślepą, głuchą, pozbawioną powonienia, smaku i zmysłu kinestetycznego, szybującą w nieskończonej bezkształtnej nicości. Tylko nacisk jego pytań uderzał jak fale o skały jej umysłu. Mimo to nadal się opierała, wypełniając świadomość rymowankami, kawałkami piosenek i na wpół pamiętanymi recytacjami z historii Klasztorów.

Potem powróciło prostsze zadanie: opieranie się bólowi. Znowu wylądowała w Teatrze Prawdy pod srebrnymi igłami mistrza Arkadeila. Nawet wtedy mogła się załamać i powiedzieć im prawdę. Ale prawda by jej nie pomogła.

Bo prawda była taka, że nie miała pojęcia, kim może być Simon Błazen, jak wygląda ani jakie mógł mieć plany.

Miała mgliste poczucie, że znała odpowiedzi, i to raptem kilka dni temu, ale teraz umknęły jej z pamięci tak, jak woda przecieka przez palce. Pamiętała tylko, że trzymała się Pallas Ril, bo była kobietą Caine'a, ponieważ jej życie łączyło się z życiem Caine'a, ponieważ Talann w głębi serca wiedziała, że pewnego dnia sama dotknie jego dłoni, pochwyti jego spojrzenie, będzie walczyć u jego boku i być może – jak wyobrażała sobie w marzeniach tak cennych, że zerkala na nie tylko z oddali i natychmiast odkładała na bok – legnie w jego łóżu.

Teraz, leżąc w kałuży własnego brudu na twardej podłodze celi, patrząc, jak kolory eksplodują jej przed oczami fantastycznymi geometrycznymi wzorami w ciemności że oko wykol, starała się wierzyć, że to nadal może się wydarzyć, że to nadal czeka na nią w przyszłości.

Że nadal ma jakąś przyszłość.

Walczyła, by uwierzyć, że jej historia, pieśń życia, nie zakończy się w gasnącym jęku wśród niekończącej się nocy.

Nieznana. Niezaśpiewana. Martwa.

Ma otwarte oczy czy zamknięte? Nie potrafiła tego stwierdzić i nie miało to już znaczenia. Znowu przywołała ulubione wspomnienie. To było dziesięć lat temu, kiedy jako nastoletni goniec nosiła wiadomości dla przeora Darthelna z Ciernistego Grzbietu nad wielkim polem bitwy pod Ceraeno, przez te trzy dni, kiedy połączone siły Ankhany i Klasztorów walczyły z przeważającym liczebnie wrogiem, nieskończonymi szeregami dzikich wojowników z hordy Khulana, i przegrywały, przegrywały bitwę i desperacko próbowały zorganizować odwrót.

Nigdy nie zapomni dreszczu, który przebiegł jej po kręgosłupie, kiedy krzyk niedowierzania rozległ się wśród nieskończonych szeregów hordy. Spojrzała na pole bitwy i zobaczyła ogromny sztandar samego Khulana płonący żółtym płomieniem.

Talann była obdarzona między innymi nadzwyczajnym wzrokiem; jak orzeł, dostrzegła – nawet z odległości mili albo więcej – czarne ubranie i przystrzyżoną brodę mężczyzny, który trzymał płonący sztandar jeszcze przez chwilę, a potem rzucił go w błoto u stóp. Jak zahipnotyzowana patrzyła z zapartym tchem, zapomniawszy o obowiązkach, na Niedźwiedzią Straż, otaczającą go niczym szczęki smoka. Łza spłynęła jej po brudnym policzku, na pożegnanie nieznanego bohatera. Ale po chwili zobaczyła go znowu, nadal żywego, wycinającego drogę przez najwspanialszych wojowników hordy Khulana tak, jak dziób okrętu wojennego tnie fale.

Widziała go jeszcze jeden raz, miesiąc później, kiedy stała pośród świty ankańskiego przeora i patrzyła, jak Caine oficjalnie odmawia przyjęcia tytułu barona oferowanego przez króla Tel-Alcontaura. Poruszał się sztywno, nadal przeszkadzały mu wolno gojące się rany otrzymane w bitwie, miał łubki na lewej ręce. Dartheln zauważył wyraz jej twarzy, gdy obserwowała Caine'a. Z uśmiechem zaproponował, że ją przedstawi, a po ceremonii dopełnił obietnicy.

Caine z powagą uściśnął jej dłoń jak towarzyszowi walki i wysłuchał z uwagą wyjąkanych przez nią słów podziwu. Ale setki ludzi ważniejszych od niej czekały, by wyrazić mu swój szacunek. Kiedy odszedł, zabrał ze sobą jej serce.

Od tego dnia żyła pragnieniem dorównania Caine'owi. Odmówiła objęcia proponowanych jej klasztornych placówek, poprosiła o Zwolnienie ze Ślubów Posłuszeństwa, podróżowała w poszukiwaniu przygód, bez końca doskonaliła umiejętności, żeby pewnego dnia, kiedy znowu go spotka, mogli rozmawiać jak równi, żeby była godna szacunku, który tak szczerze ofiarował jej wcześniej.

Osiągnęła teraz wiek, w którym namiętne marzenia okresu dorastania zawstydzają ją, ale nigdy się nie zmusiła do porzucenia ich – przywoływała je, żeby pocieszały ją w najczarniejszych chwilach.

Nigdy nawet nie zbliżyła się do chwili tak czarnej, jak obecna.

Tak się zatraciła w marzeniach o niemożliwej przyszłości, że ledwo dosłyszała zgrzyt sztaby przesuwanej na drzwiach jej celi. Dopiero kilka zgrzytów przyciągnęło jej uwagę: to nie był odgłos przekręcanego klucza.

Ktoś otwierał zamek wytrychem.

Usłyszała, że drzwi się otwierają, i w słabym, odległym świetle, które wlewało się z Jamy, ujrzała sylwetkę mężczyzny. Wsunął się do celi. Po zgrzycie krzemienia o stal i fontannie iskier ostrożnie zapalono latarnię.

Serce Talann zamarło i wzrok jej się zamglilił.

Nosił luźne szaty zaufanych zamiast typowej czarnej skóry, a twarz miał oblepioną sadzą,

ale wystrzyżona broda i ostry zarys złamanego nosa były dokładnie takie, jakie widziała przez dziesięć lat marzeń. I wiedziała, że to sen, że to może być tylko marzenie, że w końcu straciła zmysły.

Ale gdyby to był sen, wzięłby ją w ramiona, szepnąłby jej imię, a kajdany opadłyby z brzękiem. Zamiast tego, kiedy światło nabrało mocy, Talann ujrzała na twarzy Caine'a wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

Przyglądał się jej zaszokowany, pełen odrazy, i z głębokim rozczarowaniem. Pokręcił głową i zasłonił oczy ręką, opierając czoło o dłoń między kciukiem i palcem wskazującym.

– Jesteś Talann – mruknął chrapliwie. – Oczywiście. To byłoby zbyt łatwe.

Jej serce zaśpiewało. Te dziwne słowa i raniące spojrzenie nic nie znaczyły, liczył się tylko jeden, prosty, olśniewający fakt.

– Caine, pamiętasz mnie...

– He?

Gwałtownie uniósł głowę, spojrzał jej prosto w oczy, przenikliwie – chwilę potem skrzywił się i zaczął grzebać w fałdach szaty zaufanego.

– Aha, zgadza się – mruknął. – Pamiętam cię.

– I ja nie śnię. Nie. Przyszedłeś mnie uratować.

Na jego częściowo odwróconej twarzy odzwierciedlił się cień wewnętrznej walki. Coś sobie postanowił, kiedy znalazł w kieszeniach to, czego szukał. Gdy znowu się odezwał, spojrzał jej prosto w oczy, z twarzą ponurą i nieruchomą.

– Uhm, lepiej w to uwierz. Zabiorę cię stąd.

Wyciągnął płytkie ceramiczne naczynie, nieco większe niż koło między jego złączonym kciukiem i palcem wskazującym, zatkane kawałkiem korka.

– Posmaruj tym rany, zjedz trochę. Od tego zejdziesz opuchlizna i zmniejszy się ból. Nie zużyj za dużo, Lamorak może być w gorszym stanie.

Wzięła naczynko, a on otworzył proste zamki kajdan i pęt, po czym szybko wypełniła polecenie. Jakąkolwiek magią wypełniono ten olejek, musiała być potężna: niemal natychmiast zaczerwienienie i opuchlizna zakażonych ran zaczęły ustępować, a ona fizycznie czuła, że gorączka słabnie.

– Nie tak – zaczęła, wcierając ostatnią odrobinę olejku w rozdartą skórę nadgarstków i kostek – wyobrażałam sobie nasze ponowne spotkanie. Nie należę do dziewczyn, które często trzeba ratować...

To źle zabrzmiało, a pusty śmiech, do którego się potem zmusiła, zabrzmiał jeszcze gorzej, na szczęście Caine ledwie zwracał na to uwagę. Ściągnął szatę zaufanego przez głowę, odsłaniając znajomy kostium ze skóry pełen noży, i rzucił ją Talann.

– Ubierz się. Mamy mniej niż dziesięć minut, żeby zgarnąć Lamoraka i wynieść się stąd.

Na krótką chwilę zagubiła się w cudownym uczuciu – dotyku ubrania okrywającego jej ciało.

– Dziękuję. Na Wielką Matkę, Caine, nawet nie potrafię...

– Daruj sobie. Będziemy mieli czas na przemowy; kiedy już się wydostaniemy z tego szamba, możesz mi palnąć oficjalną mowę dziękczynną. Chodźmy po Lamoraka.

– Lamorak – powiedziała powoli. – Wiesz...

„...że on rżnie Pallas Ril?” – dokończyła w myślach, ale nie mogła tego powiedzieć, nie na głos, nie tutaj.

– Co?

– ...gdzie jest jego cela? – poprawiła się pospiesznie. – Nie widziałam nikogo. Ktoś uciekł? Pallas... udało jej się? Nic jej nie jest?

– Aha, ja... Tak, chyba tak – odpowiedział z miną, jakby nagle rozboleł go żołądek. – Jak dotąd. Dobra, chodźmy.

Ale zamiast otworzyć drzwi, Caine nagle wypuścił z ręki latarnię, która z brzękiem poleciała na podłogę. Zwierzęcy charkot wydarł się z jego gardła, kiedy złapał się za głowę. Twarz wykrzywiła mu się w agonii. Złożył się wpół, zanim uderzył o ścianę, chwytając ją, by się podeprzeć. Paznokcie zazgrzytały o wapień, gdy padał na podłogę.

#### 4

Kollberg z rozedrganą twarzą zerwał się z fotela kierownika sceny.

– Chryste, co to było?!

– Nie wiem, proszę pana – odpowiedział jeden z nerwowo kręcących się techników – ale musiało boleć jak diabli. Niech pan spojrzy!

Chemia w mózgu Caine’a oszalała, odpowiedź na ból według zdalnych pomiarów wyszła poza skalę; to niewiarygodne, że nie stracił przytomności. W Solilokwium słychać było tylko cichy, gardłowy jęk.

– To jakiś atak? – warknął Kollberg. – Niech ktoś mi powie, co się dzieje!

Drugi technik spojrział znad monitora, kręcąc głową.

– Jeśli o to chodzi, to pewnie będziemy musieli poczekać na Caine’a, proszę pana.

A Solilokwium Caine’a powróciło zdaniem, które zmroziło Kollberga.

*\*Najwyraźniej wszyscy chcą, żebym pozwolił Lamorakowi umrzeć\**

#### 5

Berne pędził do sądu galopem. Gdy młody i nerwowy wartownik zdjął z ramienia pikę i warknął, żeby się zatrzymał i podał tożsamość, Berne zeskoczył z konia i zbliżył się do wartownika jak polujący wilk.

– Spójrz na mnie. Wiesz, kim jestem, prawda?

Wartownik pokiwał głową, szeroko otwierając oczy.

– Daję ci prezent, żołnierzu. Daję ci awans.

– Tak, panie?

– Nie widziałeś mnie. Nigdy mnie nie spotkałeś. To się właśnie dziś wydarzyło. Kiedy obchodziłeś swój posterunek, usłyszałeś hałas, zduszony krzyk, uderzenie upadającego ciała, nieważne. Wymyśl coś. Musisz iść do dowódcy straży i zadbać, żeby wysłał ludzi na każdy posterunek. Zrozumiałeś?

Wartownik pokiwał głową, nadal wytrzeszczając oczy.

– My tu rozmawiamy, a jeden z twoich ludzi już pewnie nie żyje. Mężczyzna, który go zabił, znajduje się w Donżonie.

Wartownik zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem. Jeśli jest w Donżonie, to jak mógłby...

Berne zdzielił go w skroń wystarczająco mocno, żeby się zatoczył.

– Nie jest więźniem, idioto. Pomaga więźniom uciec.

– Uciec?! Niemożliwe!

– Tylko jeśli o to zadbasz, żołnierzu. Jeśli ten człowiek zostanie złapany i zabity, będę twoim przyjacielem, jasne? Rozumiesz, co to może znaczyć dla zwykłego żołnierza, mieć przyjaciela w hrabim?

Ambicja rozbłysła w oczach wartownika i znowu pokiwał głową.

– Ale jeśli ktokolwiek się dowie, że tu byłem dziś wieczór, stanę się twoim wrogiem. Rozumiesz też, co to oznacza?

– Nie mam o niczym zielonego pojęcia, panie.

Berne poklepał go po zarumienionym policzku.

– Zuch chłopak.

Wartownik odbiegł, a Berne wskoczył na zdyszanego konia. Chciał wrócić do pałacu, zanim w tym kotle zakipi.

## 6

To był grzmot, który groził, że roztrzaska czaszkę Caine'a od środka:

*PRZEPRASZAM, ŻE KRZYCZĘ, DROGI CHŁOPCZE. SKAŁA DONŻONU HAMUJE PRZEPLÝW, WIĘC MUSZĘ WRZESZCZEĆ. ZAPOMNIJ O LAMORAKU. JEST W TEATRZE PRAWDY I NIE ZDĄŻYSZ DOTRZEĆ DO NIEGO NA CZAS. JEŚLI ZDOŁASZ WYPROWADZIĆ KOBIECĘ, MOŻLIWE, ŻE TO WYSTARCZY. JEŚLI NIE, WRACAJ I WYMYŚLIMY NOWĄ, LEPSZĄ STRATEGIĘ.*

Obecność zniknęła z jego umysłu z równym łomotem, jak się w nim pojawiła. Caine

pamiętał, co Kollberg powiedział w zielonym pokoju przed transferem, pamiętał tak wyraźnie, jakby teraz usłyszał to po raz pierwszy: „I, ehm, co do Lamoraka. Jeśli żyje, jeśli na przykład został schwytany, pod żadnym pozorem nie próbuj go ratować”.

Nie mógł spojrzeć na Talann, nie mógł spojrzeć w te głębokie, fiołkowe jeziora jej oczu. Zakaszczał raz, chrapliwie i podjął monolog:

*\*Najwyraźniej wszyscy chcą, żebym pozwolił Lamorakowi umrzeć.\**

Kollberg, ty lachociągu, pomyślał, ale warunkowanie Studia nie pozwoliło mu wypowiedzieć tych słów. Jeśli istnieje jakikolwiek sposób, jakikolwiek, żeby pokazać ludziom, czym jesteś, to lepiej, kurwa, uważaj.

– Jak się można dostać do Teatru Prawdy? – zapytał.

## 7

Oczy Talann robią się okrągłe – fiołki rozkwitające w mroku.

– E, ja, eee... nie bardzo wiem – wyjąkała. – Ehm, a ty, dobrze się czujesz?

Opieram bolącą głowę o zimny wapień za sobą i staram się wyglądać na spokojnego i pewnego siebie – musiałem ją śmiertelnie przerazić, kiedy tak padłem. Ja na pewno się tak przeraziłem.

– Byłaś tam? W Teatrze Prawdy?

Niepewnie kiwa głową i nie potrafi mi spojrzeć w oczy.

– Tam jest Lamorak? – pyta.

– Uhm, w każdym razie jego cela była pusta, kiedy tam dotarłem – kłamię gładko. – O ile nie myślisz, że je kolację z Ma’elKothem, Teatr Prawdy to chyba jedyne miejsce.

Przeczesałam brudnymi palcami zmatowiałe, tłuste włosy.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak tam się dostać. Kiedy mnie zabrali, założyli mi worek na głowę. Nic nie widziałam.

I zostało nam tylko pięć minut.

No i proszę, coś szydzi w mojej głowie. Wygrałeś, Ma’elKoth. I ty też wygrałeś, ty glisto o zwiotczałym, szarym cielsku, której imienia nie mogę wypowiedzieć.

Wygraliście. Lamorak umrze. Koniec gry.

Nie wiem, jak ten czar działa, nie wiem, czy ktoś słyszał głos Ma’elKotha ryczący w mojej głowie i mówiący, że Lamorak znajduje się w komnacie strachów, że jest zbyt daleko i zbyt dobrze strzeżony. Nie w średniowiecznej sali tortur, o nie, ale w bardzo nowoczesnej, czystej i skutecznej sali tortur prowadzonej przez lipkeńskiego wygnańca, którego imię stało się symbolem pozbawionego sumienia okrucieństwa.

A mimo to coś wilgotnego i lepkiego wierci się w mojej piersi, mówiąc mi, że łatwo go zostawić. To łatwe i proste.

Pieprzył moją żonę.

Zostawić go, pozwolić mu umrzeć. Nie ma szansy, żebym go uratował. Mam czyste ręce. Nawet Pallas nie miałaby o to pretensji.

Wstaję, lekko się zataczając – w głowie nadal mi huczy od ryku Ma’elKotha.

– Jak się czujesz? Dasz radę biec? Wspinać się? Lina do wyjścia ma sto pięćdziesiąt stóp. Dasz radę?

– Caine – mówi z uczuciem – zrobię wszystko, żeby tylko się stąd wydostać.

– Trzymaj się dwa kroki za moim prawym ramieniem i pilnuj tempa. Jesteś z Klasztorów, prawda? Znasz bieg braci?

Kiwa głową. W brudnej twarzy jej oczy lśnią uwielbieniem dla bohaterów i obietnicą rycerskiej nagrody. Tym razem to ja odwracam wzrok.

– No to ruszajmy.

Zamykam za nami drzwi i przesuwam sztabę na miejsce, a potem biegniemy.

Bieg braci to forma medytacji, a zarazem sposób szybkiego poruszania się po niepewnym terenie. Zginamy się w pasie do przodu, trzymając plecy proste; biegniemy na całych stopach, podnosząc przy każdym kroku kolana ku piersi. Ręce zwisają luźno po obu stronach, nie poruszają się dla łapania równowagi, dłonie z zagiętymi trzema palcami, pozostałe wyprostowane. Trzy kroki przede mną widzę podłogę, w przytłumionym świetle ze szczeliny w okryciu mojej lampy. Oddycham powoli i miarowo – trzy kroki, wdech, trzy kroki wydech. Czuję, że oddech unosi mnie jak prąd rzeczny. Dobry biegacz potrafi biec przez las z prędkością maratończyka i nigdy się nie zmęczy, nie potknie na nierównym gruncie, nigdy się nie przewróci na korzeniu ukrytym w podszyciu. I biegnąc, narobi bardzo mało hałasu. W szkole opackiej zaczynaliśmy każdy dzień walki od trzech mil biegu braci po lesie; żłobienia i ostre krawędzie nierówno ciętego wapienia pod nogami nie stanowią dla nas żadnego niebezpieczeństwa, nawet w ciemnościach. Talann bez trudu dotrzymuje mi kroku.

– Dokąd biegniemy?

– Zamknij się.

W biegu liczę boczne przejścia, powtarzając naszą drogę pod nosem jak mantrę. „Prosto, prosto, prawo, prosto, lewo, prosto, prosto, prawo...” – każdą odnogę albo zakręt wycinam z wyliczanki. Żadne z przejść tu w dole nie jest do końca proste, a niektóre zakręcają o wiele bardziej niż się wydaje, gdy nimi biegniemy. Poświęcam temu znaczną część uwagi; jeśli przegapię jedno przejście, będziemy udupieni. I tak czasu zostało nam już cholernie mało.

Kiedy z mojej wyliczanki zostało już tylko „prosto, prawo”, zatrzymuję się i wyciągam rękę, żeby zatrzymać Talann.

– Za tym zakrętem – mówię jej cicho – są drzwi bez sztaby. Tam jest jadalnia. Wejdziemy tam. Wewnątrz przewodu kominowego jest zamocowana lina. Po niej wejdziemy prosto na dach sądu, ale musimy się spieszyć. Jeśli pojawią się kucharze i zapalą ogień, udusimy się. Jasne?

Kiwa głową, ściągając brwi.

– Ale... gdzie jest Teatr Prawdy? Co z Lamorakiem?

Ponuro kręcąc głową.

– Nie możemy mu pomóc. Nie ma na to czasu. Gdyby był w swojej celi...

Talann jakby kurczy się nieco, załamuje się w sobie i odwraca wzrok.

– Więc musimy go zostawić – mówi głucho. – Nie możemy nic zrobić?

Chce, żebym jej powiedział, że się myli. Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie. Ma w oczach tak ewidentnie pełną uwielbienia nadzieję, że mam ochotę ją strzelić.

– Zgadza się... – Straszna myśl przecieka mi do mózgu. – Ty i, ehm, Pallas, macie ustalone miejsce kontaktowe? No wiesz, miejsce, w którym możecie się spotkać po tym, jak się rozdzieliłyście?

Mruży oczy.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz? To nie Pallas cię przysłała?

– Nie. To długa historia. – Oddycham nieco lżej. To byłaby okrutna ironia losu, zostawić tu Lamoraka i dowiedzieć się potem, że to jedyna osoba, która wiedziała, gdzie szukać Pallas.

Ale gdzieś w głębi trzewi czuję niespodziewane ukłucie. Nie chodzi tylko o to, że znam Lamoraka, że nawet jakby lubię tego faceta – to uczucie przypomina coś jak... sam nie wiem, rozczarowanie?

Teraz już rozumiem: miałem nadzieję, że Lamorak to jedyna osoba, która zna miejsce spotkania.

Szukam pretekstu, żeby go ratować.

Nawet nie powinniśmy rozmawiać. Powinienem był od razu zabrać ją do kuchni, do komina i martwić się o resztę, gdy już będziemy bezpieczni.

Ma'elKoth powiedział mi, żebym mu pozwolił umrzeć; tamta druga glista dała mi ten sam rozkaz.

Wszyscy chcą, żeby Lamorak zginął.

Całkiem niegłupi facet powiedział mi parę dni temu: „Myślą, że mają cię na własność. Myślą, że musisz robić, co ci każą”.

Ale wiecie, stąd prowadzi jeszcze jedno wyjście...

Stawiam latarnię na podłodze i sięgam po ramię Talann w głębokim cieniu. Jej twarz jakby słabo jaśnieje; za mną, jakieś sto kroków dalej, widać światło pochodni i słyszeć nieustanne mamrotanie więźniów w Jamie. Talann zapiera dech w piersi i błyszczą jej oczy.

– Wespniez się po tej linie – mówię jej. – Znajdziesz Pallas i powtórzysz jej te słowa: „Caine mówi, że jesteś odłączona od czterech dni”. Będzie wiedziała, co robić.

Mruży oczy i zaciska usta jak twardziel.

– Sam jej to powiedz.

– Mam nadzieję, że będę miał okazję.

Cofa się o krok i uwalnia rękę z mojego uścisku skuteczną blokadą, uderzając dłońmi w



moje nadgarstki. Łąduje w stabilnej pozycji, a wtedy wymachuje palcem przed moją twarzą.

– Nawet nie myśl, że spróbujesz tego beze mnie.

– Talann...

– Nie. Lamorak to mój towarzysz... mój przyjaciel. Jeśli mówisz, że nie ma szansy, pójdę po sznurze zaraz za tobą. Jeśli zamierzasz spróbować, będę u twojego boku.

Przyglądam się jej dłuższą chwilę, igrając z myślą, by laniem zmyć jej z twarzy ten wyraz twardziela. Pieprzyć to. Kiedy widzę pewność siebie płonącą w jej oczach i przypominę sobie mocne jak stalowa lina mięśnie jej rąk, to nie jestem pewien, czyby mi się udało. I przecież nie zmuszę jej do wejścia na linę.

A poza tym może mi się przydać pomoc.

Odczytuje, że podjąłem decyzję, po zmianie w zarysie mojej sylwetki.

– Jak znajdziemy Teatr Prawdy?

– Łatwizna. Złapiemy strażnika i zadamy mu ból, taki, że nam powie. Chodź.

## 8

– A teraz, nim w pełni odzyska świadomość, po raz ostatni sprawdzamy nasz sprzęt. Jakakolwiek luka w klatce albo naszym stroju może mieć fatalne skutki, zwłaszcza jeśli, jak udajemy w tym wypadku, nie mamy pojęcia, jakimi umiejętnościami dysponuje przesłuchiwany.

Świadomość rozwija się w czasie geologicznych epok, niczym wyspa koralowa wynurzająca się z czarnego oceanu. Rozlany, nieokreślony dyskomfort przechodzi w pragnienie – wysuszone pustynią usta, z mumifikowany język, osad jak tarka spieczony na zębach.

– Adepci, taumaturgowie czy inni, stanowią odrębną trudność w przesłuchaniach. Wielu potrafi częściowo albo całkowicie zablokować reakcję na ból w ciele. Wobec tego jesteśmy zmuszeni zająć się nimi na poziomie emocjonalnym, psychicznym, jeśli tak wolicie to nazwać. Rushall, słuchasz? Adepci są wyjątkowo trudni do zdobycia, więc uważaj. Wracając do tematu, odraza i przerażenie to potężne narzędzia, ale same zwykle nie wystarczają. Prawdopodobnie najskuteczniejszym narzędziem w procesie postępującej degradacji obiektu jest jego własna wyobraźnia. I właśnie ją musimy pobudzić.

Więzy – pasy wcinające się okrutnie w ciało nadgarstków, kostek i szyi; i kolejne pasy wokół kolan i bioder.

Mojej szyi, nadeszła myśl. To ja to czuję.

Delikatne poruszenie, żeby przyjąć nieco wygodniejszą pozycję, wywołało palący ból w lewym udzie, a odruchowa reakcja widzenia wewnętrznego, żeby zablokować rozdzierający ból, otrzeźwiła go całkowicie.

Kiedy światło powróciło do jego oczu, Lamorak pamiętał już, kim jest.

Chwilę potem zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Serce zaczęło mu walić, od palców stóp po gardło czuł pulsowanie; to go wyrzuciło z widzenia wewnętrznego z powrotem w morze bólu.

– Obserwujcie jego oczy. Widzicie, jak znowu wzrok się zogniskował? To oznacza, że możemy zrobić pierwsze nacięcie.

Mężczyzna, który stał nad nim, nauczający spokojnie w westerlingu z lipkeńskim akcentem, nosił ciekawy kostium na wysokiej, wychudzonej sylwetce: jednoczęściową, obszerną, luźną szatę pszczelarza precyzyjnie poprządkowaną srebrnym drutem. Wielki kaptur zasłaniał mu twarz, ledwie widoczną przez maskę szermierza ze srebrnej siateczki.

W jednej dłoni w rękawiczce zabłysł mały skalpel.

Przyrząd, do którego przymocowano Lamoraka, przypominał stół, albo podniesione łóżko, przykryte warstwami materiału i sprytnie połączone zawiasami albo innymi złączkami, dzięki którym Lamorak leżał w pozycji na wpół siedzącej. Doskonale widział nóż, który delikatnie rozcinał materiał spodni powyżej prawego, zdrowego uda.

– Ej – wychrypiał – nie musisz robić sobie tyle zachodu, wiesz? Nie jestem bohaterem, po prostu zapytaj, dobra?

Szczęka poruszała mu się dziwne, usta go piekły – nadal były opuchnięte i rozbite po uderzeniu o ścianę w celi i kopniakach strażników, kiedy przyszli go zabrać.

Mężczyzna w stroju pszczelarza nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał. Rozciął materiał na kolanie Lamoraka i przesunął skalpel w górę, aż do pachwiny, a Lamorak wzdrygnął się odruchowo, kiedy moszna zacisnęła mu się wokół jąder.

– Mistrzu Arkadeil? – rozległ się czyjś głos. – Dlaczego nie jest zakneblowany?

– Dobre pytanie – odpowiedział sucho mężczyzna z nożem. – Musicie pozwolić obiektowi mówić, a nawet krzyczeć, bez względu na to, że cokolwiek powie, nie będzie to miało wpływu na przesłuchanie. Robi się to dla zrównoważenia zasadniczej bezradności w jego położeniu. Najdrobniejszy promyk nadziei, że coś, co powie, może zapewnić mu łaskę, zapobiega pogrążeniu się w rozpacz, sprawia, że umysł pracuje. To kluczowa kwestia, zwłaszcza przy przeciwdziałaniu wstrząsowi w późniejszych stadiach przesłuchania. W ten sposób obiekt się wciąga, uczestniczy w procesie; a jego nadzieja staje się naszym sprzymierzeńcem. Rozumiecie? Dobrze. Możecie nawet od czasu do czasu zadać mu jakieś pytanie. Na przykład – pochylił zakapturzoną twarz nad Lamorakiem – chce ci się pić? Chcesz wody?

– Sam się napij – wychrypiał Lamorak i spróbował splunąć, ale usta miał wysuszone na wiór. Zdobył się na słaby uśmiech. – A co powiesz na piwo?

– Dobrze, bardzo dobrze. – Mistrz Arkadeil odwrócił się do słuchaczy. – Widzicie? Niczego więcej nie trzeba.

Krąg trójnogów z białymi ceramicznymi reflektorami otaczał małą, okrągłą scenę z

aparaturą. Lamy rzucały mocne żółte światło i pozostawiały resztę pomieszczenia w cieniu. Poza nimi Lamorak ledwie dostrzegał dwie garstki mężczyzn siedzących na ławkach wznoszących się wokół kamiennej posadzki. Wszyscy byli skupieni na wykładzie Arkadeila. Za nimi kolejne ławki wznosiły się ku ocienionemu sufitowi.

Sala wykładowa, pomyślał Lamorak. Przypominała mu klasy w Studyjnym Konserwatorium. Coś w połowie między salą wykładową a salą operacyjną.

Potem zajął się sobą i z zadowoleniem stwierdził, że nie odnalazł paniki. Uznał, że radzi sobie całkiem dobrze, jak dotąd – ale możliwe, że jego pewność siebie częściowo wynikała z niemożności uwierzenia, że to naprawdę się dzieje, że naprawdę leży przywiązany do stołu w ankańskim Donżonie, i za chwilę zostanie użyty jako ciało do badań na zajęciach w szkole tortur. Nierealność, swoiste poczucie oderwania wypełniało całą tę scenę, jakby oglądał pośrednio cudzą Przygodę.

Nadal szukał w umyśle choćby iskierki wiary, że tu zginie, i ponownie z przyjemnością stwierdził, że niczego takiego nie ma. Był stale, nieprzerwanie świadom urzędnika nagrywającego w czaszce i śmiertelnie się bał, że wyjdzie na tchórza. A to doprowadzało go do podejmowania coraz większego i większego ryzyka, żeby dowieść swojej wartości. Dokonał kilku naprawdę spektakularnych rzeczy; gdyby tylko Studio wyłożyło na jego marketing taką samą kasę jak na, powiedzmy, Caine'a...

– Pamiętajcie – powiedział Arkadeil – kluczem jest postępująca degradacja, dlatego zaczynamy od najdrobniejszych nacięć. – Nóż obniżył się na udo Lamoraka tuż nad kolaniem.  
– Proszę, nie ruszaj się, Lamorak. Każdy ruch w zagrożonej strefie spowoduje tylko to, że cięcie będzie mniej równe i bardziej bolesne. W porządku? Świetnie.

– Nie chcesz tego robić – powiedział Lamorak i przeszedł na widzenie wewnętrzne.

Zamierzał umocnić tę sugestię znaczącym dźgnięciem w psychikę kata; to powinno fantastycznie wyjść na sześcianie.

Nie zobaczył żadnego ze zwisających pasm koloru, które w jego umyśle były metaforą Przepływu, ale z drugiej strony nie spodziewał się tego: trzy dni bezskutecznych eksperymentów w celu pokonały jego nadzieję. To częściowo z tego powodu Donżon pozostawał niedostępny z zewnątrz, nawet dla adeptów – osady mineralne w wapieniu zakłócały Przepływ, a tę odrobinę, która przeciekała, pochłaniały niekończące się marzenia i modlitwy o wolność setek więźniów. Żadna prawdziwa taumaturgia nie była możliwa tu na dole. Wiedział jednak, że moc potrzebną do takiego szturchnięcia zdoła wygenerować z własnej Powłoki.

Kolczasta, pomarańczowa jak płomień macierz jego Powłoki rozbłysła jasno. Wzrok mu się zamglił, gdy przelał w nią wszelką moc, jaką miał. Trzymał ją w pogotowiu, szukając Powłoki, która wyznaczałaby obrzeża umysłu kata.

Niczego nie znalazł. Zakapturzona postać Arkadeila była równie pusta jak marmurowy posąg.

Mimo to uderzył, wizualizując owadzią kończynę o grubych stawach, która wystrzeliła z jego Powłoki i wczepiła się w szermierczą maskę zakrywającą twarz Arkadeila. Próbował się przebić przez srebrną siatkę do mózgu kata, ale pojawiła się jakaś tarcza, szkarłatna przeciwsiła, która zalsniła na siatce pokrywającej dziwaczny strój pszczelarza.

Lamorak przelał całą moc w atak, mając nadzieję, że przewycięży opór zmasowanym wysiłkiem. Szkarłatne pole tylko rozbłysło jaśniej, stosownie do jego siły. Kolczasta Powłoka Lamoraka traciła kolory, blednąc jak opadające liście płowiejące w słońcu, żółknące, szarzące, i ostatecznie rozsypując się jak pajęczyna na wietrze.

Zaokrąglone ostrze skalpela wgryzło się w jego ciało, ale niezbyt głęboko – płytkie nacięcie połowy obwodu kolana. Arkadeil wziął kawałek materiału z tacy pod ręką, żeby otrzeć wzbierającą krew.

– To nie wygląda na bardzo bolesne – zauważył jeden z obserwatorów.

– Bo nie jest – odparł Arkadeil. – Skalpel powinien być niezwykle ostry, najlepiej obsydianowy, jeśli nie macie pod ręką najlepszej stali. To spowalnia, a niekiedy wręcz eliminuje początkowy szok.

Nadal jestem osłabiony po kopniakach w głowę, pomyślał Lamorak, kiedy Arkadeil przesunął nóż w górę obnażonego uda. To wszystko. Muszę dalej próbować. Ten opór osłabnie.

Zaczął znowu zbierać moc, ale lodowata stal skalpela z łatwością tnąca ciało osłabiała jego skupienie. Arkadeil robił drugie, równoległe do poprzedniego nacięcie. Doznanie – niezbyt bolesne, jak powiedział Arkadeil – sprawiło, że Lamorakowi ścierpła skóra. Część uwagi poświęcił więc na stworzenie szarej mgły w widzeniu wewnętrznym, osłabiającej percepcję, delikatnej, przezroczystej ściany, za którą mógłby przygotować atak.

Trzecie cięcie Arkadeila było długie i pionowe, połączyło środkowe punkty dwóch poprzednich. Odłożył skalpel na tacę i wziął większy nóż, i drugi przyrząd, który wyglądał jak szczytce do grilla.

– To jest ten moment, kiedy powinniście pozwolić na rozpoczęcie przesłuchania – powiedział.

Lamorakowi zacisnął się żołądek, a mdłości wybiły go z widzenia wewnętrznego.

To nóż do skórowania. On mnie obedrze ze skóry.

Arkadeil użył szczytce do uniesienia brzegu skóry na skrzyżowaniu cięć i drugim nożem podcinał skórę długimi, powolnymi ruchami. Skóra odeszła z łatwością, odsłaniając drgające, czerwone mięśnie, ścięgna, i kulki żółtego jak masło tłuszczu podskórnego.

Lamorak zwalczył panikę i spowolnił kołatanie serca. Coś do niego wróciło, mglistego i niewyraźnego, coś o Shannie i Konnosie, srebrnych siatkach, które kazał nosić na głowach swojej rodzinie. Powinien był wtedy bardziej uważać, mniej skupiać się na pozowaniu w słonecznej poświacie, a bardziej interesować tym, co mówił Konnos, ale teraz już za późno.

Rzucił spojrzenie na uczniów, ale wiedział, że to beznadziejna sprawa – nawet jeśli jego

sugestia byłaby wystarczająco silna, żeby wpłynąć na jednego albo dwóch, pozostali by ich powstrzymali.

Powinienem był trzymać się taumaturgii, pomyślał z goryczą.

Porzucił studiowanie magji na rzecz fechtunku wkrótce po pierwszym transferze do Nadświata, bazując na teorii, że Przygody wojowników są bardziej ekscytujące. Całkiem dobrze radził sobie na rynku pośrednim. No i teraz zostały mu tylko drobne sztuczki i mnóstwo gładkich, mocnych mięśni, które w niczym mu nie pomagały.

Zastanawiał się, jak długo będzie się trzymał, zachowa pozory, tę heroiczną minę, którą pokazywał; ostatecznie kogo to obejdzie? Jeśli tu umrze, sześcian i rylec w jego głowie zostaną utracone. Jedyńi ludzie, którzy będą wiedzieć, czy umarł godnie, czy też wrzeszcząc i jęcząc jak tchórz, to ludzie tu obecni, w tej sali, a oni mieli to w głębokim poważaniu.

Próbował przywołać widzenie wewnętrzne do kolejnego ataku na Arkadeila, ale nóż do skórowania z łatwością tnący jego ciało rozerwał na strzępy jego koncentrację. Poza tym Lamorak i tak wiedział, że to beznadziejne próby – kat musiał mieć pod szatą jakieś źródło Przepływu, zasilające przeciwsilę, która opierała się atakom. Nic, co mógł zrobić, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na Arkadeila.

Nie mógł złapać oddechu, nie mógł przełknąć śliny z powodu paniki, która pochwyciła go za gardło, nie potrafił nawet utrzymać blokady, która osłabiała ból nogi.

Arkadeil oderwał teraz oba kawałki skóry i odwrócił się do uczniów.

– Teraz stoicie przed wyborem. Jeśli czas was naciska, możecie stopniowo ścinać mięśnie, ostrożnie omijając główne tętnice i żyły, rzecz jasna. To wymaga pewnej biegłości i zalecam znalezienie sobie bezwartościowych obiektów do ćwiczenia, ponieważ, jeden błąd pozwoli obiektowi wykrwawić się na śmierć w przerażającym tempie. Stopniowe okaleczanie jest cokolwiek okrutne, ale efekt psychologiczny bywa imponujący. Jeśli mamy więcej czasu, istnieje prosta technika, która ostatecznie okazuje się nadzwyczajnie skuteczna.

Uniósł kawałek złożonego pergaminu, pokazując go uczniom.

– Zbierzcie jajeczka dowolnego małego owada. Pewne gatunki os nadają się doskonale, podobnie pająki. Nawet muchy czy karaluchy mogą zrobić swoje.

– O boże – jęknął Lamorak.

Szarpnął się w odruchu wymiotnym, co wywołało potworny ból w złamanej nodze.

– Po prostu wyłóżcie jajeczka bezpośrednio na mięsień i zaszyjcie z powrotem skórę – mówił, robiąc to. – Po kilku dniach, kiedy owady zaczną się wylęgać z jajeczek, obiekt będzie dosłownie błagał, żeby pozwolić mu powiedzieć wszystko, co wie.

Szybko skończył zszywanie kawałków skóry grubą czarną nicią, a potem otarł ręce.

– A teraz – kontynuował energicznie, znowu biorąc skalpel – przejdźmy do podobnych technik w jamie brzusznej.

Ssę knykieć, który otarłem sobie na kości policzkowej strażnika – ciepły, miedziany posmak krwi na języku – wyglądając zza rogu na dwóch wartowników z kuszami kręcących się przy drzwiach na końcu korytarza. Próbuję sobie przypomnieć, dlaczego zdecydowałem się zrobić tę głupią, naprawdę głupią rzecz.

Ci faceci siedzą tu dłuższą chwilę; już nawet nie gawędzą. Jeden właśnie osuwa się po ścianie, żeby posadzić tyłek na podłodze. Pojedyncza lampa zwisa z kołka wbitego w kamień ponad nadprożem.

Talann szepcze mi nad ramieniem:

– Coś nie tak?

Nie odwracając się do niej, unoszę dwa palce tak, żeby je zobaczyła.

– Możemy ich zdjąć – odpowiada.

To prawda. Problemem będzie hałas. Problemem będzie dostanie się do nich na odległość ramienia, nie łykając po drodze kilku funtów stali.

*L'audace, toujours l'audace.* Myślę, że to Napoleon. Nieważne, równie dobrze mógłby mówić o mnie.

– Poczekaj tu.

Biorę z jej rąk okutą pałkę, ciężką jak maczuga, zabraną strażnikowi, którego zostawiliśmy zakneblowanego i związanego w pustej celi. Nie mielibyśmy pożytku z jego zbroi, która zresztą na żadne z nas nie pasowała.

– A co z rzucaniem nożami?

Kręcę głową.

– Za daleko i noszą zbroje. Musiałbym trafić w szyję, a z tej odległości nawet wtedy nie miałbym pewności, że załatwię gościa.

– Potrafię robić sporo imponujących rzeczy – proponuje Talann.

– Jasne. Po prostu poczekaj.

– Caine... – zaczyna, łapiąc mnie za ramię ciepłą dłonią. – Dwa twoje noże, proszę. Jeśli to nie wypali... jeśli nam się nie uda... nie zostawiaj mnie bez broni. Ja... nie chcę wracać do tej celi...

Jej obraz, przykutej, nagiej, siedzącej we własnym gównie, powraca do mnie wystarczająco żywy, żebym się skrzywił. Nadal od niej załatuje. Wyciągam z pochew dwa noże do rzucania i podaję jej bez słowa. Przyjmuje je w dwie dłonie, jakby brała kielich z komunią. Jej podejście ma w sobie coś z nabożnego lęku; wzięcie moich noży ma dla niej znaczenie, którego nie pojmuję, a nie mam czasu na zastanawianie się.

– A teraz nie ruszaj się. To, jak wyglądasz... bez obrazy, ale jeśli cię zobaczą, nici z mojej zagrywki.

– Nie jestem idiotką.

Niech Tyshalle pozwoli, żeby to się okazało prawdą.

Wychodzę na korytarz i miarowym krokiem ruszam w stronę dwóch strażników. Ich głowy odwracają się na dźwięk moich kroków. Odzywam się tonem stosownie drapieżnym i władczym:

– Istnieje jakiś powód, dla którego dwóch wartowników na posterunku objaja się, siedząc na tłustych tyłkach?

Ten siedzący na podłodze gramoli się, żeby wstać, a drugi przestaje opierać się o ścianę. Obaj stają na baczność. Próbuja zerknąć ukradkiem na mnie, ale cień tu nadal jest zbyt głęboki, żeby dostrzegli coś więcej niż zarys sylwetki. Rzucam słodko:

– Nawet nie myślcie o zerkaniu na mnie, leniwe gównojady.

Widzę teraz drzwi między nimi: są zamknięte, mocne, bez judasza. Dobrze. Strażnicy nie noszą hełmów – człowiekowi w zbroi może się zrobić naprawdę gorąco, nawet w chłodnym Donzonie. Hełmy leżą na podłodze, obok ich stóp. Muszę tylko podejść wystarczająco blisko, żeby zamachnąć się pałką – szybki poziomy cios z prawej w głowę pierwszego i, kontynuując obrót, walnięcie drugiego, nim zda sobie sprawę, co się dzieje...

Jeden ze strażników zdejmuję kuszę i zaczyna odciągać cięciwę.

Gardło mi się zaciska, ale nadal idę spokojnym krokiem.

– A ty co robisz?!

Strażnik wsuwa bełt na miejsce.

– Rozkaz ogólny numer trzy – mówi przepraszaająco. – Nie jest pan na czasie.

Nadal idę. Kusza unosi się. Teraz drugi strażnik niepewnie bawi się swoją kuszą. Będzie co ma być: zuchwałość, zawsze zuchwałość.

– A ty masz jakiś problem? – warczę. – Dlaczego kusza nie napięta? Gdzie twój bełt?

– Przepraszam, panie, przepraszam – mamrocze, majstrując przy naciągu.

Jeszcze dziesięć kroków, tylko tyle potrzebuję.

– Przygotować się na inspekcję.

To prawie działa – drugi też napina kuszę, ale pierwszy jednym gładkim ruchem, który zdradza lata praktyki, obraca się i mierzy we mnie.

– Nie ma pan munduru. Skąd mamy wiedzieć, że nie jest pan uciekającym więźniem?

Jeszcze pięć kroków.

– Co mówiłem o przyglądaniu mi się?

Teraz i drugi celuje we mnie. Śmieje się.

– No, skąd mamy wiedzieć?

Cholera. To idiotyczny sposób, by umrzeć.

Spodziewają się, że ryknę albo cofnę się – to moja szansa.

– Cofnij się, albo strzelam – mówi strażnik, a ja podchodzę i uderzeniem lewej dłoni spycham jego kuszę w dół.

Cięciwa puszcza i bełt ze zgrzytem odbija się od kamienia, podczas gdy ja szybko przeskakuję na lewo, żeby mieć jego ciało w zbroi między sobą a tym drugim, który grzebał

się przy kuszy, i unoszę rękę, żeby walnąć go z góry w czubek głowy pałką. Obracam się na lewej stopie i kopię opadające ciało na drugiego strażnika, ale tamten uskakuje, nadal trzymając kuszę. Wiem z przyprawiającą o mdłości pewnością, że tylko mgnienie oka upłynie, nim strażnik krzyknie na alarm, a kolejne mgnienie oka później stalowy belt wyskoczy z kuszy i uderzy w moje ciało. Z tej odległości przejdzie przeze mnie, a ja nie dorwę faceta przed strzałem.

Rzucam w niego pałką, żeby popsuć mu strzał, ale się uchyla. Wyskakuję do bocznego kopnięcia, mając nadzieję, że oberwę belt w mięśnie nogi, i modląc się, żeby nie dostał w jądra, ale kiedy skaczę, coś muska moją głowę, śmiga tuż nad włosami. Rękojeść sztyletu zakwita w załomie jego obojczyka.

Oczy strażnika robią się wielkie, ściąga brwi, upuszcza kuszę, a mój kopniak niemal urywa mu głowę, nim broń uderza o ziemię. Belt wypada z rowka, kiedy cięciwa z cichym brzękiem zwalnia nieszkodliwie. Tył czaszki wartownika z wilgotnym trzaskiem uderza o kamienną podłogę.

Zatrzymuję się na chwilę, zdziwiony, że nadal żyję.

Wyciągani nóż z gardła wartownika, ocieram o spodnie, a Talann podbiega do mnie lekko. Usta rannego, w których pieni się krew, poruszają się, wydając świszczący oddech; czerwone strumyki płyną po odsłoniętej chrząstce. Odrobina krwi ochlapuje mi twarz i łaskocze, spływając po brodzie. Obracam go twarzą w dół, żeby większość krwi spływała na podłogę – może się nie utopi.

Bez słowa wręczam Talann nóż. Jest w tym o niebo lepsza, niż ja będę kiedykolwiek. Szczerzy do mnie zęby.

– Mówiłam, że potrafię dokonać imponujących rzeczy.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – odpowiadam zgodnie z prawdą. Nieważne, że prawie obcięła mi ucho. – To był spektakularny rzut. Uratowałaś mi życie.

– Więc możemy uznać, że rachunki wyrównane, co?

Ściskam dłoń Talann w uścisku towarzysza broni, a jej oczy jaśnieją.

– Yhm, możemy.

Chrząka i odwraca się, lekko zarumieniona. Patrzy w dół na strażników.

– Lepiej podciąć im gardła, hę?

Kręcę głową.

– Myślę, że będą nieprzytomni, dopóki się stąd nie wyniesiemy. Przy tak pogruhotanych czaszkach mogą nigdy nie odzyskać przytomności, ale dajmy im szansę. To nie są źli ludzie, no wiesz, to tylko żołnierze wykonujący swoją robotę.

Zerka na mnie, rozważając moje słowa.

– Jesteś trochę inny niż sobie wyobrażałam.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. Strzelasz równie dobrze jak rzucasz?

Wzrusza ramionami.



– Chyba tak.

– To łap kuszę i bierzmy się do roboty.

Kiedy bierze kuszę, naciąga ją i ładuje, nie mogę nie podziwiać bardzo interesujących krągłości, wypełniających szatę, którą jej dałem. Pamiętam, jak wyglądała w oczach Pallas, ale hormony Pallas nie reagowały, więc nie uczyniły wspomnienia równie nieodpartym jak to doświadczenie. A poza tym wiecie, niewiele działa równie uwodzicielsko jak bezkrytyczne uwielbienie. Odwracam się i ściągam lampę z kołka.

– Gotowa?

– Zawsze. – Trzyma kusze w obu rękach, jak rewolwerowiec bliźniacze pistolety, a jej szeroki uśmiech przypomina mi mój własny.

– Dobrze się bawisz, co?

– Uwierzyłbyś, gdybym powiedziała, że to spełnienie marzenia mego życia?

Mam nadzieję, że to pytanie retoryczne. Cicho gaszę lampę, pogrążając korytarz w ciemnościach. Stawiam ją na podłodze, po omacku uchylam drzwi i zerkam w dół do Teatru Prawdy.

W dole, pośrodku misy Teatru leży Lamorak przywiązany do stołu na platformie otoczonej przez coś, co wygląda jak światła rampy. Wysoki mężczyzna w dziwnym kombinezonie i masce rozcina Lamorakowi brzuch; druga rana znajduje się na prawym udzie – brzydki, podłużny szew wykonany grubą, czarną nicią. Lewe udo jest opuchnięte jak mały sterowiec.

Dziesięciu mężczyzn siedzi w ławkach plecami do mnie i słucha każdego słowa zamaskowanego mężczyzny – to musi być Arkadeil.

– Teraz, kiedy odsłoniliśmy ścianę jamy brzusznej, znowu mamy przed sobą kilka opcji. Jaja owadów są tu jak najbardziej na miejscu, a co więcej, zalecam je, chyba że ma się już pewne doświadczenie chirurgiczne. Otwarcie ściany jest wyjątkowo trudne – najmniejsze nacięcie w jelicie może uwolnić kwasy trawienne do jamy brzusznej. Chociaż tego typu śmierć jest stosownie bolesna, może nadejść zbyt szybko dla skutecznego przesłuchania, i znowu grozi nam nasz największy wróg: wstrząs. Z drugiej strony, jeśli czujecie się dość kompetentni, żeby otworzyć ścianę jamy brzusznej, istnieje kilka rodzajów os, których larwy czują się w tym obszarze wyjątkowo dobrze. Szczegóły na temat ich pozyskania znajdziecie w notatkach. Przejrzyjcie je, proszę, podczas gdy będę otwierał mięsień.

Zaciskam zęby, kiedy do gardła podchodzi mi paląca gula.

– To lekcja. Pieprzone seminarium z tortur.

– Lamorak tam jest? – szepcze mi nad ramieniem Talann. – Jak wygląda?

– Źle. Lewe udo jest w fatalnym stanie. Są tu inne drzwi?

– Nie widzę, chyba nie.

– W porządku. Wchodzę. Wciągnij strażników do środka i pilnuj drzwi. Jeśli ktoś nadejdzie korytarzem, strzelaj.

– Z przyjemnością. Co zamierzasz zrobić?

Biorę głęboki wdech, po czym powoli wypuszczam powietrze ustami.

– Zaimprovizuję.

Wsuwam się przez drzwi i schodzę szerokimi schodami wykutymi w wapieniu, mijając zakrzywione rzędy ławek. Trzymam kciuki za paskiem i idę spacerkiem, jakbym miał cały czas świata. Uczniowie na dole najwyraźniej mają na sobie tylko tkaniny, żadnych zbroi, nie widać nawet skór, i żadnej broni, Tyshalle'owi niech będą dzięki. Lamorak musiał dostrzec ruch – z westchnieniem odrywa wzrok od hipnotyzującego widoku połyskującego skalpela i patrzy mi w oczy. Gapi się ze zdumieniem.

Arkadeil odwraca się i wędruje za jego spojrzeniem; twarz ma ukrytą za połyskującą srebrną siatką.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta uprzejmie.

– Jasne – odpowiadam przyjaźnie. Uczniowie podskakują na dźwięk mojego głosu. – Chwileczkę, dobrze?

Przemierzam kilka ostatnich stopni, mijam uczniów, którzy nadal siedzą i grzecznie czekają, aż ich mistrz wyjaśni, skąd to zakłócenie w zajęciach.

Byłoby cudownie, gdybym podszedł prosto do Lamoraka, ale Arkadeil jest sprytny i ostrożny, a Lamorak sam wszystko zawala: łzy płyną mu po twarzy i chrypi:

– Caine, mój boże, Caine...

Idiota. Powinienem dać mu umrzeć.

Arkadeil opiera ostrze skalpela o tętnicę szyjną na drżącym ciele.

– Hm. Caine, tak? Co za zaszczyt. Zakładam, że jesteś tu z jego powodu?

Zatrzymuję się i rozkładam puste ręce.

– Możemy negocjować, Arkadeil. Słyszałem, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Prosta wymiana: twoje życie za jego.

– Nie sądzę. – Macha dłonią w rękawiczce na uczniów. – Zatrzymajcie go.

Szelest ubrań za mną. Odwracam się, żeby spojrzeć na uczniów z tyłu. Kręcą się niespokojnie, gapią się na podłogę, ściany, na siebie nawzajem, na wszystko, byle nie na mnie, i można wyczytać siłę mojej legendy z ich spuszczonego wzroku.

Kilku ma więcej odwagi niż rozumu; zmuszają się do wstania, ostrożnie. Każdy stara się tak wymierzyć, żeby nie stanąć przede mną jako pierwszy.

– Odwaga godna podziwu – mówię i moją twarz, po której nadal spływa krew strażnika, rozjaśnia uśmiech – ale to nie jest cecha gwarantująca przeżycie.

– Ruszcie się – popędza resztę jeden z nich, chociaż sam stoi nieruchomo. – Nie może załatwić nas wszystkich jednocześnie...

Oczywiście ma rację. Jeszcze kilku wstaje niepewnie. Pokazuję im tyle zębów, ile dam radę w najszerszym wilczym uśmiechu – moja najlepsza mina pod tytułem „Tylko zadrzyj ze mną”.

– Tak myśleli chłopcy na zewnątrz – przypominam im. – A oni mieli broje. I kusze, i pałki. Byli zawodowymi żołnierzami.

Daję im chwilę na przemyślenie sprawy.

Uczniowie gapią się na mnie jak zahipnotyzowany światłem jeleń.

Rozkładam ręce, jakbym proponował im grupowy uścisk.

– A gdzie wasze broje, chłopcy?

Żaden nie odpowiada.

– A teraz siadajcie.

Opadają na ławki jak ogłuszeni. Odwracam się do Arkadeila, krzyżuję ręce i czekam.

– Zatem dobrze. – Słowa Arkadeila brzmią spokojnie, ale w głosie słychać napięcie.

Stoi przy drugim końcu stołu; pod naciskiem skalpela już sączy się z szyi Lamoraka strużka krwi.

– Nie sądzę, żeby udało mi się ciebie przekonać, abys się poddał, ale jeśli nie wyjdiesz stąd natychmiast, będziesz ratował trupa.

– Caine... – zaczyna chrapliwie Lamorak, przewracając oczami. – Niech mnie zabije. Na miłość boską, zrób coś, żeby mnie zabił!

– Och, wyluzuj, bekso. Tylko ja tutaj mogę zabijać ludzi.

– Nie blefuj – rzuca Arkadeil.

Wzruszam ramionami.

– Podejrzynij mu gardło, a nic mnie nie powstrzyma przed urwaniem ci głowy.

– Więc mamy impas. Ale czas jest po mojej stronie.

– Nie tylko ty masz sprzymierzeńców. Talann, w ramię.

Brzdęk! – bez chwili wahania. Już musiała mierzyć, mądra dziewczyna. Uczniowie podskakują i krzyczą, kiedy belt wbija się w staw barkowy Arkadeila i rozpląszcza go jak cios młotem. Skalpel cicho brzęczy, upadając na kamień. Arkadeil wije się na podłodze, ściskając stalowe brzechwy beltu i wyjąc cienko, z niedowierzaniem.

– Naprawdę mógłbym przywyknąć do twojej obecności – rzucam w stronę mroku powyżej.

– Wzajemnie – odpowiada cicho i dodaje głośno: – Rusz się, a następną dostaniesz w czaszkę!

Arkadeil poddaje się. Podchodzę do stołu operacyjnego i zaczynam rozpinać pasy. Lamorak, gdy już ma wolne ręce, desperacko łapie się mojej dłoni i do oczu napływają mu łzy.

– Caine, nie mogę uwierzyć... – szepcze. – Przysłali cię po mnie, tak? Dowiedzieli się, że jestem tu na dole i przysłali cię, żeby mnie wyciągnąć?

Nie może powiedzieć, kim są „oni”, nie może wypowiedzieć imienia, ja także, ale mimo to mówię mu brutalną prawdę.

– Nie.

– Nie? Co masz na myśli, mówiąc nie?

– Dostałem rozkaz zostawić cię, żebyś umarł. Jestem tu na dole tylko dlatego, że potrzebuję cię, by dostać się do Pallas Ril. Pomyśl sobie o tym następnym razem, kiedy włożysz zbroję i przypaszesz miecz. A skoro mowa o mieczu, Berne ma twój, wiedziałeś o tym?

Sprawia wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Kompletnie zagubił się w przerażającej myśli, że nasz wspólny pracodawca tak nisko go ceni, że chciał, aby go torturami doprowadzono do śmierci.

– Mój boże, mój boże, muszę się stąd wynosić...

Odpinam ostatni pasek.

– Więc chodźmy.

I wtedy patrzy na mnie.

– Moja noga... nie mogę chodzić. Mam złamaną nogę.

– Złamaną? – powtarzam głupio.

Lamorak jest dużym facetem, ja jestem ten mniejszy – on waży ze dwadzieścia pięć kilo więcej niż ja. A Talann jest jeszcze drobniejsza ode mnie.

Na wszystkich przeklętych bogów, jak mam go stąd wydostać?

## 10

Kollberg przygryzał kostki dłoni. Nie mógł uwierzyć, że Caine okazał się tak głupi, nie mógł uwierzyć, że zaryzykował własne cenne, nadzwyczaj lukratywne życie dla Lamoraka, a już zupełnie nie mógł uwierzyć, że Caine wygadał to, co powinno pozostać pozakulisową informacją tylko dla nielicznych uszu.

Zaczynał wierzyć, że Rada Zarządców mogła mieć jednak rację co do Caine'a: ten człowiek mógł się okazać niebezpieczny. Z pewnością zachowywał się bardzo dziwnie, podejmując niezwykle ryzyko, decydując się na idiotyczną brawurę, i podchodząc do korzystania ze swojego głównego talentu – zabijania ludzi – z nietypowymi dla siebie oporami. A teraz jeszcze wygadał się publicznie z pozakulisowych wytycznych!

Pięć Kollberga niewiele dzieliło od uderzenia w przycisk transferu, naprawdę niewiele; ostatnie, czego chciał, to żeby pół miliona bezpośrednich wyszło z tej Przygody ze świadomością, jak niewiele tak naprawdę liczy się życie Aktora.

No dobrze, rozegramy to do końca, pomyślał.

Lamorak jest okaleczony, a Caine zbyt praktyczny, żeby oddać życie za kogoś; Lamorak niemal na pewno tam umrze, a śmierć Aktora zawsze zwiększa wyniki na rynku pośrednim.

A osobiste odniesienie Caine'a do jego osoby Kollberg ledwo zauważył, odniósł się do tego z godną podziwu – jak uznał – obojętnością. Przewodniczący uważał się za zawodowca i

nie pozwoliłby, żeby nazwanie go „glistą o zwiotczalym szarym cielsku” wpłynęło na jego osąd. Możliwe, że amfetamina też wywarła na to pewien wpływ – zauważył u siebie poprawę samopoczucia pod wpływem chemii. Ostatnią inwektywę dopisał po prostu, niemal z czułością, do wydłużającej się w jego myślach listy, na której każdy dopisek wgryzał mu się w najniższe pokłady dumy. Niedługo, być może już wkrótce, wyrównają z Caine’em rachunki.

## 11

Habrak gapił się z ponurym niedowierzaniem i narastającym gniewem na splątana, czarna od sadzy linę przywiązaną do stalowego pręta z dziurką. Wartownik, który to przyniósł i położył mu na biurku, stał sztywno i opowiadał, jak znaleziono jednego z ich ludzi związanego i zakneblowanego na dachu, obok ścieżki dla wartowników.

– Rozwiązywali go, gdy odchodziłem. Nie sędzę, żeby coś widział, i pomyślałem, że ważniejsze, żeby to panu natychmiast pokazać.

– Dobrze zrobiliście, żołnierzu.

Gdyby naprawdę miał trochę oleju w głowie, zostawiłby linę na miejscu i zgarnął ich po kolei przy wychodzeniu z komina, pomyślał Habrak.

Ale w tym momencie, ci intruzi, te nędzne szumowiny, kimkolwiek są, którzy zakradli się do Donżonu, jego donżonu, byli w pułapce. Wylądowali w potrzasku i Habrak będzie mógł ich zgarnąć.

– Zbierz całą straż bez wszczynania alarmu – warknął. – Zejdziemy na dół i przeszukamy Donżon cal po calu. Nasi przyjaciele na dole mogą jeszcze nie wiedzieć, że ich szukamy. Powiedz chłopcom, żeby nie zawracali sobie głowy zatrzymywaniem ich na przesłuchanie. Każdy, kto nie jest ze straży, nie siedzi w celi albo w Jamie, ma być martwy. Zastrzelić ich. Bez litości.

Wstał i sięgnął po broń.

– Chcę zobaczyć cały stos ciał, jasne? Cały stos!

## 12

– Mogłoby być inaczej, gdybyś nie kazał do mnie strzelać – dyszy Arkadeil z zaprawioną bólem uprzejmością – ale przez tę ranę nikt nie uwierzy, że jesteś pod moim dozorem, a śmiem twierdzić, że nie jestem wystarczająco cennym zakładnikiem. Straże nie puszcza cię, by ratować mi życie.

– Nie zamierzam darować ci życia. Zamknij się.

– Caine... – Lamorak dyszy słabo, obwiązując resztką koszuli łukowate rozcięcie skóry na brzuchu. – Każ mu zdjąć kaptur.

– Nie zwracaj mi głowy.

Dziesięciu bardzo niespokojnych uczniów siedzi na najniższej ławce, trzęsąc się i oblizując spocone wargi. Wskazuję na tego, który wygląda na najsilniejszego i największego.

– Ty. Chodź no tu.

– Ja? – Przyciska dłoń do piersi, rozgląda się i udaje, że wskazałem chłopaka obok niego.

– Ruszże się!

– Ej, dlaczego ja? Nic nie zrobiłem...

– Talann – rzucam ostro. – Zastrzel tego skurwysyna.

Skacze na równe nogi, jak diabełek z pudełka z przekręconą sprężynką, i gwałtownie unosi ręce.

– Nie, nie! W porządku!

Podbiega do mnie z uśmiechem, który ma wyrażać pełną zapału chęć pomocy, ale wyszedł z tego grymas strachu.

– Jak się nazywasz?

– Ru-Rushall, za pozwo...

– Zamknij się. Lamorak... – Odwracam się i podaję mu rękę. – Daję ci Rushalla jako zaufanego wierzchowca. Chodź, pomogę ci go dosiąść.

Lamorak zerka na niego, a potem wzrusza ramionami i zmusza się do słabego uśmiechu.

– To chyba lepsze niż chodzenie.

– B-błagam... – jąka się Rushall.

– Powiedziałem, zamknij się – przypominam mu. – Konie nie gadają. Odwróć się.

Rushall nadal skamle pod nosem, ale posłusznie przyjmuje ciężar Lamoraka. Obaj sapią – jeden z wysiłku, drugi z bólu.

– Każ Arkadeilowi zdjąć ten kaptur – powtarza z wysiłkiem Lamorak. – Może będę mógł pomóc... zamiast być ciężarem...

Wygląda źle, jest blady jak trup, nieco zielonkawy na twarzy i najwyraźniej z trudem zachowuje przytomność. Zwalcza szok długimi, powolnymi oddechami – ten sukinsyn musi być twardszy niż myślałem. Mimo to nie wygląda na to, żeby miał siły się tłumaczyć, więc nie pytam. Podchodzę do Arkadeila, który zwija się na podłodze.

– No dobra, słyszałeś go. Ściągaj kaptur.

Wzdryga się, odsuwając ode mnie, i zdrową ręką osłania głowę, żeby przytrzymać kaptur na miejscu. Zamiast się z nim spierać, zdecydowanie obracam brzechwami bełtu, który wystaje mu z barku. Stal wibruje mi w ręce, gdy wwierca się w kość w stawie. Arkadeil wyje i puszcza kaptur, żeby złapać mnie za rękę. Ściągam mu kaptur z głowy drugą.

Ma wyrazistą twarz o wysokich kościach policzkowych, typową dla lipkeńskiego arystokraty, rzadkie włosy teraz zlepione potem, równie białe jak jego poblądłe z bólu

policzki. Dyszy przez zaciśnięte zęby, żeby zatrzymać skowyt w piersi – nadal stara się zachować lipkeński honor, na ile to możliwe.

– Wstań – mówi Lamorak.

To dla mnie jasne jak cholera, że Arkadeil nie ma najmniejszego zamiaru współpracować, ale ten sukinsyn rzeczywiście wstaje, powoli prostując pajęczę kończyny. Zerkam przez ramię na Lamoraka i teraz rozumiem. Jego idealna, cierpiąca twarz ma znajomy wyraz transcendentnego skupienia wewnętrznego widzenia.

– Źródło mocy do twojego stroju – mruczy Lamorak. – Oddaj mi je.

Zdrowa ręka Arkadeila automatycznie wsuwa się za dekolot kombinezonu pszczelarza. Ze szklistymi oczami mówi najwyraźniej nieświadom tego, co robi jego ręka:

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że uciekniesz...

Ciągnie dalej tym tonem, podczas gdy jego ręka wyjmuje maleńki, błyszczący czarny kamień wielkości groszku. Widziałem już takie: to gryfkamień.

Znajduje się je w ciałach podobnych do ptaków bestii wielkości konia; potrafią magazynować ogromną ilość magijnej energii. W przeciwieństwie do smoków, które potrafią czerpać z Przepływu równie bezpośrednio jak ludzcy taumaturgowie albo pierwotni magowie, gryfy całkowicie zależą od mocy kamieni i są równie niezgrabne i bezradne jak można się spodziewać po na wpół jastrzębim, na wpół lwim wybryku natury; dzięki kamieniom stają się przerażającymi, szybkimi w powietrzu drapieżnikami i obiektem polowań poszukiwaczy gryfkamieni, którzy niemalże całkowicie je wybili. Przez to kamienie stały się niesłychanie rzadkie i potwornie drogie, nawet takie malutkie jak ten.

Arkadeil mechanicznie podchodzi do Rushalla i Lamoraka i kładzie gryfkamień na wyciągniętej dłoni Lamoraka. Uśmiech wypływa na twarz Lamoraka, a jego oczy zamykają się w czymś, co można by omyłkowo wziąć za przyjemność seksualną.

– W porządku – mruczy. – Możemy teraz iść.

– Słyszałeś – mówię do Rushalla, kiwając ku schodom. – Wio!

Nim dotrzemy na szczyt schodów, Rushall już dyszy pod setką kilogramów Lamoraka. Zły znak.

Podchodzę do nieprzytomnych strażników – obaj jak na razie oddychają – i kiwam na Talann.

– Wyośmy się stąd. Możemy zaryglować drzwi od zewnątrz.

– Czekaj – dyszy słabo Lamorak. – Poczekaj chwilę.

– Na co?

W ramach odpowiedzi Lamorak unosi pięść z gryfkamieniem i znowu zamyka oczy.

– Weź skalpel – mówi wyraźnie i daleko poniżej nas, na platformie pośrodku Teatru Prawdy, Arkadeil podnosi nóż.

– Twe oko cię gorszy – mówi Lamorak, z jadem w głosie, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem. – Wyłup je.

Automatycznie Arkadeil wbija skalpel głęboko w lewe oko.

Talann aż zatyka i mówi tylko:

– Matko!

– Jebca – mówi Lamorak, odsłaniając żółte zęby drapieżnika. – Chciałaś powiedzieć, matkojebca.

Krew i gęsty, przezroczysty płyn spływają Arkadeilowi po policzku, kiedy tnie skalpelem w oczodole. Rushall jęczy z przerażenia i odrazy.

– Hm – rzucam w zamyśleniu. – Muszę zapamiętać, żeby ci się nie narażać.

Kiedy już jesteśmy na korytarzu, ryglujemy za sobą drzwi. Gdy Lamorak jest zajęty zapalaniem płomienia w lampie, Talann się przysuwa.

– Damy radę wciągnąć go po linie? – pyta cicho, kiwając głową na Lamoraka. – W życiu się po niej nie wespnie.

– Nie idziemy do liny. – Wskazuję kierunek, z którego przyszliśmy. – Już po sprawie, kucharze z dziennej zmiany zjawili się ze strażą, która ich pilnuje. Ale jest inna droga wyjścia.

– Tak?

Szczerzę zęby.

– Co, myślałaś, że nie mam planu awaryjnego? Że taki ze mnie amator?

– Jak się tam dostaniemy?

– No, to może być trochę trudne. Musimy przejść przez Jamę.

– Przez Jamer?! – Talann wytrzeszcza oczy. – Oszalałaś?!

– Nie mamy wyboru – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Nasza droga wyjścia? Znajduje się w Szybie.

Lamorak i Talann zerkają po sobie ponuro, a Rushall blednie. Wszyscy znają reputację Szybu. Lamorak zaciska dłoń na gryfkamieniu i Rushall się uspokaja. Wkładamy lampę do jego wiotkiej dłoni.

– Za mną.

Ruszamy korytarzem, a zza najbliższego rogu wychodzi grupa czterech strażników.

W jednej chwili, której potrzeba, żeby strażnicy zarejestrowali naszą obecność, Talann już zdążyła wycelować z kuszy. Żołnierz, który otwiera usta, żeby krzyknąć „Stać!”, dostaje bełt prosto w gardło.

Bełt przelatuje przez kręgosłup i wyskakuje z karku, więc siła uderzenia nie powala strażnika – stoi, zataczając się, martwy. Pozostali strzelają na oślep zaskoczeni, a bełty tylko krzeszą ogień o wapienne ściany. Coś uderza mnie w bok prawego kolana wystarczająco mocno, żeby je wygiąć, i rozlega się przy tym odgłos kłapnięcia surowego mięsa rzuconego na rzeźnicki pień. Wołają o pomoc, chowając się za róg, żeby przeładować kusze, a przywódca wreszcie pada na twarz, szarpany drgawkami.

Chcę biec za nimi, ale noga ugina się pode mną i wyciągam się jak długi. Talann jest tuż



przy mnie, przeskakuje mi nad głową, podczas gdy ja łapię się za kolano; zauważam krew sączącą mi się przez palce. Talann biegnie do zakrętu jak gazela. Tylko jeden nieroztropny strażnik zdoła naciągnąć kuszę, nim ona dotrze na miejsce, ale jest już na niego przygotowana – kiedy tylko strażnik wychyla się zza rogu, obrywa. Ta dziewczyna najwyraźniej nigdy nie pudłuje.

Kiedy on celuje z kuszy, Talann wyskakuje w powietrze, a gładki łuk skoku sprawia, że ręce ma równie pewne, jak gdyby stała nieruchomo. Znajduje się może ze trzy metry od strażnika, kiedy belt uderza go w serce. Z tej odległości zbroja nie zatrzymuje nawet brzechwy – belt przebija kolczugę i znika w jego piersi.

Talann upuszcza kuszę i dopada zakrętu, nie zwalniając, przemyka obok strażnika, który charczy gardłowo. Za rogiem pokrzykiwania strażników zamieniają się w okrzyki na alarm. Krwawa muzyka walki na krótki dystans i kości uderzającej o kość rozbrzmiewa tuż poza zasięgiem wzroku.

Teraz już wiem, co jest nie tak z moim kolaniem: na podłodze, tak blisko, że prawie na niego upadłem, leży stalowy belt z grotem wygiętym i stępionym. Musiał mnie trafić rykoszetem jeden z tych strzałów na oślep. Nawet stępiony i znacząco spowolniony przez uderzenie w wapienną posadzkę uderzył w kość kolana jak cios maczugą. Pojawia się mrowienie w całej nodze i nie czuję palców – pewnie odprysnął kawałek kości. Za kilka minut będzie bolało jak skurwysyn. Jeśli odłamek dostał się pod rzepekę... wolę o tym nie myśleć.

To może nie być mój najlepszy dzień.

Nie ma czasu, żeby się zorientować, jak poważnie oberwałem. Będę się martwił później, gdy już nabiorę pewności, że przeżyję.

Odgłosy walki urywają się gwałtownie i sekundę później zza rogu powraca Talann. Wygląda na zadowoloną z siebie.

– Nic ci nie jest? – pytam.

– Caine – odpowiada z powagą – dopiero się rozgrzewam.

Potrafi robić wiele imponujących rzeczy, tak powiedziała.

– Naprawdę jesteś niesamowita – mówię.

Wzrusza ramionami i posyła mi uśmiech, który podejrzewam, że byłby olśniewający, gdyby nie miała twarzy umazanej gównem.

Nadal nie mam czucia w prawej stopie, ale drobne rozżarzone do białości igielki zaczynają mnie kłuć w łydkę.

– Pomóż mi – mówię do Talann. – Nie jestem pewien, czy dam radę iść.

Bierze moją dłoń i z łatwością pomaga mi wstać. Spojrzenie jej oczu przeszywa mnie jak włócznia. Kiedy ostatni raz moja żona tak na mnie spojrzała?

To jest coś, o czym nie mogę teraz myśleć.

Bok kolana mam zmiądzony i opuchnięty, w obcisłych skórzanych spodniach już się

zrobiło wyrzuszenie – ale chyba nie ma żadnego złamania. Chociaż, z drugiej strony, niewiele czuję poza mrowieniem i opuchlizną. Lepiej się ruszać i mieć nadzieję.

Talann wsuwa muskularne ramię pod moją pachę i pomaga mi iść. Rushall i Lamorak nadal stoją, zataczając się pośrodku korytarza. Lamorak ledwo się trzyma; głowa mu opada jak pilotowi frachtowca pod koniec dwudniowego dyżuru non stop.

Krzyki w odpowiedzi na alarm podniesiony przez najnowsze ofiary Talann rozbrzmiewają przed nami, od strony Jamy.

Talann zerka na spoconą, pustą twarz Rushalla i moje kolano.

– Nie prześcigniemy ich.

– Nie mów? Lamorak, potrzebujemy pomocy. – Łapię go za ramię i potrząsam delikatnie.

– No już. Zostań z nami, stary. Za chwilę będziemy mieli strażę na karku. Możesz coś zrobić, żeby ich odciągnąć?

Ledwo zdołał skupić wzrok.

– Niewiele... niezły w... walce, wiesz... ale adept do dupy...

Zdejmuję rękę z ramienia Talann i policzkuję go otwartą dłonią, aż mnie piecze skóra.

– Obudź się! Nie mamy na to czasu, cholerny mięczaku! Weź się w garść, albo od razu podetnę ci gardło i spróbujemy uciekać bez ciebie.

Sądząc po jego minie, oprzytomniał. Półuśmieszek wygina mu usta.

– Łatwo być twardzielem... nieuzbrojony gość ze złamaną nogą... Dobra, mam coś.

Gwałtownie kręci głową, usiłując zachować skupienie.

– Ale musicie zająć się tym tutaj, moim koniem, nie mogę trzymać go i... robić jednocześnie innych numerów.

– Nie bój nic.

Z pochwy na żebrach pod tuniką wyciągam jeden z długich, ostrych noży do walki, kiedy blada obecność myśli powraca na twarz Rushalla. Pokazuję mu czubek ostrza.

– Myśl o tym jak o ostrodze. Nie zmuszaj mnie, żebym ci to wbił w bok, hę?

Rushall sapie niezrozumiale i kuśtykamy dalej, głębiej w Donżon, przy narastającym akompaniamencie stukotu butów.

Strażnicy są między nami i Jamą, więc próbujemy ich obejść. Lamorak mruczy od czasu do czasu „zakręć” i wtedy zakręcamy. Kiedy któryś z hałasujących oddziałów widzi nas, nieprzytomnie celuje w złym kierunku i pędzi korytarzem prostopadłym do tego, w którym jesteśmy. Nie wiem, jakiego rodzaju iluzji używa Lamorak, ale ta najwyraźniej działa.

Teraz w różnych rejonach Donżonu słyszymy ich, jak krzyczą do siebie: sprzeczne rozkazy i kłótnie na temat tego, którądy poszliśmy. Działa to znakomicie, ale za dużo tu tej pieprzonej straży – są wszędzie, a Lamorak pomału traci kontakt z rzeczywistością.

Od czasu do czasu któryś z pędzących oddziałów wskazuje na nas. Widzą nas zamiast iluzji; raz nawet strzelają do nas, ale Lamorak zaraz podrywa głowę jak marionetka cierpiąca na narkolepsję, i strażnicy kręcą się chwilę dezorientowani, nim w końcu rzucają się w

niewłaściwym kierunku.

Więźniowie też zaczynają się włączać do zabawy, obudzeni przez wrzaski. Zabawiają się jak to więźniowie, naśladując krzyki straży: „Tędy! Tamtędy! Nie tędy! A sprawdzałeś w swoim tyłku?” – albo po prostu wyjąc, pogrążając wszystkie głosy w powodzi hałasu.

Skręcamy raz za razem, uskakując przed zbliżającymi się grupami, i w końcu, na szczęście, za zakrętem korytarza pojawia się spokojne światło pochodni w Jamie.

Gaszę lampę, niesioną przez Rushalla. W żółtaworóżowej poświacie z Jamy jego twarz jest szara i obwisła – cholera, wygląda gorzej niż Lamorak. Jego pierś ledwo się porusza i łzy płyną mu po twarzy.

„Nie mogę”, powtarza bezgłośnie raz za razem. I: „Nie zabijaj mnie”. Mógłbym współczuć temu biednemu łajdakowi, gdybym nie przypomniał sobie, czego się uczył.

Macham do pozostałych, żeby zaczekali, a sam wychylam się zza zakrętu i kuśtykam do wylotu korytarza, żeby zerknąć.

Nie podoba mi się to, co widzę.

Drzwi do Szybu znajdują się kawał stąd, na drugim końcu Jamy, mającej całe nieskończone trzydzieści metrów średnicy. To długi, bardzo długi spacer biegnącym po jej obwodzie balkonem. Wejście do Szybu jest tylko kilka kroków od zaśnieżonych podwójnych drzwi, które prowadzą do schodów z sądu.

Przy tych podwójnych drzwiach stoi dziewięciu bardzo niespokojnych mężczyzn. Wszyscy w pełnych zbrojach i z gotowymi do strzału kuszami. Stoją za sięgającą bioder kamienną barierką balkonu, za którą mogą się schować. Bez wątplenia dostali rozkaz utrzymania tych drzwi choćby za cenę własnego życia.

– Siedzimy po uszy w gównie – mruczę cicho, żeby nikt nie usłyszał.

Czy już za późno, żebym zmienił zdanie na temat tej kretańskiej ucieczki?

Ale wiecie, jestem optymistą i potrafię dostrzec jasną stronę – przynajmniej nie musimy przechodzić Jamy na niższym poziomie, gdzie wzbiera już masa szydzących, pokrzykujących więźniów. A poza tym lepsza szybka śmierć od zadławienia krwią, która wypełni ci płuca, gdy dostaniesz beltem w pierś, niż miejscówka w Teatrze Prawdy.

Cofam się w ciemność i wracam do reszty.

– Talann, pamiętasz, co ci mówiłem wcześniej? Co masz powiedzieć Pallas Ril, jeśli się stąd nie wydostanę?

Talann z uporem kręci głową.

– Nie. Nie, nie pamiętam i nie trać oddechu na powtarzanie. Uda się wszystkim, albo nikt stąd nie wyjdzie.

Głupi dzieciak.

– Lamorak, posłuchaj mnie.

Oczy ma szkliste i wygląda, jakby patrzył na coś w kamieniu nad moją głową. Potrząsam nim, aż spogląda na mnie przytomnie.

– Lamorak, na miłość boską, musisz powiedzieć Pallas, że jest odłączona, rozumiesz? Kiedy spotkasz Pallas, powiedz jej, że jest odłączona.

– Pallas? – mruczy gardłowo. – Caine... cholera, Caine, przepraszam...

Jest we własnym świecie.

– Teraz nie czas na to, słuchaj mnie! Pallas umrze za trzy dni albo szybciej, może już za dwa. Słyszysz? Pallas umrze!

Lamorak marszczy czoło, pochylając głowę nad ramieniem Rushalla. Myślę, że coś z moich słów przebija się przez mgłę spowijającą jego umysł. Ale wtedy Talann patrzy na mnie i mruży oczy, nic nie pojmując.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Pallas umrze za trzy dni? Jest ranna? To trucizna? Co ma znaczyć „odłączona”?

Przełykam desperację i mówię przez zaciśnięte zęby:

– Talann, przysięgam, jeśli znajdę sposób, żeby ci to wyjaśnić, zrobię to. Ale nie teraz. Teraz musisz uwierzyć mi na słowo.

– Wierzę, ale...

– Dobrze więc. Lamorak, zrozumiałeś? Musisz jej powiedzieć, że jest odłączona.

Lamorak ściąga brwi.

– Odłączona... Pallas jest odłączona? Dobry boże, Caine, ona umrze!

– Aha.

Teraz mam dwie szanse – jeśli jedno z nich się wydostanie, Pallas może dowie się na czas, zdąży dostać się do ustalonego punktu transferowego i przeżyje.

– W porządku, za mną.

Prowadzę ich do wylotu korytarza; zatrzymujemy się w cieniu, tak że niewiele już brakuje, by straż na balkonie naprzeciwko zobaczyły nas.

– Musimy tylko dostać się do drzwi Szybu – mówię im, wskazując kierunek.

Talann patrzy i twarz jej twardnieje, ale nic nie mówi. Rozumie równie dobrze jak ja brutalną rzeczywistość pomysłu, żeby przebiec długim, odsłoniętym i zakrzywionym balkonem. Odciągam ją do tyłu i wydaję instrukcje poza zasięgiem słuchu Rushalla. Nie musimy bardzo się odsuwać – wokół panuje zgiełk jak w pieprzonym nocnym klubie.

– Kiedy już przebiegniemy przez te drzwi, jesteśmy w domu. Na dnie Szybu znajduje się studzienka, zwykła dziura w skale, do której zrzucają ciała. To spora wysokość, ale na dole jest kilka jardów gówna i rozkładających się trupów, a zaraz obok przepływa podziemny strumień. Tak się wydostaniemy. Rozumiesz? Wskakuj i nie pływ. Wstrzymaj tylko oddech i niech cię uniesie prąd. Odlicz do sześćdziesięciu, w ten sposób: jeden-ankhana, dwa-ankhana, trzy-ankhana, a potem odpływ na bok. Strumień jest wąski, po prostu pływ i w końcu wpadniesz na skałę. Trzymaj się Lamoraka, on może zapalić światło. Znajdziecie się w jaskiniach pod miastem. Jeśli będę z wami, wszystko będzie dobrze, znam je. Jeśli nie, kierujcie się w górę i wołajcie. Powinniście trafić na Sługi Ściemy, bo wykorzystują jaskinie,

żeby poruszać się pod miastem.

– Skąd to wszystko wiesz?

Ma'eIKoth pokazał mi mapę, wyjście awaryjne na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak w kuchni. Uśmiecham się do niej ponuro.

– Wiem mnóstwo rzeczy o Ankhanie. To niemal moje rodzinne miasto.

Wracamy do Rushalla, który słabo opiera się o ścianę, uginając się pod ciężarem Lamoraka.

– W porządku – mówię – idziemy.

Rushall pojękuje, łzy płyną mu z oczu strumieniami.

– Wyluzuj, młody. Gdy już wylądujemy w Szybie, nie będziemy cię potrzebować. I nie mamy powodu, żeby ci zrobić krzywdę, w porządku?

Niepewnie kiwa głową, nie do końca uspokojony.

– Lamorak, znowu potrzebujemy czegoś od ciebie. Trzeba zająć strażników, kiedy będziemy przechodzić przez Jamę.

Oddech świszczy mu w gardle przez chwilę, może dwie, nim w końcu odpowiada szeptem ledwie słyszalnym ponad wrzaskami więźniów:

– ...chyba nic mi nie zostało... Caine, przepraszam...

Cholera. No tak, to byłoby zbyt łatwe.

– Dobra – powtarzam. – No to spróbujmy w ten sposób. Na czworakach, trzymajcie się poniżej barierki balkonu i starajcie się dojść tak daleko, jak się da.

– To nazywasz planem? – mówi Talann. – Próbowales kiedyś iść na czworakach w szacie?

– Nie masz wyjścia. Ty idziesz pierwsza. Daj mi kusze, ja osłaniam tyły.

Oddaje mi broń i dwa bełty, po czym zaczyna wiązać szatę wokół bioder. Rushall jęczy:

– Nie dam rady. Proszę. Nie dam rady.

– Mogę pełznąć – proponuje tępo Lamorak. – Nie potrzebuję go...

– Nie, nie możesz, i owszem, potrzebujesz. A ty... – Wskazuję kuszą na Rushalla. – Nie interesują mnie twoje problemy. Kiedy poczujesz się zbyt zmęczony, wyobraź sobie, jak ci będzie z bełtem w tyłku. Ruchy!

Rushall odskakuje ode mnie z energią, jakiej u niego nie widziałem, odkąd wybrałem go do tej roboty. Odwracam się do Talann.

– Kiedy dotrzesz do drzwi, nie czekaj na mnie, po prostu otwieraj. Będę zaraz za tobą.

Ruszają boleśnie powoli – można się wykończyć nerwowo – i pełzną ku światłu. Trzymam się z tyłu, w cieniu, przyciśnięty do ściany, z kuszą w każdej ręce, i obserwuję dziewięciu strażników po drugiej stronie Jamy.

Trzy minuty, tylko o to proszę. Tyshalle, jeśli słuchasz, jeśli tam jesteś, daj mi trzy minuty, a wyciągnę nas z tego.

Talann już zniknęła mi z oczu, a Rushall jest tuż za nią, pełźnie blisko ściany, z

Lamorakiem jadącym na nim jak szympansiatko, które przywarło do grzbietu matki.

Trzymam kusze po obu stronach głowy, wycelowane w górę. Ich waga zaczyna sprawiać, że bolą mnie ramiona, ale kiedy przesuwam ciężar ciała, ból ostry jak nóż przeszywa mi prawe kolano. Na boga, mam nadzieję, że dam radę biec. Skupiam się na oddechu i osłabiam ból jedną z technik medytacyjnych, których nauczyłem się wiele lat temu w szkole opackiej.

Drzwi do Szybu są zamknięte. Kiedy tylko poruszą się albo strażę podniosą alarm, skoczę, wystrzelę z obu kusz, żeby ściągnąć ich uwagę, i ruszę pędem. Może będę miał szczęście i jednego załatwię. Na przestrzeni trzydziestu metrów średnicy Jamy cel poruszający się z prędkością, z jaką ja potrafię biec, jest prawie niemożliwy do trafienia.

Albo może raczej powinienem powiedzieć: z prędkością, z jaką potrafiłem biegać jeszcze dziś rano. Kolano boli tak, jakby ściskano mi je w imadle.

Mogę mieć tylko nadzieję, że żaden z tamtych nie strzela jak Talann.

Na razie żadnego alarmu. Uda się. Damy radę.

Muszę przyznać, że jestem wniebowzięty.

Po to właśnie żyję. Tym właśnie jestem. Istnieje czystość w przemocy, w desperackiej walce o ocalenie życia od śmierci, która przewyższa wszelkie teoretyczne poszukiwania prawdy prowadzone przez filozofów.

Wszystko może się zdarzyć, reguły przestają działać, koniec z szarościami, błędzeniem w rozmytej moralności rzeczywistego świata – to poziom elementarny, czarno-biały, kwestia życia i śmierci.

A i życie, i śmierć mało teraz dla mnie znaczą. To tylko wynik, konsekwencje, mgliste peryferie. Przemoc sama w sobie pochłania mnie, nawet jeśli dopiero jej wyczekuję. Kiedy wychodzę z ukrycia, rzucając na szalę życie własne i przyjaciół, stawiając wszystko na swoją umiejętność mordowania, żrąca fala chaosu obmywa mnie łaską – jestem jak święty dotknięty przez swego boga.

Rushall przerywa moje poetyckie rozważania, nagle wstając. Wyskakuje spod ściany jak papierowy cel na strzelnicy. Trzyma rękę Lamoraka, żeby nie upuścić go z pleców – wygląda na to, że Lamorak jest nieprzytomny. Ponad łoskotem ledwie słyszę, jak Rushall wrzeszczy w panice:

– Nie strzelać! Nie strzelać! Mam jednego!

Mówiłem, że siedzimy w gównie po uszy? Poprawka: po czubek głowy.

Wyskakuję na balkon – zabiłbym tego fiuta, gdybym miał pewność, że nie trafię Lamoraka – i celuję z kusz w strażników po drugiej stronie Jamy. Oni nie mają takich oporów; kiedy ja celuję, ośmiu z nich strzela. Niektórzy pudłują, ale z pięć bełtów wbija się w pierś Rushalla, który aż leci na ścianę. Osuwa się na podłogę z Lamorakiem pod sobą.

Strzelam z obu kusz z biodra. Jeden bełt krzesze ogień o zabudowaną barierkę balkonu i leci w górę, drugi trafia strażnika w żebra. Z tej odległości kolczuga to żadna obrona – bełt wgryza się aż po brzechwy, a strażnik osuwa się po metalowych drzwiach... które się

otwierają! Teraz jeszcze więcej żołnierzy pcha się do środka...

Chowam się za barierką balkonu, żeby naładować i naciągnąć kusze, a któryś strażnik wygrywa krótki sygnał na trąbce, rozlegający się echem po Donżonie.

Zaczyna się robić nieprzyjemnie.

Muszę biec w przeciwną stronę, odciągnąć strażę, ale kiedy już się prostuję, żeby wstać, coś przelatuje mi koło głowy, a coś innego uderza mnie od tyłu w ramię. Przetaczam się pod wpływem siły uderzenia i umazany czerwienią belt uderza w podłogę obok moich stóp. Dopiero teraz zauważam, że czterech strażników biegnie korytarzem, w którym właśnie stałem.

Pieprzyć pomysł z biegiem w drugą stronę – nie jestem aż tak bohaterski, żeby wpakować się w kleszcze na balkonie jedynie dla odwrócenia uwagi na pięć sekund.

Dwóch strażników pędzi ku mnie wzdłuż korytarza, dwaj pozostali zatrzymują się pośrodku i celują w moją głowę.

Upuszczam kusze i wstaję z przewrotu przez ramię, jednocześnie wyciągając małe nożyki z pochew przy kostkach. Rzucam nimi w głąb korytarza. Nie ma w tym rzucie specjalnej siły, ale wystarczy, żeby strażnicy się poruszyli, odskoczyli i spudłowali.

Porywam kusze i przerzucam je przez barierkę, a za nimi belty. Głódny krwi ryk rozlega się z Jamy, kiedy dwóch więźniów odkrywa nieoczekiwanie, że są uzbrojeni. Bez wahania skaczę w przód na spotkanie jednemu ze strażników i łapię go za zbroję przy obojczyku. Upadam na plecy, wbijając mu nogę w żołądek i wykopując go w powietrze – przelatuje nad barierką i z wyciem ląduje w Jamie.

Kontynuuję przewrót, żeby znowu stanąć. Drugi z szarżujących strażników zatrzymał się właśnie gwałtownie na balkonie i wygląda tak, jakby nie był pewien, czy chce sam się mną zająć.

– Ej, chwileczkę... – zaczyna, kiedy skaczę na niego i rozkwaszam mu usta zdecydowanym ciosem.

W sekundzie, kiedy mruga, owijam ręce wokół jego głowy i obracam nią. Blokuję szyję wystarczająco, żeby uratować sobie życie, ale dźwignia, jaką stosuję, posyła i jego za barierkę; dołącza do towarzysza pośród więźniów poniżej. Obaj mieli kusze przypięte do pasów noszonych przez ramię.

Teraz już czterech więźniów ma broń.

Tamci, którzy zatrzymali się w korytarzu, nadal siłują się z kuszami. Jeden nawet nie naciągnął swojej, a drugi stara się pospiesznie wsadzić belt do rowka, ale ręce mu się trzęsą od adrenaliny. Pokazuję im zęby i przywołuję ich, a oni zerkają po sobie nerwowo.

Ruszam ku nim korytarzem. Nerwy im puszczają – odwracają się i pryskają. Kiedy tylko nabierają rozpędu, odwracam się i znowu pędzę na balkon do Rushalla i Lamoraka.

Kolejne belty przelatują ze świstem obok mnie; dwa czy trzy wystarczająco blisko, żebym poczuł klucie odprysków kamienia, gdy uderzają w ścianę. Jeden rozdziera skórę

tuniki, gdy ociera mi się o żebra. Strażnicy po drugiej stronie Jamy są zajęci kusznikami z dołu – te bełty musiał posłać ktoś inny, nowi strażnicy, którzy odpowiedzieli na wezwanie trąbki, ale nie mam czasu odwrócić się i spojrzeć.

Ramię najwyraźniej mam całkiem sprawne, mimo rozlewającego się ciepła wokół rany. Bełt pewnie nie trafił w kość, rozciął tylko mięsień czworoboczny przy karku, mijając kręgosłup o jakieś dwa cale. Każdy krok odzywa się potężnym ciosem młota w bok prawego kolana.

Wychodzę z zakrętu. Talann leży na podłodze, trzymając nisko głowę, i próbuje wyplątać Lamoraka z Rushalla.

– Biegnij, biegnij!! – wrzeszczę. – Do drzwi, ja go wezmę!

Spogląda na mnie, słysząc mój krzyk. Kiwa głową i robi przewrót, żeby wstać. Dwóch strażników po drugiej stronie Jamy mierzy do niej z kusz, gdy biegnie.

– Trzymaj się nisko! – wrzeszczę do niej, ale nim zdążą strzelić, z dna Jamy dobiegają dwa niskie świsty. Bełty przelatują strażnikom koło głów. Odskakują gwałtownie i pudłują.

Pozostali przy drzwiach do sądu strzelają do Jamy. Muszę się tylko martwić czterema, którzy biegną do mnie; teraz dołączyli do nich tamci dwaj, których wcześniej pogoniłem.

Mam piętnaście sekund, zanim tu dotrą.

Łapię jedną z bezwładnych rąk Rushalla i próbuję go odciągnąć. Lamorak krzyczy z bólu – to dobrze, przynajmniej jest przytomny – a Rushall trzęsie się w konwulsjach i jęczy; nawet z pięcioma bełtami w piersi trzeba minuty albo dwóch, by umrzeć.

Widzę już, w czym kłopot: są razem spięci bełtem, który przebił Rushalla poniżej obojczyka.

Biegnący żołnierze są czterdzieści stóp ode mnie, teraz trzydzieści.

Wciskam palce stopy między pierś Lamoraka a plecy Rushalla. Wszyscy trzej krzyczymy z bólu, kiedy przyzywam resztki sił i szarpie Rushallem, łapiąc go w ramiona i podnosząc jak śpiące dziecko. Krew płynie z brzucha Lamoraka i z głębokiego, postrzępionego nakłucia tuż obok prawego sutka.

– Biegnij, ty podły skurwysynu, podnieś się i biegnij! – wrzeszczę i zachęcam go do ruchu niezbyt delikatnym kopem w żebra, a za moimi plecami rozlegają się grzmotem kroki sześciu strażników.

Lamorak przekręca się z jękiem i zaczyna odpelzać, opierając się na rękach i jednym zdrowym kolanie.

Pędzę straży na spotkanie z nadal walczącym o życie Rushallem w ramionach. Ciskam nim w przywódcę. Wpadają na siebie z głośnym łomotem, Rushall krzyczy i jak oszalały wbija w niego palce, chwytając się klnącego strażnika, żeby złapać równowagę. Szarpiąc się, wpadają na barierkę balkonu, przechylają się, i złączeni w miłosnym uścisku, spadają do Jamy. Wyjący więźniowie dopadają ich natychmiast.

Pozostała piątka zatrzymuje się gwałtownie i każdy unosi pałkę. Przesuwają się tak, żeby



zająć mnie z obu stron.

Mógłbym teraz uciec. Mógłbym zwać, zostawić Lamoraka, niech pełźnie i niech go dorwą – ci faceci w kolczugach w życiu mnie nie złapią, nawet jeśli kuleję. A jednak czekam na nich otwarcie, z uniesionymi pięściami i wyprostowanymi plecami, lekko pochylony i gotów przyjąć na przedramiona ciosy okutych pałek. Ktoś strzela z kuszy i wśród mężczyzn rozlega się krzyk bólu.

Za zbliżającymi się strażnikami widzę wylot korytarza, z którego wypływają na balkon posiłki – następne patrole odpowiadają na alarm.

Zerkam, zmuszając się do wypuszczenia powietrza z płuc.

Moja dusza śpiewa we mnie poezję.

Tamci zerkają po sobie, szykując się do uderzenia.

Atakuję, pozwalając odpłynąć świadomym myślom.

Doskakuję do najbliższego i kopię go w locie, a on zgina się w pół pod wpływem uderzenia gołonią; z trudem łapie powietrze, a moje palce już uderzają w oczy następnego. Przenoszę ciężar i bocznym kopnięciem posyłam trzeciego przez barierkę do Jamy, nim obróć się i uderzę kantem dłoni w podstawę czaszki pierwszego. Pada w konwulsjach.

Wygrywam.

Już czuję przypływ uniesienia na myśl o zwycięstwie, kiedy jeden z tych sukinkotów uderza mnie od tyłu na tyle mocno, żeby w płucach zabrakło mi powietrza i ugięły się przede mną kolana – lodowaty płomień rozlewa się z miejsca, w które dostałem, tuż nad nerką.

Kolejny zamach pałką w załom między barkiem a szyją, i ledwo zdążam unieść rękę, żeby przyjąć cios na zewnętrzną stronę lewego przedramienia i prawą dłoń. Uderzenie odbiera mi czucie w obu rękach i przebija się przez moją obronę, ale zamiast złamać mi kark, tylko krzesze mi w głowie meteory.

Warknięciem zbywam ból i walę gościa w szczękę zgiętym łokciem, obracając się w samą porę, żeby zrobić unik przed strażnikiem za mną. Zgięty w pół walę go potężnym hakiem w osłoniętą kolczugą pachwinę, co wywołuje u niego zaledwie jęk, ale jednocześnie sprawia, że staje na palcach – łapię go więc za pasek zdrętwiałymi palcami i szarpnię w przód i do dołu, na siebie, osłaniając się przed ciosem drugiego strażnika. Czuję siłę uderzenia przez pierś tamtego, ale dzięki przeszywanicy pod zbroją to nie wystarcza, żeby go ogłuszyć, i teraz ten, któremu wsadziłem palce w oczy, mruga powiekami, jakby odzyskiwał wzrok, a ja jestem w poważnych, naprawdę poważnych tarapatach.

Nie bardzo umiem powiedzieć, dlaczego pomyślałem, że poradzę sobie z pięcioma uzbrojonymi facetami w kolczugach...

Ale jak wiecie, w mojej rodzinie były już przypadki obłądu.

Unoszę nieco strażnika i wytaczam się spod niego; kiedy próbuje się odsunąć ode mnie, trafia mnie w oko butem na tyle mocno, żebym zobaczył gwiazdy. Przetaczam się dalej, pomału odzyskując jasność myślenia – jeśli przestanę się ruszać, zatłuką mnie na śmierć w

ciągu sekundy albo dwóch. Kiedy znowu widzę, pierwsza rzecz, którą dostrzegam, to lśniący czarny kamyk na podłodze, jakieś sześć cali od mojego nosa.

Sięgam po niego, kiedy trzech strażnicy zbliżają się do mnie z uniesionymi pałkami, gotowi zabić. Szybko zerkam za siebie – Lamorak jest raptem pięć, sześć metrów ode mnie, dyszy i wlecze się, nadal z dziesięć metrów od drzwi.

– Lamorak!!! – wrzeszczę. – Łap to cholerstwo i pomóż mi tutaj trochę!

Zerka za siebie, a ja rzucam mu gryfkamień jak szklaną kulkę, która podskakuje i turla się po podłodze, nagle trafia na nierówność w niechlujnie ciosanym wapieniu i wylatuje w powietrze.

Śledzę lot kamienia, zapominając o strażnikach nade mną.

Lamorak mruży oczy, ale go nie widzi, stracił kamień z oczu w słabym świetle pochodni.

Macha zdrętwiałą ręką. Gdzie jest to cholerstwo? Przeleciało przez pieprzoną barierkę? I wtedy kamień ląduje na jego dłoni.

Palce Lamoraka zamykają się na gryfkamieniu i znowu ten rozmarzony, seksualny uśmiech wypływa mu na twarz.

Mówi wyraźnie:

– Zabij ich, nim oni zabiją ciebie.

Wiem dobrze, że nie mówi do mnie. Przetaczam się, żeby wstać, odsuwając się od strażników w chwili, gdy jeden z nich robi obrót i bierze zamach pałką jak kijem do baseballu, waląc w niechronioną niczym twarz mężczyzny stojącego obok niego. Kość trzaska od ciosu, mężczyzna pada płasko jak naleśnik, już martwy zanim dosięgnął podłogi.

Strażnik bierze zamach na drugiego, który nadal stoi zbyt zaskoczony, żeby się bronić, i jego też powala. Potem odbiega ode mnie na spotkanie szarżującym dziesięciu, może dwunastu żołnierzom.

Lamorak musi się skupić, żeby czar trwał, więc gramolę się za niego i podnoszę go, obejmując w piersi. Tylko dziesięć metrów dzieli nas od ucieczki. Nikt do nas nie strzela. Wszyscy wydają się zajęci walką między strażnikami i więźniami w Jamie. Patrę przed siebie...

Talann otworzyła drzwi do Szybu.

Ich skrzydło otwiera się na balkon; trzyma je szeroko otwarte, wykorzystując jak pawęż. Odcina połowę balkonu, więc strażnicy z drugiej strony mogą podchodzić do niej tylko pojedynczo. Szata, którą jej dałem, jest umazana szkarłatem; nie sposób powiedzieć, ile z tego to krew Talann.

Ciągnę do niej Lamoraka. Teraz ja dyszę i kuśtykam, i mam wrażenie, że to trwa kurewską wieczność.

Nasz oswojony strażnik pada pod gradem żelaza, dwóch z nadchodzących żołnierzów zatrzymuje się nad nim, i biją go, aż z jego głowy zostaje papka. Lamorak stara się przejąć następnego, ale oddech mu się rwie, stracił wiele krwi i to dla niego za duży wysiłek – krew

bucha mu nosem jasnoczerwoną fontanną. Wiotczeje mi w rękach.

Strażnicy pędzą ku nam, z każdym krokiem przyłącza się do nich coraz więcej żołnierzy. Zerkam przez ramię – już prawie jesteśmy na miejscu. Kiedy ciągnę Lamoraka do drzwi, Talann wykorzystuje dwa noże, które jej dałem, w bardzo skomplikowanym stylu walki, który przypomina trochę *wing chun*. To nawałnica ciosów. Talann nie tylko przecina ścięgno nadgarstka ręki, w której strażnik trzyma pałkę, ale ostatecznie wbija mu ostrze w miękkie miejsce pod brodą.

Kopniakiem odrzuca wstrząsanego drgawkami trupa w ramiona mężczyzny za nim, a my wpadamy za drzwi. Upuszczam Lamoraka jak worek kartofli i łapię Talann za tył szaty, ciągnę ją w stronę Szybu. Gwałtownie i z krzykiem odwraca się do mnie i rozpoznaje mnie w ostatnim momencie, żeby zatrzymać błyszczący łuk ostrza kilka cali od moich oczu.

Omijam ją, żeby zatrzaskać drzwi. Zapieram się nogą o ścianę obok, aby utrzymać je zamknięte, ale strażnicy z drugiej strony już je ciągną.

– Nie czekać na ciebie, co?! – dyszy Talann. – Będziesz tuż za mną?!

– Nie pyskuj – odpowiadam.

Po zamknięciu drzwi tylko cieniutka smuga prześwitującego pod nimi światła pochodni rozprasza ciemność. Straże ciągną drzwi kilka razy tak mocno, że czuję, jak coś mi przeskakuje w zranionym ramieniu.

– Co teraz?

– Czekaj.

Puszczam drzwi i przenoszę ciężar ciała na śródstopie, wyciągając jeden z długich noży do walki. Tym razem, kiedy strażnicy ciągną, drzwi otwierają się szeroko, a ja robię wypad jak szermierz, wbijam czubek noża w usta najbliższego żołnierza, rozłupując mu zęby i rozcinając policzek aż do zawiasów szczęk. Mężczyzna szarpie się do tyłu i pada wyjąć. Znowu zatrzaskuję drzwi i trzymam.

– A teraz – mówię cicho – musimy poczekać, aż któryś z nich wpadnie na genialny pomysł...

– Jaki pomysł?

Pod dłońmi czuję, jak ciężka sztaba ze zgrzytem wsuwa się na miejsce.

– Ten właśnie. Zamknęli drzwi z tamtej strony. Uznali, że poczekamy tutaj, aż oni będą gotowi... mają teraz inne kłopoty na głowie.

Ciężkie drzwi tłumią nie tylko światło, ale także hałasy z zewnątrz. Teraz słychać ciche, zdesperowane głosy z dołu Szybu, pytające się nawzajem, co tu się dzieje.

Nóż do rzucania, który noszę między łopatkami, nada się idealnie. Wyciągam go i wymacuję szczelinę w drzwiach, wsuwam w nią ostrze i wbijam głowicą noża do walki. To jak blokowanie drzwi monetą w domu, w którym dorastałem. Nie powstrzyma to strażników, kiedy już zdecydują się przyjść po nas, ale spowolni ich i zapewni nam ostrzeżenie – usłyszymy, gdy drzwi zaczną się otwierać.

Wyciągam zapalniczkę Kierendal z kieszeni wewnątrz pasa spodni i zapalam kciukiem. Z ciemności poza maleńką kałużą światła, spoglądają na nas niepewnie oczy.

– Co się dzieje? – szepcze ktoś. – Nie jesteście strażnikami... Przyszliście w końcu po mnie?

Tallan bierze oddech, ale ja kładę rękę na jej ramieniu.

– Nie odpowiadaj. Nic nie możemy zrobić dla tych ludzi. Rozmowa z nimi to okrucieństwo, dawanie złudnych nadziei.

I wtedy uderza nas smród: gorycz potu i gówna, słodczy zgnilizny gangreny, gęsty odór gazów uciekających ze wzdętych trupów poniżej – przyprawiający o zawrót głowy smród, który pali mnie w gardło i wyciska łyżę z oczu. Podaję Talann zapalniczkę.

– Prowadź. Ja poniosę tego śpiocha.

W poświęacie Lamorak wygląda jeszcze gorzej, a krew, która wcześniej tryskała z rany na piersi, teraz tylko cieknie powoli. Nie wiem, czy przeżyje. Cholera. Przynajmniej wyciągnąłem go z Teatru Prawdy, to też jest coś.

– Trzymaj się, sukinkocie – mruczę.

Nakładam trochę olejku Ma'elKotha na ranę na piersi. Może to spowolni krwawienie. Podnoszę Lamoraka chwytem strażackim, przez co moje własne rany – w kolanie i ramieniu – przypominają o swoim istnieniu.

– Trzymaj się. Nie chcę spojrzeć Pallas w oczy i powiedzieć jej, że umarłeś tutaj. Nigdy w życiu by nie uwierzyła, że cię nie zabiłem.

Idziemy w dół, długą, bardzo długą pochylnią Szybu. Podłoże jest śliskie od skroplonej pary oddechów setek więźniów. Talann właśnie dochodzi do pierwszych z nich. Wszyscy więźniowie siedzą z jednym nadgarstkiem przykutym do ściany ponad głową.

Szyb ma z pięć metrów szerokości, akurat tyle, żeby więźniowie przykuci w niekończących się podwójnych szeregach wzdłuż ścian nie mogli nas dosięgnąć, kiedy idziemy środkiem. Wszyscy są nadzy, okryci jedynie własnymi nieczystościami i tym, co spływa od tych, którzy są przykuci w wyższych miejscach pochylni.

Więźniów w Szybie rozkuwa się tylko wtedy, gdy w akcie jakiejś nadzwyczajnej łaski mają zostać zwolnieni z Donżonu. W innym przypadku daje im się minimum pożywienia i trzyma przykutych do ściany, aż umrą. Ich nieczystości spływają w dół do kloaki, która jest naszym celem, więc więźniowie niżej na spadku nieustannie kąpią się w szambie tych powyżej. Rzadko – być może raz na miesiąc – strażnicy przychodzą, żeby rozkuć trupy i splukać Szyb kubłami wody. Trupy również zrzuca się w dół do kloaki i zostawia tam, by gniły.

Nasza maleńka banieczka światła odsłania mężczyzn i kobiety trwających w tak skrajnej niedoli, że stali się już przedmiotami, nawet nie zwierzętami, tylko kłębkami skołatanych nerwów i gnijących ran, niemającymi żadnego celu oprócz doświadczania powolnego, wypełnionego gównem zjazdu ku śmierci.

Nawet Dante by tu zemdlał. Talann ledwo to znosi. Ramiona jej drżą, chwilami słyszę jej słaby szloch i szeptaną modlitwę do Wielkiej Matki, by miała litość nad nimi i uwolniła ich dusze od życia.

Wiecie, podziwiam Ma'elKotha, naprawdę, ale jeśli kiedykolwiek zacznę go rzeczywiście lubić, wystarczy, żebym przypomniał sobie, że pozwala istnieć temu miejscu, chociaż mógłby to zmienić, gdyby tylko zechciał.

Z drugiej strony, pewnie niewiele się to różni od urodzenia się w slumsach Robotników. Jak to mówią, w domu gówno płynie w dół tak samo jak tu, a w Szybie przynajmniej krócej się męczysz.

Narastający ból w piersi to skutek ciężaru Lamoraka. Łzy – to od smrodu. A przyprawiająca o mdłości, szarpiąca wnętrznościami odraza...

Zgrzyt zawiasów powyżej i daleko, daleko z tyłu widzę wąski paseczek światła. Kończy się nam czas.

– Widzę! – Talann oddycha chrapliwie.

Patrzy przed siebie, w dół. Musi mówić o studziencie ściekowej.

– W porządku. Kiedy tam dojdiesz, nawet nie zwalniasz. Zgaś zapalniczkę i trzymaj ją mocno w pięści. Dopóki Lamorak się nie ocknie, to jedyne światło, jakie mamy. Kiedy uderzysz o dno, odsuń się jak najszybciej. Będziemy z Lamorakiem tuż za tobą.

Dochodzimy do studzienki – to zaledwie naturalna, poszarpana szczelina w kamiennej podłodze. Dobiega z niej słaby plusk wody.

Natomiast z góry słyhać donośne głosy i tupot butów. Niedługo strażę znajdą się w zasięgu rażenia kuszy mimo niskiego sklepienia – bełty z kuszy mają wyjątkowo płaską trajektorię lotu.

Intensywnie fioletowe oczy Talann zatrzymują na chwilę moje spojrzenie nad płomieniem zapalniczki, a potem dziewczyna gasi światełko; otacza nas ciemność tak głęboka, że czuje się jej smak.

Dłoń Talann dotyka mojej ręki i czuję na wargach szybkie muśnięcie jej ust, a potem gwałtowna pustka wypełnia przestrzeń, w której przed chwilą się znajdowała.

Mam wrażenie, że mija spory kęs wieczności, kiedy wreszcie słyszę z dołu jej słabe wołanie:

– Chodź!

Biorę głęboki wdech i przesuwam na barkach ciężar Lamoraka. Muszę zebrać w sobie każdy miligram odwagi, żeby zejść z kamienia i skoczyć w pustkę.

Lecimy i lecimy, odbijamy się od kamienia i ześlizgujemy po zalanej gównem skale – nic nie widać, jak daleko jeszcze mamy, jak daleko już przelecieliśmy – odbijamy się, koziółkujemy i jeszcze spadamy...

I lądujemy, wpadając głęboko w miękki stos.

Wykopuję się, starając się nie myśleć o tym, co wcieram w otwarte rany na ramieniu i

kolanie.

– Talann?

Zapala zapalniczkę. Mój boże, mam nadzieję, że nie wyglądam tak strasznie jak ona. Nie sposób powiedzieć, co to jest, to co oblepia każdy cal jej ciała, ponieważ mój zmysł węchu wyłączył się parę minut temu, jeszcze w Szybie. Stos, na którym leżymy, to niepojęta liczba ciał, pokryta niewyobrażalną warstwą szamba.

Ha, mogę to znieść. Nie różni się to tak bardzo od końcówki Rytułu Odrodzenia.

W świetle małego dymiącego płomyka odnajdujemy Lamoraka. Podziemna rzeka płynie zaledwie parę metrów dalej. Ona właśnie sprawia, że stos nie rośnie i nie zatyka dziury – systematycznie wypłukuje ciała i szambo, nim stos zrobi się za wysoki.

Lamorak jest nieprzytomny; możemy zrobić tylko jedno. Zdejmuję kabel, który noszę w pasie, i jeden koniec obwiązuję ciasno wokół ramienia Lamoraka, a drugi wokół własnego.

– Pamiętaj – mówię do Talann – nie płyń, dopóki nie odliczysz do sześćdziesięciu.

– Jeden-ankhana, dwa-ankhana. Pamiętajam.

– To ruszaj.

Gasi zapalniczkę i bezszelestnie zsuwa się do wody. Kładę obie dłonie na ustach i nosie Lamoraka, zatykam je i ruszam za Talann.

Woda zamyka się nad moją głową jak błogosławieństwo Matki i unoszę się w absolutnej ciemności, niczego nie czując, prawie o niczym nie myśląc, poza powolnym rytmem sekund, które odliczam w głowie. Gdybym był mniej wycieńczony, gdyby woda nie była tak zimna i kojąca dla ran, mógłbym ulec panice, ale nie mam tyle energii, żeby się martwić.

Sekundy mijają szybciej niż bije mi serce.

Zaczynam podejrzewać, że za bardzo się starałem, że wszystkie moje zmagania i niepokoje to tylko miraż, sen, że mogę być szczęśliwy, po prostu dryfując przez życie, tak jak teraz.

Ile czasu upłynęło? Straciłem rachubę i już nic mnie to nie obchodzi. Walka o to, by zatrzymać oddech, staje się zbyt dużym wysiłkiem i wiem, że niedługo pozwolę mu ulecieć bąbelkami z ust. Z następnym wdechem wciągnę wodę, która będzie równie zimna i kojąca w płucach i na sercu, jak ta, która wlewa się przez dziurę w barku.

Teraz do migających fosfenów przed oczami dołącza punkcik światła i ktoś znajomym głosem woła moje imię. Zastanawiam się, czy to ten tunel, o którym mówią, czy to może być głos mojej matki. Nagle, silna dłoń zaciska się na moim nadgarstku i wyciąga mnie z wody. Łapię haust powietrza.

Zapalniczka stoi na kamiennym brzegu przy strumieniu, a Talann uderza mnie w skroń.

– Obudź się, niech to szlag!

Potrząsam głową i przypominam sobie, co się dzieje.

– W porządku, w porządku, już wróciłem.

Talann płynie obok mnie.

– Na pewno?

Światło daje mi cel, do którego mogę płynąć, i w ramach odpowiedzi ruszam ku niemu zdecydowanie, ciągnąc za sobą bezwładnego Lamoraka.

Potrzebujemy z Talann kilku minut, żeby wypompować wodę z jego płuc i z powrotem wdmuchnąć mu życie przez nozdrza. Kiedy znowu normalnie oddycha, padamy na plecy obok siebie na skale.

– Udało nam się – mruczy Talann. – Udało ci się, Caine. Nie mogę uwierzyć, że jednak daliśmy radę.

– Yhm – mówię. To się nazywa podróż przez brzuch bestii... – Tak, udało nam się, ale musimy ruszać. Jeden albo dwóch gości może się zdobyć na odwagę i ruszyć za nami.

– Za minutę, dwie – mówi, delikatnie kładąc ciepłą dłoń na moim ramieniu.

Woda zmyła cały brud, który przesłaniał jej rysy. Talann jest olśniewająco piękna i uwielbia mnie.

– Nie – mówię. – Wstawaj. Olej w zapalniczkę kiedyś się skończy.

Talann powoli siada.

– Potrafisz się zachować jak ostatni łajdak, wiesz?

Wzruszam ramionami.

– Tak zawsze powtarzała mi matka. Wstawaj.

## 13

Toa-Sytell zajrzał do spisu i jeszcze raz sprawdził rachunki.

– Według wstępnych szacunków... wstępnych, ponieważ nie mam aktualnych informacji o liczbie strażników i więźniów przeniesionych do infirmerii... dwunastu strażników zginęło, a piętnastu zostało lżej lub ciężiej rannych. Czternastu więźniów zginęło w zamieszaniu podczas ucieczki; ośmiu zostało ciężko rannych, pięćdziesięciu sześciu lekko. Jeden z uczniów Arkadeila nie żyje. Sam Arkadeil jest na wpół ślepy i nie wiadomo czy odzyska w pełni władzę w ręce.

Kamienna balustrada Jamy zatrzeszczała pod naporem potężnych dłoni. Broda Ma'elKotha poruszyła się, gdy napiął mięśnie żuchwy i zacisnął zęby. Kamień zatrzeszczał, gdy jeszcze mocniej ścisnął palce.

– Mieli żony, dzieci... Myśleli, że mogą bezpiecznie założyć rodziny, skoro stacjonują w Donżonie, z dala od pól bitewnych – zadudnił z głębi piersi. – Musimy wdowom wypłacić renty. Wszystkim. Nikt nie będzie chodził biedny tylko dlatego, że Ja popełniłem błąd.

Upaął się, że osobiście uda się do Donżonu, żeby na własne oczy zobaczyć pokłosie krwawej jatki.

– Niedobrze – powiedział do Toa-Sytella, idąc dalej. – Nawet Bóg nie powinien być

obojętny na ból swoich dzieci. Zbyt łatwo mogą poczuć się niechciane i zacząć wątpić. Muszę posmakować owoców swoich decyzji, zwłaszcza kiedy są gorzkie i niosą śmierć.

Zanim przybyli we trzech na miejsce, w Donżonie dawno się uspokoiło. Medycy krążyli po Jamie, opatrując głębokie rany klute i składając kończyny strzaskane ciężkimi stalowymi bełtami. Natychmiast po przybyciu Ma'elKoth kazał przenieść rannych więźniów do infirmerii, razem ze strażnikami, po czym sam się tam udał.

Z Toa-Sytellem u boku i cynicznym Berne'em człapiącym bez entuzjazmu z tyłu, przystawał przy rannych, zamieniał z każdym dwa zdania i przywołując swoją moc, ciepłym ojcowskim dotykiem olbrzymich dłoni łagodził ból.

Sięgnął do cesarskiego skarbcza, żeby opłacić dwóch kapłanów wojowników Khryla, których wyciągnięto z łóżek i sprowadzono pospiesznie z kapliczki przy Drodze Bogów. Toa-Sytell patrzył, jak zmarszczki współczucia na czole cesarza pogłębiają się na widok ludzi ze złamaniami, których nawet magja nie była w stanie uleczyć, jak kryształowe łzy wzbierają w czarnych niczym węgle oczach, gdy błogosławi zabitych.

– Nikt, nawet Ja, Cesarz-Bóg, nie może zajrzeć za tę bramę – mruzczał, nieświadomy tego, że Toa-Sytell go słyszy. – Życzę wam wszystkim szczęśliwej podróży albo spokojnego snu i zapomnienia, cokolwiek was czeka.

Kiedy wrócili do Donżonu, po całym zamieszaniu zostały tylko kałuże krzepnącej krwi na posadzce.

– Niezła rzeź – zauważył hrabia Berne znudzonym tonem.

Oparł się o balustradę obok Ma'elKotha, po przeciwnej stronie niż Toa-Sytell, plecami do Jamy, i z zainteresowaniem oglądał sobie paznokcie. Toa-Sytell wyczuwał jednak, że jego nonszalancja jest udawana, przesadna. Nie rozumiał tylko, czemu ma służyć.

– Caine okazał się kosztownym kaprysem, nie uważasz?

Jedyną odpowiedzią Ma'elKotha był basowy, nieartykułowany grzmot w piersi.

Toa-Sytell odkaslnął znacząco i zniżył głos, żeby usłyszeli go tylko cesarz i hrabia:

– Nie stwierdziłem jeszcze, co właściwie poszło nie tak jak trzeba. Wartownik na dachu został znaleziony znacznie szybciej, niżby na to wskazywał rytm obchodów pieszego patrolu. Czy cesarz życzy sobie, żebym zbadał bliżej tę sprawę?

Mówiąc, patrzył nie na Ma'elKotha, lecz na Berne'a, dzięki czemu nie uszedł jego uwagi przelotny błysk w oczach hrabiego; delikatna rysa na masce obojętności. A więc wiedział, dokąd prowadzi ten trop.

Ale Ma'elKoth pokręcił głową.

– Nie. Chcę, żebyś cały swój wysiłek nakierował na jeden cel, jak strzałę wystrzeloną z łuku: pojmanie Lamoraka, kobiety i Caine'a. W przeciwnym razie wydamy się Naszym wrogom nieprzekonujący. A chodzi o to, żeby Caine miał jak największe szanse powodzenia.

Berne zerknął w bok pod podbródkiem Ma'elKotha i stwierdził, że Toa-Sytell nie spuszcza z niego wzroku. Ich oczy się spotkały. Berne zmusił się do głupawego,



przyjacielskiego uśmiechu, na który Toa-Sytell odpowiedział beznamiętnym spojrzeniem, które mówiło: „Mam cię na oku”. Berne wzruszył ramionami i wrócił do czyszczenia paznokci.

– Co będzie... jeżeli go złapiemy? – zapytał Toa-Sytell z namysłem.

– Spodziewam się, że w takiej sytuacji znaczna liczba twoich ludzi zginie – odparł Ma’elKoth.

Z niedowierzaniem potrząsnął lwią grzywą, wpatrzony w ścinające się plamy krwi w Jamie i na balkonie.

– Dwadzieścia siedem ofiar śmiertelnych, mężczyzn i kobiet. Dwudziestu pięciu rannych, w tym część trwale okaleczonych. Kolejne krwawe wpisy na koncie Simona Błazna, które dzielę z nim wbrew swojej woli.

– Zechce mi cesarz wybaczyć, że to powiem... – wtrącił półgłosem Toa-Sytell. – Ale wydaje mi się, że to nieunikniony skutek konszachtów z Caine’em.

Cesarz powoli pokiwał głową, chyląc ją jak do modlitwy.

– To prawda. Wiedziałem o tym, kiedy postanowiłem go odszukać. – Westchnął ciężko. – Dwadzieścia siedem ofiar... Co za masakra.

Podniósł wzrok, jakby dostrzegł coś w głębi kamienia – albo zapatrzył się w bezgraniczną dal.

– Caine nie mógłby wyrządzić większych szkód nawet gdyby był *Aktirem*.

## 14

Jak zwykle czysty, odprasowany, olśniewający, błyskający w uśmiechu białymi, jakby wypolerowanymi, zębami.

– Oglądacie państwo *Przygody na żywo*, jedyny ogólnosiwiatowy, dwudziestoczerogodzinny kanał informacyjny Studia. Bronson Underwood, dzień dobry. W Ankhanie mamy południe, a ja przedstawię państwu najświeższe nowiny z życia Caine’a, który prowadzi desperackie poszukiwania zaginionej żony, Pallas Ril. W rogu ekranu widzicie państwo zegar życia Pallas Ril, który wskazuje, że według najnowszych szacunków pozostało jej około osiemdziesięciu godzin; margines błędu wynosi w tym wypadku dziesięć godzin, czyli Pallas ma jeszcze albo prawie cztery dni życia, albo niespełna trzy. Cały świat wstrzymuje oddech, modląc się, żeby Caine zdążył ją odnaleźć. Oddaję głos Jedowi Clearlake’owi.

– Dziękuję, Bronson. Z ostatniego przekazu ze Studia wynika, że Caine na dobre utknął w Kolonii w towarzystwie tubylczej kobiety imieniem Talann oraz Lamoraka, czyli Aktora Karla Shanksa. Ludzie cesarza prowadzą obławę zakrojoną na niespotykaną skalę: jest ich wszędzie pełno, chodzą po domach i szukają zbiegłych więźniów. Caine musi się przyczać,

co raczej niezbyt mu odpowiada.

– Z pewnością. Jak przebiegają poszukiwania Pallas Ril?

– Jak zapewne pamiętasz, ubiegłej nocy Caine zorganizował niezwykle ryzykowną, bezprecedensową ucieczkę z Cesarskiego Donżonu, licząc na to, że przynajmniej jedno z dwojga towarzyszy Pallas doprowadzi go na umówione spotkanie z nią. Jego nadzieje legły w gruzach, gdy cesarz rzucił przeciw nim tak znaczne siły. W tej chwili nie mogą się swobodnie poruszać po mieście. Podobno przyjaciele Caine’a cały czas szukają bezpiecznej kryjówki.

– Słyszałem też, że sytuacja zrobiła się bardzo interesująca... politycznie.

– Politycznie?

– Mam na myśli politykę seksualną, Jed.

– Ach tak... – Oschły śmiech. – Rzeczywiście. Większość widzów dobrze pamięta, jakich starań dołożył wczoraj w nocy Caine, żeby ocalić Lamoraka. Nie wiem, czy wiesz, Bronson, ale w życiu prywatnym są dobrymi kumplami. Za to na pewno nie wszyscy wiedzą, że Lamorak i Pallas Ril również się przyjaźnią, i to bardzo blisko.

– Słyszałem plotki...

– To nie plotki, Bronson. Właściwie od jakiegoś czasu cała sprawa jest już tajemnicą poliszynela i jedyne pytanie brzmi: jak dużo wie Caine? Studio milczy w tej sprawie, a chyba wszyscy się zastanawiają, co robi Caine, kiedy się dowie.

– Dobre pytanie, Jed. Dla nas nadzwyczaj interesujące, dla Lamoraka... No cóż, powiedziałbym raczej, przerażające.

– Jest takie powiedzenie: jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. – Kolejny wybuch śmiechu. – Idealnie pasuje do Lamoraka. Z Centrum Studia w San Francisco mówił dla państwa Jed Clearlake.

– Dziękuję, Jed. Zaprosiliśmy do nas eksperta... Jesteście państwo gotowi? No to uwaga: eksperta od chaotycznych zaburzeń w wielowymiarowych superstrunach. Za chwilę będzie tu z nami i będziecie mogli z nim państwo porozmawiać. Wyjaśni, z czego wynika tak duży margines błędu we wskazaniach zegara życia Pallas Ril, a także odpowie na pytania dotyczące Transferu Winstona. Tu Bronson Underwood, proszę zostać z nami.

## 15

Arturo Kollberg wcisnął następnego pączka do ust, chociaż policzki miał już wypchane do granic możliwości. Wpatrywał się w ogromny, zakrzywiony ekran PW Caine’a. Za każdym razem, kiedy Caine odwracał się od zalanej słońcem ulicy na dworze i spoglądał na wyleżany, wystrzępiony siennik, na którym leżał zawinięty w brudne pledy Lamorak, głos w głowie Kollberga przybierał na sile, zmieniał się w prawdziwą mantrę.

Giń, łajdaku. Giń, szczurze. Giń, giń, giń.

Ale Lamorak nie zamierzał umierać.

Kiedy Caine z Talann wywlekli go w końcu z jaskiń, był w szoku, nieprzytomny, wstrząsany dreszczami; dawno powinien był umrzeć. Rozgrzali go jednak, a kiedy od czasu do czasu odzyskiwał świadomość, karmili ciepłym rosołem dostarczanym przez Sługi. Musiał się wspomagać magją, bez niej nie doszedłby do siebie tak szybko. Udało się nawet nastawić mu złamaną nogę i włożyć ją w łubki, kiedy magijnie przytłumił ból i rozluźnił konwulsyjny skurcz mięśni uda. Stwierdził, że w tej sytuacji jeszcze przed zmierzchem będzie w stanie poruszać się o kuli, po czym znowu zasnął. Caine, Talann i medyk-amator (Sługa Ściemy) wykorzystali okres jego nieświadomości, żeby usunąć szwy z rany i najmocniejszą brandy, jaką udało im się znaleźć, wypłukać z niej jaja insektów. Zaszyli ją z powrotem, a przy okazji nałożyli też szwy na głębokie cięcie na brzuchu.

Oglądając ich, Kollberg dostawał szału, ale nie mógł sobie pozwolić na to, żeby złość przyćmiła mu jasność osądu. Łyknął następną kapsułkę amfetaminy i zapchał się słodyczami, zanim narkotyk zabije w nim apetyt. Poczul się trochę lepiej.

I przez cały czas słyszał w głowie tę mantrę. Straciła sens, zmieniła się w bzdurny zlepek sylab, który – gdyby w tym wszechświecie był choć cień sprawiedliwości – wyszałby Lamorakowi powietrze z płuc i zamroził jego zdradzieckie serce.

Ileokroć u dołu pola widzenia rozbłyskiwał grzybek transferu awaryjnego, Kollberg czuł ucisk w piersi i zgrzytał zębami. Cały czas upominał się w duchu, że przecież wcale nie jest bezradny. Durny żart Caine'a porównujący Szyb do slumsów Robotników, prawie usprawiedliwiłby ściągnięcie go z powrotem.

W tej chwili najważniejsze to wyczuć właściwy moment, powtarzał sobie. Odpowiednią chwilę.

## 16

– Jego Wysokość zaraz przyjdzie – mówi dzieciak. Jest wyraźnie pod wrażeniem. – Chociaż nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Jego Wysokość do kogoś przyszedł...

Wyglądam przez małe okienko. Nie chcę, żeby się zorientował, że nie pamiętam jak ma na imię. Z miejsca, w którym siedzę, na ostro zarysowanej granicy światła i cienia, widzę bazar i okolice straganu Luma, w zakrzywionym cieniu muru stadionu, gdzie zdzieliłem go baraniam udźcem. Mam wrażenie, że od tamtej pory minęły ze dwa życia.

– Co nowego na temat Pallas?

– Nikt nie wie, gdzie jest, Baronie. Poszliśmy tam z Tommiem, ale nikogo nie było. Czekaliśmy, czekaliśmy i nic. Tommie został. Nic więcej nie wiem.

Spoglądam na Talann, siedzi na ziemi przy sienniku Lamoraka i odpowiada mi wzruszeniem ramion.

– To jedyna kryjówka, jaką pamiętam. Nic na to nie poradzę.

Fakt. To i tak niewiarygodne, że jakiś punkt kontaktowy wypłynął spoza bariery wymuszonego zapomnienia. Przeklęty czar. Odkąd wyjaśniłem Talann, co zrobiła Pallas, jest coraz bardziej zasepiona. Nie mam do niej pretensji.

– No właśnie – mówi dzieciak. – Nikt jej nie widział od wczorajszej bitwy na gówna.

– To znaczy, że wczoraj ją widziałeś?!

Coś, co ścisnęło mnie w piersi, nagle się rozluźnia, znów mogę normalnie oddychać. Biorę głęboki wdech.

– Czy ona... Nic jej nie jest? Została ranna? Jak wyglądała?

Chłopak szczerzy zęby w uśmiechu.

– Całkiem niezłe, jak na kogoś, kogo goni połowa tych cholernych Szarych Kotów. To było na samym początku.

– Bitwy na gówna?

– Ano tak, Baronie. Myślałem, że wiesz.

I opowiada w skrócie, jak Pallas walczyła z gromadą Szarych Kotów w Parku Przemysłowym. Jeśli mu wierzyć, wysadziła w powietrze pół okolicy, prowadząc ich w stronę Kolonii. Z dumą relacjonuje swój udział w bijatyce – odpowiedział na wezwanie i osobiście cisnął mokrą kupą w twarz hrabiego Berne'a.

Wybucham śmiechem, kiedy naśladuje reakcję zaskoczonego Bernea na tak podle traktowanie. Odczuwam niespodziewany przyływ życzliwości do chłopaka; na boga, na boga, jak ja żałuję, że mnie przy tym nie było! Widzi, że ta scena mi się spodobała, więc powtarza ją po wielokroć, coraz bardziej przerysowaną, aż w końcu każe mu przestać. Nawet wizja Berne'a dostającego gównem w twarz kiedyś przestaje bawić... gdzieś tak po setnym powtórzeniu...

Zresztą w moim śmiechu jest chyba nuta goryczy, jak ukłucie bólu, jak dźgnięcie palcem w zębra, kiedy pomyślę, że Pallas tak dobrze radzi sobie beze mnie. Może żywiłem niezbyt szlachetną nadzieję, że bez mojej pomocy będzie bezradna, że potrzebuje mnie bardziej niż kiedykolwiek była skłonna to przyznać. Może boli mnie, że postawiła się Berne'owi, który omal mnie nie zabił, i Ma'elKothowi, który mógłby mnie zgnieść jak namolnego gza – i daje sobie radę. Jest wolna i skuteczna, a uciekinierów, których ukrywa, nikt nie złapał. Gdyby nie ten niespodziewany efekt uboczny, w ogóle by mnie tu nie było.

– Wiesz, jak to się stało, że musiała walczyć z Berne'em i Kotami? – pytam. – Od czego się zaczęło? Co robiła w Parku Przemysłowym?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Ktoś mi chyba coś powiedział... Ale nie, nie pamiętam. To chyba nieważne, co?

– Pewnie nie, dzięki. Wyświadczy mi przysługę, młody, zejdz na dół i wypatruj Jego Wysokości.

Dzieciak wali się pięścią w okrytą kolczugą pierś w tym kretyńskim salucie Sług, odkasłuje i grzechocze mieczem – sprawdza, czy luźno siedzi w pochwie. Dopiero wtedy, nie znajdując kolejnego pretekstu do dalszego przebywania w moim towarzystwie, odwraca się na pięcie w nieporadnej imitacji wojskowego „w tył zwrot” i wybiega z pokoju. Słucham tupotu buciorów na miękkich, zapadniętych i nadpróchniałych deskach i próbuję sobie przypomnieć, jak to jest być takim młodym.

Bez szans. To było zbyt wiele żywotów temu. Wracam do wyglądania przez okno.

Przy stadionie pluton ciężkozbrojnej piechoty rozchodzi się w tyralierę. Żołnierze poca się pod kirysami, są wściekli i nieprzyjemni; zatrzymują przechodniów na chybił trafił, przepytują ich, czasem walną kogoś z liścia. Niebo zasnuwają ciemne chmury nad zachodniego wybrzeża. Znowu będzie padać. Piechociarzom od razu poprawi się humor – z pływających w pocie nieszczęśników zmieniają się w nieszczęśników przemoczonych i przemarzniętych, a przy tym w dalszym ciągu będą mogli wyładowywać frustrację na pospólstwie. Marzenie każdego żołnierza.

– Coś sobie przypominam – mówi powoli Talann, z tak wymuszoną obojętnością, jakby co najmniej od dwóch godzin zastanawiała się, jak to powinno zabrzmieć. – O Pallas. Mimo tego... zakłęcia, szlag by je... Pamiętam, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy, że się o nas troszczyła, zwłaszcza o Lamoraka.

Powiem wam, że zdarzało mi się dostać w bebechy od najlepszych, raz nawet od Jerzego Kupczina, który był wtedy mistrzem świata wagi ciężkiej – ale żaden cios nie bolał tak jak jej słowa.

Jest jeszcze ktoś, kto o nich nie wie?

Długo milczę, wpatrując się w twarz Lamoraka, w dalszym ciągu – mimo siniaków i opuchlizny – perfekcyjną jak u surfera. Poza twarzą nic więcej nie widzę – wystaje spod koców, oczy poruszają się gwałtownie pod powiekami, Lamorak rzuca się przez sen, pojękuje, na usta wypływa mu bańka śliny. Ciekawe, czy śni mu się Teatr Prawdy.

Mam nadzieję.

– To prawda – mówię w końcu. – Potrafi być bardzo opiekuńcza.

– Na pewno będzie ci ogromnie wdzięczna za to, co zrobiłeś. – Talann przysuwa się do mnie. – Zwłaszcza za Lamoraka.

Wpatruję się w nią przez następną długą minutę. Jest na wyciągnięcie ręki. Czysta i ubrana w taką samą luźną bawełnianą tunikę i spodnie, jakie miała na sobie, kiedy oglądałem ją pośrednio, jest jedną z najbardziej niewiarygodnych kobiet, jakie miałem przyjemność poznać.

Nawet gdyby ta bawełna była dostatecznie gruba, żeby pozostawiać pole do popisu wyobraźni (a nie jest), w Donżonie miałem aż nadto czasu na podziwianie gładkich krągłości jej sylwetki, gry mięśni ud i tyłka. Platynowe włosy, umyte i rozczesane, tworzą lśniąca aureolę wokół głowy, perfekcyjną ramą obejmując łagodną krzywiznę policzków i szczęki,

przyprószoną delikatnym puszkciem. Jest piękna, odważna, ma zadatki na prawdziwą heroinę, a przy tym tak niesamowite umiejętności, że jej zapał do sztuk walki z pewnością dalece przewyższa mój własny. Mógłbym jej teraz dotknąć, powieść palcami wzdłuż linii zuchwy, przyciągnąć ją do siebie.

Jej fiołkowe oczy są tak głębokie, że można by w nich pływać. Kiedy tak na nią patrzę, bierze głęboki wdech, niemal niedostrzegalnym ruchem pręży się i wygina plecy w łuk. Jej sutki ocierają się lekko o tunikę i przyciągają mój wzrok.

Widywałem kobiety, które robiły to lepiej od niej, ale chwilowo żadnej nie mogę sobie przypomnieć.

Łowi. Zarzuca przynętę i sprawdza, co połknie haczyk. Po to właśnie było to pieprzenie o Lamoraku; to jak klaskanie dłońią o wodę, żeby napędzić rybę w sieć. Chyba jestem idiotą.

Na pewno jestem idiotą – bo nie chcę dać się złapać.

– Daj spokój – mówię. – Wszystko wiem.

Wytrzeszcza oczy.

– O czym?

– O Lamoraku i Pallas. Wiem, co ich łączy.

Sprawia wrażenie oszołomionej.

– Wiesz?! To dlaczego... Jak możesz... No wiesz, Lamorak z Pallas, a ty...

Jakiś bardzo, ale to bardzo silny człowieczek, dostatecznie mały, żeby zmieścić mi się w głowie, zaczyna mnie tłuc od środka w oczy. Korbaczem.

– Naprawdę musimy o tym rozmawiać?

– To znaczy... Nie chcę być wścibska, Caine, ale... Czy to znaczy, że ty i Pallas już nie jesteście razem? To przeszłość?

Koleś w mojej głowie odkłada korbacz i odpala piłę spalinową. Słyszę jej warkot.

– Ona tak uważa.

– Caine...

Jej dłoń, kiedy kładzie mi ją na ramieniu, przy bandażu owijającym mięsień czworoboczny, jest ciepła i mocna. Siła jej uścisku promieniuje w głąb mięśnia, rozluźnia go. Spoglądam w te fiołkowe oczy i... Nie, ona mnie wcale nie próbuje rwać. Nie w tym rzecz. To coś znacznie bardziej uwodzicielskiego i zabójczego niż subtelna propozycja seksu. Talann ofiaruje mi zrozumienie.

– To musi boleć.

Celowo udaję, że nie zrozumiałem:

– Wcale nie, woda w rzece przepłukała ranę. Nie będzie infekcji.

Nie daje się zwieść. W siadzie wojownika, z podkulonymi nogami, przygląda mi się z nienaturalnym spokojem.

Wzruszam ramionami. Ból przeszywa mi zraniony bark; boli znacznie bardziej, niż okazywałem. Koncentruję się na przywołaniu klasztornej odmiany wewnętrznego widzenia i

próbuję narzucić sobie dyscyplinę. Gość z piłą powoli mi odpuszcza, chociaż nadal czuję jego obecność pod czaszką. Ból w ramieniu pulsuje, ale słabnie. Skupiam się na rozmasowaniu opuchniętego kolana; przydałby mi się okład z lodu. Kiedy o tym myślę, mogę swobodniej mówić o tej drugiej, poważniejszej ranie.

– To, co łączy Pallas i Lamoraka, to ich prywatna sprawa – mówię półgłosem. – Mnie nic do tego.

Wyraz twarzy Talann nie zmienia się ani na jotę, a mimo to udaje się jej wyrazić powątpiewanie.

– Serio – upieram się. – To nie ma żadnego znaczenia.

Jej głos jest równie ciepły jak dotyk dłoni:

– Powinno mieć, Caine. Gryziesz się, to widać.

– To ich prywatna sprawa – powtarzam. – Tak jak to, co czuję do Pallas, jest moją prywatną sprawą.

– W takim razie... – Talann trochę pochmurnieje. Minimalnie. – Dla ciebie to wcale nie koniec.

Głowę mam ciężką jak kula do burzenia domów.

– Nie, nie koniec. Ja dotrzymuję obietnic, Talann. Póki śmierć nas nie rozłączy.

Oczywiście nie rozumie aluzji – w cesarstwie małżeństwo bardziej przypomina umowę handlową niż sakrament – ale wie, co mam na myśli. Kręci głową, z podziwu i rozczarowania.

– Jaki człowiek posunąłby się do tego, żeby, ryzykując, i to kilkakrotnie, własne życie, ocalić rywala?

Jaki człowiek? Popieprzony idiota, ot co.

– Trudno to wytłumaczyć.

Przykrywa moje dłonie, oparte na obolałym kolanie, swoimi, i czeka, aż będę musiał spojrzeć jej w oczy. Widzę, jak coś w nich umiera, niczym strzępki snu, który ulatuje nam tuż po przebudzeniu i nie potrafimy go sobie przypomnieć.

– Mam nadzieję, że Pallas Ril wie, jak niezwyklego mężczyznę odrzuca.

Trudno mi się nie roześmiać – mam do wyboru albo parsknąć śmiechem, albo wybuchnąć płaczem. Czuję narastający w piersi śmiech, ale kiedy w końcu przeciska mi się przez gardło, słyszę zduszony, gorzki chichot.

– O tak, jestem tego pewien. Na tym właśnie, między innymi, polega problem, Pallas wie o tym aż za dobrze.

Talann chyba niewiele może powiedzieć. Siedzi obok mnie i patrzy, jak masuję sobie kolano.

W tej zadumie czas szybko płynie – widzę, jak przemieszcza się wpadający przez okno promień słońca. Wydaje mi się, że opuchlizna się zmniejsza (ból na pewno ustępuje), a kiedy wpływam z powrotem na powierzchnię świadomości, stwierdzam, że Lamorak

oprzytomniał.

Patrzy na mnie spode łba, dziwnie onieśmielony.

– Przeplukaliście mi nogę, prawda? Wewnętrzne widzenie podpowiada mi, że jajek już nie ma. Dzięki.

Jest głęboko poruszony. Nie rozumiem tego. Mam nadzieję, że zżerają go wyrzuty sumienia.

– No i dzięki za uratowanie mi życia – dodaje. – Mam u ciebie dług.

Co ty powiesz? Krzywię się w myślach. Jak chcesz go spłacić, to odpieprz się od mojej żony! Na głos mówię jednak co innego:

– Nie chrzań. Gdyby nie twoja szarża na balkon w Jamie, gnłbym teraz w ściekach. Jesteśmy kwita.

Spuszcza wzrok.

– Nigdy nie będziemy kwita.

W jego głosie brzmi nieskrywana odraza do samego siebie. Małostkowa – choć ogromna – część mojej duszy uśmiecha się szeroko, kiedy to słyszy.

– Jak sobie chcesz.

Grzmot przewala się po niebie, całkiem niedaleko. Kulę się odruchowo; przypomina mi głos Ma'elKotha. Pierwsze grube krople wybijają staccato na szybie. Zamykam okiennice. Nawet przez warstwę drewna czuję impet deszczu, lekki werbel, jak tupot rozbiegających się szczurów.

Pół godziny później zjawia się Jego Wysokość. Jest sam. Dziwnie ukradkowo wślizguje się przez drzwi i od razu zrzuca mokry płaszcz. Talann wstaje, płynnie przechodzi do postawy obronnej. Nie ma pojęcia, rzecz jasna, kim jest nasz gość, i woli nie ryzykować. Powstrzymuję ją, kładąc jej rękę na ramieniu. Witam Jego Wysokość skinieniem głowy.

Taksuje nas wzrokiem, strzela ten swój uśmiech cwaniaczka i z niedowierzaniem kręci głową.

– Niech mnie diabli, Caine, ty to naprawdę umiesz zabełtać wodę w sraczu.

– Taki już mam dar. Talann, przedstawiam ci Króla Ściemy. Wasza Wysokość, to jest Talann, wojowniczką, towarzyszką Pallas Ril.

Bez żenady rozbiera ją wzrokiem i wyciąga rękę na powitanie; jest nie gorszym ode mnie znawcą i miłośnikiem kobiecej muskulatury. Kiedy przedstawiam go Lamorakowi, na twarz wraca mu przemądrzały uśmieszek.

– Czy to czasem nie ty nosiłeś dawniej Kosall? Wiesz, że teraz ma go Berne?

Lamorak krzywi się i kiwa głową. Jego Wysokość gwizdże współczująco przez zęby.

– Kurczę, to musi boleć. Jakby ci fiuta z korzeniami wyrwali, co?

Wdajemy się w gadkę-szmatkę o poszukiwaniach i zamieszaniu w mieście; Jego Wysokość chce koniecznie usłyszeć o naszej ucieczce z Cesarskiego Donżonu. Pomału trafia mnie szlag. Świadomość, że tracimy czas na pierdoły, kiedy jestem tak blisko Pallas, jest



naprawdę trudna do zniesienia.

Poza tym, kiedy słucham opowieści o swojej heroicznej ucieczce, przypominam sobie – ze szczegółami – w jaki sposób trafiłem do Donżonu. Gdyby ktoś prześledził mój metaforyczny trop w metaforycznym lesie... Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby się dowiedzieli, że to Ma'elKoth mnie wynajął.

Wątpię, czy pożyłbym dostatecznie długo, żeby się wytłumaczyć.

Nie martwiłbym się tym zbyt, gdyby nie Jego Wysokość, który co rusz rzuca mi znaczące spojrzenia, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiem. W końcu, kiedy Talann dochodzi do walki na balkonie, mam dość.

– Czy to naprawdę takie ważne? – wtrącam. Ton mojego głosu nie pozostawia złudzeń, co myślę na ten temat. – Muszę znaleźć Pallas. I to dzisiaj. Najlepiej teraz, zaraz.

– No to mamy problem – mówi Jego Wysokość. – Sam bym ją chętnie znalazł, ale nie mogę w to wciągać całego Królestwa.

– Jak to nie możesz?! Wasza Wysokość, przyjaźnimy się od...

Zbывa moją retorykę znużonym gestem.

– Nie w tym rzecz, Caine. Koty, kiedy ją wczoraj dopadły, zaczęły się w Parku Przemysłowym w miejscu gdzie ukrywała *tokalich*...

– To znaczy... one... ona... – jąkam się. – To ty wiesz?

– O Simonie Błaźnie i jego Wiecznym Zapomnieniu? – Spogląda na mnie protekcjonalnie, jakby pytał: masz mnie za durnia? – Oczywiście. Jestem chyba Królem Ściemy, nie? Coś innego wydaje mi się bardzo ciekawe: wcale nie wyglądasz na zaskoczonego...

– To tajemnica – odpowiadam beznamiętnym tonem. – Mów dalej. Koty czekały na nią przed kryjówką *tokalich*.

– No tak. Podejrzewam, że namierzyli ją tam w taki sam sposób, jak trzy czy cztery dni wcześniej tutaj. Ktoś ją wsypał.

Serce wali mi jak młot, jeden raz, w głębi piersi.

– Sługa Ściemy?

– Na bank. – Jego Wysokość kiwa głową. – Nikt inny nie mógł wiedzieć. Mój informator w Oczach nic nie wie. Ktokolwiek to jest, rozmawia bezpośrednio z Berne'em i Kotami. Paslava, Deofad, któryś z baronów... Nie wiem. Pierwszy lepszy zuczek nie miałby takiej informacji na sprzedaż, kapujesz? Pallas nie chce mieć już żadnych pomagierów. Nie ufa im.

– To dlatego przyszedłeś sam.

– A jak myślisz? Musimy was przenieść. Potrzebne mi są imiona wszystkich Sług, którzy wiedzą, że tu jesteście. Jeżeli Koty przyjdą was szukać, krąg podejrzanych trochę się nam zawęzi.

– Kiedy już dorwiesz drania, dopilnuj, żeby dożył spotkania ze mną – chrypię. – Mogę cię o to prosić?

Wzrusza ramionami.

– Niczego nie obiecuję. Sam jestem z lekka wnerwiony, chyba rozumiesz. Żeby tak puścić farbę... Niech no ja dopadnę tego skurwiela.

Wyłamuje znacząco palce. Krew napływa mu do twarzy, żyłki wokół oczu zaczynają pulsować. Patrzę na niego spod przymrużonych powiek. Coś się zmieniło od naszej przedwczorajszej rozmowy. Wcześniej mówił, że to tylko „drobne ukłucie w tyłek Ma’elKotha”, teraz sprawa zrobiła się śmiertelnie poważna. Wygląda, jakby miał zaraz zacząć pluć lawą.

– Zaprowadź mnie do niej, Wasza Wysokość. To w tej chwili najważniejsze.

Jego zmętniałe oczy spoglądają na mnie podejrzliwie, przeszywająco, jak klinga noża.

– Dlaczego?

Nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi, że ma takie małe, świńskie oczka. Żyłki nabrzmiewają jeszcze wyraźniej, jakby pulsował w nich czysty gniew.

– Wasza Wysokość, co się dzieje? To tylko ja! Weź się w garść.

– Jasne... – Jego twarz powoli odzyskuje normalny kolor. – No oczywiście. Przepraszam. Ona nie potrzebuje twojej pomocy, Caine. Psiamać, jeśli dobrze mi się wydaje, to wczoraj w nocy wtargnęła na Noc Cudu i uszło jej to na sucho!

– Poważnie?

– Mhm. To musiał być jakiś Płaszcz... A właściwie dwa, Płaszcz na Płaszczu. Kapujesz?

Prawie półtora roku uczyłem się w Konserwatorium Magji Bitewnej, zanim przeniosłem się na Walkę. Rozumiem go doskonale. Nawet adept jej nie znajdzie, bo nie będzie w stanie śledzić jej szarpnięcia w Przepływie. To pewnie efekt Wiecznego Zapomnienia.

Pierwszy raz od wielu dni szczerze się uśmiecham.

Wszyscy się na mnie gapią.

– Co jest? – dziwi się Jego Wysokość. – O co chodzi?

– Wiem, gdzie ona jest – mówię. – Dokładnie wiem.

## 17

– Panie Administratorze, to znowu ten Komediant Clearlake z *Przygód na żywo*. Chce wrzucić do sieci transmisję... gdy się spotkają.

– Powiedz mu... Powiedz mu, że nie. Nie będzie transmisji.

Arturo Kollberg wpatrywał się w ekran, przygryzając paznokiec. Caine – profesjonalista w każdym calu, zawsze świadomy wymogów spektaklu – uparł się, żeby Lamorak i Talann towarzyszyli jemu i Jego Wysokości, mimo że zwiększało to ryzyko wykrycia ich i pojmania. Zaaranżowanie wycieczki zajęło trochę czasu – trzeba było sprowadzić konia dla Lamoraka, a wszystkim dostarczyć grube płaszcze i kapelusze dla ochrony przed ulewą zmywającą uliczki

Kolonii. Ze względów bezpieczeństwa nie mogli ryzykować przejścia przez jaskinie, na pewno dużo Sług schroniło się tam przed deszczem.

Zmontowali ekipę uderzeniową – dwunastu Sług Ściemy, którzy rozproszyli się przed i za grupą Caine'a, żeby zagadywać albo zajmować czymś patrole, które zaczęłyby się nią interesować. Musieli trzymać się bliżej niż zwykle przy takich operacjach, bo deszcz ograniczał widoczność do dziesięciu, piętnastu metrów – ale ten sam deszcz studził też zapal żołączy i w ostatecznym rozrachunku działał na korzyść zbiegów.

Oczywiście Kollberg zawiadomił zespół *Przygód na żywo* zaraz po tym, jak Caine obwieścił, że wie, gdzie jest Pallas. Ten cały Clearlake... Miał chłopak nosa. Kollberg rozgrywał w wyobraźni scenę spotkania: wyczekiwanie, podejście, pierwsze spojrzenie, ich oczy się spotykają, pierwsza kwestia... I cięcie.

Cięcie przed pocałunkiem, nawet przed pierwszym dotykaniem... To będzie miało bombowy efekt. Zamówienia na sześciotygodniowe pośrednie mogą wzrosnąć nawet dwukrotnie...

Tylko to ryzyko... Spore. Caine może się zbiesić, a Rada Zaradców tylko czeka na jego potknięcie. Wymagałoby to inicjatywy, jaką rzadko okazują Administratorzy, prawdziwej odwagi, brawury godnej...

Nawet w myślach Kollberg nie był w stanie wypowiedzieć tego słowa inaczej niż szeptem.

Godnej Biznesmena.

Amfa krążyła mu w żyłach, szepcząc uspokajająco: „Dalej, nie bój się, daj nura, zgarnij całą pulę...”.

Na panoramicznym ekranie, obejmującym dwieście siedemdziesiąt stopni pola widzenia Caine'a, grupa przeszła właśnie na drugą stronę Drogi Łotrów. Szli schyleni, kuląc się przed zacinającym deszczem. Kollberg musiał się szybko decydować, ale gdyby Caine mógł chwilę poczekać, powiedzmy... z dziesięć minut? Nowina rozeszłaby się po wszystkich ośrodkach nadawczych i każdy chciałby puścić tę transmisję, wszędzie, na całym świecie... Po co więc oddawać ją za darmo? Po co po prostu wrzucać ją do *Przygód na żywo*?

Zapłacą. Wszyscy zapłacą. Rzucą się na taki smakowity kąsek jak masa lemingów – bo nie stać ich, żeby go sobie odpuścić. Żaden kanał nie może sobie pozwolić na to, żeby jako jedyny na rynku nie pokazać na żywo spotkania Caine'a i Pallas. Stawki licencyjne za te kilka minut nie tylko pokryją koszt całej Przygody, ale przyniosą jeszcze milionowe zyski!

Podjąwszy decyzję, Kollberg nie tracił czasu, natychmiast poprosił o odblokowanie centrum łączności na transmisje przychodzące. Sto marek za sekundę? Tysiąc? Niech chłopaki z marketingu wymyślą cenę, od której kierownicy programów będą zgrzytać zębami i rwać włosy z głowy. Byle nie zemdleli.

Połączył się ze studiem *Przygód na żywo*.

– Dajcie mi Komedianta Clearlake'a – warknął. – Mówi Bi... Mówi Administrator Kollberg.

To się zmieni. Czuję to: wkrótce nie będę już zwykłym Administratorem.

## 18

W głosach przemawiających z pięciu miliardów ekranów na Ziemi słyhać powagę i zaaferowanie, jakie zwykle są zastrzeżone dla informacji o wypowiedzeniu wojny. Prawie wszystkie przemawiają po angielsku. Nieliczne kanały etniczne, walczące o przetrwanie na różnych lokalnych zadupiach, są zbyt biedne, żeby zapłacić Studiu żadaną stawkę sekundową. Bezcielesne słowa brzmią różnie na różnych kanałach, ale niosą tę samą treść: „Musisz to zobaczyć. Musisz się tym przejąć. To najważniejsza rzecz w twoim życiu”.

I ta twarz: piękna, szczerą, o gładkich rysach, obwiedziona lokami, z błyszczącymi oczami. Skrywa emocje tak silne, że trudno wyrazić je słowami, połączenie religijnego uniesienia i absolutnej pewności siebie: „Oto jestem. Wiem wszystko. A ty dowiesz się tylko tego, co zechcę ci powiedzieć”.

Jest w nim moc. Rozpala go pożoga energii, spływająca z oczu dziesięciu miliardów ludzi, którzy w tej chwili oglądają jego twarz.

– Na żywo ze Studia w San Francisco mówi dla państwa Jed Clearlake.

## 19

– To tutaj! – Jego Wysokość podnosi głos, żeby przekrzyczeć ogłuszające dudnienie ulewy na naszych płaszczach i kapeluszach. Serce na chwilę przestaje mi bić.

Czy naprawdę jestem tak blisko?

W ciemnych szarościach deszczu majaczy zapadnięta sylwetka magazynu. Uchylone drzwi zieją mrokiem. Zimny pot spływa mi po plecach i ścieka do nogawek. Spoglądam na jadącego konno Lamoraka i na Talann, która podczas naszego ukradkowego przemarszu prowadziła konia za uzdę. W ulewie widzę tylko widmowe zarysy ich postaci. Nachyliłam się do Jego Wysokości, tak blisko, że runda naszych kapeluszy zachodzą na siebie. W wolnej od deszczu przestrzeni o szerokości dłoni możemy swobodnie rozmawiać.

– Zbierz chłopaków – mówię. – Musimy ich mieć pod ręką, dopóki Pallas nie będzie się mogła stąd ruszyć. Źle by się stało, gdyby któryś chlapanął o tym niewłaściwemu człowiekowi.

Znowu spogląda na mnie z ukosa, jakby, zerkając kątem oka, chciał się przekonać, czy wyglądam tak samo jak widziany *en face*, ale w końcu kiwa głową.

– Jak sobie życzysz.

Podnosi rękę nad głowę i zamaszystym gestem przywołuje swoich ludzi. Wydaje mi się

niemożliwe, żeby go zobaczyli, ale po chwili zaczynają się schodzić; szurają nogami i kulą się przed deszczem.

– Mówię ci, obserwujemy to miejsce od dłuższego czasu. Tommie jest w tej chwili w środku. Kurczę, nawet Berne'a tu wysledziliśmy! Zaraz po bitwie na gówna przeszukał magazyn. Nie było jej tutaj.

Uśmiecham się z wyższością.

– Nie znasz jej tak dobrze jak ja. Trzymała tu ponad trzydzieści osób; mieli jedzenie, wodę, miejsce do spania i do srania. Nie porzuci tego wszystkiego, zwłaszcza kiedy nie ma się gdzie podziać i nie wie, komu może zaufać. Najlepsza kryjówka to taka, którą myśliwi już przeszukali. – Rozglądam się. Tuzin Sług otacza nas kręgiem. – Wchodzimy.

Idę pierwszy, za mną Talann, prowadząc konia Lamoraka. Jego Wysokość jeszcze raz przelicza swoich ludzi i wchodzi za nami. W środku prowadzi nas przez labirynt zwalonych, na współ zwęglonych dźwigarów, do kantorka, z którego bije wesolutka poświęta małego ogniska.

Ogień płonie na środku podłogi: drzazgi ze ścian palą się nikłym płomieniem, niewidocznym z zewnątrz, ale dającym Tommiemu odrobinę ciepła. Na mój widok chłopak wstaje z klęczek.

– Cześć, Caine! Co ty tu...

Na widok Jego Wysokości pręży się i grzmoci w pierś – saltuje najpierw mnie, potem swojemu królowi.

– Ani śladu Pallas Ril, jeśli to w tej sprawie przyszliście – mówi. – Macie coś do jedzenia?

– Gdzie się ukrywali? – pytam. – W piwnicy? Gdzie są drzwi?

– Tam. – Tommie wyciąga rękę. – Ale...

W drzwiach dostrzega Lamoraka na koniu, który płoszy się i parska na widok ognia; widzi też Talann i pozostałe Sługi. Z niedowierzaniem kręci głową.

– Wy, dranie... Tyłu was przyszło i żaden nie przyniósł nic do żarcia?

Zabieram mu lampę i zapalam ją od drzazgi z ogniska, a potem otwieram drzwi i wchodzę na skrzypiące schody. Jego Wysokość depcze mi po piętach. Nie mogę złapać tchu, ciało wibruje mi od adrenaliny jak szarpnięta cięciwa łuku.

Udało się. Zdążyłem, i to z zapasem. Jeszcze do mnie nie dociera, że naprawdę tu jestem. W głowie mi się kręci, żołądek podchodzi do gardła w podobnym rytmie. W końcu stajemy na podłodze piwnicy.

– Widzisz? – odzywa się Jego Wysokość. – Nikogo tu nie ma.

Podłoga jest kamienna. Stoję w wodzie, która sięga mi do kostek, chlapie na buty i mieni się czarno w świetle lampy. Wszędzie leżą połamane skrzynki i stosy omszałych desek. Woń mokrego drewna, pleśni i zgnilizny zatyka mi nos niczym korek. Pomieszczenie jest duże i wysokie; sterty rozmiękłych od wody skrzynek w niektórych miejscach ocierają się o

zawieszony pięć metrów nad posadzką sufit. Ostrożnie wchodzę głębiej, szurając stopami i wycacując nimi niewidoczne pod wodą przeszkody. Jedyne wyjście z pomieszczenia jest otwór prowadzący do schodów, którymi przyszliśmy.

– Do licha, Caine! – mamrocze Jego Wysokość. Idzie za mną, nie widzę go. – Chodźże tu z tym światłem. Tutaj się roi od szczurów!

Rzeczywiście, wygląda na to, że poza szczurami nie ma w piwnicy żywego ducha. Widzę ich czerwone ślepka, błyskające w półmroku jak miniaturowe lampki; czasem mignie w wodzie wijący się grzbiet.

– Pallas, daj spokój – mówię głośno. – Nie świruj. Musimy porozmawiać.

– Caine, odpuść sobie – odzywa się Jego Wysokość. – Tu nikogo nie ma... Cholera jasna! Ten zawszony szczur wlaź mi na nogę! Przyjdiesz tu wreszcie z tą zasraną lampą?!

Czyżbym aż tak się pomylił?

Nieemożliwe. Pallas tak właśnie by zrobiła.

Na pewno?

– Psiakrew, Pallas, nie masz pojęcia przez co przeszedłem, żeby tu dotrzeć! – Wbrew woli do mojego głosu wkrada się płacziwa nuta. – Odrzuć ten cholerny Płaszcz. Mam wieści z domu.

To szyfr, który zna każdy z nas.

Jakaś fala oblewa mnie, przepływa przeze mnie na wylot, omywa mi mózg – i nagle przypominam sobie, że nie jestem sam.

Słyszę, jak Jego Wysokości zapiera dech w piersi. Dźwięk dobiega do mnie jakby z dna głębokiej, bardzo głębokiej studni.

Przypomina to trochę sen – jeden z tych, w których człowiek ląduje w miejscu publicznym i stwierdza, że jest bez gaci. Wspomnienie wraca wezbraną falą, jakbym aż do tej chwili zaciskał kurczowo powieki, udając, że jestem sam – i zdołał w to uwierzyć, a teraz nagle otwieram oczy i widzę, że cuchnąca piwnica jest pełna ludzi.

Siedzą i stoją dosłowne wszędzie, na skrzynkach i na dźwigarach, mężczyźni i kobiety z dziećmi garnącymi się im do nóg, poubierani w najprzeróżniejsze stroje, od wykwinnych brokatów kupieckich książąt po śmierdzące żebracze łachmany. Wszyscy są brudni; widać, że od dawna nie mieli dość wody, żeby się umyć. Milczą. Wpatrują się we mnie oczami okrągłymi ze strachu.

Jedną rodzinę rozpoznaję: mąż, żona, dwójka dzieci – to Konnosi. Niewiele brakuje, żebym skinął im głową na powitanie, ale w porę się mityguję: znam ich, ale przecież nigdy się nie spotkaliśmy. Z głęboką, niewytłumaczalną ulgą przyjmuję fakt, że im się udało, że ten pocieszny, zarozumiały naukowiec ocalał, że jego żona pozostała mu wierna, że córeczki – mimo że widać po nich ślady niedawnych przejść – są równie urocze jak przedtem.

Ona... też tu jest.

Stoi na stercie skrzynki, wysoko nade mną, z rękami założonymi na piersi. Przenosi

ciężar ciała na jedną nogę, drugą wysuwa lekko w przód. Ta poza podkreśla zarys jej zgrabnej talii; oddałbym wszystko, żeby móc ją teraz przytulić. Peleryna spływa z jej umięśnionych ramion, kiedy ruchem głowy odrzuca kosmyk włosów z tych błyszczących, bezdennych oczu. I wiecie, co wam powiem? Wcale nie wygląda na zachwyconą tym spotkaniem.

– Do diabła, Caine! – mówi wyniośle. – Co jeszcze muszę zrobić, żebyś wreszcie zniknął z mojego życia?

## 20

– Cięcie! – wrzasnął Kollberg, zrywając się od pulpitu. – Cięcie, cięcie, cięcie!

Technicy pstryknęli przełącznikami, jeden z nich od razu zameldował, że transmisja na cały świat została przerwana. Kollberg – roztrzęsiony z tego triumfu – osunął się na fotel.

To było coś pięknego. Poszło lepiej niż mógł sobie wymarzyć. Na boga, sam nie zrobiłby lepszego zwiastuna! Czy Pallas przeżyje? Tego nie wiemy. Czy Caine zdoła ją ocalić? Trudno powiedzieć. Co musi zrobić, żeby odzyskać jej serce? Możemy tylko zgadywać.

Wtulił się głębiej w fotel. Mięśnie miał przyjemnie rozedrgane, jak po solidnym orgazmie.

Oto doskonałość.

## 21

Jego Wysokość bełkocze coś po drugiej stronie sterty skrzynek. Został bliżej schodów, nie widzę go w tej chwili. Zmagam się z ogłuszającym szumem w uszach, powodowanym przez tysiącrotnie wzmocnione echo głosu, który rozbrzmiewa mi pod czaszką słuszną skargą: Jak możesz mnie tak traktować?! Po tym, co dla ciebie zrobiłem!

– Ja nie żartuję, Pallas. – Jestem całkiem spokojny. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Naprawdę mam wieści z domu. Musimy pogadać.

Parska śmiechem, nie kryjąc wrogości wobec mnie.

– Wiem, co cię tu sprowadza, Caine. Możesz powiedzieć tym chciwym łajdakom, że świetnie sobie radzę bez waszej pomocy. Wielkie dzięki. Wracaj do domu.

Oboje dobrze wiemy, których chciwych łajdaków ma na myśli.

– To nie tak jak myślisz...

– Pewnie powinnam się ucieszyć, że jesteś tu, żeby wyprowadzić mnie z błędu? No dalej, Caine, powiedz mi, co powinnam myśleć.

Jakie to kuszące... Jakże łatwo by było uwolnić tę tłącą mi się w piersi iskierkę gniewu, niech zapłonie; zaraz stoczylibyśmy się w krzyki, wyzwiska i wzajemne wypruwanie sobie

flaków, co zatruło ostatnie miesiące naszego małżeństwa. W pewnym sensie to Pallas mnie wyćwiczyła. Na początku problem polegał na tym, że nigdy nie podnosiłem głosu; potem okazało się, że oboje podnosimy go zbyt łatwo.

Hamuję się, powstrzymuję złość obiema rękami. Tu chodzi o jej życie. Moja urażona duma nic nie znaczy.

– Proszę... – mówię. Odstawiam lampę i pokazuję puste dłonie. – Proszę, nie kłóćmy się. Pięć minut, w cztery oczy. Potem sobie pójdę.

Zacięte rysy jej twarzy na chwilę łagodnieją; szykowała się do awantury i moja przedwczesna kapitulacja kompletnie ją zaskoczyła.

Patrzy na mnie z góry, otoczona przez *tokalich*. W tym momencie czuję, że widzi mnie takiego, jakim jestem; w tej krótkiej, bezcennej chwili, kiedy nasze oczy się spotykają, patrzy naprawdę na mnie, zamiast oglądać mój hołubiony w duchu wizerunek: ponurego, cynicznego drania i mordercy, który sprawił jej tyle bólu.

Każde z nas ma w głowie taką wizję, taki psychiczny odpowiednik tego drugiego. Poświęciliśmy tak wiele czasu na spory z wymagowanym Caine'em i fikcyjną Pallas, że zapomnieliśmy, jak wyglądają ci prawdziwi.

A teraz stoimy naprzeciw siebie i czytam w jej oczach jak w książce. Kiedy na mnie patrzy, widzę, że coś jeszcze się tam tli. Ona z pewnością dostrzeże to samo. To nie musi być koniec. Bierze wdech, rozchyła wargi, żeby coś powiedzieć...

– Cześć, Pallas – chrypi ktoś zza skrzynek, od strony schodów. – Pewnie się nie spodziewałaś, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

Lamorak.

Ja go nie widzę, ale ona stoi wyżej, widzi więcej, i jej twarz rozpromienia się światłem, jakiego od lat nie widziałem. Jej usta układają się w słowo, w imię, którego warunkowanie nie pozwala jej wypowiedzieć – tak jak mnie nie pozwala go powtórzyć. To imię zaczyna się na K.

– Lamorak! – woła. – Na boga, Lamorak!

Schodzi na podłogę i rozchlapując radośnie wodę pędzi w jego stronę.

– Talann! Ty żyjesz! To nie do wiary!

O mnie już zapomniała.

Wśród *tokalich* rozchodzi się szczęśliwy pomruk, wielu z nich rusza w stronę schodów, tłocząc się wokół powracających bohaterów. W piwnicy plusk wody miesza się z radosnym bełkotem. Ja się nie odzywam.

Stoję w wodzie po kostki, gapię się na opustoszałe stopy skrzyń i słucham tej paplaniny. Boję się, że nie zniósłbym sceny, w której rzuca mu się na szyję i zaczyna go całować.

Dlatego czekam i czekam, a im dłużej czekam, tym bardziej żałośnie i nedorzecznie się czuję, jak dzieciak, który na szkolnej potańcówce chowa się po kątach. Po dwóch minutach mam dość, tym bardziej że prędzej czy później będę musiał się przyzwyczaić do tego, że



widzę ją w ramionach innego faceta.

Kosztuje mnie to trochę wysiłku, ale postanawiam dołączyć do reszty. Wynurzam się z mroku, wchodzę w krąg światła lampy.

Wielu *tokalich* płacze; wielu dotyka Lamoraka i Talann, jakby chcieli się upewnić, że to ludzie z krwi i kości, a nie duchy, które znikną, gdy na chwilę spuści się je z oczu. Są wśród nich Pallas i Talann. Pallas obejmuje Lamoraka, który siedzi na schodach, wyciągnąwszy w przód złamaną nogę.

Cały czas myślę o tym, że w Teatrze Prawdy, potem w Donżonie, przez cały czas, kiedy uciekaliśmy, ani razu o nią nie zapytał. Ani razu. U Talann to były pierwsze słowa: „Pallas cię przysłała? Nic jej nie jest? Uciekła?”. A Lamorak – nic.

Chciałbym znaleźć jakiś sposób, żeby powiedzieć o tym Pallas, nie wychodząc przy tym na beznadziejnego, małosłownego dupka, którym, oczywiście, jestem.

Patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– To prawda? – pyta gardłowym głosem. – Uwolniłeś ich z Donżonu? Sam?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym cię znaleźć. Właściwie wcale nie kłamię. A cała prawda i tak byłaby chwilowo bezużyteczna.

– Ocalił mi życie – mamrocze Lamorak. – Kilka razy. Miał wiele okazji, żeby mnie zostawić i nikt nie mógłby mieć do niego pretensji, nawet ja.

Może się bezkarnie popławić w blasku cudzej chwały. Nasycić okruchami z pańskiego stołu.

Pallas tak cudownie na mnie patrzy, jakby dopiero w tej chwili sobie przypomniała, że jestem w piwnicy. Rumieni się i delikatnie wyplątuje z objęć Lamoraka. Kiedy widzę, ile wysiłku kosztuje ją ta dbałość o moje uczucia, cierpię tak samo, jak wówczas, gdy się do niego tuliła.

– Przepraszam, Caine... Ja... No wiesz... Myślałam, że...

– Wiem, co myślałaś. W każdej innej sytuacji miałabyś rację.

– To znaczy, że... – Zaniepokożona pochyla się lekko w moją stronę. – Naprawdę masz dla mnie wieści z domu?

– Tak. Zostałaś odłączona.

No dobra, przyznaję, to dziecinada z mojej strony, ale mam dość tego pieprzenia kotka za pomocą młotka. Niech sama wymyśli jakieś kłamstwo, żeby wytłumaczyć tubylcom ideę odłączenia.

Byłaby chyba mniej zaskoczona, gdybym grzmotnął ją kamieniem w głowę. Blednie, czerwieni się, znów blednie.

– Kie... kiedy? – jąka się.

– Jakieś cztery dni temu.

Długo przetrawia moje słowa. Myśli o czymś, co chyba mi się nie spodoba. Patrzy przeze

mnie na wylot, daleko poza mury piwnicy. Przenosi wzrok na Lamoraka, znowu spogląda na mnie i mówi:

– Masz rację, musimy pogadać. We trójkę.

## 22

Prawie wnosimy Lamoraka na górę. Talann odprowadza nas smutnym wzrokiem. Twarz Jego Wysokości znów oblewa się rumieńcem, a oczy zwężają się w szparki; uspokaja go dopiero jakieś ściszone słówko rzucone przez Pallas. Mijamy Sługi, które nabijają się z Tommiego, że dał się tak wyrolować, i zagłębiają się w ruiny magazynu.

Zdrowym barkiem podpieram Lamoraka. Pallas niesie lampę i podtrzymuje go z drugiej strony. Staram się nie myśleć o kwaśnym rozczarowaniu, które przeżera mi żołądek od środka. Nawet nie będę miał szansy porozmawiać z nią sam na sam...

Znajdujemy zaciszny kąt, daleko od dziur, przez które strumieniami wlewa się deszczówka. Pallas stawia lampę na ziemi. Spróchniałe dźwigary zaścielają podłogę niczym bierki, w powietrzu unosi się chemiczny odór wilgotnej spalenizny. Kiedy opuszczamy Lamoraka, żeby usiadł na leżącej belce, niechcący łapie mnie za zraniony mięsień. Krzywię się i stękam z bólu. Pallas spogląda na mnie pytająco. Dzieli nas nie więcej niż stopa, powinna chyba wyczuć, jak bardzo chcę jej dotknąć...

– Jesteś ranny.

– Kusza. – Wzruszam ramionami. Wiem, że nie lubi, kiedy zgrywam macho i lekceważę ból, ale to silniejsze ode mnie. – Bełt przeszedł na wylot. Ominął kość. Nic mi nie jest.

Cisza rani niespodziewanym, przenikającym do szpiku kości wstydem; widzę w jej oczach, jak zastanawia się, ile współczucia powinna mi okazać. Nie chce być nieczuła, ale wolałaby też nie dawać mi zachęty. Nie wie, co powiedzieć. Jest to dla mnie równie przykre jak dla niej. Opuuszczam jej.

– O co chodzi z Jego Wysokością? – pytam. – Od kiedy jest twoim psem strażniczym?

– Ja... – Wzrusza ramionami i spuszcza wzrok. Nie potrafi mi spojrzeć w oczy. – Nie wiedziałam, czy mogę mu zaufać. Stawka była zbyt wysoka...

– Co mu zrobiłaś? Rzuciłaś Urok? – pytam z niedowierzaniem.

– Nie miałam innego wyjścia – odpowiada bardzo, bardzo cicho.

– Miałaś, miałaś. To Jego Wysokość dziś nie ma wyboru. – Gniewna iskierka w mojej piersi zapala się żywiej na wspomnienie niezliczonych umoralniających pogadanek Pallas. – A kiedyś mówiłaś, że to ja nie mam zasad.

– Wiesz co, Caine? Właściwie masz rację. – W jej głosie zapalczywość przytłumia wstyd. – Powinnam była zrobić to po twojemu, i po prostu go zabić.

– Pallas...

– Powiedzieć ci, co nas różni? Powiedzieć ci?! – Doskakuje do mnie. – Urok słabnie. Za dwa dni facet się otrząśnie i zapomni. A ile trzeba się otrząsać ze śmierci? Dowiedziałam się, że ma konszachty z samym Toa-Sytellem. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

Jego Wysokość wskoczył Królewskim Oczom do łóżka? Kierendal miała rację...

– Naprawdę? – pytam spokojnym, ściszonego głosem.

Pallas dobrze mnie zna. Jej złość się ulatnia. Jest zmęczona.

– Nie rób mi tego, Caine. Potrzebuję go.

Z tej odległości widzę popękane naczynka w jej oczach i fioletowe sińce pod oczami. Policzki ma zapadnięte, przez co oczy wydają się większe i bardziej błyszczące niż zwykle. Ledwie widzi, taka jest wykończona. A ja nie mam ochoty dłużej walczyć.

– Kiedy ostatnio spałaś?

Kręci głową, rozdrażniona.

– Łapię czasem po godzinie drzemki, po dwie. Jutro rano wyprowadzę stąd *tokalich*. Potem będę mogła odpoczywać do woli. – Uspokaja się. Tak się przyzwyczailiśmy do tego, że na siebie wrzeszczymy, że teraz gniew znika równie szybko jak się pojawił. – Sam powinienes się przespać. Wyglądasz jak trup.

Spoglądam na Lamoraka. Na jego twarzy maluje się takie samo niedowierzenie jak na mojej. Zaczynamy mówić jednocześnie, bo żaden z nas nie wierzy własnym uszom. Naprawdę powiedziała, że jutro wyprowadzi *tokalich*? Zwariowała?

– Przestańcie. – Zrzuca płaszcz, składa go w kostkę i siada na nim na podłodze. – Powiedziałeś, że odłączyli mnie cztery dni temu, tak?

– Tak... – potwierdzam bez entuzjazmu. Nie chcę rozbudzać fałszywej nadziei.

– W takim razie, nawet uwzględniając spory margines błędu, mam jeszcze co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Wystarczy, żeby wyprowadzić ich z miasta i przejść kawałek w stronę wybrzeża.

– Stąpasz po kruchym lodzie... – Lamorak jest pełen wątpliwości.

– Diabelnie kruchym – potwierdzam. – I tak już za dużo ryzykujesz. Co się stanie, jeśli tym razem coś pójdzie nie tak? Jeśli cię złapią? Jeśli okażesz się tym jednym przypadkiem na milion, który wykracza poza dolną granicę? Zapomniałaś już, co... – Warunkowanie sprawia, że słowa grzęzną mi w gardle. – Co... się... z tobą... stanie? Jak się będziesz czuła, kiedy wszystko zacznie się rozplýwać? Jak długo będziesz przytomna? – Rozkładam ręce. Nie umiem wyrazić dławiącej mnie zgrozy. – Jak długo będziesz krzycheć?

– Na dole jest trzydzieści sześć osób – tłumaczy mi cierpliwym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakim zawsze ucinała nasze spory. Jakby mówiła: „Podjęłam decyzję, więc nie bijmy piany”. – Niewinnych ludzi, którzy zginą, jeśli ich nie uratuję.

– W porządku, ratuj ich. Ale podłączona! Przecież za to ci płacą, do diabła!

– Myślisz, że robię to dla pieniędzy?!

Znów widzę w jej oczach ten gniewny błysk, jakby zamierzała mnie uderzyć, ale

odpuszcza.

– Caine, przecież mnie znasz. – Znużonym gestem rozkłada ręce. – Nawet nie wiem, czy ponowne podłączenie będzie możliwe. To przez ten czar, prawda? Wieczne Zapomnienie?

Kiwam głową.

– Oni tak uważają.

– Mogę go wyłączać pojedynczo, na każdym z osobna: dotykam ich i mówię im, żeby mnie sobie przypomnieli. Tak jak przed chwilą zrobiłam to z Talann. Kogo mam dotknąć, żeby przywrócić podłączenie?

Mnie! – krzyczy prymitywna cząstka mojego mózgu. Mnie dotknij!

Pobożne życzenia.

– Cofnij czar – proponuję. – Po prostu odwołaj to kurestwo i już. Im szybciej, tym lepiej. Nikt nie wie, ile czasu ci zostało.

– Nie mogę. – Kręci głową. – Tylko dzięki Wiecznemu Zapomnieniu mogę w ogóle działać. Ukrywa szarpnięcie mojej magii, pozwala mi wymykać się najlepszym adeptom w tym świecie. Berne mnie zna, wie, że jestem Simonem Błaznem. Jeśli cofnę zaklęcie, obaj z Ma’elKothem zorientują się, kogo szukają. Jak myślisz, jak długo zdołam się ukrywać przed Ma’elKothem, po tym, jak pozna moją tożsamość?

– Jeśli nie odwołasz zaklęcia, nieżyjesz nawet tyle!

– Tu nie chodzi tylko o moje życie – przypomina mi spokojnie.

– A co zrobisz, kiedy znajdą sposób na rozproszenie czaru? Ma’elKoth to geniusz, przeraża mnie. Naprawdę sądzisz, że nie znajdzie skutecznej obrony? I kiedy ty będziesz przekonana, że Wieczne Zapomnienie nadal cię chroni...

– Tym się nie martwię. – Pallas stanowczo kręci głową. – Człowiek, który obmyślił to zaklęcie, opracował też chyba jedyną skuteczną obronę przeciw niemu... Jest teraz na dole, w piwnicy. Wątpię, żeby chciał sprzedać swój sekret Ma’elKothowi.

– Obronę? – pyta Lamorak. Ma dziwną minę, jakby nasza rozmowa nagle go zainteresowała, ale postanowił udawać, że wcale tak nie jest. – Jakiego rodzaju?

– Pamiętasz te srebrne sieci, które pozwalały Konnosowi ukryć rodzinę przed przedmiotami wyszukującymi? Przed tym, jak...

– Ja pamiętam – wtrącam z naciskiem. – I coś ci powiem: to nic nowego. Ma’elKoth zna już tę technologię. Ten skurwiel Arkadeil był cały owinięty srebrną siatką, kiedy torturował Lamoraka. – Odwracam się do Lamoraka. – Powiedz jej.

Błady i zakłopotany podnosi na nią wzrok. Chyba nie lubi wracać pamięcią do Teatru Prawdy.

– Caine ma rację – potwierdza. – Nie mogłem się przez nią przebić.

Pallas ponuro kiwa głową, zapatrzona gdzieś w głąb siebie.

– Nie jestem zaskoczona. Konnos czasem pracował dla rządu.

W gardle mnie pali, jakbym się napił kwasu.

– Nie odpuścisz, co?

– Na razie jeszcze nie skojarzyli faktów, nie wiedzą, że to zadziała. Zanim na to wpadną, minie jeszcze dzień, może dwa. A mnie wystarczą dwadzieścia cztery godziny. Warto zaryzykować.

– Zwariowałaś?!

– *Tokali...*

– *Tokali* obchodzą mnie tyle co sznurze bobki!

– Jak zwykle. Nie spodziewałam się zresztą, że będzie inaczej. Między innymi na tym właśnie polega problem.

Pałący ból w gardle staje się nie do zniesienia.

– Kurwa mać. Kurwa, kurwa, kurwa mać!

Tupię w miejscu, zagryzam wargę, hamuję wybuch. W końcu znów mogę coś powiedzieć:

– Lamorak... Ty z nią porozmawiaj. Cokolwiek ja powiem, na pewno mi się sprzeciwi.

– Wiesz, że to nieprawda, Caine – mówi Pallas. – Nie bądź dzieckiem.

Lamorak marszczy brwi. Wygląda tak, jakby ta śliczna główka zaraz go miała rozboleć od myślenia.

– Caine? – odzywa się cicho, niepewnie. – Ja... Przykro mi, ale Pallas ma rację.

– Słucham?!

– Musi zrobić to, co jej każe serce, nie rozumiesz? – Jego słowa ociekają szlachetnością. Spogląda na Pallas tak szczenięcym wzrokiem, że mam ochotę spoliczkować ich oboje. – Ja jej pomogę. Nie zostawię jej samej.

Pomalutku siadam na podłodze. Boję się, że jeśli będę się poruszał zbyt gwałtownie, głowa mi eksploduje. Żrąca gorycz buzuje mi w żołądku. Nie wierzę. Nie wierzę, że po tym wszystkim, co przeszedłem, i tak muszę ją stracić.

Bo wiem, czuję, że to dla niej ostatnia szansa.

Zniósłbym jej romans z Lamorakiem, dopóki jest cała, zdrowa i szczęśliwa – w porządku, mogę z tym żyć. Nie do zniesienia jest dla mnie świadomość, że miałoby jej zabraknąć, że miałaby zostać zdmuchnięta jak świeca, a ja już nigdy bym jej nie zobaczył, nie przytulił, nie pogłaskał po włosach, nie poczuł delikatnego zapachu jej skóry.

– Psuję ci Przygodę, co? – pyta Pallas. W jej głosie znowu słyszę ten podejrzliwy ton.

Podnoszę głowę i patrzę jej w oczy.

– Nie rozumiem.

– Gówno prawda. Rozumiesz doskonale, i dlatego jest ci żal. – Celuje oskarżycielsko palcem w moją twarz. – Przysłali cię tutaj, żebyś mnie ratował, a ja nie chcę być ratowana, i już wiesz, że nie zarobisz całej obiecanej kasy.

Siedzę nieruchomo, szukam w piersi ognika gniewu, który takie słowa powinny rozpalić, ale zamiast niego znajduję tylko popioły i gorycz porażki.

– Pallas... Możesz mi wierzyć albo nie, jak chcesz. – Wzdycham ciężko. – Nie kazali mi cię ratować. Zgodzili się, żebym spróbował, jeśli będę miał za dużo czasu, ale tak naprawdę, to woleliby, żebyś zginęła... Historia nabrałaby dramatyzmu.

Odsuwa się od Lamoraka. Moje słowa musiały zabrzmieć przekonująco; zna mnie i wie, że mam swoje wady, ale nie kłamię. Przykuca na wyciągnięcie ręki ode mnie. Marszczy brwi.

– Powinieneś mi to chyba wytłumaczyć – mówi.

Wzruszam ramionami i zbywam ją lekceważącym ruchem głowy.

– Zastanawiałaś się kiedyś... Jak to jest, że ze wszystkich sił starasz się obalić rząd, który w ogólnych zarysach do złudzenia przypomina nasze władze?

Pallas robi zdziwioną minę.

– Nikogo nie chcę obalić. Po prostu ratuję ludzi.

– Stawiasz Ma'elKotha w kłopotliwej sytuacji. Przez ciebie wychodzi na dumia. Jego władza nad arystokracją opiera się niemal wyłącznie na ich strachu przed jego wszechmocą, aż tu nagle się okazuje, że cesarz nie jest w stanie cię złapać.

Niepokoi się. Marszczy czoło.

– Nie chcę obalić Ma'elKotha. W gruncie rzeczy wcale się przecież nie myli. – Krzywi się w parodii uśmiechu. – *Aktiri* naprawdę są największym zagrożeniem dla cesarstwa. Tylko nie ci, których ma na myśli.

Kręcę głową – powoli, ledwo dostrzegalnie. Nie mogę się powstrzymać od gorzkiego parsknięcia śmiechem.

– Żebyś ty wiedziała, jak bardzo słuszne są twoje podejrzenia.

– Nie rozumiem.

Znowu marszczy brwi, ale po chwili się rozpogadza. Na jej twarzy maluje się najpierw zrozumienie, potem zdziwienie, na końcu zgroza. Wytrzeszcza oczy.

– Ty?! – szepcze.

Dureń, dureń, dureń. Jestem skończonym idiotą: wciąż zapominam, jaka potrafi być bystra. Przez głowę przewala mi się kaskada zaprzeczeń, ale zanim któreś dotrze do moich ust, Pallas ostrożnie wyciąga rękę i kładzie ciepłą, suchą dłoń na moim nadgarstku. Jej dotyk przeszywa mnie jak wyładowanie elektryczne; wstrzymuje moje usta, oddech, serce.

– Caine... – szepcze Pallas. – Na boga, Caine, powiedz mi, że się myślę. Że nie jest tak jak myślę.

– Tak się umówiliśmy – odpowiadam smętnie. – Jestem im to winien w zamian za szansę odnalezienia cię i uratowania.

Jest kompletnie zdruzgotana i tak oszołomiona, że przez chwilę nie może wykrztusić ani słowa.

– Nowa Wojna o Sukcesję... I to tylko pod warunkiem, że będziesz miał niewiarygodne szczęście i nie zginiesz jakąś potworną, makabryczną śmiercią. Caine... Nie jestem warta...

Zdobywam się na odwagę, przykrywam jej dłoń swoją i ściskam delikatnie.

– Jesteś. Jesteś warta każdej ceny.

Widzę łzy w jej oczach. Żałuję, że nie umiem znaleźć słów, żeby powiedzieć jej, ile dla mnie znaczy. Kręci głową, zaprzecza, nie zgadza się z moją wyceną.

– To ma być ostatni raz – ciągnę. – Triumf albo klęska. Życie albo śmierć. Próbowałem z tym walczyć... próbowałem zapomnieć o tamtym życiu, ale mi nie pozwalają...

– Za długo zwlekałeś. Teraz cię nie puszcza.

Lamorak spogląda to na mnie, to na nią, aż w końcu prawda z mozołem przedziera się do tej waty, którą ma we łbie zamiast mózgu.

– Wziąłeś zlecenie na Ma'elKotha?! – sapie. – A niech mnie kozioł wydyma... Człowieku, nie masz szans!

Oczywiście ma rację. Zgadzam się z nim całkowicie, ale nie mogę mu tego teraz powiedzieć, bo kiedy patrzę na jego poobijaną i posiniaczoną twarz, lodowe zwierciadło w mojej głowie pęka i rozpryskuje się milionem błyszczących, lodowatych odłamków, od których przechodzi mnie dreszcz i dostaję gęziej skórki. Kawałki układają się w inny obraz, nowe lustro odbijające prawdę, jakiej dotąd nie dostrzegałem. Każdy element trafia na swoje miejsce z głuchym pstryknięciem, jak kolejne zapadki w zamku.

„Niech mnie kozioł wydyma...”.

To chyba dość powszechny okrzyk przerażenia lub niedowierzania, ale ja go słyszałem całkiem niedawno.

Z ust Berne'a.

Pstryk. W mojej głowie rozbrzmiewa głos Jego Wysokości: „Ktoś ją wydał”.

Pstryk. Głośniej, aż się niesie echo.

I jeszcze raz: pstryk. Wspomnienie Pallas, które znam: Lamorak przy oknie, słońce podświetla jego idealny profil, a on zapala magijny płomyk. Szarpnięcie Przepływu jest leciutkie, ale doskonale wyczuwalne na zewnątrz: to sygnał. I jego słowa: „Proszę, uwierz mi, nigdy nie chciałem, żeby to wyszło w ten sposób. Przepraszam, Pallas. I teraz zapłacę za to”.

Następne pstryk! dudni głucho jak wrzucony do studni głaz, jak wgryzające się w drewno stalowe ostrze gilotyny. Ma'elKoth grzmi tym swoim basem z najgłębszych otchłani piersi: „Przekonałem się, że dwaj ludzie złączeni wspólnym celem, ale działający oddzielnie, nawet konkurujący ze sobą, osiągną ten cel szybciej i skuteczniej niż jeden”.

Pstryk.

Spoglądam w oczy trupa i mówię:

– To ty.

Sztywnieje. Widzi wypisany na mojej twarzy wyrok śmierci i nie wie, co jest jego przyczyną.

– Caine? Hej, Caine? Pallas, co on...

Pallas próbuje mnie przytrzymać, ale wyrywam się i wstaję. Jej głos dobiega z bardzo, bardzo daleka:

– Caine? Co się dzieje?

Jej słowa giną w ryku huraganu, który rozpętuje się w mojej duszy. Zgiełk wichury wypełnia mi czaszkę i wylewa się na zewnątrz. Cały wszechświat dyszy nienawiścią.

Robię krok w jego stronę i szukam swojego głosu, zagubionego gdzieś za krawędzią świata. Muszę jej powiedzieć. Muszę powiedzieć, że...

– To Lamorak.

Mój głos jest beznamiętny, mechaniczny, zgrzytliwy jak chrobot przesypywanych cegieł. Żaden krzyk, żaden wrzask, żaden wściekły skowyt i tak nie oddałby tego co czuję. Wyrazistość moich słów gaśnie jak płomień świecy zdmuchnięty huraganem w mojej głowie.

– To on. To Lamorak...

Kryształowa, wielobarwna aureola okala nagle twarz Lamoraka, belkę, na której przysiadł, lampę, ściany i wystraszoną Pallas, która wyciąga do mnie ręce. Odwracam się i skaczę w jej stronę; chcę jej dotknąć, chcę zamknąć obwód w ostatniej desperackiej próbie zabrania jej ze sobą, ale moje ręce przenikają przez jej przezroczysty, bezcielesny korpus. Padam na ziemię. Dyszę i wymiotuję złością. Jestem sam na platformie transferowej w Cavei, w Studiu, w San Francisco.

## 23

Kłęczę, szorując paznokciami po czarnym, gładkim i chłodnym plastiku. Za bardzo się trzęsę, żeby wstać, ale udaje mi się unieść głowę, przenieść wzrok ponad rzędami bezpośrednich (w zaopatrzonych w plastikowe maski hełmach indukcyjnych wyglądają jak pozbawieni twarzy) i spojrzeć na lustrzane szyby techkabiny.

Cierpię katusze, ale przynajmniej teraz, na Ziemi, kiedy warunkowanie nie pęta mi języka, mogę wreszcie nazwać swój ból. Z moich ust wydobywa się tylko jedno słowo:

– Koll...

## 24

– ...berg – dokończył Hari.

Przepelniało go to trudne do opisanego poczucie straty, związane z zakończeniem Przygody i powrotem na platformę transferową, kiedy po odcięciu zmyślająca znów zostaje sam i nie jest już źródłem odczuć dla milionów. Było to uczucie przykre, ale dobrze znajome, i zatoneło prawie bez śladu w oceanie bezsilnej furii. Gniew zwijał mu się w brzuchu jak sprężyna i przesywał serce.

Tak blisko... Był tak blisko! Gdyby się od niej nie odsunął, gdyby nie ruszył na



Lamoraka, gdyby zareagował pół sekundy wcześniej, gdyby nie obolałe kolano, które go spowolniło...

Byłaby z nim teraz tutaj.

Bezpieczna.

Zzerała go bolesna świadomość tego faktu – jej życie było w jego rękach, a on je wypuścił. Długo nie mógł myśleć, nic nie widział, czuł tylko smak popiołów na języku i niewiarygodny ból porażki.

Spróbował wstać, chociaż wszystkie obrażenia naraz dały mu się we znaki – staw barkowy naruszony miażdżącym uściskiem Berne'a; opuchnięte i płonące bólem kolano; poszarpana dziura w mięśniu grzbietu, której rozgorączkowane macki sięgały aż do karku; napięta skóra świeżej blizny na udzie; niezliczone siniaki i ślady po upadkach i uderzeniach okutych żelazem pałek. Najgorszy był jednak nóż żalu, który utkwił mu w sercu, pulsował w rytmie wzburzonej krwi, odbierał siły i zapierał dech w piersi.

Dopiero po jakimś czasie pytania zaczęły się przedzierać przez mgłę cierpienia: skąd się tu wziął? Dlaczego ściągnęli go z powrotem, na miłość boską?

Co tu się, kurwa, dzieje?!

Nigdy nie wycofuje się Aktorów w środku Przygody. Po prostu się tego nie robi. Ten kutasina Kollberg musiał mieć zgodę skurwieli z Rady Zarządców, żeby sprowadzić go do domu przed końcem *Śługi cesarstwa*. Tylko po co?

Dlaczego pozwolili mu spróbować, jeżeli nie zamierzali dać mu wygrać?

Spojrzał na lustrzane szyby zawieszanej w górze techkabiny i rozłożył ręce w pytającym geście. Chciał wrzeszczeć, wściekać się, wykrzyzczyć swój sprzeciw, ale z jego piersi dobył się tylko chrapliwy szept:

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

## 25

Technicy siedzieli na stanowiskach jak skamieniali, milczący, z wytrzeszczonymi oczami. Żaden nie był dostatecznie odważny, żeby się odezwać, zadać pytanie, wypowiedzieć na głos to, co wszyscy myślą.

– To była awaria – oznajmił Kollberg. – Rozumiemy się? Awaria. Wiecie, co macie robić. Do roboty.

Techkabina ożyła, gdy inżynierowie jeden po drugim zaczęli się otrząsać z letargu, wyłączać mechanizm transferowy, wybudzać bezpośrednich ze zmysłacza.

Arturo Kollberg przyciskał obolałą dłoń do krągłej, miękkiej piersi – z takim impetem wyrznął pięścią w przycisk odwołania awaryjnego, że nabił sobie siniaka. Czuł się boleśnie niewyspany, coraz trudniej przychodziło mu maskowanie amfetaminą wyczerpania po trzech

dniach w stanie najwyższego napięcia nerwowego. Najgorsze było ostatnie dwadzieścia kilka godzin, po tym jak Caine znów został podłączony.

Mimo amfy drzemał w fotelu, prawie przysnął, rozleniwiony nadspodziewanie udanym przekazem na żywo, ale tekst Caine'a o obaleniu rządu, który do złudzenia przypomina nasze władze, otrzeźwił go w okamgnieniu. Tocząc heroiczną walkę z przyćmiewającą mu umysł mgielką, z narastającym niedowierzaniem słuchał dalszej rozmowy i przeklinał się w duchu za brak czujności i determinacji. Za długo czekał, za dużo puścił. Zanim zgroza wzięła górę nad decyzyjną bezwładnością i wreszcie wcisnęła guzik, było już za późno.

Powinien triumfować, nawet jeśli nie był to największy triumf w jego życiu – nareszcie dał Caine'owi popalić, pokazał skurwielowi, kto tu naprawdę rządzi. Zamiast tego czuł w ustach posmak kurzu i niepokojący skurcz w żołądku.

On wie. Caine wie.

Spojrzał przez weneckie lustro na platformę transferową, gdzie Michaelson właśnie podnosił głowę.

Patrzy na mnie. Nie, to jakiś absurd... Nie wie przecież, że tu jestem.

Jeden z techników gwizdnął przez zęby.

– Wygląda na wnerwionego – mruknął.

Drugi inżynier parsknął śmiechem.

– Zupełnie inaczej się człowiek czuje, kiedy taki gość tak na niego patrzy, co?

Kollberg prychnął przez nos i przełączył swój mikrofon na biuro ochrony.

– Tu Kollberg. Przyślijcie do Cavei ekipę w pełnym rynsztunku.

To był jeden z powodów, dla których nigdy nie dokonywano transferów zwrotnych w środku Przygody – emocje Caine'a za pośrednictwem chemikaliów przenosiły się na pięć tysięcy bezpośrednich. Nawet środki uspokajające, podawane dożylnie z wbudowanych w fotele kroplówek, nie gwarantowały, że obejdzie się bez kłopotów.

A Michaelson nie dostawał żadnych środków uspokajających.

Ledwie Kollberg skończył mówić, gdy Michaelson wstał i powoli, ostrożnie zaczął schodzić po długich schodach czarnego jak heban zigguratu.

Kollberg zacisnął wargi, zetknął dłonie czubkami palców i zaczął nimi wybijać niesłyszalny rytm na cztery: wskazujący-środkowy-serdeczny-mały. I tak w kółko. Będzie musiał coś powiedzieć, jakoś zareagować, zatrzymać Michaelsona na platformie przynajmniej do czasu przybycia ochroniarzy w pancerzach czerwonych jak szaty kardynała, uzbrojonych w pianolep i karabiny strzelające żelkulami.

Przełączył się na głośniki, które poniosły jego wzmocniony głos po całej Cavei:

– Michaelson...? Caine? Zostań na platformie. Mieliśmy awarię transferu, próbujemy ją naprawić. Może uda nam się odesłać cię od razu z powrotem.

To powinno załatwić sprawę. Teraz mógł się skoncentrować na ważniejszych sprawach. Przede wszystkim będzie musiał ugłaskać jakiś szefów Studiów na całym świecie, kiedy

rzucą się na niego z pretensjami, że w taki sposób przerwał Przygodę. Lada chwila zaczną go ścigać – ale i to nie było teraz najgorsze.

Nade wszystko spodziewał się – właściwie należałoby powiedzieć: obawiał – rozmowy z Radą Zarządców. Zaządają wyjaśnień. Na samą myśl o pustym ekranie i cyfrowo zmodulowanym głosie, wnętrzości plątały mu się w supły, które sięgały aż do gardła. Musiał odzyskać zwykłą pewność siebie, tę burzę adrenaliny, jaką czuł przy przekazie na żywo. Wcześniej wspiął się na szczyt – teraz runął z niego w dół. Drżącymi palcami wygrzebał następną kapsułkę. Odwrócił się tyłem do techników i z wysiłkiem połknął ją bez popitki.

– Ehm... Administratorze? – zagadnął niepewnie jeden z techników. – Powinien pan to chyba zobaczyć.

– Nie mam teraz czasu... – zaczął rozdrażniony, ale słowa zamarty mu na wargach, a w ustach nagle zaschło, gdy podążył wzrokiem za wyciągniętą ręką technika.

Na dole, w Cavei, Michaelson biegł środkowym przejściem między fotelami, kierując się do wyjścia. To może być problem.

Ale przecież płacą mu za rozwiązywanie problemów. Wahał się tylko przez ułamek sekundy, zanim ponownie połączył się z szefem ochrony.

– Jeszcze raz Kollberg. Proszę przysłać trzech ludzi do mnie, do biura. Nie do Cavei, nie do techkabiny, tylko bezpośrednio do mojego gabinetu. Jasne?

Zrobiło się późno i jego asystent zdążył już pewnie pójść do domu. I dobrze, odrobina prywatności nie zaszkodzi.

– Tylko nie chcę zwykłych neptków. Proszę mi przysłać speców. Trzech speców do biura i trzech tutaj, do techkabiny: niech aresztują Hariego Michaelsona i zabiorą go do mojego gabinetu. Mogą użyć siły.

Odwrócił się do techników, którzy obserwowali go z narastającym lękiem.

– Kiedy Caine tu przyjdzie, a przyjdzie na pewno, powiedzcie mu, że czekam na niego u siebie. Ni mniej, ni więcej. Zaraz będzie tu trzech ochroniarzy, zabiorą go do mnie. Właściwie najlepiej by było, gdybyście starali się z nim w ogóle nie rozmawiać. Przypuszczam, że zamierza zrobić komuś krzywdę. Nie wychylajcie się.

Począł do wyjścia najszybciej jak tylko pozwalały mu na to przelewające się uda.

## 26

Hari spojrział na zwierciadlaną powierzchnię techkabiny. Kiedy przebrzmiało echo dudniących słów, zdał sobie sprawę, że za tym lustrem może znaleźć jakieś odpowiedzi.

Natychmiast przeszedł do działania: zeskoczył z platformy transferowej i puścił się biegiem. Pięć tysięcy bezpośrednich wypełniających Caveę nawet nie drgnęło. Pograżeni w chemicznym śnie cyklu deprywacyjnego czekali, aż kroplówka przywróci im świadomość.

Odźwierni w smokingach rozpięchli się na jego widok. Wpadł w szerokie dwuskrzydłowe drzwi w głębi. Otworzyły się na oścież i z łoskotem odbiły od wyłożonych marmurem ścian. Zranione kolano przy każdym kroku wyło z bólu, rana w barku paliła żywym ogniem, ale żaden ból nie mógł się mierzyć z tym, który ścisnął go za serce.

Gdy wyłamał drzwi służbowe i stalowe schody zadudniły mu pod podkutymi butami, zawyła syrena alarmowa. Schody pięły się po spirali, wysoko, tak że na okalający Caveę pomost serwisowy dotarł solidnie zdyszany. W dole nadal ryczała syrena. Przez nieoznakowane drzwi wparował do sterylnej, monochromatycznej wnętrza techkabin.

Czterej technicy w białych kitlach wybałuszili oczy. Siedzieli na swoich krzesłach jak przemurowani, krzywiąc się i kuląc ze strachu – ale wcale nie wyglądali na zaskoczonych. Jeden podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Czekaj! – Opuścił ręce, jakby Hari był rozeźlonym psem, którego da się uspokoić stanowczym głosem. – To była awaria, rozumiesz? Zwykła awaria.

– Marny z ciebie kłamca. – Hari ruszył w jego stronę. – Co się stało? Dlaczego mnie ściągnęliście? – Obnażył zęby w groźnym grymasie. Był coraz bliżej. – Jeżeli zaczniesz mówić, zanim zbliżę się do ciebie na wyciągnięcie ręki, nie zrobię ci krzywdy.

– Przewodniczący Kollberg... – kwiknął technik. Odkaslnął i spróbował jeszcze raz: – Przewodniczący Kollberg czeka na pana w swoim gabinecie.

– Zadzwoił tutaj, żeby wam to powiedzieć? – Hari oparł się o pusty fotel przy stanowisku kierownika sceny. Skóra była jeszcze ciepła. – Nie sądzę... Był tu, prawda? Kiedy do mnie mówił, nie siedział wcale w gabinecie... Był tutaj!

Ciepło skózanego obicia pochodziło od miękkiego, wilgotnego ciała Kollberga. Na myśl o tym żołądek podszedł Hariemu do gardła. Z obrzydzeniem cofnął dłoń. W górnej części pulpitu zobaczył grzybkowaty guzik przywołania awaryjnego. W tej chwili był zgaszony, martwy, ale oczami wyobraźni Hari widział, jak pulsuje czerwienią, kiedy wgniata go pulchna, spocona pięść Kollberga. Przez chwilę rozkoszował się krwawą fantazją: mógłby powrywać Kollbergowi palce z tej pięści i jeden po drugim wpychać mu je do gardła...

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tej wizji, ale uparcie wracała.

– Powiedziałaś: w gabinecie?

– Tak... Eee... Caine? Wezwał już... ochroniarzy. Zanim stąd wyszedł. Mają cię do niego zaprowadzić.

– Jasne. – Hari skinął głową. – To do niego podobne.

Zdał sobie sprawę z tego, że podenerwowany technik stara mu się pomóc, uchronić go przed wpadnięciem w kłopoty, a także z tego, że już jest za późno.

– Dzięki – rzucił na pożegnanie i wyszedł.

Czekali na niego na korytarzu.

Trzej ochroniarze Studia w pełnym rynsztunku bojowym: czerwone ceramiczno-węglowe pancerze na sorbothanowym szkielecie, hełmy z lustrzaną antylaserową osłoną twarzy,

kanistry pianolepu u pasa, przewieszane na skos przez pierś westinghouse'y z magazynkiem na sto żelkul.

Poruszali się z precyzją Fizoli, jak roboty. Regularnie powracająca plotka głosiła, że wśród ochroniarzy Studia zdarzają się scyborgizowani skazańcy, którzy bezwzględny posłuszeństwem nadrabiali brak wyższych funkcji myślowych. Nie przyszłoby im do głowy, że mogą nie wykonać rozkazu.

– Pójdiesz z nami – powiedział jeden z nich martwym, wypranym z emocji głosem.

Hariemu odechciało się szukać pretekstu do nieposłuszeństwa, wzruszył ramionami i po prostu szedł dalej. Ochroniarze zaszli go z boków i od tyłu, i zrównali z nim krok.

Zaprowadzili go do złoto inkrustowanych drzwi prywatnej windy Przewodniczącego i wstukali kod na osłoniętej klawiaturze. Winda zwiozła ich daleko w dół, do podziemnego gabinetu Kollberga. Hari czuł, jak od zmian ciśnienia zatykają mu się uszy.

Głęboko pod wieżą Studia panował chłód. Pamiętał, że kiedy był tu poprzednio (całe życie wcześniej), Kollberg prawie się w tym chłodzie nie pocił – ale tylko prawie. Przed oczami stanęła mu szara, ciastowata twarz Kollberga, i ostatni posiłek spożyty w Kolonii natychmiast podszedł mu do gardła.

Drzwi do gabinetu były otwarte.

– Michaelson! – dobiegł ze środka głos Kollberga. – Wejdz. Nie siadaj.

Ochroniarze nie weszli z Harim do gabinetu, ale w środku czekali już trzej kolejni, identyczni, jak samochody z jednej fabryki. Kollberg siedział za biurkiem. Wyglądał – o ile to możliwe – jeszcze bardziej odpychająco niż zwykle. Błada poświata widocznej na powtarzaczcu nocnej panoramy miasta nadawała jego ziemistej cerze zielonkawy odcień i podkreślała cienie pod oczami. Policzki miał obwisłe, a blade, gadzie wargi wykrzywiał w gorzkim grymasie. Ostatnimi czasy nawet Kollberg źle sypia, pomyślał Hari.

– Właśnie rozmawiałem z Radą Zarządców – powiedział Kollberg. – I mam pewien... hm... kłopot.

Hari poczuł przyływ satysfakcji – tym razem się skurczybyk nie wywinie! – która jednak szybko się rozwiła, gdy usłyszał ciąg dalszy:

– Mają pretensję, że nie odwołałem cię wcześniej. Byłem w techkabinie. To ja uruchomiłem transfer awaryjny. Rada Zarządców udzieliła mi takich prerogatyw, a teraz moja kariera zawisła na włosku, ponieważ ich zdaniem okazałem się zbyt pobłażliwy. Pozwoliłem ci posunąć się za daleko.

Hari aż nazbyt wyraźnie czuł, jak włoski jeż mu się na karku – zapewne dlatego, że milczący ochroniarze tam właśnie celowali z karabinów. Tylko dlatego jeszcze nie rzucił się Kollbergowi do gardła.

– Zechcesz mi to wyjaśnić, Administratorze? – powiedział sztywno. Tytuł grzecznościowy z trudem przeszedł mu przez gardło.

Kollberg zetknął czubki palców, unosząc dłonie na wysokość twarzy.

– „Kiedy uniemożliwi się rewolucję pokojową, krwawa rewolucja staje się nieunikniona”  
– wycodził. – Wiesz, kogo cytuję?

Hari zmarszczył brwi.

– Kennedy’ego – powiedział. – Johna Kennedy’ego, jednego z dawnych przywódców...

Kollberg z niespodziewaną gwałtownością uderzył otwartą dłonią w blat biurka.

– Właśnie że nie, ty robotniczy śmieciu! To twoje słowa!

Hari stał jak skamieniały i słuchał Kollberga, relacjonującego mu ostatnie rozmowy z Radą Zarządców. Przewodniczący zapalał się coraz bardziej, co rusz podrywał się z fotela, wymachiwał rękami i pryskał śliną.

– A na koniec, i to był chyba największy debilizm w twojej długiej i pełnej głupot karierze, wychodzisz i mówisz prosto z mostu do stu pięćdziesięciu tysięcy bezpośrednich, że Studio Przygody-bez-Ograniczeń, korporacja rozrywkowa, zleciło zamordowanie głowy państwa!

Złość i żal zagotowały się w Harim; miał wrażenie, że pierś mu zaraz eksploduje. Ściągnęli go z powrotem i skazali Shannę na śmierć ze względów politycznych!

Tak bardzo zależało im na obronie wizerunku Studia.

Sztynne ścięgnię karku przygięły mu głowę jak rozjuszonemu bykowi.

– Bo to prawda – odparł tylko.

– Prawda! – Kollberg prychnął pogardliwie. – Skoro tak kochasz prawdę, to dlaczego nie powiesz swoim ankańskim kumplom, kim naprawdę jesteś? Dlaczego nie powiesz Talann, jak udało ci się ją znaleźć w Donżonie? Nie pitoł mi tu o prawdzie, bo całe swoje życie zbudowałeś na kłamstwie!

– Dobrze. – W głosie Hariego znów zabrzmiał surowy, ceglany zgrzyt. – Nie będę. Powiedz mi tylko jedno. Kiedy wszystko się wydało, wyszła na jaw prawda o moim kontrakcie, był taki moment, że siedziałem i trzymałem ją za rękę. – Dyszał ciężko, z najwyższym trudem hamując żądzę mordy. – Gdybyś mnie wtedy ściągnął z powrotem, pole transferowe automatycznie by się rozszerzyło i ona wróciłaby ze mną. Byłaby tu teraz z nami. Na co czekałeś? Na co czekałeś, skurwysynu?!

– Nie krzycz na mnie – powiedział spokojnie Kollberg. – Nie zapominaj się. Mam powyżej uszu twojej beczelności. Jeszcze raz podniesiesz głos, a każę ochroniarzom cię zastrzelić. Zrozumiałeś?

Hari zmełł w zębach przekleństwo.

– Na co czekałeś?

– Pytałem, czy zrozumiałeś.

– Tak – wycodził Hari.

– Tak... Co?

– Tak, Administratorze, zrozumiałem.

– Ciesz się. A odpowiedź na twoje pytanie jest prosta: wziąłeś kontrakt na Ma’elKotha.

Kiedy to załatwisz, będziesz mógł sobie do woli ratować żonę. Ale nie wcześniej.

– Taka jest cena, tak? Tak wygląda prawdziwa umowa?

– Właśnie. Co więcej, jeżeli chcesz liczyć na przychyłność Studia, radzę ci spotkać się z Ma'elKothem i zabić go w innym miejscu niż w pałacu Colhari. Te dwadzieścia siedem godzin, kiedy nie mieliśmy z tobą kontaktu, było dla nas niezwykle kłopotliwe. Gdyby kulminacja Przygody miała nastąpić... za kulisami, jeśli mogę tak się wyrazić, nie zarobimy ani grosza na sprzedaży i wypożyczeniach sześcianów. Jeżeli w dalszym ciągu będziesz tak prowokował jak do tej pory, nie zawaham się znowu cię odwołać, a jeśli mnie do tego zmusisz, postawię cię przed sądem za działalność wywrotową.

Złość spłynęła z Hariego, jakby gdzieś w sercu otworzyła mu się śluza. Odezwał się w nim Caine.

– Może powinienem cię zabić? Może, jeśli cię zabiję, następny Przewodniczący zaproponuje mi lepszy układ?

– Szkoda mojego czasu na twoje próżne groźby. Nic takiego nie zrobisz.

– Creele też tak myślał.

– Słucham?

– Sprawdź mnie, Administratorze. Zapytaj, skąd wiedziałem, że Królewskie Oczy nie zastrzelały mnie na miejscu jak wściekłego psa, po tym jak zabiłem ambasadora Klasztorów. Śmiało, zapytaj.

Kollberg siedział nieruchomo jak posąg.

– Hm...

– Więc ci powiem: nie wiedziałem – powiedział Hari spokojnie. – Pomyśl o tym.

Oczy Przewodniczącego rozszerzyły się, mlasnął, próbując się odezwać, ugryzł się w język, zaczął ponownie, ale nie mógł się zdecydować co powiedzieć. Zaczynało do niego docierać, że naprawdę może zginąć. Tutaj, w swoim gabinecie. W każdej chwili.

– Pomyśl o tym – powtórzył Hari. – Pomyśl, zanim dojdiesz do wniosku, że możesz poświęcić życie Shanny w zamian za lepszą oglądalność, za większy zysk...

Hari zawiesił głos, gdy dotarł do niego sens jego własnych słów.

Stał nieruchomo na dywanie.

Drugi w raz w ciągu ostatniej półgodziny osypał się wokół niego deszcz kryształowych odłamków, które na jego oczach układały się w nowy obraz. Długozapis. Lamorak na czemodzie, odcięty od nadzoru Studia. Lamorak zdrajca. Kollberg powiedział coś o Shannie, że odgrywanie Szkarłatnego Kwiatu idzie jej za dobrze, za łatwo... A teraz to nagle powoływanie się na starszeństwo rangi, typowe dla wyższych kast pieprzenie, zamiast prostej odpowiedzi na proste pytanie: dlaczego odwołał Hariego akurat w tym momencie? Co przeważało szalę?

Co miał za chwilę zrobić Caine?

Powiedzieć prawdę o Lamoraku.

Prawda o Lamoraku mogła zaszkodzić Studiu – i Kollbergowi – tylko w jednej sytuacji: jeżeli Lamorak wypełniał swoje zobowiązania kontraktowe.

Jeżeli ktoś kazał mu zdradzić Shannę.

– Na boga... – wyszeptał Hari. – O na boga, ja pierdolę...

Okrucieństwo. Ból. Groza. Strata. Cierpienie – nie tylko jego, ale także Shanny i *tokalich*, Talann, bliźniaków, torturowanego Lamoraka... To wszystko miało swój początek tutaj. W tym gabinecie. Przy tym biurku. W zrobaczywiałym mózgu tego skurwiela...

– Miała rację – wyszeptał Hari. – Shanna. Miała rację, kiedy mówiła, że chodzi o kasę. Nie przyciągała dostatecznej liczby widzów, więc zacząłeś sabotować jej Przygodę. Kazałeś ją zdradzić, żebym musiał ją ratować. Dzięki temu mogłeś mieć widowisko na cały świat. To byłeś ty. Nie Lamorak, tylko ty.

Czuł, jak ściska mu się żołądek, jak drżą mu ręce. Caine skręcał się w nim, spięty, żądny krwi.

– Co ty pieprzysz?

– Co mu zaproponowałeś? Znam Karla od dziesięciu lat! Co mu obiecałeś, że się zgodził?!

Kollberg zacisnął wargi koloru wątroby, upodabniając je do pomarszczonego odybutu.

– Nie wiem, o czym mówisz, Michaelson, radzę ci jednak nie powtarzać tych absurdalnych oskarżeń poza tym gabinetem. Rada Zarządców chce z ciebie zrobić cyborga; mają dość twojego mielenia ozorem. Tylko mojemu wstawiennictwu zawdzięczasz jeszcze życie i wolność. Jeżeli zaczniesz wygadywać takie bzdury publicznie, nie będę mógł cię dłużej chronić.

Stało się – Caine wyrwał się z bebeczków Hariego i zawładnął jego mózgiem.

Oparł się na biurku i obnażył zęby.

– Nie zabiję cię, Kollberg. Nie zabiję cię, bo nie dość byś cierpiał...

Chętnie wymieniłby wszystkie znane mu sposoby zadawania bólu, gdyby Kollberg nie dał nagle nura pod biurko, wrzeszcząc:

– Zastrzelcie go zastrzelcie go zastrzelcie go!

Wizg karabinów za plecami zaledwie o ułamek sekundy wyprzedził żelkule, które trysnęły z luf jak woda z węża strażackiego i wtłukły go w szkarłatne zapomnienie.

Rumieniec u Talann zawsze wyglądał tak samo: zaczynał się od różowego cmoknięcia na wydatnych kościach policzkowych i stamtąd rozlewał się jak jutrzienka wokół jej oczu i w dół, na szyję. Niesamowity nieśmiały uśmiech, sposób, w jaki prawie (ale jednak nie do końca) cofnęła ujętą przez Jego Wysokość dłoń, i wyszukanie niewyszukanych odpowiedzi na jego



pytania kazały Królowi Ściemy poważnie zastanowić się nad tym, kto tu właściwie kogo uwodzi.

Chciał tylko zabić czas, miło spędzić wieczór, niewinnie poplirtować, ale im dłużej przebywał z Talann, tym bardziej go interesowała i tym większe budziła podejrzenia, że jest we flircie lepsza od niego. Czarująca kobieta, w dodatku podobno znakomita fechmistrzyni, dorównująca Caine'owi, a według niektórych wręcz od niego lepsza. Im dłużej rozmawiali, tym częściej odpływał w sny na jawie, w których rządził z Talann u boku, Królową Ściemy, Królową Wojowniczką, budzącą przerażenie wśród wrogów i miłość u poddanych...

Była piękna i wspaniała, nie była jednak – co oczywiste – Pallas Ril.

Znów złapał się na tym, że marzy. Tak jest, bez dwóch zdań – przegrywał. To już nie była niewinna zabawa, ale przynajmniej zanosilo się na to, że przegrana może być ciekawsza od zwycięstwa.

Fantazje o rodzinnej sielance przerwała mu Pallas – wróciła sama. Stała u szczytu schodów, podświetlona od tyłu blaskiem ogniska Tommiego.

– Wasza Wysokość... Możesz mi tu podesłać dwóch swoich ludzi? Pomogą Lamorakowi.

– Oczywiście – odparł odruchowo. Zmarszczył brwi. – Gdzie Caine?

Nie mógł nic wyczytać z jej skrytej w cieniu twarzy, ale w jej głosie brzmiała troska i niepewność:

– Zniknął.

– Zniknął?! – powtórzyli Talann i Jego Wysokość, razem, prawie jednakowo przerażonym tonem.

– Poszedł sobie? – Jego Wysokość wstał, wyplątując ręce z uścisku dłoni Talann. – Tak po prostu? Pozwoliliście mu?

Talann stanęła obok niego. Na jej twarzy odmalowała się uraza i niedowierzanie.

– Co się stało? Co mu powiedziałaś?

– Nic. – Wyczerpanie wysysało wszelką barwę z głosu Pallas. – Nic mu nie powiedziałam. Przyszedł, żeby przekazać mi wiadomość; zrobił to, a potem odszedł. Nie mogłam go zatrzymać.

– Myślałam... – zaczęła Talann. – Myślałam, że...

Zawiesiła głos i pokręciła głową. Przysiadła z powrotem na schodach, podparła brodę dłońmi i powiodła tępym spojrzeniem po *tokalich* i Sługach, przycupniętych w gniazdach ze skrzynek.

Jego Wysokość nawet na nią nie spojrzał: zabawa zabawą, ale to była poważna sprawa. Wszedł po schodach, stanowczym gestem złapał Pallas za ramię i odciągnął od klatki schodowej.

Tommie i jeden ze Sług dalej grzali ręce nad ogniskiem.

– Nie słyszeliście, co pani powiedziała? – złajał ich. – Idźcie po Lamoraka. Ale już.

Wstali od ogniska, złorzecząc półgłosem na niesprawiedliwość losu. Pallas wskazała im

kierunek i rozplynęli się w ciemnościach. Gdy tylko zniknęli, Jego Wysokość posłał jej wściekłe spojrzenie.

– Do kurwy nędzy, Pallas! – wysyczał. – Czyś ty zupełnie zwariowała? Jak mogłaś dać mu odejść? Mówiłem ci, co powiedział Toa-Sytell...

Pallas patrzyła w dal jak nawiedzona, oczami obwiedzionymi zmarszczkami głębokiej zadumy, jakby słuchanie Jego Wysokości wymagało od niej ogromnego wysiłku; jakby był tylko irytującym natrętem.

– Toa-Sytell się mylił.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, że Caine nie pogna stąd prosto do Królewskich Oczu?!

– Po prostu wiem.

Jej spokój i pewność siebie ostudziły jego emocje, chociaż nie przekonały go do końca.

– Ale skąd? Ja rozumiem, że to nie w jego stylu, ale po tym jak ty i Lamorak... Zazdrość potrafi zmienić człowieka, Pallas. Lepiej przenieśmy *tokalich* gdzie indziej. Na wszelki wypadek.

Otrząsnęła się, jakby wróciła z bardzo daleka, i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Nie musimy ich nigdzie przenosić. Caine nas nie zdradzi. Nie może.

– To bardzo pięknie, miło, że masz do niego takie zaufanie, ale tu chodzi także o mój tyłek...

Pokręciła głową i parsknęła cichym, gorzkim śmiechem, jakby śmiała się z żartu, który sprawił jej więcej przykrości niż frajdy.

– Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Poza tym Caine wyszedł stąd przed godziną. Gdyby zawiadomił Oczy albo Koty, już by tu byli.

– Kurczę, gdybym wiedział, że tu będziesz, w ogóle bym go nie przyprowadził. Nie powinnaś tak ryzykować.

Położyła mu rękę na ramieniu w pojednawczym geście.

– Wasza Wysokość... Dobrze zrobiłeś, uwierz mi. Uratowałeś mi życie. Jutro o świcie zabiorę stąd *tokalich*. Wszystko będzie dobrze.

Cofnęła dłoń, odsunęła się od niego i pogrążona w myślach zeszła po schodach.

Może i wszystko będzie dobrze, pomyślał, odprowadzając wzrokiem jej sylwetkę. Ale jeśli nie, to radziłbym Caine'owi mieć przekonujące odpowiedzi. Niektórych draństw nie można tolerować, nawet ze strony przyjaciół.

# DZIEŃ PIĄTY

- *Co jest złego w chęci pomagania ludziom?*
- *Złego? Nic. Ale to po prostu nie ma sensu. Rzykujesz życie dla uścisku i łzawego „dziękuję”. To głupota.*
- *To moje życie.*
- *Nie, Shanno. To nasze życie, pamiętasz? Dlatego się pobraliśmy.*
- *No tak, wiedziałam, że jakiś powód musiał być. Zapomniałam tylko jaki.*
- *Shanna, do cholery...*
- *Nie, Hari. Nie. Małżeństwo powinno człowieka wzbogacać, dodawać coś do życia, nie ujmować z niego. A ty chcesz, żeby mnie ubyło, żebym była bardziej...*
- *No dalej, powiedz to. Śmiało.*
- *Dobrze, powiem: bardziej podobna do ciebie.*
- *Pieprzenie. To działa w obie strony.*
- *Być może. Może to od początku był mój błąd. Powinnam była się domyślić.*

## 1

Kiedy świt okrywał ankhańskie niebo bladym różem i szkarłatem, snująca się przy ziemi mgła, wznosząca się co rano znad Wielkiej Chambaygen, zaczęła się pomału rozwiewać i rozsnuwać na pasma niknące w coraz cieplejszym powietrzu.

Robotnicy, koniuszy, kopiści – wszyscy ci, którzy pracowali w Starym Mieście, ale nie mogli sobie pozwolić na mieszkanie w nim – brnęli przez kłębiący się opar w stronę Mostu Głupców. Nogawki spodni mieli ciasno ściągnięte sznurkiem: krótsze pod kolanami, dłuższe na wysokości kostek.

Była to moda podyktowana koniecznością, ponieważ w tej samej mgle przemykali także inni mieszkańcy stolicy – jej nocni obywatele, powracający do swoich dziennych kryjówek, znacznie liczniejsi od ludzi – i nikt, komu zdarzyło się w przeszłości odtańczyć Szczurzy Płas, kiedy spanikowany gryzoń, drapiąc i gryząc, posuwał się nogawką w górę, nie miał ochoty na powtórkę.

Pewien szczególnie duży i wychudzony szczur, z szarymi plamkami na bokach pyska, przycupnął w miejscu, w którym skrzydło zwodzonego mostu miało się oprzeć o ziemię. Obserwował poranną ceremonię ślepiami pałającymi czymś więcej niż zwykła szczurza inteligencja.

Ponad przetaczającą się powoli oleistą wodą, czarną i połyskliwą w słabym świetle przedświt, obserwował kapitana mostu, który przechadzał się samotnie po blankach bramy miejskiej. Delikatna, zwiewna szata, jakby utkana z wody, okrywała jego mundur.

Wkładał ją dwa razy dziennie: o świcie i o zachodzie słońca, kiedy to odprawiał obrządek ku czci legendarnego rzeczno boga Chambarai. Rankiem wylewał do rzeki oliwę ze złotego pucharu, prosząc bóstwo o pozwolenie na opuszczenie mostu; wieczorem ofiarą z wina dziękował za przepuszczenie całodziennego ruchu.

Most opadł. Szczur odskoczył, ale gdy tylko przeszło znieruchomiało, przemknął po nim w stronę Starego Miasta. Dwa cienkie rzemienie, przypominające trochę sznurówki butów, przytrzymały umieszczone na jego grzbiecie zawiniątko w naoliwionym papierze i utrudniały mu ruchy. Niewiele brakowało, żeby zginął pod żołnierskim buciorem, udało mu się jednak umknąć i zniknąć w zaułku za pobliską stajnią. Tam przystanął, jakby się wahał, co robić dalej. Wrażenie nadnaturalnej inteligencji w ślepiach potęgował jeszcze sposób, w jaki przysiadł na zadzie i potarł przednimi łapami pyszczek – prawie jak niektórzy ludzie, kiedy muszą podjąć jakąś decyzję. Ale szczur wcale nie był ani niezdecydowany, ani zamyślony; jego skromny szczurzy intelekt powarkiwał cicho z głębi pnia mózgu i marzył tylko o tym, żeby przegryźć krępujące ciało rzemienie.

Zaduma i wahanie były wyłączną zasługą Lamoraka.

## 2

Tuż przed świtem pocałowała go na pożegnanie. Zamierzała przeprowadzić *tokalich* na rzeczno barkę po czworo lub pięcioro; większą grupę trudno byłoby okryć bezpiecznie Płaszczem i sprawnie przemieszczać się z nią po ulicach. Pokiwała głową i pogłaskała go po policzku, kiedy tłumaczył jej, jak bardzo chciałby przy niej być, chronić *tokalich* i ją samą, gdyby tylko nie ta przeklęta noga...

Kiedy odwróciła się do niego plecami i weszła na schody, na jej twarz znowu zakradło się to samo zatroskanie i zaduma, które pojawiały się na niej regularnie, odkąd poprzedniej nocy rozstali się z Caine'em.

To go bolało, ta jej mina. Zobaczyła ich z Caine'em razem, ramię w ramię, otaksowała wzrokiem – i porównanie wypadło na niekorzyść Lamoraka. Znowu. Nie rozumiał tego, nie mieściło mu się to w głowie. Dlaczego kobieta... dlaczego w ogóle ktokolwiek miałby przedkładać Caine'a, nachmurzonego ponuraka i mordercę, nad niego, faceta z błyskiem w

oku i odrobiną heroicznego szaleństwa w naturze? Ale takie były fakty. Sytuacja powtarzała się jak powracający koszmar senny.

Nie pojmował tego, ale najwyraźniej wszyscy sprzysięgli się, żeby mu pokazać, jak mało jest wart.

Głupia suka.

Przewidywał kłopoty już poprzedniego wieczoru, kiedy przetrzymała go w tej przeklętej, wilgotnej norze na górze i przez dobrą godzinę próbowała ustalić, dlaczego Caine został niespodziewanie ściągnięty z powrotem. Szczególnie interesowało ją, co Caine zamierzał powiedzieć, zanim zniknął; ciągle do tego wracała. Co chciał powiedzieć? Co chciał zrobić? Co, co, co, dlaczego, dlaczego, dlaczego... I tak w kółko. Miał ochotę ją spoliczkować.

Są takie baby, które się nie zamkną, dopóki nie włoży się im pyty w gębę.

Doskonale wiedział, co Caine chciał powiedzieć; a jeszcze lepiej zdawał sobie sprawę, co Caine zamierzał zrobić. Wiedział także, że bez broni i ze złamaną nogą mógłby co najwyżej przewrócić się na drugi bok i czekać na śmierć. Nie spodziewał się, żeby Caine ulitował się nad nim tylko dlatego, że nie mógł się bronić.

Drażniło go też, że mimo starannie obmyślonego i trzymanego w tajemnicy planu, Caine – bez żadnych poszlak – błyskawicznie przejrzał ich na wylot. Nie było mowy, żeby cokolwiek mógł im udowodnić; w żadnym z dwóch światów nie istniał sąd, który potraktowałby jego przeczucia poważnie. Zresztą, pieprzyć sądy: to, co robili, nie było przecież – ściśle rzecz biorąc – sprzeczne z prawem!

Co oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia – Caine nie zawracałby sobie głowy sądami i procedurami. Załatwiłby sprawę gradem morderczych ciosów.

Lamorak dużo o tym myślał, siedząc wysoko nad zalaną podłogą w gnieździe z pustych skrzynek uwitym przez wdzięcznych *tokalich*. Przez całą noc pracował nad zranioną nogą, czerpiąc moc z Przepływu i wyobrażając sobie dokładnie, jak kolejne warstwy wapnia pokrywają pęknięcia i spajają potrzaskane końce kości. Miał nadzieję, że zanim Caine znów pojawi się w jego życiu, udo zdoła utrzymać jego ciężar i będzie mógł stanąć do walki.

Chociaż wcale nie zamierzał walczyć.

Podczas jednego z częstych okresów odpoczynku uświadomił sobie, że, tak jak posługując się pogardzaną niegdyś magią, próbuje uleczyć złamaną nogę, tak samo z jej pomocą usiłuje naprawić swoje złamane życie. Nigdy do końca nie rozumiał, jak to się stało, że w wieku lat trzydziestu czterech nie jest jeszcze wielką gwiazdą. Jako dzieciak, uczeń Konserwatorium, a potem także świeżo upieczony Aktor na czemodzie był święcie przekonany, że pewnego dnia jego nazwisko trafi na jakże króciutką listę legendarnych nazwisk, obok Raymonda Story'ego, Lin Zhiana, Kiela Burchardta, Jonathana Mkembe...

Nazwisko Hariego Michaelsona już się znalazło na tej liście, tak gadali ludzie, ale Lamorak nigdy tego nie rozumiał. Nie był w stanie pojąć, dlaczego kariera Caine'a rozkwita, a jego własna ledwie dyszy. Miał trzydzieści cztery lata, był więc w wieku, w którym

większość Aktorów zaczyna pomału myśleć o emeryturze, a jeszcze nie przebił się nawet do pierwszej setki! A Caine? Ile miał lat? Trzydzieści dziewięć? Czterdzieści? I nie wybierał się na żadną emeryturę, nie w sytuacji, kiedy każda z jego Przygód automatycznie trafiała do pierwszej dziesiątki najlepszych, jakby od początku tam było jej miejsce. Kariera Caine'a stała się samowystarczalna: karmiła się jego sukcesami i właściwie nie miało znaczenia, czy jego nowe Przygody są dobre, czy kiepskie. Ludzie płacili i płacili, żeby jeszcze raz się nim stać, bo nikt nie wiedział, jak długo jeszcze Caine wytrzyma to tempo i która Przygoda będzie jego ostatnią.

Lamorak często się zastanawiał, czy kogoś to w ogóle obchodzi.

Ktoś inny na jego miejscu mógłby się ugiąć pod nieznośnym brzemieniem porażki i własnej niedoskonałości, ale on dostrzegł w końcu prawdziwą przyczynę swoich wiecznych rozczarowań. Był nią marketing – a właściwie jego brak.

Caine dostawał najlepsze Przygody, ponieważ tego właśnie oczekiwało szefostwo Studia. Byli gotowi wysilić się bardziej, wyłożyć większe pieniądze i zrobić mu lepszą promocję, żeby tylko utrzymał się na topie. Lamorak potrzebował przełomu, hitu, jednej jedynej okazji, żeby zaprezentować Studiu i całemu światu swój prawdziwie gwiazdorski talent.

I tego właśnie zaczął szukać: swojej szansy. Swojego przeboju.

Mimo że jako Komediant oficjalnie należał do Pracowników, był to tylko tymczasowy przydział. Kiedy przejdzie na emeryturę, kiedy wreszcie przestanie być Lamorakiem i raz na zawsze znów stanie się po prostu Karlem Shanksem, wróci do swojej prawdziwej kasty, w której się urodził: do Biznesmenów. Mógłby rzucić aktorstwo choćby jutro i objąć stanowisko w rodzinnej firmie SynTech, gigancie chemiczno-elektronicznym. Zarabiałby pięć razy lepiej od najlepszego Aktora, nawet od Caine'a.

Tylko że wtedy musiałby porzucić show-biznes.

A to by oznaczało, że jego ojciec, lizus bez kręgosłupa, nie mylił się; że rację mieli jego bracia i matka, kiedy mówili, że nigdy nie zostanie dobrym Aktorem. Musiałby paść na kolana przed dziadkiem, starym prykiem, który tkwił na szczycie hierarchii SynTechu, jak smok na górze złota, i błagać go, żeby dał mu szansę się wykazać, stać się prawdziwym Shanksem.

Gardził swoją rodziną, co nie przeszkadzało mu wykorzystywać koneksji do wywierania nacisków na Radę Planową. Miał ich w garści, byli przecież tylko bandą asekuranckich Administratorów, ale nawet kiedy zaczął grać częściej i w coraz poważniejszych Przygodach, nie doczekał się takiego budżetu na promocję – i, co za tym idzie, takiej publiczności – jak Caine.

Co za ironia losu, że to właśnie Arturo Kollberg, człowiek w największym stopniu odpowiedzialny za sukces Caine'a, przyszedł do niego z gotowym planem i propozycją.

– To przecież nic wielkiego – powiedział. – Zrób to dla mnie. Zamieszaj Ril Pallas w życiu na tyle, żeby Caine się tym zainteresował, a ja wezmę cię pod swoje skrzydła, tak samo

jak wcześniej wziąłem jego. Wypromowałem go, ale z czasem się zbiesił i sprawia coraz więcej kłopotów. Możesz być taki jak on, jeżeli zaczniesz traktować mnie i Studio z szacunkiem. Będziesz wiedział, jak mi odpłacić: lojalnością, odwagą, honorem...

Gdyby Caine zrozumiał, że Lamorak tak naprawdę pomaga Pallas w karierze, i to za cenę ogromnego osobistego ryzyka – wystarczyło spojrzeć na strzaskaną nogę, przypomnieć sobie, jak omal nie zginął na torturach, a wszystko po to, żeby wiarygodnie odegrać swoją rolę i zmienić przeciętny scenariusz, Przygodę jakich wiele, w coś ekscytującego i zapadającego w pamięć... Wtedy by mu dziękował. Oboje by mu dziękowali. Ale nie: zamiast okazać wdzięczność, Pallas wołała uciec z tymi swoimi cholernymi *tokalimi* i fantazjować o mężu, a Caine chciał go zabić i pożreć jego wątrobę na surowo. Co za kurewska niesprawiedliwość...

Ale Lamorak wiedział, jak się odegrać, wiedział, co zrobić, żeby zapłacili za wystrychnięcie go na dudka: magja. Magja wszystko zmienia. Pożąłują, że go zlekceważyli. Potrafił znacznie więcej niż podejrzewali i zamierzał użyć tych utajonych umiejętności, żeby raz na zawsze zagwarantować sobie, że każdy – zwłaszcza on sam – dostanie to, na co zasłużył.

A kiedy to wszystko się skończy i wróci na Ziemię, jego kariera naprawdę nabierze rozpędu.

Nie mógł przesadnie koncentrować się na tych wizjach; fantazje o należnym mu powszechnym szacunku były tak natrętne, tak realistyczne, że utrudniały mu koncentrację na bieżących sprawach. Wolał więc trzymać je na dystans, bezpiecznie ukryte w głębi umysłu, celowo niewyraźne, nieskrystalizowane. Czaiły się za każdą jego myślą, każdym czynem, mamrotały ciche słowa, od których rosło serce. Nigdy nie analizował dokładnie tych cichych, widmowych głosów; nie wsłuchiwał się w nie na tyle, żeby naprawdę je zrozumieć.

Szeptaly mu, że czas Caine'a minął i że on, Lamorak, ma pełne prawo zająć jego miejsce; że Pallas zwyczajnie go wykorzystuje, a jej udawana miłość zniknie bez śladu, gdy tylko wróci i na spokojnie obejrzą Przygodę Caine'a; że Caine kłamał – Pallas wcale nie została odłączona. To niedorzeczne. Caine był zwyczajnie zazdrosny, bo jego gwiazda przygasła, a jej świeciła coraz jaśniej. Chciał zniszczyć jej Przygodę – tę samą, nad którą Lamorak tak się mozolił, żeby przydać jej blasku.

I ostatni, najgłośniejszy szept – zarazem najmniej racjonalny i dobiegający z najgłębszej otchłani: sprzymierzyli się przeciw niemu. Caine i Pallas wspólnie uknuli ten niewiarygodny spisek, żeby zmusić go do odsłonięcia się, żeby upokorzyć na oczach całego świata i ostatecznie unicestwić jego nadzieję na szczęście.

A kiedy wszystkie te utajone szeptę się łączyły, narastało w nim przekonanie o własnej nieomyślności, absolutna pewność, że dobrze przemyślał całą sprawę i wszystko, co robi, jest nie tylko konieczne, ale także słuszne.

Już poprzedniego wieczoru zajął się, jak to w duchu nazwał, *Problemem Caine'a*, po tym jak wrócili z Pallas we dwoje z trzyosobowej narady. Lamoraka ulokowano w wygodnym

drewnianym gniazdku, Pallas poszła gdzieś podumać w samotności, a Król Ściemy wdrapał się do niego na górę i zaczął niby od niechcienia wypytywać go o Caine'a.

Lamorak uświadomił sobie (i ta konstatacja go zachwyciła), że Król – choć bez entuzjazmu – zaczyna podejrzewać Caine'a o konszachty z ludźmi cesarza!

Kiedy to do niego dotarło, z łatwością rozniecił te podejrzania, udając zarazem, że próbuje je uśmierzyć. Zniknięcie Caine'a – jak to ujął Lamorak: „Niczego nam nie wyjaśnił. Odszedł bez słowa” – dodatkowo ułatwiało mu zadanie. Zrozumiał, że zdradzenie Pallas i *tokalich* nie tylko ujdzie mu na sucho, ale jeszcze będzie mógł zwalić winę na Caine'a.

Jego Wysokość i tak już prawie w to uwierzył, chociaż trochę mimowolnie. Rzucony przez Pallas Urok sprawił, że stał się jej fanatycznym, wręcz paranoicznym obrońcą. Każdy ślad cesarskiej interwencji był gotów traktować jako potwierdzenie zdrady Caine'a.

A nowy dzień dostarczy mu dowodów ponad wszelką wątpliwość.

Dlatego, kiedy Pallas Ril pół godziny przed świtem wyprowadziła *tokalich* z magazynu, Lamorak się nie wahał. Przeciwnie, towarzyszyło mu narastające przekonanie o słuszności tego, co robi, i podziw dla własnych umiejętności i wyobraźni.

Nie miał łatwego zadania: musiał doprowadzić do interwencji Szarych Kotów w porcie, w taki sposób, żeby drugi raz nie paść ofiarą tego szaleńca – Berne'a. Pomysł, który przyszedł mu do głowy, nie tylko spełniał ten warunek, ale stanowił także odwołanie do tradycji, miał w sobie swoistą metaforyczną prawość, która dodawała mu pewności siebie i gwarantowała powodzenie przedsięwzięcia.

Szczurów w magazynie nie brakowało. Papier, oliwę i nóż, którym mógłby pociąć skórę na rzemienie, dostarczyli mu Słudzy Ściemy, kiedy wyjaśnił im, że potrzebne mu są do magijnych zabiegów niezbędnych dla uleczenia zranionej nogi. Przesądne ćwoki nie miały pojęcia o prawdziwej magji, więc jego prośba nie wzbudziła podejrzeń.

Znalazł sobie zaciszny kąt do pracy, a Talann z przyjemnością stanęła na straży przy drzwiach, żeby nikt mu nie przeszkadzał. W kilka minut ściągnął z Przepływu dość energii, żeby zniewolić odpowiedniego szczura i posłać go do Starego Miasta. Musiał wprowadzić tkwić w magazynie i utrzymywać wewnętrzne widzenie, żeby szczur nie wymknął mu się spod kontroli, ale niewiele przy tym ryzykował. Gdyby Pallas wróciła i zainteresowała się zawirowaniami Przepływu, Talann i Słudzy wyjaśniliby jej, że Lamorak nadal składa swoją złamaną nogę.

Plan był doskonały i dziecinnie prosty. Niezdecydowanie, jakie odbiło się w ślepiach szczura po przebiegnięciu mostu, nie wynikało z wyrzutów sumienia zdrajcy. Lamorak zastanawiał się po prostu, którądy najszybciej i najbezpieczniej dostanie się do siedziby Szarych Kotów.



Szczur przemykał długimi susami Drogą Bogów. Trzymał się traktu z boku, unikając przekleństw, kopyt, butów i ciskanych za nim czasem cegieł. Niebezpieczeństwa grożące mu na tym szerokim, odsłoniętym trakcie były i tak niczym w porównaniu ze stadami bezdomnych psów i zdziczałych kotów włączających się po staromiejskich zaułkach. W ostatniej chwili uskoczył przed okutą żelazem obręczą koła powozu, minął pałac Colhari i wypadł na Drogę Arystokratów. Przebiegł południowym skrajem Starego Miasta i przez Most Królów przedostał się na Południowy Brzeg.

Najlepszym przybliżeniem kwatery głównej Szarych Kotów był obwiedziony murem kompleks mieszkalny, który Ma'eIKoth podarował hrabiemu Berne'owi z okazji uszlachcenia. Szczur z łatwością prześliznął się między żelaznymi prętami bramy i skierował w stronę domu. Drzwi i okna były otwarte na oścież, w środku wszędzie wylegiwali się skacowani ludzie, najczęściej z twarzami wtulonymi w zgięcie łokcia.

Jeden z mężczyzn przypadkiem uniósł głowę, przetarł oczy i dostrzegł szczura. Krzyknął, zaskoczony, i natychmiast oprzytomniał. Następne czujne Koty ocknęły się z przerażającą szybkością.

Szczur nigdzie nie widział Berne'a. Może będzie w sypialni na piętrze? Skoczył w stronę schodów, ale Koty – mimo że poprzedniego wieczoru najwyraźniej urządziły sobie pijacką hulankę – wytrzeźwiały w mgnieniu oka i teraz ściagały go okrzyki udające wrzaski myśliwych, których ogary zwęszyły lisa.

Rzucony sztylet wbił się w podłogę dosłownie kilka cali przed jego nosem i zawibrował głośno, zmuszając go do gwałtownego skrętu. Nagle spadł na niego prawdziwy deszcz stali: ostrza cięły podłogę i ściany, odłupując spore kawałki ręcznie rzeźbionych poręczy. A towarzyszył temu szyderczy śmiech zadowolonych z siebie Kotów.

Miotał się to w jedną stronę, to w drugą, próbując dostać się do schodów, a kiedy grad sztyletów na chwilę ustał (może rzucili już wszystkie?), pomknął pędem do pierwszego stopnia.

Coś ciężkiego wyrznęło go w kręgosłup, jakby ktoś wyrysował mu na grzbiecie lodowatą krechę. Tylne łapy drgnęły konwulsyjnie, załomotały o podłogę, a szczur zapiszczał, wykręcił ciało i wgryzł się w rękojeść noża, który przebił mu zad i przyszpilił go do podłogi.

Ze szczurzego pyska zniknęły wszelkie pozory inteligencji, pozostała tylko instynktowna desperacja: dopaść i zagryźć to, co go zabiło. Za wszelką cenę usiłował zostawić po sobie ślad, zanim jego życie dobiegnie końca.

Jeden z Kotów schylił się nad martwym szczurem i mrużąc przekrwione oczy, przyjrzał się paczusce owiniętej natłuszczonym papierem. Przeciął przytrzymujące ją rzemienie.

Obejrzał zawiniątko pod światło.

– Co wy na to?

Koty otoczyły go kręgiem, a on rozwinął papier i przeczytał:

*Dzisiaj Simon Błazen przeprowadzi Aktirich na barkę zacumowaną w porcie przy Parku Przemysłowym i udającą się do Terany. Nałożony na głowę kaptur z utkanej ze srebra siatki pozwala przelamać chroniące ich zaklęcie.*

Kot wytrzeszczył oczy. Serce zabiło mu żywiej.

– Gdzie hrabia?! Czy ktoś wie, gdzie hrabia Berne spędził noc?

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko dalsze pytania: „Co to za wiadomość? Dla kogo przeznaczona? Kto ją przysłał?”.

Zamachał papierem nad ich głowami.

– Ktoś znowu podał nam Simona Błazna na tacy. Tym razem nie możemy zawieść! Jedźcie do Wieży Pierwszej, niech przyszykują sieci przeciwstatkowe. I znajdźcie hrabiego!

## 5

Zdyszany paż oderwał Toa-Sytella od śniadania, każąc mu natychmiast udać się na spotkanie z cesarzem.

Toa-Sytell nie musiał pytać, gdzie znajdzie cesarza: o tej porze Ma'elKoth z całą pewnością przebywał w Małej Sali Balowej, oddając się pracy nad Wielkim Dziełem. Zawsze powtarzał, że najlepszym czasem dla artystów jest poranek, ponieważ moc sztuki wzrasta w miarę jak słońce pnie się po niebie. Po południu sztuka staje się dekadenska i wtórna, czerpiąc z twórcy siłę, której nie znajduje w blednym słońcu.

Na miejscu zastał już Berne'a, ubranego jak do walki: w dopasowanej tunice i spodniach z serży koloru truskawek, z przewieszonym przez ramię ukradzionym mieczem. Zwykle o tak wczesnej porze miał kaca i kwaśną minę, ale tym razem wyglądał świeżo i wprost rwał się do działania. Błysk w jego oczach zdradzał podniecenie, które u niego mogła wywołać tylko perspektywa krwawej jatki.

Obok Berne'a, przy skraju kotła, stał cesarz: bosi i półnagi, jak zawsze kiedy tu pracował, zaczerwieniony od żaru węgla, na których bulgotała glina. Jej zaschnięte smugi kruszyły się na czerwonym kilcie cesarza. Kiedy wyciągnął rękę do Toa-Sytella, mięśnie przemieściły się pod skórą jak toczące się gązdy.

– Podejź, mój książę. Co ty na to?

Wcisnął Toa-Sytellowi w dłoń zwitek papieru, ale książę nie mógł oderwać wzroku od karłowatej postaci, unoszącej się w kotle nad wrzącą gliną i podrygującej łagodnie w

przesyconym wilgocią powietrza.

Figura znowu przedstawiała Caine'a. Poprzedniego dnia Ma'elKoth spędził cały czas poświęcony Wielkiemu Dziełu na próbach wpasowania Caine'a w olbrzymią rzeźbę-układankę; próbował różnych sylwetek i wyrazów twarzy, ale jego starania zakończyły się niepowodzeniem i frustracją. Dziś najwyraźniej zastosował nową strategię, a podobizna Caine'a była znacznie większa – musiała mierzyć dobre siedem stóp, bo wzrostem dorównywała cesarzowi.

Toa-Sytell zmarszczył brwi. Widok wydał mu się dziwnie bluźnierczy, chociaż nie umiałby racjonalnie wytłumaczyć tego odczucia. Z natury pragmatyczny, dawno już pogodził się z tym, że nie potrafi docenić sztuki, niepokoił go jednak fakt, że Caine w tak krótkim czasie do tego stopnia zawładnął umysłem cesarza.

Spojrzał na trzymany w ręce świstek i odczytał wiadomość o planowanym przez Simona Błazna przeniesieniu *Aktirich* i skuteczności kaptura ze srebrnej siatki.

– Kto to napisał?

– Lamorak – odparł oschle Berne. – Poznaję jego pismo.

– Ha...

Toa-Sytell obrócił karteluszek w palcach: druga strona była pusta. Wzruszył ramionami.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego.

Toa-Sytell pozwolił sobie na kostyczny uśmiech, cienki jak ostrze brzytwy.

– Od dłuższego czasu wiem, że przed pojmaniem Lamorak był twoim informatorem w otoczeniu Simona Błazna. Mam jednak wrażenie, że doszło między wami do jakiegoś... hm... nieporozumienia. Złamałeś mu nogę, kazałeś go zadrzeć na śmierć... Współpraca się wam nie układa.

Berne rozłożył ręce.

– Nie jest już dla mnie użyteczny.

– Najwyraźniej. – Toa-Sytell uniósł liścik w znaczącym geście. – Chociaż gdybym to ja wykorzystał swojego informatora w taki sposób, jak ty swojego, nigdy bym mu już nie zaufał...

– Nie ufamy mu. – Grzmiący głos Ma'elKotha uciął dyskusję. Cesarz oparł masywne dłonie na ramionach dwójki podwładnych. – Nie wiemy, jakich korzyści spodziewa się Lamorak, ale musimy zakładać, że opracował strategię. Berne i jego Szare Koty będą udawały, że dały się nabrać: mają obserwować i przeszukać barki.

– O co chodzi z tym srebrnym kapturem? Wydaje mi się, że słyszałem już o czymś takim...

– Taaak... Mistrz Arkadeil zatrudniał od czasu do czasu pewnego rzemieślnika, niejakiego Konnosy; zlecał mu konstrukcję wyposażenia Teatru Prawdy. Ostatnim zamówionym przez niego rekwizytem była szata utkana w całości z delikatnej srebrnej siatki. Miała go ponoć zabezpieczyć przed magją zmierzającego do Donżonu taumaturga. Droga zabawka, za którą

Arkadeil zapłacił, jak sądzę, donosem na Konnosą. Oskarżył go o bycie *Aktirem*. – Cesarz westchnął. – Mnie osobiście ta zabawka wydała się niezbyt użyteczna. Ktokolwiek ją włoży, zostaje całkowicie odcięty od Przepływu, czyli pozbawia się wszelkiej mocy. Może jednak zbyt pochopnie ją oceniłem? Moja siła zafałszowała mój osąd... Zleciłem już utkanie kilku takich sieci, żeby przeprowadzić pewne eksperymenty, a na razie kazałem sprowadzić z Donzonu szatę Arkadeila. Wykroi się z niej trzy, może nawet cztery kaptury, nie licząc tego, który już stanowi jej część. Gdy tylko będą gotowe, sprawdzimy, na ile prawdziwe są wiadomości od Lamoraka.

– A co on na to? – Toa-Sytell ruchem głowy wskazał powiększoną podobiznę Caine’a. – Co sądzi o liście Lamoraka?

Ma’elKoth odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Spoczywająca na ramieniu Toa-Sytella cesarska dłoń zacisnęła się w żelaznym uścisku i dźwignęła go w powietrze. Wściekłość wykrzywiła piękną twarz cesarza, zmieniając ją w demoniczną maskę. Oczy zapłonęły mu szkarłatem wschodzącego słońca.

– Nie wiem! – ryknął cesarz ogłuszająco.

Toa-Sytell poczuł się tak, jakby ktoś wbijał mu w uszy noże. Żar spojrzenia Ma’elKotha owionął mu twarz. Powietrze uleciało mu z płuc, siła odpłynęła z mięśni. Zwiśł bezwładnie jak zając w paszczy wilka.

Paziowie w sali podskoczyli na dźwięk głosu cesarza i z trwogą spojrzeli po sobie; ktokolwiek w pałacu w tej chwili spał, z pewnością obudził się w panice, jakby przyśnił mu się koszmar. Toa-Sytell odniósł wrażenie, że w całym mieście – ba, w całym cesarstwie! – każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko, którzy przeszli Rytuał Odrodzenia, na chwilę przerwali codzienne zajęcia, ogarnięci niezrozumiałym niepokojem. Każde Dziecko Ma’elKotha zamarło w przecuciu niespodziewanej tragedii.

Chwilę później Toa-Sytell opadł na ziemię, a miazdzące mu ramię palce zmieniły się w ciepłą, ojcowską dłoń, gotową go podtrzymać, dopóki nie stanie mocno na nogach.

– Wybacz, książę – powiedział Ma’elKoth cicho, spokojnie, chociaż w jego głosie nadal pobrzmiwało echo tamtego tytanicznego gniewu. Jego pierś rozszerzyła się w oddechu tak bardzo, że wydało się, że zaraz pęknie, ale po chwili opadła w bardzo długim westchnieniu. – Niecierpliwie się. Praca nad Dziełem nie posuwa się tak szybko, jak bym chciał.

Książę milczał, jeszcze nie doszedł do siebie po wybuchu palącej cesarskiej złości. Niczym dziecko, które pierwszy raz posmakowało ojcowskiej pięści, miał kłopot z określeniem swoich emocji: był zraniony, przerażony i zawstydzony jednocześnie; nie wiedział, co powiedzieć, a co przemilczeć.

Drobniutkie kropelki potu wystąpiły mu na całym ciele. Miały niewiele wspólnego z upałem upodabniającym Małą Sałę Balową do sauny. Nawet Berne był poruszony.

– Zobaczcie – powiedział Ma’elKoth i odwrócił się do nich obu plecami, tak że nie widzieli jego twarzy. – Kiedy Berne przyszedł do mnie dziś rano, próbowałem Przemówić do

Caine'a i dowiedzieć się, co ma do powiedzenia o tym liście. Jeżeli nadal towarzyszy Lamorakowi, mógłby albo potwierdzić jego autentyczność, albo zaświadczyć o jego fałszywości. W najgorszym wypadku miałbym przynajmniej znacznie klarowniejszy obraz sytuacji. Patrzcie, jakie były skutki.

Olbrzymia figura wzniosła się wyżej, ponad krawędź kotła, przesunęła w stronę trójki mężczyzn i opadła na podłogę. Ma'elKoth wyciągnął prawą rękę w geście podobnym do błogosławieństwa i rozpostartymi palcami osłonił twarz rzeźby przed porannym słońcem. Powietrze wokół Ma'elKotha drżało z napięcia i nadmiaru mocy, jakby cały pałac wstrzymał oddech.

– Caine...

Imię rozbrzmiało echem w głowie Toa-Sytella jak szept w jaskini, ale posąg pozostał pozbawioną życia bryłą gliny. Wcześniej sylwetka, mimika, nawet duch obiektu Przemawiania jakby ożywiały pośredniczącą w kontakcie kukłę; Ma'elKoth mówił do niej, ona zaś odpowiadała, jakby była człowiekiem, z którym chciał się porozumieć. Teraz zaś...

Toa-Sytell zmrużył oczy i podszedł bliżej. Zadarł głowę i spojrzał w glinianą twarz.

Czegoś w niej brakowało, czegoś trudnego do określenia. Martwota wynikająca z niewytłumaczalnego niepowodzenia Przemawiania była oczywista, ale w glinianej figurze nie było nawet cienia wigoru, prawdy, ruchu... Kukły tworzone przez Ma'elKotha w ramach Wielkiego Dzieła zawsze sprawiały wrażenie, jakby życie tliło się w nich tuż pod powierzchnią gliny, jakby wystarczyło na moment spuścić je z oka, żeby zaczęły się poruszać, śmiać, mówić i kochać. A ten Caine był martwy jak porzucona lalka. Jego rysy – co było do przewidzenia – zostały odwzorowane perfekcyjnie, lecz jakaś nieuchwytna toporność ich połączenia sprawiała, że Toa-Sytell miał przed sobą po prostu bryłę gliny w kształcie Caine'a.

– Jak widzicie, to nie jest zwykła niechęć do reagowania na moje słowa – zadudnił Ma'elKoth z głębi piersi. – Caine w jakiś sposób znalazł się poza zasięgiem mojego głosu.

– Jak to możliwe?

– Ze wszystkich stron otaczają mnie tajemnice. Jak to się dzieje, że nie mogę przeniknąć magijnej osłony skrywającej każdy ruch Simona Błazna? Dlaczego Lamorak tak się rwie do zdrady, że wybacza wyrok śmierci? Gdzie jest Caine?

– Może nie żyje? – podsunął z nadzieją w głosie Berne.

Ma'elKoth prychnął pogardliwie.

– Co ty, ślepy jesteś?!

Kukła wychyliła się zza pleców cesarza i zakołysała wojowniczo przed nosem Berne'a.

– To nie jest gęba trupa! To jest twarz człowieka, który nigdy nie istniał! Caine zniknął, jakby był tylko wytworem naszej wyobraźni, naszym wspólnym snem na jawie. Chcę wiedzieć, jak do tego doszło. Chcę wiedzieć dlaczego. Użyję do tego swojej magji, ale Caine w przeszłości już nie raz wymykał się z jej sideł.

Kukła szarpnęła się nagle, przeskoczyła nad skrajem kotła i z chłupotem spadła do

wrzącego błota, niczym ciśnięta przez nieostrożnego olbrzyma. Ma'elKoth stał między dwoma arystokratami i wyłamywał sobie palce jak zapaśnik przed walką.

– Berne, weź Koty i idźcie do portu. Możliwe, że ten list to tylko zmyłka. Przynęta. Może, kiedy Simon Błazen uzna, że złapaliśmy haczyk, gdzie indziej zadziała otwarcie. Ale jeżeli list jest prawdziwy, złapiemy go dziś nad rzeką. Toa-Sytellu, postaw na nogi wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy współpracują lub współpracowali z Królewskimi Oczami. Chcę wiedzieć o wszystkim, co się będzie dzisiaj działo w mieście. A ty osobiście, mój książę... – Ma'elKoth nachylił się nad Toa-Sytellem, aż ten poczuł na sobie jego gorące, krwawe tchnienie. – Ty poświęcisz całą energię na ustalenie, gdzie można się ukryć w taki sposób, żeby nie słyszeć mojego głosu; co to za miejsce, dokąd nie sięga moja wola. Jest to zadanie co najmniej tak ważne jak pojmanie Simona Błazna, bo od niego zależy, czy odzyskam spokój.

Ma'elKoth odwrócił się i wskoczył do kotła. Stał boso na płynnej powierzchni wrzącej gliny. Rozłożył ręce i z brei wyłoniła się nowa sylwetka. Przybrała postać mężczyzny i cały czas rosła: dziesięć stóp, dwanaście... Cesarska wola formowała złamany nos, frędzlastą brodę, a cesarz spojrzawszy ostatni raz na Toa-Sytella. Jego oczy płonęły szmaragdowym ogniem, jego głos grzmiał i zgrzytał jak kamienna lawina.

– Znajdź Caine'a.

## 6

– I wiesz co? Nie mam zielonego pojęcia, czy od początku tak to zaplanował. Nie wiem nawet, czy to ma jakieś znaczenie!

W pozycji stojącej ból był zbyt dokuczliwy, więc Hari Michaelson usiadł przy kwadratowym okienku na nieprzyjemnie twardym stołku dla pacjentów. Prawą rękę miał przybandażowaną do piersi, żeby częściowo unieruchomić zraniony mięsień czworoboczny. Widoczne ślady zabiegu musiały ograniczać się do oczyszczenia rany i topornego szycia – użycie wysoko rozwiniętej techniki medycznej spowodowałoby nieciągłość wizji po transferze z powrotem do Ankhany. Dostał kilka zastrzyków z uniwersalnym antybiotykiem, który miał być stopniowo uwalniany do krwiobiegu, wziął też tygodniowy zapas kapsułek przeciwbólowych: miały wielkość główki od szpilki i powoli rozpuszczały się w tkance mięśniowej. Lewa ręka i noga rwały go wściekle – od ciosów, ale i od wpuszczonych w łokieć i kolano sterydów. Mimo wstrzyknięcia środków przeciwpalnych w każdy z niezliczonych fioletowoczarnych siniaków po żelkulach, które pozbawiły go przytomności, trzeba mu było okleić pierś plastrem, żeby ograniczyć opuchliznę.

Po powrocie do Ankhany wytłumaczy, że krwiaki są wynikiem upadku w głąb Szybu. To była dobra historyjka: media już w nią uwierzyły, podobnie jak opatrujący go medtechnicy.

Patrzył na ściekające po szybie krople deszczu, jakby mógł z nich wyczytać swoją przyszłość.

Ilekcroć tu jestem, zawsze pada, pomyślał.

– Ale dla niego sprawy chyba nie mogły się ułożyć lepiej – ciągnął. – Wpuścił dziennikarzy nawet do mojego pokoju w szpitalu. Ledwie otworzyłem oczy, już się na mnie rzucili. Kiedy jechałem tu taksówką, nie znalazłem ani jednego kanału, na którym nie mówiliby akurat o mnie; jeśli nie mogli mnie zacytować, dawali wywiad z medtechnikiem; kazali emerytowanym Aktorom komentować moją Ostateczną Konfrontację z Berne'em; cieć z marketingu nawijał o rekordowych zamówieniach na sześciany pośrednie; jakiś inny dupek twierdził, że wie coś o „awarii systemu transferowego”.

Przytknął lewą pięść do szyby i oparł się na niej mocno, obserwując fałdy skóry wokół palców i pokryte bliznami i odciskami knykcie.

– Jakiemuś koleśowi z Chicago udało się zrobić wywiad z rodzicami Shanny. A oni... Oni... No, wiesz... – Musiał odkasznąć, żeby pozbyć się chrypy. – Alan i Mara nie dostali miejsc. Nie mogą się powołać na przywileje rodzinne, bo to moja Przygoda, nie jej. Są Handlowcami, rozumiesz. Nie stać ich na miejscówkę bezpośrednią. Kurczę, przecież dałbym im kasę, ale nie wpadłem na to, a oni nie poproszą, są na to za dumni. No i ten kutafon z Chicago prosi o datki, odwołuje się do współczucia masowej widowni, żeby Leightonowie mogli obejrzeć Przygodę do końca. Podobno zbiórka świetnie mu idzie. Aż się człowiek zastanawia, kto zgarbie nadwyżkę.

Kiedy w należącym do Studia szpitalu udało mu się wreszcie wyrwać sępom z mediów, nawet nie pomyślał o tym, żeby zajrzeć do Opactwa – doskonale wiedział, że zastałby tam dziki tłum reporterów. Marc Vilo nie odbierał – wyszedł ze Studia wieczorem, zanim jeszcze Hari odzyskał przytomność w szpitalu. Znając jego szczęście, pewnie właśnie pukał jakąś Uprzywilejowaną. Zresztą Vilo tylko ochroniłby go przed prasą, bo nawet mając jego poparcie, Hari nie mógłby zrzucić brzemienia z serca i powiedzieć tego, co tak rozpaczliwie mu ciążyło.

Wiele z tych słów i myśli było niebezpiecznych. Chciał się wygadać, rozmawiać o rzeczach, które – gdyby dotarły do Policji Społecznej – mogłyby się dla niego skończyć cyborgizacją. Nie pomógłby mu nawet Vilo. Zresztą Hari nigdy nie postawiłby swojego Patrona w takiej sytuacji.

Dlatego wybrał jedyne miejsce, do którego zawsze mógł się udać, zwrócił się do jedyne go człowieka, któremu mógł się bezpiecznie wyzalić. Poszedł do Obozu Społecznego Buchanan, do Ośrodka Uciszenia, gdzie nikt nie mógł go nagrać ani podsłuchać, i opowiedział o wszystkim swojemu stukniętemu ojcu.

– Jakim cudem udało mu się to tak zgrabnie poukładać? No bo, jeżeli wszystko zaplanował, to kiedy? Wtedy gdy wysłał Lamoraka, żeby ją zdradził? Czy wcześniej, kiedy zatwierdzał jej Przygodę? Jak daleko wstecz sięga ta intryga? Do Toa-Phelathona? Na czym

mu bardziej zależy: na oglądalności czy na wyeliminowaniu Ma'elKotha?

Duncan Michaelson leżał nieruchomo w łóżku, słuchając Hariego i przerywając mu tylko od czasu do czasu napadami chrapliwego kaszlu. Żyłki wiły mu się na czole, a Hari jak zwykle nie był w stanie stwierdzić, ile ojciec zrozumiał z jego słów. Dopóki się nie odezwał:

– A jakie to ma... znaczenie?

Spojrzał na blade, widmowe odbicie Duncana w mokrej od deszczu szybie.

– Chyba żadnego. Tak czy inaczej jestem trupem.

– Nie...

Duncan zakaszał ostro, konwulsyjnie; flegma wypełniła mu usta. Hari stanął przy nim, poluzował pasy unieruchamiające mu nadgarstki i podsunął chusteczkę, żeby miał w co splunąć. Delikatnie otarł ojcu usta.

– Nie jesteś trupem... – wymamrotał z trudem Duncan. – Wygrałeś...

Zwariowałaś?!

Hari z trudem powstrzymał odruchową odpowiedź i zdławił wzbierający w gardle gorzki śmiech.

– Wygrałem? Tato, ja ledwie chodzę, a Shanna za dwa dni umrze. Zakochała się w łajdaku, który ją zabije, a ja zostanę zmiażdżony przez Studio i to pieprzone cesarstwo ankhańskie. Nawet gdybym zdążył do niej wrócić... gdybym tak długo pożył... ona wcale nie chce, żeby ją ocalił!

– A co... co z... – Duncan ledwie mówił – ...z Kollbergiem?

Hari spuścił głowę.

– Jest dla mnie za sprytny, tato. Od początku wyprzedzał mnie o dwa kroki. – Splótł palce i wygiął nadgarstki. Odgłos wyłamywanych palców przypominał terkot karabinu maszynowego. – Kiedy ocknąłem się w szpitalu, przez pół godziny nie mogłem uwierzyć, że naprawdę byłem o krok od zabicia go. A potem przez godzinę rozpamiętywałem to, że mi się nie udało.

– Głupi z ciebie... dzieciak. Mówiłem ci kiedyś... na czym... polega twój problem?

– Pewnie, stale mi to powtarzasz: mam naturę niewolnika.

Spierzchnięte wargi Duncana rozciągnęły się w wąskim, bladym uśmiechu.

– Już nie...

– To znaczy?

– Ten... Kollberg... wcale nie jest cwańszy od ciebie. Mało kto jest, Hari... On po prostu... Bierze to, na co ma ochotę, kapujesz? Kantuje przy każdej okazji i małymi kroczkami przybliża się do celu, który sobie postawił... nawet jeśli nie wie, jak to ostatecznie wyjdzie... Ale kiedy człowiek się stara, i robi to dostatecznie długo... sprawy w końcu same się układają i... i wtedy taki Kollberg wychodzi na geniusza, chociaż wcale niczego nie zaplanował...

– Nadal nie rozumiem...

– Wysłuchaj mnie! – Drżące palce Duncana ze zdumiewającą siłą zacisnęły się na



przegubie Hariego. – Ty jesteś taki sam. Zawsze byłeś. Tak jak Caine. Cał po calu podążasz do światła, a kiedy sprawy zaczynają się układać po twojej myśli, zgarniasz całą pulę. Wystarczy jeden szybki ruch... Mam rację?

Hari zmarszczył brwi.

– Chyba tak...

– I w ten sposób go pokonasz.

Hari zmrużył oczy. Myślał intensywnie.

– Widzisz? – ciągnął tymczasem Duncan. – Nie jesteś niewolnikiem. Właśnie myślisz... jak go pobić. Prawdziwego niewolnika nie stać na takie myśli. Niewolnicy się nie odgryzają, nie przyjdzie im to do głowy. On nie jest twoim właścicielem, nie posiadał... twojego umysłu. Możesz z nim walczyć. Już wygrałeś!

– Przesadzasz...

– Wcale nie! Myśl. Niewiele mogłem cię nauczyć, ale przynajmniej próbowałem nauczyć cię myśleć. Pobijesz Ma'elKotha, to przyjdą nowi na jego miejsce. Tak jak przyjdą nowi Kollbergowie. Ale ty pokonałeś już swojego największego wroga: głos w twojej głowie... Ten, który ci wmawia, że walka się skończyła; szept, który powtarza, że nic nie możesz zrobić. Kiedy raz uciszysz ten głos, nikt nie odbierze ci tego zwycięstwa. Nawet jeśli zginiesz, to w walce.

Albo skończę tutaj, w sąsiednim pokoju.

Duncan posuwał się małymi kroczkami do celu, pokonał ten głos – a potem został zmiażdżony jak karaluch pod butem.

Hari westchnął i pokręcił głową.

– Nie, tato, nie pobiłem go. Próbuję, ale na razie moje pięści chybiamą celu.

Powieki Duncana opadły i rozległ się zgrzytliwy śmiech.

– Do czasu... Poznaj swojego wroga: to połowa zwycięstwa... Zrób to, Hari. Zrób pierwszy krok, a potem po prostu się nie zatrzymuj.

– Łatwo ci mówić – mruknął Hari. Spuścił wzrok. – Dla ciebie wszystko skończone. Dawno przegrałeś.

– Nic nie jest skończone – odparł Duncan. Mózg może mu szwankował, ale słuch nadal miał niezły. – I wcale jeszcze nie przegrałem. Wciąż jestem w grze.

Hari spojrzał na jego starą twarz i wątpy uśmiech, emanujący taką pewnością siebie, że wydawał się nie na miejscu; wydawał się tak niedorzeczny u zdruzgotanego starca, że nie sposób było z nim dyskutować.

– Cały czas robię te małe kroczki, młody – dodał Duncan, ścierając flegmę z ust. – Właśnie zrobiłem kolejny.

Tego dnia Hari długo siedział u ojca. Nigdzie indziej nie był potrzebny. Kollberg zaplanował mu powrót do Ankhany na następny dzień rano i Hariemu pozostał jeszcze tylko jeden obowiązek wobec Studia: wywiad z LeShaun Kinnison do *Smoczych opowieści*.

Mieli sobie z ojcem dużo do powiedzenia. Hari wspominał, jak znajomi opowiadali czasem, że w końcu udało im się dostrzec w ich rodzicach zwykłych ludzi, ale ten proces poznawania rozpoczynał się zwykle kiedy byli po dwudziestce i trwał długo. Tymczasem obłąd Duncana, kariera aktorska... Wiele było wydarzeń, które pozbawiły Hariego tej szansy. Stracił ją bezpowrotnie, lecz tego dnia miał wrażenie, że zrobił pierwszy krok na tej drodze; że mógł sobie choćby w przybliżeniu wyobrazić, jak trzydzieści pięć lat wcześniej postrzegali Duncana jego studenci.

Zdawał sobie sprawę, że ten początek to wszystko, na co może liczyć. Zbyt długo zwlekał. Duncan za bardzo pogrążył się w szaleństwie.

Próbowali dyskutować o kłopotach Hariego; rozważali różne możliwości, które pozwoliłyby jemu i Shannie uciec spod zawieszonoego nad ich głowami młota. Hari zaciągnął masę długów wdzięczności i naobiecował całe kilogramy kokainy, żeby tylko nie kazano mu wyjść, a pielęgniarki nie naprzykrzali się Duncanowi z zastrzykami.

Duncan na przemian to tracił, to odzyskiwał zdrowe zmysły – rytm tego cyklu wyznaczały podawane mu leki. Podczas wizyty Hariego głównie fantazjował o innych czasach, o latach przed degradacją do niższej kasty (i tuż po niej), kiedy matka Hariego jeszcze żyła i tworzyli rodzinę. Wtedy najczęściej zadreślał syna zadaniami z geometrii albo kazał mu iść do sypialni i sprawdzić, jak się czuje matka. Hari odkrył, że z przerażającą łatwością dostosowuje się do tych fantazji i pławi się w ojcowskich snach na jawie, żeby spełnić jego oczekiwania.

W jednej z rzadkich chwil przytomności Duncan sam o tym wspominał:

– Umiesz się wczuć w rolę, Hari... Jesteś w tym bezbłędny. Wiem, że wpołem ci tę umiejętność pięściami, zanim wyrosłeś na tyle, żeby mi oddać. Pamiętam, jak czasem... To dzięki niej jesteś dziś sławny i bogaty, ale teraz przez nią zginiesz. Bo widzisz, ty jesteś tak dobry w odgrywaniu ról, których się od ciebie oczekuje, że ludzie łatwo zapominają, że wcale nie musisz tego robić. Sam o tym zapomniałeś. Wmówiłeś wszystkim, włącznie z sobą samym, że ty i Caine to jedno. Ale przecież nie musisz załatwiać wszystkich spraw za pomocą pięści, Hari. Caine by tak zrobił, owszem. I to Caine przyszedł do gabinetu Przewodniczącego. Przewodniczący cię skrzywdził, a ty postanowiłeś zatłuc go gołymi rękami. To była reakcja Caine'a, który nie miał wyboru, bo nie zna innej metody rozwiązywania problemów.

Hari wzruszył ramionami i westchnął ciężko.

– A są inne?

– Mnóstwo! Do licha, za bystry jesteś, żeby się w ten sposób oszukiwać! Nabrałeś się na swoje własne łgarstwo. Świat myśli, że Caine to cały ty, a ty dałeś sobie wmówić, że

faktycznie tak jest. Ale to nie jest prawda. Nigdy nie była. Nie powinieneś przypadkiem hardo patrzeć światu w oczy?

Hari poruszył się niespokojnie na stołku.

– No, niby taka jest idea...

– Udajesz, że jesteś kimś mniejszym niż w rzeczywistości. Udajesz, że świat jest gorszy niż faktycznie jest. Oszukujesz się tak samo jak pierwszy lepszy naiwny optymista. Wiesz dlaczego? Żeby mieć wymówkę, kiedy przegrasz. A tym razem nie możesz sobie pozwolić na przegraną. Stawka jest zbyt wysoka.

– No, ale co mam w takim razie zrobić?! Pytam poważnie: co mam zrobić? Gdzie się obrócę, wszyscy mnie dymają.

– Na początek przestań jęczeć. Potem przestań się oszukiwać. Niech Przewodniczący, cesarz i wszyscy inni myślą, że Caine i ty to jedno i to samo, ale sam w ten sposób o sobie nie myśl. Będziesz miał nad nimi przewagę. Ludzie oglądają cię od prawie dwudziestu lat, ale nikt nie wie, jaki z ciebie cwaniak. Małymi krokami, Hari. Do światła. Uwierz, że jeśli się nie poddasz, znajdziesz się w końcu w punkcie zwrotnym, gdzie jeden odważny ruch zapewni ci zwycięstwo. Ty znasz swoich wrogów, oni ciebie nie. Kollbergowi się wydaje, że dopóki nie dorwiesz go w swoje ręce, nic mu nie grozi.

– Tato, ty... hm... – Hari pokręcił głową. – Kiedy tak mówisz, to się wydaje takie proste...

– Może takie właśnie jest – wychrypiął Duncan. – Mogę mieć świra, ale to jeszcze nie oznacza, że nie mam racji. – Obrócił głowę na poduszce i wyjrzał przez okno. – Każdemu... – ciągnął w zadumie. – Każdemu można wybaczyć odrobinę dumy z własnego syna.

Hari z trudem przełknął ślinę i zamrugał gwałtownie. Piekły go kąciki oczu.

– No dobrze – powiedział. – Najpierw powinienem się chyba wywiedzieć, kto stanie po mojej stronie. Kto jest na tyle mocny, że Studio nie zdoła go po prostu zdeptać.

Długo jeszcze rozmawiali i kiedy Hari wyszedł, było już późne popołudnie. Po drodze do domu zadzwonił z taksówki na prywatny numer Marca Vilo. Tym razem korpulentny Biznesmen odebrał.

– Hari! Co słyszać?

– Chcę cię prosić o wielką, wielką przysługę, Marc.

– Cokolwiek zechcesz, młody. Jestem twoim dłużnikiem. Dziś rano przepisała na mnie Green Fields...

– Jest jeszcze u ciebie?

Vilo pokręcił głową.

– Wróciła na Kauai. A co?

– Właśnie o nią mi chodzi. Załatw mi audiencję u Shermai Dole.

– Drobiazg. – Vilo uśmiechnął się od ucha do ucha. – Starsza pani spotka się z tobą z prawdziwą przyjemnością.

Hari wziął głęboki wdech.

Małymi krokami. Do światła.

– Dziś po południu... – zasugerował. – Da się zrobić?

## 8

Truskawkowa serża Berne'a odcinała się od szarych skórzanych ubrań Kotów. Zebrali się w strażnicy przy Moście Rycerzy, po stronie Starego Miasta: blisko dwustu mężczyzn podobnego wzrostu i postury. Cały stołeczny garnizon.

Hulaszcze nastroje ulotniły się bez śladu, żarty się skończyły. Twarze Kotów przybrały wyraz morderczej determinacji. Wszyscy wiedzieli, że ruszają do akcji przeciwko Simonowi Błaznowi; wszyscy boleśnie odczuli stratę sześciu ludzi, zabitych w nieudanej operacji przed niespełna tygodniem; wszyscy stracili wtedy towarzyszy i przyjaciół.

I każdy z nich obiecał sobie w duchu, że to właśnie on ich pomści.

Za plecami Berne'a stanęło czterech ludzi, których nazwał Kocimi Oczami: najdzielniejsi i najtwardsi, w płaskich czapkach obwieszonych woalkami ze srebrnej siatki. Metoda działania mająca umożliwić wykorzystanie porady Lamoraka była prosta: jedno Kocie Oko miało towarzyszyć każdemu stadu i na bieżąco opisywać przywódcy stada wszystkie napotkane osoby. Jeżeli cynk był prawdziwy i siatka naprawdę chroni przed magijnymi sposobami wpływania na umysł, któreś z Oczu zacznie w końcu widzieć ludzi niewidocznych dla reszty. Otoczenie i schwywanie ofiar odbędzie się wtedy według standardowej procedury.

– Cesarz chce dostać taumaturga żywcem – powiedział Berne. – Inni mogą zginąć.

Starannie przemyślał ten rozkaz: chciał móc później powiedzieć Ma'elKothowi – szczerze – że wcale nie zlecił masakry. A że chłopców trochę poniosło... To zrozumiałe, biorąc pod uwagę upokorzenia z całego tygodnia. Wszystkiemu winna frustracja. No i złość – wszyscy potracili kumpli i chyba musieli się na kimś wyładować...

Po cichu liczył na to, że Caine jakimś cudem też znajdzie się w pobliżu. Modlił się w duchu, żeby tak się stało. Osobiście uważał, że Ma'elKoth nie mógł nawiązać z nim kontaktu, ponieważ Caine współpracował z Simonem Błaznem, może nawet sam nim był, i zdołał się okryć tą samą magijną mgłą, która pokrzyżowała plany cesarzowi. Berne zamierzał zachować jedno Kocie Oko dla siebie. Marzyło mu się spotkanie z Caine'em właśnie teraz, kiedy moc Ma'elKotha przepelniała mu pierś, doprowadzając go na skraj wstrząsającego orgazmu...

Może Pallas Ril też tam będzie? Uciekła mu w Kolonii, upokorzyła jego i jego ludzi – ale może dzisiaj uda mu się ją złapać? Może uda się złapać ich oboje?

Uśmiechnął się na myśl o tej słodkiej wizji, wydając Kotom dalsze rozkazy:

– Pilnujcie Kocich Oczu. Simon Błazen rzuci się na nie w pierwszej kolejności. Jeżeli któreś Oko padnie... – Powiódł ognistym spojrzeniem po zawziętych, ponurych twarzach. – Jeżeli któreś padnie, ten, kto będzie stał najbliżej, zakłada woalkę i staje się nowym Okiem

dla całego stada. Tym razem Simon Błazna się nam nie wymknie. Jeżeli chce żyć, musi pokonać nas wszystkich w uczciwej walce.

Zerknął w kąt, gdzie na ścianie widniał nakreślony czerwoną kredą znak Simona Błazna: rogata, uśmiechnięta gęba. Sam go tam potajemnie narysował, dosłownie kilka minut przed odprawą dla Kotów, planując tę właśnie chwilę.

– Spójrzcie – powiedział grobowym głosem, sięgając ponad ramieniem po rękojęść Kosalla. – Śmieje się nam w twarz.

Powoli wyciągnął miecz z pochwy. Wizg ostrza rezonował w powietrzu i wprawiał zęby w wibracje. Czubkiem klingi Berne postukał w upstrzony rysunkiem kamień, jakby próbował go obmierzyć.

– Oto nasza odpowiedź – powiedział.

Poprowadzony szybkim ruchem nadgarstka Kosall zatoczył z sykiem okrąg na murze. Berne napał na ostrze, wycinając stożkowaty kawałek wapiennego muru. Płazem miecza podrzucił odłamek w powietrze, zwinnie złapał go w lewą rękę i podniósł wysoko, w taki sposób, żeby pokazać Kotom uśmiechnięte oblicze Simona Błazna.

– Proszę bardzo – dodał.

Przywołując na pomoc swoją nadnaturalną siłę, zmiażdżył kamień w dłoni. Zatrzeszczało, jakby pękały kości. Wapień zmienił się w żwir, a potem skruszył w pył, który zaczął wysypywać się Berne'owi spomiędzy palców.

Koty zareagowały zawziętym milczeniem, pełną napięcia ciszą, o wiele wymowniejszą od wszelkich wiwatów.

– Historia Simona Błazna dziś się zakończy – ciągnął Berne. – Czekają go klęska i krwawy zgon. Na stanowiska!

Koty zaczęły formować szyki i gęsiego, w milczeniu, opuszczając strażnicę. Każdy w duchu przysięgał sobie, że wcieli słowa hrabiego w czyn.

## 9

– Ehm... Panienko?

Kapitana barki nie było widać. Przepity, ochryply głos dobiegał z góry, znad pokrywy luku, do której trzeba było wspiąć się po drabinie.

– Powinna chyba panienka przyjść i to zobaczyć...

Obolała Pallas dźwignęła się z wysiłkiem na nogi. Kiedy kapitan mówił „panienko”, zwracał się do niej. Do wszystkich innych – nawet do Talann – wołał po prostu „Hej, ty!”. Od razu na wstępie zapowiedział, że nie życzy sobie znać ich imion.

Nowo zwerbowana załoga odwaliała kawał dobrej roboty: wyłożyli ładownię ażurowymi paletami, tworząc drewnianą podłogę osiem cali nad powierzchnią przelewającej się na dnie

wody. Wyszorowali też ściany, powiesili lampy na kołkach i ogólnie przystosowali pomieszczenie do zamieszkania.

Kilkoro *tokalich* było dostatecznie wysokich, żeby rozbijać sobie głowy o dźwigary pokładu, zresztą niski strop potęgował u wszystkich wrażenie ciasnoty i uwięzienia, toteż w ładowni nie było wielkiego ruchu. Krewni zbijali się w małe grupki i wodzili za Pallas rozszerzonymi ze strachu oczami. „Jak zwykle”, mruknęła jakaś znużona, rozżalona cząstka jej umysłu.

Ilekcroć wspinała się po drabinie, *tokali* zaczęli się nawzajem wypytywać, co się dzieje, i snuć coraz bardziej niepokojące wizje wydarzeń rozgrywających się w zalanym słonecznym blaskiem świetle na górze. W końcu któryś zdobywał się na odwagę i pytał Talann, co o tym myśli. Talann zapewniała ich, że wszystko jest w najlepszym porządku, a wtedy oni znów skupiali się w rodzinnych gronach i cały proces zaczynał się od nowa.

Godzinę wcześniej Pallas przeprowadziła Talann i ostatnich *tokalich* pod Płaszczem, z magazynu w Parku Przemysłowym na barkę. Lamorak postanowił zostać ze Sługami. Nie miała nic przeciwko temu – ludzie Jego Wysokości zaopiekują się nim, ukryją go i lepiej niż ona obronią przed żołnierzami. A jej pozostało już tylko czekać, aż barka wymknie się z portu i ruszy w dół rzeki. Kapitan przekupił kapitana portu, żeby przesunął ich bliżej czoła kolejki, co skróciło pozostały im czas oczekiwania do niespełna godziny.

Nie mogła się doczekać, kiedy wyprowadzi *tokalich* z miasta i wyprawi ich w drogę. Będzie mogła wtedy zejść z pokładu, pójść piechotą do miasta, znaleźć jakiś sposób na cofnięcie Wiecznego Zapomnienia i znów się podłączyć, nie martwiąc się o desynchronizację amplitudy. Woląca wrócić do miasta na wypadek, gdyby Studio przygotowało autotransfer uruchamiający się na sygnał z jej przekaźnika. Nie chciałaby zostać przeniesiona zniecka, na oczach *tokalich*, załogi i Talann.

A potem będzie, co ma być. Jeżeli Studio postanowi jej nie wycofywać, wróci na barkę (na szybkim koniu doścignie ją w niecały dzień) i dopilnuje, żeby *tokali* dotarli bezpiecznie do Terany. Jeśli zaś zniecka wyląduje na platformie transferowej w Studiu, to... No, o to się będzie martwić, jak już się tam znajdzie. Będzie mogła przynajmniej zadzwonić do Hariego i dowiedzieć się, co tu się, na boga, wyrabia.

Jego nieoczekiwany transfer z poprzedniego wieczoru wprawił ją w przerażenie na myśl o tym, co może stać się z nią. Cały czas miała tę scenę przed oczami.

A wcześniej ta przeciągająca się chwila ciszy, kiedy siedział absolutnie nieruchomo... Zdążyłaby w tym czasie policzyć do dziesięciu. Widywała go już w takim stanie: w zadumie tak głębokiej, że przypominała katatonię i pochłaniała całą jego energię, aż prawie zapominał oddychać. Co mu wtedy przyszło do głowy? Spojrzał na Lamoraka i powiedział:

– To ty.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Taki grymas widziała u niego tylko kilka razy: gniew, który dławi duszę i powoduje natychmiastowy, niekontrolowany wybuch przemocy.

Tak właśnie wyglądał tamtego wieczoru, w *Wyścigu po koronę Dal'kannitha*, kiedy przyszedł po nią do obozowiska Berne'a. Uwolnił ją i pomógł opatrzyć oparzenia i posypane solą ślady uciech Berne'a.

– Zabierz mnie stąd – szepnęła.

Kiedy badał jej rany, oglądał leżące obok niej, obdarte ze skóry zwłoki Marade i Tizarre. Przez rozcięcie w namiotowej płachcie patrzył na ludzi, którzy to zrobili, a teraz siedzieli przy ognisku, śmiejąc się i pijąc... Wtedy też miał taką minę.

Na Lamoraka spojrział dokładnie tak samo jak wtedy na Berne'a – a ona nie rozumiała dlaczego.

Nie mogła teraz o tym myśleć. Czas płynął nieubłaganie; miała go tak niewiele, żeby wyprowadzić trzydzieścioro sześcioro *tokalich* z Ankhany, a potem ocalić jeszcze własne życie. Zbyt dużo poświęciła go na rozmyślanie o Cainie i tym jego wyrazie twarzy w chwili, gdy tęczowa aureola spowiła jego ciało.

Wspomnienie nie dawało jej spokoju. Gdy tylko na moment przestawała się pilnować, wracało nieubłaganie.

Wracało, bo tak wyglądał Caine-zabójca, pochłonięty morderczą furią, która czasem, zdawało się, rządziła jego życiem. W tym stanie umysłu liczyły się dla niego tylko ból i krew. Ale kiedy świat zaczął się rozpląwać i zostało mu dosłownie pół sekundy na reakcję – jednak nie zaatakował. Nie miał czasu na zastanawianie się, na rozważanie konsekwencji, na ważenie możliwości.

Odruch kazał mu porzucić morderczy zamiar i odwrócić się do niej.

Wiedziała, co próbował zrobić, wyciągając do niej rękę: rozszerzyć pole transferowe i zabrać ją ze sobą na Ziemię, gdzie byłaby bezpieczna. To nią wstrząsnęło. Do głębi. Zupełnie nie pasowało do obrazu Caine'a, jaki sobie stworzyła. Zastanawiała się teraz, czy pod jej nieobecność nie zaczął się zmieniać – pomalutku, stopniowo, krok po kroku. I pomyślała, że może warto byłoby zadać sobie trochę trudu i znów poznać go bliżej.

Walczyła z tymi myślami, rozpoznawała w nich zdradzieckie sukuby, uwodzicielskie fantazje, które w końcu musiałyby jej przysporzyć cierpienie. „To przeszłość”, powtarzała sobie. „Skończyłam z nim”.

Ale mimo całej niechęci, jaką do niego czuła, często zdarzało jej się skrycie mu zazdrościć tego, jak całkowicie potrafi poddać się żądzy krwi. Nienawiść, jaką darzył Berne'a, wściekłość, która sprawiała, że z niczym się nie liczył... To była prawdziwa wolność.

A ona przecież wycierpiała z rąk Berne'a więcej niż on. To nie Caine leżał związany w namiocie, to nie on oglądał męczeńską śmierć przyjaciół, nie on czuł odrażające pieszczoty Berne'a – od pocałunku rozpalonych węgli po lodowaty ból igły i noża. To nie on uciekał ulicami, chował się po piwnicach, miał przed oczami rzeź Daka i Jaka. Ale to on potrafił o wszystkim zapomnieć, w mgnieniu oka odrzucić całe życie w zamian za szansę zabicia Berne'a albo któregośkolwiek z licznych wrogów, których narobił sobie podczas długiej

kariery.

Ona zawsze była tą dojrzałą, poświęcała się, odsuwała na bok osobiste urazy, jasno określała priorytety: ratować niewinnych, chronić dzieci, nie szarżować. Myśleć. Planować. Układać kolejne strategie, aż do odrętwienia mózgu.

Wynikało to między innymi z dobrowolnej dyscypliny, jaką wymuszała jej sztuka. Skuteczna taumaturgia wymagała matematycznej precyzji i – podobnie jak matematyka – spokoju duszy. Dystansu. Ale Pallas miała jedno marzenie, nie tak znowu głęboko skrywane: raz w życiu, tylko raz, pójść na całość. Zapomnieć o wszystkim, tak jak to robił Caine, i dać się ponieść emocjom.

Takie myśli wirowały i mieszały się jej w głowie, kiedy wspinała się po drabinie. Przemykały błyskawicznie, gorączkowo goniąc jedna drugą, w sposób typowy dla stanu największego zmęczenia, znużenia, które sięga szpiku kości. Kiedy więc wyszła na pokład i zobaczyła wynurzającą się z wody obwieszoną wodorostami i ociekającą szlamem sieć przeciwstatkową, nie zorientowała się, ani co się właściwie dzieje, ani dlaczego to takie ważne.

Sieci rozciągały się gigantycznym łukiem między potężnymi kołowrotami, zaopatrzonymi w przekładnie i zapadki, umieszczonymi na szczytach wież. Z miejsca, w którym stała, widziała Wieżę Pierwszą w północno-zachodnim garnizonie i Wieżę Szóstą w północno-wschodnim, majaczącą na wschodnim skraju Starego Miasta, za zakrętem rzeki. Sieci składały się z olbrzymich stalowych ogniów – miały prawie sześć stóp długości, grubością dorównywały jej ręce i łączyły się ze sobą ściśle jak kółeczka kolczugi. Przystań położona naprzeciwko niebotycznych wapiennych murów Starego Miasta została odcięta od świata; cumujące w niej łodzie, statki i barki – włącznie z tą, na której znajdowała się Pallas – były uwięzione.

Ale przez kilka pierwszych chwil Pallas mogła tylko napawać się błogosławieństwem słońca i świeżego powietrza. Od spotkania z Kotami upłynęły dwa dni. Przez ten czas wychodziła na światło dzienne wyłącznie pod osłoną Płaszczka, a wówczas wymagające absolutnej koncentracji wewnętrzne widzenie skutecznie odcinało ją od wrażeń zmysłowych.

Dwaj wioślarze – ogrowi bracia, zgarbieni, barczyści i mierzący ponad osiem stóp wzrostu – zaparli się o wbite w dno dwudziestopięciostopowe tyki i bez słowa patrzyli na zachód, gdzie wznosił się Most Rycerzy. Pilot w sterówce – człowiek, ale tak brzydki, że wyglądał jak ogrillo – gapił się w tę samą stronę. Dwaj chłopcy okrętowi wyglądali ciekawie zza sterty przymocowanych do pokładu skrzyń.

Kapitan wskazał ruchem głowy most, udając przy tym, że próbuje zapalić fajkę z długim cybuchem.

– Nie chodzi tylko o sieć, panienko. Coś mi się widzi, że tam na górze szykują się jakieś kłopoty.

Tam na górze.



Pallas musiała zmrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Kapitan najwyraźniej miał sokoli wzrok. Na środku łukowatego przęsła stało dwóch ludzi: oparci o barierkę, mając słońce za plecami, obserwowali rzekę. Widząc ich pod światło, nie potrafiła powiedzieć, co właściwie ją zaniepokoiło. Jeden miał coś na głowie, dziwną czapkę, może kaptur, a drugi...

Smuga chmur przesłoniła słońce, na most padł cień i Pallas dostrzegła, że drugi z mężczyzn ma na sobie wyblakłą truskawkową koszulę. Ponad ramieniem sterczało mu coś, co mogło być rękojeścią miecza.

Miała wrażenie, że patrzy prosto na nią.

Dreszcz przeszedł ją od czubka głowy po podeszwy stóp. Zamarła na jedną trwającą wieki sekundę, zanim zdrowy rozsądek zwyciężył.

Nie mógł jej rozpoznać – nie z takiej odległości, w masie łodzi i barek stłoczonych w porcie – ale też nie było sensu tkwić dłużej na widoku.

Wśród robotników i przewoźników zaroilo się nagle od ludzi w szarych skórzanych ubraniach: byli dosłownie wszędzie, wynurzali się ze wszystkich zaułków, wychodzili z domów na przystani.

– Na miłość Chi’iannon... – mruknęła. – Jest ich chyba ze stu. – Spojrzała na kapitana. – Uspokój załogę. Potraktuj to po prostu jak jeszcze jedną inspekcję, nic więcej. Okryję pasażerów Płaszczem, tak jak rano, kiedy nas sprawdzali. Przyjdą, powęszą, nic nie znajdą i pójdą sobie.

Kapitan pokręcił z powątpiewaniem głową.

– No, nie wiem, panienko... – Zacmokał, ssąc cybuch fajki. – Moi ludzie to dobre chłopaki. Daliby radę załodze innej barki, powalczyliby z piratami, ale nie mogę ich prosić, żeby się bili z Szarymi Kotami.

– Nie będzie takiej potrzeby. – Pallas oparła mu dłoń na ramieniu w uspokajającym geście. – Każ im zgrywać głupich, a sam czapkuje i przytakuj, aż Koty będą rzygać na dźwięk twojego głosu. O resztę się nie martw.

Wróciła pod pokład, nim kapitan zdążył znowu zaprotestować. Skuleni *tokali* posłali jej spłoszone, pytające spojrzenia. Uniosła rękę.

– Jeszcze jedna inspekcja – wyjaśniła. – To nic takiego. Zrobimy tak samo jak poprzednio, dobrze? Nie ruszajcie się i siedźcie cicho. Okryję was Płaszczem i wyprowadzimy inspektorów w pole, tylko musimy się przygotować. Niech każdy znajdzie sobie jakieś miejsce i wygodnie się ułoży. Odprężcie się. To potrwa dosłownie parę minut, a za niespełną godzinę ruszymy w dół rzeki.

Czekała i patrzyła, jak się układają. Najlepiej było się położyć i nie ruszać – przy masowym zastosowaniu Płaszczu nagły ruch mógł ją łatwo zdekoncentrować.

Talann usiadła poniżej niej na schodach i oparła brodę na dłoniach. Po nocnej rozmowie Pallas z Caine’em i Lamorakiem zrobiła się dziwnie niespokojna i małowólna.

Pallas przysiadła się do niej.

– Musisz być czujna, Talann – mruknęła. – Jesteś mi potrzebna. To Koty.

Talann spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem.

– Słucham?

– Przyszły Szare Koty. A ja jestem wykończona.

Spojrzenie Talann powoli się wyostrzyło.

– Jest z nimi Berne?

– Tak... – Pallas zmarszczyła brwi. – A co?

– Walczył z Caine'em... Drugi raz. Dwa albo trzy dni temu, w burdelu w Mieście Obcych. Słudzy Ściemy wczoraj o tym rozmawiali. I znów skończyło się porażką Caine'a.

– Coś ci powiem – warknęła Pallas. – Caine stanął naprzeciw Berne'a i przeżył, tak? Nie nazwałabym tego porażką.

– On uciekł – odparła Talann, wpatrując się w przestrzeń.

– Ja też.

– Ale ty...

– Co ja? No co?! – Nie wiedzieć czemu, w głosie Pallas zabrzmiała gniewna nuta. – Co to miało znaczyć?

– Nic – mruknęła Talann. – To co innego.

Wymamrotała pod nosem jeszcze coś, czego Pallas nie powinna była usłyszeć i zrozumieć, ale jednak odgadła:

– Ja bym nie uciekła...

Było oczywiste, że młoda wojowniczką przechodzi jakiś dziwny kryzys wieku młodzieńczego. Pallas pomyślała, że mogłyby o tym porozmawiać – to roztargnienie, żal, ponury humor... Miały coś wspólnego z Caine'em i jego zniknięciem. Spędzili cały dzień razem, tylko we dwoje, nie licząc Lamoraka, który na przemian to tracił, to odzyskiwał przytomność...

Spali ze sobą?

Ta myśl wśliznęła się jej do głowy jak rozpalona igła.

Z pewnością zrodziły ją zmęczenie, strach i napięcie. W ten sposób umysł bronił się przed myśleniem o zbliżających się Kotach.

Otrząsnęła się i skoncentrowała na bieżących sprawach.

– Posłuchaj mnie – zaczęła. – Nie myśl o Bernie. Pomóż mi dopilnować, żeby wszyscy byli cicho i, na Chi'iannon, nie rób głupstw! Pamiętaj, po co tu jesteśmy. Nie mamy zabijać Kotów ani walczyć z Berne'em, tylko ocalić tych ludzi.

Skinieniem głowy wskazała kąt ładowni, gdzie Konnos z żoną próbowali właśnie uciszyć młodszą córkę, która – rozdrażniona przedłużającą się beczynnością – nie mogła usiedzieć na miejscu.

Talann bez słowa spojrzała we wskazanym kierunku. Patrzyła przez *tokalich* na wylot, jakby mogła przebić wzrokiem kadłub.

– Wiem. Nie martw się o mnie.

Pallas wzięła jej słowa za dobrą monetę. Ścisnęła ją za ramię, żeby dodać jej otuchy, wycofała się do kąta i usiadła w siadzie wojownika, którego nauczył ją Hari. Był mniej wygodny niż jej ulubiona pozycja lotosu, ale miał tę zaletę, że wystarczył jeden wysiłek mięśni, żeby zerwać się na równe nogi i od razu przyjąć pozę do walki.

Rozpoczęła powolny cykl oddechowy wprowadzający w wewnętrzne widzenie. Wszystkie niepokoje, wątpliwości i całe zmęczenie spłynęły z niej jak suche liście strącone podmuchem jesiennego wiatru. Zainicjowała długi i złożony proces wymazywania z umysłu obrazu wszystkich znajdujących się w ładowni osób. Jedna po drugiej znikwały z jej świadomości: najpierw kolejni *tokali*, potem Talann, na koniec ona sama. Następnie wymazała zapasy żywności, postrzępione sienniki, tworzące podłogę palety, lampy na kołkach, nawet emitowane przez nie światło.

Na koniec zrobiła coś, czego nie potrafiłby dokonać pierwszy lepszy adept: dodała do sceny nowe elementy. W jej wizji na ścianach pojawił się brud, poziom czarnej wody podniósł się, na powierzchni zaczęły się unosić niezidentyfikowane śmieci. Chciała w ten sposób zniechęcić Koty do zejścia do ładowni, żeby nie przyszło im do głowy węszyć zbyt dokładnie – woda wyglądała jak prawdziwa, ale gdyby stanęli na dnie, poczuliby pod nogami deski. Jeżeli któryś zejdzie po drabinie, wszystko przepadnie. Razem z *tokalimi* będzie musiała wywalczyć sobie wolność.

W widzeniu wewnętrznym czas upływał niepostrzeżenie, a koncentracja wymagana do utrzymania tak skomplikowanego Płaszcza sprawiała, że Pallas ledwie słyszała głosy i tupot podkutych butów na pokładzie. Wiedziała, że Koty weszły na barkę i kapitan robi, co może, żeby wiarygodnie zagrać pomocnego prostaczka, ale nie mogła skupić się na tyle, żeby zrozumieć o czym mówią.

Luk się otworzył i snop światła przeszył Płaszcz, ale na to była przygotowana. Zdyscyplinowany umysł automatycznie wprowadził niezbędne poprawki światłocienia i dodał odbłask słońca w nieistniejącej wodzie. Nawet w wewnętrznym widzeniu odczuwała coś na kształt dumy z tej iluzji. Iluzji doskonałej.

W otworze, na tle wieczornego nieba pojawiły się dwie głowy. Jedna z nich była okryta czymś w rodzaju kaptura z metalicznej siatki. Z głębi ładowni dobiegł stłumiony jęk. Pallas rozpoznała ten głos: Konnos.

Na miłość boską, co go tak zaalarmowało, że omal ich wszystkich nie zdradził?!

Trudno było stwierdzić, czy Koty też go usłyszały – na górze wiał wiatr, a w porcie panował zgiełk – ale w tej samej chwili ten z gołą głową coś powiedział, ten w kapturze coś odparł i obaj się cofnęli. Pokrywa luku zaczęła opadać...

Talann wskoczyła na drabinę i zapała się o pokrywę, uniemożliwiając jej zamknięcie.

Gwałtowny ruch zdekoncentrował Pallas. Co ta wariatka wyprawia?

Nagle wróciła jej pamięć i dotarło do niej, co mówiły Koty; zrozumiała słowa, które

wcześniej nie przebiły się do widzenia wewnętrznego. Ten z gołą głową:

– Nic nie widzę. Pusto i śmierdzi.

I odpowiedź tego w kapturze:

– Ładownia jest pełna ludzi...

Talann wyrznęła w pokrywę luku z impetem lokomotywy. Pokrywa wyrwała się z rąk zaskoczonych Kotów i otworzyła z łoskotem, a Talann sięgnęła do góry, zacisnęła pięści na ich kołnierzach i zeskoczyła z powrotem na dół, pociągając ich za sobą.

Ładownia rozbrzmiała okrzykami przerażenia i zawrotem *tokalich*. Talann jeszcze w locie puściła Koty i odskoczyła w tył, dzięki czemu przeciwnicy runęli na deski u jej stóp. Zanim zdążyli się pozbierać, kopnęła jednego z półobrotu w tył głowy. Kiedy w drgawkach osunął się na ziemię, wyskoczyła do góry i wylądowała na nim, miażdżąc mu stopą tchawicę. Umierając, miotał się jak wyrzucona na brzeg ryba.

Drugi – ten w kapturze – przeturlał się i wstał. Pallas otrząsnęła się z szoku i przystąpiła do działania. Kot dobył miecza, ona zaś poderwała się z siadu wojownika, przyjęła postawę i gładkim ruchem wysunęła różdżkomicz z pochwy na przedramieniu. Uruchomiła go wydanym w myślach prostym poleceniem.

Istniejący przez ułamek sekundy błękitno-biały strumień energii różdżkomicza był równie niepowstrzymany jak Kosall. Lekki gest Pallas – i niematerialne ostrze przecięło nadgarstek Kota. Mężczyzna zawył z niedowierzaniem, jego miecz spadł na deski wraz z trzymającą go dłonią, a z kikuta trysnęła karmazynowa fontanna.

Talann dopadła do niego i złapała jego głowę w zgięcie łokcia, jakby chciała mu założyć duszenie. Splotła dłonie i przekreśliła gwałtownie. Strzeliło jak z bata – trzask pękającego karku zagłuszył nawet krzyki wystraszonych *tokalich*.

Różdżkomicz zgasł.

– Zabiłaś obu... – powiedziała Pallas łamiącym się głosem.

Talann posłała jej w odpowiedzi zwierzęcy uśmiech, boleśnie podobny do uśmiechu Caine'a.

– Miałaś lepszy pomysł? Lepiej myśl, co dalej.

– Ilu jest na pokładzie? – zapytała Pallas, podnosząc głos.

*Tokali* rozmawiali coraz głośniej.

– Nie widziałam dokładnie. Ale dużo. To ważne?

– Nie. Jeśli tu zostaniemy, powystrzelają nas jak szczury. Musimy walczyć.

Spojrzała na metalową siatkę okrywającą twarz zakapturzonego Kota. Wiedziała już, co oznacza.

– Mój Płaszcz właśnie stał się bezużyteczny – dodała.

Talann rozłożyła ręce.

– Czekam na sygnał.

Obute stopy zadudniły o pokład nad ich głowami. Kroki były coraz głośniejsze.

Pallas przeniosła wzrok na *tokalich*.

– Uwaga wszyscy: nie wychodźcie stąd. Najlepiej nie wstawajcie. Nie wiemy, co się dokładnie stanie, ale to nie przelewki. Znajdźcie sobie coś, czego można się mocno chwycić.

– Otoczyli luk – powiedziała Talann. – Tylko czekają, żebyśmy wystawili głowy.

– Na to właśnie liczę.

Zwinny ruch nadgarstka i w dłoni Pallas pojawił się kasztan, jeden z dwóch ostatnich, jakie jej zostały. Talann oczy zabłysły z radości.

– Cofnijcie się.

Linie mocy wyryte na powierzchni kasztana przemówiły bezpośrednio do jej umysłu. Dotknęła ich macką Powłoki. Kiedy dym zaczął jej przeciekać przez palce, podrzuciła lekko kasztan, tak żeby wyleciał nad otwarty luk. Pięć stóp nad pokładem eksplodował z ogłuszającym hukiem, zostawiając po sobie zgłiszcza. Szczątki drabiny spadły do ładowni. Luk zmienił się w dymiącą dziurę sześciostopowej średnicy. Czające się na górze Koty zostały rozrzucone po całej barce. Niektórzy stracili przytomność, inni turlali się po pokładzie i okładali rozpaczliwie rękami, próbując ugasić płonące skóry.

– Nim wyjdziemy, zjawią się następni – zauważyła Talann. – Z kuszami.

Pallas pokiwała głową.

– Musisz ściągnąć na siebie ogień, żebyśmy mogła wyjść.

Splotła dłonie, żeby podsadzić Talann, która w lot pojęła jej zamiar.

To prawie jak praca z Caine’em, pomyślała Pallas. Jakbyśmy ćwiczyły to latami.

Bez zbędnych słów Talann wskoczyła na podpórkę, a Pallas z całej siły wypchnęła ją do góry, prostując nogi. Talann wybiła się do góry, wystrzeliła przez dziurę w pokładzie, przeturlała się i wylądowała na nogach.

Pallas była tuż za nią: podskoczyła, złapała się dymiącej krawędzi otworu, podciągnęła i przetoczyła na nogi, a wszystko tak szybko, że żarzące się deski nie zdążyły poparzyć jej rąk. Zanurkowała w kierunku przywiązanych do pokładu skrzyń, przeskakując nad osmolonym i nieprzytomnym Kotem. Dźwięk zwalnianych cięciw kusz dobiegł ze wszystkich stron jednocześnie; odpowiedział mu głuchy stukot i trzask bełtów wbijających się w pokład i ładunek. Ukryła się i ostrożnie wyrzała zza skrzynek.

Na fordeku Talann walczyła z dwoma Kotami: zwinnie unikała ich ciosów, próbując równocześnie dosięgnąć ich którymś z dwóch noży, które zawsze nosiła za pasem. Kuznicy chwilowo nie stanowili dla niej zagrożenia – nie zaryzykowałiby postrzelenia swoich – ale po kei biegli już następni przeciwnicy. Pallas uruchomiła ostatni kasztan i bez namysłu rzuciła go w ich stronę; więcej amunicji nie miała, ale oni nie mogli o tym wiedzieć. Eksplozja powinna ich zatrzymać.

Ognista kula wybuchła nad głowami Kotów – trzech lub czterech rozpląszczyła na ziemi, dwaj następni wpadli do wody, reszta rozbiegła się w poszukiwaniu schronienia.

Bardziej w potrzasku już być nie można, pomyślała Pallas.

Pewnie udałoby się jej uciec, zwłaszcza gdyby Talann osłaniała jej odwrót, ale wydałaby w ten sposób wyrok śmierci na *tokalich*. Mogła poprzecinać cumy i wyprowadzić barkę na środek nurtu. Rzeka zniosłaby ich w końcu na sieć, którą pewnie przecięłaby różdżkomieczem, ale zajęłoby jej to sporo czasu. Nie wiązała z tym planem wielkich nadziei: musieliby długo i powoli dryfować w leniwie płynącej wodzie, odpierać ataki Kotów, no i przepłynąć pod Mostem Rycerzy...

Na którym stał Berne.

Najpierw należało usunąć poparzone Koty z barki. Już zaczynały odzyskiwać świadomość, i nawet mając do pomocy Talann, nie dałaby rady tylu przeciwnikom naraz. Rozejrzała się po pokładzie. Całkiem niedaleko, z prawej strony, wśród skrzynek ukryli się ogrowi wiosłarze.

– Hej! Wy dwaj! Zbierzcie nieprzytomnych i wyrzucicie ich za burtę!

Jeden z ogrowów pokręcił olbrzymim łbem.

– Nie. Zaszczelom nas – odburknął spoza sterczących z dolnej szczęki kłów.

– Kuszniczy to moje zmartwienie – odparła Pallas. – Ruchy!

Tym razem obaj uparcie pokręcili głowami i przycupnęli jeszcze niżej za skrzyniami. Pallas zakląła. Wyjęła i uruchomiła różdżkomiecz. Szeroka na dłoń smuga białobłękitnej energii przecięła skrzynkę nad jednym z ogrowów.

– Biegiem! – warknęła Pallas. – Bo jak nie, to ja was zabiję.

Skulili się i pobledli. Uwierzyli w jej groźbę. Zaczęli się gramolić z kryjówek.

Teraz ona musiała wywiązać się z umowy.

Wyrównała oddech i uruchomiła wewnętrzne widzenie. Bitewny zgiełk przycichł. Wyobraziła sobie sieć utkaną z nici złocistej mocy, ogromną, potężną, obejmującą całą barkę; znacznie większą od tej, którą mogłaby zakuć w kryształ – kwarc nie wytrzymałby takiego natężenia mocy i rozpękł się na kawałeczki. A ta sieć musiała być większa i mocniejsza, żeby powstrzymać bełty, pięści i buty Kotów. Zacerpnęła z Przepływu znacznie więcej niż mogła ogarnąć, więcej niż wydawało się możliwe; innemu adeptowi energia wypaliłaby już dawno mózg i padłby trupem, a z jego nozdrzy snułby się dym.

Utknęła niebotyczny wir mocy, który wniknął w nią i przeszedł na wylot, zasilając gigantyczną tarczę mocą, jakiej jeszcze nigdy nie próbowała kontrolować. Nagle jej punkt widzenia się zmienił, przesunął, jakby wyszła z ciała i stanęła obok.

Zobaczyła napięte mięśnie, zmarszczone z wysiłku czoło i przepływający przez nią tytaniczny strumień energii, któremu towarzyszyło uczucie zadziwienia i na wpół religijnej ekstazy. Zmęczenie i najwyższa konieczność pchnęły ją na wyższy poziom świadomości, na którym nadal mogła zasilać Tarczę, kierując mocą przenikającą jej ciało, a przy tym zachowała swobodę i dystans, niezwykle poczucie ulgi, graniczące z obojętnością na ostateczny wynik starcia.

Czystość i piękno Tarczy; łatwość, z jaką wchłaniała kolejne salwy z kusz; zdumiewający

wdzięk Talann rozprawiającej się najpierw z jednym, a potem także z drugim Kotem; powolny, paraboliczny lot ciał zrzucanych przez ogry do Wielkiej Chambaygen – wszystko to łączyło się w skomplikowanym tańcu, który zaczynał się w kwantowych wibracjach powłok elektronowych atomów tworzących jej ciało i rozciągał aż po wybiegające w głąb kosmosu spiralne ramie galaktyki, a potem sięgał nawet dalej, obejmując wszystkie galaktyki w ich nieskończonym wirowaniu wokół jądra wszechświata.

Jej jaźń rozkwitła, jej świadomość rozplynęła się w kosmicznym tańcu, zagubiła się w nim, zapomniała. Mogłaby tak trwać przez wieczność, w błogim zespoleniu z nieskończonością, gdyby nie potężna fala energii, która odbiła się od Tarczy, rozpaliwszy ją wcześniej do białości. W ułamku sekundy, barka, rzeka i mury Starego Miasta znów pojawiły się w jej polu widzenia. Ogień był wszędzie. Płomień spłynął wprawdzie po Tarczy, ale uczepił się sąsiednich statków i zgromadzonych na brzegu towarów. Wszystko wokół barki płonęło. Szkarłatny snop mocy, wystrzeliwujący z Mostu Rycerzy i kończący się w Wieży Zmierzchu w pałacu Colhari, był odpowiedzią na pytanie, które natychmiast sobie zadała.

Ognisty pocisk. Wystrzelony przez Berne'a. Przez Ma'elKotha.

Tarcza wytrzymała.

Jeszcze wczoraj, jeszcze nawet dzisiaj rano tego rodzaju zaskakujące wydarzenie mogłoby ją wytrącić z wewnętrznego widzenia, ale teraz była już ponad to. Właśnie to musi czuć Caine, uświadomiła sobie nagle. Tę spokojną pewność siebie, przekonanie o swojej doskonałości, wolność od strachu, świadomość, że każdy wynik – nawet własna śmierć – może być piękny.

Następny ognisty pocisk przeciął powietrze niczym świetlista włócznia i z rykiem płomieni rozlał się po Tarczy.

Żołnierze obserwujący sytuację z murów Starego Miasta, robotnicy w porcie, a także zwykli mieszkańcy, zerkający przez okna budynków w Parku Przemysłowym – wszyscy poza samymi Kotami doszli nagle do wniosku, że cała ta rozróżba przestała być atrakcyjna i zrobiła się zwyczajnie niebezpieczna. Głowy w hełmach poznikały za blankami, w prowadzących do portu ulicach i zaułkach zaroilo się od gapiów, którzy w panicznej ucieczce potracali się nawzajem, przewracali i tratowali.

Ten pocisk zabolął i Pallas zdała sobie sprawę, że mimo całej nowo odkrytej siły nie będzie w stanie bez końca podtrzymywać Tarczy. Nie mogła się równać z Ma'elKothem – ani teraz, ani, prawdopodobnie, w przyszłości.

Trzeba się ruszyć.

Rozległ się kolejny ogłuszający huk i tym razem płomień, które rozbiły się o Tarczę, przyćmiły słońce. Jak to możliwe, że atakuje tak szybko, raz za razem? Czarne plamy latały jej przed oczami, siła zakłęcia słabła, włókna mocy rozsnuwały się jak szarpana wiatrem pajęczyna.

Talann doskoczyła do niej i podtrzymała ją, zanim osunęła się na pokład.

– Sekundy... – Pallas wczepiła się w nią z całej siły. – Zostały nam sekundy. Potem zabijają nas wszystkich.

Talann wzruszyła ramionami, obnażając zęby w gniewnym grymasie.

– Co by zrobił Caine na moim miejscu?

Pallas spojrzała z wdzięcznością w jej błyszczące fiołkowe oczy. Czerpała siłę z podtrzymujących ją silnych ramion.

– Odwróciłby uwagę tamtych, żebym mogła działać – odparła. – Ale...

– Załatwione.

Zanim Pallas zdążyła coś dodać, Talann okręciła się na pięcie i puściła biegiem po pokładzie. Wyskoczyła na keję, przecięła ją, przeskoczyła na sąsiednią – płonącą – barkę i ścigając się z ogniem, skierowała się w stronę brzegu. Koty ruszyły jej na spotkanie, ale zostawiła je w tyle, pędząc z niewiarygodną prędkością na zachód, w stronę Mostu Rycerzy.

Pallas jeszcze raz sięgnęła do niewyczerpanego źródła i zagłębiła się w Przepływie, budując nową Tarczę, żeby osłonić barkę przed następnym ognistym pociskiem, który mógł uderzyć w każdej chwili. Tkała zakłęcie, dokładając kolejne warstwy energii i wzmacniając osłonę od strony mostu – ale pocisk, który rzeczywiście po chwili nadleciał, rozbił Tarczę w proch. Pallas straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy i pozbierała się z pokładu, uświadomiła sobie, że była nieprzytomna zaledwie przez sekundę, może dwie. Talann mignęła jej jeszcze na końcu nabrzeża, we wlocie uliczki prowadzącej skosem pod górę: biegła prosto na most. Pallas w duchu powierzyła ją w opiekę wszystkim życzliwym bogom.

Tarcza spełniła swoją rolę: barka była nienaruszona. Pozostało tylko wprawić ją w ruch i wypchnąć na środek rzeki...

Rozejrzała się. Zakręciło się jej w głowie, musiała się oprzeć o skrzynki. W zasięgu wzroku nie było nikogo z załogi. Nie miała do nich pretensji i liczyła na to, że nikt nie wypadł za burtę. Jeszcze mogła ich potrzebować.

Kotom, które obserwowały barkę z brzegu, nie śpieszyło się do szturm – część pobiegła za Talann, a reszta nie zamierzała dać się przypiec pociskami Berne'a. Zadowolili się sporadycznym ostrzeliwaniem Pallas z kusz. Sięgnęła po różdżkomiecz i kryjąc się wśród skrzyń, bezszelestnie poprzecinała cumy.

Ale jak bez pomocy wioślarzy wyprowadzić barkę z portu? A gdyby zgodzili się jej pomóc, czy zdołałaby ochronić ich przed bełtami z kusz, jeżeli Berne i Ma'elKoth miotaliby coraz bardziej druzgocące pociski?

Nie zamierzała się poddawać. Nie godziła się na śmierć *tokalich*.

Daleko na zachód od niej, na Moście Rycerzy pojawiła się kolejna sylwetka: miała platynowe włosy, poruszała się z gracją konia czystej krwi i pędziła prosto na Berne'a.

Oczy Pallas zaszkliły się od łez.

Talann poświęcała życie, żeby dopomóc jej w ucieczce. Taka ofiara nie mogła pójść na



marne.

Wyrównała oddech i przywołała wewnętrzne widzenie.

Coś wymyślę.

## 10

Berne rozpoznał ją już na brzegu – to była ta głupia suka, którą jego ludzie pojмали razem z Lamorakiem, ta sama, której Caine pomógł uciec z Donżonu. Kiedy wymknęła się Kotom i zniknęła mu z oczu na jednej z uliczek prowadzących do miasta, uderzył pięścią w balustradę mostu i zaklął z taką złością, że towarzyszący mu Szary Kot skulił się odruchowo.

Durne Koty przesadziły z tym swoim morderczym zapałem: każdy koniecznie chciał się wepchnąć na barkę i zabijać. Nie zostawiły nikogo na straży i teraz dziwka im ucieknie.

Aż zaskwierczało mu pod czaszką na wspomnienie gładkich krzywizn jej mięśni i złocistej skóry, kiedy leżała naga na stole u Arkadeila. Przez długą chwilę walczył z natrętną pokusą, żeby zejść z mostu i rzucić się za nią w pogoń. To była taka słodka, upojna wizja: złapać ją w ślepych zaułku, samą, odwrócić, oprzeć o szorstkie cegły tylnej ściany fabryki...

Arkadeil nakłuwał ją srebrnymi igłami; sam Ma'elKoth ją przesłuchiwał, wykorzystując całą moc swojego umysłu... A ona nie powiedziała im nic, nawet swojego imienia.

Berne wiedział jednak, że jemu dałaby nie tylko imię, ale o wiele, wiele więcej.

Dałaby mu wszystko.

Żar, jaki poczuł w kroczu, przyprawił go o zawrót głowy i omal nie zepchnął z mostu.

Ale na barce znajdował się jakiś obcy taumaturg. Niewiarygodnie mocny. Berne nie mógł być pewien jego tożsamości, ośmielał się jednak mieć nadzieję, że to Simon Błazen we własnej osobie. Ani Ma'elKoth, ani on nie wierzyli, że to przeczesanie portu cokolwiek da, ale kiedy ktoś postawił Tarczę, kurewsko wielką, ogromną jak ta pieprzona świątynia Dal'kannitha, i ta Tarcza wytrzymała aż trzy ogniste pociski Ma'elKotha, Berne zrozumiał, że jego miejsce jest tutaj. Gdyby znów zawiódł, Ma'elKoth nie przyjmie żadnych wymówek.

Zwłaszcza po tym, jak podpalił pół portu. Naprawdę dobrze byłoby złapać jakiegoś *Aktira* albo dwóch, żeby mieć to na kogo zwalić. Po tych wszystkich pożarach, eksplozjach, bitwach i nieudanych nalotach z całego tygodnia Ankhańczycy zaczęli się bać własnej władzy bardziej niż *Aktirich*.

I jeszcze ten kutasina Toa-Sytell: na pewno przyssie się do Ma'elKotha i będzie mu szeptał do ucha, że Simonem Błaznem powinny się zająć Królewskie Oczy i że Koty należałoby oddać w inne, bardziej kompetentne ręce...

Nie. Berne zostanie na moście i poczeka, aż Koty okrążą i schwytają tego kogoś, kto płynie barką.

Jego uwagę zwrócił błękitnobiały jęzor energii. Uwolniona z cum barka zakołysała się

lekko. Berne się uśmiechnął.

– A ty dokąd, przyjacielu? – mruknął. – Ma’elKoth? – dodał głośniejszym głosem.

*JESTEM Z TOBĄ, BERNE.*

I rzeczywiście: rozedrgana moc wypełniała jego duszę po brzegi i wibrowała mu w uszach; bliskość eksplozji przypominała nadchodzący orgazm. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

– Jeszcze jeden pocisk.

*BERNE... MOC, KTÓRĄ CZERPIĘ OD MOICH UKOCHANYCH DZIECI I PRZEKUWAM W OGNISTE POCISKI, JEST OGROMNA. OSTATNI STRZAŁ KOSZTOWAŁ ŻYCIE OŚMIORGA Z NICH. DZIAŁAJ ROZSĄDNIE.*

– Rozumiem – wycedził przez zęby, płonąąc z nadmiaru mocy. – Obiecuję. Ale teraz ten pocisk jest mi potrzebny, żeby tamci nie uciekli.

*DOBRZE.*

Drzenie pod czaszką przybrało na sile i częstotliwości, i rozplynęło się w gładki satynowy żar, który niemal unosił go nad ziemię. Stojące obok Kocie Oko odsunęło mu się z drogi. Poczul na skórze ukłucia maleńkich ogników, które, zamiast parzyć, pieściły go jak czułe palce kochanki. Barka kołysała się leniwie przy brzegu, Tarczy nie było widać. Berne wznosił jedną pięść do nieba, drugą wycelował w łódź.

– Taaak... – jęknął w ekstazie, powstrzymując moc jeszcze przez ułamek sekundy. – O, taaak...

– Hrabio!

Chrapliwy krzyk Kociego Oka zdekoncentrował go. Z najwyższym trudem pohamował strzał. Kocie Oko wskazywało wyciągniętą ręką na północ, gdzie Droga Arystokratów oddzielała Park Przemysłowy od Miasta Obcych.

Głupia suka biegła prosto w ich stronę.

Goniło ją dziesięć Kotów. Berne patrzył, jak czterech jego ludzi odłącza się od grupy, schodzi na pobocze i strzela z kusz. Głupia suka unikała beltów z taką łatwością, jakby umiała przewidywać przyszłość – uskakiwała dokładnie we właściwych momentach, nie dając się wybić z rytmu, tak że nawet ta szóstka, która nie przerwała pościgu, stopniowo zostawała w tyle.

Moc pulsowała w całym jego ciele, kiedy podnosił rękę z zaciśniętą pięścią, żeby posłać ognisty pocisk w głąb ulicy i upiec tę zdzirę w jej własnych sokach. Problem polegał tylko na tym, że na Drodze Arystokratów nadal roiło się od gapiów, którzy przycisnęli się w trwodze do sklepowych witryn, ale nie uciekli. Jeden czy dwóch zostało zresztą trafionych zbłąkanymi beltami z kusz i wokół nich także zebrały się grupki ciekawskich. A Ma’elKoth dostawał szału na wieść o ofiarach wśród cywili.

Berne zawahał się i stracił okazję do strzału. Dziwka wbiegła już na most. A za jej plecami, dosłownie na linii ognia, znalazły się goniące ją Koty.

Zerknął w stronę barki. Tarczy nadal nie było widać – taumaturg stracił pewnie przytomność, kiedy przyjął na siebie energię poprzedniego pocisku – a Szare Koty ostrożnie zbliżały się do kei, kryjąc się za naturalnymi przeszkodami; dopadną ją, zanim zdąży wyjść z portu. Czemuż więc on nie miałby się w tym czasie zabawić?

– Złap ją, Mikli – polecił towarzyszącemu mu Kociemu Oku. – Weź ją żywcem.

Mikli uśmiechnął się spod srebrnej woalki. Wyjął miecz z pochwy.

– Z przyjemnością, mój panie.

Odrzucił kaptur i westchnął. Wyszedł na środek mostu i czekał, stojąc na lekko ugiętych nogach. Zawsze był wyśmienitym fechtmistrem: precyzyjnym, szybkim jak błyskawica, a w dodatku od kilku miesięcy ćwiczył pod okiem samego Berne’a, który teraz nie miał cienia wątpliwości, że Mikli zrobi dokładnie to, czego on od niego oczekuje.

Głupia suka nawet nie zwołała kroku i runęła na niego, jakby zamierzała go stratować. W ostatniej chwili usunął się jej z drogi, a kiedy go mijala, wymierzył jej cios w kark płazem miecza, chcąc ją ogłuszyć. Znów ocalił ją nadnaturalny refleks: rzuciła się w przód, przetoczyła i stanęła na nogach plecami do niego. Od Berne’a dzieliły ją dosłownie dwa kroki.

Wyszczrzyła zęby w obłąkańczym uśmiechu.

– Najpierw on – powiedziała, wskazując Miklego. W jej fiołkowych oczach płonął ogień szaleństwa. – Potem ty. Nigdzie nie odchodź.

– Miałbym przegapić takie widowisko? – Berne się uśmiechnął. Nie odrywał od niej wzroku, żeby nie zorientowała się, że Mikli podkrada się do niej od tyłu. – Nigdy.

Uniosła rękę, jakby chciała mu pokazać noże w pochwach na przedramionach, a potem okręciła się błyskawicznie na pięcie i cięła w nogę Miklego, który wymierzył jej kopniaka w plecy.

Oslonięte nożem przedramię sparowało kopnięcie, ale drut wpleciony w skórzane nogawice zatrzymał ostrze. Mikli ciął skośnie z góry, w szyję. Przyjęła uderzenie na lewą rękę, skróciła dystans i prawą chlasnęła z góry na dół. Nadgarstek Miklego zaklinował się między ostrzem noża i jej przedramieniem. Pchnęła lewą, szarpnęła prawą i spróbowała mu wyrwać miecz z ręki – chociaż nie obyło się bez konsekwencji. Mikli miał zbyt duże doświadczenie, żeby kurczowo trzymać się broni: puścił rękę i łokciem wyrzucił Talann w skroń.

Wykonała pad, łagodząc w ten sposób impet uderzenia, i leżąc, podcięła Miklego. Runął na ziemię. Próbował jeszcze się przeturlać, żeby choć częściowo kontrolować upadek, ale wtedy głupia suka uderzyła na odlew i wbiła mu nóż głęboko w podstawę czaszki.

Chrupnęło. Chrzątki trzasnęły, kości zatrzęszczały, a Talann wyszarpnęła ostrze z rany, omal nie przecinając przy tym kręgosłupa miotającego się w drgawkach przeciwnika.

– Nie... – jęczał, a światło w jego oczach gasło. – Nie...

Berne jeszcze przez chwilę spokojnie obserwował tę scenę, aż w końcu odsunął się od

ściany i sięgnął ponad ramieniem do tyłu, po rękojeść Kosalla.

– Wiesz co, dziewczynko? Tak sobie myślę, że może jednak jesteś dostatecznie dobra, żeby ze mną zatańczyć?

Talann wsunęła noże za pas, wzięła do ręki miecz Mikliego i wstała. Szturchnęła nogą ciało przeciwnika.

– On by się chyba z tobą zgodził. Ale nie może, tak jak czterech innych moich partnerów do tańca, których zostawiłam na barce.

– To razem pięciu?

Berne uniósł brwi w udawanym zdumieniu. Soki zaczęły w nim szybciej krążyć, serce zabiło żywiej, poczuł rozlewające się po łędźwiach ciepło. Wyciągnął Kosalla z pochwy, trzymając za jelec, i dopiero wtedy chwycił rękojeść i uaktywnił jego magijną moc. Wibracje ostrza przeniosły się przez jego ręce na całe ciało. Poczuł je aż w zębach.

– Pięciu moich chłopców? – powiedział. – Dzisiaj?

Spojrzała na broń w jego rękach, z szacunkiem, ale nie okazując zdziwienia; musiała wiedzieć już wcześniej, że nosi ten miecz. Skinieniem głowy wskazała Koty, które w pościgu za nią dotarły w końcu na most.

– A ilu byś chciał, dziesięciu? Piętnastu? Możemy się założyć, że zabiję ich wszystkich.

Berne pokręcił głową i gestem powstrzymał swoich ludzi.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie zejdziesz z tego mostu żywa – wycedził głosem chrapliwym z pożądania. – Dlatego nie zamierzam cię tak po prostu zabić, bo na to jesteś przygotowana. Zamiast tego cię zerznę. Tu, na środku mostu, na oczach wszystkich. Przegnę cię przez ten murek i wyrucham. A kiedy skończę, każdy z nich zrobi to samo. – Pokazał na Koty. – Jeśli i to przeżyjesz, może oddamy cię gapiom, kto wie... Co ty na to?

Talann wzruszyła ramionami.

– Najpierw musisz mnie pokonać.

Odpowiedział jej takim samym gestem.

– Racja. Ale wiesz co? Nawet nie znam twojego imienia...

– Nie ma sensu, żebym ci je teraz podawała. Nie pożyczysz dość długo, by go użyć.

– No to chodź. Jak tylko...

Skoczyła w jego kierunku, wymierzając cięcie w szyję tak szybkie, że ledwie zdążył dostrzec błysk klingi. Nawet nie próbował parować, przesunął tylko Puklerz, osłaniając szyję i bark. Zdobytny miecz zadźwięczał, jakby uderzył o metal. Talann wytrzeszczyła oczy.

Berne przesunął Puklerz na dłoń i złapał za ostrze jej broni. Próbowała ją wyszarpnąć, odciąć przeciwnikowi palce, ale magijny chwyt był tak mocny, jakby klinga utknęła w kamieniu. Berne roześmiał się i wymierzył jej cięcie Kosallem w rękę. Cofnęła dłoń i odskoczyła, unikając zranienia. Złapała równowagę. Obląkańcza pewność siebie szybko gasła w jej nagle rozszerzonych oczach.

Berne podrzucił jej miecz w powietrze i jednym uderzeniem Kosalla przeciął go na

dwoje. Odłamki zadźwięczały na kamieniach.

– Powiedz mi... – zagałł swoim najgłębszym, miodopłynnym głosem. – Nie przyszło ci do głowy, że jednak popełniasz błąd?

## 11

Pogrążona w wewnętrznym widzeniu Pallas analizowała i odrzucała kolejne możliwości szybko i beznamiętnie jak komputer. Wystarczyło jej kilka sekund, aby stwierdzić, że jest bezradna i nie zdoła ocalić ani *tokalich*, ani załogi barki, za którą także czuła się już odpowiedzialna.

Była za słaba. Po prostu. Wszelkie czary, sztuczki i moce, jakimi kiedykolwiek dysponowała, były w tej sytuacji bezużyteczne. O dziwo, ta myśl nie napełniła jej ani zgrozą, ani nawet smutkiem. Miała wprost przeciwny skutek.

Przyniosła jej jasność umysłu i absolutną wolność – wolność, jaką może poczuć tylko ktoś, kto znalazł się na wąskiej jak ostrze noża linii oddzielającej życie od śmierci.

Mogłaby poczuć strach – znajomą, paraliżującą trwogę – gdyby dostrzegła tylko jedno wyjście z sytuacji, jedną mizerną szansę ucieczki, której powodzenie zależałoby od wielu czynników. Jeszcze gorszy byłby wybór między dwoma mało prawdopodobnymi wariantami. W obu tych sytuacjach paraliżowałaby ją lęk, że ceną za jej najmniejszy błąd może być życie ludzi, których przysięgła chronić. A taki brak wyjścia... Miała całkowitą swobodę wyboru, mogła zrobić, co zechce, nie martwiąc się o skutki.

Gdy wszystkie drogi prowadzą do śmierci, czym kierować się na rozstajach, jak nie kaprysem?

W duchu wzruszyła ramionami i podjęła decyzję, oparłszy się na dziecinnej, bajkowej prawdzie: koty nie lubią wody.

Szukając sposobu na wprawienie barki w ruch i odsunięcie jej od brzegu (wtedy musieliby popłynąć za nią wplaw, jeśli chcieli ją złapać), zapuściła mackę Powłoki w dół, w głąb rzeki – i znalazła tam życie. Czuła je jako pulsowanie: aury maleńkich krabów, rozleniwionych sumów, lśniących, spasionych karp. Ale poczuła coś jeszcze, jakby słabiotkie wspomnienie, zanikające echo, coś, co łączyło Powłoki wszystkich rzecznych istot, jak poletko, na którym razem się bawiły.

Namierzyła to echo, sięgnęła głębiej w wewnętrznym widzeniu, weszła w swoją Powłokę, zamiast ją sobie tylko wyobrażać. Poczucie swobody, oderwania od ciała tym razem przyszło szybko i łatwo: porzuciła swoją materialną skorupę i stała się czystą jaźnią, kształtowaną przez ciało, ale wolną od jego ograniczeń, dostrojona do pulsu Przepływu.

W rzecznej głębinie Przepływ był potężny.

Przepływ bierze początek z życia, zasila je i jest przez nie zasilany, a tu, w rzece,

wszystko żyło. W pogoni za echem nurkowała coraz głębiej – nie w sensie fizycznym, bo nie oddalała się od powierzchni wody, ale sięgała dalej niż Powłoki ryb i krabów, niż mętna zielona aura wodorostów, coraz głębiej i głębiej, nie w dół, lecz na wskroś... Przez mchy i algi, przez pierwotniaki, bakterie i pleśnie, dalej i dalej, nie znajdując tego, czego szukała. Jej świadomość się rozszerzała, rozciągała, z ciekawością śledząc ledwie wyczuwalne reminiscencje...

Odkryła zupełnie nowy poziom Przepływu, pulsujący znacznie wolniej niż aury konkurujących ze sobą na pierwszym planie żyjątek. Dalej, o wiele dalej niż ścierające się Powłoki karpia i schwywanej przez niego traszki, o wiele głębiej niż bezgłośny pojedynek dwóch odmian zielska walczących o ten sam skrawek piaszczystego dna. Znalazła Przepływ, o jakiego istnieniu nawet nie śniła. Ostrożnie dostroiła do niego swoją Powłokę i poddała się jego wszechogarniającemu rytmowi.

Porwał ją wir zadziwienia, majestatyczny jak obracające się ramię galaktyki.

Cała rzeka żyła.

Znalazła Powłokę samej Wielkiej Chambaygen, aurę życia całej rzeki – od najdalszych źródeł, położonych wysoko w Bożych Zębach, aż do rozległej delty w Teranie, na zachodnim wybrzeżu. Powłoka pulsowała nie tylko życiem rzeki i jej mieszkańców, ale całego jej dorzecza: trawiastej równiny, po której meandrowała, lasu, który pił z niej i oddawał jej żyzną ziemię, całego ekosystemu, który ją podtrzymywał i był przez nią podtrzymywany.

Oszałamiająca moc zawartego w Chambaygen życia groziła Pallas wypaleniem mózgu – gdyby tylko próbowała się jej opierać. Ona jednak odprężyła się i poddała; poszukała swojego miejsca w rzece życia i znalazła je, wraz z zawieszonym w nim klejnotem świadomości. Znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien, wpasowany w ten punkt z bezlitosną precyzją, i obracał się powoli, podziwiając życie rzeki.

Znalazła coś więcej niż po prostu życie: znalazła Umysł.

I Pieśń.

Rzeka śpiewała pieśń życia. Opiewała w niej rzešką strużkę, wytopioną ze śniegu pewnego lata w poprzedniej erze geologicznej; bulgoczące górskie wywierzysko; ciche trzeszczenie rosnącego nocą zboża; łoskot dębu walącego się w nurt rzeki, która w grzmiejącej wiosennej powodzi podmyła jego korzenie; szept sitowia i szmer trzciny w starorzeczach; głosy ptaków – od kaczek i gęsi, przez zimorodki, po czaple i żurawie; plusk mieniającej się kolorami wody rozbryzgiwanej przez mocarne pstrągi i łososie na tarliskach; powolną cierpliwość zagrzebanych w mule żółwi.

Rzeka śpiewała też o ludziach pływających łodziami wzdłuż brzegów, o pierwotnym ludzie, który dawno temu odpowiadał pieśniami na jej pieśń, o skalnikach, którzy przegradzali jej wody tamami i kierowali ją w kanały, żeby napędzała ich młyny.

Śpiewała o Ankhanie, o tym olbrzymim wrzodzie, wyrzuszającym się w samym środku jej nurtu, bolesnym ropieniu, który zatrwał jej bieg na wiele mil w dół.

W jej pieśni pojawiły się nagle nowe, mocniejsze dźwięki: zamiast stłumionego pomruku samotnej śpiewaczki popłynęły ciepłe, czyste brzmienia starej pieśniarki, która odkryła nagle, że ma nieoczekiwaną publiczność. Nuty ślizgały się i ocierały o siebie nawzajem, odległy ryk łosia łączył się z figlarnymi prychnięciami młodych wydr, z marszczącym lustro wody jesiennym szkwałem w tle...

Pieśń nabrała sensu.

Nie było w niej słów. Nie były potrzebne. Melodia stała się treścią, a treść Pieśnią.

*ZNAM CIĘ, PALLAS RIL. WITAJ W MOJEJ PIEŚNI.*

W miejscu, w którym Pallas się znalazła, nie miała ani ust, ani tchu, ale z głębi jej istoty napłynęła odpowiedź:

*Chambaraya...*

*ŁUDZIE TAK MNIE NAZYWAJĄ I MYŚLĄ, ŻE MNIE POZNALI. DOŁĄCZ DO MNIE W PIEŚNI, DZIECKO.*

Pieśń popłynęła z niej bez wysiłku, najpierw w kontrapunkcie, a po chwili w doskonałej harmonii z muzyką rzeki. W pieśni nie było miejsca na ukrywanie się, kamuflaż, stopniowanie prawdy; wszystko, czym była, połączyło się z pieśnią rzeki i rzeka poznała ją na wylot. Chambaraya wchłonął jej siłę i słabość, wstydlivy kłęb zazdrości i małostkowości, czystą odwagę, i przyjął je wszystkie z niezmaconym spokojem. O żadnym osądzeniu nie mogło być mowy – wszystko płynęło jednym nieprzerwanym strumieniem od gór do morza.

Melodia pieśni Pallas wyrażała całą jej desperację, która kazała jej nurkować tak głęboko i szukać tak daleko. Rzeka nie rozumiała, dlaczego ludzie chcieli skrzywdzić Pallas, tak jak nie rozumiała dlaczego się ich boi. Śmierć i życie to przecież części jednego i tego samego nieskończonego cyklu, jedno wypływa z drugiego po wieki wieków. Dlaczego opiera się przed powrotem do ziemi, z której się narodziła?

Mimo to Pallas poprosiła:

*Chambarayo, proszę cię, ocal nas. Okaż swoją potęgę.*

*NIE MOGĘ/NIE CHCĘ. POROZUMIENIE ZAWARTE Z POMNIEJSZYMI BOGAMI, KTÓRE POWSTRZYMAŁO REWOLTE JHERETHA BOGOBÓJCY, MNIE RÓWNIEŻ PĘTA.*

„Z pomniejszymi bogami?” – powtórzyła w myślach Pallas, jakby mówiła do siebie. Jednakże w pieśni nic nie oddzielało jej od rzeki, nie mogło być mowy o prywatnych myślach. I wcale nie odczuwała potrzeby ich posiadania.

*WASZYMI BOGAMI – TYMI, KTÓRYM POTRZEBNA JEST CZEŚĆ ZE STRONY ŁUDZI; KTÓRYCH INTERESUJĄ SPRAWY ŚMIERTELNIKÓW; KTÓRZY SĄ DOŚĆ MALI, BY DOŚWIADCZAĆ NUDY, I DLA ROZRYWKI WALCZĄ O WPŁYWY.*

Pallas rozumiała to doskonale: zmartwienia jednostek nie interesowały Chambarai. Był ponad to. Życie ludzkie znaczyło dla niego nie więcej niż pojedynczy minóg w całej ławicy – ale i nie mniej. Życie to życie.

Co mogłaby mu zaoferować? Czym go przekonać? Rzeka miała wszystko, czego

potrzebowała. Była doskonale samowystarczalna.

Porozumienie z Pirichanthe uwięziło bogów poza czasem i ograniczyło ich wpływy do współpracy z kapłanami, którym mogli użyczać swojej mocy i mądrości. Może to właśnie była odpowiedź na jej pytanie? Z głębi umysłu złożyła Chambarai propozycję:

*Zrób ze mnie swoją kapłankę. Przelej we mnie ułamek swojej mocy, a ja stanę się twoim głosem. Nauczę ludzi szanować cię.*

*NIE POTRZEBUJĘ GŁOSU. LUDZKI SZACUNEK JEST BEZ ZNACZENIA. PIEŚŃ NIE PRAGNIE WŁASNEJ MOCY.*

Pieśń nie pragnie własnej mocy... Była pieśnią, więc zamiast prosić rzekę o moc, mogła po prostu zacisnąć dłoń w pięść. Tylko przyzwyczajenie do ludzkiego punktu widzenia stwarzało złudzenie rozdzielności, podziału na Ja i Ty, iluzję rozmowy Pallas Ril i Chambarai jako dwóch odrębnych bytów. Dopóki była w pieśni, jej pragnienie, wola, żarliwa chęć opieki nad powierzonymi jej kurateli ludźmi znajdowały się tam razem z nią. Współtworzyły jej melodię. Kiedy sobie to uświadomiła, resztki jej odrębnej tożsamości rozwiały się jak pajęcza sieć na wietrze.

Była jedyną częścią rzeki, która mogła żywić takie pragnienia... Ale żadne części tu nie istniały. Wszystko było jednością. Czego ona pragnęła, pragnęła cała rzeka. Rozbrzmiewając w pieśni, była pieśnią, była rzeką, a jej wola muskała wodę z niewyobrażalną mocą.

Wynurzyła się z otchłani jaźni i skoncentrowała na jednym wybranym głosie swojej pieśni, na pojedynczej ozdobnej nucie, z burzą kręconych włosów, w szarym stroju i niebieskim płaszczu. Wydała się jej bardzo mała i bardzo odległa, ale bez wątpienia istniała naprawdę. Poczwała życie pasażerów barki w taki sam sposób, w jaki odczuwała wczesnojesienny śnieg w Bożych Zębach albo morderczą walkę pstrąga z karpem w terańskiej delcie. Zrozumiała, że niebezpieczeństwo zagrażające roztrzęsionym *tokalim* jest najzupełniej lokalne – wystarczyło przemieścić barkę, żeby ich ocalić. A przemieszczenie barki nie wymagało żadnego wysiłku – przecież taki ruch leżał w jej naturze.

Czyż nie była rzeką?

Wzięła wdech i wstrzymała rzeczne wody w całym korycie.

Zrobiła wydech – gromadząc moc, której nawet w najśmielszych marzeniach nikt i nic nie zdołałoby się oprzeć.

## 12

Głupia suka dobyła noży i tworząc z nich złożoną zasłonę, znów rzuciła się w jego kierunku – całkowicie skoncentrowana, z twarzą pozbawioną wyrazu. Dopuścił ją bliżej i czekał, a kiedy znalazła się w zasięgu Kosalla, ciął w szyję. Głowa prześliznęła się pod klingą. Kosall miał wprawdzie magijną moc, ale nie przestał być dużym i nieporęcznym



mieczem.

Widząc, jak nurkuje pod ostrzem, Berne zasłonił sobie Puklerzem spłot słoneczny i wymierzył jej kopnięcie okrężne w żebra. Czubek jednego noża przebił mu koszulę i zgrzytnął na Puklerzu, ale kopniak złożył sukę wpół jak szmacianą lalkę, poderwał w powietrze i obalił na ziemię.

Wstała chwiejnie, z ust pociekła jej krew; kopnięcie musiało zgruchotać jakiś organ wewnętrzny. Wyszczrzyła zakrwawione zęby w uśmiechu, wskazując nogę Berne'a.

– Nie jesteś nie do ruszenia – powiedziała.

Berne spojrzął w dół: drugim nożem zacięła go w nogę, którą wyprowadził kopnięcie. Rana była płytka, powierzchowna. Krew wsiąkała w truskawkową serżę.

– Być może – przyznał. – Ale z pewnością trudniej zranić mnie niż ciebie, dzdziro.

I pierwszy raz zaatakował. Naparł na Talann, próbując trafić Kosallem, ale nawet ranna była niczym duch. Z nadludzką szybkością i zwinnością unikała kolejnych ciosów – nie parowała, nie blokowała, lecz ostrze za każdym razem chybiało o cal.

Rozpoczął się taniec, prawdziwy balet, od którego szczypiący pot wystąpił Berne'owi na czoło i ręce. Głupia suka odchyłała się w tył, żeby Kosall z sykiem przeciął powietrze tuż przed jej nosem, po czym doskakiwała do Berne'a, tnąc oboma nożami jednocześnie, i kreśliła kolejną krwawą krechę na jego ciele, zanim zdążył odzyskać równowagę i wyprowadzić kontratak. Była najlepszym wojownikiem, jakiego w życiu widział (nie mówiąc już o tym, że najlepszym, z jakim przyszło mu się zmierzyć), ale przecież umiejętności to tylko jeden z wielu aspektów walki i nie mogły jej chronić w nieskończoność. Obrażenia wewnętrzne, których oznaką była krew ściekająca jej po brodzie, w końcu ją zmęczą i spowolnią. Berne nie miał wątpliwości co do ostatecznego wyniku starcia.

Zakończyło się niespodziewanie szybko. W połowie kolejnego wypadu głupia suka nagle straciła koncentrację, rozdziawiła usta, wybałuszyła oczy. Dopadł do niej i poczuł słodkie spełnienie, gdy rozedrgana klinga Kosalla weszła w jej brzuch aż po rękoność, przebiwszy skórę tuż poniżej pępka.

– Wielka Matko... – sapnęła Talann.

Przyłgnął do jej wiotczącego ciała i pocałował ją prosto w zakrwawione usta, napawając się ich miękkością i metalicznym smakiem krwi, po czym cofnął się, obrócił miecz w ranie i szarpnął go w poprzek, otwierając rozległą ranę w boku Talann. Przez ziejącą dziurę wylały się wnętrzności.

Stęknęła i osunęła się na kolana. Zdyszany Berne odsunął się i patrzył, jak ostrożnie obmacuje śmiertelną ranę, rozprucie ciągnące się od pleców po brzuch. Jak przygląda się swoim bebechom rozwleczonym na bruku. Na jej twarzy malowało się bezgraniczne niedowierzanie.

– Nie myślałaś, że coś takiego cię spotka, co? – wychrypiał. – Wybacz, że jednak cię nie wyrucham. Nie lubię zimnych. Ale to było prawie równie przyjemne.

Wydawało mu się przez chwilę, że suka mu odpowie, gdy nagle uświadomił sobie, że wcale nie patrzy na niego. Odkąd ją pchnął mieczem, w ogóle na niego nie patrzyła, przeniosła wzrok dalej, za jego plecy, gdzieś nad rzekę.

Odwrócił się, spojrzął w tym samym kierunku... i zaniemówił.

A niech mnie kozioł wydyma, pomyślał.

Z górnego biegu rzeki pędziła w jego stronę wysoka na sto stóp spieniona fala, gigantyczna ściana zielonej wody, niosąca łodzie, skrzynie i ludzkie ciała. Unosił wzrok coraz wyżej i wyżej, nie mogąc ogarnąć skali kataklizmu, któremu stał na drodze. Słońce lśniło złoto na niewyobrażalnej masie wody, stale rosnącej, a mimo to jeszcze dalekiej od przełamania. Fala pchała przed sobą rzeczną barkę, która zsuwała się po jej zboczu, a wysoko, wysoko ponad nią, na samym szczycie wodnej góry stała na wpół boska postać...

Pallas Ril.

Zareagował natychmiast. Zdawał sobie sprawę, że nie zdąży uciec z mostu. Miał za mało czasu.

– Ma’elKoth – powiedział spokojnie, cedząc zgłoski.

*JESTEM Z TOBĄ, BERNE.*

Pallas Ril pędziła mu na spotkanie na czubku fali. Nigdzie nie było widać Tarczy.

– Przyda mi się ten ognisty pocisk – powiedział Berne.

Skóra stanęła mu w płomieniach. Podniósł wyprostowaną rękę i zacisnął pięść.

## 13

Śpiewała – bez słów, bez obrazów. W jej umyśle rozbrzmiewała czysta melodia, czysta żądza. Wyśpiewywała falę, która poniesie pasażerów barki w dal, do morza, i nie złamie się, nie spocznie, dopóki nie uderzy w dno w terańskim porcie.

Strzelali do niej, ale ich cel był zaledwie pojedynczą nutą w wiecznotrwałej pieśni. A pieśń żyła własnym życiem i nie zamierzała pozwolić jej skrzywdzić. Podniosła ręce i woda wzniosła się wokół niej jak mury zamku. Bełty ginęły w wodnej masie, kreśląc w niej prowadzące donikąd spienione smugi.

Daleko w dole widziała Berne’a i leżące obok niego na moście ciało Talann. Zachodzące słońce odbijało się w ścianie wody i ognistą poświatą padało mu na twarz. Zobaczyła pulsowanie strumienia mocy łączącego go z pałacem Colhari. Wyczuła falę Przepływu.

Ognisty pocisk runął w jej stronę.

Nawet teraz nie mogła się mierzyć z ich mocą – ale taki pojedynek stał się zbędny. Wystarczyło poruszenie melodii, drgnienie rytmu i na spotkanie pocisku wybiegło potężne ramię z piany, które eksplodowało syczącą chmurą pary, ciepłą, śnieżnobiałą, rozplywającą się pod nią i wokół niej, gdy ona sama wzniosła się jeszcze wyżej na grzbiecie fali.

Most Rycerzy, drżący, gdy fala nadciągała, runął, gdy weń uderzyła. Z łoskotem, od którego zatrzęsły się tytaniczne mury Starego Miasta, masa wody przetoczyła się po ruinie, porwała barkę i pół tuzina mniejszych łodzi, przeniosła je wysoko nad sieciami i pchnęła w dół rzeki, gdzie kręciły się teraz wokół własnej osi, nareszcie wolne.

Udało się, pomyślała Pallas. Udało się.

Otrząsnęła się i wróciła do rzeczywistości...

Stała na grzbiecie fali o wysokości dwustu stóp i patrzyła z góry na dachy domów, nawet na pałac Colhari; oglądała ślady niewiarygodnych zniszczeń wyrządzonych przez rzekę na wybrzeżu od Mostu Głupców aż po zburzony Most Rycerzy: statki i łodzie były powywracane i porozbijane; dziesiątki ludzi w wodzie – niektórzy miotający się rozpaczliwie, inni już tylko unoszący się bezwładnie na powierzchni twarzą w dół; wgniecione i strzaskane ściany magazynów i wylewająca się ze środka woda; ryby rzucające się bezradnie na ziemi...

Aż krzyknęła ze zgrozy na widok ruiny, którą spowodowała. W ułamku sekundy, kiedy jeszcze tkwiła nieruchomo na górze, zanim fala runęła w dół, zabierając ją ze sobą, jakiś anonimowy kusznik strzelił do niej z murów. Bełt strzaskał żebro i przebił płuco.

Jak we śnie, poczuła smak krwi, która napłynęła do ust wraz z oddechem. Jej dłoń leniwie obmacała stalowe pióra bełtu, które wbiły się w skórzany pancerz.

Dostałam, pomyślała tępo. Dostałam. I jeszcze: Udało mi się.

Podczas długiego lotu w dół żadna inna myśl nie przebiegała jej przez głowę, a kiedy Pallas uderzyła o wodę, impet zderzenia zgasił jej świadomość jak zaciśnięta pięść płomien świecy.

## 14

Umundurowany Robotnik kierował pomrukującym cicho pojazdem za pomocą wbudowanego w podłogę drążka – popchnięciem w przód uruchamiał maszynę, pociągnięciem do tyłu zatrzymywał. Poza tym pojazd radził sobie sam, a do obowiązków Robotnika należało jeszcze wyprężanie się w pozycji „na baczność”, uśmiechanie się do pasażerów i prowadzenie z nimi uprzejmych konwersacji, gdyby sobie tego życzyli.

Nikt nie miał ochoty na pogawędki. Marc Vilo, jak na przedstawiciela wyższej kasty przystało, charakteryzował się selektywną ślepotą na obecność wszystkich poniżej Pracownika, a Hari koncentrował się na medytacyjnym cyklu oddechowym, usiłując przezwyciężyć skurcze żołądka i przełknąć drapiące go w gardle kwaśne napięcie.

Marc przyleciał po niego swoim rollsem. Zagadywał go jowialnie przez ćwierć Pacyfiku, nieustannie wracając do ostatnich zakupów, szemranych transakcji, podcinania skrzydeł konkurentom i przykręcania im regulaminowej śruby. Kiedy w polu widzenia pojawiła się okryta chmurami wyspa, milkł, aż wreszcie ucichł zupełnie. Nawet jeśli – jak twierdził –

romansował z Shermayą Dole, nikt nie czuł się swobodnie, wlatując w przestrzeń powietrzną kompleksu mieszkalnego Uprzywilejowanych. A Dole'owie należeli do Pierwszych Rodów.

Dla Hariego cisza była darem niebios. Może Vilo zawsze go tak drażnił, tylko wcześniej przez te wszystkie lata udawało mu się jakoś maskować irytację? Czy ten facet myśli w ogóle o czymś innym niż własny fiut i konto w banku?

Dopiero kiedy rolls zaczął spiralnym lotem schodzić do lądowania na Kauai, Vilo wpadł na to, żeby zapytać, dlaczego Hari poprosił o spotkanie z Shermayą. Ton jego głosu zdradzał, że pyta tylko przez grzeczność, z takim samym zainteresowaniem, z jakim mógłby pogłaskać po łbie przechodzącego obok psa. Bo też, co ciekawego właściwie mógł powiedzieć podkastowy? To pytanie, tak jak właściwie cała wycieczka na Kauai, było po prostu spełnieniem kaprysu Hariego, który powinien chyba teraz – zdaniem Vilo – ucieszyć się jak szczeniaczek z tego dowodu wujowskiej życzliwości.

Jeśli naprawdę tak myślał, to spotkało go rozczarowanie. Kiedy rolls usiadł na trawiastym lądowisku, Hari spojrzął z kamienną twarzą Marcowi w oczy i wycedził przez zęby:

– Chcę ją prosić o przysługę: niech znajdzie jakiś sposób na to, żeby Arturo Kollberg przestał mnie wreszcie ładować w dupala.

Zanim Vilo zdążył zareagować, na zewnątrz jak spod ziemi wyrósł umundurowany asystent i otworzył drzwi rollsa. Ponaglił ich, żeby wysiedli, a potem ruszył przodem przez gęstą, zieloną trawę. Hari zdążył raz, może dwa, zaciągnąć się intensywnym zapachem kwiatów i rzucić okiem na zieleń wspinającą się na zbocza gór, zanim fragment wulkanicznego stoku przed nimi odsunął się na bok i asystent wszedł do czekającej na nich kabiny.

Kabina poruszała się po zaprojektowanej przez komputer trajektorii w wrytych w litej skale tunelach. Od czasów pradziadka Shermai na Kauai obowiązywał zakaz używania maszyn bardziej skomplikowanych od roweru; jedyny środek transportu na powierzchni stanowiły konie. Była to jednak w znacznej mierze iluzja, umowny powrót na łono natury, dzięki któremu Dole'owie i ich goście mogli udawać, że cieszą się nieskalaną przyrodą, nie musząc przy tym rezygnować z nowoczesnych wygod. A tych na Kauai nie brakowało. Niczym nowotwór, w trzewiach wyspy rozrastało się całe podziemne miasteczko, obfitujące we wszelkie możliwe luksusy i obsługiwane przez tysiące służących i techników, starannie ukryte, lecz zarazem wszechobecne.

Podczas gładkiej i bezgłośnej przejażdżki do miejsca przeznaczenia (gdziekolwiek, do diabła, się znajdowało) Hariemu udało się trochę uspokoić nerwy – głównie dzięki temu, że obserwował Vilo. Krępy Biznesmen wiercił się niespokojnie w fotelu, przygryzał niezapalone cygaro, zerkał z ukosa na Hariego i natychmiast odwracał wzrok. Widać było, że poniewczasie dochodzi do wniosku, że sprowadzenie Hariego na wyspę nie było najlepszym pomysłem, ale zdawał sobie sprawę, że nie może pisać ani słowa na ten temat – nie w obecności służby. Bóg jeden wie, jakie plotki by się rozeszły...

Kabina znieruchomiła, drzwi się otworzyły, a Vilo spojrział na Hariego spode łba. Jego mina wyrażała groźbę nie mniejszą niż naładowany pistolet.

– Zachowuj się, Hari – mruknął. – Ja nie żartuję.

Kiedy chwilę później wysiadł, na jego twarzy malował się już dobrze wyćwiczony służalczy uśmiech. Hari wzruszył ramionami, westchnął i ruszył za nim.

Wszedł prosto w tęczę.

Drzwi w skalnym występie prowadziły na szeroką półkę, zawieszoną w dwóch trzecich wysokości omszałego wąwozu, którego dno ginęło we mgle. Wydawało się, że przeciwległa ściana jest na wyciągnięcie ręki. Gdziekolwiek spojrział, widział gęste listowie tysiąca odmian drzew i krzewów, pionową dżunglę we wszystkich możliwych odcieniach zieleni, mieniającą się jaskrawymi kwiatami i opalizującymi skrzydełkami furkoczących w gąszczu tropikalnych ptaków.

Wysoko nad półką, na której stał, drugi występ rozdzielał na dwoje wodospad, dzięki czemu szumiące strugi opływały półkę z obu stron. Pył wodny mienił się w słońcu barwami tęczy.

Dopiero kiedy Dole, w luźnym ubraniu umazanym zielenią i brązem, wstała zza powykęcanego jałowca, Hari zauważył, że cała półka skalna jest wystylizowana na japoński ogród. Wypielęgnowane karłowate drzewka trochę niezdarnie akcentowały ozdobny układ kolorowych kamieni i ciurkającą struzkę wody, zapewne dostarczanej przez podziemne pompy.

– Marcus! – zawołała Dole. – Tutaj jestem!

Skinęła na nich zabrudzonym żywicą sekatorem.

– To jeden z moich projektów – wyjaśniła, ogarniając ogród machnięciem sekatora. – Co ty na to?

Poobijany i sztywny Hari powłókł się za Vilo, w milczeniu słuchając jego kwiecistych pochwał pod adresem ogrodu. Dole przyklęknęła w poprzednim miejscu i wróciła do przycinania krzaczka, a Biznesmen przysiadł na kamieniu obok, nie narzucając się nadmiernie. Hari zatrzymał się w pewnej odległości i czekał, aż jego obecność zostanie zauważona.

Dole zarumieniła się, słuchając Vilo, i machnięciem ręki zbyła jego entuzjazm.

– Wiesz, trzeba umieć sobie znaleźć zajęcie. Praca uszczęśliwia. Nigdy nie rozumiałam, czemu nasi Robotnicy tak jej nie lubią. Komediancie? – Skinęła na Hariego. – Jak ci się podoba mój ogród?

Pasuje tu jak pięść do nosa, pomyślał Hari, ale odparł z szacunkiem:

– Cały pani dom jest ogrodem, Uprzywilejowana.

– No proszę, dyplomata... Chodź, usiądź tu z nami – zaproponowała Dole, a kiedy obolały Hari usadowił się obok Vilo, mówiła dalej: – Twoja Przygoda bardzo mi się podobała, Komediancie. Jutro rano będziesz ją kontynuował, prawda? Chętnie ją obejrzę do końca.

Jestem pewna, że Marcus znowu będzie mi towarzyszył. Nie mogę się doczekać happy endu. Bardzo się martwię o Shannę.

– Ja również, proszę pani – powiedział. Małymi krokami. Do światła. – Nie wiem tylko, czy pozwolą mi wygrać. Właśnie dlatego... poprosiłem o możliwość spotkania z panią.

– Ach tak? – Dole uniosła brwi.

– Sytuacja się skomplikowała – wtrącił Vilo. – Zwłaszcza odkąd Berne ma te wszystkie magiczne moce, miecz i w ogóle. Jak chcesz to załatwić?

Hari pokręcił głową.

– Nie mówię o Bernie. Mam nadzieję, że nim w ogóle nie będę się musiał przejmować. Chodzi o Studio. Oni chcą, żeby Shanna zginęła, bo wtedy będą mieli ciekawszą historię.

– Hari! – Vilo przygryzł cygaro. – Na rany Chrystusa...

– Komediancie... – odezwała się Dole z poważną miną. – To bardzo poważny zarzut. Gdyby dać mu wiarę, mógłby zaszkodzić interesom Studia. Jeżeli będziesz go powtarzał publicznie, grozi ci obniżenie kasty za szkalowanie firmy.

– Nawet jeśli to prawda?

– Zwłaszcza wtedy. W takich sytuacjach prawda nie jest żadną obroną. Poza tym nie wydaje mi się...

– Ta rzekoma awaria, przez którą musieli mnie w nocy ściągnąć... – wszedł jej w słowo zdesperowany Hari. – To nie była żadna awaria. Wiem to od samego Kollberga. Mogłem ocalić Shannę i dlatego mnie ściągnęli. Celowo. Kollberg osobiście uruchomił transfer.

– Nie mogę tego dłużej słuchać! – Vilo zerwał się na równe nogi. – Nie rozumiesz, że zdradzasz w tej chwili tajemnice firmy? Masz pojęcie, czym to grozi? Nie pozostawiasz mi wyboru: albo cię teraz zadenuncjuję, albo zostanę oskarżony o współudział...

– Siadaj, Marcus! – warknęła Dole. – Nie unoś się tak. Ta rozmowa zostanie między nami.

– Nie powiedziałaś, że mi nie wierzysz – zauważył Hari.

– No... – Vilo przestąpił nerwowo z nogi na nogę, po czym znów usiadł na swoim kamieniu. – Kurczę blade... Przepraszam, Mayu. Wszyscy wiedzą, że Studio trochę... miesza w fabułach, żeby Przygody były ciekawsze.

– I to jest zwykła praktyka biznesowa – zauważyła Dole. – Shanna ma umowę ze Studiem, podobnie jak ty, Komediancie. Jeżeli dla dobra firmy konieczne byłoby skazanie cię na śmierć, w świetle obowiązujących przepisów Studio ma pełne prawo to zrobić. Tak jak ja mogłabym kazać któremuś ze swoich pilotów wlecieć w środek burzy: gdyby zginął, byłaby to prosta konsekwencja warunków jego kontraktu, a mnie nie groziłyby żadne zarzuty natury karnej. Ewentualne roszczenia osób trzecich musiałby ustalić sąd cywilny.

– Ja to wszystko wiem – zgodził się z nią Hari. – I zdaję sobie sprawę, że oficjalnie jestem bezradny, bo Studio ma prawo zrobić z nią, co zechce. Dlatego właśnie przyszedłem do pani. Bo wiem, że lubi pani Shannę. Chcę prosić, nawet błagać, jeśli to będzie konieczne,

żeby się pani za nią wstawiła.

– Na miłość boską! – zachnął się Vilo. – Naprawdę myślisz, że Uprzywilejowana nie ma nic lepszego do roboty niż...

– Marcusie, proszę cię... – Dole przeniosła wzrok na Hariego. Jej mina sugerowała, że jest pełna dobrych chęci, ale bezradna. – Przykro mi, Komediancie, ale nie wydaje mi się, żebym mogła coś zrobić w tej sytuacji.

– Ale on... to znaczy Kollberg... kazał Lamorakowi ją zdradzić! Posłał go do Nadświata, bo wiedział, że Shanna mu ufa. A Lamorak przy każdej okazji daje cynk Szarym Kotom. A wie pani dlaczego? Bo Shanna okazała się za dobra w tym, co robi: jest zbyt bystra, za dużo potrafi i mogłaby uratować tych ludzi, bez większego ryzyka, bez wielkich bitew, bez niewinnych ofiar... A wtedy ten pierdolony zasraniec nie sprzedałby tylu sześcianów pośrednich! – Hari drżał na całym ciele, starając się powściągnąć ogarniającą go furję. – Wydymał ją. Kazał Lamorakowi ją zdradzić, tylko po to, żeby zarobić parę marek ekstra.

– No cóż, z pewnością jest to zachowanie godne potępienia, jednakowoż... Zaraz, zaraz, to o to chodziło? Zanim cię ściągnęli?

Dole pochyliła się w stronę Hariego, a na jej twarzy pierwszy raz odmalowało się szczere zaciekawienie.

– Zorientowałeś się, że Lamorak jest zdrajcą i chciałeś go zabić! A niech mnie... To by nie była uczciwa walka.

– Uczciwa walka nigdy mnie nie interesowała. A z Lamorakiem policzę się później. W tej chwili chodzi mi o ocalenie Shanny.

– Rozumiem to, naturalnie, nie wiem jednak, czego ode mnie oczekujesz. Studio nie złamało prawa.

– Rzeczywiście, nie złamało. Ale postępuje niemoralnie.

– Z twojego punktu widzenia.

– Nie mogłaby pani... trochę go... przycisnąć?

– Słucham?

– Przycisnąć Kollberga. Żeby zachowywał się przyzwoicie.

– Nie wydaje mi się... – Dole rozłożyła ręce. – Nie mam takich możliwości. Studio jest własnością publiczną, z założenia odporną na naciski z zewnątrz. Przykro mi.

Hari opuścił głowę i tylko pięści zwieszonych bezwładnie rąk zaciskały mu się i rozluźniały spazmatycznie. Spętany w jego piersi Caine miotał się jak dziki zwierz na uwięzi; przez ułamek sekundy niewiele brakowało, żeby uwolnił się z tej klatki i zaszlachtował Vilo i Dole.

Zgrzytnął zębami, powtarzając sobie w duchu, że ci dwoje nie są jego wrogami. W piersi czuł ogień. Nie umiał zapomnieć o tym, że jeśli wieczorem włączy *Przygody na żywo*, zobaczy uciekające sekundy na zegarze życia Pallas Ril.

Coś na pewno da się zrobić. Na pewno...

– Zaraz... – Podniósł głowę. – Przecież jest pani Patronką Shanny. Shanna jest rzeczniczką trzech albo czterech pani firm, jest... jak by to powiedzieć... symbolem korporacyjnym. Prawda?

– No tak... – przyznała Dole.

Vilo pokręcił głową.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z czymkolwiek.

Hari zerwał się na nogi z błyskiem w oku, wymachując rękami, jakby szukał inspiracji w powietrzu.

– Nie rozumiecie?! Rola rzeczniczki nadaje jej dodatkową wartość! Jest cenna dla firm, które reprezentuje. I może tę wartość dałoby się w sensie prawnym oddzielić od jej kontraktu aktorskiego!

Vilo zmarszczył brwi.

– Chcesz ścignąć Studio w oparciu o prawo do wizerunku? – spytał sceptycznie.

– A czemu nie? Czemu nie... Planując jej śmierć, Kollberg działa umyślnie i umniejsza jej wartość jako rzeczniczki, prawda? Jeżeli Shanna umrze, pojawi się nowy rzecznik i konsumenci przestaną się identyfikować z firmą, która może ponieść całkiem wymierne straty...

– To absurd! – powiedział Vilo. – Nikt nigdy nie próbował czegoś takiego. Do licha, gdyby to się udało, taki precedens mógłby zniszczyć system funkcjonowania Studia. Przecież nawet wypuszczenie Aktora na kilka całkiem nudnych i niegroźnych Przygód zmniejszałoby jego wartość jako rzecznika czy bohatera kampanii reklamowej...

Hari nie słuchał. Z zapartym tchem śledził emocje malujące się na gładkiej, życzliwej twarzy Uprzywilejowanej. Dominowało powątpiewanie, naturalnie, ale było widać, że Dole się zastanawia i jest coraz bliższa podjęcia decyzji.

Nagle wyciągnęła do niego rękę.

– To... genialne! – skonstatowała. – Co z tego, że nikt tego nie próbował? Arturo Kollberg rozmyślnie umniejsza zyski niekonkurencyjnej firmy, i w dodatku jest w tym całkowicie bezkarny, bo występuje z pozycji urzędnika państwowego. Przy odrobinie szczęścia załatwię mu nakaz zaprzestania działalności jeszcze dzisiaj, przed końcem dnia roboczego.

Wstała, dotknęła przybandażowanej do piersi ręki Hariego, a potem zupełnie nieoczekiwanie objęła go i przytuliła. Hari, z głupią miną, spojrzał ponad jej ramieniem na Marca. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Wiedziałam, że naprawdę ją kochasz – mówiła dalej Dole. – Że nie udajesz. Czułam to. Dziękuję ci za to, że znalazłeś sposób na to, żebyśmy mogła jej pomóc.

Hari czuł mrowienie w całym ciele – spowodowane po części dzielącą ich różnicą kast i faktem, że Uprzywilejowana zniżyła się do dotknięcia eks-Robotnika, a po części zapowiedzią zwycięstwa.

Dole spoważniała.



– Powiem ci coś jeszcze. Jeżeli znajdziemy jakieś dowody, mocne, takie, żeby sąd nie mógł ich łatwo obalić, przyrzekam ci, że nie spocznę, dopóki nie zmiażdżę tego małego łajdaka. Nie będzie miał okazji drugi raz spróbować tej sztuczki. Ale to nie będzie łatwe. Jak wiesz, ich dokumenty i procedury są niepodważalne...

– Wiem – odparł Hari szeptem, bojąc się, że mógłby mu się załamać głos.

Małymi krokami. Do światła.

– Coś na niego znajdę. Zobaczysz.

– Nie wątpię.

Dole odwróciła głowę i przemówiła w powietrze:

– Robercie...

Z ukrytych w skale dysz trysnęły obłoczki pary, w której przecinające się promienie laserów wykreśliły animowany hologram majordomusa.

– Słucham, pani?

Zaczęła mu wydawać polecenia dla całej rozległej galaktyki prawników obsługujących ród Dole'ów. Hari i Marc musieli poczekać, aż wszystko zaplanuje. W ciągu tych paru minut Hari dwa razy zauważył, jak Marc przygląda mu się spod przymrużonych powiek, z obcym mu wcześniej podziwem, jakby to, co zobaczył, nie do końca zgadzało się z tym, czego się spodziewał.

W odpowiedzi wzruszył wymownie ramionami.

Tata miał rację, pomyślał. Nie muszę wszystkich problemów rozwiązywać pięściami.

Ojciec radził mu cał po calu iść w stronę światła. Sęk w tym, że nie wszystkie całe są równej długości.

# DZIEŃ SZÓSTY

- *Hari? Hari, obudź się.*
- *Brghrrr...?*
- *Tak sobie siedziałam i myślałam... Dłużej tak nie dam rady.*
- *Shan... Z czym nie dasz rady? Na miłość boską, jest czwarta w nocy. To nie może poczekać do rana?*
- *Nie podoba mi się to, kim się przy tobie stałam, Hari. Rozumiesz mnie? Jesteś w ogóle w stanie to pojąć?*
- *O tej porze niczego nie jestem w stanie pojąć...*
- *Chcę rozwodu, Hari.*

## 1

Ankhana położyła się spać ze zgrozą i niedowierzaniem, ale niedowierzanie ulotniło się w ciągu nocy i o świcie została sama zgroza: leniwa, niespieszna, jak lodowate zęby gruchoczące człowiekowi kości.

W mieście nie było nikogo, kto nie słyszałby o bitwie w porcie; każdy miał znajomego albo członka rodziny, który widział ją na własne oczy. Niektórzy wiązali ją z niedawnymi eksplozjami w Parku Przemysłowym. Wyglądało na to, że w ostatnim czasie stolica codziennie staje się areną zaciętych walk.

Obywatele dostatecznie odważni (lub zdesperowani), żeby rano wyjść na ulicę, często oglądali się przez ramię. Szli niespiesznie lub przemykali chyłkiem – wszystko zależało od tego, jak mały (lub jak duży) dystans dzielił ich od bramy lub zaułka, w których mogliby się skryć, gdyby znów zaczęło się coś dziać.

Przemoc w Ankhanie była na porządku dziennym, ale do tej pory obowiązywały jednak jakieś granice. Bójka mogła się skończyć pchnięciem nożem, strażnicy mogli się zetrzeć z gangiem skalników w Mieście Obcych, ale regularna uliczna bitwa była nie do pomyślenia.

Skala wydarzeń dodatkowo potęgowała lęk: długie na tysiąc jardów jęzory ognia, pożar w porcie, gigantyczna fala wody – to wszystko było niepojęte, niemożliwe do ogarnięcia. Kto

mógł się czuć bezpiecznie, nawet w domu za murami Starego Miasta, jeśli w biały dzień w Ankhanie działały się takie rzeczy?

Kiedy Ma'elKoth rozpoczął kampanię oczyszczania cesarstwa z *Aktirich*, tylko najbardziej dziecinnie przesądni z jego poddanych wierzyli w istnienie takich stworów. W miarę jak coraz więcej *Aktirich* znajdowano w całym cesarstwie, czasem na wysokich stanowiskach, nawet wśród arystokracji, miejsce niedowierzania zajmowała nerwowa podejrzliwość.

Ludzie zaczęli nagle zauważać dziwactwa swoich sąsiadów i znajomych, drobiazgi, które wcześniej wydawały się nieszkodliwe, teraz zaś – jako niewyjaśnione – stały się niespodziewanie złowogie. Nikt przecież nie miał pewności, że ten czy ów nie jest przypadkiem *Aktirem*.

Rozeszły się plotki, że istnieją magiczne kamienie probiercze, które przy dotknięciu *Aktira* wydają głośny dźwięk. Mówiło się również o diabelskich znamionach znajdujących na ciałach *Aktirich*, o mężczyznach, którzy po przebudzeniu znajdowali obok siebie w łóżku *Aktira* zamiast ukochanej żony (podmiany dokonano o północy, podczas nowiu), o klątwach rzucanych przez *Aktirich*, o otruciach, rzeziach i innych okrucieństwach. Każda kolejna opowieść była bardziej przerażająca od poprzedniej, jakby prawdę można było odkryć tylko przez przebicie wszystkiego, co wiedziano wcześniej. W głębi duszy wszyscy przypuszczali, że najgorsze dopiero nadejdzie, toteż każdą taką fantazję traktowano jak niepodważalny dowód przyszłych nieszczęść.

Nie było zgody co do tego, jak można zniszczyć *Aktira*. Niektórzy twierdzili, że wystarczy zwykły kołek jesionowy wbity w serce, inni utrzymywali, że trzeba *Aktirowi* zaszyć usta, napełniwszy je uprzednio miedziakami, następnie odciąć głowę i pogrzebać ją twarzą w dół na rozstajach. Większość była zgodna co do tego, że skuteczne będzie także spalenie *Aktira* żywcem na stosie drewna nasączonego oliwą pobłogosławioną przez kapłana Prorithuna.

Mieszkańcy prowincji dużo i chętnie eksperymentowali (z tymi i innymi technikami) na tradycyjnych wyrzutkach: starych wdowach, ekscentrykach mieszkających w pojedynkę na skraju wioski i im podobnych. Wszystkie sposoby skutkowały doskonale.

Z czasem do miast zaczęły się przesączać historie o zamożnych wieśniakach, a nawet drobnych posiadaczach ziemskich, którzy także padali ofiarą takich oskarżeń. Miastowi robili mądre miny i kiwali znacząco głowami nad tymi dowodami wieśniaczej przesądności, domniemując – zazwyczaj słusznie – że oskarżyciele zazwyczaj w taki lub inny sposób wchodzili w posiadanie dóbr oskarżonych.

Dopiero znacznie później światowi zaczęli się zastanawiać nad tym, jak ich dziwactwa i kaprysy mogą być postrzegane przez mieszkających po sąsiedzku chłopów. Dotarło do nich, że sami są narażeni na takie fałszywe zarzuty, aż w końcu zaczęli zerkać na swoich jeszcze zamożniejszych sąsiadów i oceniać ich pod kątem podatności na naciski i inkryminacje.

Napięcie w cesarstwie narastało od miesięcy, mimo że większość obywateli niechętnie i bez przekonania przyznawała, że *Aktiri* mogą w istocie być czymś więcej niż postaciami z dziecinnej opowiadki o duchach. Wielu, ze starannie ukrywanym zainteresowaniem dawało posłuch historiom o Simonie Błaźnie, nieuchwytnym buntowniku, który na pozór bez wysiłku wymykał się przedstawicielom legalnych władz cesarstwa. Simon Błaźen stał się bohaterem ludowym, przebiegłym łotrzykiem, który gra na nosie samemu Ma'elKothowi.

Teraz zaś wystarczyło, by każdy, kto nadal myśli o nim z sentymentem, przystanął na chwilę nad rzeką i spojrzął na ruiny Mostu Rycerzy albo rzucił miedziaka heroldowi *Kuriera Cesarskiego – Wiadomości* i wysłuchał wyrecytowanej przez niego listy ponad stu niewinnych ofiar masakry w porcie: marynarze, dokerzy, robotnicy z magazynów i urzędnicy nagle, bez ostrzeżenia, po prostu przestali istnieć. Simon Błaźen nadawał się na bohatera opowieści do poduszki, ale jako rzeczywisty, potężny, nieubłagany wróg imperium stał się po prostu przerażający.

Heroldzi w liberiach opowiadali również o tym, jak został schwytyany odpowiedzialny za te niewyobrażalne zniszczenia taumaturg – a wszystko dzięki hrabiemu Berne'owi, który wykazał się heroiczną odwagą. Heroldzi w złoto-zielonych uniformach konkurencyjnej agencji, *Aktualności Colina*, kładli nacisk na inne aspekty wydarzeń: opowiadali o pewnym wyśmienitym strzelcu oraz o barce pełnej *Aktirich*, którym udało się ujść w dół rzeki. Żołnierze przysięgli ich doścignąć i sprowadzić, ale na razie nie udało im się tego dokonać.

*Aktiri* nagle stali się rzeczywistym elementem ankhańskiego świata, jak nigdy przedtem. Istnieli naprawdę, dokładnie tak potężni i przerażający, jak opisywały to najstraszniejsze legendy, i to nie gdzieś daleko, za morzem, nie na prowincji, nawet nie w wielkim mieście na drugim krańcu cesarstwa, lecz tu i teraz.

Ci spośród mieszkańców miasta, którzy mieli ciągoty religijne, modlili się w intencji Ma'elKotha – prosili bogów o opiekę nad cesarzem i wsparcie jego zbrojnego ramienia w wojnie na śmierć i życie, jaką wydał tym przeklętym *Aktirim*. Znacznie więcej było jednak takich, którzy – nienawykli do klęczenia – czuli się w tej pozycji niezręcznie, pochylając głowy przed figurkami w domowych kapliczkach. Zamiast modlić się za cesarza, modlili się do niego. Innej tarczy Ukochane Dzieci Ma'elKotha nie miały.

Obiekt ich modłów był tego dnia bardzo zapracowany. Zrzucił codzienny rytuał pracy nad Wielkim Dziełem i spacerował w tę i z powrotem przed zakrwawionym ołtarzem w Żelaznej Komnacie.

Część krwi była świeża: przesączała się przez schludnie zawiązane bandażę opasujące świszczącą ranę w piersi Pallas Ril, która leżała rozkrzyżowana na kamiennym ołtarzu.

Przesłuchanie postępowało nadzwyczaj powoli, Arkadeil bowiem nie nadawał się do pracy, a Ma'elKoth nie chciał powierzać tak delikatnego zadania żadnemu z jego asystentów. Stosowanym przez niego technikom brakowało zapewne elegancji i wyrafinowania cechujących poczynania Arkadeila, był jednak przekonany, że w ostatecznym rozrachunku

okażą się nie mniej skuteczne.

## 2

Kłębiący się tłum podkastowych uderzył w bramę Studia i odbił się od niej jak fala od falochronu. Horda zdesperowanych fanów przerosła najśmielsze oczekiwania Studia – przybyło ich dwa, może nawet trzy razy więcej niż się spodziewano i teraz szczerlnie wypełniali okoliczny teren, przyciśnięci plecami do stojących w oddali domów. Podekscytowany ochroniarz, stojący na szczycie oblanej porannym brzaskiem bramy, wybełkotał do mikrofonu, że z górą dwa miliony ludzi oczekują przybycia Caine'a.

Niewiele przesadził.

Czekało ich rozczarowanie, ponieważ Caine już był w środku.

W szpitalu został ostrożnie rozebrany z pokrytego zakrzepłą krwią skórzanego pancerza, który trafił na przechowanie do skarbcza. Hari przyleciał taksówką na długo przed świtem. Kollberg znalazł go właśnie w skarbcu.

Skarbiec z generatorem pola normalnego Nadświata zapewniał niemal idealną prywatność. Ściany nie przepuszczały żadnych dźwięków, a lekko zmienione prawa fizyki obowiązujące w obrębie pola wykluczały podsłuch elektroniczny.

Wchodząc do skarbcza, Kollberg wystawił przy drzwiach dwóch fizjologicznych ochroniarzy w pełnym policyjnym rynsztunku. Dwóch kolejnych wziął ze sobą, wydając im jasne rozkazy: mieli stanąć między nim i Michaelsonem i trzymać tamtego na muszce, a gdyby próbował zaatakować, strzelać bez ostrzeżenia.

Michaelson stał się kompletnie nieprzewidywalny i, planując spotkanie z nim, Kollberg zakładał, że przy pierwszej okazji może chcieć się na niego rzucić. Poprzedniego wieczoru popełnił błąd: stanął na linii ognia i tylko masywne biurko ochroniło go przed obrażeniami. Nie zamierzał tego błędu powtórzyć.

Najbezpieczniej byłoby nie spotykać się z Michaelsonem w ogóle i polecić komuś innemu przekazać ostatnie instrukcje. Miał jednak świadomość, że rozwiązanie najbezpieczniejsze wcale nie musi być najlepsze. Polecenia, które musiał wydać Michaelsonowi, były nadzwyczaj delikatnej natury i im mniej ludzi o nich wiedziało, tym lepiej. Dlatego właśnie wziął ochroniarzy-Fizoli, zamiast bardziej elastycznych i odpowiedzialnych Robotników – żaden sąd nie potraktowałby poważnie zeznania Fizola.

Poza tym przez całą noc dusił się we własnym sosie, wściekły po krótkiej, oschłej rozmowie z adwokatem Dole'ów. Do czego to dochodzi – żeby Pracownik śmiał się naprzykrzać Administratorowi! W dodatku przemawiał tak bezczelnie, że Kollberg natychmiast poskarżył się na niego Policji Społecznej. Niewiele mu to jednak pomogło i nadal czuł w żołądku kulę kwasu.

Wszystko to razem – zamieszanie z adwokatem, potworny stres związany z przygotowaniem do zakończenia Przygody, oraz amfetamina, z której czerpał energię do pracy – sprawiło, że do rana nie zmrużył oka.

Nie mógł pozwolić na to, żeby taki incydent przeszedł bez echa. Caine mógł sobie być gwiazdą, ale Michaelson nadal był zwykłym Pracownikiem i nie miał prawa wywyższać się nad lepszych od siebie. Prawdę mówiąc, całe to zdarzenie niepokoiło Kollberga bardziej niż mordercze zamiary Michaelsona. Przemoc byłaby po prostu naturalną konsekwencją jego nasilającego się niezrównoważenia, natomiast wszystkie te nedorzeczne gierki prawne odbierał jako wyrachowaną, celową zniewagę.

Wszedł do skarbca w ślad za idącymi w nogę Fizolami. Michaelson stał przed lustrem w garderobie. Na kołku wisiał skórzany strój Caine'a, podłogę zaścierały kawałki pociętego nożyczkami plastra, który do niedawna oklejał mu pierś. Ubrany tylko w skórzaną bieliznę Michaelson wykonywał serię skomplikowanych ćwiczeń rozciągających, krzywiąc się i pojękując, gdy sprawiały mu ból.

Wyglądał gorzej niż Kollberg się czuł. Mimo antybiotyków topornie zaszyta rana barku płonęła wścieklą czerwienią, plecy miał spuchnięte i prawie czarne od równiutkich, okrągłych sińców po żelkulach, których największe skupisko znajdowało się w pobliżu sporego czerwono-fioletowego krwiaka, pozostawionego przez okutą żelazem pałkę strażnika z Donzonu. Kolejny siniak wylewał się spod bandaża na kolanie i nawet niewprawne oko Kollberga dostrzegło niezwykłą u Caine'a sztywność ruchów. Błede, zapadnięte policzki i cienie pod oczami sugerowały, że i on sobie ostatnio nie pospał.

Michaelson spojrział w lustrze Kollbergowi w oczy, prześliznąwszy się wzrokiem po ochroniarzach.

– Kollberg – powiedział beznamiętnie. – Nic tu po tobie.

– Dla ciebie Administrator Kollberg – odparł Kollberg z oschłym uśmiechem.

Wyraz twarzy Michaelsona nie zmienił się ani na jotę.

– Wal się, gnojku.

Kollberga przeszły lodowate ciarki, jakby dotknął źle uziemionej końcówki kabla. Zamrugał raz, drugi, wziął głęboki wdech i odparł spokojnie:

– Albo okażesz mi należny szacunek, albo cię zniszczę za naruszenie praw kastowych.

– Okazałem ci tyle szacunku, na ile zasługujesz, ty sflaczały worku gówna. Rób, co chcesz.

Kollberg zerknął na stojące między nimi cyborgi.

– Mógłbym po prostu kazać cię zastrzelić.

Michaelson wzruszył ramionami.

– A co wtedy powiesz Uprzywilejowanym? Jest już pewnie z milion takich, którzy zapłacili za to, żeby dziś rano stać się mną, prawda? Nie wpadłeś na to, że zrobienie ze mnie supergwiazdy obróci się kiedyś przeciwko tobie i ugryzie cię w dupsko?

Kollberg pokiwał głową. Rzeczywiście, powinien był to przewidzieć.

– Przyszedłem, żeby... hm... przedstawić ci pewne ogólne zasady obowiązujące w tej Przygodzie. Rozmawiałem już o tym z Radą Zarządców. Zgodzili się. Włącznik transferu awaryjnego pozostanie aktywny. Przy pierwszym wywrotowym komentarzu zostaniesz odwołany, a Przygoda zakończona.

Michaelson nie reagował. Z niezwykłym skupieniem wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Oglądał dłonie, czubki palców, obmacując i uciskając po kolei wszystkie zdobiące mu ciało blizny.

– Komentarzem wywrotowym będzie każda wzmianka o twoim zobowiązaniu kontraktowym do zabicia Ma'elKotha – ciągnął Kollberg. – Kiedy się spotkacie, będzie to efekt twojej prywatnej wendety. Zrozumiałeś? Jeśli piśniesz choćby słowo o interwencji Studia, zostaniesz natychmiast odwołany.

Zamiast odpowiedzi palce Michaelsona prześliznęły po dwóch starych romboidalnych bliznach – na brzuchu i plecach – po pchnięciu mieczem w wątrobę.

– Jeżeli wspomnisz o tym, że Lamorak zdradził Pallas Ril, zostaniesz natychmiast odwołany. Bez względu na to, czy będziesz to tłumaczył warunkami jego kontraktu, czy nie.

Michaelson powiódł palcami po zygzakowatej bliznie na obojczyku.

– Jeżeli w jakikolwiek sposób zdradzisz się ze swoją mylną opinią, że kłopoty Pallas Ril wynikają z polityki lub dyrektyw Studia, zostaniesz natychmiast odwołany.

Michaelson dotknął podłużnej, mocno uwypuklonej blizny na prawym udzie.

– Jeżeli zostaniesz odwołany z któregoś z wyżej wymienionych powodów, nie wrócisz już do Ankhany. Twoja żona będzie zdana tylko na siebie. Dziennikarze zostaną poinformowani, że awarie transferu wynikają z pewnych specyficznych uwarunkowań ankhańskiego świata i nie możemy cię dłużej narażać na niebezpieczeństwo. Próba publicznego zaprzeczenia tym wyjaśnieniom poskutkuje twoją degradacją do kasty Robotników. Zostaniesz odesłany do slumsów, z których pochodzisz.

Michaelson wciągnął bez pośpiechu skórzane spodnie, narzucił brązową od skrzeplej krwi kamizelkę i zasnurował ją na piersi, sprawdzając przy okazji, czy noże dobrze siedzą w pochwach.

– Do walki z Ma'elKothem masz doprowadzić poza obrębem pałacu Colhari. Studio za dużo zainwestowało w tę Przygodę i nie dopuści do tego, żeby jej finał rozegrał się za kulisami. Albo go zgładzisz, albo zginiesz, próbując tego dokonać. Trzeciego wyjścia nie ma. Jeżeli złamiesz któryś z tych warunków, po powrocie zostaniesz oskarżony o szpiegostwo przemysłowe i zniesławienie i zdegradowany do niższej kasty. – Kollberg uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby. – Ten wymierzony we mnie durny nakaz zaprzestania działalności zawiera informacje, które Dole'owie musieli zdobyć od ciebie, dzięki czemu jest oczywistym dowodem szpiegostwa. Mam cię w garści, kapujesz? W każdej chwili mogę cię zgnieść jak robaka.

Michaelson włożył miękkie półbuty z czarnej skóry.

– Pytałem, czy kapujesz?

– Kapuję.

Głos Michaelsona był przytłumiony, beznamiętny i niewiele się różnił od warknięcia. Z pewnością nie było w nim uległości, której oczekiwał Kollberg. Której się domagał.

– Nie myśl sobie, że Shermaya Dole cię ochroni – dodał Kollberg. – Nie przed Studium. Nie kiwnie palcem.

– Nie oczekuję tego.

Dopiero teraz Michaelson odwrócił się i spojrzał Kollbergowi w oczy Administratora przesył lodowaty dreszcz.

– A jak myślisz, kto ochroni ciebie? – zapytał Michaelson.

Kollberg wybałuszył oczy.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś?!

– Owszem. A teraz ty posłuchaj mnie: nic cię nie ocali.

– Co takiego?!

Nie do wiary. Takiego zachowania nie można tolerować! Michaelson się zapomina!

Kiedy Kollberg zajął z bliska w te pozbawione wyrazu ciemne oczy, zorientował się, że nie rozmawia już z Harim Michaelsonem.

Przed nim stał Caine.

– Przegiąłeś – powiedział Caine. – Przekroczyłeś wyznaczoną przeze mnie granicę i za to zginiesz. Zabiję każdego, kto w ten sposób pogrywa z Shanną. Nawet jeśli wygram, jeśli przeżyję, sprowadzę Shannę z powrotem, zabiję Berne'a i Ma'elKotha i bóg wie, kogo jeszcze, a potem wrócę na Ziemię cały i zdrowy i będę żył długo i szczęśliwie... Nawet wtedy nie będzie dla ciebie happy endu. Ciesz się ostatnimi dniami swojego życia, Kollberg. Niewiele ci ich zostało.

Kollberg gapił się na niego tępo, na przemian otwierając i zamykając usta z wilgotnym mlaskaniem, jak wyrzucona na ląd ryba. Caine przeciągnął się ostatni raz; stawy strzeliły mu jak odległa karabinowa salwa. Wyłamał palce obu rąk, jeden po drugim.

– Widownia, która w tej chwili na mnie czeka, jest dla was warta jakieś piętnaście miliardów marek – przypomniał Kollbergowi. – Zejdź mi z drogi.

### 3

W świetle reflektorów włosy połyskują metalicznie. Usta lśnią wilgotno, jak rozpalone pożądaniem.

– Bronson Underwood, witam ponownie w *Przygodach na żywo*. Tematem dnia jest dziś w dalszym ciągu Przygoda Dekady. Poharatany, ale niezłomny Caine za kilka minut wróci do



Ankhany, gdzie podejmie ostatnią desperacką próbę ocalenia żony przed możliwością desynchronizacji amplitudy. W rogu ekranu widzicie państwo zegar życia Pallas Ril: według naszych szacunków zostało jej niespełna trzydzieści sześć godzin życia. Ale biorąc pod uwagę chaotyczne zaburzenia mechanizmu kontroli fazy, desynchronizacja może się teoretycznie rozpocząć już w ciągu najbliższej doby. Tak czy inaczej, czasu jest niewiele. Tarapaty Pallas Ril i podejmowane przez Caine'a heroiczne próby jej ocalenia przykuwają uwagę publiczności na całym świecie. A Studio nie zasypia gruszek w popiele. Więcej na ten temat, na żywo ze Studia w San Francisco, nasz korespondent Jed Clearlake.

– Dzień dobry, Bronson.

– Dzień dobry, Jed. Czekają nas wielkie wydarzenia, nieprawdaż?

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Od kilku lat relacjonuję dla *Przygód na żywo* wydarzenia w Ankhany i chyba nie ja jeden mam świadomość, że takiego show jeszcze San Francisco nie widziało. Statystyka opublikowana dziś rano przez Studio po prostu zapiera dech w piersi. Poprzedni rekord liczby bezpośrednich podłączonych do jednej Przygody, ustanowiony zaledwie cztery dni temu podczas rozpoczęcia *Z miłości do Pallas Ril*, został dziś pobity ponad dziesięciokrotnie! Zapotrzebowanie na dostęp do Caine'a zmusiło Studio na całym świecie do zawieszenia innych Przygód, żeby zapewnić wystarczającą liczbę miejsc na dzisiejszy wyjątkowy poranek. W tej chwili Caine przygotowuje się do transferu, a z najnowszych informacji wynika, że zainteresowanych dostępem bezpośrednim jest aż milion sześćset tysięcy widzów! Ponieważ możemy spokojnie założyć, że znakomitą większość stanowią wśród nich Uprzywilejowani i Inwestorzy, ponad siedemdziesiąt procent potencjalnej publiczności Caine'a będzie uczestniczyło w przekazie bezpośrednim. Tymczasem ponad miliard widzów złożyło już zamówienia na sześciany pośrednie. To coś więcej niż Przygoda Dekady, Bronson, to historia stulecia.

– Imponujące liczby, Jed. Naprawdę imponujące. Czy podczas tego niezwykłego wydarzenia Studio udostępni nam znowu fragmenty przekazu na żywo?

– Jestem w stałym kontakcie z biurem Przewodniczącego Arturo Kollberga, skąd płyną cały czas te same sygnały: bądźcie przygotowani. Wydaje mi się, Bronson, że to dobry znak.

– Dziękuję, Jed. Za chwilę znów się z tobą połączymy, a na razie przenosimy się do Chicago, gdzie Jessica Roan wysłedziła rodziców Pallas Ril: Alana i Marę Leightonów. Właśnie przybyli do Studia, żeby na żywo uczestniczyć w tej niewiarygodnej przygodzie? Jessico...?

– Dzień dobry, Bronson...

Cały świat czeka, wierci się niecierpliwie i ślini jak żarłok, który zwęszył ucztę.

System monitoringu personelu Studia namierzył Kollberga zaraz po wyjściu ze skarbcza. Najbliższy ekran ścienny rozjarzył się światłem i obwieścił:

– Administratorze Kollberg, pilna wiadomość od Pracownicy Mony Carson.

Carson była szefową działu prawnego Studia w San Francisco. Wiadomość od niej z pewnością oznaczała poważne problemy. Kollberg zaklął pod nosem i wytarł spocone ręce o kitel.

– Słucham.

Na ekranie pojawiła się nieco ptasia twarz Carson. Delikatnie zarysowane brwi miała zmarszczone w wyrazie głębokiej troski.

– Administratorze, Patroni Caine’a i Pallas Ril są w tej chwili w techkabinie przy Cavei. Towarzyszy im Policja Społeczna. Proszę potwierdzić odbiór wiadomości i jak najszybciej spotkać się tam ze mną.

Jakby go ktoś ogłuszył – na drabinie kastowej znajdował się co najmniej dwa szczeble za nisko na to, żeby nie przejmować się pospólami. Na wieść o tym, że na niego czekają, ugięły się pod nim nogi. Korytarz zakręcił się wokół niego. Przez moment bał się, że zaraz zemdleje, ale po chwili zawroty głowy ustąpiły i wygrzebał z kieszeni pudełko amfy. Wytrząsnął kapsułkę na dłoń i z trudem przełknął ją na sucho. Odesłał ochroniarzy. Nie wypadało się z nimi pokazywać. Jeszcze by ktoś pomyślał, że się boi...

Zerknął ponownie na ekran i wezwał prywatną windę. Wsiadł do niej z przesadną determinacją, tak jakby okazywanie udawanej pewności siebie mogło mu przysporzyć tej prawdziwej.

Kiedy zdyszany dotarł do techkabin, Carson czekała na niego przed drzwiami.

– Nic nie mogłam zrobić, Administratorze. Wytoczyli nam proces przez zaskoczenie. Policja Społeczna ma prawomocny nakaz. Jako instytucja zaufania publicznego mamy wprowadzić pewne gwarancje nietykalności, ale udało im się je obejść. Posłałam już swoich ludzi do sądu po tymczasowy nakaz odwołania pospółów, ale trzeba się będzie wyklócić. W najlepszym razie pospóły spędzą tu najbliższe parę godzin.

– Chodzi o ten przeklęty nakaz zaprzestania działalności, prawda?

Carson pokiwała głową.

– Przyjechali z pospólami, żeby dopilnować wykonania go.

Kollberg uderzył pięścią w otwartą dłoń. Włoski na rękach stanęły mu dęba – pierwsza oznaka działania amfetaminy.

– Niech ich szlag! Ale w porządku, ja się nimi tu zajmę, a ty rób swoje.

– Postaram się, ale mam przeciwko sobie adwokatów Dole’ów...

Więcej nie musiała mówić. Kollberg w lot ją zrozumiał.

– Zrobimy co w naszej mocy, Mona. Nie poddawaj się.

Pokiwała głową i odeszła, obiecując, że będzie walczyć. Kollberg kilka razy odetchnął głęboko, przyglądał kitel i wszedł do techkabin.

Shermaya Dole siedziała na fotelu przy jego stanowisku, niczym udzielna królowa wśród oszołomionych techników, którzy nigdy wcześniej nie mieli okazji oglądać Uprzywilejowanej z bliska i teraz jękali się, potykali o własne nogi i okazywali jej zenującą służalczość. Obok niej – niczym księżę małżonek – stał Marc Vilo, a za nimi Kollberg zobaczył dwa pospoły w granatowych kombinezonach i maskach ze srebrzystymi osłonami twarzy.

– Uprzywilejowana Dole, Biznesmenie Vilo... To dla mnie zgoła niespodziewany zaszczyt, gościć was w mojej techkabinie – powiedział z nieszczerym uśmiechem na mięsistych wargach.

Vilo prychnął lekceważąco, nie kryjąc pogardy.

– Marc, daj spokój – odezwała się Dole. – Zachowuj się. – Wyprostowała się w fotelu i mówiła dalej władczym tonem: – Przykro mi, Administratorze, że spotykamy się ponownie w takich... niesprzyjających okolicznościach. Mam nadzieję, że rozumiesz, że te szczególne środki... – wskazała stojące za jej plecami pospoły – ...nie są bynajmniej wymierzone w ciebie. Zabrałam ich ze sobą ze względu na niepokojące pogłoski, które w sieci stają się pomału tajemnicą poliszynela. Uznałam, że muszę interweniować w obronie naszych rodowych interesów i naszych podkastowych.

– Tajemnica poliszynela? – powtórzył Kollberg, udając uprzejme zdziwienie.

Suka próbowała zdjąć Michaelsona z haczyka, a Kollberg w tej chwili niewiele mógł na to poradzić.

– Otóż to. Zdaję sobie sprawę, że kontrakty i dokumentacja Studia są objęte tajemnicą, ale ewentualne zeznania funkcjonariuszy Policji Społecznej mogą zostać uwzględnione jako dowód w sądzie.

– Widzę, że zna się pani na prawie biznesowym – mruknął Kollberg.

Dole wzruszyła kokieteryjnie ramionami. Zdaniem Kollberga, u pulchnej kobiety w średnim wieku wyglądało to obrzydliwie.

– Mam różne hobby. Trzeba umieć sobie znaleźć zajęcie. Ale na nas już czas. Marc zaprosił mnie do swojej prywatnej łoży, a Caine przecież zaraz się pojawi na platformie transferowej. Dziękuję za poświęcony nam czas, Administratorze, i przepraszam za kłopot. Chodź, Marc.

Shermaya Dole wstała i oboje wyszli. Kollberg zmierzył pospoły wzrokiem: nie ruszyły się z miejsca i czuł się nieswojo na myśl o tym, że miałby zasiąść w swoim fotelu, mając je za plecami.

– Krzesła dla panów z policji – polecił jednemu z oniemiałych techników. – Migiem!

Technik wymknął się z techkabin.

– Postoimy – odparł jeden z policjantów. Stali tak blisko siebie, że Kollberg nie umiałby rozróżnić, który z nich był źródłem cyfrowo przetworzonego głosu. – Kiedy zachce się nam siedzieć, usiądziemy. Proszę robić swoje.

Kollberg odkasznął w zaciśniętą pięść i usiadł niepewnie. Dokuczała mu świadomość

śledzących go zza pleców obcych oczu.

– W porządku – powiedział nerwowo. – Jedziemy. Dajcie znać do zielonej komnaty. Caine wchodzi za pięć minut.

## 5

Klitka, która się wokół mnie materializuje, jest niewiele większa od trumny i w dodatku przechylona pod jakimś nienormalnym kątem: została wbudowana w ścianę, która najdalej w ciągu miesiąca powinna na dobre osiąść i się zawalić. Odrobina szarawego światła sączy się przez szparę nad moją głową. Śmierdzi zapleśniałym tynkiem i mokrym węglem drzewnym.

Zapieram się ramieniem o spęczniałe od wilgoci drzwi, jak najdalej od zawiasów. Słychać krótkie, stłumione skrzypnięcie, jak pisk prosiaka trzymanego w jutowym worku, ale drzwi nie ustępują.

Trudno, pieprzyć dyskrecję.

Opieram się mocno plecami o ścianę i kopię w drzwi w połowie ich wysokości. Nadgniłe drewno bardziej się drze niż łamie. Zgrzytają zardzewiałe gwoździe, a ja wchodzę do ruin tego samego magazynu w Parku Przemysłowym, z którego zostałem ściągnięty do domu.

W kałużach wody na podłodze leżą połamane dachówki; szczątki sklepienia obwisły jak gałęzie umierającej wierzby. Fraktalne zarysy gęstych, stalowoszarych chmur wiszą nisko nad moją głową, resztki deszczu kapią do środka przez dziury w dachu. Z zewnątrz dolatuje też stukot okutych kopyt na bruku, czasem jakiś okrzyk albo przekleństwo przechodnia.

Unoszę ręce, zadzieram głowę i spoglądam wprost w blade światło dnia. Oddycham Ankhana, czekając na ten gwałtowny przypływ wolności, który zawsze się wiąże z Przygodami.

Czekam na próżno.

Czuję nieznośny ciężar, brzemień na ramionach, jakby chmury były kamieniami, które dźwigam na plecach. Mam dokuczliwą, bolesną świadomość każdej upływającej sekundy.

Wolność nie przychodzi. Zaczynam podejrzewać, że już nigdy nie wróci. Odebrali mi ją...

Mój ojciec powiedziałby, że wolność, którą można odebrać, nigdy nie była prawdziwą wolnością. Może ma rację, może ta wolność zawsze była tylko wytworem mojej wyobraźni, ale cenilem sobie tę iluzję.

Rozwiewanie złudzeń to zniewaga, której się nie wybaczają.

Kręcę głową i zaczynam brnąć przez gruz w głąb ruin. Podejmuję ślad w miejscu, w którym go zgubiłem. Powiedziała mi wprawdzie, że już jej tu nie zastanę, ale i tak nie ma lepszego miejsca na rozpoczęcie poszukiwań.

W osłoniętym kantorku nikogo nie ma, znajduję tylko wygasłe ognisko Tommiego. Drzwi do piwnicy są otwarte. Zaglądam tam: większość wody spłynęła i wyschła. Może powinienem

zejść na dół i się rozejrzeć...?

Skrzypienie i jęki osiadających murów magazynu są jednak zbyt natrętne.

Nie jestem tu sam.

Opieram się o mur przy drzwiach. Wyłamanie drzwi schowka zwróciło czyjąś uwagę – najpewniej strażników, bo bogu ducha winni poszukiwacze przygód nie poruszałiby się z taką ostrożnością.

Za namokniętą, ciastowatą ścianą za moimi plecami słyszę chrapliwy szept:

– Caine? Baronie, to ty? To ja, Tommie.

No to wpadłem.

– Tak, Tommie, to ja. Co się dzieje?

Staje w progu. Na jego radośnie paskudnej twarzy maluje się ulga.

– Miałem nadzieję, że cię tu spotkam, Baronie. Tak sobie myślałem... myślałem, że nikt inny by się tu nie przekradł. Tuzin Sług pilnuje tej rudery.

Kwituję niezasłużony komplement wzruszeniem ramion.

– Po co? Gdzie są wszyscy?

Tommie kręci głową. Poważnieje.

– Jest źle, Caine. Pallas jest ranna, postrzelona. Dostała się w ręce Kotów. Ta dziewczyna, która z nią była, ta wojowniczką... Talann, tak? Nie żyje. – Na widok mojej miny rozkłada ręce w przepaszającym geście. – Berne wypatroszył ją na Moście Rycerzy.

Aha...

Boże, ależ jestem stary.

Przez długą chwilę o niczym innym nie myślę, nic więcej nie czuję; mam tylko wrażenie, że ktoś zwałił mi na grzbiet wszystkie przeklęte dni mojego życia.

Człowiek musi być młody, żeby sobie radzić z takim kurestwem – młody, elastyczny, tryskający optymizmem. Musi nadal wierzyć w szczęśliwe zakończenia, w sens cierpienia, w to, że śmierć nie jest tylko bezsensownym zgaszeniem świadomości.

Musi być na tyle młody, żeby wierzyć, że kurestwo nie zdarza się bez powodu.

Może jednak te wszystkie szychy, które mnie tu przysłały, dostaną to, czego chcą? Może faktycznie została mi już tylko zemsta?

Ciężar przeszłości przygniata mnie jak ewangeliczny kamień młyński. Osuwam się po ścianie i przysiadam na podłodze. W myślach zaglądam sobie w bebechy, szukam w nich gniewu, wściekłości Caine'a, która zawsze tam drzemała. Jeżeli uda mi się ją ożywić, da mi dość siły, żebym mógł wstać i wyjść.

Ale znajduję tylko popiół.

– Król chce z tobą porozmawiać – mówi dalej Tommie. – Czekamy na ciebie od wczoraj. Ja już myślałem, że nie wrócisz, ale Lamorak się uparł. Był przekonany, że się zjawisz, no i wygląda na to, że miał rację.

Lamorak...

Nadal jest w Ankhanie, rzecz jasna. Pod opieką Króla Sciemy...

O, jest: wśród gorzkich popiołów tli się iskierka. Smużka dymu oplata mi serce.

Kiedy podnoszę wzrok, za plecami Tommiego dostrzegam więcej Rycerzy Sciemy. Znacznie więcej. W półmroku migają obnażone ostrza. Zaciskam wargi i uśmiecham się.

– Dziękuję, Tommie.

Marszczy brwi. Nie rozumie.

– Za co...?

– Dzięki tobie mam powód, żeby wstać.

Wprowadzam słowa w czyn. Tommie cofa się o krok i bierze od jednego z Rycerzy zwój sznura.

– Po co was aż tylu? Jego Wysokość boi się, że będę stawiał opór?

Tommie skręca sznur w dłoniach.

– Nie, to tylko... zabezpieczenie. Nie tylko Król chciałby się z tobą spotkać. Królewskie Oczy podwyższyły nagrodę za twoją głowę. Przy tylu świadkach nikomu nie przyjdzie do głowy zadenucjować cię i odebrać nagrodę.

– Z tą nagrodą... Mówisz serio? Nie wiedziałem.

– No pewnie, tysiąc rojali...

Zawiesza głos, wzrok błądzi mu gdzieś daleko, do wymyślanego świata, w którym jest o tysiąc rojali bogatszy. W końcu otrząsa się i odkasłuje.

– Mam cię... ekhm... Mam ci związać ręce.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– Jeśli tego spróbujesz, zginiesz.

– Nic do ciebie nie mam, Baronie...

– Ja wszystko wyjaśnię Jego Wysokości. Zrozumie.

– Ale nie będziesz próbował uciekać? Nie chciałbym cię pochłostać...

– Uciekać? – Parskam śmiechem. – Zabieracie mnie dokładnie tam, dokąd chcę iść.

## 6

Arturo Kollberg siedział zamyślony w fotelu. Pospoły bez twarzy zaglądały mu przez ramię, on sam jednak tylko jednym okiem śledził poczynania Caine'a. Z zadumy wytrącił go dopiero zburzony Most Rycerzy, kiedy pojawił się w polu widzenia Caine'a. Żołnierze przeczesywali zniszczony port, szukając rannych.

– *To Pallas to zrobiła?* – wyszeptał z nabożnym podziwem Caine. – *Ożeż ty... Skąd miała taką moc?*

– *Barka od razu spłynęła w dół rzeki* – odparł Tommie.

– *Nie dziwię się.*

Sądząc po pobojowisku, bitwa musiała być niezwykle widowiskowa – i nie było przy tym żadnego Aktora. Nie będzie nawet sześcianów.

Tak jakby wcale jej nie było.

Nie poprawiło mu to humoru.

Nie wychodząc z techkabiny, ułożył i podyktował komunikat dla prasy. Nie spuszczał z oka migającego czerwienią włącznika transferu awaryjnego. Olbrzymi zakrzywiony ekran wypełniała panorama jaskiń, które Caine przemierzał pod strażą Rycerzy Ściemy.

Kollberg był z siebie zadowolony: komunikat dla prasy przyszedł mu łatwo i gładko. Spokojnie, beznamiętnie informował w nim widzów o pojmaniu Pallas Ril.

W ciągu tych kilku minut, jakie upłynęły od spotkania w skarbcu, szok, jakiego doznał, słysząc bezczelne groźby Michaelsona, przeobraził się w lodowatą złość. Wszyscy na się na niego uwzięli, wszyscy: Caine, Lamorak, Pallas, Dole, Vilo... Nawet te cholerne pospoły. Nie musiał jednak biernie przyjmować ciosów.

Nie był wcale bezbronny.

Postanowił – tu i teraz – że kariera Michaelsona jest skończona. Miał dość tego, jak Hari z nim pogrywa. Jeżeli trafi mu się jakakolwiek wymówka, choćby najbłahsza, którą będzie mógł udobruchać Radę Zarządców, odbierze Michaelsonowi wszystko, całe jego dotychczasowe życie. Ciekawe, co mu wtedy pomoże ta jego arogancja? Czy dalej będzie zgrywał twardziela, błagając o pracę wśród Tymczasowych? Kollberg zabierze mu pieniądze, dom, przyjaciół... Ale najbardziej rajcowała go perspektywa zobaczenia na własne oczy tej chwili, gdy na oczach Michaelsona Pallas Ril wypadnie z fazy z Nadświatem i zginie potworną śmiercią, wyjąc z bólu.

Oby tylko Michaelson nie zginął za szybko. Szkoda by było, cholernie szkoda, gdyby wykitował gdzieś w Nadświecie, zanim Kollberg będzie miał okazję go zmiażdżyć.

## 7

Wspinaczka po drabinie w kanale ściekowym od jaskiń do pisuaru trwa bardzo długo, ale kiedyś się kończy. Tommie otwiera mi drzwi. Do środka wpada blade światło pochmurnego dnia.

– Na piasek – rzuca krótko.

Czuję bolesne ukłucie w piersi. Dwa razy widziałem, jak Słudzy Ściemy zostali wezwani „na piasek” i osądzeni przez Króla. Źle się to dla nich skończyło.

– Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Wzrusza ramionami i z ponurą miną kręci głową.

– Powiedziałbym, gdybym mógł. Przykro mi.

Wraz z innymi Rycerzami idzie za mną, gdy pokonujemy kolejne łukowate rzędy ławek

na widowni stadionu i schodzimy coraz głębiej. Jego Wysokość już na mnie czeka: na południowym skraju widowni, na dawnym królewskim podwyższeniu, stoi wygodny, miękko wyściełany fotel, który nazywa swoim tronem. Z jednej strony stoi Deofad, z drugiej zaś... Miejsce nieobecnego Abbala Paslavy zajął Lamorak. Ujętą w łubki nogę (sam, własnymi rękami zakładałem mu ten opatrunek!) trzyma sztywno wyciągniętą do przodu.

Odwracam wzrok. Gdybym za długo mu się przyglądał, nie zdołałbym powstrzymać morderczego szau i rzuciłbym mu się do gardła jak rosomak. Nawet nie patrząc na niego, czuję jego obecność, jakby płonął wściekłym promieniowaniem, które parzy mi twarz.

Nieprzyjemnie ogląda się zdewastowany i niszczący Mosiężny Stadion za dnia, w bezlitośnie palącym słońcu. Zapamiętałem tutejsze uciechy, tańce, ogniska, uczty, niekończące się popijawy, a przede wszystkim serdeczność biesiadników, która połączyła mnie z nimi jak najmocniejszy klej. Ze stadionem wiążą się wspomnienia bliskości i szczerości, jak w rodzinie – rodzinie, której nigdy nie miałem.

Tylko że Królestwo Ściemy to rodzina prowadząca nocny tryb życia, i dom, który z nią dzieliłem, widziany za dnia, odarty z uwodzicielskiego uroku ognisk i przyjaźni, jest równie przynębiający jak noclegownia w slumsach. Wznoszące się nade mną pierścieniami ławki są brudne i połamane. Piasek na arenie jeszcze nie wysechł po deszczu; w paru miejscach widać na nim czarne plamy po ogniskach, zaścielają go baranie kości, rybie łby, ogryzki jabłek, pestki z wiśni i masa trudnego do zidentyfikowania śmiecia. Spasione, leniwe szczury swobodnie buszują w odpadkach, uskakując przed rozwrzeszczanymi mewami i ostrymi dziobami kruków, które z głośnym krakaniem rzucają się na szczury, mewy i siebie nawzajem.

Chmara ptaków podrywa się do lotu, kiedy przeskakują poszczerbiony mur areny i lądują na piasku. Jeden ze szczurów, zbyt gruby, żeby w porę umknąć mi z drogi, dostaje solidnego kopa w brzuch i z przesywającym uszy piskiem turla się po piachu. Towarzyszący mi Rycerze Ściemy całym tuzinem schodzą za mną na arenę. Tommie wychodzi przed szereg, niechlujnie staje na baczność i rozpoczyna ceremonię.

– Przed Sądem Ściemy staje dziś honorowy Baron... – intonuje.

– Zamknij ryj – mówię mu, i żeby nie było niejasności, uderzam go otwartą dłonią w potylicę. Zatacza się do przodu i okręca na pięcie. Rumieniec wstydu i złości oblewa mu twarz.

– Caine, do diabła, nie możesz tak po prostu...

Ignoruję go i przenoszę wzrok na Jego Wysokość i Sąd.

– Darujmy sobie to pieprzenie, Wasza Wysokość – mówię donośnym głosem. – Skoro już tu przed tobą stoję, po prostu powiedz mi, czego ode mnie chcesz. Szkoda czasu na bajeczki dla dzieci.

Zgrzyt stali o stal świadczy o tym, że otaczający mnie Rycerze dobyli mieczy, ale Jego Wysokość powstrzymuje ich gestem.



– Jak chcesz – chrypi. Pochyla się. Krew napływa mu do twarzy. – Niech ci będzie, draniu. Gdzieś ty łąził przedwczoraj w nocy? Kiedy wyszedłeś z magazynu, dokąd poszedłeś?

– Nie twoja sprawa.

Kurczę, nawet gdybym chciał, nie mógłbym mu powiedzieć.

Widzę, do czego to wszystko zmierza. Zerkam na otaczających mnie Rycerzy i szacuję swoje szanse na przebicie się przez kordon i ucieczkę.

– Właśnie że moja, zasrańcu! – odwarkuje Jego Wysokość. – Coś mi się widzi, że pobiegniesz prosto do Kotów.

– Porąbało cię? – Powiedziałbym mu, kto jest zdrajcą... Ale nie mogę. Jeszcze nie teraz. – Naprawdę myślisz, że mógłbym tak po prostu pójść do nich i podać rękę Berne'owi?

Zrywa się z fotela, z twarzą wykrzywioną gniewem i wygraża mi pięścią. Gdyby mógł, poraziłby mnie gromem.

– Wiem, że pracujesz dla Ma'elKotha, ty świniojebie! Słyszysz?! Wiem o tym!

W ciszy, która zapada po jego krzyku, słysząc szmer mewich skrzydeł i odgłosy dochodzące z ulic Kolonii. Rycerze krzywią się i spuszczają wzrok. Pewnie nigdy nie widzieli Jego Wysokości tak wzburzonego. Ja też nie, ale krzyczeli już na mnie więksi niż on i jego złość nie robi na mnie wrażenia.

– Taaak? – mówię półgłosem. – A zechcesz mnie łaskawie poinformować, kto ci o tym powiedział?

Wybałusza oczy i wydaje taki odgłos, jakby się krztusił. Na pewno nie życzyłby sobie, żeby ten smutas Deofad i Rycerze dowiedzieli się, że skumał się z Królewskimi Oczami.

Lamorak mamrocze coś pod nosem, bardzo cicho, niewyraźnie. Umiejętność czytania z ruchu warg posiadam w szczątkowym stopniu, ale udaje mi się wychwycić coś jakby „pytanie” i „odpowiadać”. Wydaje mi się, że Jego Wysokość go nie słucha.

– To ja tu zadaję pytania, Caine, a ty masz na nie odpowiadać. Rozumiemy się? – mówi.

Odczekuję sekundę, żeby dać mu do zrozumienia, że wczytałem komunikat, i pytam:

– Czy Pallas żyje?

– Chyba nie dość jasno się wyraziłem... – cedzi przez zęby Jego Wysokość.

– Tommie powiedział mi, że wczoraj została ranna i wpadła w ręce Kotów. Pytam: czy żyje?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Nie pogrywaj ze mną w taki sposób, Wasza Wysokość. Obaj znamy twoje źródła informacji. Chcesz, żebym powiedział o nich na głos?

Waha się, a ja się zastanawiam, czy za chwilę powie: „Uciszyć go!” i każe Rycerzom mnie zarznąć. Ale nie, spuszcza wzrok.

– Tak – mówi. – Żyje.

Dobrze. W porządku. Znowm mogę normalnie oddychać, a brzemień minionych dni wydaje się nagle nieco lżejsze. Teraz muszę tylko wykombinować, co powinienem zrobić.

– Co zrobiliście, żeby ją uratować?

Jest zaskoczony, tak jakby myśl o ratowaniu Pallas nie przyszła mu dotąd do głowy. Ale jeśli tak, to co się stało z tym jej Urokiem, do cholery? Już przestał działać?

– No tak... Jakby to... Podobno Ma'elKoth osobiście ją przesłuchuje...

Tym razem w moim głosie słyhać odrobinę tego żaru, który płonie mi w piersi:

– Ty skurwysynu... Bardziej ci zależy na udupieniu mnie niż na uratowaniu Pallas? Całkiem cię już pojebało?!

Jeśli się tak nad tym chwilę zastanowić, to jest to bardzo dobre pytanie... Urok, nie Urok – takie zachowanie jest zupełnie niepodobne do Jego Wysokości. Jest człowiekiem rozsądnym, pragmatykiem do bólu. No i zna mnie od lat i wie doskonale, że prędzej oderżnęłbym sobie jaja zardzewiałym nożem niż zrobił to, o co mnie oskarża.

Tymczasem do skamieliny, której używam w charakterze mózgu, przesącza się pomału następne celne pytanie: jeżeli naprawdę zależy mu na poznaniu prawdy, dlaczego nie poszczuje mnie Lamorakiem, który walnąłby mi jakąś tam Dominację i wydusił ze mnie wszystkie odpowiedzi?

Lamorak znowu coś pomrukuje; wychwytyuję „zaufać” i „załatwimy”.

– Mam pewne plany, ale nie mogę ci zaufać, dopóki nie załatwimy tej sprawy – mówi Jego Wysokość.

A to sukinkot...

Już rozumiem.

Wszystko jasne.

Lamorak nie sypnie mi żadnej Dominacji, bo może rzucić tylko jeden czar na raz.

To by było tyle, jeśli chodzi o głos rozsądku.

Może i nie muszę rozwiązywać wszystkich problemów za pomocą pięści... Ale czasem zdarza się przecież, że rozsądne użycie siły może prowadzić do radykalnej poprawy sytuacji.

Jego Wysokość coś powiedział, ja go nie słucałem, a teraz wszyscy patrzą na mnie w taki sposób, jakby oczekiwali odpowiedzi. Kręcę głową.

– Przepraszam... Zamyśliłem się. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że...

Reszta znowu mi umyka, bo gdy tylko wszyscy spoglądają na Jego Wysokość, wyprowadzam kopnięcie z półobrotu i piętą trafiam w twarz Rycerza stojącego za mną po prawej stronie. Siła uderzenia druzgocze mu kość jarzmową i wyrzuca go w powietrze. Kiedy spada na swojego sąsiada, po sekundzie obaj leżą na ziemi.

Zostało dziesięciu. Ale przecież nie muszę powalić wszystkich, żeby uciec z areny.

Wszyscy zamierają w bezruchu; pomału dociera do nich, co zrobiłem. Tommie otrząsa się pierwszy – ale jest jedynym, który nie ma broni w rękach. Doskakuję do niego w chwili, gdy zaciska palce na rękojeści miecza, i zamykam dłoń na jego nadgarstku. Szybkie skręcenie, uderzenie drugiej ręki – i Tommie ma złamane obie kości w przedramieniu. Jest to technika

trudniejsza niż złamanie łokcia, ale lubię chłopaka i nie chcę, żeby do końca życia był kaleką.

Wyje z bólu, gdy ostre końcówki złamanych kości przebijają mu skórę. Uginają się pod nim nogi. Przenoszę ciężar ciała na drugą nogę, uderzam go od dołu pod pachę i skręcam ramię jak tenisista uderzający na odlew, z bekhendu. Tommie przewraca się na Rycerza stojącego przede mną, bryzga mu krwią w twarz i obaj padają na ziemię w kłębowisku kończyn.

Reszta Rycerzy się waha. Nikt nie chce pierwszy wejść w zasięg moich rąk, a ja wcale im się nie dziwię. Wykorzystując ich niezdecydowanie, rzucam się do ucieczki.

Przeskakuję nad Tommiem i Rycerzem, z którym się zderzył, i droga do podwyższenia z tronem staje przede mną otworem. Biegnę ile sił w nogach; moje nadwerżone kolano szczyrzy na mnie zęby, a kiedy dopadam do dziewięciostopowej ściany wokół areny, okazuje mi swoje niezadowolenie uginając się brzydko dokładnie w chwili, w której powinienem się z niego wybić.

Uderzam z impetem w mur i omal nie rozbijam sobie czaszki. Na drugą próbę nie mam już czasu – Rycerze prawie łapią mnie za tyłek.

Pierwszy, który szarżuje, próbuje zwolnić, kiedy widzi, że odwracam się ku niemu. Za późno. Wychodzę mu na spotkanie, robię unik, podcinam go i pięścią uderzam w nasadę karku. Wali łbem w dziobatą ścianę z wapiennych bloków i osuwa się na kolana.

Pozostali rozpraszają się w tyralierę, żeby zaatakować z kilku stron jednocześnie. Tamten pierwszy gramoli się na czworaki przy murze i oszołomiony kręci głową. Używam go jako podnóżka: wskakuję mu na plecy i zanim zdąży się zorientować, co się dzieje, wybijam się do góry. Te dodatkowe dwie stopy wysokości wystarczają mi z nawiązką, żeby po wyskoku złapać się górnej krawędzi muru. Podciągam się i gładko prześlizguję na drugą stronę.

– Brać go! – wrzeszczy Lamorak. – Zabić!

Strach w jego głosie burzy mi krew.

Łąduję w najniższym kręgu ławek. Deofad góruje nade mną z Luthenem wzniesionym do ciosu. Magijny miecz lśni jak rozpalona do białości żelazna sztaba.

Nie zamierzam się mierzyć z tym twardzielem: robię unik i turlam się w bok, kiedy klinga opada i krzesze iskry z kamienia. Zrywam się na nogi poza jej zasięgiem i po ławkach pędzę w stronę Jego Wysokości i Lamoraka. Jego Wysokość wychodzi mi na spotkanie, głuptas: jak zwykle jest bez broni i gdyby Lamorak nim nie sterował, wiedziałby, że nie powinien rzucać się na mnie z gołymi rękami.

Kiedy jest już bardzo blisko, uginam kolana i wystawiam bark do przodu. Trafiam Jego Wysokość pod zebra. Impet zderzenia podrywa go w powietrze i pozwala mi go przerzucić przez plecy. On spada po schodach, a ja biegnę dalej. Zanim Deofad pomoże mu wstać, dopadam swojego głównego celu.

Twarz Lamoraka jest biała jak purchawka.

– Caine... – szepcze. Jego oczy przybierają charakterystyczny dla wewnętrznego widzenia

wyraz, jakby patrzył w odległą o tysiąc kilometrów dal. – Nie...

– Stul pysk.

Prawym hakiem trafiam go dokładnie w zawias żuchwy, pod uchem. Staw pęka z nader satysfakcjonującym zgrzytem.

– Tylko mi tu nie mdlej, Lamorak. – Chwytam go za przód koszuli i szarpię, żeby przywrócić ulatujący błysk w oku. – Jeszcze z tobą nie skończyłem. Spróbuj rzucić jakiś czar. No, śmiało. Dawaj.

Oślania głowę rękami i odwraca wzrok. Nie chce widzieć następnego ciosu.

– Nie... – mamrocze odrętwiałymi wargami. – Profę, nie... Kuffa, flamałeś mi ffękę...

Unoszę pięść do ciosu i odliczam w duchu do dziesięciu, szukając chociaż jednego powodu, dla którego miałbym nie zabić drania. Jestem przy „osiem”, kiedy Jego Wysokość krzyczy:

– Przestań, Caine! Uspokójcie się wszyscy! Niech nikt nie waży się ruszyć!

Cisza się przeciąga, a ja nie spuszczam Lamoraka z oka. Jeżeli spróbuje przywołać wewnętrzne widzenie, zdzielę go. Za mną i poniżej mnie ludzie klną półgłosem, zbierając się z ziemi i ostrożnie badając odniesione obrażenia. Lamorak unika mojego wzroku i kryje twarz w dłoniach.

– Ożeż, ja pierdołę... – mówi półgłosem Jego Wysokość. Stoi za mną, całkiem blisko. – Mógłbyś mi z łaski swojej powiedzieć, co to miało być?

Lamorak krzywi się i kuli na widok tego, co wyczytał z moich oczu.

– A co pamiętasz? – pytam półgłosem.

– Wszystko, Caine. Wszystko, do diabła! Nie mogłem przestać... I wiesz co? Wtedy wydawało mi się, że mówię całkiem do rzeczy. Aż mnie, kurwa, ciarki przechodzą.

Jego Wysokość wychodzi zza moich pleców i przysiadła na ławce obok Lamoraka. Wpatruje się w niego z agresywnym skupieniem.

– Masz coś przeciwko temu, żebym pożyczył od ciebie któryś z tych wielgachnych noży? – pyta mnie.

Kręcę głową, ale tylko dlatego, że podjąłem decyzję: irracjonalną, opartą na instynkcie, lecz niepodważalną.

– Oszczędź go.

– Jeszcze czego...

– Proszę. Wyświadczyć mi przysługę i go oszczędź.

– Nie rozumiem... – mówi Jego Wysokość. – Wydawało mi się, że się przyjaźnicie. Dlaczego chciał cię tak załatwić? I dlaczego zamierzasz mu wybaczyć?

Spoglądam z góry na Lamoraka, który tym razem nie spuszcza wzroku. Unoszę lekko brwi i dyskretnym skinieniem głowy wskazuję Jego Wysokość, jakbym pytał: „Mam mu powiedzieć?”. Lamorak wpatruje się we mnie błagalnie.

Wzruszam ramionami.

– Przedwczoraj w nocy ucieliśmy sobie małą pogawędkę, pamiętasz? – cedzę przez zęby.  
– Pallas powiedziała, że chce do mnie wrócić. Lamorak nie był zachwycony.

– No, ja myślę...

Lamorak z niedowierzaniem wybałusza oczy.

– Ty... – zaplują się. – Kłamie! To kłamffo! On...

– Kazałem ci stulić pysk, prawda?

Krótkim bocznym kopnięciem rozkwaszam mu nos. Słysząc zgrzyt miażdżonych chrząstek, głowa odskakuje mu do tyłu i odbija się od krawędzi ławki. Lamorak przewraca oczami i wiotczeje. Z jego półotwartych ust ulatują krwawe bąbelki powietrza.

Na Boga, co za frajda! Aż się muszę powstrzymywać, żeby sukinsyna nie wykończyć na miejscu. Ale udaje mi się. Ledwo ledwo.

– Zrób to dla mnie i przyknij go – proszę. – Zamknij go tam, gdzie się spotkaliśmy po naszej ucieczce z Donzonu. Tylko niech Sługi trzymają się poza zasięgiem jego głosu.

– Nie wierzę... Ale niech ci będzie. Tylko jedno zastrzeżenie: jak już z nim skończysz, będzie mój.

– Nie ma sprawy.

Jego Wysokość stęka i wstaje.

– Co zrobimy w sprawie Pallas? – pyta.

– Na taką reakcję czekałem. – Nie umiałbym powiedzieć, czy Jego Wysokość pyta ze szczerego serca, czy nadal jest pod wpływem Uroku, ale prawdę mówiąc, nie ma to większego znaczenia. – Chyba czas zagrać w otwarte karty, Wasza Wysokość.

Mruży podejrzliwie oczy.

– Co masz na myśli?

– Wiem, czego chcesz, Wasza Wysokość. Nie ma tego na stadionie, nie ma w Kolonii. Grasz o wyższą stawkę.

– Nie mam pojęcia, do czego...

– Nie chrzań. Pomogłeś Pallas odgrywać Simona Błazna, ryzykując los całego Królestwa Ściemy. Dlaczego? Przecież nie z wrodzonej łaskawości. Los *Aktirich* nic a nic cię nie obchodzi.

Nic nie mówi. Ponurym wzrokiem wodzi po arenie i słaniających się na nogach Rycerzach.

– Wiem, co ci chodziło po głowie – ciągnę. – Chciałeś zgarnąć całą siatkę Simona i sprzedać ją Królewskim Oczom. Co ci obiecał Toa-Sytell, jakiś tytuł czy po prostu taryfę ulgową? Kazałby Oczom i Straży przyknać oko na twoją działalność w mieście? A może tajną operację cesarskich przeciw innym gangom z Kolonii?

Kiedy odwraca się do mnie, oczy ma wielkie jak spodki – jakbym zacisnął mu ręce na gardle. Porusza ustami, ale wydobywa się z nich tylko słabe skrzeczenie. Kładę mu dłoń na ramieniu. Kuli się odruchowo pod moim dotykiem, ale ja tylko ściskam go przyjaźnie.

– Spokojnie, Wasza Wysokość. Wcale nie jestem zły.

– Daję słowo, Caine... Mówiła, że cię rzuciła, więc... ja... Myślałem, że będziesz mi wdzięczny...

– Jasne... Tylko że to nigdy nie jest takie proste, prawda?

– Potem wszystko się zmieniło, ja... Lepiej ją poznałem. Kurczę, Caine, w życiu nie zrobiłbym nic, żeby jej zaszkodzić. Mowy nie ma.

– No to będziesz miał okazję się wykazać: ty pomożesz jej, a ja tobie. Rozumiemy się? Złożę ci propozycję, która przebije ofertę Toa-Sytella; więcej zyskasz na ocaleniu Pallas niż na jej zdradzeniu. Zrób to dla mnie... – Mówię powoli, przekonująco. – A cała Ankhana będzie twoja.

Kiedy podnosi na mnie wzrok, jego oczy pałają ambicją i żądzą władzy. Przykułem jego uwagę.

– Co mam dla ciebie zrobić?

– W mieście musi wybuchnąć taki zamęt, żeby Ma'elKoth nie miał czasu się zastanawiać nad tym, co kombinuję. Rozumiesz? Nie chodzi mi o jakieś lokalne porachunki w Kolonii, tylko o regularne zamieszki. Straż, Królewskie Oczy, nawet wojsko – wszyscy mają mieć pełne ręce roboty. Cała Ankhana ma stanąć w ogniu.

– Dużo ode mnie żądasz. Bardzo dużo. To ryzyko dla całego Królestwa.

– Zrozum... Nie masz wielkiego wyboru. Pallas w końcu pęknie, a kiedy Ma'elKoth ją złamie, dowie się, kto ją sponsorował, i przyśle wojsko. Zrobią z was miazgę. Kiedy Pallas została schwytana żywcem, sprawy wymknęły ci się spod kontroli. Za późno, żeby zgarnąć jej siatkę, bo Ma'elKoth robi to lada chwila bez twojej pomocy, a wtedy poznacie, co znaczy gniew boży. I wcale nie przesadzam, kiedy tak mówię. Dlatego musisz uderzyć pierwszy. Jak najszybciej. To twoja jedyna szansa, Wasza Wysokość. Jak to mówią, okazja jest jak pokrzywa: albo mocno ją chwycisz, albo się poparzysz.

Patrzy w zadumie w dal. Daję mu trochę czasu na przemyślenie sprawy – mniej więcej tyle, ile zajmuje jeden oddech. Może dwa.

– Moglibyśmy wzniecić pożary – mówi w końcu. – Ale to nie wystarczy. Takie zamieszki wymagają szerokiego zaplecza, żeby same trwały po tym, jak moi chłopcy je rozniecą. Ludzie muszą być przestraszeni i wściekli...

– To nic trudnego. Przestraszeni już są. Ma'elKoth napędził im stracha, kiedy zaczął polować na *Aktirich*. A przekucie strachu w gniew to najłatwiejsza rzecz na świecie.

– Czyżby? Jak miałbym to zrobić?

No, przynajmniej tę część planu naprawdę zdążyłem przemyśleć.

– Pobjemy Ma'elKotha jego własną bronią. – Rozkładam ręce jak iluzjonista szykujący się do wykonania sztuczki. – Bo Ma'elKoth... jest jednym z nich.

Jego Wysokość marszczy brwi, ja zaś szczerzę zęby w uśmiechu.

– Jest *Aktirem*. Całe to polowanie na *Aktirich* to zwykła zasłona dymna. Tak jakby

złodziej pierwszy krzyczał: „łapać złodzieja!”.

Król wytrzeszcza oczy, jego dłoń zaciska się na oślep na rękawie mojej koszuli.

– Ożeż kuźwa... – stęka. – Naprawdę?!

– A jakie to ma znaczenie? Kiedy powtarza się jakąś historię dostatecznie długo i głośno, i wpisuje się ona w najgorsze lęki słuchaczy, nie trzeba długo czekać, żeby zaczęła brzmieć wiarygodnie.

– Ale... no bo... czy to możliwe? To znaczy, gdyby *Aktiri* naprawdę istnieli... Tak, to by miało sens. Wszystko się zgadza... Gdyby mieć jakiś dowód, można by obalić cesarza w mgnieniu oka. Arystokraci i tak już go nienawidzą; niewiele trzeba, żeby otwarcie zwrócili się przeciw niemu. Armia też nie będzie się za niego bić. Ale bez dowodów...

Wiem już, co muszę zrobić.

To będzie bolało. Jak diabli. Przez lata.

Jednak wybór między moją dobrą opinią i dobrem Pallas to żaden wybór.

Opieram mu rękę na ramionach i spoglądam w oczy, krzesząc z serca resztki szczerości i uczciwości.

– Taka jest prawda, Wasza Wysokość – mówię. – Pomyśl. Ma’elKoth wziął się znikąd. Wypłynął w czasie Wojny na Równinach. Jak to możliwe, że człowiek o takiej powierzchowności, olbrzym z twarzą, której się nie zapomina, w dodatku obdarzony wielką mocą, żyje sobie gdzieś spokojnie i nikt o nim nie słyszy, aż dożywa... czterdziestki? Gdzie on się przez ten czas podziewał? Jakim cudem, na miłość wszystkich żyjących bogów, został cesarzem w niespełna pięć lat po tym, jak spadł z nieba? Skąd pochodzi? Gdzie są jego kumple z dzieciństwa? Gdzie jacyś krewni? Oto odpowiedź: nie ma rodziny, przyjaciół ani przeszłości, bo jest *Aktirem*, Wasza Wysokość. Jest jednym z nich..

– Ja to wszystko wiem – odpowiada cicho Jego Wysokość. – Na krew Tyshalle’a, ja to wiem! Ale potrzebuję dowodów, Caine. Muszę mieć coś, co pokażę arystokratom, coś, co ich zmobilizuje, żeby mu się postawili.

– Dostarczę ci dowodów – zapewniam go ze stuprocentową pewnością, jaka cechuje tylko ludzi stuprocentowo uczciwych.

Jego spojrzenie rozmywa się, gdy spogląda przeze mnie na wskroś. Oczyma wyobraźni widzi Salę Tronową w pałacu Colhari, oglądaną z punktu widzenia osoby siedzącej na tronie.

– Zrób to – mówi. – A wtedy ja załatwię ci zamieszki.

Kręcę głową.

– To potrwa dzień, może dwa. Do tego czasu Pallas może już nie żyć, a z całą pewnością zacznie mówić. Wtedy ludzie cesarza rozleżą się po całej Kolonii i zmiotą Królestwo Ściemy z tego świata. Dlatego musimy uderzyć dzisiaj, teraz, zaraz. Jeżeli zadziałamy szybko i stanowczo, zgarniesz całą pulę. Na razie roznieć zamieszki, a ja przyrzekam, że najdalej za dwa dni dostarczę ci dowodów, których potrzebujesz.

Patrzy mi w oczy w poszukiwaniu prawdy, której nie może tam znaleźć. Nie spuszczam

wzroku. Oto zdrada bez precedensu, chwila, w której wyrzekam się naszej trwającej ponad dziesięć lat przyjaźni i zawodzę całe nagromadzone przez ten czas zaufanie. Zanim jednak Jego Wysokość dowie się, że go okłamałem, będziemy z Pallas albo martwi, albo bezpieczni w domu.

Wrodzony pragmatyzm podpowiada mu, że wyśle swoich ludzi na stracenie w obronie przegranej sprawy. Waha się, balansuje jak na ostrzu noża, waży naszą przyjaźń i mój wizerunek („Caine prędzej zabiłby człowieka, niż go okłamał”) i tylko rzucony przez Pallas Urok – chociaż coraz słabszy – przeważa szalę na naszą korzyść. Jego Wysokość spada z ostrza w otchłań.

– W porządku – mówi stanowczym tonem. – Wierzę ci. Zamieszki wybuchną najdalej za godzinę.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skinać głowę.

Spoglądam na nieprzytomnego Lamoraka, który wygląda, jakby się pogardliwie uśmiechał.

„Śmieję się, śmieję, kutafonie”, mówię w myślach. „Nigdy nie twierdziłem, że jestem lepszy od ciebie”.

– Spalić całe miasto... – Jego Wysokość kręci z niedowierzaniem głową. – Wysoka cena za życie jednej kobiety.

– Co tam miasto. Spaliłbym cały świat, żeby ją ocalić.

Przynajmniej tym razem nie kłamię.

## 8

Wieść rozeszła się jak impuls nerwowy w ludzkim ciele, którego głową był Mosiężny Stadion w Kolonii. Rycerz patrolujący granicę z terytorium Twarzy spotkał się z rodziną trędowatych żebraków. Jeden z nich wyczłapał na Drogę Łotrów, gdzie zamienił parę słów z bandą brudnych uliczników. Któryś z dzieciaków przemknął się do Parku Przemysłowego, żeby pogadać z kumplem, który zarabiał jako herold *Aktualności Colina*. Herold porozmawiał z robotnikiem zbijającym bąki przed siedzibą Węglarzy Gannona. Robotnicy rozeszli się po porcie i któryś szepnął słówko wozakowi, który przewiózł nowinę razem z towarem do położonego na wyspie Starego Miasta.

Wszyscy ci ludzie – potajemni Słudzy Ściemy – znali procedurę: każdy musiał przekazać wiadomość co najmniej trzem innym. Nie minęła godzina, gdy żebrak na Plaży Arystokratów na południowym brzegu Wielkiej Chambaygen szepnął do przechodnia:

– Wie pan co ja sobie myślę? Na mój gust Ma’elKoth przegina z tym polowaniem na *Aktirich*. A zastanawiał się pan kiedyś, skąd on się w ogóle wziął? Może ma coś do ukrycia? Złodzieje pożarli się między sobą, ot co.



Prawe dokładnie takie same słowa rozlegały się w gospodach i spelunkach od Wężowiska po Sąd Finansowy. Większość słuchaczy przyjmowała je z niedowierzaniem. Brzmiały niewiarygodnie, wręcz niedorzecznie. Kiedy jednak, krztusząc się ze śmiechu, powtarzali te bzdury swoim znajomym, prawie w każdej grupie trafiał się ktoś, kto, marszcząc brwi, odpowiadał:

– No, nie wiem... Gdzieś już o tym słyszałem. Sam przyznasz, że nie można wykluczyć takiej możliwości...

Bajeczka zaczęła żyć własnym życiem – nawet jeśli za dzień czy dwa miała umrzeć śmiercią naturalną. Wystarczyło kilka dni spokoju, żeby mieszkańcy zapomnieli o swoich lękach i dali wiarę absurdalnym plotkom.

Godzinę po południu tego krótkiego jesienno-go dnia pierwsze płomienie liznęły tylną ścianę Teatru Arystokratów, na południowym brzegu rzeki. Gdy tylko brygada strażyacka z wiadrami wody zaatakowała pożar i zdołała nad nim zapanować, pół mili dalej zapalił się dom mieszkalny. Pół godziny później spłonęła stajnia pod Mostem Złodziei. Kapitanowie posterunków przy mostach zaczęli już wysyłać zwykłych żołnierzy do walki z pożarami i śłać do garnizonów prośby o posiłki.

Pod wieczór żołnierze rozproszyli się po całej stolicy, spoceni i spieczeni żarem pożarów. Coraz częściej słyszano się, jak mówią między sobą, że „skoro cesarz może sprowadzić deszcz, żeby sto mil stąd ocalić plony jakiegoś wieśniaka, to czemu nie ześle jakiegoś szkwału na Ankhanę, żeby pogasić te przeklęte pożary? Może chce, żeby z miasta zostały zgliszcza?”.

Dowódca strażnicy przy zdruzgotanym Moście Rycerzy odwołał ludzi od uprzątnięcia gruzów i rozesłał ich do pomocy innym posterunkom. Poprowadził ich osobiście. Kiedy maszerowali przez wyspę, słyszano, jak zwraca się do adiutanta:

– Coś mi tu śmierdzi, i to niewąsko. Zanim się nam polepszy, najpierw się pogorszy. Wspomnisz moje słowa.

Nikommu nie trzeba było tego tłumaczyć. Wszyscy czuli to w kościach.

Całe wystraszone miasto wstrzymało oddech, szykując się do krzyku, który – jak wszyscy wiedzieli – miał wydrzeć się z jego piersi o zmierzchu.

## 9

Kierendal dostrzegła obcy nurt w Przepływie na całą minutę przed tym, jak rozległo się pukanie do drzwi. W niczym nie przypominał delikatnej koronki wywołanej szarpnięciem taumaturga: był rozległy, wzbudzony i upodabniał Przepływ wokół niej do oceanicznego przyływu; ta jego część, która przenikała przez ściany do jej pokoju, była zaledwie ułamkiem jakiegoś niewyobrażalnie ogromnego tworu.

Tup, która siedziała na oparciu krzesła i zaplatała jej delikatne, srebrzyste włosy w warkocz, wyczuła, że pani się denerwuje.

– Kierendal? – zapytała. – Co się dzieje?

– Idź po Zakke’a. Jest u siebie w pokoju. – Kierendal zerwała się z krzesła jak rozkręcająca się sprężyna. Jej długie, jasnoskóre ręce utworzyły krzywą równie wdzięczną i napiętą jak naciągnięta do strzału cięciwa. Patrzyła gdzieś w dal, poza pokój. – Obudź go i oboje się schowajcie. Coś się zaraz wydarzy.

– Kier...

– Nie dyskutuj! – Kierendal okręciła się na pięcie. – Uciekaj!

Z obandażowanym skrzydłem Tup nie mogła latać, ale jak każda przedstawicielka leśnego ludu była zwinna niczym małpka. Zaniepokojona ponagląjącym tonem swojej pani przeskoczyła z oparcia krzesła na sofę, przemknęła po dywanie i wybiegła przez drzwi prowadzące w głąb domu.

Kierendal narzuciła szlafrok; wołała nie musieć koncentrować się na podtrzymywaniu iluzji ubrania. Rozszerzyła Powłokę i zaczerpnęła mocy z tego nowego, pędzącego wściekłe nurtu. Gwałtowność kontaktu zaparła jej dech w piersi. Przepływ był jak szorstki kochanek i miał dziwny posmak, którego nie umiała do końca rozpoznać, ale który wydał się jej bardzo znajomy...

Stanowczym ruchem odsunęła od siebie takie myśli i siłą umysłu zaczęła kształtować Przepływ. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, stosując szyfr Twarzy, była gotowa na wszystko. Wyciągnęła niematerialną rękę, siłą Przepływu odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

Za progiem stało dwóch jej tajniaków: człowiek i skalnik. Ich Powłoki jarzyły się cytrynową poświatą podenerwowania i ekscytacji, na którą nakładał się ametystowy odcień triumfu.

– Wybacz, Kierendal – powiedział człowiek. – Złapaliśmy go, jak zakradał się pod dom od tyłu. Pomyśleliśmy, że chciałabyś z nim porozmawiać.

Między nimi stał Caine. Miał skute ręce a jego pociemniała Powłoka pulsowała zabójczą, czarną energią – spowity jej cieniem Caine był prawie niewidoczny. Kierendal rozchyliła usta, z nabożnym lękiem śledząc kierunek Przepływu: cała moc płynęła w stronę Caine’a, jakby był taumaturgiem dysponującym istic boską potęgą, ale nie wnikała w niego, jak w zwyczajnego adepta, tylko wirowała i burzyła się dookoła. Było widać, że Caine wcale nią nie kieruje, nie wszedł nawet w trans wewnętrznego widzenia, niezbędny ludziom, którzy chcieliby postrzeżać Przepływ. Co to mogło być?

– Ochrona spisuje się coraz lepiej – powiedział skalnik. – Nie uważasz, Kier? Tym razem kogoś capnęliśmy.

– Nie błąznij się – burknęła Kierendal. – A ty, Caine, przestań się wygłupiać. Pokaż im.

Okryty czarną chmurą Caine wzruszył ramionami i kajdany ze szczękiem spadły na podłogę. Tajniacy odskoczyli jak ukłuci szpilką i sięgnęli po broń. Caine uniósł ręce.

– Porozmawiamy? – zapytał. – Czy mam ci udusić te dwa szczeniaczki?

– Wejdz. Wy dwaj, zostawcie go w spokoju i pilnujcie drzwi. Może tym razem lepiej się spiszecie.

Caine nonszalancko przestąpił próg. Wściekły wir Przepływu przesłonił jego nikły uśmiech. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Znow otoczyły go cienie, widmowe kopie Caine'a, które jakby się namnażały przy każdym jego poruszeniu. Tak bardzo rwał się do działania, że jego sobowtóry w Przepływie przybierały niemal materialną postać. Teraz Kierendal widziała je jak na dłoni, dostrzegając wyraźne falowanie mocy; wcześniej mogła je sobie tylko wyobrażać.

– Nie ruszaj się! – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wstał nowy dzień i jestem gotowa na spotkanie z tobą.

Rozłożył ręce.

– Nie musimy być wrogami, Kierendal. Przychodzę z przeprosinami. Dałem się złapać, żebym nie musiał nikomu po drodze robić krzywdy.

– Z przeprosinami, tak?

– Tak. Za najście, pobicie lokaja, pochlastanie tej podfruwajki...

Kierendal zmrużyła oczy. Utkane z cieni sobowtóry nie pozwalały się dobrze przyjrzeć jego twarzy i nie była pewna, czy może mu wierzyć.

– Pieniądze to miłość, Caine. Gdybyś mówił poważnie, przyniosłbyś złoto.

– Mam taki zamiar.

– Kosztowałeś mnie pięćset rojali.

Uniósł brew.

– Sporo, jak za jeden zniszczony stół i zakup przepaski na oko.

– Taką zaliczkę wypłaciłam Berne'owi. Po twoim... zniknięciu... Wziął gotówkę i wyszedł.

– Zwrócę ci ją z nawiązką. – Caine wzruszył ramionami. – Oddaj mnie w jego ręce.

Kierendal zamrużyła. Przez długą chwilę nie była w stanie zrobić nic więcej. Na pewno się nie przesłyszała?

– Mówię poważnie – ciągnął Caine. – Wiesz, ile dziś płacą za moją głowę. Pchnij gońca do Oczu; nie zdziwię się, jeśli sam Toa-Sytell przybiegnie w podskokach i osobiście wypłaci ci nagrodę.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj, ktoś musi zgarnąć tę kasę. Czemu nie ty?

– W co ty pogrywasz?

– Nie twoja sprawa. Chcesz te pieniądze czy nie?

– Chcę się przede wszystkim dowiedzieć, co tu jest grane – odparła Kierendal z gwałtownością, która ją samą zaskoczyła.

Caine wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jak my wszyscy...

– Moi agenci donoszą mi, że wszędzie wybuchają pożary, a wszyscy dyskutują o tym, czy Ma'elKoth jest *Aktirem*. Nawiasem mówiąc, tę ploteczkę rozpuścili ponoć Słudzy Ściemy. Mówi się też, że miastu grozi wybuch zamieszek. Wczoraj jakiś ludzki taumaturg poderwał Wielką Chambaygen, tak że zalała port i zmiotła Most Rycerzy; przysięgłabym, że to niewykonalne. Co więcej, podobno tym taumaturgiem, który dysponuje mocą, jakiej nie ma prawa posiadać żaden człowiek, jest twoja dawna flama, Pallas Ril. A teraz ty przychodzisz do mnie i prosisz, żebym wydała cię Królewskim Oczom. Dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to wszystko jest ze sobą powiązane?

– Masz dobrych informatorów – zauważył beznamiętnie Caine.

Kierendal była ciekawa, czy powie coś więcej, ale równie dobrze mogłaby czekać, aż przemówi kamienny posąg. Nawet nie mrugnął.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Muszę się dostać do pałacu. – Skrzywił się, jakby nagle przeszył go ból. Widząc malujący się na jej twarzy brak zrozumienia, pokręcił zirytowany głową. – Nieważne, nie musisz tego rozumieć. Chcesz te pieniądze?

Syknęła przez zęby, dając upust frustracji.

– A jeśli nie?

– Pójdę gdzie indziej – rzucił od niechcienia Caine.

Jego głos brzmiał lekceważąco, ale Przepływ wzburzył się wokół niego, pociemniał, zawrzał i Kierendal zaczęła się sama sobie dziwić, dlaczego jeszcze się waha. Nigdy nie miała nic przeciwko łatwemu zarobkowi, a śledząc zawirowania Przepływu wokół Caine'a, zaczynała dochodzić do wniosku, że najbezpieczniej będzie po prostu spełnić jego prośbę. Opierając się takim siłom, mogła usmażyć się żywcem, jak ćma w płomieniu świecy.

– Dobrze – odparła pośpiesznie. – Poślę umyślnego i nie będę zadawać więcej pytań. Ale kiedyś siądziemy sobie na spokojnie i wszystko mi opowiesz.

– Pewnie. Nie ma sprawy.

– Twoim życiem rządzą siły, których w ogóle nie ogarniam. Widzę je, dostrzegam ich cząstkę, ale ich nie rozumiem. Tkwisz w wirze mocy przekraczającej wszelkie wyobrażenie.

Uśmiechnął się cynicznie.

– Jak każdy, Kierendal. Po prostu zwykle tego nie zauważamy.

– Żal mi każdego, kto stanie ci na drodze.

– Mnie też. Ale do rzeczy, załatwmy, co mamy do załatwienia, dobrze? Nie mogę czekać cały dzień.

Słyszając kroki Berne'a, Toa-Sytell na ułamek sekundy odwrócił się od okna, przywitał hrabiego lodowatym spojrzeniem i znów wyjrzał na zewnątrz.

Okno znajdowało się wyżej nie tylko od okalającego pałac Colhari muru Sen-Dannalin, ale nawet od ozdobnych iglic pobliskiej świątyni Katherisi. Rozciągał się z niego wspaniały widok na zachodni odcinek Drogi Bogów. Przez tłum na ulicy powoli przedzierał się zaprzężony w cztery konie żelazny powóz z zakratowanym oknem; znajdował się już blisko pałacu i był doskonale widoczny nawet w oślepiających promieniach zachodzącego słońca. Po zniszczeniu Mostu Rycerzy cała biedota i podludzie z północnego brzegu musieli tłoczyć się na Moście Głupców, jeśli chcieli zdążyć do domu przed zmierzchem i zamknięciem bram. Dzień – niezwykle upalny jak na tę porę roku – kończył się stanowczo za szybko: dla Toa-Sytella było oczywiste, że wszyscy nie zdążą przed zmrokiem opuścić Starego Miasta. Na samej Drodze Bogów wybuchały pierwsze bójki, kiedy któremuś ze spoconych mieszczan o jeden raz za dużo nadepnięto na nogę, drugiego szturchnięto łokciem pod żebra, a trzeci oberwał biczem w twarz od konnego arystokraty, któremu zastąpił drogę. Nieliczni strażnicy sprawiali wrażenie wymęczonych i podenerwowanych. Dla zaprowadzenia porządku należałoby wysłać wojsko, ale większość żołnierzy była zajęta gaszeniem rozproszonych pożarów, z których były w bezchmurne niebo dławiące słupy czarnego dymu.

– Jeszcze ich nie ma? – zapytał zza jego pleców Berne.

Toa-Sytell wskazał ruchem podbródka zbliżający się wóz.

– Jada – burknął. – Musieli nadłożyć drogi. Nie wiem, czy wiesz, ale Most Rycerzy został zburzony...

Tym razem Berne nie złapał haczyka.

– Ma'elKoth chce go widzieć w Żelaznej Komnacie – odparł tylko.

– To tak jak ja... – mruknął Toa-Sytell.

– Masz jakieś pojęcie, co się z nim dzieło?

Poirytowany książę wzruszył ramionami.

– Zniknął z tego świata, a potem nagle wrócił. Dziś po południu. Nic więcej nie wiem.

Westchnął i czekał, aż Berne wbije mu szpilę. Nie mógł mu się nawet odgryźć, bo Koty hrabiego spisały się na medal – *Aktiri* wprawdzie uciekli, ale Ma'elKoth wiedział, gdzie są, i mógł ich zgarnąć, kiedy tylko zechce. A taumaturg, który ich chronił, leżał w tej chwili na ołtarzu w Żelaznej Komnacie.

Tymczasem Królewskie Oczy nie natrafiły na żaden ślad Caine'a i elficka burdelmama z Kasyna Obcych musiała ich wyręczyć. Toa-Sytell spodziewał się, że Berne wykorzysta z dziecinną uciechą tę okazję do ataku, ale hrabia go zaskoczył. Stał obok niego przy oknie, oparł się o parapet i niewidzącym spojrzeniem wodził po ciżbie wypełniającej Drogę Bogów.

– Nie ma takich słów... – zaczął głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić, jak bardzo go nienawidzę.

Obserwując jego zaróżowiony blaskiem zachodzącego słońca profil (już nie tak

doskonały – opuchnięty, ze złamanym nosem), Toa-Sytell ze zdumieniem odkrył w swoim sercu szczyptę współczucia.

– Może Ma’elKoth pozwoli ci go zabić.

– Mam nadzieję. Naprawdę mam taką nadzieję, ale... – Berne spojrział na Toa-Sytella i wzruszył ramionami. – Sam nie wiem. Martwię się, wiesz? Zaczynam się bać, że dzieje się za dużo rzeczy, o których nic nie wiem. Czuję, że sprawy wymykają mi się spod kontroli. Właściwie nie tylko mnie jednemu, ale nam wszystkim.

Toa-Sytell po raz chyba tysięczny otaksował go wzrokiem i nagle odniósł wrażenie, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Ze zburzenia mostu Berne wyszedł bez szwanku; zostało mu tylko kilka (teraz już elegancko zaszytych) śladów po nożu tej dziewczyny, którą zabił. Świadczyło to o chroniącej go mocy Ma’elKotha i przypominało wszystkim, że mają przed sobą cesarskiego faworyta. Męska uroda, muskularna sylwetka i lamparci wdzięk – wszystko to Toa-Sytell doskonale znał. Czymś całkiem nowym była dla jego czujnych oczu nadspodziewanie głęboka troska o Ma’elKotha, może nawet o całe cesarstwo. Jeszcze poprzedniego dnia, jeszcze nawet dziś rano Toa-Sytell założyłby się o swoją nieśmiertelną duszę, że Berne jest niezdolny do odczuwania emocji, które właśnie teraz przelotnie okazał.

Wielokrotnie w ostatnim tygodniu zastanawiał się nad tym, w jakim stopniu nienawiść Berne’a wobec Caine’a wynika z zazdrości i strachu, że Caine mógłby go zastąpić jako nowy ulubieniec Ma’elKotha. W tej chwili przyszło mu do głowy, że pogarda i niechęć, jaką sam żywi wobec Berne’a, wypływają – przynajmniej częściowo – dokładnie z tego samego źródła, z takiej samej małostkowej zawiści. Przecież dopóki przed paroma miesiącami Berne nie został hrabią i zwierzchnikiem Kotów, to właśnie on, Toa-Sytell, był najbliższym doradcą i zausznikiem cesarza.

Czy to nie intrygujące, pomyślał, że ja, który zawodowo zajmuję się odgadywaniem myśli innych ludzi, sam dla siebie jestem tajemnicą?

– Znam to uczucie – powiedział, podjąwszy decyzję. – Posłuchaj, Berne. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi i nie sądzę, żebyśmy w przyszłości nimi zostali. Uważam jednak, że za dużo czasu i energii marnujemy na wzajemne podgryzanie się i wbijanie sobie noży w plecy. Zachowujemy się jak zazdrośni rywale z taniego romansu, a rozdzwięk między nami działa na korzyść wroga. Obaj służyliśmy cesarzowi, każdy na swój sposób, i to nam powinno wystarczyć. Zawrzyjmy pokój.

Wyciągnął rękę. Berne najpierw spojrział na niego takim wzrokiem, jakby zobaczył stwora z innego świata, ale w końcu wzruszył ramionami i ją uściśnął.

– W porządku – powiedział. – Pokój. – Wyjrzał za okno, z pochmurną miną wpatrując się w skrawek słonecznej tarczy, widoczny jeszcze nad horyzontem. – Ale musimy coś zrobić z Caine’em. Myślałem, że po tym, jak tak zniknął... No, miałem nadzieję, że kiedy znów gdzieś wypłynie, Ma’elKoth pozwoli mi go po prostu skrócić o głowę. Ale kiedy powiedziałem cesarzowi, że ta podludzka suka z Miasta Obcych zgłosiła się po nagrodę, roześmiał się... tym

swoim śmiechem bogatego wujaszka, na pewno wiesz co mam na myśli... I kazał go natychmiast zaprowadzić do Żelaznej Komnaty. Samego. Wiesz, co ja sobie myślę? Że Ma'elKoth go lubi. Może nawet coś więcej. Łączy ich coś, czego nie rozumiem. Jakaś głęboka więź.

– Masz rację. – Toa-Sytell pokiwał głową. – Pamiętam, jak w zeszłym tygodniu obiecywał, że odda ci Caine'a. I myślę, że mówił szczerze, tylko że potem zmienił zdanie. Widziałeś go przy pracy nad Wielkim Dziełem?

– Jak próbuje wpasować w nie tych wszystkich różnych Caine'ów?

– No właśnie. Od tamtej nocy w Wieży Zmierzchu tworzy wyłącznie wizerunki Caine'a, nic innego go nie interesuje. Już tamtego wieczoru, kiedy Caine pierwszy raz do nas zawitał, Ma'elKoth do rana badał go za pomocą magji. Z czasem ta obsesja jeszcze się nasiliła i Caine bez reszty pochłonął jego uwagę. Nie umiem tego wytłumaczyć.

– Powinienem był go zabić w Kasynie Obcych – powiedział zadumany Berne.

– Rzeczywiście. Ale stało się inaczej. Musimy coś wymyślić, żeby przełamać ten jego hipnotyczny wpływ na Ma'elKotha. I, żeby tego dokonać, musimy się dowiedzieć, na czym polega. Co wiesz o przeszłości Caine'a?

Berne odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Tyle co wszyscy... Ale powiem ci, kto może wiedzieć więcej: Klasztory.

– Serio?

– Pewnie. Wiesz, że mój ojciec pracuje dla Klasztorów? Jest Egzoterykiem. W Klasztorach mają lekkiego świra na punkcie archiwów. Wszystko zapisują. Dosłownie wszystko.

– Tak, słyszałem o tym... I co, pozwoliliby mi przejrzeć te swoje zapiski?

– W normalnej sytuacji nie, bo są objęte tajemnicą. Ale teraz nawet Klasztory mogą być zaniepokojone Caine'em...

Toa-Sytell wychylił się przez okno i wyjrzał na pogrążający się w mroku dziedziniec. Pięciu ciężkozbrojnych Rycerzy Pałacowych otoczyło żelazny powóz, a jeden z jego ludzi właśnie otwierał drzwi. Dziedziniec był oświetlony migotliwym blaskiem pochodni. Drobną sylwetką Caine'a wysiadła nonszalanckim krokiem z pojazdu i zniknęła w cieniu muru, najwyraźniej nie przejmując się kajdanami na rękach i nogach.

– Caine niepokoi wielu ludzi... – mruknął zamyślony Toa-Sytell. – Chodź, poczekamy na niego w Wieży Zmierzchu.

## 11

O zmierzchu, na Drodze Bogów konni strażnicy natarli na tłum od tyłu i zaczęli spychać go w kierunku zachodnim. Rozległy się pierwsze głosy niezadowolenia i sprzeciwu. Dlaczego

wyrzucano ich ze Starego Miasta tylko dlatego, że się ściemniło? Na czyje polecenie? Ma'elKotha? A jeśli nawet, to czemu są tak brutalni?

Ulica, która do tej pory była po prostu zatłoczona, teraz momentalnie się zatkała. Dał się słyszeć płacz zgniecionych w ciżbie dzieci. Dorośli pokrzykiwali na jeźdźców, żeby odpuścili, bo robią ludziom krzywdę, ale dowódcę Straży zżerały nerwy. Wyczuwał zbliżające się kłopoty i miał nadzieję, że zamieszanie wybuchnie na dobre dopiero na północnym brzegu rzeki, a nie tutaj, w rejonie, za który był odpowiedzialny. Im szybciej Stare Miasto zostanie uwolnione od tej tłuszczy, tym lepiej.

Kazał swoim ludziom naprzec z zdwojoną siłą.

Nie trzeba było długo czekać, aż tłum odpowie tym samym.

Konie ugrzęzły w żywym murze; ludzie, skalnicy i pierwotni zostali ściśnięci tak ciasno, jakby przemocą zlepiono ich w jeden organizm. Jakiś ogr wyłuskał zakrzywionymi pazurami kamulec z bruku i rzucił nim w kapitana. Chybił okrutnie, ale podsunął innym ciekawy pomysł.

Poleciały kamienie. Strażnicy sięgnęli po ciężkie pałki, które z łoskotem przywodzącym na myśl bojowe bębny poczęły spadać na głowy i grzbiety.

– Dlaczego nas bijecie?! – zawołał ktoś z tłumu. – Powinniście nas bronić przed *Aktirimi!*

– Bo to *Aktiri* im rozkazują! – odpowiedział ktoś inny. – Może należałoby przesłuchać Ma'elKotha, co? Cesarz, w dupę jebany...

Kapitan natychmiast wydał rozkaz aresztowania zdrajcy i podżegacza, ale nagle okazało się, że nikt go nie widział. Za to chór głosów przybrał na sile:

– *Aktir! Aktir!* Przesłuchać Ma'elKotha!

Pierwsi dwaj agitatorzy byli Sługami Ściemy. Zaczęli się przepychać do wylotu najbliższego zaułka, zadowoleni ze swojej roboty, zachęcając gapiów prostym *Ak-tir! Ak-tir!* Tłum szybko podchwycił okrzyk i obaj Słudzy mogli swobodnie się ulotnić.

– *Ak-TIR! Ak-TIR!*

Krzyk narastał niebezpiecznie, ludzie pchali się jeden przez drugiego, napierając na szereg jeźdźców i zmuszając ich do cofania się krok za krokiem po Drodze Bogów. A kiedy ciżba zorientowała się, że może przemieszczać się w tym kierunku, nic już nie mogło jej powstrzymać.

Kapitan mógł zarządzić odwrót, wycofać się w szyku i przynajmniej częściowo zapanować nad sytuacją; mógł też dać rozkaz do frontального ataku, utłuc kilka, kilkanaście osób i – być może – złamać ducha buntowników. Nie zrobił jednak żadnej z tych rzeczy: był młody, niedoświadczony i zabrakło mu determinacji. Kazał swoim ludziom utrzymać szyk, ponieważ wydawało mu się, że nie ma innego wyjścia. Nakazując odwrót, okryłby się niesławą. Nie mógł zmusić się do zaatakowania ludzi, których przecież przysięgał bronić. To wahanie go zgubiło.

Jeden ze strażników, nagle ściągnięty z siodła, zginął pod nawałą pięści i butów. Rozległ



się ogłuszający ryk, jakby wielka, żarłoczna bestia zwietrzyła krew.

Zmiana perspektywy, olśnienie, nagła świadomość wspólnego celu – i tłum przestał być po prostu tłumem, masą jednostek, które przez przypadek spotkały się w tym akurat dniu na tej konkretnej ulicy. Mężczyźni i kobiety, krasnoludy i elfy, ogrille i duszki – wszyscy stali się komórkami olbrzymiego zbiorowego umysłu, jednej wielkiej żywej istoty. Bardzo głodnej istoty.

Sekundę później spadł następny strażnik, zaraz po nim kolejny – i nagle kompania złamała szyk. Jeźdźcy rzucili się do ucieczki, ścigani gradem kamieni i chórem wyzwick.

Zanim zapadł zmrok, tłuszcza niepodzielnie zawładnęła ulicą. Płomienie pożarów zastąpiły jej słońce, sklepy zamożnych stały się jej jadalnią. Była głodna i miała całą noc na to, żeby się nasycić.

## 12

Dwaj Rycerze Pałacowi wpełnęli go do Ruchomego Pokoju. Jeden od razu wszedł za nim, drugi jeszcze po drodze pociągnął za sznurek dzwonka oznaczającego ósme piętro. Rozległ się stłumiony trask bicza, a potem skrzywienie naoliwionej liny, kiedy ogry w głębi szybu wprawiły kierat w ruch i ruchomy Pokój zaczął się wznosić.

Caine stał z rękami skutymi za plecami i milczał. Starał się nie patrzeć Rycerzom w oczy, oni zaś wpatrywali się w niego natarczywie, zaciskając dłonie na rękojeściach mieczy i od czasu do czasu oblizując nerwowo wargi. Znali jego reputację i nie zamierzali ryzykować. Raz nawet szcęknał łańcuchami, specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak podskoczą, i się nie rozczarował. Zaśmiał się ponuro.

Czuł się za stary na śmiech.

Tak, był stary i przerażony. Nie bał się o siebie, o swoje życie. Zawsze wiedział, że umrze w Nadświecie, a teraz miał nawet kilka dni na oswojenie się z myślą, że umrze bardzo niedługo, zginie jak Talann albo jak kapłan Rudukirisha podczas Rytułu Odrodzenia, zginie, bo przeciwnik ma miażdżącą przewagę.

Martwiło go co innego: bał się, że spieprzy sprawę.

Na piaszczystej arenie Mosiężnego Stadionu mógł działać bez zastanowienia, bo miał jasno wyznaczony cel, widział go przed sobą, a wiodąca do niego droga była namacalną, materialną ścieżką, wycinkiem przestrzeni wysypanym piaskiem i wyłożonym kamieniami.

Teraz było inaczej. Cel płonął mu przed oczami, jasny jak słońce – bezpieczne sprowadzenie Shanny na Ziemię – ale droga, która do niego prowadziła, jawiła się mu tylko jako gęsta mgła możliwości. Był za daleko, żeby wybrać bezpieczny szlak, a w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że tylko jeden z miliona prowadzi tam, dokąd chciałby dojść. Zresztą, nawet na tej jednej, jedynej ścieżce czyhały na niego lotne piaski i wilcze doły, a strzegły jej

bestie żadne krwi i życia Shanny.

„Idź do światła”, powtarzał sobie. „Małymi krokami”. Przy okazji ćwiczył inne mantry: „Udawaj, że wiesz, co robisz” oraz: „Nie mogą zobaczyć, że się pocisz”.

Oparta na grubych dźwigarach podłoga ósmego piętra przesunęła się za drzwiami Ruchomego Pokoju i zatrzymała się. Następni dwaj Rycerze czekali przy wyjściu. Pierwszy z tych, którzy wysiadali, musiał pokonać niski stopień, ale po wyjściu każdego pasażera Pokój dźwigał się o parę cali i kiedy przyszła pora na Caine’a, miał już z górki i musieli mu pomóc, ponieważ sztaba skuwająca mu stopy nie pozwalała zrobić dłuższego kroku.

Wymienili hasło i odzew ze strażnikami Wieży Zmierzchu i zdjęli Caine’owi okowy z nóg. Czekala go długa wspinaczka po kręconych schodach.

Idąc na górę – z dwoma żołnierzami z przodu i dwoma za sobą – Caine z wolna uświadamiał sobie obecność dziwnego zapachu, jakby woni naładowanego elektrycznością metalu, przyprawiającej go o gorzki niesmak w gardle. Kiedy znaleźli się na górce i zbliżyli do otwartych drzwi, poczuł także odór siarki i rozkładu, jaki mógłby wydawać trup na wpół zmumifikowany w oparach buchających z solfatary.

W pomieszczeniu czekało dwóch mężczyzn, podświetlonych z profilu leniwie chybotającym się płomieniem lampy. Jednym z nich był Toa-Sytell, drugim...

– Berne! – odezwał się z Caine z udawanym entuzjazmem. – Właśnie się zastanawiałem, skąd ten smród...

– Śmieję się, śmieję, kozojebie – odparł Berne. – Przyjdzie i na ciebie kolej.

– Moja matka zawsze to powtarzała.

– Rozkuć go – polecił dowódcy Toa-Sytell.

Rycerz zmarszczył brwi.

– Jest pan pewien...?

– To rozkaz Ma’elKotha. Macie go rozkuć i jesteście wolni.

Rycerz wzruszył ramionami i otworzył kajdany, po czym wyprowadził swoich ludzi na schody i zszedł na dół. Caine nasłuchiwał zamierających w oddali kroków, demonstracyjnie oskubując nadgarstki z otartego przez żelaza naskórka.

– Gdzie byłeś przez ostatnie dwa dni? – zapytał Toa-Sytell.

Caine udał, że go nie słyszy. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. O zmierzchu nad miasto nadciągnęły chmury, które z wolna przybierały rdzawy odcień od płonących w dole pożarów. Wiatr niósł okrzyki tłumu, wśród których udało mu się wychwycić słaby refren:

– *Ak-tir, Ak-tir...*

Słudzy Ściemy dotrzykali umowy. Żeby teraz i on miał chociaż cień szansy na wywiązanie się z niej...

– Ładny widok – powiedział.

– Pytałem cię o coś – przypomniał mu Toa-Sytell z natarczywością, jakiej Caine nigdy by się po nim nie spodziewał.

Caine odwrócił się plecami do okna i przysiadł na parapecie. Twarze stojących przed nim wrogów kryły się teraz w cieniu.

– Posłuchaj no, mości księżę, nie muszę nic mówić. Może Ma’elKoth udzieli ci odpowiedzi. O ile będzie miał na to ochotę.

Berne postąpił krok w przód, przesuując dłonią po piersi w kierunku sterczącej mu nad barkiem rękocyści Kosalla.

– Ty chujku... Powinienem od razu cię zabić.

– Coś ty taki sztywny, Berne? Czyżby Talann troszkę cię pochlastała?

Oczy Berne’a pociemniały niebezpiecznie, ale głos miał spokojny:

– Tak miała na imię? Umarła, zanim zdążyła się przedstawić. A przed śmiercią powiedziała: „Och, Berne, proszę, rznij mnie jak zwierzę”.

Caine pokręcił głową i z wysiłkiem zmienił wściekły grymas w uśmiech.

– Ależ z ciebie dzieciak... Żałuję, że będę mógł cię zabić tylko raz.

Berne zrobił następny krok. Caine wyszczerzył zęby, uniósł ręce i obrócił dłonie – w jedną stronę, potem w drugą, jakby popisywał się sygnetami.

– Za późno. Trzeba mnie było załatwić, dopóki byłem skuty. Przynajmniej miałbyś szansę.

Napiął mięśnie i odciążył parapet. Gdyby Berne zdecydował się na wypad, Caine był pewny, że udałoby mu się go wypchnąć przez okno.

Ciekawe, co twój Puklerz powie na zderzenie z brukiem po osiągnięciu granicznej prędkości spadania.

Toa-Sytell powstrzymał Berne’a, kładąc mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Ma’elKoth miałby mi udzielić odpowiedzi? Chcesz powiedzieć, że ją zna, a poszukiwania, które mi zlecił, miały być tylko... rozrywką? Igraszką? Elementem jakiejś większej rozgrywki?

Czemu nie? – pomyślał Caine. Zamęt w szeregach nieprzyjaciela.

– Nie najeżaj się tak, Toa-Sytellu. Na pewno słyszałeś o tym, że bogowie potrafią być tajemniczy.

– Nabiera cię – ostrzegł Toa-Sytella Berne. – To nie w stylu Ma’elKotha. Dobrze wiesz, że zawsze był wobec nas uczciwy.

Caine przeniósł na niego wzrok.

„Wobec nas”? Berne i Toa-Sytell to teraz „my”?

Na myśl o tym żołądek zacisnął mu się jeszcze mocniej.

Skinieniem głowy wskazał potężne drzwi z czarnego żelaza, zajmujące większość północnej ściany pokoju. Ich wykutą na zimno powierzchnię zdobiły lśniące srebrzyście runy.

– Jest tam? – zapytał.

– I to nie sam... – Berne uśmiechnął się pod nosem.

Toa-Sytell uciszył go syknięciem.

– Niech się sam przekona.

Caine poczuł w ustach suchość i ziąb, jakby wciągnął do płuc wiatr znad arktycznej pustyni. Krew zadudniła mu w uszach.

– Pallas... – mruknął.

Na jedną trwającą wieczność chwilę, dzielącą dwa kolejne uderzenia serca, racjonalna część jego umysłu została stłamszona przez krwawe wizje z na wpół zapomnianych opowieści o Żelaznej Komnacie. Nie było tawerny w Ankhanie, może nawet w całym cesarstwie, gdzie wzmianka o niej w ciepłą letnią noc nie wywołałaby u gości miłego dreszczyku i nie przyprawiła ich o gęsią skórkę. Supeł w brzuchu Caine'a nie zacisnąłby się z taką siłą, gdyby zamiast do Żelaznej Komnaty Pallas trafiła do Teatru Prawdy.

Ale z drugiej strony... Myśl o tym, że ma do niej wejść, wcale go nie przerażała. Liczyło się tylko to, że w ten sposób zapewni sobie cień szansy na ocalenie Pallas.

Odepchnął się od parapetu, ale Berne i Toa-Sytell zgodnie zastąpili mu drogę.

– Kiedy Ma'elKoth zapragnie twojego towarzystwa, wezwie cię – rzekł Toa-Sytell.

– Radzę wam zejść mi z drogi.

– Czekaj, aż zostaniesz wezwany – powiedział Berne, podchodząc bliżej i patrząc na Caine'a z góry. – Cesarz nie lubi, kiedy mu się przeszkadza.

Caine spojrział w jego lodowate niebieskie oczy. Stali tak blisko siebie, że jeden skręt głowy wystarczyłby, żeby mógł zatopić zęby w szyi hrabiego. Znajoma furia nadal płonęła mu w piersi, a chęć wyrwania Berne'owi rąk i nóg ze stawów bynajmniej nie osłabła, ale Caine był jak najdalszy od powtórzenia głupstwa, na jakie pozwolił sobie u Kierendal w kasynie. Odnalazł w sobie spokój i podporządkował wszystko jednemu celowi: ocaleniu Shanny.

– Śmieszne, jak wiele potrafi się zmienić w ciągu zaledwie dwóch dni – rzucił od niechcenia. – Na przykład dziś jestem już w stanie wyobrazić sobie taką wersję przyszłości, w której jutro jeszcze jesteś żywy, Berne.

Berne prychnął pogardliwie. Jego oddech pachniał mięsem.

– Nie podchodź do tych zasranych drzwi, to wszystko.

Caine przechylił się i zerknął na drzwi ponad ramieniem Berne'a.

– Do tamtych? – upewnił się.

Spojrzał z ukosa na Toa-Sytella. Uśmiechnął się i postukał go lekko w pierś.

– Ej, Toa-Sytellu... Mówiłeś mi chyba kiedyś, żebym nie liczył na to, że uda mi się do ciebie zbliżyć na wyciągnięcie ręki.

Toa-Sytell zeszytywniał na ułamek sekundy, wspomniawszy śmierć Creele'a w Klasztorze. Caine wykorzystał ten moment, odepchnął go i prześliznął się obok Berne'a. Dopadł do drzwi i złapał za olbrzymią kołatkę w kształcie węża połykającego własny ogon. Podniósł ją, stękając z wysiłku...

– Nie, Caine! – sapnął Berne.

W jego głosie dało się słyszeć najprawdziwsze przerażenie, które wywołało szczery uśmiech Caine'a. Obejrzał się przez ramię: Berne i Toa-Sytell nie drgnęli. Stali tam gdzie przedtem, trupio bladzi, z wyciągniętymi w jego stronę rękami, jakby chcieli go powstrzymać, ale zarazem bali się, że gwałtowniejszy ruch z ich strony spowoduje opadnięcie kołatki.

– Nie masz pojęcia... – zachrypiał Toa-Sytell. – Nie masz pojęcia, co tam może być...

– Kurczę... – Caine parsknął śmiechem. – Jak chcecie, marudy. Nie będę pukał.

Otworzył drzwi szarpnięciem.

Ze środka buchnęła fala smrodu: krew i stary kał, do tego słona woda i gryzący dym z węgla żarzących się w koksownikach. Wysoko sklepiona komnata była dostatecznie duża, żeby zgrzyt butów Caine'a o posadzkę odbił się echem, ale kiedy Ma'elKoth wstał i majestatycznym gestem odwrócił się w stronę drzwi, skurczyła się nagle niczym ulatujący sen, tak jakby cesarz mógł wyprostowaną ręką dosięgnąć najdalszych jej zakątków.

– Caine... Wejdz. Zamknij za sobą drzwi.

Caine wzruszył ramionami i obejrzał się na Berne'a i Toa-Sytella, których twarze wyrażały nabożny lęk, zaniepokojenie i podejrzliwość jednocześnie.

Mrugnął do nich porozumiewawczo i wszedł do komnaty.

## 13

Łoskot zatraskujących się za Caine'em drzwi sprawił, że cała komnata zadźwięczała jak ogromny gong.

Ma'elKoth ruszył w jego stronę niczym wielka burzowa chmura w ludzkiej postaci.

– Czekałem na twój powrót.

Opończa utkana z siatki okrywała go od stóp do głów; przypominał dziecko, które, narzuciwszy prześcieradło na głowę, udaje ducha. Dolny rąbek siatki był obciążony czterema błyszczącymi czarnymi kamieniami, które wyglądały na gryfkamienie. Pod siatką miał na sobie tylko obcisłe, sięgające do kolan spodnie ze skóry, które wkładał pod szaty przy okazji Rytuału Odrodzenia. Pot perlił się na jego zapierających dech w piersi mięśniach, upodabniając go do nasmarowanego oliwą kulturysty; potem ociekała również cesarska broda i sięgające łopatek kosmyki kasztanowej grzywy.

– Będę miał do ciebie parę pytań, Caine. – Z jego głosu zniknął wszelki ślad tradycyjnej ojcowskiej pobłażliwości. Gdyby udało się odległy grzmot podzielić na przesadnie artykułowane zgłoski i uformować w słowa, brzmiałby równie bezosobowo, beznamiętnie i groźnie, jak głos Ma'elKotha. – Pallas Ril jest twoją ukochaną. Pallas Ril jest Simonem Błaznem.

Górował nad Caine'em jak górską lawina na chwilę przed runięciem w dół. W

okrywającej jego twarz masce udawanego spokoju pojawiły się pierwsze rysy, jakby nabrzmiałe żyły na szyi rozsadzały ją od środka.

– Pożałujesz, że mnie oszukałeś, Caine.

Caine ledwie go słyszał. Słowa cesarza nie miały żadnego sensu, nie mogły mieć. Za jego plecami, na wielkim jak stół bloku zakrwawionego wapienia, leżała szczupła, prawie naga postać. To w jej nieruchomej piersi była zawarta wszelka nadzieja na odzyskanie sensu życia.

Wpatrywała się w szarobury krąg sklepienia. Ręce miała związane nad głową. Od spętanych w kostkach nóg sznur biegł do wmurowanych w podłogę grubych żelaznych pierścieni. Całe ciało miała upstrzone drobnymi krwiałkami, śladami niewielkich urazów, których jednak było tak dużo, że zlewały się w jedną siną plamę. Piers miała przepasaną napiętym płótnem, które kiedyś musiało być białe, teraz zaś pokryło się zakrzepłym brązem, gdzieniegdzie przechodzącym w wilgotny szkarłat. Ale nade wszystko to jej oczy przykuły uwagę Caine'a. Te oczy...

Dopóki widział je takie, szeroko otwarte, niemrugające, nie był w stanie przejąć się groźbami Ma'elKotha.

Miał wrażenie, że stoi tak całą wieczność – nieruchomy, zawieszony poza czasem, niezdolny do myślenia, z zapartym tchem. Nawet jego serce na tę jedną nieskończoną chwilę przestało bić. Te oczy wypełniły mu życie.

Jej piers się uniosła – powoli, stopniowo, a kiedy zaczęła opadać, dla Caine'a zaświtał nowy dzień. Z jej oddechem wrócił jego oddech i cały świat znów nabrał sensu.

– Najpierw jednak... – Ma'elKoth podszedł tak blisko, że Caine czuł woń rozkładu w jego tchnieniu. – Najpierw powiesz mi, gdzie byłeś!

Caine otrząsnął się i wrócił do teraźniejszości.

– A kim ty niby jesteś? Moją matką? – zapytał z tą samą kpinią w głosie, z jaką wcześniej zwrócił się do Berne'a.

Kątem oka zauważył ruch i prawie zdążył zrobić unik: Ma'elKoth uderzeniem otwartej dłoni posłał go na ziemię. Caine poturlał się i poszorował brzuchem po posadzce.

Ja pierdole, pomyślał, walcząc z zawrotami głowy i próbując rozsypać splątane ręce i nogi. Chyba mamy problem...

Ma'elKoth skoczył na niego jak polujący kot. Zacisnął olbrzymie dłonie na połach skórzanej kurtki, podniósł Caine'a w powietrze i potrząsnął nim jak terier szczurem, któremu próbuje przetrącić kręgosłup. Wszystkie rany w ciele Caine'a zapłonęły żywym ogniem. Wrzask bólu rozjaśnił mu w głowie.

W jednej chwili uświadomił sobie kilka rzeczy.

Sprawa pierwsza: za chwilę zginie, tutaj, w Żelaznej Komnacie. Jeżeli Ma'elKoth nie usłyszy zadowolającej odpowiedzi, zatłucze go gołymi rękami. A Caine nie miał dla niego takiej odpowiedzi.

Sprawa druga: Ma'elKoth okładał go gołymi rękami nie tylko dlatego, że oszalał ze

złości, ale przede wszystkim dlatego, że został odcięty od swojej magii. To przez tę siatkę... Srebrna plecionka, którą był okryty, do złudzenia przypominała strój Arkadeila z Teatru Prawdy i wynaleziona przez Konnosę woalki. Blokowała Przepływ. Dzięki temu rozpoznał Pallas i dowiedział się, że ona jest Simonem Błaznem. Srebrna siatka uodporniła go na Wieczne Zapomnienie.

I sprawa trzecia, najważniejsza, której potencjalne konsekwencje przyprawiły o zawrót głowy: pozbawiony swoich nadnaturalnych mocy Ma'elKoth nie był już niepokonany.

Caine mógł go zabić.

Tu i teraz.

Lepszej okazji nie będzie miał.

Rycerze Pałacowi skonfiskowali mu noże, Ma'elKoth dalece przewyższał go zwykłą siłą fizyczną, był o półtorej stopy wyższy i dwa razy cięższy – ale mimo wszystko Caine miał szansę. Całkiem sporą.

Być może jedyną.

Teraz.

Ma'elKoth znów nim potrząsnął. Cały pokój zawirował i rozjechał mu się przed oczami.

– Gdzie byłeś?! – ryknął cesarz. – Gadaj! Gdzie byłeś?!

– Dobrze... – odparł Caine. – W porządku...

Ma'elKoth puścił go jedną dłonią (drugą nadal podtrzymywał go w powietrzu) i zacisnął ją w pięść wielkości pocisku do katapulty. Caine zasłonił twarz obiema rękami w samą porę, żeby choć częściowo zamortyzować siłę morderczego uderzenia i zamienić złamanie karku na gwiazdy przed oczami. Fala gorącej krwi napłynęła mu do ust z rozkwaszonego nosa i porozcinanych zębami warg.

– Ma'elKoth, przestań! – krzyknął z całym naciskiem, na jaki było go stać w tym na wpół zamroczonym stanie. – Zabijesz mnie... i nigdy się nie dowiesz...

Ma'elKoth go nie puścił; nogi Caine'a swobodnie dyndały w powietrzu. Pierś cesarza pracowała jak potężny miech kowalski, gdy wciągał i wypuszczał powietrze przez zaciśnięte zęby. Mięśnie miał tak napięte, że na szczękę wystąpiły mu fioletowe plamy.

– Zaufałem ci, Caine – zadudnił. – Nie każdego obdarzam zaufaniem. Albo usłyszę odpowiedź, albo zapłacisz mi życiem.

Caine spojrzał w jego płonące gniewem oczy.

– Postaw mnie na ziemi.

Twarz Ma'elKotha, już wcześniej czerwona, teraz zbieleła z wściekłości. Przez długą chwilę życie Caine'a wisiało na włosku, ale Ma'elKoth cierpiał na chorobę wszystkich geniuszy: musiał wiedzieć.

Przewyciężył złość i powoli opuścił Caine'a na żelazną posadzkę, a potem również powoli rozluźnił uścisk na skórzanej kurtce.

– Mów.

Caine udał, że poprawia ubranie, a otarcie krwi z warg jest w tym momencie najważniejszą sprawą na świecie. Zyskał w ten sposób sekundę na otaksowanie Ma'elKotha wzrokiem: zastanawiał się, w które miejsce najpierw powinien uderzyć.

Kolano – słaby staw ukryty pod obcisłą skórzaną nogawką. Mocno wybrzuszone krocze. Węzeł nerwowy pod splotem słonecznym. Nie: okryte cienką skórą chrząstki tchawicy, wyzierające spomiędzy węzlastych mięśni szyi. Harpun albo pięść feniksa, obojętne, byle szybko i mocno. Nawet jeśli tchawica wytrzyma, okalające ją mięśnie odruchowo się zacisną i Ma'elKoth nie zdoła wezwać pomocy. To będzie pojedynek dwóch ludzi, ciało przeciw ciału i kość przeciw kości. A na takich warunkach Caine nie da sobie wydrzeć zwycięstwa.

Ma'elKoth zginie przed ołtarzem, do którego przywiązał Pallas Ril.

A jednak... Kiedy tak stał zawieszony w pół drogi między zabijaniem i własną śmiercią, świadomy tego, że jeśli nie zaatakuje natychmiast, Ma'elKoth nie da mu drugiej szansy, i patrzył w oczy tego olbrzymiego półboga, nie wiedzieć czemu przypomniał sobie Hamleta, który zastaje króla Klaudiusza pogrążonego w modlitwie.

*Oto okazja: teraz, gdy się modli. Zrobię to teraz\**

Kolejne obrazy przewalały mu się przez głowę: walka, śmierć Ma'elKotha, uwolnienie Pallas, otwarcie drzwi Żelaznej Komnaty... I czekający za nimi Berne i Toa-Sytell, którzy z pewnością zdążyliby zaalarmować czekających u stóp schodów Rycerzy Pałacowych. Ma'elKoth to nie Zła Czarownica z Zachodu, żeby poddani mieli się ucieszyć z jego śmierci i puścić zabójcę wolno. Cesarz był powszechnie szanowany. Był kochany...

Prawdę mówiąc, był diabelnie dobrym cesarzem.

To jeden z nielicznych znanych mi ludzi, których naprawdę szanuję, pomyślał Caine. A także jeden z tych jeszcze bardziej nielicznych, których wręcz podziwiam.

Czy był dobrym człowiekiem? Nie, z pewnością nie. Ale i o Caine nie dałoby się tego powiedzieć, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. A Ma'elKoth był lepszy niż przeciętny władca: uczciwy intelektualnie, świadomy swojego okrucieństwa, dbający o dobro poddanych...

Jeżeli zginie tu i teraz, co się stanie? Ginie cesarz, ginie Caine, ginie Pallas, może Berne, może Toa-Sytell... Wybucho druga Wojna o Sukcesję, która pochłania setki tysięcy ofiar. Kto wygrywa?

Studio. Nic tak nie ucieszy Studia jak wybuch powszechnej, niszczycielskiej wojny domowej.

Wygra Studio – i wygra Kollberg.

Na to Caine nie mógł się zgodzić.

Ojciec radził mu, żeby odrzucał reguły. Zbył te słowa wzruszeniem ramion, bo przecież i

---

\* Przeł. S. Barańczak



tak nigdy nie przejmował się żadnymi regułami. Teraz jednak odkrył, że istnieją reguły rządzące całym jego życiem, reguły, które ukształtowały Caine'a: wzorce zachowań, odruchy i reakcje, z których istnienia nie zdawał sobie nawet sprawy. Doznał wstrząsającego olśnienia.

Może wcale nie muszę go zabijać?

Nie tylko nie musiał zabijać Ma'elKotha tu i teraz, w Żelaznej Komnacie. W ogóle nie musiał tego robić. Tak robił Caine: zagrożony, zabijał. Teraz jednak mógł dokonać wyboru i wyzwolić się z niewoli własnej przeszłości.

Kto wie, może właśnie tutaj, w będącej więzieniem Żelaznej Komnacie, odkrył nowy rodzaj wolności.

Wszyscy myślą, że Caine i ja to jedno i to samo. To daje mi przewagę.

Już zaczął się pomału wyłamywać z Caine'owych schematów. Może, jeżeli do nich nie wróci, jeżeli zdoła je obejść, odwrócić, wykorzystać jako broń – te same schematy, które jego przyjaciółom i wrogom dyktowały, co mają myśleć o Cainie i czego się po nim spodziewać... Może wtedy wygra i zgarnie całą pulę.

Bo właściwie dlaczego miałby się zadowalać mniejszą zdobyczą?

Mógłby uratować Shannę. Ocalić własny tyłek. Wyciągnąć Króla Ściemy z bagna, w które własnoręcznie go wepchnął. Dorwać Kollberga. I wydymać Studio, powstrzymując wybuch nowej Wojny o Sukcesję.

Dostrzegł szansę dla siebie – zobaczył we mgle wąziutką, zdradliwą ścieżynkę prowadzącą do celu, tak niebezpieczną, że na samą myśl o wkroczeniu na nią przestawało mu bić serce. Tyle że wszedł na nią już wcześniej i brnął na oślep wśród grzędawisk i wykrotów, teraz zaś po prostu weszło słońce, które zaczęło wypalać mgłę. Zorientował się, że jest na właściwej drodze – na drodze prowadzącej do absolutnego triumfu, jeśli tylko wystarczy mu odwagi, żeby położyć wszystko na jednej szali. Wystarczy najmniejsze zawahanie, chwila strachu, a wszystko przepadnie. Przy pierwszych oznakach niepewności demony strzegące ścieżki dopadną go i rozszarpią na strzępy.

Nie miał nic przeciwko temu.

Jednego schematu zachowania Caine'a nie zamierzał zmieniać: jeżeli masz wątpliwości, idź na całość.

Wyszczrzył zęby.

– Wiesz co? – zagaił beztrąsko, nie przejmując się sinym ze złości Ma'elKothem. – Chyba cię jednak nie zabiję.

Ma'elKoth wybałuszył oczy. Zmarszczył brwi.

– To oczywiste. Czyżbyś wcześniej myślał inaczej?

– Powiem tak: w tej chwili mam nadzieję, że nie będę musiał cię zabić.

– Nie kpij, Caine. Nadal czekam na odpowiedź.

– Cały dzień tak tu siedzisz? To musi być strasznie frustrujące, prowadzić przesłuchanie w tej siatce. Nie dziwię się, że cię trafia szlag. Chociaż, jak się tak nad tym zastanowić, to

nawet jest poniekąd zabawne, nie uważasz? Dopóki nosisz to wdzianko, nie możesz użyć magii, żeby wydusić z Pallas jakieś informacje. Ale jeśli je zdejmiesz, od razu zapomnisz, o co miałeś zapytać i po co w ogóle ją tu ściągnąłeś i związałeś. Co ci zostaje? Ból? Musisz przecież wiedzieć, że na adeptach ból nie robi wrażenia.

Ma'elKoth odchrząknął.

– Palcem jej nie tknąłem. Te wszystkie sińce zarobiła przy próbie pojmania.

Supel w piersi Caine'a trochę się rozluźnił.

– No to co jest z nią nie tak? Dlaczego tak się wpatruje w sufit?

– Posłuchaj, Caine. Na ogół jestem człowiekiem cierpliwym, ale nie dzisiaj.

– Jasna sprawa, ja też. Ale ujmę to tak: jeżeli nie zdejmiesz tej siatki, zatłukę cię gołymi rękami.

Jedna brew uniosła się lekko, jeden kącik ust drgnął w półuśmiechu. Wściekłość płynnie zmieniła się w rozbawienie.

– No, nie mów...

– Mówię. A ty wiesz, że to nie żarty. Jesteś wielki i silny, ale bez magii żaden z ciebie wojownik. Jeśli cię dopadnę, zwalisz się na ziemię jak wór kamieni.

– Nie uciekniesz z pałacu.

Caine wzruszył ramionami.

– Raz już uciekłem.

Ma'elKoth wydał wargi, ważąc te słowa.

– Racja – powiedział w końcu. – Ale po co właściwie mi to mówisz?

– Chcę zwrócić na coś twoją uwagę. – I odwrócić ją od kwestii mojego miejsca pobytu przez ostatnie dwa dni, dodał w myślach. – Gdybym ci źle życzył, mógłbym cię po prostu zabić. Tu i teraz. – Caine rozłożył ręce w niewinnym bezbronny geście. – Poza tym chciałbym, żebyś zdjął tę siatkę.

– A to czemu? Nie myślisz chyba, że to zaklęcie doprowadzi do uwolnienia twojej ukochanej? Nawet jeśli zapomnę po co ją tu przywiązałem, będę pamiętał, że siatka pozwoli mi poznać tożsamość Simona Błazna.

– Nie, nie, nie, wszystko pokręciłeś. Po pierwsze, ona nie jest wcale moją ukochaną, bo już dawno mnie rzuciła. Po drugie, nie jest również Simonem Błaznem. W każdym razie nie w tym sensie, że zaplanowała całą tę operację ukrywania wrogów cesarstwa.

– Daj spokój, Caine. Przecież Berne...

– ...jest idiotą, o czym obaj doskonale wiemy. I faktycznie ubzdurał sobie, że ona jest Simonem, a jej nie chciało się tego prostować. Bo widzisz, ona chroni prawdziwego Błazna.

– Hmf... – Ma'elKoth na chwilę odwrócił wzrok. – Przez pewien czas podejrzewał, że to ty.

Caine prychnął pogardliwie.

– Jestem za mało cwany. Zresztą, podobnie jak Berne. Mogę ci jednak powiedzieć, kto

jest Błaznem.

Ma'elKoth skrzyżował masywne ręce na piersi.

– Słucham.

Kłamstwo przyszło mu gładko, płynnie, bez odrobiny wahania:

– Król Ściemy.

– Wykluczone – odparł natychmiast Ma'elKoth. – Księżę Toa-Sytell...

– ...dał się oszukać. A ja wiem, to co wiem, od samego Jego Wysokości.

– Ale... – Ma'elKoth nachmurzył się. – Ale przecież...

Niewiele brakowało, żeby Caine wybuchnął śmiechem. Nie spodziewał się, że zobaczy cesarza w sytuacji, w której zabraknie mu słów.

– Chcesz się dowiedzieć, co w tej chwili robią jego ludzie? Zdejmij siatkę.

– Nie rozumiem...

– Nie dziwię się! Od rana siedzisz w pokoju bez okien, do którego wszyscy boją się nawet zapukać; na myśl o tym, że miałby ci o czymś powiedzieć, dostają szraczki ze strachu. Nie możesz niczego wyczuć w Przepływie, bo narzuciłeś sobie na łeb tę durnowatą siatkę. Chcesz być bogiem dla swoich Dzieci? Na ulicach są ich tysiące i wszystkie wykrzykują twoje imię. Może chcesz wyjrzeć, co się dzieje na zewnątrz? Do kurwy nędzy, pół miasta stoi w płomieniach!

– Jak to w płomieniach?

Nagle Ma'elKoth wydał się Caine'owi młody i bezbronny, jak mały chłopiec obudzony w środku nocy. Jego ręce, jakby kierowane własną wolą, sięgnęły w górę, wczepiły się w siatkę od środka i pociągnęły w dół. Siatka zsunęła mu się po twarzy, zahaczając o długie włosy i wrywając je pojedynczo z cichym odgłosem, który dla Caine'a był ledwie słyszalny, ale pod czaszką Ma'elKotha musiał rozbrzmiewać jak powtarzający się trask wyładowań elektrostatycznych.

Ma'elKoth odrzucił siatkę i uniósł czujnie głowę, niczym myśliwy na dźwięk odległego ryku zwierzyny. Zamarł w tej pozycji, jakby zamienił się w słup soli.

– Ach... – westchnął.

Caine zrobił jeden ostrożny wdech, potem drugi. Ma'elKoth się nie poruszył, nawet nie oddychał, wpatrywał się tylko w nieskończoną dal, z twarzą równie martwą jak wygładzony przez rzekę otoczak.

Przez długą chwilę Caine również stał jak zahipnotyzowany, w końcu jednak oderwał wzrok od cesarza, odwrócił się i podszedł do ołtarza, na którym leżała związana Pallas.

Oczy miała rozszerzone i pozbawione wyrazu; ziały taką samą pustką, jak ta, którą Caine czuł w piersi. Skrzepnięta krew zalepiła jej nozdrza, w splątanych włosach nadal tkwiły patyki i skrawki rzecznej zielska. Wyciągnął rękę, żeby wyjąć jeden z takich odłamków, ale wtedy jakaś cyniczna cząstka jego mózgu wyszczerzyła szyderczo zęby. Pewnie, teraz sobie możesz pomacać. Jest przecież związana. Cofnął gwałtownie rękę. Na twarz nie wiedzieć

czemu wypłynął mu rumieniec wstydu.

– Pallas... – mruknął, tak żeby Ma'elKoth go nie usłyszał. Pochylił się nad nią i zajął w jej puste oczy. – Pallas, gdzie jesteś?

Na dźwięk tych słów jej pierś wypełniła się powietrzem, a wraz z oddechem wróciła jej odrobina świadomości.

– Caine... – wyszeptała. Caine nawet nie śmiał próbować zrozumieć, co wyraża ton jej głosu, tak ulotną niósł treść. – Ty żyjesz naprawdę...

Zapiekły go oczy.

– Nie rozumiem...

– Ja jestem bezpieczna – mówiła dalej ledwie słyszalnym szeptem, patrząc na niego jakby z ogromnej odległości. – Nie można mnie skrzywdzić... Ratuj się...

– Pallas... – powtórzył bezradnie.

– Zrozumiałam mnóstwo spraw... – Światło w jej oczach znów zaczęło przygasać. – Moglibyśmy być szczęśliwsi... Przykro mi, że cierpieś...

I wycofała się z powrotem do bezpiecznego azylu w głębi świadomości, zabierając ze sobą wszelkie okruchy duszy.

Przysięgam, że to naprawię. Wszystko będzie dobrze.

Przysięgam.

Stał jak skamieniały, wpatrzony w nią, śniąc rozpaczliwe sny o szczęściu, gdy nagle usłyszał ruch za plecami i ogromna dłoń Ma'elKotha zacisnęła mu się na karku, jak smocza paszcza.

– Coś ty zrobił?!

Pod ciężarem cesarskiej ręki Caine osunął się na kolana przed ołtarzem. Uścisk dławił mu słowa w gardle.

– Ma'elKoth... o co...

– Moje Dzieci krzyczą ze strachu, wiją się z bólu i zgrozy, wykrwawiają się, cierpiąc katusze. Wszystko przez ciebie!

Może jednak powinienem był go zabić, kiedy miałem okazję? – pomyślał Caine. Zbierało mu się na mdłości. Poniewczasie przyszła następna refleksja: skąd on to wie?

Próbował stawiać opór, chciał przemówić, zaprzeczyć, ale dłoń Ma'elKotha niczym garota miażdżyła mu krtań i blokowała przepływ krwi. Pociemniało mu w oczach.

– Ich męka rezonuje w moim sercu, rozdziera mi wnętrzności jak szpony wściekłej bestii. To Ja sprowadziłem na nich to cierpienie, Ja, który byłbym gotów zawisnąć dla nich na Drzewie Bogów! Wszystko przez to, że sprowadziłem cię do Ankhany; rzeź podąży twoim śladem jak wrony śladem armii. Wiedziałem o tym, ale mimo to Przyciągnąłem cię do miasta, żebyś uwolnił mnie od drobiazgu mniej uciążliwego niż cierń w stopie, niż ugryzienie pająka. A teraz jestem zgubiony...

Głos cesarza złągodniał, zamiast apokaliptycznej furii brzmiało w nim teraz raczej

zaskoczenie i żal. Kryształowe łzy napłynęły mu do oczu.

– Mój lud błaga mnie o ratunek, o ulżenie mu w cierpieniu. Ktoś inny zwróciłby się do jakiegoś pomniejszego boga. Ale ja? Kogo mam prosić o pomoc? Zaliczyłem się w poczet bóstw i teraz nie mam nikogo, kto mógłby zaświadczyć o moim bólu.

Dłoń Ma'elKotha rozluźniła uścisk i Caine osunął się bezwładnie na podłogę, łapczywie chwytając powietrze. Powoli zaczynał normalnie widzieć i co nieco rozumieć: Ma'elKoth nie zdawał sobie sprawy z jego wpływu na sytuację w mieście, ale obwinał go w sensie metaforycznym, tak jakby sama jego obecność doprowadziła do tragedii.

Caine nie widział powodu, żeby wyprowadzać go z błędu.

Górując nad nim jak gigantyczny posąg w Sali Tronowej, cesarz wznosił pięść, jakby zamierzał zmiażdżyć go jak karalucha, ale po chwili opuścił ją w niegroźnym geście. Jego twarz oklapła, odmalowała się na niej bolesna pogarda, tak jakby Caine był zwierciadłem, w którym się przejrzał i nie mógł znieść widoku swojego odbicia.

– Jeżeli zabiję cię za moją zbrodnię, stanę się czymś gorszym od ciebie – powiedział.

Caine dźwignął się na kolana, odczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, wstał i otrzepał się z kurzu.

Już wiem, jak nim manipulować, pomyślał. Trzeba go wkurzyć, bo wtedy złość zaćmiewa mu umysł. Nawet największy mózg na świecie do niczego się nie przyda, kiedy ze złości nie jesteś w stanie go użyć.

– Jedno mnie interesuje – powiedział z rozmysłem. – Kiedy nauczyłeś się tak jójceć?

Ma'elKoth otworzył usta i zaraz je zamknął. Oczy mało nie wyszły mu z orbit.

– Jak śmiesz...

– Ja śmiem prawie wszystko. Dlatego jestem ci potrzebny. A teraz przestań skamleć i zrób coś.

– Zrób... – Oczy Ma'elKotha zapalały piorunami. – Pokażę ci, co mogę zrobić.

Wyciągnął rękę i złapał Caine'a ruchem tak płynnym i szybkim, że Caine nie miał nawet co marzyć o zrobieniu uniku. Chwycił go za przód kurtki i uniósł w powietrze.

Wiesz co? – pomyślał bez entuzjazmu Caine. Zaczynam mieć dość takiego traktowania.

Ma'elKoth spojrział w sufit i wolną ręką wykonał jakiś gest, a potem niespodziewanie ugiął nogi i podskoczył, jakby jego własny ciężar (powiększony w tej chwili o ciężar Caine'a) nie stanowił żadnej przeszkody. Wbił się prosto w lite kamienne sklepienie.

Caine skulił się odruchowo, pędząc na spotkanie wapiennych płyt, ale przebił je jak gęstą mgłą i owionęło go cuchnące dymem nocne powietrze. Ma'elKoth postawił go ostrożnie na stwardniałym już kamieniu; znajdowali się na szczycie Wieży Zmierzchu w pałacu Colhari.

Wszędzie nad miastem snuły się słupy dymu i chmury popiołów, niczym po erupcji wulkanu. Wznosiły się prosto w bezchmurne niebo, przesłaniając jasne, nieruchome gwiazdy, które jedna po drugiej gasły za gęstniejącą zasłoną, aż w końcu tylko dzika, widmowa poświata pożarów rozjaśniała ulice Ankhany.

– Nie ma wiatru – mruknął Ma’elKoth. – A pożar cały czas się rozprzestrzenia.

– Co ty nie powiesz... – odparł oschle Caine. – Naprawdę myślałeś, że to przypadek?

Ma’elKoth wyprostował się i wyprężył pierś, jakby powietrze miało mu ją za chwilę rozsadzić. Jego oczy zapłonęły dzikim, pierwotnym ogniem. Pałały własnym światłem, którego odbłask Caine wyraźnie widział na kamieniu: zieloną poświatę, jakby ktoś precedził blask słońca przez szmaragd.

– Czy oni myślą, że będę się biernie przyglądał, jak moje miasto płonie?

Zanim Caine zdążył odpowiedzieć, Ma’elKoth wznosił rękę do nieba, jakby chciał zaczerpnąć stamtąd mocy. Caine widział go już wykonującego taki gest – w Sali Tronowej – i teraz rzucił się w bok, zanim cesarz uderzył pięścią w dół. Od grzmotu zawibrował im kamień pod stopami.

Daleko, na wschodnim skraju Starego Miasta, u stóp Wieży Szóstej płomienie pochłaniające jakiś duży budynek nagle znieruchomiały i zgasły, jakby nigdy ich nie było. Nad zgliszczami nawet nie unosił się dym.

Chryste Panie... Caine z niedowierzaniem pokręcił głową. Dzwonienie w uszach było prawie tak samo ogłuszające jak poprzedzający je grom. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Ma’elKoth dokonał tej sztuki. Znał się trochę na magji, ale w jego wiedzy nie było miejsca na coś podobnego.

Czy jego moc naprawdę nie zna granic?

– Nie uważasz, że to trochę głupie? – zapytał Caine, kiedy Ma’elKoth znów unosił rękę.

Cesarz okręcił się na pięcie i spojrzał na niego z bliska. Dłonią nadal sięgał nieba, oczy płonęły mu zielenią.

– Caine, licz się ze...

– Dobra, dobra, kiedy indziej będziesz mi groził, a na razie zastanów się nad tym, co właściwie robisz. Zamierzasz tak tu stać do rana i chlastać magją na prawo i lewo? Po co? Najdalej za godzinę wszystkie zgaszone przez ciebie pożary zapłoną znowu, większe niż przedtem.

Ma’elKoth opuścił rękę, żar w jego oczach zaczął z wolna przygasać.

– Słusznie mówisz. Nad wyraz słusznie. Zaatakowałem na zbyt małym obszarze... Właściwą odpowiedzią byłaby burza. Ulewa pogasiłaby pożary i zapędziła awanturników do domów, ale... – Zdesperowany Ma’elKoth pokręcił głową. – Odesłałem deszczowe chmury do Kaarn i teraz na burzę musiałbym czekać wiele godzin. A Ankhana płonie. Nie mogę gasić pożarów, przywołując burzę, a nie mogę przywołać burzy, dopóki...

Zawiesił głos. Caine’owi prawie zrobiło się go żal. Troska Ma’elKotha nie była udawana.

– No rzeczywiście, fatalnie się złożyło, ale powiem ci coś jeszcze. To nie jest twój największy problem.

– Co masz na myśli?!

– To, co tu widzisz, to tylko skutki. Przyczyn musisz szukać głębiej. Wiesz, co

spowodowało zamieszki?

– Czy ja wiem... Pewnie strach?

– Owszem. – Caine zmrużył oczy i powiódł wzrokiem po mieście, żeby odpowiednio dobrać długość pauzy. – Strach przed tym, że jesteś *Aktirem*.

Spojrzał na Ma'elKotha, ciekaw, jak przyjmie jego słowa. Cesarz miał taką minę, jakby ktoś zdzielił go pałką przez łeb. Gardło zacisnęło mu się konwulsyjnie.

– Dlaczego? – wykrztusił.

– Sam jesteś sobie winien. – Caine musiał się mocno postarać, żeby nie okazać zadowolenia z sytuacji. – Nastraszyłeś ludzi wizją *Aktirich* i tym całym polowaniem na nich, na tyle skutecznie, że bardzo łatwo było obrócić ten strach w lęk przed tobą. Mówię ci, to robota Króla Ściemy.

Wpatrywał się w zboląłą twarz cesarza, szukając w niej zrozumienia. Czy to, co mówił, docierało do Ma'elKotha? Musiał przebić się z tą wiadomością teraz, dopóki miała jeszcze jakąś wartość; za parę godzin Królewskie Oczy doniosą Ma'elKothowi dokładnie to samo.

– W tym mieście łatwo się rozpoczyna plotki. Co najmniej połowa żebraków to przecież Słudzy Ściemy – ciągnął. – Trudno się ludziom dziwić, że w nie uwierzyli. Twoje polowanie na *Aktirich* nauczyło ich podejrzliwości wobec wszystkiego co niezwykle lub niewytłumaczalne; wyczuliło ich na ewentualną obecność wroga. A chyba zdajesz sobie sprawę, że sam potrafisz przyprawić człowieka o ciarki na plecach.

Łyknij to?

– To absurd! – zaperzył się Ma'elKoth. – Dlaczego ja, który zrobiłem tyle dobrego dla...

Caine położył dłoń na jego śliskim od potu przedramieniu, zajrzał mu w oczy i z politowaniem pokręcił głową.

– Ty cały czas szukasz racjonalnego wytłumaczenia irracjonalnej sytuacji. To ślepy zaułek.

– Ale przecież na pewno w końcu sobie przypomną...

– W końcu tak, tylko że zanim to nastąpi, z miasta zostaną zgliszczona, a wszyscy ocalali arystokraci zwrócą się przeciw tobie. Całe cesarstwo stanie w ogniu. Na mój gust masz tylko jedną szansę: musisz złamać Królestwo Ściemy. I masz na to góra dwadzieścia cztery godziny.

Ma'elKoth znalazł po omacku dłoń Caine'a i ścisnął ją.

– Dwadzieścia cztery godziny...

– Musisz powstrzymać Króla Ściemy jak najszybciej, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Zanim ruszy się arystokracja.

– Tak zrobię. Powstrzymam go. Zaleję miasto wojskiem; jeśli będę musiał, zrównam Kolonię z ziemią. Dawno powinienem był to zrobić.

– Nic ci z tego nie przyjdzie. – Caine zliznął krew z wargi i powstrzymał ciskający mu się na usta uśmiech.

Cała ta sytuacja na tarasie wieży niewiele różniła się od walki wręcz, chociaż z pewnością inne były stosowane w niej środki. On walczył o życie – swoje, Shanny i Jego Wysokości. Kilka godzin wcześniej wydawało mu się, że zdradza najlepszego przyjaciela; gdyby teraz mu się udało, pchnąłby Ma’elKotha we właściwym kierunku, zmaszałby tę zdradę, a każde opowiedziane Jego Wysokości kłamstwo stałoby się szczerą prawdą.

Musiał wybić Ma’elKothowi z głowy zbrojną interwencję – z jednego zasadniczego powodu: byłaby skuteczna.

To jest walka, upomniał się w duchu. Myśl jak wojownik.

Jego ulubiona taktyka powinna w tym wypadku okazać się równie skuteczna jak w prawdziwej bitwie: atakować, atakować, atakować; napierać na przeciwnika ze wszystkich możliwych kierunków, naciskać, aż jego obrona pęknie z przeciążenia, nie dawać mu chwili wytchnienia, nie dać złapać równowagi, nie czekać na kontratak.

Taki punkt widzenia przydał mu pewności siebie. Proponowane przez Ma’elKotha rozwiązania przypominały parowanie i blokowanie ciosów i – podobnie jak w prawdziwym starciu – otwierały przed Caine’em nowe możliwości natarcia.

Skierowanie przeciw Królestwu Ściemy wojskowej potęgi cesarstwa z całą pewnością przyniosłoby zamierzony skutek – i dlatego musiał zadbać o to, żeby Ma’elKoth się do tego nie posunął. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Wojsko nie pomoże ci schwytać Jego Wysokości – zaczął. – Słudzy Ściemy znają na wylot tunele pod miastem, a te ciągną się milami. Jak tylko zwęszą armię, zejną pod ziemię, dosłownie, i wykurzenie ich będzie się wlokło tygodniami. Nie masz tyle czasu.

– To bez znaczenia. Mogę Przyciągnąć tego człowieka w taki sam sposób, jak Przyciągnąłem ciebie, Caine. Użyję mocy...

– Taaak? Skoro to takie proste, dlaczego przez ostatnie dwa dni nie mogłeś mnie znaleźć?

Żyłka na czole Ma’elKotha zaczęła niebezpiecznie pulsować, na zuchwie zarysowały się napięte mięśnie. Nic nie powiedział.

– Powiem ci – ciągnął Caine. – Byłem u Króla Ściemy.

– Ale gdzie?! Co to za miejsce? Gdzie byliście?

Ma’elKoth rzucił się w jego stronę, wyciągając ręce, ale tym razem Caine uskoczył i wyszedł mu za plecy. Kiedy cesarz okręcił się na pięcie, Caine podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Przestańże wreszcie! Nie dam się znowu obmacywać. Do tej pory byłem wyrozumiały, ale nie przeginaj. Bo się wkurzę.

Ma’elKoth wyprostował się.

– Albo odpowiesz na moje pytania, albo poznasz, co to gniew.

– Rozumiem, że nie powinienem był oczekiwać przeprosin? – Caine’owi nie było do śmiechu. – Ale już ci wszystko wyjaśniam. Wiesz o tym, że skała Donżonu zakłóca Przepływ? Skała, na której posadowione jest miasto, działa podobnie. Słudzy Ściemy dobrze



o tym wiedzą i dlatego tak chętnie chowają się po jaskiniach. Nadworny taumaturg Króla Ściemy, Abbal Paslava, to bystry facet. Całe te zamieszki to w znacznej mierze jego pomysł. On zresztą pierwszy znalazł takie głębokie pieczary, że Przepływ w ogóle do nich nie sięga.

– Zwykły kamień miałby ograniczać moją wolę? Nie wierzę.

– Nie? W takim razie to ty mi wytłumacz, dlaczego nie mogłeś mnie znaleźć.

Ma'elKoth zmarszczył brwi. Milczał.

– Sprawa jest prosta, wykurzyć Jego Wysokość z jaskiń możesz tylko w jeden sposób: siłą. Ale masz na to za mało czasu. Jeżeli rzucisz przeciw niemu wojsko, stracisz jedyną przewagę – w tej chwili on nie ma pojęcia, jak dużo wiesz. Nie wie, że ty już wiesz, że to on za wszystkim stoi jako Simon Błazen. I to jest twoja szansa, Ma'elKoth. Wielka szansa. Musisz go wywabić spod ziemi.

Ma'elKoth zapatrzył się na miasto. Blask pożarów odbijał mu się w oczach.

– Jak? Jak to zrobić w tak krótkim czasie?

Caine parsknął śmiechem.

– To akurat proste. Masz przecież Pallas Ril, prawda?

Ma'elKoth spojrział na niego z marsem na czole. Wzrok znowu miał dziwnie przymglony.

– Pallas... Ril? A tak, rzeczywiście. Jest przecież tutaj. Ale co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

– Trudno to wyjaśnić, dlatego będziesz mi musiał po prostu zaufać. Pallas tkwi w tym szambie po uszy. Została złapana, kiedy pomagała *Aktirim* w ucieczce, pamiętasz?

– Tak... No tak, pamiętam. Tak działa to zakłęcie... Czuję jego szarpnięcie...

– No więc, słuchaj. Tamta ucieczka jest nieważna, bo ważne jest co innego: Jego Wysokość liczy na to, że czar utrudni ci śledztwo. Nie wie, że możesz się przed nim obronić. Nie wie o siatce.

– A tak, siatka...

– Jesteś cesarzem. Ludzie cię posłuchają. Masz do swojej dyspozycji *Kuriera Cesarskiego – Wiadomości*; jego heroldzi wykrzyczą, cokolwiek każesz. Możesz przywołać burzę i ocalić Ankhanę, a o świcie rozesłać ich po mieście z informacją, że w południe odpowiesz na wszystkie zarzuty. I ujawnisz prawdziwego sprawcę obecnych kłopotów. A zrobisz to w sposób następujący: w samo południe zabierzesz Pallas Ril w jakieś publiczne miejsce, na przykład na ten nowy stadion, Stadion Zwycięstwa, na południowym brzegu, gdzie możesz zebrać tysiące świadków. Wtedy rzucisz na nią czar, ten sam, którego użyłeś przeciwko schwytanym w pałacu *Aktirim*: zabijesz ją i w magijny sposób przechwycisz jej wspomnienia. Zrobisz to na oczach wszystkich, żeby było jasne, że nie masz nic do ukrycia.

– Ale co mi to da...?

– Nic. Nie dowiesz się niczego, czego już byś nie wiedział. Rzecz w tym, że Jego Wysokość nie ma o tym pojęcia. Rozumiesz? Będzie musiał zareagować, żeby nie dać się zdemaskować, bo na to nie może sobie pozwolić. Jeżeli zostanie skojarzony z *Aktirimi*,

arystokraci go nie poprą i sprawa przyschnie. A ty pošlesz w tłum Szare Koty po cywilnemu i złapią go, gdy tylko wykona jakiś ruch.

– Myślisz, że spróbuje uratować Pallas Ril? – zapytał sceptycznie Ma'elKoth.

– Nie, no co ty... To nie ona jest przynętą, tylko ty.

– Mhm... – Ma'elKoth znów zapatrzył się w dal. – Chyba zaczynam rozumieć...

– Ona go w ogóle nie interesuje. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: zabije ją, jeśli dasz mu szansę, ale tak naprawdę będzie szukał okazji do zabicia ciebie.

– I co, znajdzie ją? Czy ten Paslava, taumaturg, ma podobną moc jak Pallas?

– Być może, ale ja się nim dzisiaj zajmę. Czekaj... Mam pomysł – powiedział Caine takim tonem, jakby właśnie doznał olśnienia. Zdawał sobie sprawę, że Ma'elKoth za chwilę sam na to wpadnie. Czemu więc nie wyskoczyć przed orkiestrę i nie zapunktować? – Nie musisz w ogóle wystawiać się na niebezpieczeństwo. Jesteś zbyt ważny dla cesarstwa, żeby ryzykować bez powodu. Mógłbyś użyć magijnej iluzji... Fantazji, prawda? Tak jak ta... Jakżeż ona się nazywa, ta elficka rura, która rządzi Twarzami?

– Kierendał – odparł w zadumie Ma'elKoth. – Tak, chyba mógłbym to zrobić.

– W takim razie nie ma powodu się narażać. Mógłbyś stać nawet tutaj, na szczycie Wieży Zmierzchu, i kierować swoją magijną kopia, która poruszałaby się, mówiła i oddychała jak oryginał. Jak ty. Mógłbyś całą operację załatwić jedną Fantazją. I nic by ci nie groziło. Ha, nawet Pallas byłaby zbędna, ją też mógłbyś zastąpić iluzją. Chyba że to za bardzo skomplikowane...?

Caine patrzył, jak obracają się trybiki w głowie Ma'elKotha, gdy rozważa plan z różnej perspektywy i stara się przewidzieć wszystkie możliwe konsekwencje.

– Nie da rady – powiedział z namysłem cesarz. – Pallas naprawdę musi być na stadionie. Nawet ja nie potrafię tkać nieograniczonych iluzji w wiarygodny sposób: światłocien, muśnięcie wiatru we włosach, głos... Głos będę słyszał tylko w głowie, a muszę podrasować go w taki sposób, żeby brzmiał jak słyszany przez uszy. Nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd, bo najmniejsza niedoskonałość zdradzi wrogowi nasz plan.

– Nie rób tego – poprosił półgłosem zdesperowany Caine. – Nie przenoś jej na stadion, to zbyt niebezpieczne. Proszę. – Proszę, myślał, nie wrzucaj mnie, biedaka, w te kolczaste krzaki. – Pomogę ci, Ma'elKoth, załatwię wszystko po twojej myśli, ale jeśli chcesz wystawić Pallas na niebezpieczeństwo, nie pogadamy.

Ma'elKoth znów stanął nad nim i z góry spojrział mu głęboko w oczy.

– Ach, tak... Więc jednak chodzi o kobietę.

Caine nie odpowiedział. Bał się, że łomot jego serca i tak zagłuszy słowa.

– W ciągu ostatniej godziny dwa razy omal cię nie zabiłem – ciągnął półgłosem Ma'elKoth. – Król Ściemy jest, a na pewno był, jednym z twoich najbliższych przyjaciół. Nadał ci tytuł honorowego Barona Ściemy, chronił cię, dzielił się z tobą chlebem, winem, pewnie także najskrytszymi myślami, a ty zdradzasz go... dla kobiety. Dla Pallas Ril.

– Ty ją masz, ja chcę ją mieć – wychrypiał Caine. – Kiedy będzie po wszystkim, przestanie ci być potrzebna. Oddaj mi ją.

– Po co? Powiedziałeś, że już nie jesteście kochankami.

– To była jej decyzja, nie moja. – Caine wyprężył pierś i spojrzał cesarzowi prosto w oczy. – Kocham ją. Zawsze kochałem. Dopóki żyje, jest jeszcze szansa, że zmieni zdanie na mój temat.

Dał się ponieść prawdziwości tych słów, licząc na to, że szczerść malująca się na jego twarzy zamaskuje niedoskonałości wcześniejszych kłamstw.

– Mimo że zdradziłeś Króla Ściemy?

– Mimo to. On pierwszy ją zdradził. – Caine cofnął się o krok i owinął się prawdą jak flagą. – Pallas zaangażowała się w realizację jego planu, ale nie po to, żeby cię obalić. Nigdy nie występowała przeciwko władzom Ankhany, nigdy nikogo nie skrzywdziła, dopóki Koty nie zaczęły się na nią rzucać wszędzie, gdziekolwiek się pojawiła. Chciała tylko ocalić paru niewinnych ludzi.

– Nie takich znowu niewinnych... – zaczął Ma'elKoth, ale Caine nie dał mu dojść do słowa:

– Nieważne. Grunt, że Pallas nie ma nic wspólnego z polityką. Nie interesuje mnie, dlaczego rozpocząłeś tę nagonkę, ale ci ludzie nie są *Aktirimi*; ty to wiesz i ona to wie. Pallas jest... jest... – Musiał odkasznąć, bo słowa więzły mu w gardle. – Jest bohaterką. Prawdziwą, nie taką jak ja czy ty, bez urazy. Nie mogła się beczynn timer przyglądać, jak giną niewinni ludzie, i w ten sposób wplątała się w tę aferę.

– Hm... – zagrzmiał Ma'elKoth. – Skoro taka z niej bohaterka, jak to się stało, że związała się z kimś takim jak ty?

Caine pokręcił głową. Odwrócił wzrok.

– Nie wiem. Może wydawało jej się, że mnie też zdoła uratować...

Uświadomił sobie, że Ma'elKoth sprowadził rozmowę na manowce. Należało jak najszybciej wrócić do bieżących spraw.

– Król Ściemy zorientował się, że za jej pośrednictwem może uderzyć w ciebie. Ogłosił polowanie na *Aktirich*, a on dostrzegł w nim szansę zaszkodzenia tobie i całemu cesarstwu. Pallas nie chciała o tym słyszeć, bo nie po to włączyła się do gry. Pokłócili się, zagroziła mu, że go wsypie... Dlatego się jej pozbył. Nie mógł jej zdradzić za pośrednictwem Toa-Sytella, żeby nie odkrywać swoich kart, więc wykorzystał do tego Lamoraka.

– Poważnie? – Ma'elKoth uniósł brwi. – To Lamorak działa na dwa fronty? Coś podobnego...

– Nie zastanawiałeś się nad tym, dlaczego podał ci tę barkę na srebrnej tacy, po tym, jak z twojego rozkazu omal nie umarł na torturach?

Pytanie było ryzykowne, ale nie przesadnie – Caine dałby sobie uciąć głowę, że to Lamorak ściągnął Koty na przystań pod Mostem Rycerzy.

– A wiesz... Rzeczywiście, zastanawiałem się. To wiele wyjaśnia...

– Kiedy złapaliście ją żywcem, na amen pokrzyżowaliście plany Jego Wysokości. Czegoś takiego nie mógł przewidzieć. Nie mógł jej zabić osobiście, bo Słudzy Ściemy mogliby tego nie przełknąć; nadal żyją złudzeniami o honorze. Dlatego zdał się na Berne'a, ale ten pokpił sprawę. Pallas nadal żyje i Król Ściemy musi coś w tej sprawie zrobić. Stąd zamieszki, plotki o tym, że jesteś *Aktirem*... Musi dać ci ostro w kość, zanim złamiesz Pallas, a dzięki temu, kiedy się dowiesz, na kim się mścić, będzie już za późno. Teraz rozumiesz?

– Taaak... Kiedy cesarz rzekomo zabije Pallas na stadionie, jej wrogowie uwierzą, że naprawdę zginęła. Wtedy będzie bezpieczna.

– Otóż to. Zabiorę ją stąd i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– Ale jeśli Król Ściemy jest jej wrogiem, po co go chroni? Dlaczego mi się opiera?

Caine'owi zaschło w gardle.

– Bo jest bohaterką i inaczej nie umie. Za to ją kocham. I dlatego, jeśli chcesz, żebym ci pomógł, zostaw ją w pałacu, gdzie nic jej nie grozi.

– Tłumaczyłem ci już, że to będzie trudne...

Caine przerwał Ma'elKothowi machnięciem ręki, które do złudzenia przypominało morderczy cios.

– Skończ z tym biadoleniem. Chcesz być bogiem? I nie potrafisz wyczarować prostej iluzji, nawet jeśli od tego ma zależeć los twojego cesarstwa?

Cesarz się nasrożył.

– Wątpisz w moją moc?

– To nie ja mam wątpliwości – odparował Caine.

Ma'elKoth powiódł wzrokiem po mieście. Myślami był już na zalanej południowym słońcem arenie na południowym brzegu.

– Może rzeczywiście da się to zrobić. Będzie to trudne, prawie niewykonalne, żaden śmiertelnik nie mógłby nawet marzyć o czymś takim... Ciekawe wyzwanie. Ale nie mogę ryzykować z Pallas. Ma ogromną moc. Jeżeli nie będę jej blokował siłą swojej woli, może się przebić przez zaporę, którą postawiłem, i znów sięgnąć w głąb Przepływu.

Caine wzruszył ramionami.

– Zamknij ją w Donżonie.

Cesarz zmarszczył w zadumie brwi.

– Mógłbym...

– To najbezpieczniejsze miejsce. Budulec Donżonu uniemożliwi jej czerpanie z Przepływu.

– Taaak... Istotnie, w Donżonie powinna być bezpieczna.

Tak właśnie masz myśleć.

Cesarz coś za łatwo odpuścił. Z pewnością miał wobec Pallas dalsze plany.

Nic nie szkodzi, pomyślał Caine. Ja też mam plany.

Ma'elKoth zogniskował na nim wzrok.

– Tak zrobię. Nawet jeżeli nie uda mi się utrzymać Fantazji, nic nie tracę. Tak czy inaczej wystąpię przed liczną widownią i będę mógł publicznie oskarżyć Króla Ściemy. Niewiele ryzykuję. Nie doceniałem cię, Caine. Jesteś prawdziwym geniuszem. – Czułość malująca się na jego twarzy stężała w determinację. – Zrobię, jak radzisz. „Zgubienie” rzekomych zwłok Pallas Ril, albo podmienienie ich na inne, podobne, przed wrzuceniem na stos, będzie banalnie proste. Na razie, Caine, przyjmij moje wyrazy wdzięczności, a kiedy doprowadzę sprawę do końca, dostaniesz znacznie więcej: tytuł, ziemię i wasali na swoje rozkazy. A także życie Pallas Ril.

Ożeż w mordę... Caine nie posiadał się ze zdziwienia. To się naprawdę może udać.

## 14

Ma'elKoth rozmawiał z Toa-Sytellem i Berne'em, a Caine stał przy ołtarzu, na którym leżała związana Pallas, żałując, że nie może jej w żaden sposób pomóc, chociażby przykryć jej nagiego ciała, co zresztą byłoby bardziej potrzebne jemu niż jej, ona bowiem nadal znajdowała się gdzieś daleko, w swoim tajemniczym azylu, oderwana od otaczającego ją świata.

Obserwował Toa-Sytella i Berne'a, słuchających Ma'elKotha, który, przechadzając się po komnacie, wydawał rozkazy. Berne co rusz zerkał lubieżnie na obnażone, poobijane ciało Pallas, a kiedy zauważył, że Caine mu się przygląda, niespiesznym, obscenicznym ruchem oblizał wargi. Caine nagle pożałował, że w swoim planie nie uwzględnił możliwości osobistego zamordowania tego chorego skurwiela.

Toa-Sytell nie odrywał wzroku od nieziemsko pięknej twarzy Ma'elKotha. Pod tradycyjną maską beznamiętnej uprzejmości kryło się graniczące z lękiem zatroskanie. Kiedy cesarz zdradził im, że ich prawdziwym wrogiem jest Król Ściemy, książę poczerwieniał.

– Nie wierzę – wymamrotał. – Nie wierzę. To niemożliwe.

Ma'elKoth się zatrzymał.

– Nie wymagam od ciebie wiary, Toa-Sytellu, tylko posłuszeństwa.

– Ale... Ale... – zająknął się Toa-Sytell. – Mój panie, nie rozumiesz, co się dzieje?! Masz na to tylko słowo Caine'a! Nie pamiętasz już, jakie zniszczenie sprowadza, gdziekolwiek się pojawi? Zapomniałeś o Donżonie? O wojnie o sukcesję?!

Ma'elKoth podszedł bliżej i stanął nad nim. Jego twarz pociemniała, jakby chmura nagle zakryła słońce.

– O niczym nie zapominałem. I tobie również radzę nie zapominać, kim jestem. Jeżeli zechcę, mogę rzucić na szalę cesarstwo, jego stolicę, a także twoje życie.

Książę się nie cofnął, ale nie wytrzymał tego spojrzenia. Ledwie spuścił wzrok,

Ma'elKoth złagodniał i położył mu dłoń na ramieniu.

– Rozumiem twój niepokój, książę, ale przypomnę ci, że kataklizmy towarzyszące pojawieniu się Caine'a zawsze obracały się na moją korzyść. Wojna o sukcesję wyniosła Mnie do władzy, a rzeź w Donżonie przybliżyła do zwycięstwa nad moim najgroźniejszym wrogiem. Nie żądam, byś zaufała słowom Caine'a, lecz mojemu osądowi.

Berne wystąpił naprzód. Uśmiechnął się kąśliwie, przygryzając wargę.

– Co w tym czasie będzie robił Caine? – zapytał. – Bo ja na twoim miejscu zamknąłbym go gdzieś, gdzie mógłbym go stale mieć na oku.

– Nie pytałem cię o zdanie, Berne. – Ma'elKoth podniósł leżącą na podłodze siatkę. Szybkim ruchem nadgarstka zwinął ją w kłęb (gryfkamienie wydatnie zwiększały jej bezwładność) i rzucił Caine'owi. – Przewidziałem rolę także dla niego.

Caine złapał zawiniątko jedną ręką i zaczął obwiązywać, żeby się nie rozpadło.

– Jedyłą niewiadomą pozostaje Abbal Paslava – powiedział. – Nazywają go Czarownikiem. Można powiedzieć, że jest nadwornym magiem Króla...

– Wszyscy wiemy, kim jest – przerwał mu oschłym tonem Toa-Sytell.

– Stanowi pewien problem, jako specjalista od iluzji i podobnego badziewia. Może wykryć albo nawet rozproszyć Fantazję Ma'elKotha. Wtedy będzie po zawodach.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

Caine zważył się w dłoni.

– Zabić. To nie będzie trudne. Oni mi ufają, prawda? Odciągnę go gdzieś na bok, zarzucę mu siatkę na głowę, żeby się nie mógł bronić, i załatwię sprawę w mgnieniu oka. Znam więcej niż jeden sposób zabicia go bez pozostawiania śladów. Paslava nie jest młodzieniaszkiem i jeżeli powiem Jego Wysokości, że nagle zasłabł i zmarł w moich ramionach, wszyscy mi uwierzą.

– Skąd mamy wiedzieć, że naprawdę tak zrobi? – zapytał Berne Ma'elKotha. – Lepiej go nie wypuszczać, to zbędne ryzyko. Posłuchaj, Ma'elKoth...

– Nie lękaj się – zadudnił Ma'elKoth. – Wiem, co Caine jest wart. Nie zawiedzie Mnie. Toa-Sytellu, zajmiesz się szczegółowym planowaniem operacji. Zdaję się na ciebie. Berne, przygotuj Koty do akcji. Kiedy już Król Ściemy znajdzie się w Moich rękach, wrócimy do tematu Pallas Ril.

I raz na zawsze go zamkniemy, pomyślał Caine.

– Obiecałeś mi coś, Ma'elKoth...

– Bynajmniej. Dałem słowo, ale obwarowane warunkiem: powiedziałem „kiedy doprowadzę sprawę do końca” i tylko Ja mogę stwierdzić, że Pallas Ril przestała być zagrożeniem dla cesarstwa. Jeżeli jutro o zmierzchu w mieście będzie panował spokój, podejmę przerwane przesłuchanie. Kiedy twoje słowa się potwierdzą, uwolnię ją.

– Uwolnisz? – powtórzył oszołomiony Berne. – Nie możesz tego zrobić!

– Mogę i zrobię. Caine? Masz sporo roboty. Idź z Toa-Sytellem, razem zaaranżujcie swoją

ucieczkę z więźniarki po drodze do Donżonu. Musisz być przekonujący, ale... – Czarne chmury zebrały się na cesarskim czole. – Nikt nie może zginąć. Żądzę mordu zachowaj dla Naszych wrogów, a ja stosownie cię wynagrodzę. Jeśli zabijesz kogoś z Moich wiernych żołnierzy, czeka cię kara. Czy to jasne?

Caine wzruszył ramionami, nie kryjąc irytacji i niezadowolenia.

– Jak chcesz.

– W takim razie żegnam was wszystkich. Mnie również czeka dużo pracy, zamierzam przywołać burzę znad Kaarn, żeby uratować miasto. Zajmie mi to kilka godzin, później zaś muszę przygotować Fantazję na jutro. Idźcie już.

Trzej goście Ma'elKotha spojrzeli po sobie – Caine ponuro, Toa-Sytell beznamiętnie, Berne z nieskrywaną wrogością. Caine wziął głęboki wdech i bez entuzjazmu skierował się ku drzwiom; najwięcej wysiłku kosztowało go odsunięcie się od Shanny, ale zacisnął zęby i nie obejrzał się przez ramię.

Toa-Sytell wyprzedził go i otworzył mu drzwi. Przechodząc przez próg, usłyszeli jeszcze głos Ma'elKotha:

– Berne? Zaczekaj.

Caine natychmiast się odwrócił: wizja Berne'a pozostawionego w Żelaznej Komnacie sam na sam z Shanną, gdy Ma'elKoth pójdzie czarować pogodę, była tak ohydna, tak powalająca, że nie mógł się powstrzymać. Ma'elKoth pstryknął od niechcienia palcami i drzwi zamknęły się Caine'owi przed nosem.

Stał nieruchomo, wpatrując się z bliska w srebrne runy i węzową kołatkę. Oddychał głęboko, usiłując odzyskać psychiczną równowagę.

– Caine...?

W głosie Toa-Sytella zabrzmiała niezwykła u niego natarczywość. Kiedy Caine odwrócił się do niego, stwierdził, że zwykle pozbawiona wyrazu twarz księcia zbieła z wściekłości.

– Raz już zrobiłeś ze mnie durnia – ciągnął Toa-Sytell. – Wybuchła wojna o sukcesję, w której zginęło sto tysięcy ludzi, wśród nich moi synowie. Tyle że od tamtej pory poznałem się na tobie i drugi raz nie dam się wykiwać. Nie wiem, jak udało ci się oszukać Ma'elKotha, ale jedno ci powiem: mnie nie oszukasz. Będę miał na ciebie oko, Caine. Jeśli dojdę do wniosku, że próbujesz nas zdradzić, zginiesz.

Caine wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Drażni cię, że lepiej od ciebie wykonuję twoją robotę, co? Jego Wysokość wykiwał cię tak samo jak Lamorak Berne'a.

– Ostrzegam cię, Caine...

– Wiesz co? Na twoim miejscu, zamiast zajmować się moją osobą, skoncentrowałbym się raczej na kryciu własnej dupy – odparł Caine pojednawczo, niemal przyjaźnie. Chciał uniknąć konfrontacji. – Dam ci dobrą radę, książę. Nie dlatego że cię lubię, nie myśl sobie, ale dlatego że w gruncie rzeczy uważam cię za przyzwoitego człowieka. Nie zapominaj, kto jest twoim

przyjacielem. Pomyśl o tym, co zrobisz, kiedy Ma'elKoth przegra.

– Nie przegra, dopóki ja żyję.

– Nie zarzekaj się tak. Jeśli jego trafi szlag, polecisz razem z nim. Kto wtedy zostanie, przynajmniej dopóki nie zginie z ręki następcy Ma'elKotha?

Toa-Sytell zmarszczył brwi, a zaraz potem wybałuszył oczy i pobladł.

– Ale... – Pokręcił głową. – Nikt za nim nie pójdzie, to zwykły hrabia... nie ma prawdziwej władzy...

Caine uśmiechnął się cynicznie.

– Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy tylko czekają, aż ktoś im powie, co mają robić. I jest im obojętne, kto to będzie.

Toa-Sytell spochmurniał, ale w końcu otrząsnął się z tej ponurej wizji.

– Ma'elKoth nie przegra. Nie może przegrać.

– Na twoim miejscu nie dałbym sobie uciąć głowy. Nie wydaje ci się, że ostatnio dziwnie się zachowuje? Te nagłe napady szału, ta obsesja na moim punkcie, pytania gdzie byłem, co robiłem... Mam wrażenie, że facet się sypie.

Toa-Sytell przymrużył powieki i się zamyślił, Caine zaś zorientował się, że książkę już wcześniej musiał snuć podobne myśli.

– Jasne jest, że jutro sobie poradzi – ciągnął. – Konkretny problem, konkretne rozwiązanie. Ale tak sobie myślę... Ty też już chyba rozumiesz, że Ma'elKoth nie jest nietykalny. A skoro my to widzimy, widzą to jego wrogowie.

– Caine...

– Przykro mi z powodu twoich synów. Wiem, że takie spóźnione kondolencje niewiele znaczą, ale przysięgam ci, że nikt sobie nie wyobrażał, że wojna o sukcesję zatoczy tak szerokie kręgi. Gdyby Rada Klasztorna podejrzewała, że tak się stanie, nigdy by mnie tu przysłano. Zrozum, tak samo jak ty, nie chcę kolejnej wojny. Pomyśl o tym. Ktoś musi tu być, żeby zaprowadzić porządek, gdyby zabrakło Ma'elKotha. A ja nie widzę lepszego kandydata od ciebie.

Mięśnie szczęk Toa-Sytella naprężyły się, rozluźniły, mgła spłynęła w końcu z jego oczu.

– Chodź – powiedział. – Musimy zorganizować twoją ucieczkę.

## 15

– Po prostu nie mogę uwierzyć w to, że mu zaufałeś. – Berne przechadzał się wściekłym krokiem po komnacie, dźgając pięścią powietrze. – Tak jak i w to, że chcesz ją wypuścić! Po tym, co mi zrobiła?! Masz pojęcie, ilu moich ludzi przez nią zginęło?

– Spokojnie, mój chłopcze. Tracisz równowagę. Nie ufam Caine'owi i nie zamierzam uwolnić Pallas Ril. To, co pokazała w porcie... – Cień przemknął po jego doskonałych rysach.



– Nie jestem wcale pewien, czy potrafiłbym jej dorównać. Zyskała wielką moc i stała się zbyt niebezpieczna, żeby mogła dalej żyć.

– Caine’owi powiedziałeś...

Ma’elKoth wzruszył ramionami.

– Ma przecież poważną ranę piersi, prawda? Życie niedługo i tak z niej wycieknie. Pożyje tylko do chwili, kiedy Caine przestanie być dla Nas użyteczny. – Uśmiechnął się. – Rzucenie czaru na nią, a nie na dublerkę, może być bardzo kształcące...

– Użyteczny? W jaki sposób? Dlaczego go wypuściłeś? – W głosie Berne’a zabrzmiała wysoka, płaczliwa nuta. – Czemu nie dałeś mi go zabić?

– Nic straconego. – Ma’elKoth oparł mu rękę na ramieniu. – Jego opowieść brzmi przekonująco, pasuje do faktów, a on odpowiedział na wszystkie pytania. I to wzbudziło moją podejrzliwość: tylko fikcja jest idealna. W życiu nie ma takiego ładu.

Odwrócił się majestatycznie jak ostrzący do wiatru liniowiec i przesunął się bliżej ołtarza. Spojrzał w nieruchomą, pustą twarz Pallas Ril. Roztargnionym gestem przymknął jej powieki.

– Mam powody, by wątpić w prawdziwość jego słów – mówił dalej. – Jednakże plan, który przedstawił, tak doskonale odpowiada Moim potrzebom, że nie przestaje mnie zdumiewać: ogromny zysk i kompletny brak ryzyka. Nie wiem, czy Caine był ze mną szczery. Akceptuję taką możliwość, ale nadmiernie się do niej nie przywiązuję.

Jego oczy straciły wyraz sennego odrętwienia. Przeszył Berne’a wzrokiem. Wyciągnął rękę.

– Daj mi swój nóż.

Berne wyjął sztylet z pochwy i podał go cesarzowi. Klinga zginęła w olbrzymiej dłoni – kiedy Ma’elKoth podniósł broń na wysokość oczu, wyglądała jak scyzoryk.

– Dałem Caine’owi siatkę... Ale wcześniej, podnosząc ją z podłogi, oznakowałem ją.

Jego oczy zapalały zielenią. Ścisnął sztylet w dłoni, wpatrując się w niego z nadludzkim skupieniem. Ostrze zaśniło szmaragdową poświatą, która nadal tliła się słabo, gdy światło w oczach cesarza już zgasło. Oddał broń Berne’owi, który wziął ją delikatnie do ręki, napawając się ciepłem dotkniętej przez Ma’elKotha rękocyści.

– Kiedy wycelujesz ten sztylet w Caine’a, rozgrzeje się i zaśni zielono. Idź za nim, dowiedz się, co zamierza. I weź ze sobą oddział Kotów. Jeżeli trafi wam się okazja schwytania lub zabicia Króla Ściemy albo jego podwładnych, zróbcie to. Tylko nie zbliżaj się za blisko do Caine’a. Nie mogę okryć cię Płaszczem, bo potrzebuję całej mojej mocy, żeby przywołać burzę.

– Zrobię, co każesz. – Berne ścisnął sztylet jak relikwię. – Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

– Wiem, Berne. I liczę.

Ma’elKoth się odwrócił. Wzrok Berne’a spoczął na nagiej postaci Pallas Ril. Pustka w jej oczach, krwiaki na skórze, zakrwawiony bandaż na piersiach, nawet łańcuchy, którymi była

przykuta do ołtarza... Nigdy w życiu nie widział czegoś równie podniecającego. Pożądanie zapierało mu dech w piersi.

– Ehm... Ma'elKoth?

– Słucham, synu?

– Kiedy już skończysz z Pallas... mogę ją dostać? – zapytał Berne. – No wiesz, w końcu to ja ją złapałem. Tak by było uczciwie.

– Taaak... Rzeczywiście, tak by było uczciwie.

## 16

– Caine jest znowu podłączony.

Kollberg poderwał się jak ogar, którzy zwietrzył ofiarę.

– Jak długo go nie było?

– Godzinę i siedem minut, Administratorze.

– Doskonale, doskonale...

Kollberg zerknął na pospoły, które dwie godziny temu usiadły wreszcie łaskawie na dostarczonych przez niego krzesłach. Nie poruszały się. Nie wiedział nawet, czy nie śpią.

Na ekranie wyświetlił się obraz wnętrza żelaznego powozu. Na razie nie było Solilokwium. Caine rozmawiał swobodnie z człowiekiem, w którym Kollberg rozpoznał Toa-Sytella, tego księcia. W powozie jechało jeszcze dwóch obcych ludzi w mundurach Rycerzy Pałacowych. Caine co chwila wyglądał przez zakratowane okienko na rozświetlaną ogniem pożarów ulicę i biegających po niej ludzi – uzbrojonych i nie, często zakrwawionych, dźwigających skrzynki, dzbany i beczki. Niektórzy wściekle atakowali szabrowników, tylko po to, żeby samemu przejąć ich łupy.

– Świetnie... – wyszeptał Kollberg. – Jadą w samo serce zamieszek. To mi się podoba. Kurczę, Caine, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Wiedziałem!

Zachichotał głośno, gdy skuwające Caine'a kajdany opadły, a na twarzach Rycerzy Pałacowych odmalowały się zaskoczenie i zgroza. Nie wiadomo skąd Caine wyciągnął małe nóżki sztylecik z zakrzywionym ostrzem, który teraz przyłożył Toa-Sytellowi do gardła.

– *Zabijcie go!* – warknął Toa-Sytell. – *Mną się nie przejmujcie. On nie może uciec! To rozkaz!*

– *No dalej, śmiało* – zachęcił ich Caine. – *Tylko że wtedy nie zostanie nikt, kto by powiedział Ma'elKothowi, że to naprawdę był rozkaz. Nie myślście chyba, że Ma'elKoth wam uwierzy! Otwórzcie te przeklęte drzwi i zjedźcie mi z drogi.*

Rycerze Pałacowi nie zamierzali szastać swoim życiem. Otworzyli drzwi i Caine wyskoczył przez nie tyłem, wywlekając Toa-Sytella na ulicę. Konni Rycerze z eskorty krzyknęli z zaskoczenia, ale rwali się do bitki nie bardziej niż ich jadący w środku koledzy po

fachu. Caine z zakładnikiem wycofali się do wylotu najbliższej uliczki.

– *Myślisz, że tu wystarczy?* – spytał półgłosem Toa-Sytell.

– *Dorastałem w tej okolicy. Nie złapią mnie.*

– *W porządku.*

Toa-Sytell zaczął się szarpać i wydierać. Wyrwał się z rąk Caine'a, wzywając Rycerzy na pomoc. Caine powalił go kopniakiem na ziemię i stanął nad nim ze sztyletem wzniesionym do ciosu. Odczekał, aż biegnący od strony więźniarki Rycerze zobaczą go w tej pozie, a potem okręcił się na pięcie i zniknął w rdzawym półmroku zaułka.

Kollberg prychnął cicho z uciechy, śledząc jego wędrówkę przez ogarnięte zamieszkami miasto. Cała jego niechęć do Caine'a, cała gorzka determinacja, żeby go zniszczyć, cały stres wywołany obecnością pospołów w techkabinie – wszystko poszło w zapomnienie. Zapowiadała się genialna Przygoda.

Stare Miasto wrzało. Zewsząd dobiegały krzyki, trzask tłuczonego szkła i glinianych naczyń. Caine jak nikt inny umiał prowokować zamieszanie; kto wie, czy nie był to jego największy talent. Wyminął sklep, w którym okopał się pluton cesarskiej piechoty, oblężony przez kilkuset miotających kamienie cywilów. Na oczach Caine'a ktoś podłożył ogień pod tę kamienicę.

Wśliznął się do pobliskiego pisuaru, płosząc jakiegoś nędzarza, kiedy kopniakiem wyrwał drzwi z zawiasów. Zsunął się po drabinie w szybie ściekowym i odszukał na dnie ukryte drzwi, prowadzące do jaskiń pod miastem. Przeszukał kieszenie i wygrzebał zapalniczkę Kierendał. Jej chybotliwy płomyk rzucał dostatecznie dużo światła, żeby Caine mógł swobodnie iść.

Po drodze, z typową dla siebie swadą, zrelacjonował wydarzenia w pałacu. Jego historia brzmiała jednak jakoś inaczej niż zwykle i Kollberg zastrzygł uchem jak spaniel, wsłuchując się w jego słowa i usiłując zidentyfikować obcy element. Jakaś wysilona nuta, coś nieszczerego... No, tak. Oczywiście.

Kollberg uśmiechnął się z zadowoleniem. Caine przesadnie kontrolował swoje Solilokwium. Celowo starał się unikać wszystkiego, co mogłoby się wydać kontrowersyjne, więc trudno się było dziwić, że monolog brzmi inaczej niż zwykle. Ale nawet słabsza jakość rozrywki nie mąciła satysfakcji Kollberga. Był z siebie ogromnie zadowolony, ponieważ udało mu się nastraszyć Caine'a.

Chociaż... pomyślał. Może pomija coś więcej? Coś ważnego?

Skąd ten pomysł? Czy Caine naprawdę mógł coś przed nim ukryć? Nie, na pewno nie. To tylko odrobina paranoi, naturalna rzecz u perfekcjonisty.

Od czasu do czasu światło zapalniczki wyławiało z ciemności fragmenty skalnych ścian jaskiń. Caine szerokim łukiem wyminął kilka miejsc, w których szmer odległych głosów mieszał się z chlupotem wody przesączającej się przez wapień i skapującej do podziemnych jezior; przeczłogał się ostrożnie obok kilku innych, gdzie zbyt szerokie obejście

zaprowadziłoby go na nieznaną teren. W trójwymiarowym labiryncie tuneli pod miastem jeden niewłaściwy skręt mógł go kosztować wiecie godzin lub nawet dni marszu, ale w końcu dotarł do miejsca, w którym nie musiał się kryć – trzech ludzi w żebraczych łachmanach i jeden w malowanej kolczudze Rycerza Ściemny wylegiwali się przy małym ognisku rozpalonym wprost na kamieniu.

Nie sprawiali wrażenia przejętych pojawieniem się Caine'a. Przedstawił się, wymienili dyskretne sygnały rozpoznawcze i ruchem głowy wskazali mu dalszą drogę. Mijając ich, rzucił półgłosem:

– *Ktoś może mnie śledzić, uważajcie. Może nawet warto byłoby się stąd ulotnić.*

Rycerz spokojnie dźwignął się na nogi. Oparł dłoń na rękojeści miecza.

– *Mamy ich zatrzymać?*

– *Nie. Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Po prostu zachowajcie czujność.*

Zostawił ich i znalazł nieopodal kolejny szyb prowadzący do pisuaru. Wspiął się na górę i wylądował w rozświetlonym płomieniami Parku Przemysłowym.

Starał się trzymać jak najbliżej sinoczarnych cieni – na ile było to możliwe bez spowalniania kroku. Ulice, na przemian, to pustoszały, to znów zapełniały się rozwrzeszczanym i szamoczącym się tłumem szabrowników. U wylotu uliczki, w którą usiłował skręcić, zatrzymało go dwóch ludzi z krótkimi mieczami.

– *Ktoś ty?!*

– *Słucham?*

Czubek miecza znalazł się nieprzyjemnie blisko jego szyi.

– *Popierasz cesarza? Czy Aktirich?*

– *O, panowie lojaliści... Czeka was ciężka noc.*

Zanim lojalista zdecydował, co właściwie oznacza ta odpowiedź, Caine odchylił się w bok, schodząc z linii pchnięcia, złapał go za nadgarstek, wykręcił mu go i zabrał miecz. Dzięki temu, że przy okazji przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, drugą mógł wyprowadzić obrotowe kopnięcie w szczękę drugiego żołnierza, czym uniemożliwił mu ogłoszenie alarmu. Siłą rozpędu dokończył obrót i płazem trzymanego w ręce miecza wyrzucił pierwszego przeciwnika w głowę. Klinga zadrzała mu w dłoni i odskoczyła. Nie zgięła się. Dobra stal.

– *No, no – mruknął. – Całkiem niezłe...*

Zabrał miecz i wbiegł w ciemną uliczkę, oddalając się od leżących na ziemi lojalistów, którzy nie zdążyli nawet nabrać tchu, żeby błagać go o litość.

Przemykał kolejnymi ulicami, unikając kłopotów i z daleka omijając wszystkie większe zgromadzenia, aż w końcu dotarł do kamienicy, która Kollbergowi wydała się dziwnie znajoma. Jedno zerknięcie na wyświetlone na ekranie dane telemetryczne utwierdziło go w podejrzeniu, że ten właśnie dom jest celem Caine'a: jego organizm produkował tony adrenaliny, a puls przyśpieszył tak bardzo, że strzałka oparła się o czerwoną kreskę. Wylamane drzwi wejściowe zwiisały na jednym zawiasie. Caine wszedł do sieni i po ciemku

pokonał dwa odcinki schodów.

Na górze półgłosem wypowiedział hasło, którym wcześniej identyfikował się w jaskiniach. Z półmroku dobiegła odpowiedź. Caine wszedł w korytarz, gdzie zastał dwóch Rycerzy Ściemy.

– *Jego Wysokość mnie przysłał. Macie biegiem wracać na stadion.*

Rycerze spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

– *No, nie wiem...* – mruknął jeden. – *Mieliśmy tu czekać, aż Jego Wysokość osobiście nas odwoła...*

– *Jest w tej chwili trochę zajęty. Nie wiem, czy zauważyliście, ale w mieście sporo się dzieje.*

– *Przykro mi, Baronie* – dodał drugi Rycerz. – *Jego Wysokość wyraził się jasno.*

Caine westchnął i rozłożył bezradnie ręce.

– *W porządku, słuchajcie. Muszę pogadać z Lamorakiem, ale nie jest to rozmowa, którą chcielibyście usłyszeć. Rozumiemy się? Po prostu idźcie na stadion, tak jakbyście uwierzyli w moją fałszywą wiadomość. Jego Wysokość zrozumie.*

– *Ale chyba nie...*

– *Uwierz mi, zrozumie. Nie oczekuje od was przecież, że dacie się tu zabić.* – Caine podkreślił swoje słowa znaczącym ruchem miecza. Odczekał jeszcze chwilę, żeby na pewno zrozumieli aluzję. – *Nadżacie?*

Znów spojrzeli jeden na drugiego i uznali, że najlepiej będzie jednak się ulotnić. Kollberg przestał się nimi interesować.

Lamorak... pomyślał, dziwnie spokojny i nie wiedzieć czemu zadowolony z tego swojego spokoju. To jest ta kryjówka w Parku Przemysłowym.

Zacisnął dłoń i zawiesił ją nad przyciskiem transferu awaryjnego. Złowroga czerwień kładła się na miękkiej spodniej powierzchni pięści.

Jedno słowo za dużo, Caine. Wystarczy jedno, i to nawet niekoniecznie twoje. Niech no Lamorak chociaż zasugeruje, że mógłby ci powiedzieć prawdę, a moja pięść spadnie jak Młot Boga.

Wargi koloru wątroby drgnęły w półśmiechu, Kollberg poruszył się w fotelu, szukając wygodniejszej pozycji. Wszystko go swędziało, miał wrażenie, że mrówki defilują mu po skórze; nie był w stanie rozluźnić mięśni karku ani spowolnić galopującego tętna.

Jeszcze trochę, powtarzał sobie. Już niedługo.

Kiedy otwieram drzwi, siedzi przy oknie i wygląda na zewnątrz; odblaski płomieni trawiących Miasto Obcych tańczą na jego poobijanej twarzy. Zaczyna się obracać w moim

kierunku, ja zaś skaczę w jego stronę i robię wypad jak rasowy szermierz, kończąc z czubkiem miecza niemal przytkniętym do jego gardła. Zamiera w pół ruchu, wstając z fotela. Domyślam się, że unieruchomiona w łóbkach noga jest już w stanie częściowo udźwignąć ciężar jego ciała.

– Nic nie mów – ostrzegam go półgłosem. -Nie zrobię ci krzywdy.

Powoli opiera się na podłokietnikach i z powrotem opada na fotel. Jakiś zapobiegliwy Sługa unieruchomił mu złamaną szczękę szerokim bandażem owiniętym wokół głowy i zawiązanym w kokardę na czubku. Wygląda jak chłopiec z kreskówki, którego rozboleł ząb.

– Nie? – pyta.

Wzdycham ciężko, odwracam miecz w dłoni i podaję mu go rękojęścią do przodu.

– Nie. Ale jeśli spróbujesz użyć przeciwko mnie tej swojej Dominacji, złamię ci następny kawałek twarzoczaszki. Rozumiemy się?

Ostrożnie wyciąga rękę po miecz, jak dziecko sięgające po cukierka, który w każdej chwili może mu zostać odebrany. Kiedy zaciska dłoń na rękojęści, widzę, jak napięcie spływa mu z mięśni szyi i barków. Promienieje taką ulgą, że prawie ją czuję.

– Caine... Caine, ja...

– Wiem wszystko. – Odwracam się, zapalam lampę i ustawiam ją w taki sposób, żeby jej poświata była widoczna z zewnątrz. – Porozmawiamy w domu, teraz to nie ma znaczenia. Wiem, co zrobiłeś, i wiem dlaczego.

Wytrzeszcza oczy. Czubek ostrza podskakuje w kierunku mojej twarzy. Na wszelki wypadek zaciska na rękojęści drugą dłoń.

– Ale... ja... ale...

– Nic nie musisz mówić. Powiedziałem przecież: wiem i rozumiem.

Jego dolna warga drży płaczliwie.

– Nie chciałem, żeby komuś stała się krzywda...

– Wiem, Lamorak. Możesz mi wierzyć, że wiem, jak to jest, kiedy człowiek działa pod presją. Ja też tam byłem; postąpiłem tak samo jak ty i wcale mi się to nie podobało.

Oczy mu wilgotnieją. Mnie obrzydzenie przepelnia pierś, ledwie udaje mi się je zamaskować.

– Jej kariera... – jęczy Lamorak. – Jej Przygoda...

Bezlitośnie wchodzę mu w słowo:

– W tej chwili najważniejsze jest wyrwanie jej z łap Ma'elKotha, kapujesz? Pomóż mi. Pomóż mi ją uratować, a nic innego nie będzie się liczyć. Mogę nawet zadbać o to, żeby Jego Wysokość nie zabił cię za to, co mu zrobiłeś.

– Ale, Caine... To było...

– Powiedziałem ci już, że rozumiem! – Pieprzony mięczak. – Wtedy w nocy, w magazynie, wystraszyłem cię. Myślałeś, że chcę cię zabić? – Wzruszam ramionami i posyłam mu umiarkowane głupkowaty uśmiech. – Bo chciałem. Gdyby mnie nie ściągnęli z

powrotem, zabiłbym cię. No, ale to się nazywa krewki temperament. Potem się uspokoiłem, wszystko przemyślałem i zrozumiałem. Zresztą teraz nie mamy czasu na takie pierdoły. Potrzebuję twojej pomocy.

– Po co? To znaczy, zrobię wszystko, absolutnie wszystko, Caine, żeby ci to wynagrodzić...

Pokazuję mu siatkę. Pożera gryfkamienie wzrokiem.

– Prowadzę z Ma’elKothem ostrą grę i podejrzewam, że Koty mogą mnie śledzić. Magijnie. Muszę się dowiedzieć, czy faktycznie tak jest, a jeśli tak, to co mogą namierzyć: mnie, moje ubranie, nóż, siatkę... Czujesz, nie? Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby wszędzie za mną łazili. To stępi haczyk.

– Śledzą cię?! – powtarza przerażony i nerwowo wygląda na ulicę.

– Spokojnie, nie są aż tak blisko. Nie muszą, jeśli jestem oznakowany.

– Kto by cię miał oznakować?

– Ma’elKoth. – Parskam śmiechem. – To się nazywa ironia losu, co? Dziś rano usiłowałeś się mnie pozbyć, sugerując Jego Wysokości, że pracuję dla Ma’elKotha. I rzeczywiście pracuję. Przynajmniej Ma’elKoth tak myśli.

– Niech cię diabli, Caine...

– Wmówiłem Ma’elKothowi, że Jego Wysokość jest Simonem Błaznem. Poradziłem mu, żeby wywabił go z Kolonii, odprawiając publicznie pewien rytuał z udziałem Pallas: na Stadionie Zwycięstwa na oczach dwudziestu tysięcy ludzi ma za pomocą magji wydobyć z niej prawdziwą tożsamość Simona Błazna.

– Dlaczego Jego Wysokość miałby...

– Jego Wysokość nic nie musi. To tylko ja przekonałem Ma’elKotha, że Jego Wysokość razem ze Sługami wybiera się na stadion i tam spróbuje go zlikwidować. Berne naszpikuje tłum swoimi Kotami i Królewskimi Oczami w cywilnych łachach, żeby sprzątnęli Jego Wysokość, którego wcale tam nie będzie.

– No to o co właściwie chodzi?

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– O to, że Ma’elKotha też tam nie będzie. Odprawi rytuał zdalnie, za pośrednictwem Fantazji, żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo. Musisz jeszcze wiedzieć, że zamieszki wybuchły po tym, jak do spółki z Jego Wysokością przekonaliśmy pół miasta, że Ma’elKoth jest *Aktirem*. I teraz sobie wyobraź: dwadzieścia tysięcy ludzi na stadionie, a ja zarzucam tę srebrną siatkę na głowę magijnego brata-bliźniaka Ma’elKotha.

Chwilę to trwa, ale w końcu wybałusza oczy i zbiera szczękę z podłogi.

– Na boga... – mamrocze. – Siatka zablokuje Przepływ i Fantazja rozplynie się w powietrzu, dokładnie w taki sposób, jak się mówi o *Aktirich*...

– Otóż to. – Rozpromieniam się. – Niegłupie, co?

– Wszystkie Koty, oficerowie, tysiące obywateli...

– Do tego ludzie Króla. Ma’elKoth upada z hukiem; najdalej po paru godzinach zostanie obleżony w pałacu Colhari.

– Caine... To genialny plan. I naprawdę może się udać!

– Na pewno się uda. Zostało mi jeszcze tylko parę drobiazgów do załatwienia.

– A co... z Pallas?

– W tej chwili jest bezpieczna, bezpieczniejsza już być nie może. A jak wybuchną walki, wyciągnę ją.

– Ze stadionu?! Jak to sobie wyobrażasz?

– Z Donżonu. Będzie cały czas w Donżonie.

– Ale jazda...

– Prawda? To jedyne miejsce, w którym Ma’elKoth może ją spokojnie trzymać, nie bojąc się, że sięgnie do Przepływu i go zdmuchnie.

– I co? Naprawdę myślisz, że uda ci się ją stamtąd wyprowadzić?

Kiwam stanowczo głową.

– Wiem, jak tam wejść – przypominam mu, podnosząc rękę z siecią. – W zamieszaniu będzie mi jeszcze łatwiej. A, żeby się wydostać, wystarczy, że zbliżę się do niej na wyciągnięcie ręki.

Przy podejrzliwym spojrzeniu, jakie posyła mi Lamorak, złamany nos i szczęka nadają mu komiczny wygląd.

– No, dalej. – Ponagliam go gestem. – Pallas ma mało czasu, więc bierz się do roboty. Sprawdź mnie.

Nie spuszczam go z oka, kiedy uspokaja oddech i wchodzi w wewnętrzne widzenie. Jeżeli spróbuje mnie Zdominować, zabiję go na miejscu i wymyślę nowy plan.

Przez minutę albo dwie mamrocze pod nosem, aż w końcu kiwa głową i podnosi wzrok. Patrzy przytomnie. Wyszedł z transu.

– Miałeś rację: namierzają siatkę. Nie wiem jak, nie znam tego zaklęcia, ale widzę w niej jakąś strukturę mocy, coś więcej niż energię przelewającą się z gryfkamieni.

Więc to tak. Ma’elKoth musiał oznakować siatkę, kiedy podnosił ją z podłogi, tuż przed tym, jak mi ją rzucił. Załatwiłby mnie bez mydła.

Jutro w południe to ja mu pokażę, co to znaczy załatwić kogoś.

Wyglądam przez okno. Nie dostrzegam żadnych czujek, ale jeśli ktoś tam się czai, to na pewno mnie widzi.

– Dzięki, Lamorak. Na razie muszę lecieć, ale nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Powiedzmy, że załatwię ci ułaskawienie u Jego Wysokości. Co ty na to? Będziemy kwita?

– Wiesz, Caine... – Głos więźnie mu w gardle. – Dzięki... Dzięki, że mnie nie zabiłeś.

– Nie ma o czym mówić. Jeśli wrócimy cali i zdrowi do domu, umówimy się kiedyś na ringu i wtedy się na tobie wyżyję.

– Jesteśmy umówieni.



Podaje mi rękę. Ściskam ją, z trudem powstrzymując chęć złamania mu nadgarstka.

– To na razie.

Zwijam siatkę i wychodzę.

## 18

Drzwi eksplodowały deszczem odłamków. Lamorak zerwał się z krzesła ze zduszonym okrzykiem i mieczem gotowym do ciosu. Bez namysłu wybił się ze zranionej nogi, zrobił wypad i pierwszy Szary Kot, który wpadł za próg, padł z udem przeszytym klingą.

Lamorak był niezłym szermierzem i mimo nie w pełni sprawnej nogi zdążył odzyskać równowagę, zanim następny Kot wyminął osuwającego się na ziemię towarzysza. Kiedy jednak złożył się do zasłony, trzeci Kot wparował z łoskotem przez okno i z szokującą siłą kopnął go w plecy. Lamorak okręcił się w miejscu i runął na podłogę, nie wypuszczając miecza z dłoni. Natychmiast przeturlał się na plecy i zamasyście ciał przy ziemi, mierząc w nogi wszystkich wrogów w zasięgu ręki. Milczał – bo też i nie miał co powiedzieć. Zawzięcie walczył o życie.

Klinga zderzyła się z nogą, której nie zdołała przeciąć: odbiła się od niej z metalicznym dźwiękiem, aż poczuł ból w ręce. Nie była to noga odziana w szarą skórę, lecz w grubą serżę, niegdyś truskawkową, z czasem wyblakłą nierówno i przypominającą teraz starą plamę krwi. Zaparło mu dech w piersi, palce zdrętwiały i zanim zdążył ponownie podnieść broń, jeden ciężki bucior przydepnął mu nadgarstek, a drugi wytrącił miecz.

Podniósł wzrok, nie żywiąc wielkich nadziei. Pobladł, ale na jego twarzy wciąż malowała się posępna determinacja.

– Berne... – mruknął. – Berne, nie...

– Milcz. – Na twarzy i w głosie Berne'a rozbawienie mieszało się z żądzą mordy. – Słyszałem, jak okpiłeś mistrza Arkadeila.

Sięgnął ponad ramieniem do tyłu i wyciągnął Kosalla z pochwy. Śpiewny wizg ostrza przecinającego powietrze przyprawił Lamoraka o lodowaty dreszcz.

– Wiesz co? – ciągnął Berne. – Nie podziękowałem ci jeszcze za ten prezent. Za Kosalla. Bardzo mi się przydał, kiedy spotkałem tę waszą wojowniczkę: rozwlokłem jej flaki po całym moście. Mam nadzieję, że nie byłeś do niej zbyt przywiązany.

Ostrze miecza zawisło nad krocem Lamoraka.

– Jak myślisz, czy jeśli wypuszczę go teraz z ręki, to jego magja zaniknie, nim oberźnie ci fiuta?

– Berne, zaczekaj...

– Zamknij się. I tak nie mam teraz czasu zajmować się twoim mizernym ptaszkiem. Gonię Caine'a.

– Berne... – jęknął Lamorak.

Hrabia nie słuchał. Lekko, jakby od niechcenia przytknął mu rozdygotane ostrze Kosalla płazem do ust i chwilę przytrzymał. Od śpiewu ostrza Lamorakowi zawibrowały zęby i zadzwoniło w uszach.

– Zabrać ten wór gówna do mnie... Albo nie. Jeśli może walczyć, kutas jeden, tym bardziej może chodzić. Odprowadźcie go i zamknijcie. Później znajdę dla niego czas. – Spojrzał z góry na Lamoraka i rozpromienił się w uśmiechu, który rósł mu na twarzy, pulsując jak sztywniejący penis. – O, tak... Znajdę czas. A gdyby próbował coś do was mówić, zabijcie go. – Zacmokał. – Mnie to obojętne. Byle był jeszcze ciepły, kiedy wrócę.

Schował miecz i cofnął się do wyjścia, zanim Lamorak przywołał słowa mogące go zatrzymać. Przeształ nad Kotem, który siedział na podłodze blady jak ściana i ścisnął tryskające krwią udo.

– Pero? – powiedział jeszcze. – Opatrz Finnowi nogę, zanim wykrwawi się na śmierć.

Po tych słowach wyszedł.

Inne Koty miały tylko zadraśnięcia – drut wszyty w szwy nogawek powstrzymał ciosy osłabionego Lamoraka. Nie bawiąc się w ich opatrywanie, szturchnięciami zmusili go do wstania z podłogi, przystawili mu miecz do boku i wyprowadzili, kulejącego i obolałego, za drzwi. Wziął wdech – nie po to, żeby użyć Dominacji, lecz by poprosić ich, żeby przekazali wiadomość Berne’owi: niech wie, że pozory mylą...

– Nie próbuj – ostrzegł go idący za nim Kot i dla podkreślenia swoich słów dźgnął go mieczem, rozcinając skórę na wysokości nerek. – Jeśli się odezwiesz, umrzesz, zanim przejdziemy na drugi brzeg rzeki. Rozumiemy się?

Lamorak już, już miał odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili się zmiłgował i tylko smętnie pokiwał głową. Kot dźgnął go drugi raz. Lamorak zatoczył się na schody.

## 19

Król Ściemy, odziany w modny aksamitny kaftan z rozcinanymi rękawami i dobrane do niego pantalone z szarosrebrnego atlasu, przechadzał się w tłumie okalającym dołek do gry w kości w Kasynie Obcych. Jedną rękę trzymał na ozdobnej rękojeści zawieszanej u pasa krótkiej klingi. Rozpychał się i poszturchiwał gości, podziwiając ciemny, orzechowy blat stołu, intarsjowany jasnym drewnem klonu, które lśniło jak stare złoto pod kilkoma warstwami żółto brązowego lakieru.

– Niebrzydki – mruknął. – Ciekaw jestem, jak udało jej się tak szybko sprowadzić nowy. Caine podobno roztrzaskał ten poprzedni w drzazgi.

– To jest ten poprzedni – rozległ się w odpowiedzi szept tuż za jego uchem. Nikt w tłumie nie miał prawa usłyszeć tych słów; i nikt w dołkach, przy barach, na scenie i przy stołach nie

mógł zobaczyć człowieka, który je wypowiedział. – To efekt magijny, tak jak mój czar – ciągnął szeptem Abbal Paslava, który siedł obok króla okryty Płaszczem. Zaopatrzone w kryształowe soczewki Okulary Prawdowidzenia pomagały mu przeniknąć iluzję luksusu. – Tu wszędzie jest pełno magji. Dlatego nie muszę się bać, że ktoś wyczuje mój Płaszcz. To pomieszczenie, właściwie cały ten budynek nieustannie czerpie moc z Przepływu. Tu nic nie jest takie, jakie się wydaje.

– Ha... – mruknął Jego Wysokość, uśmiechając się niewesoło. – Włącznie z klientami.

W sali nie było okien, przez które mógłby się sączyć do środka blask księżyca (widok nieba niepotrzebnie przypominałby gościom o upływie czasu), ale rdzawa poświata pożaru wpadała przez uchylone drzwi wejściowe. Kasyno było pełne – co mogło dziwić, jeśli wziąć pod uwagę niepokoje w mieście, których nie udało się jeszcze całkowicie stłumić. Elegancy mieszkańcy Południowego Brzegu mieszały się z robotnikami schodzącymi ze zmiany w Parku Przemysłowym. Dla niektórych przyjemność z drinka i hazardu jest ważniejsza nawet od własnego bezpieczeństwa.

Zresztą zamieszki wcale tych rozkoszy nie umniejszały – przeciwnie, dodawały zapалу karciarzom i miłośnikom kości; wszyscy trochę więcej rozmawiali, trochę głośniej zanosili się śmiechem; zdarzało się, że tu czy tam klienci spontanicznie puszczali się w tany – i równie niespodziewanie wracali do stołów. Na targanych niepokojami ulicach kasyno stało się enklawą świątecznej, uroczystej, karnawałowej atmosfery, jakby to, co się w nim działo, nie miało nic wspólnego ze światem zewnętrznym. Było jasną wysepką nieprzyzwoitych uciech rzuconą na wzburzone, krwawe wody oceanu nocy.

Niektórych twarzy Król Ściemy nie rozpoznawał. Starał się oszacować w przybliżeniu ich liczbę: obcych było około pięćdziesięciu, w tym pewnie około piętnastu przebranych Twarzy, ludzi Kierendal.

Niespiesznie podszedł do jednego z barów. Ze znanstwem przeciągnął dłońią po nawoskowanym i wypolerowanym do połysku blacie.

– Szkoda, że wcześniej tu nie bywałem – mruknął. – Miło by było czasem zabawić się w takim miejscu.

– Szkoda – zgodził się z nim Paslava.

– Otóż to. Człowiek nie docenia tego, co ma, dopóki tego nie straci. Wiesz co? Właściwie to nie mogę się doczekać, kiedy poznam Kierendal. Powinienem był się do niej wybrać z towarzyską wizytą.

– Za późno.

– Ano za późno.

Jego Wysokość skinął na barmana, niskiego, szczupłego elfa, jak zwykle u elfów, w trudnym do określenia wieku. Mieszał drinki i serwował zioła w takim tempie, jakby miał dodatkową rękę. Albo dwie. Spojrzał na Króla Ściemy, mrużąc oczy i przelotnie marszcząc delikatne bezbarwne brwi, po czym zrobił szybki krok w jego stronę. Jego twarz wyrażała

neutralną życzliwość.

– Widzi cię? – spytał półgłosem Jego Wysokość.

– Nie – zapewnił go szeptem Paslava. – Może widzieć jakieś zawirowanie Przepływu wokół ciebie. Będzie wiedział, że używasz magji.

– No i co z tego? To przecież żadna tajemnica.

Elf oparł się przyjaźnie o bar i posłał Jego Wysokości zawodowy uśmiech.

– Pierwszy raz w KO?

Król Sciemy skinął głową.

– Masz niezłe oko.

– Taka praca, mój panie. Wygląda mi pan na miłośnika dobrych trunków. Mam tu doskonałą tinnarską brandy. Nalać?

– Hm... – Jego Wysokość odchrząknął z udawanym wahaniem. – Niezupełnie o to mi chodziło...

Elf skinieniem głowy wskazał stojące za barem butelki, flakony i kosze z ziołami.

– Jeżeli chciałby pan czegoś spróbować, ale nie zna nazwy, proszę pokazać palcem, śmiało. A gdyby życzył pan sobie czegoś, czego tu nie widać, niech pan pyta. Założę się, że da się załatwić.

– Założysz się? Poważnie?

– Czemu nie? – Uśmiech barmana z czysto profesjonalnego stał się nieco bardziej przyjazny. – W końcu to jaskinia hazardu... O rojala?

Jego Wysokość uśmiechnął się paskudnie.

– Pewnie. Interesuje mnie pewna elficka kurewka. Chuda jak szczapa, lesba, mniej więcej tego wzrostu. Wołają ją Kierendal.

Przez twarz elfa przemknął cień oburzenia. Spoważniał, zmroził Jego Wysokość wzrokiem.

– Zapewniam pana, że już tu idzie – odparł lodowatym tonem. – A panu radziłbym zmienić ton.

– Tak? Bo co?

– Bo inaczej ten koleś za pana plecami rozłupie panu czaszkę i nauczy pana szacunku... od środka.

Jego Wysokość odwrócił się – i prawie uderzył nosem w czyjąś pierś, wielką jak barka rzeczna. Powoli zadarł głowę, aż w końcu spojrział w wylupiaste, żółte i wielkie jak pięści oczy trolla – nocnego kuzyna ogrów pracujących w kasynie za dnia. Świetliste ślepią rzucały złotą poświatę na okute mosiądzem kły sterczące nad górną wargą. Troll miał na sobie kolczugę w szkarłatno-złoty barwach liberii kasyna, a w łapach trzymał korbacz z kulą wielkości męskiej głowy. Parsknął na Jego Wysokość. Zaleciało jatką w środku lata.

– No... – zbulgotał chrapliwie. – Szacunek.

– Jesteś paskudny i w dodatku śmierdzisz – odparł Jego Wysokość, niewzruszony. –

Moim zdaniem powinieneś się przewrócić.

– Ha! – mruknął troll. Buchnęła oślepiająca fala smrodu. – Chyba nie...

Jego głos zamarł sekundę po tym, jak Jego Wysokość usłyszał najcichszy z szeptów i szelest szat Paslavy, kiedy okryty Płaszczem taumaturg sięgnął ponad jego ramieniem i dotknął trolla zaklęciem, od którego maksymalnie się napinały wszystkie mięśnie. Jego Wysokość wyobraził sobie, że słyszy trzask przenoszących obciążenie stawów. Oparł dłoń na piersi trolla, który zachwiał się jak źle wyważony posąg.

– Będę się upierał – powiedział i pchnął lekko.

Troll runął jak ścięty dąb i wyrzwał o podłogę z łomotem, który zwrócił powszechną uwagę. Jego Wysokość uśmiechnął się od ucha do ucha, czekając, aż ucichnie stukot toczących się kości i terkotanie ostatniej ruletki.

– Przyszedłem się spotkać z Kierendal – powiedział. – Ktoś jeszcze ma ochotę sobie pożartować?

– Idzie – szepnął mu do ucha Paslava.

– Gdzie?

– Nie widzę jej, tylko wyczuwam. Już tu jest.

Trzy kolejne trolle w barwach kasyna zbiegły się do leżącego towarzysza, wielkie i ciężkie jak liniowce pod żaglami. Stały o krok od niego, przez co ich grzbiety utworzyły mur oddzielający napierających z tyłu gapiów. W pazurzystych łapach trzymali korbacze o drzewcach długich jak dorosły mężczyzna. Spoglądały wilkiem na Jego Wysokość, powarkując basowo, ale powstrzymując się od dalszych wrogich kroków.

Smukła elfka pojawiła się znikąd, jakby w powietrzu otworzyły się nagle drzwi ustawione bokiem do wszystkich obserwatorów. Przyklękła i pogłaskała leżącego trolla po twarzy. Ciało stworza zwiotczało, a on sam stracił świadomość, z westchnieniem, jakie mogłaby wydać świeżo odszypuntowana beczka piwa. Elfka wyprostowała się, obeszła wykidajkę i podeszła do Jego Wysokości na tyle blisko, że wyraźnie wyczuł aromat nieznannej potrawy, którą niedawno musiała zjeść. Była od niego wyższa. Nie zadała sobie trudu, żeby nałożyć ludzką twarz, i aureola platynowych włosów okalała obce oblicze: duże złote oczy z pionowymi źrenicami, wysokie kości policzkowe sięgające uszu, równie spiczastych jak zęby drapieżcy odsłonięte w bojowym uśmiechu.

– Po co przyszedłeś? Dlaczego napastujesz mój personel? Dlaczego nie miałabym cię za to zabić?

– Jestem Kró...

– Wiem, kim jesteś, palancie. Odpowiedz na moje pytania.

Jego Wysokość czuł pokusę, żeby odpowiedzieć w podobnie agresywnym stylu, ale się pohamował. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się przyjaźnie. Przy następnym spotkaniu podejmie tę grę o dominację, ale na razie miał do załatwienia konkretną sprawę.

– Twój problem, Kierendal, polega na tym, że nie pochodzisz z Kolonii. Rządzisz

gangiem, to jasne, ale nie jesteś stąd. Nie wiesz, jak się u nas załatwia różne sprawy. Mój człowiek sprawia ci kłopoty? Przychodzisz do mnie, rozmawiamy, wypracowujemy rozwiązanie. Tak to się robi, a nie wydaje swoich wrogów cesarskim. Bo z tego się biorą wojny, wiesz? Ludziom dzieje się krzywda, płoną domy...

– Chodzi o Caine'a?

– A myślałaś, że o co? O twoją dupę?! Caine jest Baronem Ściemy, kurwiszonie jeden, a ty sprzedałaś go Oczom za marne tysiąc rojali. Ja i tak zamierzam cię łagodnie potraktować: zamiast poderżnąć ci gardło i spalić tę norę razem ze wszystkimi gośćmi, dam ci fory, bo wiem, że jesteś nowa.

– Nie rozumiesz...

– To ty nie rozumiesz! – ryknął Jego Wysokość. – Daję ci pięć minut na wyprowadzenie gości i personelu z tego burdelu! Potem, kto zostanie, zginie w pożarze. Zrozumiałaś, lesbo pierdolona?

– Bądźmy rozsądni... – powiedziała spokojnie Kierendal, wyciągając rękę w błagalnym geście, z dłonią zwróconą do góry i palcami podkurczonymi w ściśle określony sposób.

– Czar – ostrzegł szeptem Paslava.

– Nie musimy być wrogami – ciągnęła Kierendal. – Przychodząc do mnie, Caine wyświadczył mi przysługę: był mi winien pieniądze i w taki właśnie sposób mnie spłacił. Na pewno dojdziemy do porozumienia, ty i ja.

– To jakiś Urok – szeptał Paslava. – Zablokowałem.

Jego Wysokość spojrział w żółte oczy Kierendal, która tylko na ułamek sekundy zamarła, kiedy zorientowała się, że zaklęcie nie wypaliło.

– Tak sobie myślę, że wcześniej rzeczywiście mogliśmy jeszcze negocjować – powiedział. – Ale teraz już za późno. Nikt ci nie mówił, co robię z ludźmi, którzy próbują na mnie rzucać czary?

Kierendal wyprostowała się na całą wysokość. Suknia zawirowała wokół niej jak dym.

– Czas wyjaśnień minął – powiedziała.

– Nadaje jakiś sygnał w Przepływie – mruknął Paslava.

Tętniącą napięciem ciszę kasyna zmaćił zgrzyt wyjmowanej broni. Każdy barman miał pałkę, każda kelnerka nóż. Nieznane Jego Wysokości twarze rozpromieniły się w uśmiechach, kiedy ich właściciele zaczęli przecierać przez tłum z mieczami w dłoniach.

Król Ściemy obrzucił ich wszystkich znudzonym spojrzeniem i prychnął pogardliwie.

– Nowicjuszka... – Podniósł pięść. – Raz!

Przynajmniej co trzeci z elegantów z Południowego Brzegu wysunął sztylet z rękawa i ostry jak brzytwa miecz z pochwy, która najwyraźniej służyła do tej pory wyłącznie do ozdoby, i nagle każdy z uzbrojonych barmanów, kelnerek i tajniaków spojrział z bliska na co najmniej trzy przystawione do gardła klingi. Sześciu mężczyzn z nożami zajęło pozycje za plecami trolli.

Jego Wysokość parsknął śmiechem.

– To połowa moich ludzi. Ciekawi cię, co zrobią na „dwa”? Albo na „trzy”?

Oczy Kierendal zapłonęły gniewem.

– Sprowokujesz jatkę!

– To prawda. Ale decyzja należy do ciebie. Nikomu nie musi stać się krzywda.

Zmierzyła go wzrokiem. Jego Wysokość westchnął. Widział, że za chwilę elfka się ugnie, i odrobinę tego żałował. Miała niezły styl.

– Znowu daje sygnał – odezwał się Paslava.

W niespokojnej ciszy rozległ się nowy rytm: łoskot zatrzasniętych okiennic i zgrzyt zamykanych drzwi. Odległe odgłosy zamieszek ścichły jeszcze bardziej, gdy wewnątrz kasyna zostało odcięte od ulicy.

– No dobrze. – Kierendal wskazała drzwi. – Każ swoim ludziom schować broń i wyjść tamtędy. Jeżeli któryś mi podskoczy, sama spalę lokal.

Jego Wysokość zacisnął kurczowo szczęki, żeby powstrzymać się od nerwowego oblizywania warg.

– Chrzanisz.

– Być może. Ale wyobraź sobie pożar w takim ścisku, płomienie pożerające aksamit, nadpalone dźwigary walące się na podłogę. Wyobraź sobie pożar, jedne jedyne drzwi i stanowczo zbyt wielu ludzi, żeby z nich skorzystać. Mój personel zna inne drogi ucieczki. A twoi ludzie? – Na twarzy Kierendal znów zagościł drapieżny uśmiech. – Rzeczywiście, decyzja należy do mnie. Podnoszę stawkę. Możesz mnie sprawdzić albo rzucić karty, palancie.

Przez czas potrzebny na nabranie powietrza w płuca Jego Wysokość miał pustkę w głowie. Nie mógł się wycofać, nie na oczach swoich ludzi – ale w oczach Kierendal dostrzegł ostrzegawczy błysk, jakby radziła mu, żeby jej nie naciskał. Blefuje, powtarzał sobie. Na pewno blefuje. Przecież wśród klientów byli też prawdziwi bogacze. Gdyby zginęli w pożarze, kasyno nigdy już by się nie odrodziło. A gdyby przy okazji upiekła ze dwóch pomniejszych arystokratów, dałaby głowę.

Tylko że nie bardzo mógł na to liczyć.

Obserwując jej szkielecy wdzięk i ostry jak brzytwa uśmiech, nagle zdał sobie sprawę, jak wiele różni ją od człowieka. Nie umiałby powiedzieć, jak bardzo nierówno ma pod sufitem. Prosta pokazowa lekcja dobrych manier nie wiedzieć jak i kiedy przeobraziła się w groźbę masakry.

– Wie o mnie – szepnął Paslava, jakby czytał mu w myślach. – Może skontrolować większość moich czarów.

Jego Wysokość pokiwał głową, jakby się zastanawiał, i parsknął śmiechem – ze swobodą, której wcale nie czuł.

– W porządku – powiedział i uśmiechnął się z podziwem. – Przepraszam, że nazwałem

cię nowicjuską.

– Bardzo jesteś łaskawy. – Kierendal skrzywiła się paskudnie. – A teraz spadaj stąd.

– Mowy nie ma – powiedział ze smutkiem Jego Wysokość. – Caine jest Baronem Ściemy, a ty go zdradziłaś.

– Na jego własną prośbę – wycedziła Kierendal.

– Chciałbym ci wierzyć. – Król rozejrzał się i pokręcił głową. – Nie zapominaj, że mamy dwu – albo trzykrotną przewagę liczebną. Jeśli zrobi się gorąco, twoi chłopcy i dziewczynki też zaczną umierać i tajne przejścia nic im nie pomogą.

Kierendal uniosła czujnie głowę, jakby usłyszała zgrzyt szczurzych pazurów za ścianą. Jej twarz straciła drapieżny wyraz, wzrok się rozmył, gdy spojrzała na wylot przez Króla Ściemy, jakby wcale go przy niej nie było.

Tu cię mam, pomyślał Jego Wysokość.

– Jesteś całkiem niezła – przyznał łaskawie. – Musisz tylko zrozumieć, że, jeśli startujesz z olbrzymami w konkursie sikania na odległość... – Przyłożył dłoń do piersi. – Możesz się zamoczyć.

Nie było widać, żeby go w ogóle słuchała. Powiodła szklistym spojrzeniem po zbrojnym, zdenerwowanym tłumie klientów. Wszyscy na nią patrzyli: Twarze, Słudzy Ściemy, przypadkowi klienci – gotowi zadziałać w ułamku sekundy, a na razie zastygli w bezruchu tak delikatnym i niepewnym jak napięta kusza; najlżejszy gest, najcichsze słowo Kierendal lub Jego Wysokości mogło zwolnić spust. Miecze drżały w spoconych dłoniach, goście przestępowali z nogi na nogę, przybierając pozycje najdogodniejsze do walki lub ucieczki.

– Nic dziwnego, że wszystko wymyka się spod kontroli... – mruknęła w końcu Kierendal, ale tak cicho, że nawet Jego Wysokość, stojący zaledwie krok przed nią, ledwie zrozumiał słowa.

Zmarszczył brwi. To mu się nie podobało. Na co ta suka się tak gapi?

– Coś się dzieje – rozległ się dziwnie załęczniony szept Paslavy.

– Co ty nie powiesz... – odparował półgłosem Jego Wysokość.

Włoski na rękach i na karku stanęły mu dęba, serce zaczęło walić jak młotem, lodowaty pot wystąpił na czoło. Nagle poczuł się jak po wypiciu wina zaprawionego zrywiołem: podłoga kołysała mu się pod stopami, w głowie szumiało, jakby masa bąbelków uwalniała się ze świeżego piwa. Nie wiedział już, co za chwilę zrobi – czy rzuci się Kierendal do gardła, wybuchnie płaczem, czy może spuści spodnie i nasra sobie do butów.

– Co się dzieje? To jakiś atak?!

– Nie wiem – odparł Paslava. – Raczej nie. To jakiś dziwny efekt w Przepływie, zewsząd napływa mrok... Uwaga! – krzyknął nagle. – Tam!

Zupełnie się pogubił – zapomniał, że ma szeptać i że Jego Wysokość nie widzi, co wskazuje swoją niewidzialną ręką.

Trudno było powiedzieć, czy jest bardziej podniecony, czy przerażony.



Skonsternowanemu Jego Wysokości w zupełności to wystarczyło: wziął wdech, żeby dać sygnał do ataku, spuścić ogary ze smyczy i rozpocząć rzeź, która byłaby o wiele prostsza i bardziej zrozumiała od tego, jak się czuł w tej chwili – jakby wymachiwał rozpaczliwie rękoma, usiłując nie stracić równowagi i nie runąć z urwiska w dół.

Kierendal wyciągnęła rękę i ze zdumiewającą siłą złapała go pod łokieć.

– Nie! – powiedziała z naciskiem, błagalnie. – Nie rób tego... On tu jest.

Jego Wysokość próbował się jej wyrwać, ale bez powodzenia.

– Co? Kto?!

– Opuśćcie broń! – krzyknęła Kierendal. – Wszyscy!

Od strony jedynych niezamkniętych drzwi dobiegł trzask pękającego drewna i głuche uderzenia ciała o ciało.

– Co to? Co się dzieje? – Jego Wysokość nic już nie rozumiał. Co to za bójka? O czym mówił Paslava? A o kim Kierendal? – Co...

– Wasza Wysokość, każ ludziom schować broń! Szybko!

– Ale...

– Dobrze ci radzi – powiedział ktoś głosem Caine'a. – Bądźmy dla siebie mili, co?

Jego Wysokość obejrzał się do tyłu: w progu stał Caine. Jego sfatygowane skórzane ubranie wydawało się jeszcze brudniejsze niż zwykle, pod oczami miał ciemne sińce, ale bez wątplenia był to Caine.

– Ale... Ale... – jękał się Król Ściemy. – Przecież cię aresztowali!

– To prawda. – Caine wszedł do sali. Kulał. Wyraźnie oszczędzał prawą nogę. – Szuka mnie mnóstwo ludzi, dlatego byłbym wdzięczny, gdyby chwilowo nikt stąd nie wychodził. Możecie się tym zająć?

– Ja... no... Oczywiście – zabełkotał głupawo Jego Wysokość. – Słyszeliście?! – zawołał.  
– Nikt nie wychodzi. Nikt!

Caine kuśtykał w ich stronę, taksując Kierendal badawczym spojrzeniem.

– Teraz ty.

Odchyliła głowę do tyłu, aż obok złotych źrenic błysnęły białka. Przypominała spłoszonego konia.

– Byliśmy kwita, Caine. Wyrównaliśmy rachunki i obiecałeś zostawić mnie w spokoju.

Bez mrugnięcia okiem postawiła się stu pięćdziesięciu Sługom Ściemy... pomyślał Jego Wysokość, marszcząc brwi z niedowierzaniem. A na widok Caine'a mało się nie zeszczy.

– To Caine – wyszeptał mu do ucha Paslava.

– Masz mnie za idiotę?

– Mówię o tym zawirowaniu w Przepląwie. To Caine. Jest jego częścią.

– Nie pożałujesz – powiedział tymczasem Caine do Kierendal.

– Następny tysiąc rojali? – prychnęła elfka. Gestem ogarnęła salę, w której roilo się od uzbrojonych ludzi. – Widzisz, co mi przyszło z poprzedniego?

– Co powiesz na sojusz z najpotężniejszym księciem nowego cesarza?

– Że co? – wybełkotał Jego Wysokość. Miał wrażenie, że się powtarza. Za dużo się działo naraz; za niczym nie nadażał, nic nie rozumiał. – Jakim księciem? Jakiego nowego cesarza? A w ogóle skoro już rozdajesz na prawo i lewo sojusze z książętami, może pomyślałbyś najpierw o starych przyjaciółach?

– Ależ myślę. – Na pierwszy rzut oka Caine był ponury jak kat, ale w jego oczach tańczyły ogniki sekretnej uciechy. – Ty jesteś księciem, o którym mówiłem. To znaczy, będziesz.

Jego Wysokość i Kierendal wymienili oszołomione spojrzenia.

– Ale... – Król pośpiesznie porządkował setki cisnących mu się na usta pytań, żeby wybrać te najważniejsze. – Jak mam zostać księciem? Zresztą, nieważne. Najpierw powiedz, jak udało ci się uciec?!

Caine wyszczerzył zęby, które wyglądały jak ociekające świeżą krwią.

– Dwa pytania, jedna odpowiedź: sprzedałem cię Ma'elKothowi. Powiedziałem, że to ty jesteś Simonem Błaznem.

– Co takiego?!

Sala pociemniała i niebezpiecznie zakołysała się Jego Wysokości pod nogami.

– Dobrze słyszałeś. Czemu miałbym tego nie zrobić? – Caine nachylił się nad nim i spojrzał mu głęboko w oczy, jakby mógł w nich odczytać jakieś tajemne runy. – W ten sposób pomożesz mi ocalić Pallas Ril – powiedział wyraźnie, precyzyjnie, z naciskiem w głosie.

– Pallas... – mruknął Jego Wysokość.

Ależ oczywiście, że pomoże. Życie i szczęście Pallas Ril były najważniejsze. Poczul się jak obudzony z głębokiego snu. Po co zajmuje się tu jakimis głupotami, wszczyna kłótnie z Kierendal, kiedy Pallas grozi niebezpieczeństwo? Przesunął dłonią przed oczami i zaczął żarliwie dziękować bogom, że w samą porę zesłali mu Caine'a, żeby mu przypomniał, co jest naprawdę ważne...

Czegokolwiek Caine szukał, najwyraźniej udało mu się to znaleźć – chociaż nie był tym zachwycony. Skrzywił się z obrzydzeniem, ale już po sekundzie jego twarz się wypogodziła, jakby siłą woli odsunął od siebie jakąś nieprzyjemną myśl.

– No, Kierendal... – zagaił rażno. – Komu tu trzeba wklepać, żeby dostać drinka?

Wezwany przez Kierendal barman spojrzał na Jego Wysokość i przemówił z tą nieznośną wyższością w głosie, jakiej nabywa się tylko po latach służby w najlepszych restauracjach:

– Jest mi pan winien rojala, mój panie.

– To jeszcze nie dowód – upiera się Kierendal. – Zgrabna sztuczka, ale żaden dowód.

W rewolucji czasem najtrudniejsze jest jej wzniesienie.

– Dobra sztuczka jest więcej warta od dowodów – mówię, uśmiechając się swobodnie. Kiwam głową na Paslavę. – Zapytaj jego.

Paslava nie czeka na jej pytanie. Pochyla się i z zamyśloną miną splata dłonie na blacie stołu, obok kufła z piwem. Płomień lampy maluje głębokie cienie na jego zapadniętych policzkach.

– To prawda – przyznaje. – Dwadzieścia tysięcy świadków! Ma’elKoth nie będzie mógł się wyprzeć ani wytłumaczyć. To zdruzgotcze morale żołnierzy, a bez wojska, które zaprowadziłoby porządek, władza w mieście i w całym cesarstwie przejdzie w ręce tego, kto będzie gotowy ją przejąć.

Wszyscy czworo spoglądają po sobie z pożądliwym błyskiem w oku. W saloniku Kierendal powietrze jest nieruchome jak w grobie; płomień lampy wygląda jak wyrżnięty w bloku szkła. Mój udawany spokój przemawia do nich: zarażeni tą rzekomą pewnością siebie zaczynają wierzyć, że obalenie Ma’elKotha jest jednak możliwe – a to wystarczy, żeby nie mogli oprzeć się pokusie.

Zamieszki to odrębna sprawa. W tej chwili karmią się same sobą i kiedy wojskowy but je zmiążdży, a armia aresztuje prowodyrów, nie znajdzie wśród nich ani jednego Sługi Ściemy. Nie to jest jednak najważniejsze: Król Ściemy i Kierendal doznali olśnienia. Widzą oczami wyobraźni cesarstwo bez Ma’elKotha, armię bez wodza, Ankhanę bez praw.

Ta wizja wciąga ich jak rwący nurt rzeki, równie nieodparta jak siła ciężenia. Nasza czwórka, zebrana przy zwykłym stole jadalnym (z ołtarzyka w kącie pokoju obserwuje nas figurka Ma’elKotha), może obalić cesarstwo. Ta żądza w ich oczach... To jest ten sam głód, który każe dziecku w dniu urodzin rozbić jedyną nową zabawkę; napędza zamieszki w slumsach Tymczasowych, gdzie palimy własne domy i tańczymy wokół ognisk; każe zwycięskiej armii palić i łupić.

Czasem niszczymy coś tylko dlatego, że możemy to zniszczyć – dlatego, że destrukcja jest źródłem przyjemności, której w inny sposób nie da się odczuć.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem przeciwny tej żądzy zniszczenia.

Przeciwnie, ja na nią liczę.

Jego Wysokość pochyła się nad stołem i pyta:

– Po co w takim razie w ogóle wysyłać ludzi? Kiedy wybuchną walki, każda para rąk się przyda, żeby utrzymać miasto. Po co ryzykować życie Rycerzy i połowy Sług?

Uznaję, że najlepsza będzie odrobina tajemniczości.

– Chaos to szansa.

Jego Wysokość nie daje się łatwo zbyć.

– Szansa? Na co?

Ileć razy odzywa się w nim naturalny pragmatyzm, wystarcza mi wykorzystać jego słaby punkt, wyjść w asa, którego stale mam w rękawie, choćbym zagrał go wcześniej i sto razy.

– Przecież już ci mówiłem – mówię. – Chcę ocalić Pallas Ril.

Oczy trochę mu się szklą. Urok nadal trzyma, chociaż zapewne coraz słabiej.

– Ale jak?

– Tego nie mogę wam powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie. – Nie mogę psuć zabawy widzom na Ziemi. – Chodzi mi o wywołanie skromniejszych zamieszek, skupionych na mniejszym obszarze, żeby Koty i Straż mieli zajęcie, kiedy będę ratował Pallas. Wszystko inne to tylko dodatki. Rewolucja? Proszę bardzo: to premia dla was, za fatywę.

– Koty... – Jego Wysokość nie jest zachwycony.

– Koty są nam potrzebne – mówię z naciskiem. – Wszystkie, albo prawie wszystkie, zebrane w jednym miejscu.

– Będą przygotowani.

– Owszem, na mały, elitarny oddział uderzeniowy. Kiedy na stadion przyjdą wszyscy Rycerze Ściemy, przykryjecie ich czapkami.

– Raczej własnymi ciałami – mamrocze.

– Musisz rozprawić się z Kotami – oznajmiam stanowczo. – To najlepsi żołnierze w cesarstwie: świetni w pojedynkach, niezli w taktyce małych grup... Wszyscy się ich boją. Gdyby chcieli, mogliby sterroryzować i podporządkować sobie całą armię! Nikt im nie wchodzi w drogę.

– Ja na pewno nie – przytakuje smętnie Jego Wysokość.

– Ale przecież może nie dojść do walki!

– Nie znasz ich. – Kręci głową. – Pokaz z Ma'elKothem nie złamie ich morale. Dzięki Berne'owi uważają się za nadludzi.

Spoglądam na Czarownika.

– Specjalizujesz się w manipulowaniu tłumem, prawda? Mógłbyś chyba wymyślić jakąś sztuczkę, która odbierze im ducha?

– Teoretycznie tak... – przyznaje po chwili namysłu Paslava. – Nie mam jednak takiej mocy, żeby wyluskać ich z tłumu i pognębić. Zwłaszcza jeśli Ma'elKoth zwęszy pismo nosem.

Śmieję się w kułak.

– Ile tej mocy potrzebujesz?

Dwoma palcami sięgam do pochwy na udzie, w której nosiłem nóż do rzucania, i wydaję jeden z gryfkami, którymi Ma'elKoth obszył srebrną siatkę. Turlam go po stole. Ręka Paslavy uderza jak grzechotnik. Z przeciągłym sykiem łapie gryfkami i unosi go do światła. Jego oczy palają pożądaniem. Oczy Kierendal rozszerzają się, błyszczą w blasku lampy, a kiedy zwracają się na mnie, maluje się w nich czysta zazdrość.

– Ach... – wzdycha z czcią Paslava. – Nigdy nie widziałem takiego dużego... Jest idealny.

Bez skazy. Piękny.

– Wystarczy? – pytam.

Znam odpowiedź.

– O, tak... Wystarczy w zupełności.

– Nie uda nam się wprowadzić naszych ludzi na stadion – wtrąca markotnie Jego Wysokość. – Nie wyglądają na mieszkańców Południowego Brzegu. W dodatku przy wejściu na pewno będzie rewizja. Odbiorą im broń.

Zwracam się do Kierendal:

– To robota dla ciebie. Utkasz iluzję. – Wyjmuję z pochwy kolejne dwa gryfkamienie. – Możesz zestrugać po odrobinie dla każdego ze Sług. Zasilana nawet maleńkim odłamkiem iluzja wytrzyma choćby i do przyszłego tygodnia.

Paslava zbiera szczękę z podłogi; jeszcze chwila i zacznie się ślinić na stół. Kierendal ostrożnie wyciąga rękę. Kiedy kładę je jej na dłoni, wzdycha jak po orgazmie.

– Zawrzyjcie sojusz. Wężę, Gnojzarze i Szczury nie znikną. Kiedy zapanuje chaos, będziecie musieli z nimi walczyć, a możecie być pewni, że zwerbują dezertersów z cesarskiej armii. Ale jeśli Twarze i Sługi Ściemy połączą siły, pozostałe gangi nie mają szans. – Uśmiecham się cynicznie. – Nawet paciorek do Ma’elKotha im nie pomoże.

– A co z Berne’em? – pyta Jego Wysokość. – Nieobecność Ma’elKotha nie będzie miała wielkiego znaczenia. Berne dysponuje ostatnio taką mocą, że w pojedynkę może przechylić szalę zwycięstwa.

– Nie martwcie się Berne’em. Nie przyjdzie.

– Tak? – Król się krzywi. – A co, utnie sobie drzemkę po tym, jak drugi raz skopie ci dupę?

Odsłaniam w uśmiechu wszystkie zęby.

– Bardzo długą drzemkę. Taką, z której się już nie obudzi.

– Nie podoba mi się to. – Jego Wysokość stanowczym gestem odsuwa się od stołu. – To bez sensu.

– To się może udać – przerywa mu Paslava. W jego oczach odbija się obracany w palcach gryfkamień. – Damy radę.

– Pewnie – przytakuje mu Jego Wysokość. – Tylko co potem? Kto będzie rządził państwem? My? – Pogardliwa nuta w jego głosie nie pozostawia wątpliwości, co o tym myśli. – A skąd wiadomo, że nowy władca nie będzie gorszy? Koty mogą być potworami, ale nadal są żołnierzami cesarstwa. Chcesz podburzyć Królestwo Ściemy do otwartego buntu przeciw władzy... Kurwa, do królobójstwa! Przecież ktoś będzie musiał się przekraść do pałacu i zabić drania, bo jest zbyt potężny, żeby zostawić go przy życiu. Kto to zrobi, jak nie my? A potem, bez względu na to, kto zasiądzie na tronie, będzie musiał nas wyeliminować, żeby podliznąć się cesarskim lojalistom. W przeciwnym razie gdy tylko trochę się uspokoi, zaczną knuć kolejny przewrót.

– Wasza Wysokość... Zapominasz, że właściwie i tak już nie masz wyboru – zauważam. – Jeżeli Ma’elKoth przeżyje, przed zachodem słońca odgryzie ci jaja.

– Powiniennem cię za to zabić.

– Za późno, brachu. Zresztą i tak by to nie pomogło. A poza tym przecież ci obiecałem, że zostaniesz księciem, prawda? Potrzebny ci do tego cesarz, który zaciągnie u ciebie potężny dług wdzięczności.

– A ty pewnie masz takiego w kieszeni?

– Nie. – Uśmiecham się od ucha do ucha. – Ale ty tak.

– Słucham?!

– No przecież, Toa-Sytell.

Zapada martwa cisza. Ja nie przestaję się uśmiechać. Jego Wysokości oczy wychodzą z orbit, gdy z najwyższym trudem powstrzymuje cisnące mu się na usta przekleństwa. Rozgląda się, jakby chciał się upewnić, że nadal jesteśmy sami. Kierendal kiwa głową z ponurą satysfakcją – potwierdzają się jej przypuszczenia. Paslava znów rozdziawia usta.

– Czy tylko ja o tym nie wiedziałem? – pyta z niedowierzaniem.

Jego Wysokość potrząsa głową.

– Później ci to wyjaśnię.

– Pomyśl – mówię tymczasem. – Potrzebujesz kogoś zaufanego. Masz w Królestwie lojalnych poddanych i ustaloną pozycję w mieście, ale wciąż jesteś plebejuszem. Masz rząd serc i dusz, ale nie jesteś królem z urodzenia. Arystokraci cię nie poprą. Co innego Toa-Sytell...

Jego Wysokość patrzy w przestrzeń. Kalkuluje.

– Rozumiem...

– Tytuł książęcy nadał mu Toa-Phelathon, ostatni prawowity władca z dynastii Menelethidów. To oznacza, że dla arystokracji jest prawdziwym księciem; mogą negować tytuły nadane przez Ma’elKotha, ale nie przez ich ukochanego księcia regenta. W dodatku Toa-Sytell dowodzi Królewskimi Oczami. Jeśli chcesz rządzić cesarstwem, będziesz go potrzebował.

– A kto powiedział, że chcę rządzić cesarstwem?

– Nie musisz. Kiedy sprawa się rywnie, wystarczy, że złożysz mu propozycję poparcia. Królestwo Ściemy będzie dysponować jedyną w miarę regularną armią zdolną zaprowadzić i utrzymać porządek w mieście. Pierwszy staniesz u jego boku – w ten sposób zaskarbisz sobie jego wdzięczność, którą on z kolei powinien wyrazić nadaniem ci tytułu, może nawet książęcego, i przydzieleniem teki w Gabinetcie. Co powiesz na... Handel i Podatki?

Wyrachowanie w jego oczach jest coraz wyraźniejsze – w myślach już przelicza dźwięczące stosiki złotych monet.

– Dogadujecie się już przecież, prawda? – ciągnę go za język. – Ufacie sobie.

– Mniej więcej. Ale Ma’elKoth... Jeśli się zamknie w pałacu, wytrzyma nawet i roczne

oblężenie.

Przysuwam się do stołu. Wesołość znika bez śladu z moich oczu, moja twarz staje się beznamiętna jak lodowa rzeźba.

– Zostawcie to mnie.

Jego Wysokość spogląda na mnie z nieskrywaną pogardą.

– Tobie?

– To dla mnie nie pierwszozna.

– Zaraz, bo nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. – Jego słowa ociekają sarkazmem. – Oto twój plan na jutro: wstajesz, jesz śniadanie, zabijasz Berne'a, zakradasz się na Stadion Zwycięstwa, demaskujesz Ma'elKotha, w biegu przegryzasz coś na obiad, wymykasz się ze stadionu, przekradasz do pałacu, zabijasz Ma'elKotha, dyskretnie opuszczasz pałac, jesz kolację, strzelasz sobie drinka albo dwa i lulu. Tak to będzie wyglądało?

– Z grubsza. O czymś zapomniałeś.

– O popołudniowej drzemce?

– Nie. – Znowu zagrywam mojego asa. – Zamierzam uratować Pallas Ril.

Blednie. Przymyka oczy. Urok wytrąca go z równowagi.

Połknął haczyk. Zaczynam związać żyłkę.

– Widzisz, Toa-Sytell to w gruncie rzeczy przyzwoity facet, któremu zależy na zachowaniu spokoju w mieście. Cieszy się opinią bezlitosnego i dysponuje środkami niezbędnymi do podtrzymania tej reputacji. Dokładnie ktoś taki jest ci potrzebny, żeby cesarstwo nie pogrążyło się w chaosie wojny domowej. Nie utrzyma jednak miasta, jeżeli nie podporządkuje sobie armii. Jesteście sobie nawzajem potrzebni. To doskonały współnik dla ciebie.

– Jest lojalny wobec Ma'elKotha.

– Tym też zajmiemy się jutro. – Szczerzę zęby w uśmiechu. – Jest wierny tronowi, nie człowiekowi.

– Niech cię diabli, Caine... Niech cię diabli, jeśli nie zaplanowałeś tego od początku do końca. Paslava?

Taumaturg z najwyższym trudem odrywa się od kontemplowania trzymanego w rękach gryfkamienia. Unosi wzrok. Oczy płoną mu ogniem nieograniczonych możliwości.

– To się może udać – mówi.

– Kierendal?

Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi, ale podczas naszej rozmowy zmieniła nieco swój wygląd: oczy ze złotych zrobiły się orzechowe, platynowe włosy miały teraz ciemny, niemal kasztanowy odcień, ostre linie policzków zmiękły, twarz przybrała owalny, bardziej ludzki kształt. Spogląda na Jego Wysokość takim wzrokiem, że prawie lecą skry.

– Może wam pomóc – mówi.

Jej chrapliwy głos przypomina mi – jakżeby inaczej – Pallas. W co ona pogrywa? Czy to możliwe, że widzi Urok na Jego Wysokości?

Dalsze jej słowa rozwiewają moje wątpliwości:

– Jestem z tobą, Wasza Wysokość, ale musimy... scementować nasze przymierze w bardziej... oficjalny sposób.

Mówi tak sugestywnie, że nawet mi staje; mogę sobie tylko wyobrazić, jak jej głos działa na Jego Wysokość. Facet wygląda, jakby dostał prosto w splot słoneczny. Dopiero po chwili przypomina sobie, że poza nimi dwojgiem są jeszcze jacyś ludzie na świecie. Czerwienieje, kaszle, patrzy na mnie, kręci głową.

– A co ty będziesz z tego miał? Wdzięczność nowego księcia? Przecież do niczego nie jest ci potrzebna...

– Właściwie nie. – Wzruszam ramionami.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz obalić cesarstwo tylko po to, żeby mieć szansę ocalenia Pallas Ri!

– Tak, właśnie to chcę ci powiedzieć.

Jego Wysokość uśmiecha się szeroko, jak kompletny czub.

– Dobra. Wchodzę w to.

Mam go ochotę wyściskać, ale hamuję się i ograniczam do uścisku dłoni.

– Dziękuję – mówi. – Naprawdę dziękuję, Caine.

– Za co?

– Za to, że mogę ci pomóc ją uratować. To dla mnie dużo znaczy.

– Taaak... – Trochę mnie mdli. – Spodziewałem się tego.

Długa, niespieszna, zadumana cisza zakrada się do komnaty jak cień przyszłej wojny. Przez tę trwającą wieczność chwilę możemy tylko siedzieć bez ruchu i w milczeniu rozważać rozmach zaplanowanego przez nas przedsięwzięcia.

W końcu Paslava przerywa ciszę kasznięciem.

– Ciekawi mnie ta twoja srebrna siatka... – mówi. – Chciałbym ją obejrzeć z bliska, jeśli pozwolisz.

– Eee... Dzisiaj nie da rady. Ukryłem ją.

– Czy to rozsądne? – Paslava wyraźnie się niepokoi. – Od niej zależy powodzenie całego spisku! Jeżeli zaginie albo zostanie skradziona...

– Jest całkowicie bezpieczna – zapewniam ich z porozumiewawczym uśmiechem na ustach. – Jutro ją sobie spokojnie obejrzysz, a dzisiaj... Ktoś jej dla mnie pilnuje.



z góry światła pochodni i spojrzął w rozpościerającą się w dole czarną otchłań szybu. Jak głębokie może być to kurestwo? Jak Caine zdołał tu zejść bez liny? I jak mógł oddychać w tym smrodzie?

Owinał nadgarstek liną i drugą ręką wyjął sztylet, który Ma'elKoth nasączył magijną energią. Zatoczył nim krótki łuk, ale nic się nie zmieniło – zielona poświata była najsilniejsza, kiedy ostrze celowało prosto w dół. Ba, sztylet świecił tak jasno, jak nigdy przedtem.

Tak jasno, że oświetlił odległe o zaledwie kilka stóp dno komina i leżącą na kamieniu srebrną siatkę. Wyglądała, jakby ktoś ją tam po prostu porzucił.

Berne zaklął, ale już nie pod nosem – bluzgi poniosły się takim echem, że Koty, które zostały na górze, podskoczyły jak spłoszone konie.

Caine wiedział. Oślizły skurwysynek wiedział, że go tropią, i celowo pozbył się siatki.

Puścił linę i zeskoczył na dno szybu, lekko uginając wzmocnione magijnie kolana, żeby zamortyzować impet uderzenia o ziemię. Schylił się po siatkę, ale zawahał się i zmienił zdanie. Odchrząknął i wrócił po linie na górę, do oświetlonej pochodniami grotu.

– Wy czterej – warknął, wybierając cztery Koty na chybił trafił. – Zostaniecie tutaj. Wróci po siatkę. Nie wchodźcie mu w drogę, ale jak tylko się pojawi, niech jeden z was da mi znać do pałacu. Reszta pójdzie za nim, tylko dyskretnie. Jeśli was zobaczy, zabije.

– Do pałacu? Nie wracasz do domu, panie?

– Dziś raczej nie. – Berne się skrzywił, czując, jak ze strachu wnętrzości płaczą mu się w supel. – Najpierw muszę powiedzieć Ma'elKothowi, że zgubiliśmy Caine'a.

## 22

Lamorak siedział przy szerokim, poszczerbionym biurku w domu Berne'a i gapił się przez okno. Nadciągała burza i ogromna ściana chmur przesłoniła gwiazdy nad biegunem. Na północy pioruny były niemal bez przerwy, od grzmotu drżały szyby w oknach. Zapowiadał się iście piekielny spektakl, burza, jakiej w życiu nigdy dotąd nie widział... a mimo to popatrywał na nią bez cienia emocji.

Wszystko sprowadza się do tego, kto przeżyje, a kto nie, tłumaczył sobie. Oczywiście nie chciał śmierci Pallas, ale żywą Pallas też by się nie nacieszył, gdyby sam zginął, prawda? A Caine... Skurwiel. Wiedział, że Berne i Koty go śledzą, i ściągnął ich Lamorakowi na głowę. Równie dobrze mógł go osobiście zamknąć u Berne'a w domu.

Nie żywił nadziei na litość Berne'a, nie miał złudzeń. Liczył tylko na to, że uda mu się wykupić z rąk Kotów, nawet jeśli trafi prosto w ręce Straży albo Królewskich Oczu – byle tylko zdążył to zrobić, zanim Caine jutro zamiesza w tym gigantycznym kotle gówna. Nawet gdyby Berne zginął w nieuniknionych zamieszkach na stadionie, Koty prędzej poderznęłyby Lamorakowi gardło niż puściły go wolno.

Miał tylko jedną szansę. Musiał dobić targu, dopóki miał jeszcze jakieś argumenty.

Nie mógł porozmawiać ze strażnikami, bo Berne dobrze ich przygotował na spotkanie z nim. Przeszukał pokój, aż znalazł kawałek pergaminu z jagnięcej skóry i pióro do pisania. Dalsze poszukiwania przyniosły mu kałamarz, w którym po potrząśnięciu przelewała się resztką atramentu.

Napisał tak:

*Berne, zniknąłeś, zanim zdążyłem Ci powiedzieć, że mam pewne informacje na sprzedaż: dotyczą Caine'a i mogą ocalić cesarstwo, jeżeli w porę je poznasz i zaczniesz działać. Przyjdź z księciem Toa-Sytellem albo samym cesarzem, żebyśmy mieli gwarancję późniejszego uwolnienia, a ja zdradzę Wam szczegóły złowrogiemu spisku Caine'a. Nie pożałujesz.*

*Sprawa jest pilna.*

*Lamorak*

Złożył pergamin na pół i na zewnętrznej powierzchni dopisał:

*Przekaż tę wiadomość hrabiemu Berne'owi, a hojnie Cię wynagrodzi.*

Zważył list w dłoni – ważył tyle co każdy inny pergamin i nie zawierał żadnych konkretów.

Podkuśtykał do zamkniętych drzwi i wsunął pergamin w szparę pod nimi – do rana na pewno ktoś go tam znajdzie. Odwrócił się i oparł plecami o drzwi, zanim ruszył w drogę powrotną do biurka. Uderzyła błyskawica, nad miastem przetoczył się grzmot, pierwsze krople deszczu i kryształki gradu zabębniły o szybę. Nasilający się wiatr zawodził jak wilki na pustkowiu.

Zapowiada się niewąska burza, pomyślał. Cieszę się, że mam dach nad głową.

# DZIEŃ SIÓDMY

– Czy ty, Pracowniku Hari Khapurze Michaelsonie, bierzesz tę kobietę, Pracownicę Shannę Theresę Leighton, za swa prawowitą małżonkę i przysięgasz ją kochać i szanować, w bogactwie i ubóstwie, w zdrowiu i chorobie, i być jej wiernym po kres swoich dni, dopóki śmierć was nie rozłączy?

– Przysięgam.

## 1

Burza srożyła się nad Ankhaną od północy prawie do świtu. Tłukła w szyby i wylamywała drzwi, zdzierając dachówki, jak rybak łuski z pstrąga, obalała drzewa, jak rozszoszczony dzieciak, który tratuje ogród matki. Oślepiająca ulewa przemoczyła tłum, przyprawiła go o dreszcze i zapędziła pod dachy. Ulicami zawładnęło wojsko. Deszcz dławił płomienie, wojskowe brygady z wiadrami nie próżnowały i wkrótce pożary zostały opanowane.

Nie znaczy to jednak, że stłumiono zamieszki – to była tylko przerwa, chwila spokoju dzieląca wdech od krzyku. Na każdym osłoniętym skrawku ziemi w Starym Mieście stłoczyli się przybysze z Północnego Brzegu, którzy nie zdążyli przed zmierzchem wrócić po mostach na ląd. Ludzie, pierwotni, skalnicy, ogrille i trolle kulili się w porozbijanych witrynach i pod okapami. Whisky nie brakowało: dzbanki krążyły z rąk do rąk wśród zaspanej gawiedzi, wyczekującej końca ulewy z czymś na kształt ponurego podniecenia.

Wojsko i Straż, zajęte głównie gaszeniem pożarów i tłumieniem niesnasek we własnych szeregach, nie miały czasu przeczesywać ulic i urządzać masowych aresztowań. Wszyscy wiedzieli, że to nie koniec kłopotów.

Gońcy z *Kuriera Cesarskiego – Wiadomości*, mimo burzy krążyli po domach, zbierając wszystkich zatrudnionych w *Kurierze* heroldów: łomotali do drzwi i wyciągali ich z łóżek w środku nocy. Zanim burza dobiegła końca, zebrali się wszyscy w agencji i odebrali instrukcje, a gdy pierwszy różany brzask rozjaśnił wierzchołki gór na wschodzie, część rozbiegła się po Starym Mieście, a część – znacznie większa – czekała cierpliwie na opuszczenie zwodzonych

mostów.

Kiedy najwyższe iglice pałacu Colhari zapłonęły w blasku pierwszych promieni słońca, w całym mieście rozdzwoniły się dzwony – od spiżowych olbrzymów Prorithuna po filigranowy srebrny karylion w świątyni Katherisi; od dzwonów w Sanktuarium Khryla, których dźwięk przywodził na myśl łoskot mieczy o tarcze, po ręczne dzwoneczki heroldów *Kuriera*. Chwilę później dołączyły do nich przeróżne rogi – od najprostszych, myśliwskich, po ciężkie, dźwigane przez trzech ludzi *bruhti* na koronie Stadionu Zwycięstwa. Rozsadzająca czaszkę kakofonia wyrwała mieszczan z łóżek i kazała im podejść do okien; wstrząsnęła przysypiającymi uczestnikami zamieszek, którzy zaczęli się gramolić z improwizowanych nocnych posłań; postawiła na nogi wszystkich żołnierzy.

Heroldzi przemierzali ulice, podzwaniając dzwoneczkami i wykrzykując nowiny. Nie czekali na tradycyjną monetę i skinienie głową, to bowiem było obwieszczenie cesarskie, dostępne za darmo dla wszystkich.

Cesarz polecał obywatelom, swoim Ukochanym Dzieciom, pozostać w domach, zachować spokój i wytrwać w wierze w jego osobę. Ogłosił święto: sklepy miały zostać zamknięte, transakcje handlowe zawieszono, a ulice puste do późnego poranka. Później, do południa, wszyscy chętni mogli przenieść się na Stadion Zwycięstwa na południowym brzegu rzeki, gdzie Świetlisty Cesarz pozdrowi poddanych i usmierzy ich lęki. Wszyscy będą mile widziani i całkowicie bezpieczni; cesarz rozwieje wszelkie wątpliwości i ukoji skołataną serca.

Słudzy Ściemy nie próżnowali – otrzymali wyraźne rozkazy, żeby utrzymywać presję na rząd, chociaż ulewa wymusiła pewną zmianę planów. Nowe pożary zaczęły wybuchać w suchych wnętrzach zalanych deszczem budynków. Było ich zapewne nieco mniej niż poprzedniego dnia, ale wkrótce blada opona dymu zmieszała się z nisko wiszącymi chmurami.

Wojsko wzięło sobie do serca zarządzenie cesarza, rozumując – całkiem rozsądnie – że uczciwi ludzie go posłuchają i zostaną w domach. Wszyscy żołnierze niepotrzebni przy gaszeniu pożarów, zebrani w drużyny liczące od dziesięciu do piętnastu ludzi, przeczesywali miasto w poszukiwaniu szabrowników. Niektórych aresztowali, znacznie większą liczbę okrążyli i zatłukli na śmierć.

Ale armia również ponosiła straty. Szabrownicy dla bezpieczeństwa organizowali się w większe grupy, często uzbrojone po zęby – zwłaszcza w Mieście Obcych, gdzie wzajemna niechęć obcych i przedstawicieli władz miała długie tradycje. Nie trzeba było długo czekać, żeby ryszotki spłynęły krwią.

Po ulicach krążyły w dodatku nowe plotki o *Aktirich* zmierzających do obalenia cesarstwa. Powtarzali je awanturnicy i karczmarze, dokerzy i woźnice; wszędzie tam, gdzie zebrała się większa grupa obywateli, szeptano je sobie do ucha i spierano się o ich wiarygodność. Mówiło się o jakiejś magicznej sieci, której najlżejszy dotyk zabijał demonicznego *Aktira* i odsyłał go wyjącego do piekła, skąd pochodził.

Poza tym w brzasku nowego dnia:

Szary Kot, kręcący się po długim korytarzu na piętrze, zauważył złożony na pół skrawek pergaminu, wsunięty pod drzwi, których miał pilnować.

Na starannie wybranym neutralnym terenie, w komnacie sypialnej wyposażonej we wszelkie możliwe do wyobrażenia luksusy, Jego Wysokość i Kierendal spojrzeli sobie w oczy. Jutrzenka zapalała pożądliwe ogniki w oczach elfki. Jego Wysokość uśmiechał się z leniwą satysfakcją sytego lwa.

Berne leżał wygodnie w swojej pałacowej sypialni, obserwując dwoje nagich służących: brat i siostra, bliźnięta, oboje pachnący potem po seksie i poznaczeni krwawymi siadami uderzeń szpicruty, którą Berne jeszcze obracał w palcach, czyścili jego aksamitną tunikę, zerkając trwożnie w poszukiwaniu jego aprobaty. Przyglądał im się bacznie, czyhając na najdrobniejsze uchybienie – tunika musiała wyglądać perfekcyjnie, zanim każe im wypastować buty. Przy tak uroczystej okazji jak dzisiejsza musiał prezentować się doskonale.

Ma'elKoth stał samotnie w Małej Sali Balowej i podziwiał swoje Wielkie Dzieło. W komnacie panowała cisza – w kotle nie gotowała się glina, w palenisku nie zarzyły się węgle. Dziś nie miał ochoty być artystą. Mrużąc oczy, przyglądał się zbudowanej przez siebie olbrzymiej twarzy. Dostrzegł w niej coś, na co nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, coś nowego, czego w ogóle nie planował. Był to jeden z tych przeblysków geniuszu, które nadają życie prawdziwym dziełom sztuki. Rozpoczynając Wielkie Dzieło, zamierzał stworzyć obraz swojej twarzy, teraz jednak zdał sobie sprawę, że bez wprowadzania znaczących zmian w dotychczasowej strukturze dzieła będzie mógł je przekształcić w wizerunek Caine'a.

## 2

Toa-Sytell przetarł oczy i zgasił stojącą przy jego łokciu lampkę. Czuł piasek pod powiekami. Znajdujące się za jego plecami okno skryptorium Ambasady Klasztorów wychodziło na wschód; wschodzące słońce dawało znacznie przyjemniejsze światło niż lampa. Zmrużył powieki, z wysiłkiem koncentrując wzrok na maleńkich literkach zapelniających leżącą przed nim stronicę.

Pokręcił głową i dał sobie spokój. Wstał i się przeciągnął, aż strzeliły mu kręgi – od szyi po talię. Z westchnieniem objął się rękami i zaczął masować obolałe barki. Siedział nad tym całą noc i nadal miał więcej pytań niż odpowiedzi.

Udał się do ambasady zaraz po sfingowanej ucieczce Caine'a. Miał pewne problemy z wejściem – ambasada, zaprojektowana i wybudowana jako twierdza w środku miasta, po zamknięciu na cztery spusty w obawie przed zamieszkami była w zasadzie niedostępna. W końcu jednak jego spokojne, rozsądne słowa nie tylko otworzyły przed nim drzwi ambasady, ale nawet doprowadziły do spotkania z p.o. ambasadorem. Znał go, był nim obdarzony

chrypliwym głosem starszy brat zakonny, obecny przy śmierci poprzedniego ambasadora i aresztowaniu Caine'a. Kiedy Toa-Sytell przedstawił mu swoją prośbę, p.o. ambasador zamyślił się głęboko.

– Archiwa są naszą wyłączną własnością – odparł bez pośpiechu. – Zdarzają się jednak sytuacje wyjątkowe. Rada Klasztorna zapoznaje się ze sprawą Caine'a, ale jeszcze za wcześnie mówić o werdykcie. Wykluczenie go z grona Bractwa jest prawie pewne, w grę wchodzi także całkowite wyjęcie spod prawa, może nawet wyrok śmierci. Chyba nikt nie będzie miał mi za złe, jeśli udostępnię jego akta niezaprzyjęzonemu.

– Macie je... tutaj?! – zdziwił się Toa-Sytell. – Myślałem, że będziesz musiał po nie posłać do... eee...

– Do Twierdzy Garthan – dokończył z roztargnieniem p.o. ambasador. – Nie, akta Caine'a są u nas. Po Bitwie pod Ceraeno został oficjalnie przeniesiony do Ankhany, a one podążyły za nim. Nie są może najbardziej aktualne, ale każę ci je dostarczyć do skryptorium, jeśli zechcesz poczekać.

Toa-Sytell uklonił się z wdzięcznością i poszedł do skryptorium, gdzie niedługo potem zjawiło się dwóch nowicjuszy, każdy z ciężką, oprawną w skórę księgą w rękach – jedna była zapisana w całości, druga w jednej trzeciej. Książę nie posiadał się ze zdziwienia. Jak to możliwe, żeby jeden człowiek zdołał tyle dokonać w ciągu jednego krótkiego żywota?

Spędził nad księgami całą noc – i przez ten czas jego zdumienie systematycznie rosło. Caine był wszędzie i we wszystkim maczał palce; miał niepokojący talent do pojawiania się znikąd w centrum najważniejszych wydarzeń i nigdy nikomu nie tłumaczył, skąd się tam wziął, po co, ani w jaki sposób odbył podróż. W czasie pomiędzy bitwami, zamachami i przygodami tak niewiarygodnymi, że Toa-Sytell zbywał je jako czcze wymysły, przepadał bez śladu. Nie miał domu, a od czasu, gdy dwadzieścia lat wcześniej ukończył nowicjat w Garthan, nie przesiadywał dłużej w żadnym Klasztorze.

Równie zagadkowo przedstawiała się jego młodość. Zjawił się pod bramą Twierdzy Garthan, twierdząc, że przyszedł na świat w rodzinie pathquańskiego wyzwolenca, po czym – w okresie Krwawego Głodu – został sprzedany lipkeńskiemu kupcowi jako osobisty sługa. Stwierdzono jednak, że mówi po pathquańsku z akcentem, którego nikt nie potrafił zidentyfikować. Archiwa nie wspominały o tym, żeby kiedykolwiek próbował kontaktować się z rodziną. Opat Twierdzy Garthan przypuszczał, że jest zbiegłym niewolnikiem lub bezrolnym chłopem któregoś z miejscowych szlachetków, a całą swoją historię zwyczajnie zmyślił. Zwrócił uwagę, że nowicjusz nie przejawia krzty talentu ani zrozumienia dla koni i kowalstwa, co kazało wątpić w jego kowalskie pochodzenie.

Toa-Sytell zaczynał rozumieć fascynację cesarza tym człowiekiem. Caine był jak siła natury, jak wichura albo burza, która przybywa znikąd, bezlitośnie smaga ziemię, a potem znika równie szybko jak się pojawiła. Nikt nie wiedział, skąd Caine pochodzi, nikt nie wiedział, dokąd zmierza. Zostawiał po sobie tylko trwałe blizny w życiu tych, których

spotkał.

A zarazem musiał być czymś więcej niż zwykły żywiol – jakkolwiek by na to patrzeć, Ma'elKoth udowodnił, że całkiem nieźle potrafi kontrolować żywioły. Caine przypominał gryfa albo smoka, niezwykle niebezpieczne zwierzę, z którym można się zaprzyjaźnić, ale nie sposób je oswoić. Cieniutka pozłota jego człowieczeństwa mogła się w każdej chwili rozpęknąć, uwalniając chaos i zniszczenie.

Cieniutka pozłota człowieczeństwa... Tak, miał w sobie coś nieludzkiego: niesamowite szczęście, nadnaturalną pewność siebie, zdolność zjawiania się w dowolnym miejscu i czasie, a potem znikania bez śladu, jakby za sprawą magji...

Jak *Aktir*.

Toa-Sytell zamarł z ustami otwartymi do ziewnięcia. Zaparło mu dech w piersi, jakby powietrze zmieniło się w kamień.

Jak *Aktir*..

Sam Toa-Sytell powtarzał to przecież wielokrotnie, przypominając innym i sobie o zniszczeniach i śmierci, które szły za Caine'em krok w krok. Nawet Ma'elKoth wspomniał o tym w Donżonie, kiedy oparty o kamienną balustradę spoglądał w głąb Jamy:

– Caine nie mógłby wyrządzić większych szkód nawet gdyby był *Aktirem*.

Prawdę mieli cały czas przed oczami. Patrzyli na nią, ale nie chcieli jej zobaczyć.

Było więcej takich drobiazgów, zbiegów okoliczności, przypadkowych zgrań w czasie, reakcji Caine'a, które wtedy wydawały się niewytłumaczalne, a teraz nagle stały się oczywiste. Zresztą Toa-Sytell ich nie potrzebował.

Toa-Sytell wiedział.

Nie miał cienia wątpliwości, wierzył w to, jak święty w boga.

Caine był *Aktirem*. Chciał obalić Ma'elKotha, doprowadzić do upadku cesarstwa, zniszczyć wszystko co dobre na świecie. Należało go powstrzymać. Należało go zabić.

W konwulsyjnym geście uderzył pięścią w otwartą księgę. Jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, dysząc ciężko i myśląc gorączkowo, a potem odwrócił się od stołu, na którym zostały otwarte księgi, i wybiegł ze skryptorium jakby goniony go wilki.

Berne, myślał. Muszę znaleźć Berne'a.

### 3

Zegar życia Pallas Ril, od sześciu dni tykający miarowo w dolnym rogu ekranu *Przygód na żywo*, do tej pory miał kolor żółty. Dopiero dzisiaj o świcie zaczął pulsować czerwienią na wszystkich ekranach na całej Ziemi.

Oznaczało to, jak wyjaśnił wiecznie uśmiechnięty Bronson Underwood, że Pallas Ril weszła już w okres objęty marginesem błędu działania jej myśloemitera. W każdej chwili

groziła jej desynchronizacja amplitudy. Od tej pory wszelkie prognozy pozostałego jej czasu życia stały się niewiarygodne.

Po tym ogłoszeniu wyemitowano dłuższy reportaż dotyczący zjawiska desynchronizacji, ilustrowany niepublikowanymi wcześniej zdjęciami szczątków tych nielicznych Aktorów, z których po desynchronizacji w ogóle coś zostało. Potworność tych obrazów wywołała liczne protesty, oburzeni widzowie bez przerwy wydzwaniali do Studia – ale znacznie więcej było próśb o powtórzenie materiału, żeby wszyscy ci, którzy przegapili go za pierwszym razem, mogli go sobie nagrać jak należy na domowych odtwarzaczach. A ludzie w telefonicznym centrum obsługi Studia uśmiechali się przepraszająco i tłumaczyli grzecznie, że emisja była wprawdzie wydarzeniem jednorazowym, ale kopie nagrania są w tej chwili dostępne w wyjątkowo niskiej, absolutnie promocyjnej cenie...

#### 4

Toa-Sytell nie marnował cennego czasu na osobiste poszukiwania Berne'a. Uzyskawszy od p.o. ambasadora zapewnienie, że jeśli Caine zjawi się w ambasadzie (choć było to mało prawdopodobne), zostanie nie tylko zatrzymany przed wejściem, ale także aresztowany, książkę z osobistą obstawą udał się prosto do pałacowego biura Królewskich Oczu. Tam spędził dosłownie kilka minut, wydając swoim ludziom serię precyzyjnych, szczegółowych rozkazów.

Caine'a – jako osobnika zagrażającego cesarstwu – należało znaleźć jak najszybciej. W tym celu wszystkie Oczy w stolicy miały natychmiast porzucić swoje dotychczasowe zajęcia i rozpocząć poszukiwania. Toa-Sytell osobiście podyktował jego aktualny rysopis oraz uprzejmie sformułowane listy do dowódców Straży i stacjonującego w mieście kontyngentu armii cesarskiej, prosząc o pomoc. Caine miał zostać powstrzymany za wszelką cenę. Gdyby stawiał opór, należało go zabić. Dowódcy sami mieli zdecydować, czy wydać swoim ludziom rozkaz strzelania bez ostrzeżenia.

Wiedział, że Ma'elKoth wpadnie w szal, ale w tej chwili ważniejsza od lojalności wobec Ma'elKotha była lojalność wobec ankańskiego tronu, a w głębi serca był przekonany, że dopóki Caine żyje, cesarstwo jest zagrożone.

Wypytyjąc o Berne'a, dowiedział się, że hrabia wrócił nad ranem i po krótkiej rozmowie z Ma'elKothem udał się na spoczynek, a teraz spożywał późne śniadanie w swoich pałacowych apartamentach.

Udając się na spotkanie z hrabią, Toa-Sytell zdążył uspokoić myśli, uporządkować fakty i przygotować argumentację. Spodziewał się, że Berne z czystej przekory zaprzeczy jego słowom, i zamierzał zdławić jego opór lawiną dowodów.

Prawie biegł pałacowym korytarzem i niewiele brakowało, żeby zderzył się z Szarym



Kotem, który z zawziętą miną oddalał się właśnie od drzwi apartamentów Berne'a. Kiedy Toa-Sytell wparował do przedpokoju, hrabia siedział przy stole, odziany w jedwabny szlafrok. Uśmiechnął się krzywo i już, już miał zaproponować księciu miejsce obok siebie, ale Toa-Sytell zbył go machnięciem ręki.

– Nie ma czasu – powiedział. – Muszę znaleźć Caine'a. Obaj musimy.

Berne zmarszczył cienkie brwi.

– Poważnie? To może być trudne...

– Nie może. Berne, Caine jest jednym z nich. Jest *Aktirem!*

Berne otworzył szeroko oczy i przez długą chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się w księcia – a potem kąciki jego ust uniosły się w półuśmiechu, który szybko przeszedł w uśmiech od ucha do ucha.

– Dobrze... – powiedział z namysłem. Otarł usta serwetką, zerwał się na równe nogi i rozpromienił pod wpływem nagłego zastrzyku energii. – Bardzo dobrze!

Toa-Sytella zamurowało.

– Wierzysz mi?

– Pewnie, że ci wierzę! – przytaknął uszczęśliwiony Berne. – Nie interesuje mnie, czy to prawda, i tak ci wierzę. Bo to oznacza, że musimy go zabić. I to jak najprędzej.

Pstryknął palcami. W drzwiach do sypialni stanął młody służący, niosąc przewieszane przez ramiona elementy oficjalnego stroju.

– Właśnie miałem się ubierać – wyjaśnił hrabia.

Wybierając i wkładając ubranie, opowiedział Toa-Sytellowi o tym, jak cesarz kazał mu śledzić Caine'a i jak Caine mu się wymknął.

– Za to jeden z moich chłopaków przyniósł mi coś takiego – dodał, odsłaniając w uśmiechu zęby. – Tuż przed tym, jak przyszedłeś.

Rzucił Toa-Sytellowi zwitek pergaminu. Księżę złapał go w locie, rozwinął i przeczytał wiadomość spisaną ręką Lamoraka. Rozpromienił się.

– Masz go!

– Tak, Caine nas do niego zaprowadził. Pewnie spodziewał się, że Ma'elKoth spróbuje go oznakować, a Lamorak znalazł znak na siatce. Jest bystrzejszy, niż się zdaje.

– Kto?

– Jeden i drugi. Chodź, zobaczymy, co nam powie ciekawego.

– A Ma'elKoth? Powinniśmy najpierw jemu powiedzieć... Zanim wyjdziemy.

– Pieprzyć Ma'elKotha... – Berne pokręcił głową i zaczął odliczać na palcach. – Po pierwsze, jest teraz zajęty przygotowaniem tej iluzji; jeśli mu powiemy, może się z czymś zdradzić. Po drugie, siedzi w Żelaznej Komnacie; jeżeli chcesz mu tam przeszkadzać, proszę bardzo, ale nie oczekuj, że za tobą pójde. I po trzecie, nie uwierzy nam. Zna Caine'a od lat, dłużej niż ja. Zresztą nawet jeżeli uwierzy, to wymyśli na poczekaniu jakieś usprawiedliwienie i każe nam zostawić Caine'a w spokoju. Znasz go. Uznałby pewnie, że

ciekawiej będzie zostawić Caine'a przy życiu, albo wyskoczył z innym, równie durnym pomysłem. Dlatego uważam, że najpierw powinniśmy Caine'a znaleźć i zabić. Co ty na to?

Toa-Sytell zacisnął usta i skinął głową.

– Zgoda. Daj mi pięć minut, zbiorę obstawę.

– Po kiego?

– W mieście będzie niebezpiecznie...

– Pewnie. Zwłaszcza kiedy my dwaj wyjdziemy na ulice.

Berne założył na plecy uprząż trzymającą Kosalla i zapiął srebrną sprzączkę na piersi. Czubkami palców musnął rękojeść miecza, który zabuczał w stalowej pochwie jak rozzłoszczony grzechotnik.

– Nie potrzebujemy obstawy. Chodź.

## 5

Słuchając opowieści Lamoraka-zdrajcy, Toa-Sytell bacznie go obserwował. Mimo złamanej szczęki i krwawych skrzepów pod rozbitym nosem jego rysy zachowały sporo wdzięku – gdyby nie te obrażenia, byłby całkiem przystojny i bardzo męski. Ta twarz budziła zaufanie. W pewnym abstrakcyjnym sensie wydała się Toa-Sytellowi wręcz fascynująca.

Z reguły rysy twarzy wiążą się ściśle z charakterem człowieka i książę nie posiadał się ze zdumienia, że powierzchowność Lamoraka absolutnie nie zdradza pustki zajmującej u niego miejsce, w którym u innych ludzi znajduje się kręgosłup.

Kiedy zjawili się w pokoju na piętrze w miejskim domu Berne'a, Lamorak skulił się jak dręczony wyrzutami sumienia szczeniak. Ilekroć Berne się do niego zbliżył, chował głowę w ramionach i odsuwał unieruchomioną w łubkach nogę jak najdalej od hrabiego. Nie chciał nic powiedzieć, dopóki Toa-Sytell osobiście nie zaręczył mu, że zostanie uwolniony z łap Kotów, a nawet po uzyskaniu takiego zapewnienia z wahaniem cedził słowa przez mocno zaciśnięte zęby, ze wstydliwym rumieńcem na policzkach. Toa-Sytell przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, machinalnie głaszcząc rękojeść ukrytego w rękawie zatrutego sztyletu.

Zanim weszli do pokoju, Berne go ostrzegł:

– Dupa z niego, nie taumaturg, ale zna jedną sztuczkę, która sprawia, że potrafi być niebezpieczny. Nazywa się Dominacja. Bądź czujny.

Książę zachował czujność, ale nie zauważył, żeby Lamorak usiłował posłużyć się mocą. Zresztą chwilę później zapomniał na śmierć o obawach Berne'a, bo Lamorak wyjawiał im clou złowrogiemu planu Caine'a.

Lamorak jękał się i krzywił z bólu, gdy obejmujące mu szczękę płócienne bandaże wrzynały się w opuchnięty policzek. Działo się tak, kiedy wiedziony gorliwą służalczością desperacko usiłował dowieść swojej przydatności i zapominał o świeżych ranach.

– ...no i wtedy... wtedy... wystarczy, że zarzuci siatkę na głowę iluzji i odetnie Przepływ. Iluzja po prostu zniknie, rozumiecie? Dwadzieścia tysięcy ludzi zobaczy, jak Ma’elKoth rozplywa się w powietrzu, tak jak to ponoć robią *Aktiri*! To będzie dowód. Ma’elKoth będzie skończony.

– Siatka! – warknął Berne. – Ta pierdolona siatka! – Żyły zadrgały mu na szyi, krzesło, które miało nieszczęście stanąć mu na drodze, rozleciało się na kawałki pod pierwszym kopniakiem. – A co z Pallas? W jaki sposób przybliży go to do uratowania Pallas?

– Wcale – odparł Toa-Sytell i wstał. – Nie rozumiesz? Pallas nie jest mu do niczego potrzebna. To tylko przynęta. Pozorantka. Prawdziwym zagrożeniem jest Caine. Od samego początku dąży do obalenia cesarstwa.

– Nie wierzę. Nie masz pojęcia, co dla niej wycierpiał.

– Dla nich to tylko gra, zapomniałeś? Tak powiedzieli Ma’elKothowi ci, których wziął żywcem w pałacu. Gra, zabawa. Przedstawienie. Rozrywka. Cierpimy i umieramy ku uciezce *Aktirich*.

– Rozrywka, nie rozrywka, Caine na pewno spróbuje ją...

Berne mówił dalej, ale Toa-Sytell go nie słuchał. Patrzył na Lamoraka, który od chwili, gdy padło słowo „przedstawienie”, spoglądał wybaluszonymi ze strachu oczami to na niego, to na Berne’a. Szczęka obwisła mu bezwładnie jak u śliniącego się dzieciaka, z gardła dobyło się zdławione bulgotanie.

– Co się dzieje? – zapytał Toa-Sytell. – Lamorak! Co się dzieje?!

Lamorak machnął ręką.

– Nie, nic takiego... Po prostu... Nie mogę...

Berne skrzywił się z pogardą.

– Zaraz się nam tu zeszczy. Nie jesteś za stary, żeby się bać *Aktirich*?

– Ja nie...

Krzesło Lamoraka zgrzytnęło o podłogę. Rozpaczliwie próbował się odsunąć od Berne’a, odpychając się zdrową nogą.

– To poważniejsza sprawa – wtrącił Toa-Sytell, podchodząc bliżej. – Widziałem już coś takiego. To rodzaj choroby. Niektórzy panicznie boją się pajaków. Znałem człowieka, który nie był w stanie wejść na drabinę, tak się bał, że spadnie.

– Serio? – Berne wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Doskoczył do Lamoraka, złapał go za ramiona, dźwignął z krzesła i uniósł nad podłogę jak dziecko.

– Boimy się, co? No to mamy problem! – Zaśmiał się, jakby był mocno wstawiony. – Powtarzaj za mną: Caine jest *Aktirem*. No, gadaj: Caine jest *Aktirem*.

Lamorak bez słowa pokręcił poobijaną głową. Zaniemówił ze zgrozy.

– Berne... – Toa-Sytell położył hrabiemu rękę na ramieniu. – Nie męcz się. To silniejsze od niego.

Berne odwrócił głowę w jego stronę. Taką minę mogłaby mieć puma, której ktoś próbuje odebrać zdobycz.

– Zabierz tę łapę, jeśli nie chcesz jej stracić. Albo kutas powie, co mu każe, albo wyrwę mu rękę. – Potrząsnął Lamorakiem, który jęknął słabo w odpowiedzi. – Myślisz, że nie dam rady? Że nie jestem dość silny? Mów: Caine jest *Aktirem*! No już!

Lamorak przewrócił oczami jak koń uwięziony w płonącej stajni. Poczzerwieniał na twarzy, potem zsiniał.

– C... C... – wykrztusił. – C-Caine...

Toa-Sytellowi przebiegł po kręgosłupie lodowaty dreszcz. Rozdziawił usta, zamknął, znów je otworzył.

– Berne, zaczekaj! On nie może tego powiedzieć, nie widzisz?! Próbuje, ale nie może! Pamiętasz, jest takie zaklęcie, które wiąże *Aktirim* języki? Na pewno słyszałeś, jak Ma’elKoth o nim wspominał...

Berne zmarszczył brwi. Na chwilę zapomniał o Lamoraku, który zwisał bezwładnie w jego rękach.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Zastanów się. Lamorak jest jednym z nich! Nie może nam powiedzieć, że Caine jest *Aktirem*, bo wie, że to prawda!

– Nie jestem! – wrzasnął piskliwie Lamorak. – Przysięgam, nie jestem *Aktirem*! To wszystko kłamstwa...

– Zamknij ryj – rzucił Berne od niechcienia i dla podkreślenia wagi tych słów szarpnął Lamorakiem tak, że głowa poleciała mu do tyłu.

W mgnieniu oka hrabia uspokoił się i odprężył, emanując przyjemnym zadowoleniem, jak po dobrym seksie.

– No, popatrz... Niech mnie kozioł wydyma. Słyszałem, jak ludzie mówili, że złodzieje czasem kłócą się między sobą.

Toa-Sytell skinął ponuro głową.

– Rzeczywiście. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

Berne wzruszył ramionami. Lamorak zaskomlał, na co hrabia wymierzył mu potężny cios w siną i opuchniętą złamaną szczękę.

– Cicho bądź.

– To znaczy, że wiemy, jak to sprawdzić. Posadź go na krzesło.

Berne wykonał polecenie.

– Złap go za rękę.

Lamorak próbował podkulić rękę, ale nie mógł się oprzeć sile Berne’a.

– A teraz wyrwij mu po kolei palce, dopóki nie powie „Jestem *Aktirem*”. Idę o zakład, że wyrwiesz mu wszystkie dziesięć.

Lamorak zaczął przeraźliwie wyc (choć zamknięte szczęki tłumiły jego krzyk) jeszcze

zanim Berne wyłamał mu i oderwał mały palec. Kości trzasnęły jak zmięty papier, ciało rozpękło się z odgłosem, jaki mógłby towarzyszyć darciu grubego materiału. Berne odrzucił palec za plecy jak ogryzioną kostkę kurczęcia. Krew trysnęła mu na twarz. Uśmiechnął się i oblizał wargi.

Toa-Sytell podszedł do Lamoraka i własnym paskiem obwiązał mu przegub dłoni, zaciskając go, aż krwotok zmniejszył się do kapiących leniwie kropli.

– Dlaczego po prostu nie powiesz tego, co ci każemy? – spytał Berne. – To przecież nic trudnego, posłuchaj: jestem *Aktirem*. *Jestem Aktirem*. Mnie jest wszystko jedno, mogę ci wyrwać pozostałe dziewięć palców, jeśli wolisz.

Lamorak pokręcił głową i zaczerpnął tchu, ale hrabia zatkał mu usta zakrwawioną dłonią.

– Dobrze się zastanów – ostrzegł. – Jeśli usłyszysz coś innego niż „jestem *Aktirem*”, stracisz palec.

Cofnął rękę. Lamorak nic nie powiedział, spojrzał tylko błagalnie na Toa-Sytella, który wzruszył ramionami. Więzielnik będzie bezużyteczny, jeżeli dozna szoku albo umrze z upływu krwi.

– Dowiedzieliśmy się tego, co nam było potrzebne, Berne. Teraz trzeba go zabrać do Ma’elKotha. Jego zeznania nie pozostawiają wątpliwości co do prawdziwej natury Caine’a i zagrożenia, jakie stanowi.

Berne kiwnął głową.

– Ty się tym zajmij. Dam ci paru chłopaków do obstawy. A ja... Wydaje mi się, że Caine do realizacji planu potrzebuje swojej siatki. Zostawiłem czterech ludzi, żeby jej pilnowali i poszli za nim, jeśli się pojawi; mogą wiedzieć, gdzie teraz jest. Zapytam ich. – Sięgnął do tyłu ponad ramieniem i pieszczotliwie pogładził szeroki jelec Kosalla, jakby dotykał uda kochanki. – Jeżeli go dorwę, załatwię wszystkie nasze problemy jednym cięciem miecza.

– Mamy mało czasu. – Toa-Sytell wskazał ruchem głowy słońce, które zdążyło się już wspiąć wysoko ponad dachy domów. – Nie traćmy go.

Berne wyciągnął do niego zakrwawioną rękę.

– Powodzenia z Ma’elKothem.

Toa-Sytell bez wahania uściśnął mu dłoń.

– Powodzenia, Berne. Pomyślnych łowów.

## 6

Każde mrugnięcie sprawiało Kierendal taki ból, jakby brzegi powiek miała pokryte tłuczonym szkłem. Ostrożnie poszerzyła i pogłębiła Powłokę, żeby utrudnić wykrycie szarpnięcia w Przepływie, i zaczerpnęła stróżkę energii, pragnąc ukoić zmęczenie. Kiedy cała ta impreza się skończy, naodpoczywa się za wszystkie czasy.

Siedzący obok niej Król Ściemy wyglądał przez okno na gromadzące się na dole tłumy. Jego Powłoka mieniła się srebrem przetykanym różanymi błyskami. Niektóre z nich z całą pewnością brały się stąd, że spodobały mu się twarz i ciało, jakie mu zaprezentowała. Przez cały dzień i noc stopniowo dostrajała iluzję do jego gustów – ostrożnie, małymi kroczkami zbliżając się do celu. Jej włosy skręciły się nieco mocniej i przybrały głębszy, kasztanowy odcień, oczy stały się bardziej piwne, chude ciało nabrało złotawej barwy i kształtu dzięki smukłym mięśniom – wszystko po to, żeby zobaczyć w jego Powłoce właśnie takie plamki światła.

Każdym facetem łatwiej się steruje, kiedy uda się go złapać za ptaka.

– Ci ludzie, tam na dole... To nasi, prawda? – Głos jego Wysokości drżał z podniecenia. – Na bogów, ci też mogliby być nasi... Widzisz ich? Zrobiłaś chyba taką dwójkę w opiętych pończochach i kapeluszach z piórkiem, prawda?

Obróciła się leniwie i wyjrzała przez okno, mimo że ciżba przed Stadionem Zwycięstwa wcale jej nie interesowała. Najciekawsze rzeczy działy się w tej chwili tutaj, w tej komnacie, z Jego Wysokością.

– Nie wiem – powiedziała. – Możliwe. Wiesz, tylu ich zrobiłam, że wszystkich nie pamiętam.

– I nie umiesz ich odróżnić, tak? Kiedy tam patrzysz, nie wiesz, którzy są nasi? Mimo że rzucałaś zaklęcia?

Wzruszyła ramionami.

– To gryfkamienie zasilają iluzje. Zaklęcia nie czerpią z Przepływu, są niewykrywalne.

– I bardzo dobrze. Ta przekłeta rewizja przy wejściu... Bez twojej magji nie przemycilibyśmy na stadion nawet wykałaczki. – Kiedy na nią patrzył z tym błyskiem w oku, mógł się prawie wydawać atrakcyjny. – Na pewno nie chcesz ze mną iść? Zapowiada się jebitne widowisko.

Kierendal posłała mu koci uśmiech.

– Jestem kochanką, nie wojowniczką.

Nie zamierzała się w południe zbliżać do stadionu. Nigdy więcej nie chciała się znaleźć w pobliżu Caine'a.

Ta kipiąca wokół niego energia, isticie oceaniczny prąd w Przepływie, który wszędzie mu towarzyszył... Nie miała pojęcia jak on to robi, skąd czerpie tę moc. Była natomiast przekonana, że nie zdaje sobie sprawy z mocy stale obecnej w jego życiu. Może to specyfika człowieka, może ludzie – jako gatunek – dysponują większymi podświadomymi zasobami mocy niż magowie pierwotnego ludu, a jej dane było to odkryć, ponieważ uważnie zbadała niezwykłą, czarną Powłokę Caine'a. Ta moc zdawała się w nim narastać, gromadzić, nabrzmiewać, wzbierać jak spiętrzona tamą rzeka. Mogła sobie mniej więcej wyobrazić, co się może stać, jeśli ta moc zostanie uwolniona – miała małą próbkę przy okazji sporu z Jego Wysokością w kasynie.

Chaos. Zniszczenie w czystej postaci.

Domyślała się, że to właśnie ten mroczny nurt w Przepływie omal nie doprowadził do tragedii w Kasynie Obcych. Najprawdopodobniej Caine samą swoją obecnością powodował spiętrzenie mocy – tak jakby w Bożych Zębach gromadziły się zwały śniegu: przez lata w dolinie panował spokój, a potem jeden okrzyk Caine’a mógł wywołać lawinę.

Nie chciałyby się znaleźć na jej drodze. Nie tym razem.

Nie było sensu tłumaczyć tego Jego Wysokości, i tak by jej nie uwierzył. Poza tym, jeśli dzisiaj zginie, ona będzie miała szansę pozbierać resztki Królestwa Ściemy i na jego zgliszczach zaprowadzić swoje rządy. Oczywiście wołałyby, żeby przeżył, a plan Caine’a wypalił; była na najlepszej drodze do trwałego scementowania znajomości z Jego Wysokością.

Właśnie, skoro już o tym mowa...

Spojrzała na zajmujący większość komnaty mieszany orszak Twarzy i Sług.

– Tak sobie myślę... – mruknęła. – Pozbądźmy się ich stąd. Będziemy mogli jeszcze trochę... ponegocjować.

Dłoń, którą oparła na ramieniu Jego Wysokości, była cieplejsza od ludzkiej. Odpowiedział jej równie ciepłym uśmiechem.

– Chyba nie mamy czasu – odparł.

Najwyżej trzy minuty, pomyślała, ale niczego nie dała po sobie poznać.

– Skoro tak mówisz... – wymruczała z udawanym rozżaleniem. Sceny rozgrywające się na zewnątrz bez reszty przykuły jego uwagę. – Gdzie twoi Książęta?

– Deofad jest już na stadionie. Paslava... – Spojrzał na nią i uśmiechnął się chytrze. – Paslava przyjdzie później. Ma coś do załatwienia w jaskiniach.

## 7

Arturo Kollberg otarł pot z górnej wargi i pochylił się nad mikrofonem.

– Nie teraz, do cholery! – wychrypiął szeptem. – Żadnej transmisji! Nie ma mowy!

Spoglądający na niego z ekranu wiceprezes do spraw marketingu z dezaprobatą zmarszczył brwi.

– Nie dają mi spokoju, Art. Chcą dostać przekaz na żywo, tak jak poprzednio. – Zniżył głos do szeptu. – Mam wieści z Rady...

Kollberg mimowolnie drgnął, ciarki wróciły. Obejrzał się przez ramię na pospoły. Głowy miały obrócone w taki sposób, jakby podziwiałały rozbłyśki światła na ekranie PW, ale nie mógł mieć pewności.

– Niech czekają – odparł. – Wszyscy czekajcie. W tej chwili nic się nie dzieje, do licha! – Oczy wychodziły mu z orbit, zęby zaciskał z taką siłą, że bolała go szczęka. – Od paru godzin

nic się nie dzieje! Caine śpi, kapujesz?

– Jezu, Art, uspokój się. Rozumiem, śpi. Nie ma sprawy. Chcę tylko, żebyś mi obiecał, że jak się zaczną fajerwerki, udostępnicie sygnał. Ten numer, który zamierza wykręcić Ma'elKothowi... Chcemy to puścić na żywo w sieci. Kojarzysz tego Clearlake'a? Rada jest nim zachwycona. Ma być gospodarzem programu.

Kollberg drżącą ręką wsmarował kolejną garść potu w i tak już błyszczące od łoju włosy.

– To zabije sprzedaż sześcianów. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę, to zwieńczenie całej tej przeklętej Przygody! A Caine w takich chwilach jest najlepszy, i to obaj również dobrze wiemy. Od piętnastu lat robię jego Przygody, mocne końcówki to jego znak firmowy. Szykuje się wielkie show na stadionie, wszystko ma się wydarzyć jednocześnie... Jeśli puścicie to na żywo, wszyscy się dowiedzą, jak skończyła się Przygoda!

– To nam nie przeszkadza. Rada nie ma nic przeciw temu, Art. Opłaty za prawa do transmisji pokryją ewentualne straty na sześcianach, które, nawiasem mówiąc, naszym zdaniem będą minimalne. To będzie rarytas, Art. Gratka dla kolekcjonerów. Zwłaszcza jeśli on zginie.

## 8

Odległy dźwięk głosów powtarzających imię Caine'a wypychał Pallas jak bańkę powietrza z otchłani pieśni Chambarai ku powierzchni. Nie umiała powiedzieć, od jak dawna dawała się nurtowi pieśni unosić w nieświadomość, z dala od ciała. Ostatnie wyraźne wspomnienie pochodziło z rozmowy z Caine'em, kiedy ciało już leżało przywiązane na ołtarzu.

Lśnił jak gwiazda, pomyślała.

Caine'a przepelniała jakaś moc nie oparta na Przepływie, chociaż niewykluczone, że z nim związana; dynamiczna energia życia, która wezwała ją z głębin rzecznych snów. Nie pochodziła z Przepływu, nie miała żadnego zewnętrznego źródła. Sama Żelazna Komnata rozgrzała się, gdy Caine przekroczył jej próg, tak jakby w piersi nosił żarzący się wściekle piec. Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć?

Może wcześniej tego nie było?

Wszystkie ich kłótnie, wszystkie rany, które sobie wzajemnie zadawali, jego wiecznie kipiący gniew, jej pokręcona zazdrość... Wszystko wydawało się teraz takie odległe, takie banalne. Ze swojej nowej perspektywy nie mogła pojąć, dlaczego musieli się tak unieszczęśliwiać.

Szczęście to najłatwiejsza rzecz na świecie; to uczucie, które przepelnia człowieka, kiedy otworzy się na przepływ życia, kiedy uświadomi sobie, że jest rzeką, a rzeka nim. Ona i Caine nigdy tego nie odkryli. Odcięci od siebie nawzajem, oddzieleni nawet od własnego wnętrza,



kurczowo trzymali się życia, ściskali je jak skąpiec złoto, udawali, że można je gromadzić i wydawać.

Niedorzeczność.

Nic dziwnego, że nie mogli być ze sobą.

Gdyby tylko mogła mu to powiedzieć, dotrzeć do niego, wytłumaczyć mu, jak łatwo jest osiągnąć szczęście.

Wiedziała, że ma mało czasu. To ciało było umierające – pożyczone życie, którym żyła przez trzydzieści dziewięć lat, wyciekało z niego przez dziurę w płucu. Perspektywa śmierci wcale jej nie niepokoiła – to po prostu mała strużka, znana jako Shanna Leighton albo Pallas Ril, wysychała, a zasilająca ją woda wracała do rzeki. Martwiła się tylko o Caine'a i miała nadzieję, że wystarczy jej życia, żeby jeszcze raz z nim porozmawiać.

Chciałaby móc zapytać rzekę, ile zostało jej czasu, ale nie mogła się z nią skontaktować. Nadal słyszała jej pieśń, nadal mogła dać się unosić skomplikowanej melodii. Żaden mur – kamienny, żelazny ani magijny – nie mógł jej w tym przeszkodzić; ta więź stała się jej nieodłączną częścią tak samo jak serce czy kręgosłup – ale jakaś niematerialna bariera nie pozwalała dołączyć własnego głosu do pieśni i zaczerpnąć z niej siły.

Wiedziała skąd się bierze ta bariera – z tego samego źródła, z jakiego płynął głos, który przed chwilą powiedział:

– Nie możecie żądać ode Mnie, żebym przyjął to na wiarę, bez dowodów.

Widziała go, nie otwierając oczu. Gigantyczna, spieniona Charybda w samym środku Przepływu, zasysająca energię zewsząd jednocześnie, aby zużyć ją do zasilenia ogromnego ciała i nieprzeciętnego umysłu. Żelazna Komnata dudniła jej echem; każdy kamień pałacu Colhari wibrował w rytmie cesarskiego tętna.

Mglisto zdawała sobie sprawę z pożarów, zamętu i walk na ulicach. Ze swojego punktu widzenia postrzegała niepokój Ma'elKotha nie jako skutek panującego dookoła zamieszania, lecz jako jego źródło. Targająca nim furia w jakiś sposób wydostała się na zewnątrz, przerwała tamy i roznieciła chaos, tak jakby całe miasto było jedynie przedłużeniem jego ciała.

Musiałyby podnieść powieki, żeby zobaczyć pozostałych, ale na to nie była jeszcze gotowa – nadal wznosiła się z dna i dopiero zaczynała rejestrować bicie swojego serca i ból, jaki sprawiało jej oddychanie. Znała jednak ich głosy i słyszała, że mówią o Cainie.

Nazywali go Aktorem.

Jakaś oderwana od świata część jej świadomości zdawała sobie sprawę, że to niedobrze, że Caine może mieć przez to kłopoty. Koncentrując się na ich rozmowie, zaczęła wyłapywać szczegóły planu Caine'a, o którym rozmawiali: srebrna siatka, gryfkamienie, Ma'elKoth zdemaskowany jako *Aktir* na oczach tysięcy podwładnych.

W głosie Ma'elKotha pierwszy raz usłyszała słabość, zwątpienie, wewnętrzny ból.

– Jak to możliwe? Nie ogarniam głębi... Nie, to wykluczone! Absolutnie niemożliwe!

Cała moja kariera... moja droga do tronu... wszystko zaplanowane i zrealizowane pod dyktando *Aktira*... Nie wierzę. Po prostu nie wierzę.

Świadomość Pallas wypłynęła na powierzchnię rzeczywistości. Rozpoznała głos Toa-Sytella, brzmiał dokładnie tak samo beznamiętnie, jak tamtej nocy, kiedy podsłuchiwała rozmowę księcia z Jego Wysokością:

– To niedopuszczalne ryzyko. Należy odwołać uroczystość.

– Odwołać? Teraz? Moje Dzieci gromadzą się już na stadionie. Odwołanie ceremonii byłoby jak przyznanie się do winy i miałyby taki sam skutek. – W słowach Ma’elKotha zabrzmiało niezwykle u niego rozżalenie: – Jednym szybkim ciosem strącony ze szczytu góry w otchłań gnojowiska. Gdyby inni bogowie nienawidzili Mnie od urodzenia, nie zakpiliby ze Mnie okrutniej. W głowie Mi się nie mieści, że to wszystko mogło być zaplanowane, od początku do końca, że Caine, przynosząc Mi siedem lat temu koronę Dal’kannitha, pchnął Mnie na ścieżkę, która doprowadziła Mnie tutaj, gdzie jednym śmiałym uderzeniem może zdruzgotać całe cesarstwo... Czy naprawdę jest takim geniuszem? Czy aż tak Mnie przerasta? Ale ty... ty go znasz. Był twoim towarzyszem. To od ciebie się o tym dowiedziałem. Mów. Powiedz mi o nim prawdę.

Czy on mówi do mnie? – pomyślała mętnie Pallas. Wyobraża sobie, że teraz zacznę mówić, tak po prostu, tylko dlatego, że mnie o to prosi? Torturami ani magją nie zmusił mnie do mówienia, więc teraz będzie miły i uprzejmy?

Ma’elKoth stał zwrócony do niej bokiem, prawie tyłem. Jego lśniący oleście tors był nieruchomy jak gład. Pięść zaciskał na połach kurtki człowieka, którego podniósł wysoko do góry. W przebłysku pamięci Pallas ujrzała Caine’a trzymanego dokładnie w taki sam sposób... Ale to nie był Caine.

Ten człowiek miał złamaną nogę w łubkach owiniętych brudną szmatą, kajdany na nadgarstkach, zakrwawiony opatrunek na dłoni, bandaż na boleśnie opuchniętej, sinoczarnej szczęce, złamany, również spuchnięty nos, oraz rozlane szeroko ciemne sińce pod oczami.

Nie rozpoznała go, dopóki się nie odezwał:

– Ja nie... nie mogę... Powiedziałem wszystko, co wiem... – wyjąkał Lamorak, mrużąc załzawione oczy.

Trzymałam go w ramionach, pomyślała z niedowierzaniem. Całowałam go. Kochałam się z nim. Tylko nie pamiętam dlaczego...

Ale teraz, kiedy spoglądała wstecz z nowej, półboskiej perspektywy, wszystko stało się jasne. Zwróciła się do niego, ponieważ nie był Caine’em, stanowił jego dokładne przeciwieństwo – wysoki, jasnowłosy, piękny, bohaterki – dobry człowiek w każdym znaczeniu tego słowa, czuły, współczujący, romantyczny i dzielny.

I pusty w środku. Piękna skorupa, krucha jak wydmuszka.

Na tym polegało ich prawdziwe przeciwieństwo. Caine był prawdziwy, nikogo nie udawał, w jego wypadku pozory nie myliły. I dlatego nigdy nie dałby się złamać w taki

sposób, jak najwidoczniej złamali Lamoraka. Caine był twardy i lity jak skała.

– Oto, co zrobimy – oznajmił Ma’elKoth, zwracając się do Toa-Sytella, który z szacunkiem czekał w pobliżu. Roztrzęsiony i zapomniany Lamorak zwisał bezwładnie w cesarskiej pięści. – Jam jest Ma’elKoth. Nie uciekam. Nie ukrywam się. Jeżeli Berne’owi nie uda się odzyskać siatki, spotkam się z Caine’em na arenie.

– Ma’elKoth... – Toa-Sytell wyraźnie się zaniepokoił.

– Nie. Jeżeli schowam się tchórzliwie w pałacu, Caine zwycięży. Ale mogę temu zapobiec jednym prostym posunięciem: naprawdę będę na stadionie. – Cesarz rozluźnił pięść i Lamorak gruchnął o podłogę. – Pomysł użycia Fantazji od początku niezbyt Mi się podobał. Byłoby to oszustwo, a Ja nie okłamuję swoich Dzieci. Dlatego naprawdę odprawię ten rytuał. Naprawdę zabiję na arenie. Naprawdę przejmę wspomnienia Pallas Ril i twoje, Lamoraku, nawet jeśli wchłoniecie tak odrażającej, bezwartościowej papki okaże się dla Mnie niezbyt przyjemne. – Podeszedł do Toa-Sytella i spojrzał na niego z góry. – Szukajcie Caine’a. Jeżeli będziecie go mogli dopaść przed rozpoczęciem rytuału, zróbcie to. Jeśli trzeba go będzie zabić, niech i tak będzie. Przypuszczam jednak, że nie wpadnie w wasze ręce, jest na to zbyt zaradny i zbyt bezlitosny. Za to Ja... Ja jestem kimś więcej, Jestem Ma’elKoth! Cokolwiek się wydarzy, będę gotowy.

Splótł palce potężnych dłoni i wyłamał knykcie. Zabrzmiało to jak fajerwerki.

– Będę gotowy i własnoręcznie go zabiję. A potem wchłonę także i jego wspomnienia.

Cała ta niezgłębiona energia, która wcześniej ulotniła się z jego głosu, już wróciła. Karmiący go huragan Przepływu narastał i nabierał niewiarygodnej siły.

– Wtedy poznam wreszcie odpowiedź na wszystkie nurtujące mnie pytania.

Och, Hari...

Shanna zamknęła oczy. Możliwość śmierci swojego ciała akceptowała z dużym spokojem, ale ta nowa gwiazda, która tak nieoczekiwanie zapłonęła w piersi Caine’a, była przecudna, niczym idealna róża kwitnąca na pustkowiu.

Wytrzymam. Znajdę sposób, żeby ci ostrzec. Żeby ci pomóc. Coś wymyślę.

Chyba pożyczę dostatecznie długo.

## 9

Berne zaciskał zęby i z trudem hamował chęć wycięcia sobie mieczem drogi przez falujący tłum.

Przed południem skończyła się godzina policyjna i można było odnieść wrażenie, że wszyscy mieszkańcy jednocześnie wylegli na ulice. Niejeden zaliczył miażdżącego kopniaka od konia Berne’a – żwawej bestii, która nie przepadała za brodzeniem w ludzkim morzu. Wierzchowiec przewracał oczami, gdy tylko ktoś zachodził go z boku lub z tyłu, a Berne

niespecjalnie próbował go powściągać, skoro paru zakrwawionych przechodniów za jego plecami bardzo korzystnie wpływało na oczyszczenie drogi z przodu.

Przedostał się w końcu do pisuaru znajdującego się najbliżej szybu, przy którym zostawił Koty na straży srebrnej siatki. Przywiązał konia na zewnątrz, przerzucając wodze przez najwyższą poprzeczkę. Chwycił zasuwkę na drzwiach do szybu ściekowego i jednym obrotem nadgarstka złamał ją na dwoje. Szybko skrzesał ogień i zapalił lampę, którą zdjął z haczyka przy drzwiach. Oplątał pasek od lampy wokół dłoni i zszedł po drabinie w ciemność. Skrzywił się z obrzydzeniem, rozchlapując kałuże moczu na dnie szybu. Schylił głowę przed wejściem do jaskini i przygarbiony pokonał krótki tunel, za którym znów mógł się wyprostować.

Wkrótce znalazł się na skalnej półce w połowie wysokości ściany, która w dole ginęła w mroku, i posuwając się na niej cal po calu, walczył z pokusą wykorzystania któregoś z pozornych skrótów. Zamierzał się trzymać dokładnie tej samej drogi, którą oznakował przy pierwszym przejściu; zdawał sobie sprawę, że w jaskiniach niezwykle łatwo można zabłądzić i błąkać się bezradnie do czasu, aż wypali się oliwa w lampie. Zszedł wąskim kominem do niżej położonej groty, gdzie w oddali chyba mignął mu odblask światła na suficie. Maleńkie stalagmity kruszyły mu się pod stopami, odłamki pryskały na boki, a światło zgasło, zanim zdążył się upewnić, czy naprawdę je zobaczył.

Pokręcił głową: przecież wyraźnie powiedział tym durniom, żeby nie zapalali światła. Mogli sobie nawzajem dodawać otuchy, zamiast palić lampę i zdradzić się przed Caine'em.

Dotarł na umówione miejsce – do szerokiej niecki ze studnią z jednej strony. Rozejrzał się. Ani śladu chłopaków. Z aprobatą pokiwał głową; nie wychylają się, dopóki się nie upewnią co do jego tożsamości.

– W porządku, panowie, to ja. Możecie wyjść. Zmiana planów.

Stał nieruchomo, wsłuchując się w cichnące echo swoich słów i sączenie się tysiącletniej wody przez wapień.

Zaklął, przypomniawszy sobie magijny sztylet od Ma'elKotha. Wyjął go z pochwy na biodrze; zielona poświata klingi była ledwie widoczna w świetle lampy. Zatoczywszy nim krąg, stwierdził, że staje się minimalnie jaśniejsza, kiedy nóż celuje na skos do góry.

– To sukinsyn jeden... – mruknął. – Już tu był.

A Koty powinny były zostawić jakąś wskazówkę, dokąd poszły. Nie mógł po prostu pójść tam, gdzie wskaże sztylet, nie w tych tunelach. Kręcąc się po jaskini, przeszedł obok wylotu studni – pionowego szybu, w którym na dnie leżała siatka. Zaleciał go odór kału i mocny, metaliczny zapach krwi.

Przystanął na skraju studni i przymknął oczy. Nie musiał zaglądać do środka, żeby wiedzieć, co się tam znajduje: zwłoki czterech Kotów.

No dobrze, ale skoro oni byli martwi, to czyją lampę widział?

Okręcił się w miejscu, próbując odskoczyć od wylotu szybu, ale spóźnił się z reakcją.

Nie było żadnego ostrzeżenia – chrobotu butów, ruchu powietrza, nic, tylko niewidzialne ręce, które uderzyły go w plecy na wysokości środka ciężkości. W tej samej chwili niewidoczna smycz oplątała mu kostki. Zanim zrozumiał, co się dzieje, już spadał do szybu głową naprzód, objijając się o ściany. Wylądował na miękkich, ale już zimnych ciałach swoich ludzi.

W jaskini na górze zapaliło się światło i w otworze szybu pokazało się pięć głów.

Berne powoli wyplątał się z trupich uścisków Kotów, wstał i demonstracyjnie otrzepał ubranie z brudu i krwi. Przez cały ten czas dyskretnie rozgrzebywał stopami zwłoki, szukając solidnego oparcia na kamiennym dnie.

– Jestem Abbal Paslava – powiedział jeden z obserwujących go z góry mężczyzn. – Niektórzy nazywają mnie Czarownikiem. Mówię ci to na wypadek gdybyś chciał wiedzieć, kto cię zabił, Berne.

Berne zadarł głowę i pokiwał nią z podziwem i aprobatą.

– Świetna pułapka, Abbalu Paslavo Czarowniku. I ładnie rozegrana. Domyślam się, że twoi towarzysze rozstrzelają mnie teraz z kusz, ukamienują albo coś w tym rodzaju. – Zaśmiał się. – To pomysł Caine’a, prawda?

– Istotnie – przytaknął Paslava z okrutną satysfakcją w głosie. – Powiedział o twoich magijnych udoskonaleniach i uznał, że najlepiej będzie zabić cię właśnie w taki sposób: ściągnąć cię na dno jaskiń, gdzie magia ci nie pomoże. Nie da ci nadnaturalnej siły, nie ochroni cię przed ciosami, nie pozwoli użyć Kosalla. Ja zaś mam gryfkamień wyjęty z siatki, której twoi ludzie zapobiegliwie dla nas pilnowali. Dzięki niemu z pewnością wystarczy mi mocy, żeby cię zabić.

– Świetna pułapka – powtórzył Berne. – Caine jest cwańszy niż myślałem, ale jest coś, o czym nie wie.

– Hm... – mruknął w zadumie Paslava. – Caine mnie uprzedzał, że będziesz się targował o życie. Czy masz jakieś informacje, które mogłyby mieć dla nas większą wartość niż twoja śmierć?

– Informacje? – Berne wybuchnął śmiechem. – Zaraz udzielę ci informacji.

Sięgnął ponad ramieniem za plecy i dobył Kosalla. Kiedy ujął go za rękojeść, miecz ożył, a wibracje jego ostrza wprawiały zęby w drżenie. Paslava wytrzeszczył oczy.

Uśmiechnięty Berne pomachał do niego rozedrganą klingą.

– Nie ty jeden masz gryfkamień – powiedział.

– Strzelajcie! – wrzasnął Paslava. – Zastrzelcie go!

Zanim towarzyszący mu Rycerze Ściemy zdążyli napiąć łuki, Berne ugiął nogi, wybił się do góry i jednym susem wyskoczył ze studni. Rycerze uchylili się, kiedy mijał ich jak wystrzelony z kuszy belt, on zaś, przelatując nad jednym z nich, ciął Kosallem na odlew i rozłupał mu czaszkę.

Zrobił salto w powietrzu i zwinnie wylądował. Zabity Rycerz osunął się na kolana i spadł

do studni. Pozostali sięgnęli po miecze, a uśmiechnięty Berne odwrócił się do Paslavy.

– Śmiało – powiedział. – Możesz walczyć albo uciekać. Tak czy inaczej, zginiesz. Mam mało czasu.

Nie uważał się na intelektualistę; nigdy nie twierdził, że jest szczególnie inteligentny. Myślenie wolał zostawiać ludziom, którzy byli w tym naprawdę dobrzy, takim jak Ma'elKoth albo Toa-Sytell. Niemniej jednak w chwili, gdy zabijał pierwszego, a zaraz po nim drugiego przerażonego Rycerza Ściemy, przyszło mu na myśl pytanie z gatunku tych, jakimi zwykle nie zawracał sobie głowy. Zanim od niechcenia, niemal machinalnie rozprawił się z trzecim, pytanie nie dawało mu już spokoju i podejrzewał, że odpowiedź na nie jest sprawą niezwyklej wagi. Nie rozumiał tylko dlaczego.

I właśnie z tego powodu nie zabił uciekającego Paslavy od razu, tylko na początek obciął mu nogę w kolanie. Czarownik, wyjąc z bólu, runął na ziemię, wlokąc tryskający krwią kikut po chropowatym wapieniu.

Berne złapał go za krwawiące udo i zacisnął palce z taką siłą, że wgniotły mięśnie, ucisnęły tętnicę i ograniczyły krwotok do wątlej strużki. Podniósł Paslavę w pozycji do góry nogami, żeby ściekająca mu do mózgu krew umożliwiła zachowanie przytomności, po czym, trzymając go na wyciągnięcie ręki, zmarszczył brwi i spojrzał mu w oczy.

– Zanim cię zabiję, chcę, żebyś mi powiedział jedną rzecz – wycedził. Dręczyło go okropne przecucie, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego. – Skąd Caine wiedział, że przyjdę tu po tę siatkę?

## 10

Stadion Zwycięstwa zappełnił się już na długo przed południem, i to w stopniu zagrażającym bezpieczeństwu publiki. Zbita, spocona ciżba tłoczyła się na ławkach i kuliła w przejściach. Szczególny tłok panował wokół tych widzów, którzy zabrali ze sobą dzbanki z napitkiem. Zamiast kolejek, przed pisuarami przewalały się bezładne masy.

Cesarski zarządca stadionu, sam spocony jak mysz w połogu, wyłamując palce, kazał komendantowi Straży Miejskiej zamknąć bramy, po czym odwrócił się i uklęknął przed stojącą w rogu kantorka figurką Ma'elKotha. Modlił się, żeby nie doszło do zamieszek.

Kiedy strażnicy zamknęli wejścia na stadion, zebrany na zewnątrz tłum cofnął się gwałtownie od ogrodzenia, niczym rój robactwa, który napotkał na swojej drodze rozpaloną cegłę. Fala przebiegła przez ciżbę od stadionu po najdalszy odcinek ulicy Hazardowej i krzyżującej się z nią Długiej, kiedy ludzie zawracali i stawiali opór napierającej z tyłu masie ciał.

Wzmocniona posiłkami brygada kawalerii zaczęła spychać plebs z Drogi Arystokratów i Mostu Królów: tędy miał wkrótce przybyć sam Ma'elKoth.

Wysoko nad miastem, w Żelaznej Komnacie, Pallas Ril nie zwracała uwagi na Rycerzy Pałacowych, którzy okryli ją płóciennym całunem i przenieśli – razem z więzami – z ołtarza na solidny dębowy krzyż w kształcie litery X; ich zabiegi robiły na niej równie niewielkie wrażenie jak żałośnie błagający o litość Lamorak. Oboje zostali związani w taki sam sposób, pod czujnym okiem Ma’elKotha, Pallas zaś Rycerze dodatkowo okryli srebrną siecią – i to przyciągnęło jej uwagę, ponieważ w tej samej chwili przestała w widzeniu wewnętrznym postrzegać poskręcaną koronkę Przepływu. Kiedy zaś spojrzała na Ma’elKotha, zobaczyła tylko postawnego mężczyznę wielkiej urody – zamiast półboskiego wiru mocy, który przez ostatnie dwa dni prawie nie oddalał się od ołtarza.

Odcięta od Przepływu wypadła z wewnętrznego widzenia i jęknęła cicho z bólu.

Rycerze Pałacowi dźwignęli ramy z dwojgiem więźniów niczym nosze i po niezliczonych ciągach schodów znieśli je na frontowy dziedziniec pałacu, gdzie z wolna formował się olbrzymi pochód: setki Rycerzy, muzykantów i akrobatów; śliczne dziewczyny z wieńcami ze świeżych kwiatów, mocarni młodzieńcy z koszami słodczy, które mieli rozrzucać pośród tłumu. Głównym elementem procesji była olbrzymia platforma na kołach. Z powodzi kwiatów, którymi ją ozdobiono, na dwóch końcach wystawały dwa żelazne stelaże, na których zawieszono krzyże z przywiązanymi Pallas i Lamorakiem.

Pallas, która pierwszy raz od dwóch dni przyjęła pozycję pionową, omal nie zemdląła. Wzrok jej się zamglił, obraz zafalował w oślepiających promieniach słońca, ale zobaczyła, jak Ma’elKoth bez wysiłku wskakuje na platformę. Uczestnicy pochodu, Rycerze Pałacowi i wszyscy gapie na dziedzińcu oraz w oknach zareagowali triumfalnymi okrzykami. Ma’elKoth w odpowiedzi uklonił się zamaszycie i uśmiechnął od ucha do ucha, wywołując jeszcze większą radość zebranych.

Nawet bez wewnętrznego widzenia Pallas widziała teraz, jak cesarz karmi się miłością poddanych, jak dzięki niej wznosi się wysoko ponad moralne rozterki. Poranne wątpliwości i ponura zawziętość zniknęły bez śladu. Tutaj, w obecności swoich Dzieci, Ma’elKoth – potężny i nadnaturalnie piękny – mógł iść w zawody ze słońcem.

Zerknęła na poobijanego Lamoraka, który – ukrzyżowany podobnie jak ona – zamknął oczy i pogrzyżył się w otchłani udręki. Spuściła wzrok. Na świeżym płótnie okrywającym jej pierś pojawiły się już pierwsze plamy krwi przesiąkającej przez zaschnięty bandaż. Znów spojrzała na Ma’elKotha, który gestem kazał otworzyć bramę. Próbowwała przywołać widzenie wewnętrzne, odzyskać choć trochę spokoju ducha, który pomógł jej przetrwać w Żelaznej Komnacie, ale rwanie w kostkach i nadgarstkach, ból przesywający przy każdym oddechu zranione płuco i panujące wokół zamieszanie nie dały jej wycofać się do przytulnego azylu.

Została całkiem sama. Nie słyszała nawet najsłabszego echa kojącej pieśni życia.

Brama otwarła się na oścież. Wydawało się, że twarz Ma'elKotha płonie własnym światłem. Tłum za bramą przywitał cesarza ogłuszającym rykiem triumfu.

## 12

Siedzący wysoko na trybunie Król Ściemy spojrzął w dół. W tłumie było rozszaniach ponad tysiąc Sług Ściemy, wszyscy uzbrojeni. Runą na Szare Koty jak lawina. A kiedy on siedział tu z dłońmi wciśniętymi między drżące kolana, Twarze zajmowały strategiczne stanowiska na całym Starym Mieście, żeby osłaniać ich odwrót, gdyby okazał się konieczny. Jego Wysokość był jednak święcie przekonany, że nie będzie takiej potrzeby.

Odwrót nie wchodził w grę.

O zmierzchu będzie trzymać miasto w garści, gotowy ofiarować je Toa-Sytellowi w zamian za... ehm... pewne przywileje...

Drzenie kolan i skurcze żołądka nie miały nic wspólnego ze strachem – brały się wyłącznie z podniecenia i niecierpliwości. I tylko jedna niepokojąca myśl nie dawała mu spokoju, kiedy spoglądał w górę na coraz bliższe zenitu słońce.

Gdzie ten Paslava polazł, do kurwy nędzy?! Miał tu być pół godziny temu! Jeśli go zabraknie, nikt nie pokieruje tłumem i wielu ludziom może się stać krzywda.

Z daleka, zza murów stadionu dobiegł go zgłęb tłum. Przypominał nadciągający huragan.

## 13

Toa-Sytell wyszedł pochodowi na spotkanie na południowym krańcu Mostu Królów. Mały oddział Rycerzy Pałacowych utorował mu drogę w ścisaku, a cesarz na chwilę przestał przyjmować radosne hołdy poddanych i skinął na księcia, żeby dołączył do niego na platformie. Toa-Sytell wdrapał się więc na górę, stanął obok cesarza i wykrzyczał na całe gardło, że Caine'a nigdzie nie ma. Przeszukano wszystkich widzów wchodzących na stadion i zatrzymano tych, którzy odpowiadali z grubsza rysopisowi poszukiwanego. Książę osobiście ich potem obejrzał i stwierdził, że Caine'a wśród nich nie ma. Z tego wynikało, że nie wszedł na stadion i już nie wejdzie, ponieważ bramy zostały zamknięte.

Ma'elKoth pochylał głowę, by spojrzeć na swego księcia. Nagle wokół nich dwóch zrobiło się dziwnie cicho, chociaż gapie na ulicy zdierali sobie płuca równie ochoczo jak przed chwilą. Cesarz uśmiechnął się i wyjaśnił spokojnie:

– Przejęczyłeś się. Chciałeś zapewne powiedzieć, że Caine nie wszedł na stadion po



rozpoczęciu waszych poszukiwań. Ale będzie na miejscu, zapewniam cię.

## 14

– Dobrze dobrze dobrze dobrze... – mamrotał Arturo Kollberg, ani na chwilę nie przestając obgryzać paznokci.

Serce tłukło mu się o żebra w dwa razy szybszym tempie niż zwykle, krew szumiała w uszach. Miał wrażenie, że twarz mu puchnie od podwyższonego ciśnienia w mózgu. Na policzki wypełził mu rumieniec w tym samym złowrogim odcieniu czerwieni, co przycisk transferu awaryjnego.

Rzuciwszy dwa szybkie spojrzenia za plecy (po jednym przez każde ramię, na niewzruszone lustrzane maski pospołów), odwrócił się do zaciemnionego głównego ekranu i sprawdził przewijające się na nim dane telemetryczne Caine'a.

– Dobrze – powtórzył jeszcze raz. – Obudził się. Zaraz wykona pierwszy ruch. Puśćcie transmisję.

## 15

Nawet najbardziej niszowe kanały etniczne, nadające w mało znanych językach narodowych w zabitych dechami dziurach na całym świecie, wyemitowały wstęp Jeda Clearlake'a. Tylko tyle mogły zrobić dla swoich widzów, bo wskutek żalosnych wpływów uzyskiwanych z reklam nie mogły sobie pozwolić na wykupienie praw do transmisji na żywo, ale zamierzały regularnie przerywać własny program i udostępniać publiczności kolejne doniesienia ze Studia.

Przedstawione przez Clearlake'a podsumowanie stanowiło wzór klarowności; inni prezenterzy mogli mu tylko bezsilnie zazdrościć tego charakterystycznego połączenia napięcia emocjonalnego, uprzejmości i pogody ducha, dzięki którym sprawiał wrażenie fachowca dopuszczonego do wszystkich sekretów.

– Po krótkiej przerwie na reklamy wracamy do *Caine'a na żywo!*

Przerwa była poświęcona bezwstydną reklamie samego Studia: sześćdziesiąt sekund oportunistycznej autopromocji, nadanej za darmo na cały świat. W końcu slogan *Przygody-bez-ograniczeń: Kiedy chcesz być kimś innym* wyblakł, po czym rozpoczął się przekaz na żywo.

Cały świat zamarł.

Na Times Square całkowicie ustał ruch pieszy, stłoczeni ramię przy ramieniu widzowie wlepili wzrok w ustawione w krąg jumbotrony. Podobnie wyglądało Tokio, Londyn,

Johannesburg, Kabul, New Delhi... Ci szczęśliwcy, którzy mieli ze sobą odtwarzacze osobiste, przystawali tam, gdzie zastała ich transmisja, inni przyśpieszali kroku, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu; jeszcze inni gromadzili się w knajpach i przed sklepami, gdzie mogli obejrzeć chociaż sam obraz na monitorach na wystawie. Handel na giełdach został zawieszony. Ruch powietrzny odbywał się wyłącznie po kontrolowanych komputerowo automatycznych pasach ruchu.

Prawie wszyscy mieszkańcy Ziemi czekali z zapartym tchem na pierwsze słowa Solilokwium Caine'a:

*\*Wygląda na to, że większość życia zajmuje mi wygrzebywanie się z cudzego gówna.\**

## 16

Kiedy wspinam się szybem, z sedesu nade mną prześwieca aureola przyćmionego światła. Chwytam się obiema rękami krawędzi sedesu i szybko podciągam, żeby się rozejrzeć. Jak się słusznie spodziewałem, latryna jest pusta. Królewskie Oczy, które ją przeszukiwały, nie schodziły w głąb szybu – i ja je rozumiem: nie chciały tu spędzać więcej czasu niż to absolutnie konieczne.

Podnoszę deskę na całą wysokość, podciągam się wyżej i wylazę z sedesu. Trudno jest nie jęknąć z bólu, kiedy wszystkie z moich ran i urazów boleśnie przypominają o swym istnieniu – od piekących z gorączki oczu po obite i na wpół sztywne prawe kolano.

Na zakrwawiony topór Tyshalle'a, jestem wrakiem człowieka. Parę godzin drzemki w stwardniałym na kamień gównie na dnie latryny wcale mi nie pomogło.

Ale mogło być gorzej – gdyby Ma'elKoth nie zakazał walk gladiatorów, sracz, kiedy smacznie spałem na dole, byłby regularnie używany przez widzów.

Światło słoneczne wciska się do środka przez wywietrzniki przy złączeniu ściany z sufitem. Narastający grzmot głosów podpowiada mi, że Ma'elKoth za chwilę wkroczy na stadion przez główną bramę.

Wywietrzniki wycięto w ścianie od strony areny; latryna gladiatorów znajduje się tuż obok zagrody, w której czekali na wyjście na arenę, żeby przed spotkaniem ze śmiercią móc jeszcze ulżyć zaciśniętym z nerwów pęcherzom i kurczącym się spazmatycznie jelitom. Sam się denerwuję, podchodząc do otwartego łukowatego przejścia, i zerkając do zagrody.

Na szczęście jest całkiem pusta i pogrążona w ciemnościach, żelazne wrota oddzielają ją od prowadzącej na arenę sztolni. Wracam do latryny, podciągam się i wyglądam przez wywietrzniki. Nie muszę się martwić, że ktoś mnie usłyszy; nad moją głową dwadzieścia tysięcy fanatycznych zwolenników Ma'elKotha zdiera sobie płuca. Wybuch bomby zwróciłby tu mniejszą uwagę niż pierdnięcie w burdelu.

Mur areny ma w tym miejscu około trzech stóp grubości. Wciskam się głową do przodu

w jeden z wywietrzników, żeby mieć lepszy widok. Siłą woli powstrzymuję bliski atak klaustrofobii; czuję ciężar skały cal nad moją głową, łokciami z obu stron ocieram się o kamień. Słońce stoi w zenicie, a ja leżę w głębokim cieniu, niewidoczny.

W wylocie wywietrznika widzę złocistą plamę piasku, lśniącego w promieniach słońca. Po drugiej stronie areny jaskrawe stroje widzów, szczelnie wypełniających trybuny, tworzą potrzaskaną mozaikę kolorów, która marszczy się i faluje jak pozszywana ze skrawków flaga na wietrze.

Przyglądam im się jeszcze przez chwilę. Niektórzy są podenerwowani, inni wściekli, jeszcze inni sprawiają wrażenie naprawdę szczęśliwych.

W ciągu najbliższej godziny wielu z nich zginie.

W moim polu widzenia z pewnością znajduje się trochę Szarych Kotów w cywilu oraz spora gromada przebranych Sług Ściemy. O nich się nie martwię, jedni i drudzy przyszli tu po to, żeby się bić.

Zastanawiam się jednak, czy ci zwyczajni widzowie mają jakieś złe przeczucia. Ilu będzie zaskoczonych, kiedy wybuchnie zamieszanie? Ilu poczuje w żołądku bolesny skurcz rozpoznania i umrze, myśląc: „wiedziałem, że trzeba było zostać w domu”?

Ciekaw jestem, w ilu domach rodziny będą dziś opłakiwać zabitych.

Bo trzeba wam wiedzieć, że gdyby sytuacja była odwrotna – gdyby ktoś, kogo kocham, zginął przez to, że jakiś facet zrobił to, co ja zamierzam zrobić – nie spocząłbym, dopóki bym go nie wytropił i nie zabił własnymi rękami.

Z drugiej strony, gdybym dla ocalenia Pallas Ril miał skazać na śmierć wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci na stadionie, zrobiłbym to. Ba, uznałbym nawet, że wykpiłem się tanim kosztem, ale dzisiaj zamierzam się ostro targować. Kurewsko ostro.

Może na starość robię się skąpy.

Wrzawa, od której się trzęsie cały stadion, podnosi się o kolejne pięć decybeli, przerywając moją huśtawkę refleksji.

Ma’elKoth przybył.

Sprowadził ze sobą cały pochód, setki świętujących przebierańców, którzy teraz wybiegają w płasach na arenę, rzucając w tłum monety oraz słodycze, i zachęcając widzów do wspólnego odśpiewania *Króla nad króle*, hymnu na cześć Ma’elKotha. Jest wśród nich parę ładnych dziewczyn, ale większość stanowią mężczyźni. Niezbyt młodzi. Pod warstwą odświętnej farby widzę ogorzałe, pomarszczone twarze; uśmiechy maskują lodowate oczy żołnierzy-weteranów i zawodowych zabójców.

Więc jest przygotowany.

To dobrze.

Tłum nie bardzo daje się porwać pieśni. Ogólny zgiełk zagłusza jej słowa.

W moje ograniczone czarnym prostokątem pole widzenia wtacza się przybrana różami platforma.

Nie widzę żadnego źródła napędu, musi być zasilana wolą Ma'elKotha. On sam zresztą stoi na środku – wygląda jak legendarny bohater, jak mitologiczne bóstwo, jak galion na okręcie wojennym, kiedy z pięściami wspartymi na biodrach i odrzuconą w tył głową wjeżdża na środek areny. Tym z was, którzy są tu nowi, wyjaśniam, że człowiek obok niego – ten elegancik w marszczonym dublecie, spodniach zapinanych z boku na sprzączki i butach wysokich do kolan – to niejaki Toa-Sytell, Księżę Porządku Publicznego, czyli po naszymu „szef tajnej policji”. Bardzo kompetentny. Bardzo niebezpieczny. Z typową dla siebie nieprzeniknioną twarzą obserwuje trybuny.

Pewnie mnie szuka.

Nie powinien był tu przychodzić; miałem nadzieję, że sam na to wpadnie. Jeśli dziś zginie, Jego Wysokość i Królestwo Ściemy wpadną w gówno po szyję.

No cóż, trudno. Za późno już, żeby się martwić o Jego Wysokość. Mam co innego na głowie. Na załatwienie czeka sprawa Ma'elKotha.

Staram się nie dostrzegać dwóch żelaznych iksów na końcach platformy, ale nie da się ukryć, że tam są. I przykuwają mój wzrok. Z jednego zwisa bezwładny Lamorak, z opuszczoną głową. Wygląda, jakby już nie żył; szkoda by było – bardzo bym nie chciał, żeby to przegapił.

Na drugim – okryta srebrną siecią – wisi moja żona.

Jej widok mrozi mi żołądek jakbym połknął blok lodu. Zimna pustka rozlewa mi się w głębi piersi, sięga rąk, nóg, głowy. Mam wrażenie, że oglądam samego siebie z zewnątrz, że słyszę, jak myślę. Nie czuję bicia serca, tylko skwierczenie pod żebrami, które trzeszczy mi w uszach jak zakłócenia od pioruna w radiu.

Pallas – przytomna, czujna i chyba zaniepokojona – jest całe mile od bezpiecznej kryjówki w głębi swojej świadomości. Okrywający ją płócienny całun jest splamiony krwią wyciekającą jej z lewego boku, spływającą po nodze i skapującą z palców w morze kwiatów. To rusztowanie, na którym wisi... No, z tym może być problem. Nie spodziewałem się, że Ma'elKoth ją ukrzyżuje.

Może jednak nie przemyślałem wszystkiego tak dobrze, jak należało?

Za to nigdzie nie widzę Berne'a, a to oznacza, że jego zwłoki stygną na dnie studni w jaskini. Trochę żałuję, że nie mogłem być przy tym, gdy światło gasło w jego oczach, ale wystarczy mi świadomość, że go przeżyłem.

Ma'elKoth podnosi ręce, potężne jak dźwigary mostu, i cisza emanuje z niego jak fala uderzeniowa po wybuchu; jakby sam Bóg sięgnął na Ziemię i przykręcił potencjometr głośności świata.

Zaczyna przemawiać do swoich Dzieci.

To chyba sygnał dla mnie.

Przezołguję się przez wywietrznik i wypadam na zewnątrz. W ostatniej chwili chwytam się dolnej krawędzi otworu, dzięki czemu chwilę później miękko i zwinnie ląduję na ziemi.

Nie mam czasu na wahanie, nawet na uspokojenie oddechu; zresztą żadne wątpliwości nic by mi teraz nie dały. I tak nie mam wyboru.

Zahaczam kciuki za pas i spokojnym krokiem wychodzę na arenę.

Stało się.

Stadion. Piasek. Moja ostatnia arena.

Dwadzieścia tysięcy par oczu spogląda na mnie z zaciekawieniem.

Co to za dureń, ubrany na czarno? Co on tam robi?

Widzów są zresztą setki tysięcy – mówię o was, którzy siedzicie w mojej głowie i myślicie, że wiecie, co zamierzam zrobić. A mnie się wydaje, że i dla was będę miał małą niespodziankę. Albo dwie.

Kilku przebierańców również mnie zauważa. Zatrzymują się i sięgają w fałdy ubrań, wśród których schowali broń.

Zbliżam się do nich powoli i uśmiecham przyjaźnie.

Żłocisty piasek chrzęści mi pod stopami. Żar leje się z nieba, promienie słońca rozszczepiają mi się na brwiach i barwią na czerwono górną część pola widzenia. Wszystkie moje pytania i wątpliwości ulatują jak gołębice z rąk iluzjonisty. Adrenalina śpiewa mi w żyłach melodię znajomą i kojącą jak kołysanka. Łomot krwi w uszach zagłusza wszystkie dźwięki poza wolnym, miarowym chrup... chrup... chrup... piasku.

Teraz także Toa-Sytell mnie widzi; wybałusza oczy i porusza bezgłośnie ustami, a potem szarpie Ma'elKotha za rękaw. Cesarz odwraca głowę w moją stronę – powoli i złowrogo, jak czołg wieżyczkę.

Jestem coraz bliżej, a moją pierś wypełnia jakieś niezwykle, nienazwane uczucie. Rozpoznaję je dosłownie w ostatniej chwili.

To się chyba nazywa szczęście.

Oto najszczęśliwsza chwila mojego życia.

Podnoszę wzrok. Pallas patrzy na mnie ze zgrozą w oczach.

Przymykam powieki w namiastce ukłonu i bezgłośnie wypowiadam jedyne słowa, jakie mogę jej w tej chwili ofiarować: kocham cię.

Próbuje mi coś powiedzieć, coś o Ma'elKothcie, ale nie potrafię nic wyczytać z ruchu jej poranionych warg. A drugiej szansy mieć nie będę.

Czas rozpocząć zabijanie.

Komendant północno-zachodniego garnizonu ledwie zdążył przyłożyć głowę do poduszki, z nadzieją na odespanie trzydziestu godzin służby. Wyciągnął się na obrzydliwie wygodnym sienniku na zapleczu strażnicy i przymknął oczy, kiedy cały budynek zadygotał

jak pod uderzeniem pięści olbrzyma.

Zza drzwi dobiegły okrzyki przerażonych, skonsternowanych żołnierzy. Zgramolił się z siennika i podreptał pod ścianę, gdzie na kołku powiesił pochwę z mieczem. Na wpół odrętwiałą ręką sięgnął po broń, ale nie zdążył jej wyciągnąć, bo w tym samym momencie zamknięte na zasuwkę drzwi eksplodowały deszczem odłamków.

Stojący w progu zdyszany mężczyzna był cały mokry od krwi, jakby się ślizgał na brzuchu po podłodze w rzeźni. W umazanej krwią twarzy płonęła para oczu.

– Zbierz ludzi... – wysapał. – Wszystkich. A mnie daj... konia. Najlepszego. Ale już!

Otępiały ze zmęczenia umysł komendanta dopiero teraz rozpoznał przybysza.

– Hrabia Berne... – wyjąkał. – Panie... Jesteś ranny!

Berne obnażył zęby, niemal równie czerwone jak zalane krwią usta.

– To nie moja krew... Daj mi konia, durniu! Ogłoś alarm. Wszyscy żołnierze, co do jednego, mają zapierdalać na Stadion Zwycięstwa!

– Ale... mój panie... hrabio, ja... nie rozumiem...

– Nie musisz, po prostu rób, co mówię. Powiedział mi. Wiedziałem, że ten skurwysyn będzie gadać.

Berne wszedł do pokoju i chwycił komendanta za ramię z taką siłą, że żołnierz skrzywił się z bólu, gdy kości w stawie barkowym zaczęły trzeć o siebie.

– Zbierz swoich ludzi i żołnierzy z innych garnizonów, a potem idźcie na stadion i wszystkich aresztujcie. A jak ktoś się będzie stawiał, zabijcie go.

– Ale... co się dzieje?

Berne przysunął się bliżej. Oczy zapłonęły mu jeszcze silniej, a komendant omal nie zwymiotował, czując odurzającą woń krwi w jego oddechu.

– Wszystko przez tego zasrańca Caine'a... Cała ta pieprzona impreza na stadionie to jedna wielka pułapka. – Bez wysiłku uniósł komendanta nad ziemię i warknął: – To jak, dostanę tego konia i ludzi, czy mam ci ręce upierdolić?

## 18

Widziany z góry, był po prostu małym czarnym ludzikiem, odcinającym się wyraźnie od złotego piasku i jaskrawo poubieranych trefnisiów, ale Jego Wysokość nie miał cienia wątpliwości: to Caine. Podświadoma buńczuczność ruchów, błysk zębów w śniadej twarzy, niedbały krok, który wywołał i utrzymał uwagę i rozwlekał panującą na stadionie ciszę.

Paslava już się nie pojawi, pomyślał Jego Wysokość.

Serce biło mu coraz szybciej. Pobielale palce wbił boleśnie w drżące kolana. Bez Paslavy będzie jatka, ale nie ma już odwrotu – nie teraz, kiedy zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki...

Zerknął na Deofada, który siedział dwadzieścia rzędów dalej i odpowiedział mu podobnie

niecierpliwym, wyczekującym spojrzeniem.

„Gotowy?” – zapytał bezgłośnie Jego Wysokość.

W odpowiedzi Deofad ledwo zauważalnie skinął głową.

Jego Wysokość podniósł dłoń z wyprostowanym palcem i wstrzymał oddech.

Wszystko czekało na Caine'a.

## 19

Cesarz wykonuje leniwy gest i morze świętujących wiernych się rozstępuje, robiąc mi miejsce. Nie muszę się oglądać przez ramię, żeby wiedzieć, że za mną przejście od razu się zamyka. To bez znaczenia. Liczy się tylko jedno: jak bardzo się zbliżę do niego, zanim całe szambo eksploduje.

Spokojnie, z takim samym namysłem, jaki widziałem u ojca, kiedy zdejmował pas, żeby mi złoić skórę, odplątuję srebrną siatkę, którą jestem przepasany.

– Co słychać, Caine? – dudni Ma'elKoth z ewidentnie udawanym zaskoczeniem.

Ma skurwiel wiele talentów, ale aktor z niego żaden. Toa-Sytell przygląda mi się z kamienną twarzą, kładąc jedną rękę na nadgarstku drugiej, pod koszulą. Pallas chrypi coś niezrozumiale; przebite płuco odbiera jej dech.

Wolną ręką rozgarniam girlandy, chwytam drewniane podwozie platformy i wspinam się na górę. Milczenie tłumu nie jest już wymuszone magią Ma'elKotha – wszyscy stoją i gapią się na mnie bez słowa, przekonani, że mój występ nie jest częścią widowiska.

Ależ się mylą...

– Widzę oczami i przemawiam głosem tej mojej podobizny – mówi Ma'elKoth. – Co cię tu sprowadza, Caine?

Rozwijam siatkę. Spoza stadionu dobiegają tysięczne krzyki konsternacji i złości, na wpół zagłuszone graniem mosiężnych trąbek. Toa-Sytell, cały czas z dłonią w rękawie, odwraca się do mnie bokiem. Pallas znowu chrypi – ale tym razem ją rozumiem:

– ...to pułapka...

Spoglądam w jej zrozpaczone, podkrążone oczy. Uśmiecham się.

– Wiem.

Cesarz stoi nade mną jak góra mięsa. Czuję zapach oliwy, którą natarł kręcone włosy i brodę, słyszę szelest kiltu, gdy podchodzi bliżej.

– Pytam jeszcze raz, co cię tu sprowadza?

Gdyby on pochylił się jeszcze o cal, a ja stanąłbym na palcach, mógłbym go pocałować w usta. Lodowata próżnia wokół mojego serca nadal się poszerza, sięgając rąk i nóg. Przez te parę sekund tyle razy przeszedłem drogę od uniesienia do paralizującej zgrozy i z powrotem, że wszelkie emocje stają się abstrakcyjne. Czuję już tylko chłód, pustkę, bezruch.

Spoglądam w jego bezdenne oczy.

– Przybyłem ocalić żonę.

– Żonę? – Na jego twarzy maluje się lekkie rozbawienie. – Nigdy mi nie mówiłeś, że jesteście małżeństwem.

– Wielu rzeczy ci nie mówiłem.

Jestem na stadionie, zdeterminowany, w sytuacji bez wyjścia – ale nie wiadomo dlaczego nie mogę się zmusić, żeby zacząć to, po co przyszedłem. Jakbym wycelował pistolet, ale wzdragał się pociągnąć za spust. Dopóki przeciągam tę chwilę, jesteśmy z Pallas jak kot Schrödingera, zawieszeni między życiem i śmiercią. Mój następny ruch spowoduje kolaps naszej funkcji falowej i stworzy historię.

– To prawda... – mruczy zadowolony z siebie Ma'elKoth. – Na przykład tego, że jesteś *Aktirem*.

Niewidzialna dłoń zaciska mi się na gardle. Nawet gdybym był na tyle opanowany, żeby zupełnie się nie przejąć jego słowami – a nie jestem – warunkowanie skutecznie uniemożliwia mi odpowiedź. Zadowolam się skromnym uśmiechem, który można od biedy wziąć za oznakę pewności siebie.

– Na co czekasz? – pyta Ma'elKoth. – Oto Moja podobizna, ty masz siatkę... Co, czyżbyś się rozmyślił? Na chwilę przed bogobójstwem?

– Wiesz, kto to jest martwy szpieg, Ma'elKothcie? – wyduszam przez ściśnięte gardło.

– Martwy szpieg?

– Tak. Jeden z pisarzy w moich rodzinnych stronach nazwał w ten sposób agenta, któremu podsuwa się fałszywe informacje, wiedząc, że zostanie schwytany przez wroga. Kiedy go złamią i zaczną mówić, powie tylko to, co się chce, żeby powiedział. I będzie w to wierzył, rozumiesz?

Usta Ma'elKotha drżą w dziwnym grymasie. W oczach zapala mu się dziwny błysk.

– Lamorak...

Nie jest tą myślą przerażony, dostrzegam raczej... wesołość. I odrobinę podziwu. Rozbawienie znika, gdy Ma'elKoth półgłosem odtwarza sobie moje rozumowanie i przebieg wydarzeń:

– Oczywiście. Dlatego nie atakujesz siatkę... Wiesz, że jestem tu naprawdę, nie pod postacią iluzji. Dokładnie tak to zaplanowałeś. Inaczej nie zdołałbyś wywabić nas z pałacu, który siłą Mojej woli jest chroniony przed magią *Aktirich*...

Zawieszony na krzyżu Lamorak krztusi się.

– Wiedziałaś... – stęka. – Zrobiłeś mi to...

Kiwam głową.

– Owszem. Liczyłem na ciebie, Lamorak. Niedawno za mniejsze grzechy niż twoje zabiłem człowieka lepszego niż ty kiedykolwiek będziesz. Naprawdę myślałeś, że daruję ci życie?



Teraz muszę już tylko ściągnąć Pallas z krzyża.

Toa-Sytell przesuwa się powolutku w moją stronę. Rękę chowa w rękawie – tam ma broń, to oczywiste. Jest tak przerażony, że zapomina o dyskrecji.

– I co teraz? – mruczy Ma’elKoth. – Tutaj jesteś całkowicie zależny od Mojej władzy. Jak zamierzasz uciec?

Mówi coś dalej w tym stylu, ale gubię wątek. Spoglądam w światło jedynych oczu, które w tej chwili dla mnie się liczą.

Nawet najbardziej elastyczny myśliciel świata potrzebowałby trochę czasu, żeby zmienić punkt widzenia. Kiedy wyszedłem na arenę, Pallas koncentrowała się na potwornym zagrożeniu dla mnie; to była ta zgroza, którą wykrzykiwały jej oczy. Sama zdążyła się już poddać, a zanim wspiałem się na platformę, pożegnała się także ze mną. W sercu, tam gdzie to naprawdę ważne, spisała nas oboje na straty.

Jest jednak na to zbyt cwana, a życie wciąż tli się w niej zbyt mocno. Dlatego przeciągam tę gadkę-szmatkę z Ma’elKothem, żeby Pallas zdążyła się przystosować do zmienionej sytuacji. Wyciągam z kieszeni gryfkamień i trzymam go przy boku w taki sposób, że ona go widzi, a Ma’elKoth i Toa-Sytell nie. Kiedy na nią spoglądam, moje oczy pytają: „Jesteś gotowa?”.

W jej oczach dostrzegam odpowiedź, która jest zarazem zdecydowana, silna i spokojna.

„Na twój znak”.

Ma’elKoth dalej mówi, bełkoce z radosnym zapałem wielbiciela kryminalów mielącego w głowie poszlaki. Odwracam się do niego.

– ...siatkę, skoro wiedziałeś, że będzie ona bezużyteczna? – pyta właśnie.

– A, siatka... – Parskam śmiechem. – Wcale nie jest bezużyteczna. Użycie jej będzie dla Sług Ściemy sygnałem do ataku.

– Że co?

Analizuje jeszcze tę nowinę, kiedy zarzucam na niego sieć. Ogonia się od niej z pobłażliwym rozdrażnieniem, ale siatka ląduje mu na głowie. Toa-Sytell skacze ku mnie niczym szermierz; jego dłoń błyska matową stalą. Okręcam się w miejscu, robię unik i stopą uderzam z boku w jego kolano. Staw pęka z tępym chrzęstem, a zaskoczony Toa-Sytell z jękiem bólu przechyla się w moją stronę. Odsuwam się od niego.

Przebierańcy wokół platformy dobywają mieczy i ruszają do ataku. Ma’elKoth pod siatką wyciąga do mnie rękę. Uśmiecham się do niego.

– Mówiłem ci chyba, żebyś mnie więcej nie obmacywał... – przypominam mu.

Nie myśli, nie kojarzy faktów, nie zdaje sobie sprawy, że siatka uniemożliwia mu magiczną obronę.

Uśmiecham się od ucha do ucha, biorę potężny zamach, i kopię cesarza prosto w jądra, które w zetknięciu z moim podbiciem wydają mokre plaśnięcie. Oczy Ma’elKotha robią się nagle ogromne jak piłki do baseballu. Rozdziawia szczękę, jednym głośnym sapnięciem

pozbywa się całego powietrza z płuc, a minę ma taką, że na jej widok wybucham śmiechem.

Jest zgięty w pół, po omacku sięga ręką do obolałego krocza, zawieszony w tym trwającym wieczność ułamku sekundy, jaki upływa od uderzenia do chwili, gdy piekielny ból dotrze do jego świadomości. Korzystając z okazji cofam się, i wskakuję na krzyż Pallas. Wplątuję palce w przykrywającą ją srebrną sieć, podciągam się i przez moment spoglądamy sobie z bliska w oczy.

Zadaję jej kolejne pytanie bez słów.

– Tak – odpowiada.

Całuję ją. Tylko raz. Nasze łąpczywe usta stykają się przez siatkę. Całe moje życie prowadziło mnie do tej jednej, jedynej chwili – i jest ona warta każdej sekundy.

Pomiędzy włóknami siatki wciskam jej gryfkamię w dłoń i pytam, przyciskając usta do jej ust:

– Czego potrzebujesz?

Łzy napływają jej do oczu.

– Czasu.

– Załatwione.

Opadam na platformę. Bełty z kusz świszczą mi koło uszu. Na moment żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy myślę, że któryś mógł ją trafić, ale zerkając w górę, widzę sieć wybrzuszoną na olbrzymiej kuli, przezroczystej i na w pół materialnej, w której znajduje się Pallas. Postawiła Tarczę, od której bełty odbijają się nieszkodliwie. Nawet jednak mając gryfkamię, Pallas nie jest w stanie zrobić dwóch sztuczek jednocześnie – utrzymać Tarczy i zejść z krzyża.

Potrzebuje czasu. Muszę go jej dać.

Ma'elKoth klęczy obok mnie i charczy. Ma siną twarz. Szarpie się z siatką na głowie. Zamierzam się do kopnięcia, ale po chwili namysłu opuszczam nogę.

Niektóre rzeczy aż się proszą, żeby załatwić je rękami.

Przykładam się solidnie i wyprowadzam prawy sierpowy.

Radość wypełnia mi pierś, kiedy moje knykcie rozsmarowują perfekcyjny nos Ma'elKotha na perfekcyjnym policzku. Robi zeza, ból zalewa mu oczy. Krew wrze mi w żyłach; zamierzam go zabić tu i teraz, korzystając z nadarzającej się okazji – gdy nagle lodowy soplel przesywa mi lewe udo.

To ten pierdolony scyzoryk Toa-Sytella; gość jest twardszy niż myślałem, nie odpuszcza, chociaż powłóczy strzaskaną nogą. Na jego twarzy maluje się mściwa satysfakcja: prawidłowo wykorzystał swoje życie i jest gotowy umrzeć.

Nie pojmuję tej jego miny – ledwo mnie zadrasnął. Wyciągam sztylecik z rany, jak drzazgę, i odrzucam, a potem zamaszystym hakiem walę go w skroń i gaszę mu świecek w oczach. Nie zabijam go. Osuwa się sflaczały na platformę, jeszcze nie całkiem nieprzytomny (naprawdę jest twardy!). Przyklękam na jedno kolano i poprawiam mu krawędzią dłoni w

nasadę czaszki.

Bełty nadal latają w powietrzu, ale daleko ode mnie – kusznicy strzelają z trybun i boją się trafić Ma’elKotha. Ten zaś wczepił się w siatkę i zaraz ją zerwie, więc muszę go szybko wykończyć. Zwłaszcza że za sekundę przebierańcy opadną mnie całą gromadą.

Fanfary ryczą ogłuszająco, jakoś zbyt blisko... Brama się otwiera!

Cholera. Kawaleria.

Lekkozbrojni lansjerzy galopem wypadają z tunelu i ustawiają się w tyralierę. Słońce lśni na stalowych grotach włóczy. Tylko jedna grupa się wyróżnia – pięciu konnych za plecami jednego, który nie ma pancerza, jest natomiast od stóp do głów zbryzgany krwią. Wymachuje półtoraręcznym mieczem z taką samą łatwością jak dyrygent batutą.

Nasze oczy spotykają się ponad połacią piasku. Berne szczerzy zakrwawione zęby.

Paluchy płynnego ognia sięgają w głąb mięśni mojego lewego uda. Zaczynam rozumieć, skąd wzięła się triumfalna mina Toa-Sytella.

Miał zatruty sztylet, sukinkot jeden.

Z trzaskiem przypominającym odrywanie ciała od kości Ma’elKoth rozdziera sieć i odrzuca ją na bok, po czym z energią fali przyływu zrywa się na równe nogi. Wybijam się w powietrze, żeby bocznym kopnięciem trafić go w podbródek, i widzę, jak krew odpływa mu z twarzy. Odzyskał dostęp do magji i już jest dla mnie za szybki: jego ręka uderza jak wąż i chwyta mnie za kostkę w połowie zamachu. Uderza mną o platformę z takim impetem, że lecą drzazgi.

Zatyka mnie. Widzę meteory. Ma’elKoth podnosi mnie za kostkę. Wiszę do góry nogami, z głową na wysokości jego kolan.

– A teraz... – mruczy jak kot – dowiesz się, co to znaczy igrać z moim gniewem.

Nie układa się to wszystko tak, jak sobie wymarzyłem.

Nagle jednak rozlega się krzyk, jakby nadchodził koniec świata. Platforma wierzga jak żywa. Ma’elKoth chwieje się na nogach. Rozluźnia pięść i wypuszcza mnie.

Zewsząd słychać metaliczne trzaski. Sprzączka pasa Ma’elKotha otwiera się, kajdany Lamoraka trzaskają z hukiem i Lamorak spada na mnie. Na całym stadionie ludziom opadają pancerze, gdy pękają przytrzymujące je sprzączki. Nawet zamknięte drzwi i bramy otwierają się na oścież.

Platforma znowu podskakuje, ja zaś widzę, że razem z nią podryguje cały cholerny stadion. Konie się zataczają, ludzie padają na ziemię, krzyki przeszywają powietrze – ale nie słychać ich za dobrze, bo wszystko zagłusza łoskot trzęsienia ziemi.

Pallas unosi się w powietrzu pięć stóp nad krzyżem, na którym przed chwilą wisiała. W całym rozwierzganym świecie tylko ona jedna się nie porusza. Wyciąga ręce, i całun, którym jest owinięta, spala się w rozbłysku ognia. Biały, oślepiająco jasny płomień topi resztkę sieci odcinającej Pallas od Przepływu. Grzmot trzęsienia ziemi narasta, dudni mi w uszach, nabiera rytmu...

...i staje się Głosem, jakby sam świat postanowił do nas przemówić:

– *JEŻELI SKRZYWDZISZ MOJEGO MĘŻA, MAŁY CZŁOWIECZKU, POKAŻĘ CI, CO TO ZNACZY NAPRAWDĘ ROZZŁOŚCIĆ BOGA.*

## 20

Wszyscy inżynierowie w techkabinie zerwali się na równe nogi, wlepiając oczy w ekran. Arturo Kollberg, rozdygotany i bez tchu, stanął tuż za nimi.

– Jezu Chryste, ja pierdołę! To Pallas! To trzęsienie ziemi, ten głos... Boże, gdybym wiedział, że ma taką moc, nigdy bym nie...

Wyczuł czyjąś obecność za plecami i ugryzł się w język. Skrzywił się, boleśnie świadomy zimnej strużki potu ściekającej mu spomiędzy łopatek po kręgosłupie.

– Czego by pan nie zrobił? – zabrzmiał bezbarwny, przetworzony cyfrowo głos.

Zerknął na lustrzaną maskę pospoła i zobaczył w niej zdeformowane odbicie własnych podkrążonych, czerwonych z niewyspania oczu. Oblizął wargi; poczuł na języku słony smak potu. Amfa perkotała mu w żyłach i przesączała się do głowy; miał wrażenie, że czaszka zaraz mu pęknie jak za mocno nadmuchany balon.

– Nigdy bym nie... nie wyznaczył jej zadania, które jest... eee... tak mało atrakcyjne dla widza. Nalegałbym, żeby znaleźć jej coś, no... coś większego, rozumiecie... coś takiego jak to...

Trudno było powiedzieć, czy pospołowi wystarczyła ta odpowiedź. Kollberg czuł się jak w koszmarze sennym, z którego nie może się obudzić. Wytrzeł spocone dłonie o spodnie, modląc się w duchu, żeby Carson jak najszybciej wróciła z nakazem, zanim ktoś tu powie za dużo i wyrządzi nieodwracalne szkody.

Niech diabli wezmą tę pizdę Dole, modlił się do boga, w którego nie wierzył. Razem z jej adwokatami, zasranymi pospołami i Markiem Vilo. Zresztą niech szlag trafi całe to pieprzone Studio. No i przede wszystkim niech cholera weźmie Caine'a!

Przewrócił oczami. Jego wzrok padł na wyłącznik transferu awaryjnego.

Zwłaszcza Caine'a.

## 21

Wszystko się popieprzyło.

Kiedy Caine zarzucił siatkę, Jego Wysokość ze swojego miejsca na trybunie honorowej, blisko korony stadionu, dał sygnał do ataku. Stary, wierny Deofad pierwszy zanurkował na arenę, wznosząc Luthena – zakłęty miecz – jak pręt z rozpalonego do białości żelaza. Ciął już

jednego przeciwnika, przelał jego życie na piach i wdał się w walkę z następnym, zanim Słudzy Ściemy zareagowali i ruszyli za nim. Nikt nie zwracał uwagi na gestykującego rozpaczliwie Jego Wysokość, który najwcześniej się zorientował, że wariacki plan Caine'a zawiódł.

– Nie! Stójcie! Wracajcie! – wołał, zdzierając sobie gardło, ale nikt go nie słyszał.

Ma'elKoth przybył na stadion we własnej osobie i chociaż chwilowo pochłaniało go zabijanie Caine'a, stało się całkowicie oczywiste, że wszyscy rozsądni widzowie powinni wykorzystać ten czas na znalezienie sobie drogi ucieczki.

Potem otworzyła się brama i tętent kopyt obwieścił przybycie Ankhańskiej Straży Konnej. Deofad nadal szalał na arenie, rozchlapując stopione odłamki kawaleryjskich pancerzy, ale wtedy lansjerzy zaszarżowali na tłum, nadziejąc na włócznie wszystkich – i Sługi, i przebierańców Ma'elKotha. A potem ziemia się zatrzęsała i rozległ się ten straszny głos, dobiegający jednocześnie zewsząd i znikąd.

Jego Wysokość w otaczającym go spanikowanym tłumie nie stracił głowy. Wypatrywał swojej szansy ucieczki, starając się nie patrzeć na Pallas Ril, która rozbłysła jak słońce.

Nagle padł na niego cień, słońce przestało prażyć. Głęboki, zielonkawy cień mienił się żyłkami najczystszej złota, jak słońce widziane na dnie krystalicznie czystego jeziora. Nie wyobrażał sobie, co może rzucać taki cień, dopóki nie podniósł wzroku...

...i nie zobaczył rzeki, która wznosiła mu się nad głową.

## 22

Najbardziej przerażający jest w tym wszystkim fakt, że Ma'elKoth wcale się nie boi.

Podnosi wzrok, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem nagiego ciała Pallas, i szczyrzy zęby jak dzieciak bogatych rodziców na widok prezentów pod choinką. W jego głosie brzmi głębokie seksualne zadowolenie:

– Chambaraya, jak rozumiem? Zawsze myślałem, że jesteś tylko mitem.

Głos, który mu odpowiada, czerpie formę z ptasich treli, łoskotu przewalanych kamieni, plusku wody... Nawet z rozbrzmiewających wokół nas odgłosów bitwy.

– *NIE JESTEM MITEM, MAŁY BOŻKU. ODSUŃ SIĘ OD CAINE'A. ON NALEŻY DO NAS.*

Chambaraya? Szczęka opada mi nieco niżej. Bóg rzeki?! Ja cię...

– Mam się od niego odsunąć? Proszę bardzo – odpowiada Ma'elKoth z jedwabistą uprzejmością i oddala się od miejsca, w którym leżą bezradnie. Otrzepuje ręce jak robotnik po dobrze wykonanej pracy. – Nie mogłem się doczekać, kiedy Starzy Bogowie zechcą się ze Mną zmierzyć. Liczyłem wprawdzie na kogoś bardziej... imponującego... ale na początek wystarczysz ty.

Pallas zaciska pięść i wieńce kwiatów zdobiące platformę ozywają: wspinają się na Ma'elKotha, oplatają go, przyszpilają mu ręce do boków, zaciskają się na szyi; nawet sama platforma odkształca się i wije, próbując unieruchomić mu stopy.

Nadludzkie mięśnie grają mu pod szatą, gdy w pierwszym odruchu przeciwstawia girlandom tylko swoją siłę fizyczną – trzeszczą, ale nie puszczają. Spogląda na kwietną dżunglę, w której tonie jego ciało, i uśmiecha się jeszcze szerzej.

Wzrusza ramionami, i rozlega się grzmot.

Śmieje się, i słońce przygasa.

Unosi głowę, i z ciemniejącego nieba uderza piorun, przesywając go oszczepem czystej energii. Jego ciało wybuchą płomieniem, który błyskawicznie ogarnia całą platformę i w mgnieniu oka zwęglą kwiaty.

Grzmot rozsadza mi uszy.

Ma'elKoth triumfuje.

Podnosi zaciśniętą pięść. Pamiętam ten gest z Rytuału Odrodzenia i teraz próbuję się odturlać dalej, wykrzykując nieartykułowane ostrzeżenie pod adresem Pallas.

Ma'elKoth uderza pięścią. Żar jak z pieca hutniczego z ogłuszającym hukiem rozpala powietrze i słup energii trafia moją żonę prosto w pierś, ona zaś rozkłada ramiona i przyjmuje go, jak kwiat otwierający płatki do słońca. Jej śmiech tętni obcą mocą. Wskazuje wyciągniętą ręką niebo na północy, nad koroną stadionu.

Wznosząca się tam pulsująca góra kryształu przesłania pół nieba; glony nadają jej szmaragdowy odcień, cała mieni się srebrzystymi błyskami przemykających w wodzie ryb. Rzeka – wbrew zdrowemu rozsądkowi – płynie do góry.

Wznosi się coraz wyżej i wyżej – kropla wielka jak cała wioska, nagle rozkłada się, rozkwita, rozpościera ramiona jak rozgwieżdża...

To dłoń.

Dłoń Chambarai spada na stadion. Wszędzie wokół nas żołnierze, wytrawni wojownicy, weterani dziesiątek bitew upuszczają broń i rzucają się na ziemię, zakrywając oczy i krzycząc jak dzieci. Cywile padają sobie w ramiona i zawodzą płacząco. A ja... Ja nie mogę oderwać wzroku od Pallas.

Czym ona się stała, że potrafi robić takie rzeczy?

Dłoń ma rozmiary okrętu wojennego, pieprzonego lotniskowca – i zaciska się na nas. Syczy i gotuje się w zetknięciu z ogniem trawiącym platformę, pęcherzyki powietrza ulatują pod niebo. Przez długą, absolutnie niewiarygodną chwilę znajduję się pod wodą, twarzą w twarz z równie jak ja zaskoczonym karpem, który jest chyba większy od mojej głowy, a potem fala odpływa i leżę na ociekających wodą zgliszczach platformy – przemoczony na wylot, z udem pulsującym ogniem trucizny.

Dłoń wznosi się wysoko, tak wysoko, że słońce prześwieca ją na wylot. Trzyma Ma'elKotha. Cesarz tkwi w kuli wody o średnicy stu metrów; ledwie dostrzegam jego

sylwetkę, kiedy rozpościera ręce i zaczyna płonąć. Woda wrze. Buchają kłęby pary. Nie poddał się jeszcze, a ja wcale nie jestem pewien, czy Pallas – albo Chambaraya, to bez znaczenia – jest w stanie go pokonać.

Nie jestem pewien, czy w ogóle ktokolwiek by to potrafił.

Przetaczam się na brzuch, wykasłuję gęstą, zielonkawą wodę – i spoglądam prosto w okaleczoną twarz Lamoraka. Trzeba przyznać, że przez ostatnie parę dni trochę się chłopak przez nas nacierpiał: złamana noga, strzaskana szczeka, rozmazany kinol, oczy zapuchnięte tak, że ledwo co widzi... I te właśnie oczy najpierw spoglądają w moje, a potem przygniecione poczuciem beznadziei powoli się zamykają. Wie, że jeżeli postanowię go teraz zabić, nie będzie w stanie nic na to poradzić. Woli odpłynąć w mrok, niż tracić energię na próby przebłagania mnie.

– Nie mdlej mi tu, ty beзуżyteczna kupo gówna! – warczę, szarpiąc go za bandaż na szczęce.

Płótno wrzyna mu się w opuchliznę i nagły ból przywraca mu świadomość. Przewraca oczami jak przestraszony koń.

– Nie mdlej! – powtarzam. – Musisz być przytomny.

– Ale... jak... dlaczego, Caine...

Chętnie poleżałbym tak sobie dzień albo dwa, ale dźwigam się na nogi. Zatrute udo zdrętwiało mi wokół rany; pełznąca fala żaru pomału zalewa mi miednicę.

Zostało mi jakieś pięć minut życia.

Potykam się o nieprzytomnego Toa-Sytella; mam nadzieję, że podstępny kutafon się utopił. Z trudem docieram do krzyża, na którym wisiała Pallas.

Unosi się teraz wysoko nad moją głową, jasna jak słońce.

Jest jedynym źródłem światła na stadionie. Nie wiadomo skąd nadciągnęły burzowe chmury: wyglądają jak olbrzymie bloki czarnego granitu i przewalają się po niebie, oblizując je jęzorami błyskawic.

Wystarczy, że jej dosięgnę, dotknę, i oboje będziemy uratowani ale jest daleko poza moim zasięgiem. Unosi się w powietrzu...

Wołam ją po imieniu, raz za razem, ale zerwał się wiatr, prawdziwy huragan, który porywa słowa z moich ust i beztrząsco rozrzuca je po okolicy. Pallas mnie nie słyszy, nie ma prawa mnie usłyszeć. Może gdybym wspiął się na krzyż, stanął na czubku, nie stracił równowagi i skoczył...

Obie nogi rwą mnie jak diabli: naruszone prawe kolano i zatrute lewe udo. Jęczę z bólu, podciągając się na krzyżu...

I w tej samej chwili dostrzegam Berne'a.

Jest na arenie – ponagla, przeklina i obdziela kopniakami żołnierzy, którzy trwożliwie kulą się wokół niego na piasku. Czytam z jego wściekle wykrzywionych warg, kiedy krzyczy, żeby „ktoś wreszcie zastrzelił tę francowatą sukę!”. Ale żaden z jego ludzi nie ma łuku, a

uzbrojone w kusze Koty walczą ze Sługami i go nie słyszą.

Zadzierą głowę. Światło bijące z ciała Pallas pada mu na twarz i rozmywa rysy w jednolită biel. Berne coś sobie kalkuluje, podejmuje decyzję i ugina nogi. Kosall sterczy mu w garści jak naprężony członek.

Berne skacze.

Ja również.

Wystrzeliwuje w górę jak strzała z łuku. Resztkami sił próbuję dosięgnąć go w locie. Jestem wyżej od niego, mam piętnaście, może dwadzieścia stóp przewagi, ale to i tak za mało, a ja działam zbyt wolno i zbyt późno. Wyciągam ręce najdalej jak mogę... i zahaczam czubkami palców o cholewkę jego buta, zanim odleci. Trzymam mocno.

Impet zderzenia sprawia, że koziółkujemy dziko w powietrzu. Spadam i spadam, powoli rozluźniając chwyt i oddalając się od Berne'a, aż w końcu zderzenie z piaskiem wyciska mi całe powietrze z płuc.

Leżę bezwładnie, kończyny drżą mi konwulsyjnie jak w agonii, a ja bez powodzenia próbuję złapać oddech. Kiedy wreszcie mi się udaje i z donośnym sapnięciem napełniam płuca, Berne staje nade mną. Widzę jego sylwetkę na tle rozświetlonych piorunem chmur.

– Właściwie co to za różnica... – mówi, przekrzykując wiatr. – Jestem elastyczny. Zaczę od ciebie. – Bierze zamach Kosallem i zerka na jego rozmigotane ostrze. – Wiesz co? Długo czekałem na tę chwilę.

– Ja też.

Zahaczam podbiciem stopy o jego kostkę i prostuję drugą nogę, kopiąc go w kolano, ale Berne zna tę sztuczkę i omal nie tracę przez to nogi. Ugina kolano, amortyzując cios, i tnie z góry na dół Kosallem, mierząc w moje udo. Ledwie udaje mi się odturlać, robię przewrót w tył i wstaję, a on wyciąga z piasku wbity do połowy miecz.

Cofam się, zerkając pod nogi, żeby się nie potknąć o któregoś z żołnierzy. Berne rusza za mną. Skrada się miękki, kocimi ruchami, z mieczem lekko uniesionym na skos. Widzę na jego twarzy taki sam uśmiech, jaki zapewne gości na mojej, kiedy mam kogoś zabić.

Widziany z drugiej strony wcale nie jest taki fajny.

Grzmot rozdziera niebo nad naszymi głowami. Błysk pioruna podpowiada mi, że druga walka, ta naprawdę istotna, trwa: Pallas i Ma'elKoth naporzają się na oczach dwudziestu tysięcy śmiertelnie przerażonych widzów.

Nikt nie patrzy na mnie i Berne'a. Nikogo nie obchodzą nasze zadawnione urazy i nasza bijatyka. Nie mam co marzyć o blasku chwały.

Jest ode mnie znacznie silniejszy, nadludzko szybki, lepiej trzyma się na nogach, przewyższa mnie techniką, i ma miecz, który przetnie wszystko. Nie mówiąc już o tym, że dzięki temu przeklętemu Puklerzowi jest praktycznie niewrażliwy na ciosy.

I tak go zabiję.

Muszę.



Pallas nie może zawracać sobie nim głowy, a ja jestem jedyną przeszkodą Berne'a na drodze do niej.

Rozglądam się, i w tej samej chwili Berne robi błyskawiczny wypad – pokonuje trzy metry w czasie krótszym niż mgnienie oka. Czubek Kosalla skwierczy, przerywając bez wysiłku moją skórzaną kamizelkę, a ja okręcam się w miejscu i ledwie zdążam z unikiem. Lekko chwytam go za nadgarstek ręki z mieczem, pociągam, żeby wytrącić go z równowagi, i zewnętrzną krawędzią dłoni tnę prosto w gardło.

Opuszcza głowę i przyjmuje cios na usta; nawet nie udaje mi się rozciąć mu wargi. Ślizga się na wilgotnym piasku i pada na wznak, ale nie ma sensu, żebym próbował wykorzystać tę chwilową przewagę – nie mogę go zranić, a wiem, że wyrwie się z każdej dźwigni czy uchwytu. Odwracam się na pięcie i zaczynam biec tak szybko, jak pozwalają mi obolałe nogi.

– Hej, Caine! – woła za mną kpiąco. – Kiedyś faktycznie biegałeś szybciej ode mnie!

I już depcze mi po piętach. Słyszę ciężki tupot jego okutych buciorów – ale już prawie jestem tam, gdzie chciałem, prawie dotarłem do miejsca, które udało mi się wypatrzeć w tym jednym ryzykownym spojrzeniu przed chwilą.

Klasztorny trening Berne'a ratuje mi życie – wymierzając mi cios w kark, wydaje donośne sapnięcie, jakby uwalniał energię *ki*. Rzucam się w przód i robię pad przez bark. Kosall z sykiem tnie powietrze w miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się moja szyja. Kiedy wstaję, trzymam w dłoni siatkę.

Berne zatrzymuje się i przekrzywia głowę. Nadal się uśmiecha.

– Co ty sobie wyobrażasz, że z nią zrobisz?

– Poznajesz, Berne? Czterej twoi chłopcy zginęli, pilnując jej.

– I co z tego?

Z pochwy pod pachą wyciągam długi płaski nóż do walki wręcz.

– Zachowałem ją, żeby cię nią zabić.

Berne parska śmiechem. Uderza piorun. Grzmot przetacza się nad stadionem.

– Spróbuj.

Próbuję.

Nie zarzucam na niego siatki jak na Ma'elKotha – Berne to urodzony wojownik, nie dałby się nabrać na taki numer. Wolę wykorzystać jego nieprzeciętny refleks przeciwko niemu: uderzam siecią jak biczem, mierząc w jego głowę.

Z pogardliwą miną zasłania się Kosallem, ale widać, że używa go od niedawna i jeszcze nie do końca się przestawił: blokuje mój cios ostrzem, zamiast płazem. Kosall z łatwością przecina siatkę, która, zamiast owinać się na klindze, leci dalej, i połówka spada Berne'owi na twarz. Mam pół sekundy, której on potrzebuje na odruchowe mrugnięcie. Robię wypad i dźgam nożem.

Berne zna mój styl; wie, że najchętniej mierzę w serce, dlatego teraz się do serca nawet nie zbliżam, bo tam zapewne zogniskował Puklerz. Schodzę niżej i wbijam mu stopę

lodowatej stali w pachwinę i dalej, w staw biodrowy.

Broń wibruje mi w palcach, gdy ostrze zgrzyta o kość. Berne stęka i wydaje cichy, prawie miłosny jęk, ja zaś wpycham nóż głębiej w staw. Nadludzko silne mięśnie zaciskają się wokół rany, a ja całym ciężarem ciała napieram na głównię i pcham w dół. Rękojeść odłamuje się i zostaje mi w ręce.

Berne patrzy na mnie z twarzą zbielełą z bólu i zdumienia. Nie wierzy, że tak poważnie go zraniłem.

Odrzucam ułamaną rękojeść. Sięgam za pazuchę, gdzie trzymam drugi nóż do walki, i za plecy, między łopatki, gdzie spoczywa sztylet do rzucania.

Błysk Kosalla, tnącego z góry w moją głowę.

Uskakuję, ale ostrze trafia mnie w stopę – tracę pół obcasa i spory kawałek pięty. Cofam się na czworakach, a Berne rusza za mną, krzywiąc się z bólu przy każdym kroku. Nie mogę uwierzyć, że po czymś takim może w ogóle ustać na nogach, nie mówiąc już o chodzeniu, a on jeszcze przyspiesza i dopada mnie szermierczym fleszem...

Znowu rzucam się w bok i turlam po piasku. Boże, mój boże, to była moja najlepsza okazja. Normalny człowiek zemdlałby z bólu i byłoby po wszystkim...

– Uciekaj, Caine – chrypi Berne. – I tak cię dogonię i zabiję. Możesz sobie uciekać.

Wierzę mu. Ostrze noża harata mu kości i rozdziera ścięgna w stawie biodrowym, powodując ból, jakiego nawet sobie nie wyobrażam, a on nawet nie zwalnia kroku.

Muszę doprowadzić do zwania.

Staję i czekam.

Kosall to ciężki miecz i nawet z magicznie wzmocnionymi mięśniami Berne nie jest w stanie w pełni skompensować jego bezwładności – zamach i cięcie tak dużą bronią naruszają równowagę w sposób, na który nic nie poradzą najsilniejsze mięśnie.

Tym razem Berne nie robi wypadu. Jeśli to przez mój nóż, to dobre i to.

Przestawia stopy, nie odrywając ich od podłoża, idealnie balansuje ciałem, wznosi Kosalla w krótkim półkolistym zamachu.

– Ta wojowniczką, przyjaciółką Pallas... – mówi, siląc się na swobodny ton. – Była lepsza od ciebie.

Wzruszam ramionami.

– Była lepsza od nas obu.

– I ładna. Dymałeś ją?

Niech myśli, że to na mnie działa, kretyn jeden. Odpowiadam z udawanym gniewem:

– Ty skurwysynu, ja ci...

Więcej mówić nie muszę, bo już się na mnie rzuca. Myśli, że mnie zaskoczy, ale jest zupełnie odwrotnie. Uchylam się przed wibrującym ostrzem Kosalla, robię krok w przód. Noże trzymam ułożone na przedramionach, zwrócone ostrzami w stronę łokci.

Są rzeczy, których nie uczą w przyklasztornych szkółkach. Jedną z nich jest kali.

Nagle jestem tak blisko, że mógłbym go pocałować. Próbuje się odsunąć i ciąć mieczem, ale ja go nie odstępuję, przyciskam ciało do jego ciała. Blokuję mu nadgarstek jednym ostrzem i tnę głęboko. Drugim nożem przejeżdżam mu po gardle, ale stal ześlizguje się po Puklerzu.

Szczerzy drapieźnie zęby i błyskawicznie zmienia taktykę. Kiedy drugi raz próbuję tej samej sztuczki (teraz mierzę jednocześnie w twarz i serce, szukając kończącego ciosu), upuszcza miecz i stawia gardę z gołych pięści, przyjmując oba cięcia na przeguby dłoni. Przez jedną nieskończoną sekundę stoimy nos w nos i tylko nasze ręce śmigają jak furie. Tryska krew – nie moja, ale Berne i tak jest szybszy: krótkim hakiem trafia mnie w skroń. Widzę gwiazdy. Obrywam kolanem w bok, z półobrotu. Dwa żebra pękają z głuchym trzaskiem i zanim się orientuję w sytuacji, Berne trzyma mnie obiema rękami za głowę i szykuje się do skręcenia mi karku. Jest kurewsko silny, za silny dla mnie. Nie dam rady mu się opierać bez końca.

Widzę Kosall wbity pionowo w ziemię. Chwytam za rękojęść, czuję mrowienie w ręce. Bez zamachu, z najwyższym trudem przeciągam nim Berne'owi po stopie. Obcinam mu wszystkie palce. Kosall leci w jedną stronę, ja w drugą. Koziółkuję w powietrzu i spadam na piasek.

Berne odrzucił mnie jak znudzone dziecko lalkę.

Czołgam się, plując krwią – złamane żebra musiały mi przedziurawić płuco. Berne dał mi spokój: wziął Kosalla i kuśtyka w stronę Pallas.

Pallas świeci nad nami jak gwiazda w burzy. Ogniskują się na niej wszystkie błyskawice, wystrzeliwujące zewsząd jednocześnie. Berne – niech Tyshalle przeklnie jego gnijące serce! – najwyraźniej dojrzał i nauczył się odróżniać sprawy ważniejsze od mniej ważnych. Kiedy rozprawi się z Pallas, ja nie będę już żadnym zagrożeniem.

Jest za silny. Jest dla mnie za dobry, sukinsyn. Nic mu nie mogę zrobić.

Nie pokonałbym go, nawet będąc w szczytowej formie.

Mam jeszcze jedną sztuczkę w zanadru, pamiątkę z dzieciństwa, z czasów na długo przed Caine'em. Ojciec pokazał mi ją na pirackim nagraniu wideo. Miałem nadzieję, że nie będę musiał się do niej uciekać.

Ale co tam... I tak będę potem w takim stanie, że niczym się nie przejmę.

Podnoszę się z ziemi. Mam wrażenie, że moje stopy są w tej chwili daleko, milę pode mną; praktycznie ich nie czuję – trucizna Toa-Sytella rozlewa mi się po całym ciele. Wyciągam zza cholew ostatnie dwa noże: małe, pięciociałowe, o cienkich ostrzach. Sprawdzam, jak leżą w dłoni, i mocno zaciskam palce. Ten w prawej ręce trzymam jak tanto, ten w lewej odwrotnie, ostrzem na przedramieniu.

Oby się udało.

Muszę się pochylić, żeby ruszyć z miejsca, bo mam wrażenie, jakby moje nogi należały do kogoś zupełnie innego – ale kimkolwiek jest ów ktoś, pozwala im działać instynktownie,

dzięki czemu nie padam od razu na ziemię: pochylam się coraz bardziej, aż w końcu ruszam niezgrabnym, koślawym truchtem.

Mimo ogłuszającego zgiełku toczącej się nad naszymi głowami bitwy, Berne w ostatniej chwili słyszy chrzęst moich butów na piasku i odwraca się instynktownie, wyciągając przed siebie Kosalla, którego czubek wchodzi w mój brzuch gładko jak gorący nóż w masło. Stal przebija skórę tuż poniżej pępka, a Berne kontynuuje pchnięcie, aż bucząca klinga wychodzi mi plecami.

Właściwie nie czuję bólu, ale od wibracji miecza drżą mi zęby.

Zabił mnie.

Nasze oczy się spotykają. Berne jest kompletnie zaskoczony – po tylu latach nie może uwierzyć, że w końcu mu się udało. Przez sekundę cofa się pamięcią do wszystkich sytuacji, w których marzył o tej chwili; doświadcza trzepoczącej kaskady snów o zemście. W tej sekundzie bezruchu pochylani się ku niemu, nadziewając się głębiej na miecz, aż jelec opiera mi się o brzuch – i dżgam go pod splot słoneczny.

Mój nóż nie wchodzi tak gładko jak jego miecz, ale po chwili stoimy oko w oko, unieruchomieni nawzajem swoimi klingami. Poruszam nożem, ciągnę do góry, przerzynam mięśnie i próbuję się przebić do serca, gdy nagle ostrze napotyka na jakąś przeszkodę i nieruchomieje. Nie mogę go już ruszyć: Berne przesunął Puklerz na brzuch. Znowu spoglądamy sobie w oczy – tym razem po raz ostatni, bo Berne już wie, że zaraz umrze.

Drugi nóż, który trzymam odwrócony w lewej ręce, uderza z góry na dół i wbija mu się w czubek głowy. Ostrze kruszy czaszkę i wchodzi w mózg. Kości pękają z trzaskiem, a ja szarpnię rękojęścią na boki, odbierając Berne'owi życie, wspomnienia, nadzieje, sny, żądze i radości, i robiąc z nich jajecznicę.

Jeszcze przed chwilą był człowiekiem. Teraz jest już tylko mięsem.

Oczy uciekają mu w głąb czaszki. Dygocze konwulsyjnie, puszcza wreszcie Kosalla i pada u moich stóp. Miecz przestaje wibrować. Chwała bogu.

Stoję na środku areny, przebity mieczem na wylot. Próbuję się cofnąć, niedaleko, chociaż kilka kroków, żeby nie umrzeć na Bernie, ale całkowicie już straciłem czucie w nogach – nie wiem nawet, czy z powodu trucizny, czy z winy Kosalla, który, być może, przeszył mi kręgosłup.

Kolana uginają się pode mną, skręcają, i zaczynam się przewracać. Chyba jednak kręgosłup; sądząc po tym, jak zadźwięczały mi zęby, Kosall trafił na kość.

Rozkładam szeroko ręce, żeby upaść na wznak. Zderzenie z piaskiem przepycha przeze mnie półtorej stopy Kosalla – tym razem w przeciwnym kierunku.

Gwiazda Pallas dalej lśni nade mną. I bardzo dobrze.

Nie mam nic przeciw umieraniu, jeśli jej światło będzie ostatnim, jakie zobaczę.

Techkabina dudniła dźwiękami bitwy rozgrywającej się na ekranie, ale nikt się nie odzywał. Nikt się nie poruszał.

Kollberg bezskutecznie usiłował opanować drzenie – całe ciało świerbiło go i dygotało, jedno oko mrugało spastycznie.

– Mój boże... Mój boże – wymamrotał. – Udało mu się. Wreszcie mu się udało.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem – mruknął jeden z techników. – To będzie największy bestseller od czasu Rozruchów Kastowych. Największy w historii.

Inny technik, bardziej refleksyjny z natury, przyznał, że czuje się zaszczycony, mogąc w tym uczestniczyć. W przyszłości z dumą powie wnukom, że oglądał śmierć Caine'a na żywo, z techkabiny.

O dziwo, ze wszystkich obecnych to Kollberg najgoręcej modlił się, żeby Caine nie umarł.

Rozumował całkiem prosto: walka Pallas z Ma'elKothem jeszcze się nie skończyła i gdyby Caine umarł przedwcześnie, nie będą mieli żadnego nagrania z rozstrzygnięcia.

Z głośników popłynęło subwokalizowane Solilokwium Caine'a:

*\*Nareszcie rozumiem. Wiem, o co chodziło ojcu, kiedy mówił, że poznanie wroga to połowa bitwy. Znam cię. O tak, znam cię dobrze. To ty.\**

Kollberg zbladł jak ściana, słysząc te słowa. Miał wrażenie, że Michaelson mówi wprost do niego. Drżącą ręką otarł usta i zerknął na przycisk transferu awaryjnego. Mógł to zrobić, mógł ściągnąć Caine'a w każdej chwili, nawet teraz, w środku walki – i zrobiłby to, do diabła, bez wahania, gdyby Caine zaczął się zapuszczać na zakazany teren.

Jednak chwilę później zupełnie się odprężył. Co takiego mógł powiedzieć Caine? Warunkowanie i tak zasznurowuje mu usta, zanim zdąży komukolwiek zaszkodzić.

Kollberg poruszył się w fotelu, szukając wygodniejszej pozycji, w której mógłby z należytą uwagą śledzić umieranie Caine'a. Długo na to czekał i zamierzał się dobrze bawić.

Na niebie nad Stadionem Zwycięstwa zmagaly się dwa bóstwa.

Woda przeszkadzała Ma'elKothowi tylko o tyle, że ograniczała mu pole widzenia. Znalazłszy się we wnętrzu wodnej kuli, odwołał się do miłości swoich Dzieci, wyciągnął ręce i błyskawice zatańczyły w odpowiedzi na jego gest. Żar jego ciała zagotował rzekę wokół niego i białe chmury pary uniosły się na spotkanie czarnych, burzowych.

Burza piorunów i ognia uderzyła w tę cząstkę Pieśni Chambarai, która była Pallas Ril, przeszła przez nią jak przez soczewkę i uderzyła w samego Chambarayę, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy. Ryby umierały, drzewa schły, trawa przy brzegach spopielala się,

rodzina wydr ugotowała się żywcem, a poparzoną sarnę porwał nurt, ale niezmierna moc Ma'elKotha miała na Chambarayę równie niewielki wpływ jak mały pożar buszu albo przedwczesny przymrozek u podnóża gór.

Pallas włączyła się w Pieśń, a ta przepłynęła przez nią i zjednoczyły się. Pallas stała się przezroczysta dla Pieśni, tak jak była całkowicie przepuszczalna dla potęgi Ma'elKotha. A Chambaraya za jej pośrednictwem odpowiedział cesarzowi nie ogniem i nie piorunami, lecz siłą życia.

Na idealnej skórze Ma'elKotha pojawiły się wrzody, w płucach wyrosły mu glony, trąd zaczął pożerać jego ciało. Mikroskopijne symbionty żyjące na co dzień w jego wnętrznościach poczęły błyskawicznie rosnąć, rozpychając mu brzuch i rozdymając klatkę piersiową i byłyby niechybnie rozsadziły go od środka, gdyby nie fakt, że Ma'elKoth, podobnie jak sam Chambaraya, był tylko po części materialnym bytem, po części zaś – ideą. Płonęła w nim moc miłości, którą czerpał z życia swoich Dzieci, i wkrótce jej żar wysterylizował mu trzewia, skórę, płuca i krew, aż stały się jałowe jak powierzchnia księżyca.

Podczas tych zmagania bogowie także rozmawiali. Ma'elKoth przemawiał tysięcznym chórem, w którym brzmiały wszystkie ludzkie głosy – od krzyków nowo narodzonych dzieci po lament trawionych chorobą starców:

*– Dlaczego nie uderzysz w moje Dzieci? Wiesz przecież, że w ten sposób mógłbyś Mnie osłabić. Wstrząśnij ziemią, zburz im domy, sprowadź powódź. Czy nie tak przejawia się zwykle twoja prawdziwa moc?*

Odpowiedź przyszła w ryku wodospadu, gęganiu gęsi, trzeszczeniu przemieszczającego się lodowca:

*– ONE NIC MI NIE ZROBIŁY.*

I Ma'elKoth zrozumiał: Pallas Ril nie była przekaźnikiem boskiej mocy. Jej wola zabarwiła Pieśń. Stały się jednym...

A to oznaczało, że nie musi pokonać samego Chambarai: wystarczy, że pobije Pallas. Troski, które bogu rzeki mogły się wydać nieistotne jak drobinki kurzu, dla kobiety, przez którą przepływa jego moc, będą o wiele poważniejsze.

A zatem śmiało, ruszaj! Załatwmy to raz na zawsze!

Rozłożył potężne ramiona i chlusnął w nią mocą – nie ogniem, nie błyskawicą, nie wicherą, lecz czystą mocą, surowym Przepływem, zaczerpniętym z życia Dzieci, zogniskowanym i przelewanym bez końca.

Przyjęła wszystko. Moc przepływała przez nią na wskroś, a ona wyraźnie czuła, gdzie znajduje się jej źródło: Dzieci Ma'elKotha gaśły jedno po drugim jak ścięte mrozem świetliki.

Teraz, kiedy jest już za późno, kiedy umieram na zakrwawionym piasku, zaczynam rozumieć.

Nareszcie rozumiem. Wiem, o co chodziło ojcu, kiedy mówił, że poznanie wroga to połowa bitwy. Znam cię. O tak, znam cię. To ty.

Ty, który ze swojej wygodnej leżanki patrzysz, jak umieram, który za moim pośrednictwem odczuwasz drżenie moich bebechów. To ty jesteś moim wrogiem.

Wokół mnie leżą ciała, jak kłosa porzucone na ściernisku przez nieuważnego żniwiarza. Czuję pod plecami, jak ciało Berne'a stygnie. Niebo ciemnieje... Chociaż nie, to tylko światło Pallas przygasa mi w oczach.

Każda kropla krwi, która dziś wsiąka tu w piasek, plami moje ręce i ręce potworów, które mnie tu przysłały.

O tobie mówię.

To z twoich pieniędzy się utrzymuję, ja i inni, podobni do mnie. To twoim żądom służymy. W każdej chwili możesz pstryknąć wyłącznikiem awaryjnym, odwrócić wzrok, wyjść z teatru, zamknąć książkę...

Ale tego nie robisz.

Jesteś moim współnikiem. Moim niszczycielem.

Moim przeznaczeniem.

Moim wiecznie żądnym krwi bogiem.

Chryste Panie... ależ boli...

## 26

W Pieśni serce Pallas pękło. W miarę jak moc Ma'elKotha przez nią przepływała, poznawała wszystkich mężczyzn, wszystkie kobiety i dzieci, którzy przypłacili to życiem; poznawała ich tak dobrze i tak blisko, jak matka poznaje życie, które wydaje na świat. Każda śmierć chłostała ją bezgranicznym żalem matki, która musi oglądać śmierć swoich dzieci.

Może gdyby umarli wszyscy jednocześnie, byłaby w stanie to znieść; pojedynczy wstrząs unicestwienia stopiłby ich w jedną wielką, abstrakcyjną masę, w stalinowską statystykę. Ona jednak musiała doświadczyć każdej tej tragedii z osobna. Pod ciężarem złożonych, kochających dłoni, płaczu i rozpaczliwych spojrzeń, rzucanych spod zamkniętych powiek, jej dusza się załamała.

Sprowadziła ją tutaj gotowość poświęcenia się dla obrony niewinnych istnień. Ta idea stanowiła nieodłączny element jej istoty. Żeby przyjąć tę żałobę obojętnie, musiałaby być kimś innym niż Pallas Ril, kimś innym niż Shanna Leighton.

Nawet odwieczna cierpliwość rzeki nie mogła uwolnić jej od tego bólu.

Wiedziała, że i ona, i Hari zapłacą za to życiem, ale nie mogła się zgodzić na to, żeby ta

odległa, beznamiętna rzeź trwała bezkarnie. Dwa istnienia w zamian za tysiące, i to tysiące bliskie jak rodzina, tysiące stale obecne w jej sercu. Tak, na taką wymianę była gotowa.

Powoli, z gryzącym żalem, wytłumiła swoją melodię w Pieśni.

Ma'elKoth wyczuł zmianę w Przepływie, jego atak osłabł i załamał się. Woda rzuciła go na arenę i cofnęła sięgające ponad koronę stadionu ramie fali. Rzeka wróciła w koryto.

Pallas stała naprzeciw niego na grząskim od krwi piasku.

– Wygrałeś – powiedziała. – Poddaję się.

Doskoczył do niej i złapał ją za wiotkie, bezwolne ramiona. Posłał jej pogardliwe spojrzenie.

– Współczucie jest godne podziwu, ale tylko u śmiertelnika – powiedział łagodnie, niemal uprzejmie, ale już po chwili jego głos ciął jak nożem: – U boga jest to niewybaczalna wada charakteru.

Pallas nie odpowiedziała.

Ma'elKoth rozejrzał się po arenie, zaciskając usta na widok śladów rzezi. Ci, którzy przeżyli, zaczęli nieśmiało unosić głowy. Wzniósł oczy ku niebu, chmury się rozwiały, promienie słońca znów padły na ziemię.

– To była zaledwie mała zwłoka – powiedział. – Chwila rozrywki, nic więcej. Zresztą i tak już się skończyła. – Mruknął coś pod nosem, wyraźnie zdekoncentrowany. – Gdzie Caine?

Pallas zobaczyła go pierwsza, leżącego na wznak na zwłokach mężczyzny, który musiał być Berne'em. Kosall sterczał mu z brzucha jak Excalibur z kamienia. Poczula się tak, jakby to ją przeszył, jakby to jej wnętrzości rozszarpał. Zaparło jej dech w piersi.

Ma'elKoth spojrział w tę samą stronę.

– Więc jeszcze żyje... – mruknął z zadowoleniem. – Świetnie.

Przez łzy widziała, jak Kosall się chwieje, kołysze nad ciałem w nierównym, rwanym rytmie. Najwyraźniej Hari jeszcze oddychał. Uścisk Ma'elKotha wydał jej się dziwnie łagodny, gdy cesarz powłókł ją przez arenę do miejsca, w którym leżał Caine. Słońce przyjemnie grzało jej mokrą skórę.

Ma'elKoth pchnął ją na piasek obok trupa Berne'a.

Hari spojrział na Pallas.

– Pallas... – wyszeptał. – Ciemno... i zimno...

Poruszył ręką, uniósł dłoń cal nad piasek.

– Weź... mnie... za rękę...

Pallas chwyciła jego dłoń. Uklęknęła, przysiadła na piętach i ułożyła głowę Hariego na kolanach.

– Jestem przy tobie, Caine. Nie zostawię cię.

Łzy, wywołane świadomością, że Caine jeszcze żyje i będzie mogła się z nim pożegnać, szybko obeschły – kiedy klęczała na piasku, a jego wilgotne i zimne włosy muskały jej nagie uda, nie było w niej łez, bólu ani żalu. Została tylko głęboka, spokojna melancholia.



Podczas swojej kariery często bywała w takich sytuacjach, podtrzymywała głowy wielu, bardzo wielu umierających mężczyzn. Teraz jednak miała poczucie wyjątkowości tej sceny, świadomość, że tym razem odchodzi ze świata życie, którego nie da się zastąpić. Świat stanie się uboższy.

Sądziłam, że jest niezniszczalny, myślała, głaszcząc go po brodzie. Wszyscy tak sądziliśmy. Gdziekolwiek teraz pójdzie, wkrótce do niego dołączę. Przepraszam, Hari. Te słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Gdybym miała tyle siły co ty, nie umieralibyśmy dzisiaj tu, na tej arenie.

– Ach... – westchnął Ma'elKoth.

Głos mu się załamał, jakby miał się rozpłakać. Pallas podniosła wzrok. Stał nad nią z tragicznym wyrazem twarzy, ze skórą wciąż jeszcze upstrzoną śladami ataku Chambarai. Spływająca z nosa krew malowała mu brodę szkarłatem.

– Och, Berne... Dziecko moje, zasłużyłeś na lepszy los.

Gdy tylko zdał sobie sprawę, że Pallas mu się przygląda, natychmiast się opanował. Wyprężył pierś.

– No dobrze. – Zaczął obchodzić Pallas i Caine'a po okręgu, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. – Dobrze... Teraz poznam... – Spochmurniał. – Tajemnicę Caine'a. Chcę się dowiedzieć, jak udało ci się mnie zniewolić w tych ostatnich dniach. Ja Przyciągnąłem tu ciebie, ale ty w ten sam sposób Przyciągnąłeś Mnie. Odwróciłeś mój chwyt i związałeś Mi ręce. Teraz znowu trafiłeś w moje ręce i tym razem już cię nie wypuszczę, tak jak nie wypuściłem tych twoich ohydnych *Aktirich*. Dzięki swojej mocy zwęszę twoje myśli gasnące w umierającym mózgu, tak jak ogar wietrzy niesioną wiatrem woń zwierzyny. Będę czytał w twoich wspomnieniach jak w księdze, przejrzę cię na wylot. Poznam prawdę i w ten sposób raz na zawsze unicestwię władzę, jaką nade mną miałeś. Będę wolny.

– Lll... – stęknął Hari.

Żyły wystąpiły mu na szyi, gdy próbował przemówić, zmagając się z jakąś niewyobrażalną przeszkodą. Ma'elKoth podszedł bliżej i uprzejmie nachylił się nad nim, żeby lepiej słyszeć.

– Tak?

– Lll... Lamorak...

– Ach tak, rzeczywiście. – Ma'elKoth się wyprostował. – Dziękuję za przypomnienie. Lamorak też jest jednym z was, przebrzydłym *Aktirem*. Jego wspomnienia również będą bardzo interesujące. – Rozejrzał się po stadionie. Prawie się uśmiechał. – Gdzie też on się podział?

Ruszył przez plac usłany trupami i zawodzącymi z bólu rannymi. Oficer lansjerów, który jakimś cudem nie stracił w zamieszaniu konia, przygalopował do Ma'elKotha z pytaniem o dalsze instrukcje. Pallas nie dosłyszała cesarskich rozkazów, które oficer przekazał swoim podwładnym. Przez tunel wjazdowy wmaszerowała kolumna opancerzonej piechoty,

uzbrojonej w piki i kusze. Lansjer podjechał także do nich i wydał im kolejne polecenia, oni zaś rozproszyli się po arenie, gdzie zaczęli opatrywać rannych, oraz po trybunach, gdzie zajęli się zaprowadzaniem porządku i rozbijaniem niepokornych.

Hari wyprężył grzbiet i wywrócił oczami.

– Lamorak... – powiedział całkiem wyraźnie. – To on wydał cię Kotom.

## 27

– Co?! – Głos Arturo Kollberga zagrział jak trzask bicia. – A to bydlę! – wściekał się Administrator. – Przygłup cholerny! Śmieć! Jak śmie?!

Zerwał się z fotela i zaczął wygrażać ekranowi pięścią.

– Ty gnoju! To idzie na żywo!

Technicy patrzyli na niego, na pot spływający mu po twarzy, na pianę pryskającą z kącików ust.

– Co pana tak złości, Administratorze? – zabrzmiał za jego plecami przetworzony cyfrowo głos.

– Mnie? Nie, to... nic takiego...

Niech to buczenie pod czaszką chociaż na chwilę ucichnie... Musiał pomyśleć! Czy Michaelson mógł się jeszcze z czymś wygadać? Z czymś, czego warunkowanie by nie zablokowało? Na boga, przecież Rada Zarządców ogląda to na żywo... Czy może powiedzieć coś takiego, żeby zaszkodzić Studiu?

Drżał na całym ciele, miał gęsią skórę, skurcze mięśni zdeformowały mu twarz. Spojrzał na jarzący się czerwono włącznik transferu awaryjnego takim wzrokiem, jakby patrzył w wylot lufy karabinu wycelowanego między oczy.

## 28

W gęstniejącym mroku widzę twarz pochylającej się nade mną Pallas.

– Tak, Caine – mówi. – Wiem o tym.

Świat mruga. Chyba na chwilę tracę przytomność, ale cały czas jesteśmy na arenie.

Nie udało się.

Przebyłem taki szmat drogi... oddałem życie dla tej chwili... ale się nie udało.

Chyba powinienem był się spodziewać, że ten wór robactwa nie dotrzyma danego słowa.

Robi mi się zimno, naprawdę zimno – wprost lodowato, jak na tę porę roku w Ankhanie. Próbuję jeszcze raz, szukam słów, które pozwoliłyby nam wrócić do domu.

– Nie miał wyboru... – ciągnę. – Takie miał rozkazy... zapis w kontrakcie...

– Cii... – Pallas głaszcze mnie po głowie. – Cii, już dobrze.

Wcale nie jest dobrze, jest...

Ciemność.

I znów wypływam z mroku do światła.

Nadal jesteśmy na arenie.

Powinienem sobie odpuścić.

Gdyby ktoś kiedyś zapytał mnie, jak chcę umrzeć, powiedziałbym, że właśnie w taki sposób: z głową na jej kolanach. I żeby głąskała mnie po głowie.

Coś się dzieje.

Zrobiło się cicho i mam wrażenie, jakby ktoś skierował na nas wszystkie reflektory. Lamorak jest z nami, widzę go obok Pallas. Ma'elKoth zebrał nas wszystkich razem. Sam też tu jest. Przemawia do widzów na trybunach – dudniący, kojący grzmot jego pięknego głosu...

Ciemność.

Kiedy znowu zalewa mnie światło, Ma'elKoth jest przy mnie, tuż obok. Jego głos brzmi ciepło i łagodnie, kiedy mówi mi, żebym się odprężył i niczym nie przejmował.

Milknie i wlepia wzrok w przestrzeń. Jego twarz tężeje w tym nieprzeniknionym wyrazie charakterystycznym dla wewnętrznego widzenia.

Czar!

Teraz pamiętam... Przypominam sobie ten czar.

Czuję niewytłumaczalny przyływ sił.

Pieprzyć odprężanie się.

Nigdy się nie poddawaj.

Nigdy.

Odwracam głowę i próbuję przebić wzrokiem mrok.

– Lamorak... Lamorak...

Pallas pochyla się nade mną jak anioł z baśni.

– Cii, Caine. Wiem. Już dobrze.

– Nie...

Zbieram siły. Próbuję się skupić. Skoncentrować. Kiedy się skoncentruję, będę mógł poruszyć rękami. Nie muszę mieć w nich dużo siły, ale muszę nimi ruszać, żeby go zaskoczyć...

– Lamorak...? Proszę cię, Lamorak, muszę ci... coś powiedzieć...

Jego poharatana twarz wynurza się z ciemności. Bełkoczę coś bez ładu i składu, byle tylko go przywabić. O tak, skurwielu, właśnie tak, jeszcze odrobinę...

– Lamorak... Żelazna Komnata... Teatr Prawdy... nieważne. Musisz... zaopiekować się... Pallas...

– Dobrze, Caine – mówi. – Zaopiekuję się nią. Obiecuję.

– Obiecujesz? – Przyływ adrenaliny rozjaśnia mi wzrok i dodaje sił. – A jak chcesz

dotrzymać tej obietnicy, jeśli ja ci teraz upierdolę łeb?!

Wytrzeszcza oczy, a ja płynnym, niepowstrzymanym ruchem łapię sterczącą nade mną rękojęść Kosalla i ożywiam jego skwierczącą magję. Palce drugiej ręki wplątuję w długie jasne włosy Lamoraka i szarpnięciem przyciągam mu szyję do wibrującego ostrza.

Jego głowa oddziela się od ciała – *zzziip!* – jak kartka papieru wrywana z notesu.

Tryska fontanna krwi. Pallas wzdyga się i krzyczy. Usta Lamoraka poruszają się bezgłośnie, kiedy patrzy na mnie ze zgrozą – jego mózg jeszcze nie umarł.

Rzucam jego głowę jak piłkę Ma'elKothowi prosto na kolana.

Ma'elKoth łapie ją odruchowo. Przebiega go dreszcz, oczy wychodzą mu z orbit, z ust wydobywa się krzyk zaskoczenia i rozpacz.

To nie jest zaskoczenie i rozpacz Ma'elKotha, lecz Lamoraka.

– Nazywam się... – sapie Ma'elKoth. – Karl Shanks. Nazywam się Karl Shanks! I jestem Lamorakiem...

– Lamorak... – warczę resztkami sił. – Kto kazał ci zdradzić Pallas Ril?

– Kollberg – mówi machinalnie, ale całkiem wyraźnie. – Przewodniczący Administrator Kollberg...

Słowa nie zdążą jeszcze dobrze wybrzmieć, kiedy cały świat spowija lśniąca tęczowa aureola.

W ułamku sekundy dzielącym mnie od powrotu wyciągam rękę...

...i łapię Ma'elKotha.

## 29

Kollberg raz za razem tłukł pięścią w czerwony przycisk.

– Nie! Nie! Nie! – wrzeszczał w rytm uderzeń.

Z takim zapamiętaniem pastwił się nad włącznikiem, że pękła mu skóra na dłoni i krew zbryzgała wnętrze techkabiny.

Technicy odsunęli się na bezpieczną odległość i patrzyli na niego jak na wariata. Pospoły wymieniły spojrzenia pod lustrzanymi osłonami twarzy.

– Chyba już dość widzieliśmy – powiedział jeden.

– Ale to nieprawda! – wykrztusił zrozpaczony Kollberg. – Przysięgam! On kłamie! Nie może nic udowodnić, nie może nawet zeznawać!

Pospoły złapał go za przegub dłoni.

– Odwołał pan Pallas Ril na oczach miejscowych świadków. W ten sposób zdemaskował ją pan jako Aktora i rozmyślnie zaszkodził jej karierze. Jest pan aresztowany.

Kollberg wyrwał się i doskoczył do pulpitu. Wcisnął włącznik mikrofonu.

– Michaelson! – ryknął. Jego okrzyk zagrział w głośnikach. Caine cały czas był

podłączony. Leżał w plątaninie ciał na platformie transferowej. – Zginiesz za to! Zobaczysz, zginiesz!

Zanim pospoły związały go i wyprowadziły, Kollberg usłyszał jeszcze szeptane Solilokwium Caine'a:

*\*Z pewnością. I to już niedługo.\**

## 30

Ostre, bezlitosne światło reflektorów scenicznych obramowujących platformę transferową rozszczepia się i tworzy pryzmatyczną aureolę wokół grzywy Ma'elKotha. Widzę tylko zarys jego sylwetki, nie wiem więc, jaką ma minę – ale cieszę się z tego. Jego zdławiony, przepełniony grozą głos brzmi wystarczająco paskudnie, kiedy spogląda na wznoszące się pod sufit rzędy leżanek bezpośrednich, na których spoczywają żywe trupy w hełmach indukcyjnych.

– To twój świat – szepcze. – Na porzuconych bogów, zabrałeś mnie do swojego ohydneho świata...

Nie słyszę w tych słowach instynktownej ksenofobii ani bezradności i zgrozy przybysza z prymitywnego świata. Obcość Ziemi nie robi na nim wielkiego wrażenia.

Przeraza go to, że wydaje się tak znajoma.

Mówi po angielsku.

Ciągle jeszcze układa sobie i porządkuje w głowie wspomnienia Lamoraka-Karla. Zaczyna rozumieć, że jego świat – Nadświat, ojczyzna okrucieństwa, bólu i gwałtownej śmierci – jest wyśnionym, wymarzonym rajem dla świata, w którym teraz został uwięziony.

Ściągnąłem go do piekła.

Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jaki strach musi teraz odczuwać. Zresztą, prawdę mówiąc, niezbyt mnie to interesuje.

Kosall, już spokojny, zapewne uciszony na wieki, nadal sterczy mi z brzucha. Pod nogami mam zwłoki Berne'a.

Wygrałem.

Ma'elKoth zgina byczy kark i spogląda na mnie z góry. Na nas wszystkich.

– Zniszczyłeś mnie, Caine. Dlaczego? – Jego głos się łamie, jakby miało mu pęknąć serce. – Dlaczego mi to zrobiłeś?!

Wzruszam ramionami. Boli.

– Miałeś pecha. Stałeś po niewłaściwej stronie Pallas Ril.

Gdzieś z góry dobiega głośny łoskot: otwierają się drzwi do Cavei i do środka wpadają medycy z wózkiem lekarskim. Jakiś bystry technik zachował dość przytomności umysłu, żeby ich wezwać.

Ciepły deszcz pada mi na policzki. Łzy Shanny.

– Trzymaj się – mówi. – Proszę, nie umieraj.

Próbuję ścisnąć jej rękę, ale ciemność znów napiera ze wszystkich stron.

– Nie zostawiaj mnie – szepczę.

– Nie zostawię. Przysięgam.

– Co teraz? – pyta Ma’elKoth. Brzmi jak dziecko, zagubione i bezradne. – Co się ze mną stanie?

Nie odpowiada. To nie mój problem.

Chyba nadal jestem podłączony – nikt nie wpadł na to, żeby przerwać transmisję. Pociągnę was wszystkich za sobą. W ciemność.

Shanna nachyla się nade mną i przytula się ciepłym policzkiem do mojego zimnego.

– Trzymaj się, Caine – szepcze mi do ucha.

– Pieprzyć Caine’a – cedzę z wysiłkiem i siłą woli odpędzam mrok, żeby wygłosić ostatnią kwestię. – To dupek. Mów mi Hari.

Noc ma się ku końcowi. Zbliża się świt. Małymi krokami podążam ku światłu.

\* \* \*

Co godzina, na cały świat:

Włosy są (co oczywiste) perfekcyjnie ułożone, idealnie rzeźbione kości policzkowe lśnią opalenizną Uprzywilejowanego, widać jednak cień lodowatej desperacji w delikatnych, prawie niewidocznych zmarszczkach wokół błyszczących oczu, a wargi, osłaniające pięknie wypolerowane zęby, krzywią się ledwie zauważalnie w gorzkim grymasie pogardy dla samego siebie.

– Dzień dobry, tu Bronson Underwood. Od dziesięciu lat jako gospodarz *Przygód na żywo* prezentuję widzom na całym świecie najlepsze przygody produkowane przez Studio. Dzisiaj zaś z dumą przedstawiam wyjątkową, ograniczoną w czasie ofertę specjalną, prosto z miejsca, gdzie wszystko się zaczęło – ze Studia Przygód-bez-ograniczeń w San Francisco. Oto ona: *Z miłości do Pallas Ril*, edycja limitowana, w pamiątkowym pudełku.

Oczy mu się szklą, a uśmiech zastyga jak żelatyna, kiedy wylicza specjalne dodatki zawarte w edycji limitowanej: wybrane fragmenty *Wyścigu po koronę Dal’kannitha* i *Sługi cesarstwa*; kilka godzin *Pościgu za Simonem Błaznem*, zakończone Wiecznym Zapomnieniem; odkrywające tajniki przygody wywiady z Caine’em, Pallas Ril i samym Ma’elKothem, który wypowiada się w imieniu zarówno swoim, jak i Lamoraka.

– Oraz bezpośrednio z Archiwum Akt Poufnych Studia w San Francisco i tylko w edycji limitowanej: *Kiedy zatrzymał się zegar życia!* Z pewnością pamiętacie tę niesamowitą chwilę, gdy Caine zabrał swoją ukochaną z zalewanej słonecznym żarem areny prosto na Ziemię, gdzie znów była bezpieczna. Oglądaliście ją na żywo, może nawet przeżyliście ją jako Caine... A teraz możecie jej znowu doświadczyć! Dlaczego? Dlatego że w chwili, *Kiedy*

*zatrzymał się zegar życia*, rejestracja przygody Pallas Ril została wznowiona. To jednorazowa oferta specjalna; edycja limitowana *Z miłości do Pallas Ril* to jedyna szansa, by ponownie przeżyć tę bezcenną chwilę, niepowtarzalna okazja, by wejść w duszę Pallas, kiedy klęczy na platformie transferowej, ocalona przed pewną śmiercią przez jedynego mężczyznę, którego naprawdę kochała. Możecie teraz zobaczyć i poczuć wszystko to, co czuła ona, zalewając łzami twarz swojego bohatera.

Oczy cofają się w głąb ekranu, jakby się przykurzyły. Uśmiech tężeje jeszcze bardziej, jak gdyby ktoś przypiął zszywaczem wargi do zębów.

– Dla upamiętnienia tej doskonałej oferty i uczczenia niewiarygodnej Przygody, każdy, kto złoży zamówienie jeszcze dziś, przed północą, otrzyma specjalny Osobisty Zegar Życia Pallas Ril! Skalibrowany przez techników Studia w oparciu o twoje dane zdrowotne z ogólnościatowej medycznej bazy danych i skorelowane z danymi twoich przodków do szóstego pokolenia wstecz, Osobisty Zegar Życia Pallas Ril będzie precyzyjnie odmierzał godziny twojego życia! Umieszczony w eleganckiej obudowie, doskonale prezentuje się na nocnej szafce, na biurku, nawet na stole w kuchni...

Reklama, która ciągnie się tak długo, że większość widzów zdąży zapomnieć, czemu mieliby się interesować losem ludzi, o których jest w niej mowa, jest opatrzona wypisaną u dołu ekranu klauzulą:

*Osobisty Zegar Życia Pallas Ril nie powinien być traktowany jako narzędzie do przewidywania przyszłości. Wyłącznie do celów rozrywkowych.*

# EPILOG

Pewnego dnia Hari obudził się i zastał Shannę siedzącą przy jego łóżku.

Leżał na żelowej poduszce i gapił się na Shannę spod półotwartych powiek, czekając, aż wraz ze światłem poranka do jego mózgu przesączą się resztki świadomości.

Wyglądała przez okno, zapatrzona na chmury i ocean, wysoko ponad tymczasowym miasteczkiem utworzonym przez wozy transmisyjne, które okrążyły szpital niczym maszyny oblężnicze któregoś z miast Nadświata. Wyraźnie schudła. Policzki miała wciąż zapadnięte, oczy podkrążone, lewą rękę sztywną i bezwładnie opuszczoną.

Hari w całym swoim życiu nie widział niczego piękniejszego.

Nie odezwał się. Bał się, że sen rozwieje się na pierwszy dźwięk jego głosu.

Odkasznęła, zakłopotana, czując na sobie jego spojrzenie. Z uśmiechem dotknęła żeber w miejscu, gdzie belt strzaskał je i przebił płuco.

– Zapalenie płuc – wyjaśniła.

Uśmiechnął się niepewnie w odpowiedzi.

– Też złapałem... Chyba już tutaj.

– A ja... Nie, czekaj. Co z tobą? No bo...

Ruchem głowy wskazała stalowoszarą kapsułę regeneracyjną pokrywającą go od ud po pierś. Woląła nie patrzeć wprost na nią. Wzruszył ramionami i poklepał się po tułowiu.

– Nie wiem... Ale chyba nie jest źle. Podobno w ciągu dwóch tygodni powinienem odzyskać trochę czucia w nogach. Chcą mi wszczepić taki sterowany komputerowo gadżet, żebym za jakiś rok zaczął chodzić, nawet gdyby regeneracja się nie powiodła. Będę nim sterował, poruszając palcami u nóg... – Westchnął, zbierając się na odwagę. – Powiedzieli, że już do końca życia będę chodził o lasce. – Uśmiechnął się krzywo. – No to ja im powiedziałem, że tyle to wiem i bez ich gadania.

Shanna odwróciła się do okna. Spuściła głowę.

– Wiem – mruknął. – Kiepski żart.

– Hari, tak mi przykro...

– Daj spokój. Nawet nie zaczynaj.

– Ale twoja kariera...

– Pieprzyć karierę. Wszystko, czego chciałem... czego chciał Caine, to umrzeć w twoich



ramionach. A że trafił mu się happy end? Proszę bardzo. Mnie to pasuje.

Poruszył ramionami w przód i w tył. Żałował, że tysiące włoskowatych sond, wklutych w rdzeń kręgowy i łączących go z kapsułą regeneracyjną, nie pozwalają mu poruszyć biodrami. Bolały go jak diabli.

– Przeżyłem. Ilu znasz emerytowanych Aktorów?

Jej głos był ledwie słyszalny:

– Tyle dla mnie poświęciłeś...

– Nie gadaj.

– Hari...

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. Myślałem, że znasz mnie na tyle dobrze, żeby o tym wiedzieć. Zrobiłem to, ponieważ świat bez ciebie mnie nie interesuje, rozumiesz? – Poklepał obudowę kapsuły. – Moje nogi i kariera... To i tak była okazyjna cena. Jesteś warta dziesięciu takich jak ja.

– Kiedyś też tak myślałam...

Dłoń, która ścisnęła Hariego za serce, skutecznie go uciszyła.

\* \* \*

– Śledzisz proces? – spytała jakiś czas później.

– A jak myślisz? Przyglądanie się, jak ten kutas idzie na dno, jest jedną z moich ulubionych rozrywek. Rzuć pilota, zobaczymy, co tam się nowego urodziło.

Włączył odbiornik i zawieszony nad jego głową ekran pokazał gmach Sądu Korporacyjnego w San Francisco. Z jednej ze stojących w długim sznureczku limuzyn wysiadła grupa Prawników, którzy obskoczyli klienta jak ochroniarze, chociaż żaden nie sięgał mu nawet do ramienia.

– Patrz, to Ma'elKoth. Chyba jednak pozwolą mu zeznawać.

Prawnicy powstrzymywali napierający ze wszystkich stron tłum dziennikarzy, żeby Ma'elKoth mógł bez przeszkód wejść na schody. Przystanął na nich, odwrócił się i posłał reporterom uśmiech, od którego pojaśniało nawet słońce. Był ubrany w idealnie skrojony garnitur, stosownie klasyczny w kroju, dwurzędowy, doskonale podkreślający jego nieprzeciętnie szerokie bary. Beżowy materiał kontrastował z lśniącymi włosami, spiętymi w konserwatywny kucyk.

Ogolony, z wyrazistą szczęką, błyszczącymi powagą oczami i szerokim czołem budził powszechne zaufanie, kiedy przemówił swym dudniącym basem:

– Moim życzeniem jest, aby zatriumfowała sprawiedliwość. Arturo Kollberg ograbił mnie z tronu i uknuł spisek na moje życie, a także na życie Pallas Ril i Caine'a. Tylko prawda, choćby była najbardziej nieprzyjemna, może uchronić społeczeństwo przed takimi zbrodniami.

Kamery odprowadziły go do drzwi sądu.

– To niesamowite, jak się dostosował – mruknęła Shanna. – Przemawia tak, jakby chciał kandydować na sędziego.

– Ja bym na niego zagłosował.

– Ja chyba też. Myślisz, że Studio pozwoli mu wrócić do Nadświata?

– Wątpię. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby chciał. Z piętnem *Aktira* nie miałby tam życia.

– Tutaj też nie ma. Może wyjść ze skarbca tylko na dwie godziny. To i tak cud, że jest w miarę na bieżąco z naszym światem. Pewnie cały czas ogląda programy w sieci.

– Wiesz, miał handicap.

Shanna spuściła wzrok.

– Też to zauważyłaś? Mówi z takim samym akcentem jak Karl.

– Hari...

– Nie zamierzam za to przeproszać. Robiłem w życiu różne świństwa, ale to nie było jedno z nich. Dobrze wiesz, że i tak skończył lepiej, niż na to zasłużył.

– Wiem. Chciałbym tylko... Musisz zrozumieć, że jest mi ciężko. Kiedyś myślałam, że go kocham, i nie zmienię tego, czegokolwiek bym się o nim dowiedziała...

Znowu zimna pięść zacisnęła mu się na sercu. Nie był w stanie spojrzeć na Shannę.

– Nie dla nas „żyli długo i szczęśliwie”, co?

– Nie wiem, Hari. Naprawdę nie wiem.

\* \* \*

Mijały dni. Goście przychodzili i odchodzili – głównie dziennikarze, którzy chcieli wiedzieć, jak Caine zdołał zrealizować tak niewiarygodnie złożony plan. Nikt mu nie wierzył, kiedy odpowiadał, że sam nie bardzo wie; po prostu szedł małymi krokami do światła, aż w końcu mu się udało.

Marc Vilo wydzwaniał codziennie, ciekaw postępów rekonwalescencji. Był absolutnie pewien, że to nie koniec kariery Caine’a, tak jakby za swoje miliardy mógł pupilowi kupić nowe nogi.

Od innych Aktorów rozsianych po cesarstwie spływały wieści z Ankhany. W tym dniu, kiedy Ma’elKoth został zdemaskowany na stadionie jako *Aktir*, Król Ściemy i jego podwładni ocalili życie Toa-Sytellowi. Do spółki z rządzonymi przez Kierendal Twarzami utrzymali miasto i powoli zaczęli sobie zaskarbiać lojalność wojska. Widząc to, większość arystokratów również zdecydowała się złożyć hołd nowemu władcy. Wyglądało na to, że cesarstwo ocaleje, a na tronie zasiądzie Toa-Sytell.

Trudno było o jakieś szczegóły, ponieważ cesarstwo stało się dla Aktorów miejscem wyjątkowo niebezpiecznym. Toa-Sytell, z niezwykłą zajadłością, podjął rozpoczęte przez Ma’elKotha *Aktir-tokar*. Niektórych Aktorów schwytano i zgładzono. Hari doceniał bezlitosną ironię losu: warunkowanie, które miało zapobiec dekonspiracji w Nadświecie, teraz stało się

dla nich wyrokiem śmierci. Z cichym triumfem przyjął obwieszczenie Tymczasowego Przewodniczącego o zawieszeniu przez Studio całego programu ankańskiego do czasu rozwiązania problemu.

Studio postanowiło przykładowo ukarać Arturo Kollberga. Oficjalny komunikat stwierdzał, że działał na własną rękę i z własnej inicjatywy. Został zdegradowany do Robotnika i przeniesiony do dzielnicy zamieszkałej przez Tymczasowych, niedaleko okolicy, w której dorastał Michaelson.

Hari zwyciężył. Caine zwyciężył.

Zabili go, ale to nie miało żadnego znaczenia. Pokonał ich wszystkich.

A któregoś dnia wróciła Shanna.

\* \* \*

– Gratuluję, Administratorze Michaelson. – Tak brzmiały jej pierwsze słowa. – Podobno klepnęli twój awans kastowy.

Wzruszył ramionami.

– Mnie też miło cię widzieć. Ale rzeczywiście, Studio udzieliło mi poparcia, a oni zwykle dostają to, czego chcą.

– Studio? – zdziwiła się Shanna. – Do czego im twój awans?

– Zaoferowali mi stanowisko po Kollbergu.

Shanna zdębiała.

– Niemożliwe.

– Sam w to nie wierzyłem. Ale kiedy się nad tym zastanowić, to ma to sens. W tej chwili jestem najślawniejszym człowiekiem na świecie. Mimo że jestem, to znaczy: byłem, zaledwie Pracownikiem, mogłem wpakować Studio w niewąskie bagno – jestem praktycznie nietykalny, a to i owo mógłbym opowiedzieć. Sprawa Kollberga była jak cios, który im podbił oko. Ja mógłbym ich znokautować. Dlatego wolą mnie wciągnąć w system.

– Naprawdę myślą, że mógłbyś im aż tak zaszkodzić?

Hari rozłożył ręce.

– No wiesz, jeden rząd już w tym miesiącu obaliłem...

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Raczej nie. Ale jedno wiem na pewno: lepiej niech mnie nie wkurzają.

Twarz jej się zaokrągliła, cienie spod oczu zniknęły. Teraz nagle się zaniepokoiła i zrobiła krok ku drzwiom, jakby chciała wyjść.

– Co się stało?

– Hari, ja... Sama nie wiem. To świetna wiadomość, twój awans i w ogóle, ale... Chyba powinnam sobie darować.

– Co sobie darować?

– Nie chcę, żebyś pomyślał, że to ma coś wspólnego z twoim awansem...

Serce podeszło mu do gardła, krew zadudniła w uszach.

– O czym ty mówisz? Nie wytrzymam dłużej, mówże!

Odgarnęła włosy z oczu i zapatrzyła się w mglistą dal za oknem. Kiedy się odezwała, mówiła niepewnie, z wyraźnym wysiłkiem.

– Wtedy, pod koniec, byłam bogiem... – zaczęła i westchnęła ciężko, jakby nie wiedziała co dalej.

– Pamiętam... – przyznał cicho Hari.

– To nie byłam naprawdę ja... To znaczy, to byłam ja, byłam sobą, ale byłam także nim, Chambarayą. Stałam się małą częstką boga i jednocześnie nim całym. Wiem, to głupio brzmi... Słowa są takie niewystarczające... Musiałbyś tego doświadczyć, żeby mnie zrozumieć.

– Brakuje ci tego – powiedział.

To nie było pytanie: prawdziwość tego stwierdzenia przeszła go jak nóż.

Znów ode mnie odejdzie, pomyślał. Z miłości do rzeki.

– Pewnie, że mi brakuje, ale teraz jestem tutaj i chcę tu być. Muszę być tu, gdzie jestem; cokolwiek robię, to właśnie muszę robić. Rozumiesz?

– No, nie bardzo...

– Widziałeś, co to moc, ale moc nie ma nic wspólnego z byciem bogiem. Bogowie inaczej patrzą na wszystko. Żeby połączyć się z Chambarayą, musiałam po prostu zobaczyć świat jego oczami. A kiedy zaczynasz inaczej widzieć świat, sam się zmieniasz, nie jesteś już tym samym człowiekiem. – Rozłożyła ręce, kręcąc głową z rozbajającym uśmiechem. – Coś mi się wydaje, że niczego nie wyjaśniłam.

Zaczęła spacerować po pokoju. Hari bezradnie wodził za nią wzrokiem.

– Widzisz, bogowie też nas nie rozumieją. Śmiertelnicy są dla nich taką samą tajemnicą jak oni dla śmiertelników. A już zupełnie nie pojmują, dlaczego czasem upieramy się, żeby cierpieć, tak jakbyśmy za wszelką cenę chcieli być nieszczęśliwi. Kiedy byłam Chambarayą, też tego nie rozumiałam.

Zatrzymała się i podniosła głowę. Dłoń, którą przyglądała fałdę na ubraniu, lekko, ledwo dostrzegalnie drżała. Odetchnęła głęboko, jakby czerpała odwagę z powietrza.

– Dużo o tym myślałam... – ciągnęła z wahaniem. – Obracałam tę sprawę w głowie na wszystkie strony.

Hari zacisnął kurczowo powieki.

Nie chcę tego słyszeć.

– Niedługo wrócisz do domu.

– Tak...? – wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

– Chciałabym... Chciałabym wtedy być przy tobie. I później też.

Zamurowało go. Nie mógł mówić, oddychać, nawet zamrużyć powiekami.

Usiadła i znów wyrzuciła przez okno.

– Biznesmen Vilo ma własnym symfotel... On i Uprzywilejowana Dole są... no wiesz... Dzięki temu ja... mogłam... Przez ostatni tydzień oglądałam twoją Przygodę. Bezpośrednio. W pewnym sensie.

– Shanna...

– I bardzo dużo zrozumiałam. I... i wiesz co, Hari? Przez cały czas, cokolwiek się działo, separacja i tak dalej... nigdy nie wątpiłam, że nie mnie kochasz, tylko chyba... No, upierałam się, że musisz mnie kochać po mojemu. Albo coś w tym guście, nie wiem, w każdym razie było to głupie i małostkowe z mojej strony. Mniejsza z tym.

– Ja...

– Nie wiem, czy się nam uda, Hari. Naprawdę nie wiem. Nie jestem już tą samą kobietą, z którą się ożeniłeś. Mam inne priorytety. Ty też się zmieniłeś. Ale może... moglibyśmy się na nowo poznać? Jak myślisz? Bo ja cię kocham i chcę spróbować jeszcze raz. Chcę, żebyśmy oboje spróbowali być szczęśliwi.

– Boże, Shanna...

Wyciągnął do niej rękę i w tej samej chwili do pokoju wpadł zastęp lekarzy: aparatura, do której był podłączony, zgłosiła sześć stanów alarmowych naraz.

\* \* \*

Wiele dni później, kiedy usatysfakcjonowani przebiegiem kuracji lekarze pozwolili mu się przesiąść na lewifotel, z którym przez następne kilka miesięcy mieli być nierozłączni, wziął ją za rękę, spojrzał jej w oczy i pomyślał: kurczę, i wszystko wyszło jak należy. Nawet dziewczynę dostałem.

Szła obok buczonego cicho fotela, kiedy wyszli na świeże powietrze. Kopuła nieba wznosiła się wysoko, a w ich stronę pikowała już złota iskierka taksówki. Spojrzał na Shannę.

– Naprawdę myślisz, że może się nam udać?

– Mam nadzieję. Obiecałam przecież, że cię nie opuszczę. Obietnice ważna rzecz.

– Taaak, to prawda... Wiesz co...? Właśnie sobie przypomniałem, że i ja coś komuś obiecałem.

Taksówka wylądowała i Shanna pomogła mu wprowadzić lewifotel do kabiny. Pochylił się nad klawiaturę, wcisnął ODWOŁAJ KURS i kazał kierowcy wprowadzić namiary Obozu Społecznego Buchanan.

– Buchanan? – zdziwiła się Shanna. – Po co tam lecimy?

Hari uśmiechnął się półgębkiem. Jego serce przepełniała taka masa uczuć, że na więcej i tak nie mógłby sobie pozwolić. Największe radości najlepiej wyraża się w drobnych, cichych gestach.

– Chciałbym ci kogoś przedstawić.